

A woman with dark hair, wearing a strapless sequined dress, is dancing in a club. She has her right arm raised and is smiling. The background is dark with red and purple lighting. Another person is visible in the background, also dancing.

SANDRA
BROWN

MIŁOŚĆ I ZBRODZIA

Alibi

LIBROS

SANDRA BROWN

"ALIBI"

SOBOTA

Prolog

Ciszę klimatyzowanego korytarza rozdarł krzyk.

Pokojówka, która zaledwie kilka sekund wcześniej weszła do jednego z hotelowych apartamentów, wypadła stamtąd ze szlochem, wołając o pomoc i waląc pięścią w drzwi innych pokoi. Wiedziała, że zwierzchnik zbeszta ją za histeryczną reakcję, ale nie potrafiła się opanować.

Niestety, tego popołudnia w hotelu nie było zbyt wielu gości.

Większość wyszła, by nacieszyć się niepowtarzalnym urokiem historycznej dzielnicy Charlestonu. W końcu jednak dziewczynie udało się obudzić jednego z gości. Był to mężczyzna z Michigan. Zmęczony upałem, do jakiego nie nawykł, wrócił do hotelu, by uciąć sobie drzemkę.

Chociaż został gwałtownie wyrwany ze snu i nie zdążył całkiem oprzytomnieć, natychmiast uznał, że tylko jakaś nieziemska katastrofa mogła wywołać podobną panikę. Nim zdołał coś zrozumieć z nie składnych słów pokojówki, zadzwonił do recepcji i zawiadomił obsługę hotelu, że na najwyższym piętrze wydarzyło się nieszczęście.

Dwaj charlestońscy policjanci, w których rewirze znajdował się niedawno otwarty Charles Towne Plaza, błyskawicznie zareagowali na wezwanie. Podenerwowany członek ochrony hotelowej wprowadził ich do pokoju, do którego nie tak dawno weszła pokojówka, żeby wykonać zamówioną wcześniej, lecz jak się okazało - zbędną już usługę. Zajmujący apartament mężczyzna leżał martwy na środku salonu.

Oficer klęknął przy zwłokach.

- Niech to diabli ... Ten facet przypomina mi ...

- To on - zapewnił go partner pełnym szacunku głosem. - Ale będzie rozróżba!

Rozdział pierwszy

Zauważył ją, jak tylko weszła do pawilonu.

Zdecydowanie rzucała się w oczy, chociaż otaczał ją tłum innych kobiet, ubranych przeważnie w zwiewne letnie sukienki. Co dziwne, była sama.

Kiedy przystanęła, żeby się rozejrzeć, jej wzrok na chwilę zatrzymał się na podwyższeniu, na którym grał zespół, potem przeniósł się na parkiet, a następnie na przypadkowo poustawiane wokół krzesła. Zauważywszy wolny stolik, podeszła do niego i usiadła.

Okrągły pawilon mógł mieć mniej więcej dziewięć metrów średnicy. Chociaż stał na wolnym powietrzu, a jego stożkowy dach od spodu obwieszony był bożonarodzeniowymi lampkami, wysoki, wklęsły sufit zatrzymywał dźwięki, sprawiając, że wewnątrz panował niemiłosierny hałas.

Brak umiejętności muzycznych członkowie zespołu tuszowali ogromnym natężeniem głośności. Widocznie żywili przekonanie, że przy tak dużej liczbie decybeli nikt nie zauważy fałszów w linii melodycznej. Grali jednak z wyraźnym entuzjazmem i zachowywali się, jak na prawdziwych showmanów przystało. Spec od instrumentów klawiszowych i gitarzysta sprawiali wrażenie, jakby wydobywanie każdego dźwięku wymagało od nich użycia ogromnej siły. Spleciona w warkocze broda faceta, który grał na harmonijce ustnej, podskakiwała przy każdym gwałtowniejszym ruchu głowy. Skrzypek, piłując struny smyczkiem, tańczył szybko gige, co pozwalało mu świetnie zademonstrować żółte kowbojskie buty. Perkusista prawdopodobnie znał tylko jedną kadencję, ale bez wątplenia wykonywał ją z ogromną werwą.

Tłum wyraźnie nie miał nic przeciwko dysonansom. Hammond Cross również nie protestował. Jak na ironię, charakterystyczne dla wesołego miasteczka głośne dźwięki w jakiś sposób działały nań uspokajająco. Ze wszystkich stron otaczał go hałas: piski dochodzące z głównej alei, gwizdy nastolatków na szczycie diabelskiego młyna, płacz zmęczonych niemowląt, dzwonki, klaksony, krzyki i śmiechy - typowe odgłosy towarzyszące radosnej zabawie.

Hammond nie planował, że tego dnia odwiedzi wesołe miasteczko. W lokalnych gazetach i telewizji zapewne musiały się pojawiać jakieś informacje na temat tej nowej atrakcji, ale nie zwrócił na nie uwagi.

Na lunapark natknął się przypadkowo, gdy znajdował się o pół godziny drogi od Charlestonu. Nigdy nie pojmie, czemu się tu zatrzymał. Wcale nie należał do wielbicieli wesołych miasteczek. Rodzice ani razu nie zabrali go w podobne miejsce. Za wszelką cenę unikali imprez ściągających tłumy ludzi, przynajmniej tłumy prostych ludzi, na których im nie zależało. .

W każdej innej sytuacji Hammond prawdopodobnie też by ich unikał. Nie znaczy to wcale, że był snobem, jedynie bardzo długo i ciężko pracował, w związku z czym niezwykle egoistycznie traktował swój wolny czas i długo się zastanawiał, czym go sobie wypełnić. Zazwyczaj decydował się na mecz golfa, kilkugodzinne wędkowanie, kino, cichą kolację lub wyprawę do dobrej restauracji. Ale wesołe miasteczko? Takie atrakcje z pewnością nie należały do ulubionych rozrywek Hammonda.

Jednak tego popołudnia wyjątkowo odpowiadał mu tłum i hałas. Gdyby został całkiem sam, jedynie rozmyślałby o swoich kłopotach. Wówczas niechybnie ogarnęłoby go przygnębienie, a kto chce być smętny w jeden z ostatnich weekendów lata?

Kiedy więc, jadąc autostradą, zaczął poruszać się z prędkością żółwia, aż w końcu utknął w korku przesuwającym się centymetr po centymetrze w kierunku prowizorycznego parkingu - w rzeczywistości było to pastwisko dla krów, czasowo zamienione przez przedsiębiorczego farmera w parking - postanowił nie wyłamywać się z szeregu i podążył tam, dokąd zmierzały pozostałe samochody, vany i SUV-y.

Dał dwa dolce żującemu tytoń młodzikowi, który w imieniu farmera pobierał opłatę. Hammond miał szczęście - udało mu się zaparkować samochód w cieniu drzewa. Nim wysiadł, zdjął marynarkę i krawat, a po chwili podwinął również rękawy koszuli. Ostrożnie lawirując wśród krowich placków, żałował, że ma na sobie spodnie od garnituru i mokasyny, wołałby džinsy i kowbojki. Mimo to czuł, że powoli poprawia mu się humor. Nikt go tu nie znał. Jeśli nie chciał, nie musiał z nikim rozmawiać. Nie czekało go żadne spotkanie, nie dzwonił telefon. Tutaj, z dala od miasta, nie był prawnikiem, kolegą z pracy ani synem. Powoli zaczynał zapominać o napięciu, irytacji i ciężarze odpowiedzialności. W końcu zachłysnął się wolnością, od której zakręciło mu się w głowie.

Teren lunaparku wytyczał plastikowy sznur, obwieszony wielobarwnymi proporczykami, które zwisały bezwładnie w upale. Ciężkie powietrze przesycone było kusicielskimi zapachami przygotowywanego jedzenia - niezdrowego jedzenia. Z oddali muzyka wcale nie brzmiała tak źle. Hammond był zadowolony, że się tu zatrzymał. Potrzebował takiego ... odosobnienia.

Chociaż przez obrotową furtkę przelewały się tłumy, miał wrażenie, że jest zupełnie sam. Nagle stwierdził, że milej spędzi ten wieczór, wtapiając się w nieprzebraną hałaśliwą ciżbę, niż gdyby zgodnie z wcześniejszym zamiarem udał się do swojej chaty.

Odkąd po przeciwnej stronie pawilonu usiadła kasztanowłosa kobieta, muzycy zdążyli zagrać dwa kawałki. Hammond przez cały czas ją obserwował i snuł spekulacje. Najprawdopodobniej na kogoś czekała - może na męża i gromadkę dzieci. Uznał, że jest nieco młodsza od niego i ma niewiele po trzydziestce. Była zatem mniej więcej w wieku kobiet podwożących dzieci samochodami do szkoły. Matek zuchów. Działaczek PTA - stowarzyszenia działającego na rzecz poprawy stosunków między nauczycielami i rodzicami. Pań domu, pilnujących terminów szczepień na DiPerTe i wizyt u ortodontów. Gospodyń dokładających wszelkich starań, by ich bielizna była śnieżnobiała, a odzież kolorowa zachowała intensywne barwy. Hammond całą swoją wiedzę na temat takich kobiet czerpał z reklam telewizyjnych, ale nieznajoma wydawała się pasować do tego modelu.

Chociaż była za bardzo ... za bardzo ... poirytowana.

Nie wyglądała na matkę małych dzieci, cieszącą się kilkuminutowym wytchnieniem, które umożliwił jej tatuś, zabierając pociechy na karuzelę. Nie emanowały od niej spokój i pewność siebie - cechy dostrzegane u żon znajomych, kobiet poświęcających się pracy społecznej, należących do licznych klubów, uczestniczących w uroczystych lunchach, wydających przyjęcia urodzinowe dla współpracowników męża, raz lub dwa razy w

tygodniu grających w wiejskich klubach w golfa lub tenisa, biegających na zajęcia aerobiku i aktywnie działających w kółkach zajmujących się studiowaniem Biblii.

Siedząca naprzeciwko nieznajoma nie mogła również poszczycić się delikatnym, zadbanym ciałem kobiety, która wydała na świat dwójkę lub trójkę dzieci. Była drobna, ale bardzo wysportowana. Miała dobre - nie, świetne - umięśnione, smukłe i lekko opalone nogi, co doskonale uwidaczniała krótka spódniczka i sandaalki na niskim obcasiku. Pozbawiona rękawów bluzeczka wykończona była głębokim okrągłym dekoltem, a całości dopełniał zawiązany luźno wokół szyi, dobrany kolorystycznie kardigan. Dzięki eleganckiej i szykownej odzieży wyróżniała się w tłumie, w którym dominowały szorty i tenisówki.

Położyła na stoliku torebkę - na tyle dużą, by zmieścił się w niej pęk kluczy, chusteczka higieniczna i być może szminka, ale zbyt małą dla młodej matki, która musi mieć przy sobie wodę w butelce, zapasowe pieluszki, coś do jedzenia i wyposażenie pozwalające w razie konieczności przetrwać nawet kilka dni z dala od ludzi.

Hammond odznaczał się analitycznym umysłem. Jego silną stroną była dedukcja. Dlatego doszedł do wniosku - i prawdopodobnie był bardzo bliski prawdy - że nieznajoma raczej nie jest matką.

Mogła jednak być mężatką, kochanką albo narzeczoną czekającą na swojego partnera. Mogła być kobietą całkowicie oddaną karierze. Przodowniczką wśród prywatnych przedsiębiorców. Odnoszącą sukcesy akwizytorką. Zmysłową kobietą interesu. Maklerem giełdowym. Pracownicą banku.

Sącząc piwo, które z powodu panującej na zewnątrz wysokiej temperatury zrobiło się już letnie, Hammond nadal z zainteresowaniem przyglądał się kobiecie.

Potem nagle zdał sobie sprawę, że ona przechwyciła jego spojrzenie.

Kiedy ich oczy się spotkały, poczuł przyspieszone bicie serca, prawdopodobnie dlatego, że został przyłapany na przyglądaniu się całkiem obcej osobie. Nie odwrócił jednak wzroku. Choć dzieliły ich tańczące pary, które od czasu do czasu przesłaniały widok, przez kilka sekund nie odrywali od siebie wzroku.

Potem kobieta odwróciła głowę, jakby również była zażenowana faktem, że w takim tłumie wybrała właśnie jego. Rozgoryczony swoją niedojrzałą reakcją na coś tak błahego jak zwykły kontakt wzrokowy, Hammond odstąpił stolik dwóm parom, które kręciły się w pobliżu i wyraźnie czekały na miejsce. Potem, torując sobie drogę wśród tłumu, ruszył w stronę prowizorycznego barku, który został przystosowany do obsługi spragnionych tancerzy.

Miejsce to cieszyło się sporą popularnością. W trzech rzędach tłoczyli się przy nim żołnierze ze stacjonujących w najbliższej okolicy jednostek. Nawet gdyby nie mieli mundurów, łatwo byłoby ich poznać po krótko ostrzyżonych włosach. Popijając, przyglądali się dziewczętom, oceniali swoje szanse na przelotną znajomość i robili zakłady, któremu z nich się uda.

Barmani wydawali piwo tak szybko, jak tylko mogli, niestety, nie byli w stanie sprostać wymaganiom. Hammond kilkakrotnie próbował zwrócić na siebie uwagę, w końcu jednak zrezygnował; postanowił zaczekać, aż tłum nieco się przerzedzi, i dopiero wtedy zamówić następną kolejkę.

Poczuł się nieco lepiej niż wtedy, gdy samotnie siedział przy stoliku i prawdopodobnie stanowił żalony widok, dlatego znów zerknął przez parkiet w kierunku nieznajomej. W tym momencie jego dobry nastrój prysnął. Wolne krzesła obok kobiety zajmowało trzech mężczyzn. Prawdę mówiąc, szerokie plecy jednego z nich zasłaniały Hammondowi widok. Ta trójka nie miała na sobie mundurów, sądząc jednak po fryzurach i ogromnej pewności siebie, przypuszczalnie byli to żołnierze piechoty morskiej.

No cóż, nie był tym wcale zaskoczony. Zawiedziony, ale nie zaskoczony. Nieznajoma była za ładna, by samotnie spędzać sobotni wieczór. Jedyne czekała, aż pojawi się człowiek, z którym się umówiła.

Nawet jeśli przyjechała do wesołego miasteczka sama, nie powinna długo pozostawać bez towarzystwa. To niemożliwe w takim tłumie. Żołnierz na przepustce ma instynkt rekina i dąży tylko do jednego celu. Pragnie zapewnić sobie partnerkę na najbliższy wieczór. Tymczasem nieznajoma, nawet nie podejmując jakichkolwiek prób, zdecydowanie zwracała na siebie uwagę.

Hammond wmawiał sobie, że sam wcale by jej nie wybrał.

Był na to za stary. Nie miał zamiaru zniżać się do poziomu ludzi o mentalności szczura. Poza tym to byłoby niestosowne, prawda? Co prawda nie był z nikim związany, skłamałby jednak, mówiąc, że jest całkiem wolny.

Nagle nieznajoma wstała, chwyciła sweter, przewiesiła pasek małej torebki przez ramię i odwróciła się, żeby wyjść. Trzej siedzący obok mężczyźni natychmiast poderwali się na równe nogi i zablokowali drogę. Jeden z nich, noszący ślady jakiejś bójkę, położył rękę na jej ramieniu i pochylił się nad nią. Hammond widział poruszające się usta mężczyzny. Niezależnie od tego, co powiedział, jego słowa wywołały głośny śmiech pozostałych marines. Kobieta wcale nie uznała tego za zabawne. Odwróciła głowę.

Hammond odniósł wrażenie, że próbuje wywinąć się z niezręcznej sytuacji, nie wywołując sceny. Zdjęła rękę żołnierza ze swego ramienia, sztywno się uśmiechnęła i coś powiedziała, po czym ponownie skierowała się do wyjścia.

Wojak nie dał się zniechęcić. Podjudzany przez kumpli, ruszył za nią. Kiedy złapał ją za rękę i ponownie objął, Hammond przystąpił do działania.

Nie pamiętał, w jaki sposób pokonał całą szerokość parkietu, chociaż praktycznie musiał torować sobie drogę wśród kołyszących się w wolnym tańcu par. Niemniej po kilku sekundach znalazł się między dwoma muskularnymi drabami, odepchnął na bok natręta, a następnie usłyszał własne słowa:

- Przepraszam, kochanie. Natknąłem się na Normana Blancharda. Sama wiesz, że ten człowiek potrafi gadać jak karabin maszynowy. Na szczęście właśnie grają naszą melodię.

Objął ją w pasie i wyciągnął na parkiet.

- Zrozumieliście moje polecenia?

- Tak jest, panie inspektorze. Nikt nie może wejść ani wyjść.

- Obstawiliśmy drzwi.

- To dotyczy wszystkich. Bez wyjątku.

- Tak jest, sir.

Inspektor Rory Smilow wydał stanowcze rozkazy, po czym kiwnął głową do umundurowanego oficera i głównymi drzwiami wszedł do hotelu Charles Towne Plaza.

W licznych czasopismach budowlanych uznano znajdujące się w westybulu schody za triumf architektury. Stały się one symbolem nowego kompleksu. Uosabiające południową gościnność dwa szerokie ciągi prowadziły z głównego hallu w górę. Wyglądały tak, jakby obejmowały imponujący kryształowy żyrandol, a potem łączyły się dwanaście metrów wyżej i tworzyły na pierwszym piętrze galerię.

Na obu poziomach westybulu policjanci kręcili się wśród gości i pracowników hotelu. Wszyscy już słyszeli, że na czwartym piętrze popełnione zostało morderstwo.

Nic nie stwarza atmosfery takiego oczekiwania jak zabójstwo - pomyślał Smilow, wkraczając na scenę.

Opaleni, spoceni i obwieszeni aparatami fotograficznymi turyści kręcili się jak w młynie, zadając pytania każdemu reprezentantowi władzy, rozmawiając między sobą, zastanawiając się, kim jest ofiara i co spowodowało mordercę.

W dobrze skrojonym garniturze i francuskiej koszuli z mankietami Smilow rzucał się w oczy. Pomimo panującej na zewnątrz spiekoty jego strój był świeży i suchy. Poirytowany podwładny spytał kiedyś po cichutku, czy Smilow nigdy się nie poci. "Do diabła, nie - odparł jego kumpel, policjant. - Przecież wszyscy wiedzą, że kosmici nie mają gruczołów potowych".

Smilow podszedł do windy. Oficer, z którym rozmawiał przy wejściu, musiał już uprzedzić swoich kolegów, ponieważ w windzie stał następny policjant, przytrzymując otwarte drzwi. Nie dziękując za uprzejmość, Smilow wszedł do środka.

- Buty wciąż lśnią, panie Smilow? - usłyszał nagle. Odwrócił się.

- O tak, Smitty. Dziękuję.

Człowiek, którego wszyscy znali tylko z imienia, we wnęce hotelowego westybulu obsługiwał trzy stanowiska do pucowania butów. Przez dziesiątki lat robił to samo w innym hotelu w centrum miasta. Ostatnio namówiono go, by przeniósł się do Charles Towne Plaza, a jego klienci podążyli za nim. Smitty otrzymywał wspaniałe napiwki nawet od przyjezdnych, ponieważ lepiej niż recepcjonista potrafił doradzić, co robić, dokąd pójść i gdzie znaleźć to, czego się szuka w Charlestonie.

Rory Smilow był jednym ze stałych klientów Smitty'ego.

Normalnie przystanąłby, żeby wymienić z pucybutem uprzejmości, tym razem jednak mu się spieszyło i prawdę mówiąc, był zły, że go zatrzymano.

- Złapię cię później, Smitty - powiedział szorstko. Drzwi windy się zamknęły.

Smilow i umundurowany gliniarz ruszyli w milczeniu na najwyższe piętro. Inspektor nigdy nie spoufalął się z szeregowymi oficerami, nawet tymi, którzy dorównywali mu szarżą, a już z pewnością nie mieli na to szansy ci stojący niżej od niego. Nigdy nie inicjował rozmowy, chyba że dotyczyła sprawy, którą właśnie się zajmował.

Pracownicy jego wydziału, ludzie nie znający strachu, nieraz próbowali uciąć sobie z nim pogawędkę, szybko jednak odkrywali, że takie próby do niczego nie prowadzą. Postawa Smilowa zniechęcała do zawierania bliższej znajomości. Nawet jego schludny wygląd skutecznie zrażał ewentualnych śmiałków.

Kiedy drzwi windy otworzyły się na czwartym piętrze, inspektor poczuł dobrze znany dreszcz. Odwiedził mnóstwo miejsc zbrodni. Niektóre z nich były nijakie i nieciekawe, inne wręcz makabryczne. Większość szybko zacierала się w pamięci ze względu na swoją banalność. Natomiast część na zawsze pozostanie we wspomnieniach z uwagi na wyobraźnię i pomysłowość mordercy, niecodzienne otoczenie, w którym znaleziono ciało, zaskakującą metodę popełnienia zbrodni, niezwykłość użytego narzędzia lub też z uwagi na wiek i cechy szczególne ofiary.

Niezmiennie jednak pierwsza wizyta na miejscu zbrodni stanowiła dla Smilowa silny zastrzyk adrenaliny, czego zresztą wcale się nie wstydził. Był do tego stworzony. Uwielbiał swoją pracę.

Gdy wysiadł z windy, ubrani po cywilnemu detektywi stojący na korytarzu przerwali rozmowę. Z szacunku lub ze strachu ustąpili mu z drogi, gdy szedł w stronę otwartych drzwi hotelowego apartamentu, w którym tego dnia zmarł człowiek.

Smilow odnotował numer pokoju, a potem zajął do środka.

Ucieszył się na widok wykonujących swoje obowiązki siedmiu oficerów z ekipy do badania miejsca zbrodni.

Zadowolony, że robią dokładnie to, co do nich należy, wrócił do trzech detektywów oddelegowanych przez wydział kryminalny. Jeden z nich palił papierosa. Teraz spiesznie zgasił go w popielniczce. Smilow zmierzył podwładnego chłodnym, niewzruszonym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, Collins, że w tej popielniczce nie było żadnego kluczowego dowodu.

Detektyw, niczym trzecioklasista dostający reprimendę za to, że nie umył rąk po skorzystaniu z toalety, wsunął dłonie do kieszeni.

- Posłuchajcie - powiedział Smilow, zwracając się do wszystkich jednocześnie. Nigdy nie podnosił głosu. Nie musiał. - Nie będę tolerował żadnego błędu. Jeśli scena morderstwa w jakikolwiek sposób zostanie zanieczyszczona, jeśli któryś z was choćby w najmniejszym stopniu odstąpi od wymaganej procedury, jeśli przeoczy najdrobniejszy dowód lub zniszczy go przez swoją bezmyślność, skopię mu tyłek. Osobiście.

Przez chwilę patrzył każdemu z mężczyzn w oczy. Potem zakończył:

- W porządku, idziemy.

Wchodząc do pokoju, włożyli plastikowe rękawiczki. Każdy z nich dostał specjalne zadanie, któremu teraz się poświęcił, leciutko stąpając po dywanie i nie dotykając niczego, czego nie należało dotykać.

Smilow podszedł do dwóch policjantów, którzy pierwsi pojawili się na miejscu zbrodni. Bez wstępu zapytał: - Dotykaliście go?

- Nie, sir.

- Dotykaliście czegokolwiek?

- Nie, sir.

- Nawet klamki?

- Gdy przybyliśmy tutaj, drzwi były otwarte. Nie zamknęła ich pokojówka, która go znalazła. Klamki mógł ewentualnie dotknąć strażnik z ochrony hotelowej. Pytaliśmy, powiedział, że nie, ale ... - Policjant wzruszył ramionami.

- Telefon? - spytał Smilow.

- Nie, sir. Skorzystałem ze swojej komórki. Ale mógł go użyć facet z ochrony, nim zdążyliśmy przyjechać.

- Z kim dotychczas rozmawialiście?

- Tylko z nim. To on nas wezwał.

- Co powiedział?

- Że pokojówka znalazła ciało. - Wskazał na zwłoki. - W takiej pozycji. Twarzą do podłogi, z dwiema ranami postrzałowymi na plecach, pod lewą łopatką.

- Przepytawaliście pokojówkę?

- Próbowaliśmy. Bardzo to przeżyła, dlatego nie udało nam się zbyt dużo od niej wyciągnąć. Poza tym to cudzoziemka. Nie wiem, skąd pochodzi - wyjaśnił gliniarz, zauważywszy uniesioną pytająco brew Smilowa. - Nie potrafię tego ocenić po jej akcencie. Bez przerwy powtarzała jedynie "martwy człowiek" i beczała w chusteczkę do nosa. Przestraszyła się jak cholera.

- Sprawdzaliście puls?

Policjant zerknął na swojego partnera, który w tym momencie odezwał się po raz pierwszy.

- Ja to zrobiłem. Po prostu chciałem się upewnić, czy naprawdę nie żyje.

- To znaczy, że go dotykałeś.

- No cóż, tak. Ale tylko w tym celu.

- Zakładam, że nie wyczułeś.

- Pulsu? - Gliniarz potrząsnął głową. - Nie. Facet był martwy. Na pewno nie żył.

Do tego momentu Smilow nie zwracał uwagi na ciało. Dopiero teraz do niego podszedł.

- Macie już jakąś wiadomość od eksperta medycyny sądowej?

- Jest w drodze.

Smilow z natężeniem zaczął się wpatrywać w martwego człowieka. Póki nie zobaczył tego na własne oczy, nie był w stanie uwierzyć, że ofiarą zgłoszonego morderstwa padł nie kto inny, tylko sam Lute Petijohn. W pewnym sensie był on charlestońską osobistością, człowiekiem powszechnie znanym, a do tego - dyrektorem naczelnym spółki, która przekształciła opuszczony magazyn bawełny we wspinały hotel Charles Towne Plaza.

Był również eks-szwagrem Rory'ego Smilowa.

Rozdział drugi

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie ma za co - odparł Hammond.

- Sytuacja stała się już dość niemiła.

- Cieszę się, że mój podstęp poskutkował. W przeciwnym wypadku miałbym na karku trzech napaleńców. - Jestem pełna podziwu dla pańskiej odwagi.

- Albo głupoty. Mogli mi nieźle skopać tyłek.

Słyszac te słowa, uśmiechnęła się, a wtedy Hammond jeszcze bardziej się ucieszył, że uległ idiotycznemu rycerskiemu impulsowi, który nakazywał podążyć damie na ratunek. Spodobała mu się od razu, jak tylko ją zauważył, ale obserwowanie jej przez całą szerokość parkietu było niczym w porównaniu z możliwością bezpośredniego spotkania twarzą w twarz. Odwróciła wzrok, nie mogąc znieść intensywnego spojrzenia Hammonda, i wpatrzyła się w jakiś punkt za jego plecami. Mimo niezręcznej sytuacji doskonale nad sobą panowała. Co do tego nie było najmniej szych wątpliwości.

- A co z pańskim przyjacielem? - spytała.

- Moim przyjacielem?

- Panem Blanchardem. Normanem, prawda?

- Och - powiedział z cichym śmiechem. - Nie znam nikogo takiego.

- Wymyślił go pan?

- Tak. Nawet nie mam pojęcia, skąd wzięłem jego imię i nazwisko. Po prostu same przyszły mi na myśl. - Jest pan bardzo pomysłowy.

- Musiałem powiedzieć coś, co zabrzmiałoby w miarę prawdopodobnie. Coś, co by sugerowało, że jesteście razem. Że się dobrze znamy. Coś, co przynajmniej pozwoliłoby mi wyprowadzić panią na parkiet.

- Mógł pan po prostu zaprosić mnie do tańca.

- Tak, ale to byłoby nudne. Poza tym wtedy mogłaby mi pani odmówić.

- No cóż, jeszcze raz dziękuję.

- Jeszcze raz mówię: nie ma za co. - Wyminęli inną parę. - Jest pani stąd?

- Od niedawna.

- Ma pani południowy akcent.

- Wychowałam się w Tennessee - wyznała. - W pobliżu Nashville.

- Miła okolica.

- Tak.

- Ładny teren.

- Hmm.

- I dobra muzyka.

Błyskotliwa konwersacja, Cross - pomyślał. Bardzo inteligentna.

Nie próbowała nawet komentować jego ostatniego zdania.

Hammond nie miał do niej o to pretensji. Jeśli dalej będzie sobie tak poczynął, kobieta go opuści, nie czekając, aż melodia dobiegnie końca. Ominął następną parę, która wykonywała właśnie jakąś zawiłą figurę, po czym śmiertelnie poważnym głosem zadał najbardziej banalne z najbanalniejszych pytań.

- Często pani tu przychodzi?

Zrozumiała żart i obdarzyła go uśmiechem. Dla tego uśmiechu Hammond popełniłby każde głupstwo, gdyby się nie pilnował.

- Prawdę mówiąc, ostatni raz byłam w wesołym miasteczku jako nastolatka.

- Ja również. Pamiętam, że pewnego razu wybrałem się na taką imprezę z kumplami. Musieliśmy mieć wówczas mniej więcej po piętnaście lat i usiłowaliśmy kupić piwo.

- Udało się wam?

- Nie.

- Wtedy był pan po raz ostatni?

- Nie. Później poszedłem do wesołego miasteczka z dziewczyną. Ściślej biorąc, do gabinetu strachu, żeby ją pocałować. - Z jakim skutkiem?

- Skończyło się niemal tak samo jak próba kupienia piwa.

- Bóg mi świadkiem, że dołożyłem wszelkich starań. Wygląda jednak na to, że zawsze próbowałem podrywać dziewczyny, które ... - zamilkł, wyczuwając napięcie nieznamojem.

- Nie poddają się tak łatwo, prawda?

Trzech żołnierzy stało na skraju parkietu, popijając świeże piwo i patrząc na nich wilkiem.

- No cóż, gdyby łatwo ustępowali, zagrożone byłoby bezpieczeństwo naszego kraju.

Obdarzywszy młodych mężczyzn zarozumiałym uśmiechem, mocniej zacisnął ramię na jej talii i minął wojaków tanecznym krokiem.

- Nie musiał pan stawać w mojej obronie - zauważyła. - Sama bym sobie poradziła.

- Jestem tego pewien. Każda piękna kobieta musi umieć odpierać niechciane męskie zaloty. Ale pani zachowała się również jak dama, która wolałaby nie wywoływać sceny.

Uniosła na niego wzrok.

- Co za spostrzegawczość!

- Skoro więc wszystko zostało już wyjaśnione, możemy cieszyć się tańcem, prawda? - Sądzę, że tak.

Niemniej zgoda na dalszy taniec wcale jej nie uspokoiła. Co prawda nie oglądała się ukradkiem przez ramię, Hammond czuł jednak, że ma na to ochotę.

W związku z tym zaczął się zastanawiać, co jego partnerka robi, gdy taniec dobiegnie końca. Przypuszczał, że go spławi. Uprzejmie, ale zdecydowanie. Na szczęście muzycy grali smutną, ckliwą balladę. Piosenkarz obdarzony był słabym i niezbyt czystym głosem, znał za to słowa wszystkich zwrotek. Z punktu widzenia Hammonda im dłużej trwał taniec, tym lepiej.

Partnerka bardzo dobrze do niego pasowała. Czubek jej głowy sięgał mu do podbródka. Hammond nie próbował przełamywać iluzorycznej bariery, którą odgradziła się w chwili, gdy chwycił ją w ramiona, mimo to ogromnie go nęciło, by nieco mocniej przytulić do siebie nieznajomą.

Poprzestał jednak na tym, co miał - to znaczy: jego przedramię spoczywało na krzyżu partnerki, a jej dłoń, bez obrączki, na ramieniu Hammonda. Ich stopy zgodnie poruszały się w rytm wolnej melodii.

Gdy co jakiś czas czuł dotyk jej ud, ogarniała go fala pożądania. Na szczęście nad nią panował. Z góry miał doskonały widok na okrągły dekolt nieznajomej, był jednak dżentelmenem, więc nie patrzył. Nie mógł wszakże powściągnąć wyobraźni, która podsuwała mu obrazy, tłukące się po jego czaszce jak końskie muchy podczas upału.

- Poszli.

Głos partnerki wyrwał Hammonda z oszołomienia. Kiedy w końcu dotarło do niego, co powiedziała, rozejrzał się dokoła. Okazało się, że marines rzeczywiście zniknęli. Prawdę mówiąc, melodia właśnie się skończyła, muzycy odkładali instrumenty, a lider zespołu prosił wszystkich o "zostanie na miejscach" i obiecywał, że po krótkiej przerwie zagrają następne przeboje. Pary ruszyły w stronę stolików lub baru.

Nieznajoma opuściła ręce. Hammond zdał sobie sprawę, że wciąż obejmuje ją w pasie. Nie miał innego wyboru, on również musiał zwolnić uchwyt. Gdy to zrobił, odsunęła się od niego. - No cóż ... nigdy nie wolno mówić, że rycerskość należy już do przeszłości.

Uśmiechnął się.

- Ale proszę na nią nie liczyć, gdyby kiedykolwiek wróciła moda na walkę ze smokami.

Kobieta z uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Jestem wdzięczna za to, co pan dla mnie zrobił.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dziękuję za taniec. - Uścisnął jej dłoń. Odwróciła się, by odejść. - Hm ... - Podążył za nią, przepychając się przez tłum.

Kiedy dotarli do obwodu pawilonu, Hammond zeskoczył pierwszy, po czym wyciągnął rękę, by pomóc zejść nieznajomej. Był to elegancki, acz zbędny gest, gdyż różnica poziomów nie wynosiła nawet pół metra. Potem zrównał z nią krok.

- Mogę zafundować pani piwo?

- Nie, dziękuję.

- Czuję wspaniały zapach gotowanych kolb kukurydzy.

Z uśmiechem przecząco potrząsnęła głową.

- Może przejażdżka na diabelskim młynie?

Nie zwalnając kroku, zerknęła na niego urażona.

- A czemu nie gabinet strachu?

- Nie chcę kusić losu - wyznał z uśmiechem, ponieważ poczuł niewielkie ocieplenie. Niestety, jego radość trwała krótko.

- Dzięki, ale naprawdę muszę już iść.

- Dopiero pani przysła.

Niespodziewanie stanęła i obróciła się do Hammonda. Przekrzywiła głowę, mierząc go ostrym spojrzeniem. W zielonych tęczęwkach odbijało się zachodzące słońce. Przymknęła nieco powieki. Jej rzęsy były znacznie ciemniejsze od włosów. Ma cudowne oczy - pomyślał. Bezpośrednie i szczere, ale seksowne. Teraz jej przenikliwe spojrzenie pytało go, skąd wie, kiedy się pojawiła.

- Zauważyłem panią w chwili, gdy weszła pani do pawilonu przyznał.

Przez kilka uderzeń serca patrzyła mu w oczy, potem skrępowana opuściła głowę. Wokół nich wirował tłum. Obok przebiegła grupka chłopców. Pędraki ominęły ich zaledwie o kilka centymetrów, wzbijając chmurę duszącego pyłu, który na chwilę otoczył Hammonda i towarzyszącą mu kobietę. Jakaś dziewczynka rozplakała się, kiedy wypełniony helem balon wyrwał się z jej maleńkiej piąstki i poszybował ku czubkom drzew. Nieopodal spacerowym krokiem przeszła para wytatuowanych nastolatek, z namaszczeniem paląc papierosy i rzucając głośne przekleństwa.

Nie reagowali na nic. Kakofonia wesoło - miasteczkowych od wieków nie zdołała zakłócić ich prywatnej ciszy.

- Wydawało mi się, że pani też mnie zauważyła.

Mimo panującego wokół hałasu jakimś cudem usłyszała wypowiedziane przez Hammonda słowa. Nie spojrziała na niego, zobaczył jednak, że kąciki jej ust się unoszą i usłyszał cichy, pełen zażenowania śmiech.

- A więc to prawda? Zauważyła mnie pani? Wzruszyła ramieniem, dając za wygraną.

- No cóż, w porządku - ciągnął, wypuszczając powietrze, żeby podkreślić ulgę. - W takim razie nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy ograniczać nasze spotkanie do jednego tańca. Przecież był wspaniały. Naprawdę. Minęły wieki, odkąd po raz ostatni wyjście na parkiet sprawiło mi taką przyjemność.

Uniosła głowę i obdarzyła go nieśmiałym spojrzeniem.

- Hmm - mruknął. - Strasznie głupio się zachowuję, prawda?

- Zdecydowanie.

Uśmiechnął się promiennie. Była cholernie atrakcyjna, a mimo 10 nie przeszkadzało jej, że z nią flirtował mniej więcej tak, jak robił to przed dwudziestu laty.

- W takim razie co pani powie na moją propozycję? Właściwie na dzisiejszy wieczór niczego nie zaplanowałem, a nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałem taką swobodę ...

- Czy to odpowiednie słowo?

- Całkiem.

- Niewiele mi ono mówi.

- Chodzi o to, że jeżeli nie jest pani zaproszona gdzieś na kolację ...

Potrząsnęła głową, że nie.

- ... może byśmy razem poszaleli w wesołym miasteczku?

Rory Smilow, patrząc w martwe oczy Lute'a Pettijohna, spytał:

- Kto go zabił?

Koroner, człowiek o drobnej budowie, zamyślonej, wskazującej na wrażliwość twarzy i łagodnym usposobieniu, zdobył sobie coś, co bardzo trudno przychodziło innym ludziom szacunek Smilowa.

Doktor John Madison był czarnoskórym południowcem, który ciężko zapracował sobie na autorytet i pozycję, jaką zajmował w tej niezwykle konsumpcyjnej części Stanów Zjednoczonych. Smilow wysoko cenił każdego, kto wbrew przeciwnościom losu tak dużo zdołał w życiu osiągnąć.

Madison zbadał ciało w takiej pozycji, w jakiej je znaleziono, to znaczy twarzą do podłogi. Już wcześniej zostało obrysowane, a potem obfotografowane pod każdym możliwym kątem. Koroner sprawdził dłonie ofiary i jej palce, szczególnie zwracając uwagę na to, czy nie ma czegoś pod paznokciami. Zbadał sztywność nadgarstków. Pęsetą zdjął z rękawa marynarki Pettijohna jakąś trudną do zidentyfikowania drobinę, którą umieścił delikatnie w plastikowej torebce na dowody.

Dopiero po zakończeniu pierwszej obdukcji poprosił o pomoc w odwróceniu ofiary. Wówczas odkryto pierwszą niespodziankę - paskudną ranę na skroni, na linii włosów.

- Jak myślisz, czy to przestępca go uderzył? - spytał Smilow, kucając, by lepiej przyjrzeć się ranie. - A może najpierw został zastrzelony, a zranił się, upadając?

Madison poprawił okulary i odparł zaniepokojony:

- Jeśli trudno rozmawiać ci na ten temat, szczególnie możemy omówić później.

- Chodzi ci o to, że kiedyś on i ja byliśmy szwagrami?? Lekarz nieznacznie przytaknął, więc Smilow wyjaśnił: - Nigdy nie dopuszczam do tego, by moje życie prywatne miało jakikolwiek wpływ na sprawy zawodowe i *vice versa*. Powiedz mi, John, co myślisz, i nie szczędź krwawych szczegółów.

- Oczywiście muszę dokładniej zbadać ranę - zaznaczył Madison, nie komentując już związków między inspektorem a ofiarą. - Na razie wygląda mi na to, iż tę ranę odniósł przed śmiercią, nie po niej. Chociaż to wcale nie zmienia faktu, że jest naprawdę paskudna. Mogła spowodować kilka różnych urazów mózgu, a nawet śmierć.

- Nie sądzisz jednak, by tak się stało.

- To prawda, Rory. Nie wygląda na to, by była aż tak niebezpieczna. Opuchlizna znajduje się na zewnątrz, co zazwyczaj oznacza, że od wewnątrz jest niewielka lub w ogóle jej nie ma. Chociaż czasami zdarzają się zaskakujące przypadki.

Smilow rozumiał, dlaczego koroner przed sekcją zwłok nie chce opowiedzieć się za taką czy inną teorią.

- Czy w tym momencie można bezpiecznie przyjąć, że zginął od strzałów?

Madison przytaknął.

- Ale to tylko pierwsze przypuszczenie. Wygląda na to, że przed śmiercią upadł. Może ktoś go pchnął albo uderzył. - Na jak długo przed śmiercią?

- Trudno to będzie określić.

- Hmm.

Smilow rozejrzał się dokoła. Dywan. Sofa. Fotele. Same miękkie powierzchnie, z wyjątkiem szklanego blatu ławy. Znalaziono na nim kieliszek i butelkę z minibarku. Grupa dochodzeniowa zdążyła już je zabrać i zapakować do woreczków.

Inspektor podszedł do stolika i pochylił głowę tak, by jego oczy znalazły się na poziomie powierzchni blatu. Patrząc z tej perspektywy, dostrzegł kilka pierścieni wyschniętej wilgoci w miejscach, gdzie Petijohn stawiał swój kieliszek, nie wsuwając pod niego podkładki. Smilow powoli przesunął wzrok po szklanej tafli, uważnie lustrując ją centymetr po centymetrze. Specjalista od odcisków palców odkrył na brzegu stolika coś, co później okazało się odbiciem dłoni.

Detektyw wstał i próbował w myślach zrekonstruować możliwy przebieg wypadków. Oddalił się od brzegu stołu, potem znowu się przybliżył.

- Załóżmy, że Lute miał właśnie zamiar wypić drinka - powiedział, snując głośno swoje rozważania - i runął głową w przód.

- Przez przypadek? - spytał jeden z detektywów.

Smilow wzbudzał strach, nie cieszył się zbyt dużą sympatią, ale nikt w wydziale kryminalnym nie kwestionował jego talentu do odtwarzania przebiegu przestępstwa. Wszyscy w pomieszczeniu zamarli w bezruchu, by uważnie wysłuchać jego teorii.

- Niekoniecznie - ciągnął inspektor w zamyśleniu. - Ktoś mógł go z tyłu pchnąć, sprawić, że stracił równowagę. Upadł do przodu.

Odegrał to, starając się niczego nie dotknąć, zwłaszcza ciała. - Próbując uchronić się przed upadkiem, złapał się brzegu stolika, ale tak mocno uderzył głową o podłogę, że stracił przytomność. - Zerknął na Madisona i pytająco uniósł brwi.

- Możliwe - przyznał koroner.

- Bez żadnego ryzyka możemy powiedzieć, że w najlepszym przypadku był oszołomiony, prawda? Upadł tutaj.

Rozłożył ręce, by pokazać obrys na podłodze, ukazujący, w jakiej pozycji znalaziono ciało.

- Potem człowiek, który go pchnął, dwukrotnie strzelił mu w plecy - dokończył jeden z detektywów.

- Zdecydowanie strzelano do niego już wtedy, gdy leżał twarzą do podłogi - przyznał Smilow, zerkając na Madisona i czekając na potwierdzenie.

- Na to wygląda - przyznał koroner. Detektyw Mike Collins cicho gwizdnął.

- Ludzie, to straszne! Strzelić facetowi w plecy, gdy leży na podłodze! Ktoś musiał być cholernie wkurzony.

- Z tego właśnie Lute był najbardziej znany. Z umiejętności wkurzania ludzi - przypomniał Smilow. - Teraz wystarczy, jeśli zawężymy krąg podejrzanych do jednej osoby.

- To był ktoś, kogo zamordowany znał.

Inspektor zerknął na detektywa, który to powiedział, i machnięciem ręki zachęcił, by kontynuował tę myśl.

- Nie ma żadnych śladów włamania - wyjaśnił policjant. Nic nie wskazuje na to, by ktoś próbował wyważyć zamek, a zatem albo przestępca miał klucz, albo Petijohn sam otworzył mu drzwi.

- Swój klucz Petijohn miał przy sobie - zameldował inny z detektywów. - Motywem morderstwa nie była kradzież, chyba że przestępca ktoś pokrzyżował szyki. Portfel Petijohna znaleziono w przedniej kieszeni, pod ciałem. Wygląda na nietknięty. Niczego w nim nie brakuje.

- W porządku, a zatem wiemy, od czego zacząć - podsumował Smilow. - Zostało nam jednak mnóstwo do zrobienia. Nie mamy broni ani podejrzanego. W hotelu aż roi się od ludzi, pracowników i gości. Ktoś coś widział. Musimy najpierw spędzić ich w jedno miejsce i przesłuchać.

Jeden z detektywów, powłócząc nogami, ruszył w stronę drzwi.

- Zbliża się pora kolacji - powiedział niezadowolony. - Wcale im się to nie spodoba.

- Nic mnie to nie obchodzi - wypalił Smilow i nikt, kto z nim pracował, w to nie wątpił. - Co z kamerami? - spytał. Każdy przedmiot znajdujący się w Charles Towne Plaza traktowany był jak istne dzieło sztuki. - Gdzie jest taśma wideo?

- Wygląda na to, że w tej sprawie panuje pewne zamieszanie.

Odwrócił się do detektywa, któremu uprzednio kazał sprawdzić hotelowy system bezpieczeństwa.

- Jakie zamieszanie?

- No wie pan, zwyczajne zamieszanie. A raczej totalny zamęt.

- Na razie taśma jest nieosiągalna.

- Zginęła?

- Nie posunęliby się tak daleko.

Smilow cicho zaklął.

- Chłopak, który pełni służbę, obiecał, że wkrótce będziemy ją mieli. Ale sam pan wie ... - Detektyw wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć z pogardą: "Cywile".

- Pozwólcie, że coś wam oświadczę. Będę dążył do jak najszybszego rozwiązania tej sprawy. - Smilow zwrócił się do całej grupy. - To morderstwo wywoła mnóstwo szumu. Nikt oprócz mnie nie ma prawa rozmawiać z mediami. Macie trzymać buzie na kłódkę, jasne? Ślady przestępcy z minuty na minutę coraz bardziej się zacierają, a zatem zabierajcie się do pracy.

Detektywi wyszli, by spróbować czegoś się dowiedzieć od hotelowych gości i pracowników. Ludzie zazwyczaj bywają urażeni, gdy się ich przesłuchuje, ponieważ taka forma rozmowy sugeruje winę, toteż współpracowników Smilowa czekało niemiłe i trudne zadanie. Jednak z własnego doświadczenia wiedzieli, że ich szef jest bezlitosny i nieubłagany.

Tymczasem Smilow ponownie odwrócił się do doktora Madisona.

- Czy możesz zrobić to szybko?

- Potrzebuję kilku dni.

- Zdążysz do poniedziałku?

- Jeśli tak, to mój weekend diabli wezmą.

- Mój również - przyznał Smilow bez skruchy. - Chcę mieć badanie toksykologiczne i wszystkie pozostałe również.

- Zawsze tego chcesz - przypomniał Madison z łagodnym uśmiechem. - Zrobię, co będę mógł.

- Zawsze to robisz.

Kiedy zabrano ciało, Smilow zwrócił się do jednego z techników z grupy dochodzeniowej badającej miejsce zbrodni.

- Jak to wygląda?

- Na naszą korzyść przemawia fakt, że hotel jest nowy. Nie ma tu zbyt wielu odcisków palców, większość z nich prawdopodobnie będzie należała do Pettijohna.

- Albo przestępcy.

- Nie liczyłbym na to - wyznał technik, marszcząc czoło. - To najczystsze miejsce zbrodni, jakie kiedykolwiek widziałem.

Gdy apartament opustoszał, Smilow ponownie się po nim przeszedł. Osobiście wszystko sprawdził - otworzył każdą szufladę, zbadał szafę i wbudowany sejf, zajrzał między materace, pod łóżko, do łazienkowej szafki na lekarstwa, nie pominął nawet spłuczki, szukając czegokolwiek, co Pettijohn mógł zostawić i co pozwoliliby zidentyfikować mordercę.

Jedynymi znaleziskami Smilowa były Biblia i książka telefoniczna Charlestonu. Nie natknął się na żadną osobistą rzecz Lute'a Pettijohna, nie było terminarza, paragonów, biletów, notatek, opakowań po produktach spożywczych - dosłownie niczego.

Doliczył się, że w minibarku brakuje dwóch buteleczek whisky, ale użyto tylko jednego kieliszka, chyba że morderca był na tyle sprytny, że wychodząc, zabrał swój. Wystarczyło jednak sprawdzić standardowe zaopatrzenie pokoi, by się dowiedzieć, że w każdym apartamencie były cztery kieliszki, a w barku wstały trzy nietknięte.

Prawdę mówiąc, miejsce zbrodni było niemal sterylnie czyste.

Jedyny wyjątek stanowiła plama krwi na dywanie w salonie.

- Inspektorze?

Smilow oderwał wzrok od nasiąkniętego krwią dywanu i uniósł głowę. Policjant stojący w otwartych drzwiach wskazał kciukiem w kierunku korytarza.

- Ta pani koniecznie chce tu wejść.

- Jaka pani?

- Ja.

Kobieta odsunęła na bok gliniarza, jakby był przedmiotem bez znaczenia, zdjęła rozciągniętą w drzwiach taśmę blokującą wstęp, po czym weszła do środka. Jej ciemne oczy szybko omiotły pokój. Kiedy zobaczyła plamę, sapnęła zawiedziona i pełna odrazy.

- Madison zabrał już ciało? Cholera jasna! Smilow zgiął rękę i spojrzał na zegarek.

- Gratuluję, Steffi - powiedział. - Poprawiłaś swój rekord prędkości.

Rozdział trzeci

- Myślałem, że czeka pani na męża i dzieci.

- Kiedy?

- Gdy pojawiła się pani w pawilonie.

- Och!

Nie chwyciła przynęty i nadal lizała lody. Dopiero kiedy został jej w ręku sam patyk, spytała:

- Czyżby w ten sposób próbował pan mnie spytać, czy jestem mężatką?

Zrobił zboląłą minę.

- A ja myślałem, że jestem bardzo subtelny.

- Dziękuję za lody czekoladowo-orzechowe.

- Czyżby w ten sposób próbowała pani uniknąć odpowiedzi?

Ze śmiechem podeszli do nierównych drewnianych schodów, które prowadziły w dół na molo. Platforma wznosiła się mniej więcej metr nad powierzchnią wody i miała ponad osiem metrów kwadratowych powierzchni. Woda delikatnie omywała pale pod zniszczonymi deskami. Wokół podestu stały drewniane ławki, których oparcia służyły jednocześnie za poręcze. Hammond wziął od nieznajomej patyk po lodzie i wyrzucił razem ze swoim do kosza na śmieci, po czym ruszył w stronę jednej z ławek.

W każdym kącie pomostu stała latarnia, na szczęście żarówki były przydymione i dyskretne. Między słupami porozwieszano kolorowe lampki bożonarodzeniowe, takie jak te, które świeciły pod sufitem pawilonu. Tutaj łagodziły surowość otoczenia, zamieniając zwyczajny, nieatrakcyjny pomost w cudownie romantyczne miejsce.

Wiała lekka bryza, wyjątkowo skuteczna w walce z komarami.

Wzdłuż brzegu rzeki, w gęstym poszyciu, kumkały żaby. Cykady dzwoniły w zwisających nisko, porośniętych mchem dębowych gałęziach, stanowiących żywy parawan.

- Miło tutaj - zauważył Hammond.

- Uhm. Dziwię się, że nikt inny nie odkrył tego miejsca.

- Zarezerwowałem je, żebyśmy mieli pomost tylko dla siebie.

Roześmiała się. W ciągu ostatnich kilku godzin dużo się śmiali. Ze śmiechem kosztowali wysokokaloryczne festynowe smakołyki serwowane przez handlarzy i ze śmiechem snuli się bez celu od stoiska do stoiska. Podziwiali domowe przetwory z brzoskwiń i fasolki, sprawdzili najnowszy sprzęt treningowy i wypróbowali miękkie siedzenia w supernowoczesnych traktorach. Hammond, rzucając piłeczką baseballową, wygrał dla niej maleńkiego pluszowego misia. Odmówiła tylko przymierzenia peruki, chociaż sprzedawczyni była bardzo przekonująca.

Przejechali się też na diabelskim młynie. Kiedy ich wagonik stanął na samym szczycie i niebezpiecznie się zakołysał, Hammond poczuł, że kręci mu się w głowie. To był jeden z najbardziej beztróskich momentów, jakie pamiętał od ...

Nie, w ogóle nie pamiętał bardziej beztroskich chwil.

Miał wrażenie, że pęta, które tak mocno trzymały go przy ziemi - ludzie, praca, obowiązki – nagle prysnęły. Przez kilka minut unosił się w powietrzu wolny jak ptak. Wisząc wysoko nad wesołym miasteczkiem, poczuł dreszcz emocji. Całkowicie oddał się beztrosce, której ostatnio bardzo rzadko doświadczał. Był wolny, ponieważ prawdziwą przyjemność sprawiało mu towarzystwo kobiety, spotkanej niecałe dwie godziny temu.

Pod wpływem impulsu odwrócił się do niej i spytał:

- Jest pani mężatką?

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o subtelność.

- Subtelnością niczego nie wskórałem.

- Jestem wolna. A pan?

- Tak samo. - Potem krzyknął: - Hurra! Cieszę się, że ta sprawa została wyjaśniona.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Ja też.

Potem przestali się uśmiechać. Nie odrywali od siebie wzroku, a czas płynął powoli, zamieniając się w długie, pozornie spokojne, a jednocześnie pełne gwałtownych emocji chwile.

W odczuciu Hammonda był to jeden z tych momentów, które zdarzają się raz w życiu, i to tylko wtedy, gdy ma się szczęście. Nie potrafią ich oddać nawet najbardziej utalentowani reżyserzy i aktorzy. To właśnie takie przeżycia poeci i autorzy tekstów piosenek usiłują odmalować w swoich utworach, lecz nigdy im się to do końca nie udaje. Do tego czasu Hammond tkwił w błędnym przekonaniu, że artyści potrafią przekazać wszelkie niuanse. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo zawodzą.

Bo jakże można opisać to okamgnienie, w którym wszystko nagle układa się w jedną całość? Jak przedstawić nagłą świadomość, kiedy człowiek niespodziewanie zdaje sobie sprawę, że jego życie właśnie się zaczęło, że cokolwiek wydarzyło się wcześniej, właściwie nie ma żadnego znaczenia i że już nigdy nic nie będzie takie samo? Nagle przestało się liczyć, czy zna się odpowiedzi na wszystkie pytania. Hammond zrozumiał, że jedyna prawda, jaką naprawdę powinien znać, właśnie znajduje się w zasięgu jego ręki. W tym momencie.

Nigdy w życiu nie zaznał czegoś takiego. Nigdy tak się nie czuł. Kiedy kołysał się w wagoniku na szczycie diabelskiego młyna, wcale nie chciał zjeżdżać w dół. Teraz czuł dokładnie to samo.

- Czy zgodzi się pani zatańczyć ze mną?? - Jeszcze raz spytał.

- Naprawdę muszę już iść - odparła.

- Iść?

- Zatańczyć?

Znowu mówili oboje jednocześnie, lecz Hammond przejął inicjatywę.

- Proszę o jeszcze jeden taniec. Poprzednim razem nie byłem w najlepszej formie, ponieważ żołnierze piechoty morskiej bacznie obserwowali każdy mój krok.

Odwróciła głowę i spojrzała w stronę parkingu, który znajdował się nieco w bok od lunaparku.

Hammond nie chciał wywierać nacisku. Jakakolwiek próba przymusu prawdopodobnie skłoniłaby ją do ucieczki. Nie mógł jednak dopuścić do tego, by odeszła. Jeszcze nie teraz.

- Proszę.

Spojrzała na niego niepewnie, potem lekko się uśmiechnęła.

- W porządku. Jeden taniec.

Wstali. Ruszyła w stronę schodów, ale on złapał ją za rękę i odwrócił w swoją stronę.

- A może zatańczymy tutaj?

Zaczerpnęła powietrza i powoli, niepewnie je wypuściła.

- Może.

Od ostatniego tańca właściwie jej nie dotykał. Na moment położył dłoń na krzyżu nieznanym, gdy prowadził ją przez tłum. Podał jej rękę, gdy wsiadali do wagonika diabelskiego młyna. Podczas jazdy stykali się łokciami i biodrami, jednakże poza tymi nielicznymi wyjątkami panował nad pokusą i nie zbliżał się do partnerki. Nie chciał jej przestraszyć, urazić ani wyjść na drania.

Teraz łagodnie, lecz zdecydowanie ją odwrócił, aż stanęli twarzą w twarz. Potem objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Bliżej niż poprzednio. Wyraźnie się wahała, jednak nie próbowała się cofnąć. Położyła rękę na jego ramieniu. Poczul nacisk jej dłoni na karku.

Zespół ustąpił miejsca dyskżokejowi, który puszczał różne utwory, od Credence Clearwater poczynając, a na Barbarze Streisand kończąc. Ponieważ robiło się późno i nastroje tańczących nieco przygasły, dominowały wolne kawałki.

Hammond rozpoznał melodię, nie potrafiłby jednak podać nazwiska piosenkarza ani tytułu dochodzącej z pawilonu piosenki. To nie miało znaczenia. Ballada była wolna, słodka i romantyczna. Początkowo próbował wykonywać serię kroczków, których nauczone go w młodości, kiedy to za namową matki niechętnie tańczył kadryle. Niemniej im dłużej trzymał nieznaną w ramionach, tym trudniej było mu się skoncentrować na czymkolwiek oprócz niej.

Melodia przeszła w następną, nie pomylili jednak kroku, chociaż partnerka zgodziła się tylko na jeden taniec. Prawdę mówiąc, żadne z nich nawet nie zauważyło, że to już inna piosenka. Widzieli tylko siebie nawzajem i o sobie myśleli.

Położył jej ściśnięte ręce na swojej klatce piersiowej i przykrył dłońmi. Kobieta poruszyła głowę w górę i w dół, aż oparła czoło na obojczyku Hammonda. Przytulił policzek do jej włosów. Bardziej wyczuł, niż usłyszał, wydobywający się z jej krtani delikatny pomruk pożądania. Zareagował burzą zmysłów.

Ich stopy przesuwwały się w coraz wolniejszym tempie, aż w końcu w ogóle się zatrzymały. Tkwili w całkowitym bezruchu, jedynie unoszone przez wiatr pasemka jej włosów delikatnie muskały go po twarzy. W miejscach, w których stykały się ich ciała, skóra wydawała się płonąć. Pochylił głowę do pocałunku, który w jego przekonaniu był nieunikniony.

- Muszę już iść.

Niespodziewanie odsunęła się i odwróciła w kierunku ławki, na której zostawiła torebkę i sweter.

Przez kilka sekund był zbyt zaskoczony, by zareagować. Zabrawszy swoje rzeczy, próbowała go obejść energicznym krokiem.

- Dziękuję za wszystko. Było cudownie. Naprawdę.

- Proszę chwileczkę poczekać!

Zdołała uniknąć jego wyciągniętej ręki i szybko ruszyła schodami w górę. Z pośpiechu raz nawet się potknęła.

- Muszę już iść.

- Dlaczego właśnie teraz?

- Nie mogę ... nie mogę tego zrobić.

Te słowa rzuciła przez ramię, niemal biegnąc w stronę parkingu. Wybrała drogę wzdłuż sznura z poręczkami, żeby uniknąć pawilonu i stoisk. Większość z nich już była nieczynna. Handlarze zamykali budki i pakowali swoje arcydzieła. Obładowane pamiątkami i nagrodami rodziny, powłócząc nogami, wędrowały w kierunku swoich vanów. Odgłosy nie były już tak wesołe i hałaśliwe jak poprzednio. Muzyka dochodząca z pawilonu brzmiała teraz bardziej żałośnie niż romantycznie.

Hammond dogonił kobietę.

- Nie rozumiem.

- Co tu jest do rozumienia? Powiedziałam, że muszę już iść. To wszystko.

- Nie wierzę w to.

Rozpaczliwie pragnąc ją zatrzymać, sięgnął po jej rękę. Zatrzymała się, kilkakrotnie zaczerpnęła powietrza, po czym odwróciła się do niego twarzą. Nie popatrzyła mu jednak prosto w oczy.

- Świetnie się bawiłam. - Mówiła miarowym głosem, niemal całkowicie pozbawionym modulacji, jakby recytowała tekst, którego nauczyła się na pamięć. - Niestety, wieczór dobiegł końca i naprawdę muszę już iść.

- Ale ...

- Niczego nie muszę panu wyjaśniać. Nie mam wobec pana żadnych zobowiązań. - Na krótką chwilę spojrzała mu w oczy, potem ponownie odwróciła wzrok. - A teraz proszę mnie więcej nie zatrzymywać.

Hammond puścił ją i cofnął się, unosząc ręce, jakby się poddawał.

- Dobranoc - powiedziała, po czym odwróciła się od niego i ruszyła po wyboistym terenie w stronę parkingu.

Stefanie Mundell rzuciła Smilowowi kluczyki do swojej acury.

- Prowadź, a ja tymczasem się przebiorę.

Opuścili hotel drzwiami wychodzącym na East Bay Street i energicznie parli do przodu zatłoczonym chodnikiem. Tym razem snuły się tu nie tylko typowe dla sobotniego wieczoru rzesze spacerowiczów, gdyż

dołączyli do nich również wielbiciel sensacji, zwabieni pod nowoczesny budynek widokiem stojących wzdłuż ulicy policyjnych radiowozów.

Steffi i Smilow torowali sobie drogę wśród gapiów, nie budząc niczyjego zainteresowania, ponieważ żadne z nich nie wyglądało na urzędnika państwowego. Garnitur Smilowa wciąż nie miał ani jednego zagięcia, a francuska koszula pozostała nieskazitelnie biała. Pomimo wrzawy związanej z morderstwem Pettijohna inspektor nawet się nie spocił.

Nikt też by nie podejrzewał, że Steffi jest asystentką prokuratora okręgowego. Miała na sobie krótkie sportowe spodenki i sportowy staniczek. Obie części garderoby nadal były wilgotne od potu, którego nie zdołała wysuszyć hotelowa klimatyzacja. Jędrne piersi i smukłe, dobrze umięśnione nogi pani prokurator przykuły uwagę kilku mijających ich mężczyzn, ale ona sama nawet nie zdawała sobie sprawy z pełnych uznania spojrzeń. Podprowadziła Smilowa do swojego samochodu. Wbrew przepisom zaparkowała go w strefie, z której odholowywano pojazdy.

Smilow uruchomił centralny zamek, ale nie obszedł samochodu, by otworzyć Steffi drzwi po stronie pasażera. Gdyby to zrobił, odtrąciłaby jego gest. Wsunęła się na tylne siedzenie. Inspektor usiadł za kierownicą. Gdy zapuścił silnik i czekał, by włączyć się do ulicznego ruchu, Steffi spytała:

- Czy to prawda? To, co powiedziałaś gliniarzom na odchodnym?
- O który fragment ci chodzi?
- No, o ten, że na razie nie mamy motywu, broni ani podejrzanego.

Kazał swoim ludziom trzymać buzie na kłódkę, zwłaszcza gdy pojawią się reporterzy i zaczną zadawać pytania. Na jedenastą zwołał konferencję prasową. Celowo umówił się z dziennikarzami na tę właśnie godzinę, żeby lokalne stacje telewizyjne w ostatnich serwisach informacyjnych mogły puścić relację z tego spotkania na żywo, dzięki czemu efekt jego wystąpienia będzie dużo większy.

Zniecierpliwiony nie mającym końca sznurem samochodów posuwających się powoli główną arterią komunikacyjną miasta, Smilow skręcił w wąską przecznicę, czym zasłużył sobie na głośny ryk klaksonu nadjeżdżającego z przeciwka pojazdu.

Wykazując zniecierpliwienie równe temu, z jakim inspektor prowadził samochód, Steffi zdjęła przez głowę sportowy staniczek.

- W porządku, Smilow, teraz już nikt nie zdoła cię podsłuchać. Mów. To tylko ja.
- Widzę - zauważył, zerkając w lusterko wsteczne.

Nie dając się zbić z tropu, wyjętym ze sportowej torby ręczniczką osuszyła pachy.

- Dwójka rodziców, dziewięcioro dzieci i jedna łazienka.
- Gdyby ktoś w naszym domu był nieśmiały i wstydlivy, bez przerwy chodziłby brudny i cierpiał na chroniczne zaparcie.

Chociaż Steffi wypierała się swojego robotniczego pochodzenia, często się do niego odwoływała, zazwyczaj po to, by usprawiedliwić własne prymitywne zachowanie.

- Po prostu spróbuj się ubrać nieco szybciej. Za kilka minut będziemy na miejscu. W gruncie rzeczy wcale nie jesteś mi tam potrzebna. Mogę zrobić to sam - wyznał Smilow.

- Chcę tam być.

- W porządku, wolałbym jednak, żeby po drodze nie aresztowano mnie za obrazę moralności, więc zsuń się nieco niżej, wtedy nikt nie zobaczy cię w takim stanie.

- Ojej, Rory, ależ z ciebie świętoszek! - zawołała, odgrywając kokietkę.

- A z ciebie pirania. Jak to się stało, że tak szybko zwietrzyłaś zapach krwi?

- Biegałam. Mijając hotel, zobaczyłam samochody policyjne, więc zatrzymałam się, żeby spytać gliniarzy, co jest grane.

- To by było tyle, jeśli chodzi o zakaz udzielania jakichkolwiek informacji.

- Potrafię być przekonująca. Poza tym ten konkretny facet akurat mnie rozpoznał. Kiedy mi powiedział, w czym rzecz, nie wierzyłam własnym uszom.

- To samo mogę powiedzieć o sobie.

Steffi założyła tradycyjny stanik, potem zdjęła spodenki i sięgnęła do torby po figi.

- Nie zmieniaj tematu. Co masz?

- Najczystsze miejsce zbrodni, jakie zdarzyło mi się ostatnio widzieć. Może najbardziej nieskazitelne, jakie w życiu oglądałem.

- Poważnie? - spytała z wyraźnym zawodem.

- Ten, kto go dopadł, wiedział, co robi.

- Strzelił w plecy człowiekowi leżącemu twarzą do podłogi.

- Dokładnie.

- Hmm.

Ponownie na nią zerknął. Zapinała sukienkę bez rękawów, ale wyraźnie nie myślała o tym, co robi. Patrzyła w przestrzeń. Smilow niemal widział, jak przesuwają się trybiki jej niezwykle bystrego umysłu.

Stefanie Mundell pracowała w biurze prokuratora okręgowego od ponad dwóch lat, trzeba jednak przyznać, że w tym okresie wywarła ogromne wrażenie - nie zawsze zresztą pozytywne. Niektórzy uważali ją za prawdziwą sukę i rzeczywiście potrafiła nią być. Miała cięty język i chętnie to okazywała. Nigdy, przenigdy nie wycofywała się z żadnej sprzeczki, dzięki czemu była wspaniałym oskarżycielem i prawdziwym utrapieniem dla obrońców, ale to wcale nie zdobyło jej względów współpracowników.

Mimo to przynajmniej połowa panów, a może także część kobiet mających coś wspólnego z komendą policji lub biurem prokuratora okręgowego, odczuwała do niej pociąg fizyczny. Przy drinkach po pracy często opowiadano sobie zmyślane pikantne szczegóły takich czy innych układów z panią prokurator. Oczywiście gdy samej zainteresowanej nie było w pobliżu, ponieważ nikt nie chciał, by Stefanie Mundell wniosła przeciw niemu pozew o napastowanie seksualne.

Nawet jeżeli zdawała sobie sprawę z tego, że wzbudza pożądanie, udawała, że nic o tym nie wie. Wcale nie przejmowała się faktem, że mężczyźni, mówiąc o niej, używają najbardziej wulgarnych słów. Po prostu traktowała to jak dziecinadę, głupotę i błahostkę, na którą szkoda tracić czas i energię.

Rory ukradkiem obserwował w lusterku wstecznym, jak Steffi zapina wąski skórzany pasek, a potem przygląda palcami włosy, pragnąc nieco je uporządkować. Nie pociągała go fizycznie.

Obserwowanie jej poczynań nie budziło w nim szalonego, zwierzęcego pożądania. Czuł jedynie głęboki podziw dla niezwyklej inteligencji tej kobiety i ambicji będącej motorem jej działania. Sam mógł się poszczycić identycznymi cechami.

- To było bardzo wieloznaczne "hmm", Steffi. O czym myślisz?

- O tym, jak wściekły musiał być przestępca.

- Jeden z moich detektywów zwrócił już na to uwagę. To morderstwo popełnione zostało z zimną krwią. Koroner uważa, że Lute mógł być nieprzytomny w chwili, kiedy go zastrzelono. W każdym razie nie stanowił żadnego zagrożenia. Morderca po prostu chciał go zabić.

- Jeśli sporządzisz listę wszystkich ludzi, którzy pragnęli śmierci Lute'a Pettijohna ...

- Nie starczyłoby papieru ani atramentu.

Przechwyciła jego spojrzenie w lusterku i uśmiechnęła się.

- No właśnie. Masz jakieś podejrzenia?

- Na razie nie.

- A może jedynie nic o nich nie mówisz?

- Steffi, wiesz, że nie przyniosę do waszego biura sprawy, nim nie będę do tego gotów.

- Chciałabym tylko, żebyś mi obiecał...

- Żadnych obietnic.

- ... że nikt inny nie będzie miał szansy na pierwszy strzał.

- Co za gra słów!

- Przecież wiesz, o co mi chodzi - mruknęła poirytowana.

- Decyzja w tej sprawie należy do Masona - przypomniał, mając na myśli charlestońskiego prokuratora okręgowego, Monnroe Masona. - To od ciebie będzie zależało, czy ją dostaniesz.

Patrząc w lusterko wsteczne i widząc .w jej oczach niebezpieczne błyski, nie miał wątpliwości, że Steffi dołoży wszelkich starań, by dostać tę sprawę. Zatrzymał samochód przy krawężniku.

- Jesteśmy na miejscu.

Wysiedli przed rezydencją Lute'a Pettijohna. Pretensjonalna fasada, idealnie pasująca do South Battery - dzielnicy, w której wznosił się budynek - stanowiła klasyczny przykład połączenia różnych stylów architektonicznych. Oryginalny dom gregoriański wzbogacono o narodowe elementy typowe dla czasów wojny o niepodległość. Potem dodano antyczne kolumny greckie, będące krzykiem mody tuż przed wojną secesyjną. W końcu imponująca budowla została dostosowana do nowożytnych wymogów za pomocą tanich ozdóbek

wiktoriańskich. Ta architektoniczna mieszanina była charakterystyczna dla najstarszych zakątków miasta, i - o ironio - to właśnie dzięki niej Charleston jeszcze bardziej zyskiwał na malowniczości.

Dwukondygnacyjny dom miał głębokie podwójne balkony, majestatyczne filary i pełne wdzięku łuki. Ozdobiony szczytami dach wieńczyła kopuła. Przez dwa wieki budowla stawiała opór wojnom, kryzysom ekonomicznym i huraganom, nie zdołała jednak obronić się przed ostatnim nieszczęściem - Lute'em Pettijohnem.

Dobrze udokumentowana restauracja rezydencji trwała kilka lat. Pierwszy architekt nadzorujący to przedsięwzięcie zrezygnował z powodu załamania nerwowego. Drugi dostał ataku serca i kardiolog zmusił go do zrzeczenia się tej pracy. Trzeci doprowadził renowację do końca, ale przyplącił to rozpadem małżeństwa.

Począwszy od zawilej, kutej z żelaza bramy frontowej i jej odpowiadających historycznym standardom latami, a na reprodukcji zawiasów przy tylnych drzwiach skończywszy, Lute nie szczędził pieniędzy, by jego dom stał się najczęstszym tematem dysput w całym Charlestonie.

Udało mu się to osiągnąć. Co prawda nie była to najbardziej podziwiana renowacja, ale z pewnością najwięcej się o niej mówiło.

Już wcześniej walczył z Towarzystwem Ochrony Miasta, Fundacją Historii Charlestonu i zarządem "Przeglądu Architektonicznego", by pozwolono mu przekształcić stary i rozpadający się magazyn w hotel Charles Towne Plaza. Organizacje, które z ogromną gorliwością dbały o zachowanie niepowtarzalnego charakteru miasta, pilnowały stref i ograniczały ekspansję handlu, początkowo jednomyślnie zawetowały propozycję Pettijohna. Zgodę dostał dopiero wtedy, gdy zapewnił wszystkich, że oryginalna fasada budynku nie zostanie drastycznie zmieniona ani narażona na uszkodzenia, że nie będzie się starał zakamufłować zniszczeń spowodowanych przez upływ czasu ani nie oszpeci gmachu żadnymi tymczasowymi zabudowaniami czy tablicami informacyjnymi.

Podobne zastrzeżenia towarzystwa konserwatorskie zgłaszały również w przypadku renowacji rezydencji, chociaż cieszyły się, że posiadłość, która popadła w straszną ruinę, dostała się w ręce kogoś, kto ma środki na odbudowę w odpowiednim stylu.

Pettijohn nie miał innego wyboru - musiał dostosować się do ścisłych wskazówek. Jednak wszyscy zgodnie twierdzili, że dokonana przez niego przeróbka, zwłaszcza wnętrza, jest doskonałym przykładem na to, jak ordynarny potrafi być człowiek, gdy ma więcej pieniędzy niż smaku. Jednomyślnie wszak przyznawano, że ogród nie ma sobie równych w mieście.

Naciskając guzik interkomu zamontowanego przy bramie wjazdowej, Smilow z uznaniem zauważył, jak bujne i zadbane są krzewy rosnące od frontu.

Steffi zerknęła na niego.

- Co masz zamiar jej powiedzieć?

Czekając, aż ktoś w domu zareaguje na dzwonek, odparł w zadumie:

- Że jej gratuluję.

Rozdział czwarty

Jednakże nawet Rory Smilow nie był tak bezduszny i cyniczny.

Kiedy Davee Pettijohn zerknęła w dół z platformy krętych schodów, inspektor stał w foyer, założywszy ręce do tyłu, i wpatrywał się w swoje wypolerowane na wysoki połysk buty albo podziwiał wyłożoną importowanymi kafelkami podłogę. Tak czy inaczej, sprawiał wrażenie człowieka całkowicie pochłoniętego oględzinami najbliższej okolicy własnych stóp.

Ostatni raz Davee widziała byłego szwagra męża na przyjęciu wydanym na cześć charlestońskiej komendy policji. Tego wieczoru Smilow otrzymał nagrodę. Zgodnie z ceremoniałem Lute podszedł do niego z gratulacjami. Inspektor uściśnął wyciągniętą dłoń, gdyż w gruncie rzeczy został do tego zmuszony. Zachowywał się uprzejmie, Davee jednak przypuszczała, że wolałby skoczyć Lute'owi do gardła niż podać mu rękę.

Obecnie Rory Smilow wydawał się tak samo opanowany jak wtedy. Postawą i wyglądem przywodził na myśl pełnego werwy wojskowego. Na czubku głowy powoli zaczynały mu się przerzedzać włosy, ale widać to było tylko z góry.

Smilowowi towarzyszyła jakaś obca niewiasta. Davee przez całe życie oceniała każdą kobietę, z którą miała do czynienia, toteż z pewnością by sobie przypomniała, gdyby wcześniej już gdzieś się na nią natknęła.

Inspektor ani razu nie zerknął w górę, tymczasem jego towarzysząca sprawiała wrażenie niezwykle ciekawskiej. Poruszała głową na wszystkie strony i bacznie przyglądała się przedmiotom zgromadzonym w foyer. Nie przeoczyła żadnego drobiazgu sprowadzonego z Europy. Davee natychmiast zapalała do niej niechęcią.

Tylko jakaś straszna katastrofa mogła sprawić, że Smilow zjawił się w domu Lute'a. Davee wolała jednak o tym nie myśleć, przynajmniej dopóki było to możliwe. Opróżniła kieliszek i dokładając wszelkich starań, by nie zagrzechotać kostkami lodu, odstawiła go na stolik. Dopiero wtedy dała znać o swojej obecności.

- Chcieliście się ze mną widzieć?

Na dźwięk jej głosu oboje jak na komendę odwrócili głowy. Dostrzegli ją wysoko na galeryjce. Odczekała, aż zatrzymają na niej wzrok, po czym ruszyła w dół. Była bosa i trochę rozczochrana, ale schodziła, dotykając ręką poręczy, jakby miała na sobie suknię balową, została okrzyknięta królową wieczoru i właśnie przyjmowała hołd od wiernych poddanych. Przyszła na świat w rodzinie stanowiącej centrum charlestońskiego życia towarzyskiego. Każde z rodziców ze swej strony przekazało Davee, co znaczy noblesse oblige. Nigdy o tym nie zapomniła i dokładała wszelkich starań, by pamiętali o tym także inni.

- Witam panią, pani Pettijohn.

- Chyba nie musimy zachowywać całego ceremoniału, prawda, Rory? - Przystanęła o krok od niego i z uśmiechem przekrzywiła głowę. - W pewnym sensie łączą nas więzy rodzinne.

Wyciągnęła rękę. Jego dłoń była sucha i ciepła. Jej - trochę wilgotna i bardzo zimna. Davee zastanawiała się, czy Smilow wie, że jeszcze przed chwilą trzymała kieliszek z wódką.

Puścił jej dłoń i wskazał na towarzyszącą mu kobietę.

- To Stefanie Mundell.

- Steffi - poprawiła kobieta, agresywnie wyciągając rękę.

Była drobna, miała krótkie ciemne włosy i podniecone, drapieżne oczy. Nie włożyła pończoch, chociaż wymagały tego czółenka na wysokim obcasie. Davee uznała, że to za dużo poważniejsze wykroczenie przeciw etykietce niż jej bosa stopy.

- Jak się masz? - Davee uściśnęła dłoń Steffi Mundell, po czym szybko ją puściła. - Sprzedajecie bilety na bal policjantów albo coś w tym stylu?

- Czy możemy gdzieś spokojnie porozmawiać? Pragnąc ukryć niepokój, promiennie się uśmiechnęła. - Jasne - odparła.

Poprowadziła ich do salonu. Gospodyni, która wpuściła Smilowa i Steffi, a potem poszła zawiadomić Davee o przybyciu gości, krzątała się teraz po pokoju i zapalała lampy.

- Dziękuję, Sarah.

Masywna i ciemna jak mahoniowy kredens kobieta kiwnęła głową, po czym wyszła bocznymi drzwiami.

- Napijecie się czegoś?

- Nie, dziękuję - odparł Smilow.

Steffi Mundell również odmówiła.

- Jaki piękny pokój! - zawołała. - Co za uroczy kolor!

- Tak sądzisz? - Davee rozejrzała się dokoła, jakby po raz pierwszy oceniała wygląd tego wnętrza. - Prawdę mówiąc, ze wszystkich pomieszczeń w domu to akurat lubię najmniej. Nie zmienia tego nawet wspaniały widok z okien na Battery. Mąż się uparł, żeby pomalować ściany na taki właśnie kolor. Nazywa się terakota i ma przywodzić na myśl wille budowane na Riwierze Włoskiej. Mnie jednak kojarzy się ze strojami futbolistów. - Patrząc Steffi prosto w oczy i uśmiechając się słodko, dodała: - Moja mama zawsze mawiała, że pomarańczowy jest kolorem pospolitym i prostackim.

Na policzkach Steffi pojawił się rumieniec złości.

- Gdzie pani była dziś po południu, pani Pettijohn?

- Gównno cię to obchodzi - wypaliła Davee, nawet nie zmrużywszy oka.

- Drogie panie.

Smilow rzucił Steffi surowe spojrzenie, za którym krył się milczący rozkaz, żeby się zamknęła.

- O co chodzi, Rory? - spytała Davee. - Co wy tu właściwie robicie?

Chłodno, spokojnie i z pełnym szacunkiem powiedział:

- Proponuję, żebyśmy wszyscy usiedli.

Davee przez kilka sekund parzyła mu w oczy, potem przelotnym spojrzeniem obdarzyła Steffi, by w końcu szorstkim gestem wskazać najbliższą sofę. Sama zajęła stojący obok fotel.

Smilow zaczął od wyjaśnienia, że nie jest to zwyczajna wizyta.

- Obawiam się, że mam złe wieści.

Patrzyła na niego, czekając, aż skończy.

- Dziś po południu znaleziono Lute'a martwego. W apartamencie na najwyższym piętrze Charles Towne Plaza. Wygląda na to, że został zamordowany. Davee zachowała kamienną twarz. Nie należy publicznie okazywać zbyt wiele emocji. To po prostu nie przystoi.

Panowanie nad emocjami jest umiejętnością, którą trzeba opanować, jeśli tatuś jest kobieciarzem, a mamusia alkoholizką, na domiar złego wszyscy znają powód jej alkoholizmu, tylko udają, że problem w ogóle nie istnieje. Przecież w ich rodzinie nie może być żadnych problemów.

Maxine i Clive Burtonowie tworzyli idealną parę. Oboje pochodzili ze znamienitych charlestońskich rodzin. Oboje wspaniale się prezentowali. Oboje uczęszczali do ekskluzywnych szkół. Ich ślub stał się wydarzeniem, które do dziś stanowiło precedens w życiu miasta. To było wspaniałe małżeństwo.

Trzy rozkoszne córeczki otrzymały chłopięce imiona. Może dlatego, że Maxine za każdym razem, kiedy rodziła, była pijana. A może zawiniło tu zakłopotanie, w jakie wprawiała ją płęć noworodków. Trudno też wykluczyć, że próbowała w ten sposób zrobić na złość Clive'owi, który koniecznie chciał mieć synów i na żonę zrzucił całą odpowiedzialność za to, iż rodzi mu tylko córki. Do diabła z brakiem chromosomów Y!

Tak więc Clancy, Jerri i Davee dorastały w domu, w którym poważne rodzinne problemy ukrywało się pod bezcennymi perskimi dywanami. Dziewczęta bardzo wcześnie się nauczyły, że niezależnie od sytuacji najlepiej nie ujawniać swoich odczuć. Tak było bezpieczniej. W domu panowała atmosfera niepewności, ponieważ każde z rodziców było nie zrównoważone i łatwo wpadało w złość, w związku z czym często wybuchały awantury, które burzyły wszelkie pozory spokoju. W rezultacie trzy siostry weszły w dorosłe życie z poważnymi urazami psychicznymi.

Clancy uwolniła się od nich, umierając zaraz po trzydziestce na raka szyjki macicy, którego - według najzłośliwszych plotek - nabawiła się wskutek zbyt częstych nawrotów choroby wenerycznej.

Jerri podążyła w przeciwnym kierunku. Na pierwszym roku studiów nawróciła się i zaczęła działać w grupie fundamentalistów chrześcijańskich. Wybrała życie pełne trudów, wyrzekłszy się przyjemności, zwłaszcza alkoholu i seksu. Uprawiała warzywa korzeniowe i głosiła ewangelię w indiańskim rezerwacie w Dakocie Południowej.

Tylko najmłodsza z dziewcząt, Davee, pozostała w Charlestonie, nie zważając na wstyd i plotki, nawet gdy Clive zmarł na atak serca w łóżku swojej kochanki, między porannym spotkaniem zarządu i popołudniowym meczem golfa. Następną falę złośliwych uwag wywołał fakt, że Maxine oddana została do domu spokojnej starości z powodu "choroby Alzheimera", jakkolwiek wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę jej mózg zamarynował się wódce.

Davee, chociaż wyglądała na kruchą i niezwykle podatną na wpływy, w rzeczywistości okazała się twarda jak stal. Na tyle twarda, by przetrwać. Była w stanie przetrzymać wszystko. Dowiodła tego.

- No cóż - powiedziała wstając - nawet jeśli wy nie macie ochoty na drinka, ja chętnie czegoś się napiję.

Stanąwszy przy wózku z alkoholami, wrzuciła do kryształowej szklaneczki kilka kostek lodu i zalała je wódką. Jednym łykiem wypiła niemal połowę, a potem uzupełniła drinka i odwróciła się do gości.

- Kim ona była?

- Słucham?

- Daj spokój, Rory. Nie dostanę waporów. Jeśli Lute został zastrzelony w swoim nowym eleganckim apartamencie hotelowym, musiał zabawić się z którąś z przyjaciółek. Pewnie to ona go zabiła albo jej zazdrosny mąż.

- Kto powiedział, że został zastrzelony? - spytała Steffi Mundell.

- Słucham?

- Smilow wcale nie zdradził, że pani mąż został zastrzelony. Wspomniał tylko o morderstwie.

Davee przyrządziła sobie następnego drinka.

- Po prostu założyłam, że został zastrzelony. Czyżby moje przypuszczenie było mylne?

- Czy to było przypuszczenie?

Davee rozłożyła szeroko ręce, rozchlapując część drinka na dywan.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - Steffi wstała.

- Reprezentuję biuro prokuratora okręgowego. Albo, jak to się mówi w Karolinie Południowej - adwokata hrabstwa.

- Wiem, jak to się mówi w Karolinie Południowej - wypaliła Davee, naśladując wymowę Steffi.

- Będę oskarżycielem w sprawie o morderstwo pani męża. To dlatego tak bardzo zależało mi na tym, żeby przyjść tu ze Smilowem.

- Ach, rozumiem. Chciałaś zobaczyć, jak zareaguję na tę wiadomość.

- Dokładnie. Muszę stwierdzić, że nie wyglądała pani na zbyt zaskoczoną. A zatem wróć do swojego pierwszego pytania: gdzie pani była dziś po południu? Tylko proszę mi nie mówić, że gównu mnie to obchodzi, ponieważ, prawdę mówiąc, pani Pettijohn, bardzo mnie to obchodzi.

Davee opanowała złość, ponownie uniosła szklanczkę do list, po czym niespiesznie odpowiedziała:

- Chcesz wiedzieć, czy mam jakieś alibi, tak?

- Nie przyszliśmy tu, Davee, by cię przesłuchiwać - wyjaśnił Smilow.

- W porządku, Rory. Nie mam niczego do ukrycia. Jedynie sądzę, że ta pani jest bardzo gruboskórna. - Zerknęła szyderczo na Steffi. - Przyszła do mojego domu i w kilka sekund po tym jak mnie poinformowano, że mój mąż został zamordowany, zaczęła mi zadawać pełne oskarżeń i insynuacji pytania.

- Na tym polega moja praca, proszę pani, niezależnie od tego, czy to się pani podoba, czy nie.

- Prawdę mówiąc, wcale mi się to nie podoba. - Potem, całkowicie ją lekceważąc, odwróciła się do Smilowa. - Z prawdziwą przyjemnością odpowiem na każde twoje pytanie. Co chcesz wiedzieć?

- Gdzie byłaś dziś po południu między piątą a szóstą?

- Tutaj.

- Sama?

- Tak.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

Podeszła do stolika i nacisnęła pojedynczy guzik na telefonie. Z głośnika dobiegł głos gospodyni.

- Słucham panią, pani Davee?

- Mogłabyś tu przyjść, Sarah? Dziękuję.

Wszyscy troje czekali w milczeniu. Utkwiwszy chłodny, pogardliwy wzrok w pani prokurator, Davee bawiła się wiszącym na szyi pojedynczym sznurem idealnie dobranych pereł. Dostała je z okazji debiutu. Był to prezent od ojca, którego jednocześnie kochała i nienawidziła. Terapeutka sugerowała, iż te klejnoty symbolizują nieufność wobec ludzi. Ta zaś miała podobno wynikać z faktu, że ojciec zdradzał żonę i córki. Davee nie wiedziała, czy to prawda, czy po prostu lubi te perły. Tak czy inaczej, nosiła je do wszystkiego, nawet do krótkich spodenek i zbyt obszernej bawełnianej białej koszuli, którą miała na sobie tego wieczoru.

Gosposię odziedziczyła po matce. Sarah pracowała w ich rodzinie, jeszcze nim na świecie pojawiła się Clancy, i była świadkiem wszystkich nieszczęść dziewcząt. Po wejściu do pokoju zmierzyła Smilowa i Steffi Mundell wrogim spojrzeniem.

Davee dokonała oficjalnej prezentacji.

- Pani Sarah Birch, a to detektyw Smilow i osoba z biura prokuratora okręgowego. Przyszli mi powiedzieć, że dziś po południu pan Pettijohn został zamordowany.

Reakcja Sarah była równie nieuchwytna jak wcześniejsza reakcja jej pracodawczyni.

- Poinformowałam ich - ciągnęła Davee - że między piątą a szóstą byłam w domu i że ty możesz to potwierdzić. Miałam rację?

Steffi Mundell niemal podskoczyła ze złości.

- Nie może pani ...

- Steffi!

- Ależ ona właśnie zakpiła sobie z przesłuchania! - krzyknęła do Smilowa.

Davee spojrzała na nią z miną niewiniątka.

- O ile się nie mylę, Rory, mówiłeś, iż to nie jest przesłuchanie.

Jego oczy były zimne jak lód, odwrócił się jednak do gospodyni i spytał uprzejmie:

- Czy może pani potwierdzić, że pani Pettijohn była w tym czasie w domu?

- Tak, sir. Niemal przez cały dzień odpoczywała w swoim pokoju.

- O kurczę - wymamrotała pod nosem Steffi.

Ignorując ją, Smilow podziękował gospodyni. Sarah Birch podeszła do Davee i wzięła ją za rękę.

- Tak mi przykro.

- Dziękuję, Sarah.

- Dobrze się czujesz, dziecinko?

- Wszystko w porządku.

- Czy mogę ci coś przynieść?

- Nie teraz.

- Jak będziesz czegoś potrzebowała, daj mi znać.

Davee uśmiechnęła się, a Sarah z uczuciem pogłaskała ją po rozczochranych jasnych włosach. Potem odwróciła się i wyszła. pokoju. Davee dokończyła drinka, przez: chwilę spoglądając na Steffi znad szklaneczki i nie kryjąc satysfakcji.

- Zadowoleni?

Steffi wrzała gniewem, więc nawet nie raczyła odpowiedzieć. Podchodząc ponownie do wózka z alkoholem, Davee spytała:

- Dokąd ... dokąd został zabrany?

- Koroner chce przeprowadzić sekcję.

- A zatem pogrzeb będzie musiał poczekać ...

- Póki nie wydadzą ciała - dokończył za nią Smilow. Nalała sobie następnego drinka, a kiedy wróciła, spytała: - W jaki sposób zginął?

- Strzelono mu w plecy. Dwukrotnie. Wygląda na to, że zmarł od razu. Możliwe nawet, że był nieprzytomny w chwili, gdy oddano oba strzały.

- Leżał w łóżku?

Smilow wiedział oczywiście wszystko na temat śmierci jej ojca. Każdy charlestończyk znał skandaliczne okoliczności tego wydarzenia. Davee była wdzięczna, że Smilow odpowiedział na jej pytanie z pewnym smutkiem i zażenowaniem.

- Lute'a znaleziono na podłodze w salonie. Był ubrany. Z łóżka nikt nie korzystał. Nic nie wskazuje na to, by miał jakąś randkę. - No cóż, to już jakaś odmiana. - Opróżniła szklaneczkę.

- Kiedy po raz ostatni widziałaś Lute'a?

- Wczoraj wieczorem? Dziś rano? Nie pamiętam. Pewnie dziś rano. - Davee zignorowała pełen niedowierzania protest Steffi Mundell. Nie odrywała wzroku od Smilowa. - Czasami nie widzimy się nawet przez kilka dni.

- Nie sypiacie ze sobą? - spytała Steffi. Davee odwróciła się do niej.

- Z jakiego miasta na Północy pochodzisz?

- Skąd to pytanie?

- Ponieważ jesteś wyraźnie źle wychowana i bardzo nieuprzejma.

Smilow ponownie musiał interweniować.

- Prywatne życie państwa Pettijohnów będziemy badać tylko w razie konieczności, Steffi. W tym momencie nie ma takiej potrzeby. - Zwracając się do Davee, spytał: - Nie wiedziałaś, co Lute miał na dzisiaj w planie?

- Nigdy tego nie wiedziałam.

- Nie wspomniał, że ma się z kimś spotkać?

- Nie. - Odstawiła pustą szklaneczkę na ławę, po czym podniosła głowę i wyprostowała plecy. - Jestem podejrzana? - W tej chwili podejrzani są wszyscy charlestończycy. Davee spojrzała mu w oczy.

- Wielu ludzi miało powód, by zabić Lute'a - powiedziała.

Pod wpływem jej przenikliwego spojrzenia spuścił wzrok. Steffi Mundell zrobiła krok do przodu, jakby chciała przypomnieć Davee, że wciąż tu jest i że należy do osób ważnych, z którymi trzeba się liczyć.

- Przepraszam, jeśli byłam zbyt obcesowa ...

Zrobiła pauzę, ale Davee zachowała obojętną minę. Nie zamierzała wybaczyć Steffi tego, że kilkakrotnie naruszyła niepisane zasady przyzwoitości.

- Pani mąż był szanowaną osobistością - ciągnęła Steffi. _Z jego przedsiębiorstw do kasy miasta, okręgu i stanu wpływało sporo podatków. Udział pana Pettijohna w życiu miasta ...

- Do czego zmierzasz?

Steffi nie spodobało się, że Davee przerwała jej wywód, nie dała się jednak zniechęcić.

- To morderstwo odbije się głośnym echem w całej okolicy i nie tylko. Moje biuro z pewnością nada tej sprawie rangę priorytetu i będzie dążyć do tego, by sprawca został ujęty, osądzony i skazany. Osobiście pani gwarantuję, że sprawiedliwości stanie się zadość i że nastąpi to szybko.

Davee obdarzyła ją najładniejszym, najbardziej czarującym uśmiechem.

- Pani Mundell, pani osobista gwarancja w ogóle mnie nie interesuje. Mam dla pani złą wiadomość. Nie będzie pani prowadzić sprawy o zabójstwo mojego męża. Nigdy nie zadowolam się miernotą. - Z wyraźną odrazą spojrzała na sukienkę Steffi.

Potem, odwróciwszy się do Smilowa, dawna debiutantka wyjaśniła, czego sobie życzy:

- Chcę, żeby w tym śledztwie uczestniczyli najlepsi ludzie. Dopilnuj tego, Rory. W przeciwnym wypadku zrobię to ja, wdowa po Lucie Pettijohnie.

Rozdział piąty

- Sto dolców. Tutaj.

Mężczyzna uderzył w poplamiony zielony filc, wykrzywiając usta w ohydny, cuchnącym piwem uśmiechu, na widok którego Bobby Trimble zadrżał z odrazy.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel, wyjął dwie pięćdziesiątki i podał je naj głupszemu draniowi z Południa, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać.

- Dobra gra - wycedził lakonicznie.

Jego przeciwnik wsadził banknoty do kieszeni, po czym z zapalem zatarł dłonie.

- Chcesz się odegrać?

- Nie teraz.

- Jesteś zły? Daj spokój, nie wściekaj się - dogadywał przymilnie.

- Nie jestem zły - zapewnił Bobby, chociaż jego głos zdradzał coś wręcz przeciwnego. - Może później. -
Podwójna stawka albo nic?

- Później.

Puścił perskie oko, udał, że strzela z palców w ogromny brzuch rozmówcy, a potem odszedł, zabierając ze sobą drinka.

Prawdę mówiąc, bardzo chciałby się odegrać, niestety, wykluczała to smutna rzeczywistość - po prostu nie miał szmalu.

Za sprawą ostatnich rozdań - z których wszystkie przegrał - był uboższy o kilkaset dolarów. Póki nie skończą się jego problemy z gotówką, może zapomnieć o grze.

Nie będzie mógł również pozwolić sobie na to, co w życiu najlepsze. Wraz z ostatnią stową stracił szansę na ukojenie rozigranych nerwów. Nic wyszukanego. Kilka działek kokainy. Jakaś tabletki lub dwie. No cóż ...

Dobrze, że wciąż ma jeszcze tę fałszywą kartę kredytową.

Dzięki niej może pokrywać wydatki związane z codziennym życiem, niestety, za pozostałe luksusy trzeba płacić gotówką. Tę dużo trudniej zdobyć. Chociaż wcale nie jest to niemożliwe. Jedynie trzeba się bardziej napracować.

Tymczasem już od dawna główna maksyma Bobby'ego brzmiała: "Jak najmniej pracy, jak najwięcej rozrywki".

- To już nie potrwa długo - powtarzał sobie, uśmiechając się nad drinkiem. Jeżeli jego inwestycja się opłaci, przez wiele lat będzie mógł tylko odpoczywać.

Jednak uśmiech szybko zniknął z twarzy Bobby'ego. Wymarzoną świetlaną przyszłość przesłoniła chmura niepewności. Niestety, powodzenie operacji mającej na celu zdobycie pieniędzy zależało od partnerki, a Bobby zaczynał wątpić, czy można jej ufać. Prawdę mówiąc, wątpliwości paliły go od środka jak tania whisky, którą popijał przez cały wieczór. W tej konkretnej sprawie był w sytuacji bez wyjścia - nie wierzył swojej współpracownicy, mimo to nie mógł jej się pozbyć.

Usiadł na stołku na końcu baru i zamówił następnego drinka.

Wynylowe bordowe siedzenie miało swego czasu wypukłą skóropodobną fakturę, która dziesiątki lat polerowana przez nałogowych alkoholików, uległa niemal całkowitemu zatarciu. Gdyby nie fakt, że Bobby'emu najzwyczajniej pod słońcem brakowało forsy, nie korzystałby z usług tak podłego lokalu. Niegdyś często gościł w takich mordowniach. Od tego czasu przebył długą drogę. Jeśli wziąć pod uwagę miejsce, z którego zaczynał, trzeba przyznać, że zaszedł wysoko. Bardzo wysoko. Na dodatek Bobby Trimble wciąż piał się w górę.

Wykreował się na kogoś całkiem innego, niż był, i nie zamierzał z tego rezygnować. Nikt nie ma wpływu na to, kim się rodzi, ale jeśli mu się to nie podoba, a na dodatek instynktownie czuje, że przeznaczony został do wyższych celów, to, do jasnej cholery, ma prawo odtrącić dawne "ja" i stać się kimś innym. Bobby tak właśnie zrobił.

Urok osobisty zapewnił mu ciepłą posadkę w Miami. Właściciel nocnego lokalu potrzebował konferansjera. Do tej roli doskonale nadawał się facet z talentem Bobby'ego. Dobrze się prezentował, a jego pieprzne kawały przyciągały damy. Trimble czuł się tam jak ryba w wodzie. Interes wyraźnie się rozwijał. Wkrótce "Cock'n'Bull" stał się jednym z najatrakcyjniejszych miejsc w Miami, mieście znanym z uciech i nocnych lokali.

Co wieczór klub wypełniał się po brzegi kobietami, które umiały się dobrze bawić. Bobby osobiście przyczynił się do tego, że lokal cieszył się popularnością i mógł konkurować z innymi tego typu miejscami dostarczającymi paniom rozrywki.

W "Cock'n'Bull" nie przepaszano za prymitywny i nieprzyzwoity program. Nie musiał odpowiadać damom. Przez większość wieczorów tancerze rozbierali się do naga. Bobby wprawdzie zostawał w smokingu, ale opowiadał takie rzeczy, że kobiety, które naprawdę potrafiły się rozluźnić, wpadały w trans. Jego słowne zachęty działały skuteczniej niż podrygujące biodra tancerzy. Wielbicielki przepadały za jego sprośnościami.

Niestety, któregoś wieczoru pewna szczególnie rozentuzjasmowana babka wyszła na scenę z jednym z tancerzy, padła na kolana i zaczęła mu robić paskudne rzeczy. Reszta kobiet wprost oszalała z zachwyty.

Jednak nie przypadło to do gustu tajnikom z obyczajówki. Dyskretnie wezwali posiłki i nim ktokolwiek zdążył się zorientować, w lokalu zaroilo się od gliniarzy. Bobby zdołał umknąć tylnymi drzwiami ... wcześniej jednak zabrał całą gotówkę znajdującą się w biurowym sejfie.

Szczególne upodobanie do torów wyścigowych, w połączeniu z prześladowającym go od jakiegoś czasu pechem, sprawiło, że zadłużył się u lichwiarza, który by nie zrozumiał, że zamknięcie klubu oznacza tymczasowy brak gotówki i że sytuacja wkrótce się zmieni. W słowniku tego drania nie istniało słowo "wkrótce".

Tak więc, ścigany przez właściciela klubu, gliniarzy i lichwiarza, Bobby uciekł ze Słonecznego Stanu, wywożąc w kieszeniach smokingu niemal dziesięć tysięcy dolarów. Kazał przemaalować swój mercedes kabriolet i zmienił tablice rejestracyjne. Przez jakiś czas podróżował niespiesznie wzdłuż wybrzeża, dobrze żyjąc ze skradzionych pieniędzy.

To jednak nie mogło trwać wiecznie. Musiał wrócić do swojej działalności i robić jedyną rzecz, jaką potrafił. Podając się za gościa luksusowych hoteli, kręcił się po basenach i uwodził samotne turystki. Potem je okradał, wychodząc z założenia, że w ten sposób pobiera należne wynagrodzenie za przyjemności, jakich dostarczył im w łóżku.

Pewnego wieczoru, sącząc szampana i czułymi słówkami namawiając niezbyt zdecydowaną rozwódkę, by dała mu klucz do swojego pokoju, dostrzegł po drugiej stronie sali znajomego z Miami. Wyjaśnił, że musi skorzystać z toalety, po czym wrócił do hotelu, w pośpiechu spakował rzeczy do mercedesa i uciekł z miasta.

Przyczaił się na kilka tygodni. Zapomniał nawet o dostarczaniu damom przyjemności. Jego zasoby finansowe powoli topniały, aż w końcu została niewielka sumka. Pewnego dnia Bobby spojrzął w lustro. Stwierdził, że mimo dobrej prezencji i eleganckich manier wciąż jest tym samym człowiekiem co przed laty - cwana męską prostytutką i drobnym kanciarzem. Zwątpienie w samego siebie nigdy nie było tak mocne jak wtedy, gdy nie miał pieniędzy i myślał, jak by się odegrać. Pewnego wieczoru, zdesperowany i trochę przestraszony, po pijanemu wdał się w knajpie w bijatykę z innym klientem.

To było najlepsze, co mogło mu się zdarzyć. Barową burdę obserwował odpowiedni człowiek. Dzięki temu Bobby znalazł się w obecnym kursie. Już prawie osiągnął, punkt kulminacyjny. Jeśli sprawa potoczy się zgodnie z planem, zdobędzie fortunę. Zawładnie bogactwem, jakie przystoi Bobby'emu Trimble'owi na zawsze przestanie być dawnym nieudacznikiem.

Istniało jednak pewne bardzo poważne zastrzeżenie - sukces zależał od jego partnerki. Tymczasem już dawno temu doszedł do wniosku, że kobietom można ufać tylko w jednym - w tym, że są kobietami.

Wypił drinka i kiwnął na barmana.

- Jeszcze raz to samo.

Barman wpatrywał się w telewizor. Obraz był zaśniewany, ale nawet z miejsca, gdzie siedział Bobby, widać było faceta mówiącego do zwróconych w jego stronę mikrofonów. Sprawiał wrażenie dość ponurego typka. Strasznie oficjalnego, niczym ludzie z opieki społecznej, często przychodzący węszyć po domu, w którym Bobby spędził dzieciństwo. Zadawali osobiste pytania dotyczące jego i rodziny, wtrącali się w prywatne sprawy.

Facet w telewizji był zimnym draniem, mimo to otaczało go kilkunastu depczących po sobie nawzajem dziennikarzy. Mówił:

- Ciało znaleziono dziś po południu, parę minut po szóstej. Potwierdzono tożsamość zmarłego.

- Ma pan ... ?

- Co z bronią?

- Czy kogoś pan podejrzewa?

- Panie Smilow, może nam pan powiedzieć ...

Bobby przestał się tym interesować.

- Prosiłem o drinka - przypomniał nieco głośniej.

- Słyszałem - odparł zrzędlawie barman.

- Pański sposób obsługiwanie klientów pozostawia wiele do życzenia ...

W tym momencie skarga zamarła na ustach Bobby'ego. Na ekranie, w miejsce faceta o zimnych oczach, pojawiła się inna twarz. Natychmiast ją rozpoznał. Lute Pettijohn. Natężył słuch, pragnąc wychwycić każde słowo.

- Nic nie wskazuje na to, by do apartamentu pana Pettijohna ktoś wtargnął siłą. Motywem nie była również kradzież. Na razie nie mamy podejrzanych.

Reportaż na żywo dobiegł końca i kamery z powrotem pokazały wnętrze studia, z którego o jedenastej wieczorem nadawane są wiadomości.

Bobby odzyskał pewność siebie, uśmiechnął się od ucha do ucha i wzniosł kieliszek z nowym drinkiem w milczącym toaście za zdrowie partnerki. Najwyraźniej zrobiła, co do niej należało.

* * *

- To wszystko, co mam do powiedzenia.

Gdy Smilow odwrócił się od mikrofonów, zobaczył, że za jego plecami jest ich jeszcze więcej.

- Przepraszam - powiedział i zaczął torować sobie drogę. Ignorując wykrzykiwane pytania, przeciskał się przez tłum reporterów, którzy w końcu się zorientowali, że już nic więcej od niego nie wyciągną, i szybko zaczęli się rozchodzić.

Smilow udawał, że nie cierpi zwracać na siebie uwagi mediów, w rzeczywistości jednak ogromną przyjemność sprawiało mu organizowanie konferencji prasowych, takich jak ta. Nie ze względu na obecność reflektorów i kamery, zwłaszcza że zdawał sobie sprawę, iż w obiektywie wygląda na onieśmiałego. Nie liczył się dla niego fakt, że znajduje się w centrum uwagi, nie nęciła go również związana z takim wydarzeniem reklama. Miał stałą, pewną pracę i wcale nie potrzebował publicznego aplauzu, by ją zachować.

Niemniej sam fakt, że go filmowano i cytowano, dawał mu swoiste poczucie władzy.

Kiedy jednak podszedł do grupki detektywów, którzy zgromadzili się w pobliżu recepcji w hotelowym westybulu, mruknął niezadowolony:

- Cieszę się, że mam to już za sobą. Teraz powiedzcie, co zdołaliście ustalić.

- Guzik.

Pozostali kiwnęli głowami na znak, że potwierdzają zwięzłe podsumowanie Mike'a Collinsa.

Smilow dobrze wyliczył czas powrotu z domu Pettijohna do Charles Towne Plaza. Zależało mu na tym, by trafić na nadawane o jedenastej wieczorem wiadomości. Tak jak przewidywał, wszystkie lokalne stacje telewizyjne - a także wiele innych z dalszych okolic, na przykład z Savannah i Charlotte - nadały bezpośrednią transmisję z hotelowego hallu, w którym przekazał dziennikarzom i widzom najważniejsze fakty. Niczego nie upiększał. Zwłaszcza że sam znał jedynie najważniejsze fakty. Tym razem śmiało odmówił udzielenia większej ilości informacji.

Zależało mu na nich tak samo jak mediom. To dlatego tak bardzo go zaskoczyło lakoniczne podsumowanie dotychczasowych osiągnięć, dokonane przez jednego z detektywów.

- Co to znaczy "guzik"?

- Po prostu guzik.

Mike Collins był weteranem. Nie bał się Smilowa tak jak inni, toteż za milczącą zgodą pozostałych często występował w roli ich rzecznika.

- Na razie niczego nie mamy. To ...

- To niemożliwe.

Zapadnięte oczy Collinsa otaczały ciemne obwódki, co stanowiło niezbity dowód, że ma za sobą ciężki wieczór. Kiedy Steffi Mundell mu przerwała, odwrócił się i spojrzał, jakby zamierzał ją udusić. Z czystej złośliwości zignorował jej uwagę i powrócił do raportu, który przekazywał Smilowowi.

- Przepuściliśmy tych ludzi przez magiel. - Goście i pracownicy wciąż byli trzymeni w sali balowej hotelu.

- Początkowo im się to nawet podobało. Sam pan wie, jak to jest. Podniecająca historia. Jak w kinie. Ale po paru godzinach nowość przestała być już taką atrakcją. Po kilka razy udzielali tych samych odpowiedzi na te same pytania, nie wyłapaliśmy żadnych sprzeczności. Nie usłyszeliśmy od nich niczego ciekawego, bez przerwy tylko narzekali, że nie mogą wyjść.

- Trudno mi uwierzyć ...

- A tak swoją drogą, kto panią tu prosił? - wypalił Collins, gdy Steffi ponownie mu przerwała.

- Przy takiej liczbie ludzi - ciągnęła, nie zwracając na niego uwagi - nie do wiary, by nikt niczego nie widział.

Smilow wyciągnął rękę, by zapobiec pewnej kłótni między zniecierpliwionym detektywem a elokwentną panią prokurator.

- Dajcie spokój. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Steffi, sądzę, że nie musisz już dłużej dotrzymywać nam towarzystwa. Gdy czegoś się dowiemy, damy ci znać.

- Nic z tego. - Złożyła ręce na piersi i rzuciła Collinsowi gniewne, buntownicze spojrzenie. - Zostaję.

Smilow niechętnie się zgodził, by pozwolono gościom hotelowym wrócić do pokoi. Potem zebrał detektywów w jednej z sal konferencyjnych na antresoli i telefonicznie zamówił dla nich pizzę. Kiedy pałaszowali kawałek po kawałku, przejrzał skąpe informacje, jakie udało się zgromadzić po wielu godzinach wyczerpujących przesłuchań.

- Pettijohn wziął masaż w centrum odnowy biologicznej? spytał, przeglądając notatki.

- Tak. - Jeden z detektywów przełknął ogromny kęs pizzy. - Zaraz po przyjeździe do hotelu.

- Rozmawiałeś z masażystą? Pytany przytaknął.

- Powiedział, że Pettijohn poprosił o dziewięćdziesięciminutowy masaż. Potem wziął prysznic w szatni.

To dlatego w łazience w jego apartamencie było sucho.

- Facet nie zachowywał się w podejrzany sposób?

- Niczego takiego nie zauważyłem - wymamrotał detektyw z pełnymi ustami. - Poprzednio był zatrudniony w jakimś sanatorium w Kalifornii. W Charlestonie pracuje od niedawna. Dopiero dziś poznał pana Pettijohna.

Smilow przejrzał pobieżnie listę zameldowanych gości. Żaden z nich nie budził specjalnych podejrzeń. Wszyscy utrzymywali, że nigdy nie spotkali Lute'a Pettijohna, chociaż kilku widziało go jakiś czas temu w telewizji, gdy uczestniczył w uroczystości z okazji oddania Charles Towne Plaza do użytku.

W większości byli to niczym nie wyróżniający się ludzie, którzy przyjechali z rodzinami na wakacje. Trzy pary spędzały w Charlestonie miesiąc miodowy. Kilka innych również udawało nowożeńców, chociaż wyraźnie było widać, że są kochankami, którym udało się wyrwać na zakazany weekend do romantycznego miasta, Ci ostatni na pytania detektywów odpowiadali nerwowo, ale wyłącznie dlatego, że mieli na sumieniu cudzołóstwo. O morderstwie nie mogło tu być mowy,

Na trzecim piętrze wszystkie pokoje oprócz trzech zajmowała grupa nauczycielek z Florydy. Dwa apartamenty wypełniali po brzegi zawodnicy młodzieżowej drużyny koszykówki. Chłopcy wiosną ukończyli szkołę średnią i teraz mieli ostatnią szansę na wspólny występ, nim rozjadą się każdy na swoją uczelnię. Ich jedynym przewinieniem było spożywanie alkoholu, ponieważ nie ukończyli jeszcze osiemnastu lat. Ku konsternacji ludzi Smilowa jeden z młodzieńców z własnej woli przekazał przesłuchującemu go detektywowi torebkę marihuany.

Gdyby więc nie śmierć Lute'a Pettijohna, byłby to normalny sobotni letni wieczór.

- Długi, gorący i wilgotny - zauważył jeden z detektywów, ziewając szeroko.

- Masz na myśli dzień czy mojego ptaszka? - zażartował inny.

- Jak wolisz.

- A co z taśmami wideo? - spytał Smilow, przerywając te przekomarzania.

Detektywi uśmiechnęli się z wyższością. Wyraźnie coś ich rozbawiło.

- No więc? - dopytywał się Smilow.

- Chce je pan zobaczyć? - spytał Collins.

- A jest co oglądać?

Po następnej serii parsknięć Collins zasugerował, żeby Smilow sam to ocenił. Zaprosił nawet Steffi, by razem z nimi zerknęła na nagranie.

- Może się pani czegoś nauczy - wyjaśnił.

Smilow i Steffi wraz z detektywem pokonali szeroki korytarz na antresoli i weszli do mniejszej z dwóch sal konferencyjnych, gdzie stał odtwarzacz wideo podłączony do kolorowego monitora.

Z zupełnie niepotrzebną fanfaronadą Collins opowiedział historię związaną z tą kasetą.

- Chłopak mający po południu dyżur przy kamerach początkowo twierdził, że ta taśma została położona na niewłaściwej półce.

Smilow wiedział z doświadczenia, że najczęściej kamery podłączone są do magnetowidów, które w zależności od życzenia użytkownika rejestrują ujęcie co pięć do dziesięciu sekund. To dlatego podczas przeglądania obraz tak skacze. Zazwyczaj jedna taśma utrwała go przez wiele dni, a potem jest automatycznie przewijana.

- Jakim cudem ta kaseta znalazła się na półce? Zawsze sądziłem, że taśmy zostają w magnetowidach i po jakimś czasie ponownie są zgrywane, chyba że z jakiegoś powodu trzeba je przejrzeć.

- Dlatego najpierw myślałem, że chłopak kłamie - wyznał Collins. - W związku z tym bez przerwy za nim łąziłem. W końcu dostałem taśmę, o którą mi chodziło. Gotowi?

Kiedy Smilow kiwnął głową, detektyw uruchomił odtwarzacz.

Nawet gdyby nie było wizji, wystarczyłaby sama ścieżka dźwiękowa, by uznać, że jest to typowy film "tylko dla dorosłych". Westchnienia i jęki wydawane były przez niezbyt wyraźnie widoczną parę odbywającą stosunek seksualny.

- Ta scena trwa około piętnastu minut - wyjaśnił Collins. - Potem na ekranie pojawiają się dwie kobiety rozbierające się nawzajem w wannie. W końcu następuje scena kulminacyjna ... - Rozumiem - warknął Smilow. - Wyłącz to. - Zignorował syki i pohukiwania pozostałych mężczyzn znajdujących się w pomieszczeniu. - Przepraszam, Steffi.

- Nie masz za co. Detektyw Collins zażartował sobie moim kosztem. W ten sposób jedynie potwierdził prawdziwość teorii, określenie "dorosły mężczyzna" to oksymoron.

Pozostali panowie wybuchnęli śmiechem. Collins odchrząknął, zupełnie nie poruszony faktem, że właśnie oberwał po uszach.

- Na tym polega problem - zauważył. - Przechwałki Pettijohna na temat bezpieczeństwa jego "dzieła sztuki" były po prostu częścią gadaniną. Kamery w pokojach gościnnych nie działają. To atropy.

- Co takiego?! - krzyknęła Steffi. - W całym budynku funkcjonuje tylko jedyna kamera. Zamontowana w księgowości. Pettijohn nie chciał, żeby ktoś go okradł, ale, jak przypuszczam, nie obchodziło go zbytnio, czy ktoś obrabuje lub pobije jego gości. Ten numer zwrócił się przeciw niemu, prawda?

- Czemu zatem strażnik kłamał? - spytał Smilow.

- Dostał takie polecenie. Od samego wielkiego, niegodziwego Pettijohna. Chłopak nie jest geniuszem, dlatego nie puszczał pary z ust, nawet gdy go zapewniliśmy, że Pettijohn nie żyje i że jeśli teraz ma się czego bać, to tylko składania nieprawdziwych zeznań. W końcu się załamał. Sprawdziliśmy jego słowa. Kamery nie działają.

- Ilu ludzi o tym wie?

- Przypuszczalnie niewielu.

- Sprawdź to. Zaczynaj od osób zajmujących kierownicze stanowiska.

- W porządku.

Smilow zwrócił się do całej grupy.

- Jutro rano zaczniemy od ułożenia listy wrogów Pettijohna.

- Równie dobrze możemy oszczędzić sobie kłopotu i skorzystać z książki telefonicznej - zażartował jeden z mężczyzn. Wszyscy ludzie, których znam, będą się cieszyć, że ten sukinsyn nie żyje.

Smilow spojrzał na niego ostro.

- Och, przepraszam - wymamrotał detektyw, natychmiast poważniejąc. - Zapomniałem, że byliście krewnymi.

- Nie byliśmy krewnymi. Pettijohn poślubił moją siostrę. Ich małżeństwo nie trwało zbyt długo. To wszystko. Prawdopodobnie lubiłem go mniej niż ktokolwiek inny.

Steffi wychyliła się do przodu.

- Ale to nie ty go stuknąłeś, co, Smilow? Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Nie, nie ja - odparł lakonicznie, jakby potraktował jej pytanie na serio. Śmiech urwał się równie szybko, jak zaczął. - Przepraszam, panie Smilow.

W otwartych drzwiach stał Smitty. Inspektor zerknął na zegarek. Minęła północ.

- Myślałem, że już dawno jesteś w domu - zwrócił się do pucybuta.

- Dopiero teraz nas puścili, panie Smilow.

- No tak. - Chociaż sam wydał taki rozkaz, nie przypuszczał, że stali bywalcy hotelu, tacy jak Smitty, zostaną również zatrzymani na wielogodzinne przesłuchanie. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy, panie Smilow. Po prostu byłem ciekaw, czy ktoś powiedział wam o ludziach, których wieczorem zabrano do szpitala.

- Do szpitala?

Rozdział szósty

Na tablicy rozdzielczej zaświeciła się czerwona litera "E". Kobieta za kierownicą jęknęła sfrustrowana. Wcale nie miała ochoty zatrzymywać się na tankowanie, jednak z doświadczenia wiedziała, że kiedy wskaźnik paliwa w jej samochodzie pokazuje zero, jest to odczyt bardzo bliski prawdy.

Na tym odcinku bocznej drogi nie było zbyt wielu stacji benzynowych, kiedy więc kilka kilometrów dalej natknęła się na jedną z nich, zjechała na bok i niechętnie wysiadła z auta.

Zazwyczaj, napełniając bak, płaciła kartą kredytową. Niestety, tu jeszcze nie dotarły wszystkie współczesne udogodnienia. Z zasady nie lubiła płacić z góry. Zdjęła więc z dystrybutora końcówkę węża i uwolniła dźwignię. Odkręciła bak, położyła korek na dachu samochodu, po czym wsunęła końcówkę węża do otworu i machnęła do siedzącego w budce pracownika, by włączył dystrybutor.

Mężczyzna wpatrywał się w czarno-biały telewizor, oglądając zapasy. Był prawie zasłonięty przez neony reklamujące piwo i przyklejone do okna nieaktualne ogłoszenia o zaginionych zwierzętach. Albo jej nie zauważył, albo trzymał się własnych zasad i nie włączał pompy, zwłaszcza po zmroku, póki klient z góry nie zapłacił.

- Cholera.

Dała za wygraną, podeszła do budki i położyła banknot na brudnej tacy w szparze jeszcze brudniejszego okna.

- Za dwadzieścia dolarów? Coś jeszcze? - spytał, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Nie, dzięki.

Paliwo właściwie ledwo kapało, ale po jakimś czasie pompa się wyłączyła. Kobieta wyjęła końcówkę węża i wsunęła ją w uchwyt na dystrybutorze. Gdy sięgała po korek, na stację podjechał następny samochód. Znalazła się w strumieniu światła. Przymrużyła oczy.

Auto zatrzymało się zaledwie dwa metry od jej tylnego zderzaka. Kierowca wyłączył przednie światła, ale nie zgasił silnika, po czym otworzył drzwi i wysiadł.

Zaskoczona, rozchyliła wargi. Nie ruszyła się jednak ani nie odezwała. Nie zbeształa go za to, że za nią jechał. Nie zażądała wyjaśnienia, czemu to robił. Nie upierała się również przy tym, by odjechał i dał jej święty spokój. Nie podjęła żadnych działań, jedynie na niego patrzyła.

Słońce już zaszło i jego włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle, nie wyglądał natomiast na tak ogorzalego jak w świetle dziennym. Chociaż oczy miał teraz skryte w głębokim cieniu, wiedziała, że są szaroniebieskie. Jedna brew wyrastała nieco wyżej niż druga i była bardziej wygięta, ale ta drobna asymetria tylko dodawała mu uroku. W podbródku miał wąską pionową szczelinę.

Był wysoki, dlatego rzucał długi cień. Nigdy nie będzie miał problemów z nadwagą - mając taką sylwetkę, nie musi dźwigać zbędnych kilogramów.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie ponad maską jego samochodu. Potem obszedł otwarte drzwi. Obserwowała, jak się do niej zbliża. Zaciśnięta z determinacją szczęka wiele mówiła o jego charakterze. Trudno go było zniechęcić. Nie bał się podążać za czymś, czego pragnął.

Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy znalazł się bezpośrednio przed nią. Potem ujął w dłonie jej twarz, uniósł ją lekko i pochylił się do pocałunku.

Pomyślała: O Boże.

Miał pełne, zmysłowe wargi. Dawały to, co sugerował ich kształt. Pocałunek był ciepły, słodki i żarliwy. Naciskał jej usta z odpowiednią siłą, tak by wiedziała, że jest całowana, ale nie czuła się zagrożona ani do niczego zmuszana. Mimo woli rozchyliła wargi. Kiedy natknęła się na jego język, poczuła przyspieszone bicie serca. Objęła go rękami w pasie.

Puścił jej twarz. Jedną ręką opasał ramiona, a drugą zdecydowanie przyciągnął ją do siebie. Pochylił bardziej głowę. Wlał w pocałunek więcej namiętności, a językowi pozwolił na dalszą penetrację. Im dłużej się całowali, tym więcej wkładali w to zapалу.

Potem nagle się odsunął. Z trudem łąpał oddech. Przesunął dłonie tam, gdzie były poprzednio - na jej twarz.

- To właśnie musiałem wiedzieć. Że nie tylko ja to czuję. Potrząsnęła głową, o ile pozwalały na to jego dłonie.

- Tak - przyznała, zaskoczona własnym zachrypniętym głosem. - Nie tylko pan.

- Pojedzie pani ze mną?

Chciała zaprotestować, ale słowa zamarły jej na wargach.

- W pobliżu mam domek. To zaledwie trzy, cztery kilometry stąd.

- To ...

- Niech pani nie odmawia - poprosił niespokojnym, pełnym namiętności szeptem. Zacisnął mocniej dłonie.

- Niech pani nie odmawia.

Spojrzała mu pytająco w oczy, a potem delikatnie kiwnęła głową, że się zgadza. Natychmiast ją puścił, odwrócił się i ruszył do swojego samochodu. Strąciła korek na ziemię, starając się szybko zakręcić bak. Gdy w końcu jej się to udało, obeszła samochód i usiadła za kierownicą. Zapuściła silnik. Jego auto zatrzymało się tuż obok.

Popatrzył na nią, jakby pragnął się upewnić, że jest tak samo zdecydowana jak on i że nie zniknie mu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Wiedziała, że powinna to zrobić. Zdawała sobie jednak sprawę, że to niemożliwe. Nie teraz.

Hammond odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy jej samochód również się zatrzymał. Wsiadł i poszedł otworzyć drzwi.

- Proszę patrzeć pod nogi. Jest ciemno.

Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę chaty wysypaną muszelkami ścieżką. W świetle małej lampki na werandzie bez problemu udało mu się otworzyć zamek.

Wprowadził nieznaną do środka. Mieszkająca w pobliżu kobieta sprzątała domek, ilekroć była taka konieczność. Wcześniej tego dnia Hammond dał jej znać, by przysłała. Dzięki temu zamiast stęchlizny,

charakterystycznej dla każdego pustego, rzadko używanego domu, w chacie unosił się zapach czystości, przywodzący na myśl świeżo wypraną bieliznę pościelową. Na żądanie Hammonda została również włączona klimatyzacja, wewnątrz panował więc miły chłód.

Zamknął drzwi wejściowe, odcinając ich od padającego z werandy światła. Pogrążyli się w całkowitej ciemności. Hammond miał zamiar zachować się, jak na dobrego gospodarza i prawdziwego dżentelmena przystało - pokazać nieznajomej cały domek, zaproponować coś do picia, powiedzieć więcej o sobie i dać jej czas na oswojenie się z faktem, że jest z nim sam na sam, chociaż poznali się zaledwie kilka godzin temu. Zamiast tego wziął ją w objęcia.

Z ochotą wtuliła się w jego ramiona, wyraźnie pragnąc pocałunku. Jej usta żywo reagowały na ruchy języka, który dotykał, badał i kosztował. W końcu Hammond musiał zrobić przerwę na oddech. Przyłgął twarzą do jej szyi, a ona, splótłszy palce z tyłu jego głowy, przeczesała mu włosy.

Całując ją, dotarł wargami do ucha.

- To szaleństwo - szepnął.

- Straszne.

- Boisz się?

- Tak.

- Mnie?

- Nie.

- A powinnaś.

- Wiem, ale i tak się nie boję.

Lekko musnął jej usta.

- Boisz się sytuacji?

- Jestem przerażona - przyznała, uchylając się przed jego wargami.

Przestał ją całować i powiedział:

- To jest za szybkie, lekkomyślne i ...

- Całkiem nieodpowiedzialne.

- Ale nic na to nie poradzę.

- Ja też.

- Tak bardzo pragnę ...

- Chcę, żebyś pragnął - westchnęła, kiedy wsunął dłonie pod jej bluzkę i dotarł do piersi. Odchyliła w tył głowę, podstawiając szyję do pocałunku.

Przestał się obawiać, że tylko on odczuwa pożądanie. Z trudem łapała dech, w końcu całkiem go wstrzymała, gdy Hammond przez chwilę zmagął się ze znajdującym się z przodu zapięciem stanika. Poczawszy, że czubkami palców musnął jej gołą skórę, mruknęła zadowolona.

Głaskała go po plecach. Czuł, jak każdy z jej palców ugniata jego mięśnie, wędruje po żebrach i kręgosłupie. Dłonie przesunęły się po pasku, po czym usadowiły na pośladkach i przyciągnęły go do siebie. Znowu się całowali. Był to długi, namiętny i prowokacyjny pocałunek.

Potem Hammond ponownie wziął ją za rękę i pociągnął za sobą przez salon do sypialni. Chata wcale nie była luksusowa, ale mnóstwo środków poszło na komfortowe wyposażenie. Do pokoju zbyt małego dla jednej osoby udało się wcisnąć ogromne łóże.

Opadli na nie, przesunęli się na środek i splekli w ślepym, bezmyślnym uścisku kochanków, którzy dopiero odkrywają się nawzajem.

Leżała na boku, nie patrząc na niego.

Hammond starał się wymyślić jakieś słowa, które pasowałyby do sytuacji, ale odrzucał po kolei wszystko, co przyszło mu na myśl, jeszcze nim zdołało się w pełni uformować. Wszelkie komentarze albo brzmiały fałszywie, albo były banalne i oklepane, albo stanowiły swoiste połączenie jednego i drugiego. Zastanawiał się nawet nad tym, czy nie powiedzieć jej prawdy.

Mój Boże, to było niewiarygodne. Jesteś niesamowita.

Nigdy w życiu tak się nie czułem.

Nie chcę, by ta noc kiedykolwiek dobiegła końca.

Wiedział jednak, że nie uwierzyłaby w żadne z tych stwierdzeń, dlatego milczał. Długa, pełna napięcia cisza stawała się jeszcze dłuższa i jeszcze bardziej napięta. W końcu obrócił się na bok i włączył stojącą obok łóżka lampkę. W reakcji na światło kobieta przyciągnęła kolana do klatki piersiowej. Tym sposobem odgrodziła się od niego jeszcze wyższym murem i stała bardziej nietykalna.

Zniechęcony usiadł. Wciąż miał na sobie poskręcaną i zapiętą koszulę, nie zdążył też zdjąć spodni. Wstał i rozebrał się do bokserów. Kiedy ponownie spojrzął na łóżko, leżała na plecach i obserwowała go okrągłymi, pełnymi obawy oczyma.

- To niezręczna sytuacja. Chyba można to tak określić, prawda?

Hammond ostrożnie usiadł na brzegu łóżka.

- Można.

Zwilżyła wargi, odwróciła od niego wzrok i spytała:

- Próbujesz wymyślić taktowny sposób, żeby się mnie pozbyć?

- O czym ty mówisz?! - wykrzyknął cicho. - Nie. Nie.. Wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po włosach, ale tego nie zrobił. - Zastanawiam się, jak cię nakłonić, żebyś została na całą noc, i nie zrobić z siebie przy okazji kompletnego idioty.

To chyba sprawiło jej przyjemność. Ponownie poszukała wzrokiem jego oczu. Uśmiechnęła się nieśmiało. Była wciąż zarumieniona, po namiętnych pocałunkach miała lekko opuchnięte wargi, potargane włosy fruwały wokół twarzy, a ubranie znajdowało się w jeszcze większym nieładzie niż jego koszula i spodnie. Mimo to wyglądała niewiarygodnie kusicielsko. Pod bluzką widać było uwolnione od stanika, spoczywające swobodnie

piersi. Nawet materiał nie zdołał ukryć nabrzmiałych brodawek. Hammonda znów zaczęło ogarniać podniecenie.

- Strasznie wyglądam.

Skrepowana, ściągnęła spódniczkę na uda. Oboje udawali, że nie widzą majtek leżących na narzucie zwiniętej w nogach łóżka.

- Czy mogę skorzystać z twojej łazienki?

- Za tymi drzwiami. - Wstał, by wyjść i zostawić ją na chwilę samą. - Przyniosę coś do picia. Jesteś głodna?

- Po zjedzeniu takiej ilości niezdrowych rzeczy na festynie? Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

- Co powiesz na wodę? Sok? Herbatę? Drinka? Piwo?

- Chętnie napiję się wody.

Wysuniętym podbródkiem wskazał łazienkę.

- Jeśli czegoś będziesz potrzebowała, daj po prostu znać.

- Dziękuję.

Wyglądało na to, że jego partnerka nie chce wstać z łóżka, póki on jest w pokoju, więc ponownie się do niej uśmiechnął i zostawił ją samą. Dzięki Bogu, gosposia wyposażyła lodówkę w butelki z napojami, z wodą włącznie. Hammond zajrzał do środka w poszukiwaniu żywności. Sześć jajek. Pół kilo bekonu. Angielskie bułeczki. Kawa. Śmietanka? Nie ma. Miał nadzieję, że nieznajoma pija czarną kawę. Sok pomarańczowy? Jest. W zamrażalniku znalazł półlitrową puszkę koncentratu.

Rzadko jadał śniadania, chyba że było to spotkanie służbowe.

Ale ponieważ w jego kraju weekendowe poranki bywają nieco dłuższe i nikomu nigdzie się nie spieszy, chętnie pozwoliliby sobie na obfite późne śniadanie. Był dobrym kucharzem, zwłaszcza gdy miał do czynienia z tak podstawowymi produktami jak bekon i jajka. Może przygotują śniadanie. razem, dzieląc się obowiązkami i wpadając na siebie podczas krzątania w kuchni. Śmiejąc się. Całując. Potem mogliby wziąć talerze na werandę i tam zjeść posiłek. Uśmiechnął się na myśl o jutrzejszym poranku.

- Dzisiejszym ranku - poprawił się, zerkając na zegarek i zdając sobie sprawę, że jest dobrze po północy.

Poprzedni dzień był okropny. Hammond wyjechał z Charlestonu zdenerwowany i zły z tysiąca różnych powodów. Nic mu się nie układało. Nawet nie przypuszczał, że taki koszmarny dzień zakończy w łóżku z kobietą, o której istnieniu jeszcze kilka godzin temu w ogóle nie wiedział. Ani że będzie to dla niego wspaniałe przeżycie. Wciąż się zastanawiał nad tym kaprysem losu, kiedy usłyszał, że woda w łazience przestała płynąć. Zmusił się, by odczekać dwie minuty, nie chcąc pojawić się za szybko lub w nieodpowiednim czasie. Potem złapał butelki z wodą i ruszył do sypialni.

- A tak przy okazji ... - powiedział, otwierając drzwi bosą stopą - ... sędzę, że nadszedł czas, żebyśmy się sobie odpowiednio przedstawili.

Stanął jak wryty, gdy odwróciła się ze słuchawką w ręce. Natychmiast się rozłączyła.

- Uznałam, że nie będziesz miał nic przeciw temu - powiedziała szybko.

Prawdę mówiąc, miał. Nawet cholernie dużo. Nie chodziło mu o to, że bez pytania skorzystała z jego telefonu. Ale że w jej życiu jest ktoś na tyle ważny, iż dzwoniła do niego w środku nocy kilka minut po tym, jak kochała się z nim, Hammondem. Nie mógł uwierzyć, że tak bardzo go to złości.

Będąc w kuchni, wyobrażał sobie, że razem zjedzą śniadanie, liczył minuty, by wejść do sypialni w odpowiednim momencie. A teraz stał z głupią miną, na domiar złego wyraźnie podniecony, czego cienkie bokserki nie zdołały ukryć. Tymczasem ona właśnie dzwoniła do kogoś innego. Postawił butelki na nocnym stoliku.

Czuł się głupio i śmiesznie. Dla Hammonda Crossa było to coś niecodziennego. Zazwyczaj pewny siebie i opanowany w każdej sytuacji, tym razem wyszedł na strasznego idiotę, i wcale mu się to nie podobało.

- Chcesz zostać jeszcze na chwilę sama? - spytał obojętnie.

- Nie, skądże znowu. - Odłożyła słuchawkę. - Nie dodzwoniłam się.

- Przykro mi.

- To nie było takie ważne. - Wzięła się pod boki, po czym nerwowo opuściła ręce.

Jeśli to nie było takie ważne, dlaczego próbowałaś dzwonić o tak idiotycznej porze? - chciał spytać, ale tego nie zrobił.

- Mogę w tym zostać?

- W czym? - spytał roztargniony.

Dotknęła ręką starego, wyblakłego podkoszulka. Rozpoznał swój strój treningowy z okresu studiów. Sięgał jej do połowy ud.

- Oczywiście. Nie ma sprawy.

- Znalazłam go w szafce w łazience. Nie węszyłam. Po prostu ...

- Nie tłumacz się. - Jego szorstki głos mówił sam za siebie.

Zacisnęła dłonie w pięści, potem je rozluźniła.

- Posłuchaj, może lepiej będzie, jeśli sobie pójdę. Oboje daliśmy się trochę ponieść emocjom. Może przejazdka na diabelskim młynie za bardzo uderzyła nam do głów? - Nie wyszedł jej ten żart. - Tak czy inaczej, to było ... - Gdy spojrzała na łóżko, zabrakło jej słów.

Zatrzymała wzrok na zmiętej pościeli prawdopodobnie dłużej, niż zamierzała. Najwidoczniej przypomniała sobie, co się tam wydarzyło, jak było wciągające i ile dawało satysfakcji. W tym momencie obojgu zadźwięczały w uszach szeptane bez zahamowań słowa.

Gdy była w łazience, wzięła kąpiel. Hammond czuł unoszącą się od niej woń mydła i wody. On nie brał jeszcze prysznic. Pachniał seksem. I nią.

- Ubiorę się, i już mnie tu nie ma - zaproponowała spieszenie. Potem ruszyła przed siebie, pragnąc go obejść. Wyciągnął rękę i chwycił ją w pasie.

Zamarła w bezruchu, ale nie odwróciła się w jego stronę.

Patrzyła prosto przed siebie.

- Niezależnie od tego, co o mnie sądzisz, chcę, żebyś wiedział... że nie zrobiłam tego dla sportu i że nie jest to coś, co mi się często zdarza.

- To nie ma znaczenia - szepnął.

Wówczas na niego spojrzała, odwracając jedynie głowę.

- Dla mnie to ma znaczenie. Zależy mi również na tym, żebyś o tym wiedział.

Ostrożnie położył dłonie na jej ramionach i obrócił ją twarzą do siebie.

- Czy naprawdę sądzisz, że zrobiliśmy to dlatego, że przejażdżka na diabelskim młynie uderzyła nam do głów?

Zagryzła zębami dolną wargę, jakby chciała powstrzymać jej drzenie, po czym pokręciła przecząco głową.

Objął ją, przyciągnął bliżej i przytulił. Całkiem zwyczajnie.

A potem trzymał przez długi czas, opierając policzek na jej czole. Dotykali się końcami palców u nóg. Czuli ciepło swoich ciał. Miała bose stopy i wydawało się, że tonie w jego podkoszulku, sprawiając wrażenie niższej i bardziej filigranowej niż poprzednio. Obejmując ją w taki sposób, Hammond czuł się męski i opiekuńczy. Prawdę mówiąc, odkąd ją spotkał, czuł się jak cholerny Conan.

Na tę myśl zachichotał. Uniosła głowę, wspartą dotychczas na jego klatce piersiowej, i spojrzała mu w oczy.

- Co to było?

- Nic. Po prostu przyszło mi na myśl, że dzięki tobie bardzo dobrze się czuję. - Potem przestał się uśmiechać i zmartwiony zmarszczył czoło. - A co z tobą? Wszystko w porządku?

Zdumiona, przekrzywiła głowę.

- Tak.

- To znaczy ... jeśli chodzi ... no wiesz.

- Och. - Przeniosła wzrok na jego jabłko Adama. - Tak. Dziękuję za to, że zrobiłeś, co należało.

W szafce obok łóżka trzymał pudełko prezerwatyw. Ale jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak trudno otworzyć opakowania i zabezpieczyć się. Zażenowany niezdarną walką, którą stoczył z opornym przedmiotem właśnie wtedy, gdy przede wszystkim zależało mu na tym, by okazać się jak najmilszym, wymamrotał:

- Był już najwyższy czas.

Ku jego zaskoczeniu oparła mu dłonie na klatce piersiowej i musnęła ją delikatnie.

- W moim przypadku również - szepnęła.

Kiedy ujął podbródek partnerki i odchylił jej głowę do tyłu, szykując się do pocałunku, cicho jęknęła z pożądania. Ponownie zatliła się namiętność. Rozgorzała. Staneła w płomieniach. Silniejsza niż poprzednio.

Szepty potęgowały intymność.

- Odpowiada ci to.

- Tak.

- Za mocno?

- Nie.
- Nie wiedziałem.
- Ja też.
- Przepraszam.
- To nieważne.
- Ale jeśli sprawiłem ci ból...
- Nie sprawiłeś. I nie sprawisz.
- Czy nie masz nic przeciwko ...
- Nie.
- Jezu! Popatrz! Jesteś piękna. Jesteś już.
- Tak.
- Taka słodka. Taka ...
- Och ...
- Wilgotna.
- Przepraszam. Przepraszam.
- Przepraszasz?
- To znaczy ... to ...
- Nie przepraszaj.
- Pozwól się popieścić.
- Nie, to ty pozwól się popieścić.

Rozdział siódmy

Steffi siedziała za kierownicą. Dotarli ze Smilowem do Roper Hospital w rekordowym czasie.

- Ilu ich było? - spytała, gdy biegli przez parking w stronę budynku.

Nie знаła wszystkich szczegółów, ponieważ opuściła wcześniej hotelową salę konferencyjną, by sprowadzić swój samochód. Potem zabrała Smilowa spod głównego wejścia do Charles Towne Plaza.

- Szesnastu. Siedmioro dorosłych i dziewięcioro dzieci. Wszyscy są członkami chóru kościelnego z Macon w Georgii. Zanim wyszli na popołudniowy spacer po centrum miasta, w hotelowej restauracji zjedli wczesny lunch. Wrócili kilka godzin później, gdy dzieciaki źle się poczuły.

- Skurcze żołądka? Torsje? Biegunka?

- Wszystko jednocześnie.

- Jeśli chociaż raz przeszedłeś zatrucie pokarmowe, nigdy go nie zapominasz. Kiedyś mi się zdarzyło. To była zupa grzybowa z powszechnie szanowanych delikatesów.

- Wszystko wskazuje na sos pomidorowy. Polano nim pizzę, którą jadły dzieciaki. Dodano go również do makaronu.

Steffi i Smilow niemal biegiem wpadli do izby przyjęć przy pogotowiu. Jak na sobotni wieczór poczekalnia była stosunkowo pusta, chociaż czekało w niej kilku pacjentów. Umundurowany

policyjant pilnował mężczyzny w kajdankach. Jakiś człowiek miał owinięty wokół głowy zakrwawiony ręcznik kąpielowy, zamknął oczy i cicho jęczał, podczas gdy jego żona udzielała lakonicznych odpowiedzi na standardowe pytania pielęgniarki. Młodzi rodzice bezskutecznie próbowali uspokoić płaczące dziecko. Samotny starszy pan bez wyraźnego powodu lał łzy w chusteczkę do nosa. Jakaś kobieta siedziała na krześle zgięta w pół, z głową blisko kolan. Wyglądało na to, że śpi.

Było jeszcze trochę za wcześnie na prawdziwe nagłe wypadki. Ani Smilow, ani Steffi nie zwracali uwagi na ludzi w poczekalni. Podeszli prosto do okienka, gdzie Smilow przedstawił się pielęgniarce, pokazał odznakę i spytał, czy ludzie przywiezieni z Charles Towne Plaza wciąż są na pogotowiu, czy leżą już na oddziale.

- Wciąż są tutaj - odparła pielęgniarka.

- Muszę natychmiast się z nimi zobaczyć.

- No cóż, nie ... Muszę zawiadomić lekarza. Proszę usiąść.

Żadne nie skorzystało z krzesła. Steffi krążyła tam i z powrotem.

- Nie rozumiem, jak to się stało, że twoi chłopcy tego nie dostrzegli. Nie sądzisz, że powinni sprawdzić zameldowanych gości i porównać z liczbą przesłuchiwanym?

- Nie czepiaj się ich, Steffi. W ciągu wielu godzin pojawiali się ludzie, którzy bardzo długo przebywali poza hotelem. Mówimy o setkach gości i przychodzących na różne zmiany pracowników. Ustalenie dokładnej liczby właściwie graniczyłoby z cudem.

- Wiem, wiem - przyznała niecierpliwie. - Ale po północy?

Kiedy niemal wszyscy są już w łóżkach? Należałoby się spodziewać, że któryś z detektywów pomyśli o ponownym przeliczeniu ludzi. A może byli zbyt pochłonięci filmem?

- Mieli ręce pełne roboty - stwierdził sztywno.

- Tak. Onanizowali się.

Smilow zawsze pierwszy zgłaszał zastrzeżenia, jeśli któryś oficer dochodzeniowy coś spieprzył. Inaczej jednak wyglądało, gdy krytykę wyrażała osoba z zewnątrz. Ze złości mocno zacisnął wargi.

- Przepraszam - mruknęła Steffi nieco łagodniejszym tonem. - Nie miałam zamiaru tego mówić.

- Owszem, miałaś. Ale pozwól, że to ja będę się martwić o zbieranie dowodów, dobrze?

Wiedziała, kiedy należy się wycofać. Zrażać sobie Smilowa byłoby czystą głupotą. Nie bacząc na sugestie świeżo upieczonej wdowy, Steffi zamierzała pójść do prokuratora okręgowego, Monroe Masona, i poprosić, by przydzielił jej tę sprawę. Gdy ją dostanie, będzie potrzebowała wsparcia ze strony policji. Zwłaszcza Smilowa.

Żeby się uspokoił, milczała przez jakiś czas, po czym powiedziała:

- Obawiam się, że ludzie cierpiący na zatrucie pokarmowe również nie będą o niczym wiedzieli. Trafili do szpitala, nim zostało popełnione morderstwo.

- Nieprawda. Pierwsze symptomy zaczęli odczuwać później - zaprotestował. - Dyrektor hotelu przyznał mi się, że wywieziono ich koło ósmej wieczorem i że zrobiono to ukradkiem.

- Dlaczego ci od razu o tym nie powiedział?

- Nie chciał robić sobie złej reklamy. Wygląda na to, że bardziej zmartwiła go seria zatruc pokarmowych i to, że może ona źle świadczyć o jego nowej lśniącej kuchni, niż fakt, iż w apartamencie na najwyższym piętrze znaleziono martwego Pettijohna.

- Państwo chcieli się ze mną zobaczyć?

Odwrócili się oboje. Lekarz był na tyle młody, że miał jeszcze trądzik, ale oczy widoczne za okularami w drucianych oprawkach wyglądały na stare i bardzo zmęczone. Ubrany był w wymięty i przepocony zielony uniform i taki sam biały kitel. Z napisu na plakietce wynikało, że nazywa się Rodney C. Arnold.

Smilow ponownie machnął odznaką.

- Muszę przesłuchać ludzi przywiezionych tu z zatruciem pokarmowym z Charles Towne Plaza.

- W jakiej kwestii chce ich pan przesłuchiwać?

- Mogą być ważnymi świadkami w sprawie o morderstwo, którego po południu dokonano w tym hotelu.

- W tym nowym hotelu? Chyba pan żartuje.

- Niestety, nie.

- Po południu? Wczoraj po południu?

- Póki koroner nie poda nam dokładniejszego czasu, szacujemy, że ofiara zmarła między szesnastą a osiemnastą.

Lekarz uśmiechnął się ponuro.

- Inspektorze, wczoraj o tej porze ci ludzie albo mieli ostrą biegunkę, albo wyrzucali z siebie wnętrzności, albo i jedno, i drugie. Widzieć mogli co najwyżej dno muszli klozetowej. O ile dopisało im szczęście i zdążyli do niej dobiec, co, podobno, nie wszystkim się udało.

- Wiem, że byli bardzo chorzy ...

- Nie byli. Są.

Steffi zrobiła krok do przodu, by się przedstawić.

- Doktorze Arnold, chyba nie rozumie pan, że przesłuchanie tych ludzi jest sprawą niezwyklej wagi. Część z nich zajmowała pokoje na czwartym piętrze, na którym popełniono morderstwo. Ktoś może mieć niezwykle istotne informacje i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. Tylko przesłuchanie pozwoli nam to wyjaśnić.

- W porządku - odparł lekarz ze wzruszeniem ramion.. Proszę zgłosić się jutro do dyżurki. Jestem pewien, że część z nich nadal tu będzie, ale do tego czasu na pewno zostaną umieszczeni na oddziale. - Odwrócił się, zamierzając ich zostawić.

- Proszę chwileczkę zaczekać! - zawołała Steffi. - Musimy, obaczyć się z nimi teraz.

- Teraz? - Doktor Arnold obrzucił pełnym niedowierzania spojrzeniem najpierw ją, a potem inspektora. - Przykro mi. To niemożliwe. Niektórzy z nich wciąż są w stanie skrajnego wyczerpania spowodowanego przez poważne dolegliwości żołądkowo-jelitowe. Skrajnego wyczerpania - powtórzył, dla podkreślenia oddzielając słowa. - Za pomocą kroplówek podajemy im płyny. Ci, którym dopisało szczęście i kryzys mają już za sobą, odpoczywają, a po ciężkiej próbie, jaką przeszły ich jelita, bardzo potrzebują chwili spokoju. Przyjdźcie jutro. Może po południu. Lepiej wieczorem. Do tego czasu ...

- To za późno ...

- Nic na to nie poradzę - stwierdził lekarz. - Dzisiaj w nocy nikt z nimi nie będzie rozmawiał. A teraz proszę mi wybaczyć. Pacjenci czekają. - Powiedziawszy to, odwrócił się i zniknął za drzwiami oddzielającymi poczekalnię od gabinetów.

- Cholera jasna! - zakląła Steffi. - Masz zamiar mu na to pozwolić?

- Chcesz, żebym wdarł się na oddział i zaczął zawracać głowę pacjentom skrajnie wyczerpanym przez poważne dolegliwości ... i tak dalej? To tak ił propos złej reklamy. - Smilow podszedł do siedzącej w dyżurce pielęgniarki i poprosił, by przekazała doktorowi Arnoldowi jego wizytówkę. - Niech do mnie zadzwoni, jeżeli któryś z pacjentów poczuje się lepiej. O każdej porze.

- Nie bardzo wierzę, by ten lekarz chciał nam pomóc - zauważyła Steffi, kiedy Smilow do niej wrócił.

- Ja również. Wygląda na to, że z prawdziwą przyjemnością sprawuje władzę nad swoim małym królestwem.

Steffi spojrzała na Smilowa z łobuzerskim uśmiechem.

- Co chyba jesteś w stanie zrozumieć.

- A ty nie? - odparł. - Sądzisz, że nie wiem, dlaczego tak bardzo zależy ci na tej sprawie?

Smilow był wspaniałym detektywem, ponieważ miał wręcz niewiarygodną zdolność rozumienia innych. Czasami jednak ta właśnie cecha sprawiała, że ludzie źle się czuli w jego towarzystwie.

- Możemy zrobić sobie chwilę przerwy? Przydałoby mi się trochę kafeiny. - Podeszła do automatu i wrzuciła do niego kilka monet. - Kupić ci colę?

- Nie, dzięki.

Otworzyła puszkę z napojem.

- No cóż, spójrz na to od innej strony. Jeśli ludzie z Macon są rzeczywiście bardzo chorzy, i tak nie udałoby ci się wyciągnąć z nich żadnego wiarygodnego zeznania. Czy mogli wczoraj wieczorem wykazać się spostrzegawczością, skoro cierpieli na zatrucie pokarmowe? Co prawda nie zaszkodzi wrócić tu jutro i z nimi porozmawiać, sądzę jednak, że zabrnjemy tylko w ślepią uliczkę.

- Może.

Usiadł na krześle, oparł łokcie o kolana i zaczął uderzać w wargi smukłym palcem wskazującym. Steffi zajęła miejsce obok. Machnięciem ręki zareagował na propozycję, by napił się z jej puszki.

- Jedna z zasad dochodzenia w sprawie kryminalnej brzmi: "Ktoś coś widział".

- Myślisz, że ludzie ukrywają jakieś informacje?

- Nie. Po prostu nie wiedzą, że to, co widzieli, ma istotne znaczenie.

Przez chwilę oboje milczeli, każde zatopione w swoich myślach.

- Jak sądzisz, co zaszło w tym apartamencie na najwyższym piętrze? - spytała w końcu Steffi.

- Staram się nie tworzyć żadnej teorii. Na razie jest na to za wcześnie. Gdybym ją miał, mógłbym źle poprowadzić dochodzenie. Szukałbym wskazówek, które poparłyby moje przypuszczenia, a wówczas pewnie przeoczyłbym dowody, mogące prowadzić do rzeczywistego rozwiązania.

- Myślałam, że wszyscy gliniarze zdają się na przecucia.

- Tak, przecucia. Pod warunkiem, że są to przecucia oparte na konkretnych przesłankach. W miarę jak człowiek zgłębia zagadkę, przybierają na sile lub słabną. Wszystko zależy od uzyskiwanych informacji, które albo potwierdzają przecucia, albo je rozwiewają. - Odchylił się i ciężko westchnął, ujawniając zmęczenie, co rzadko mu się zdarzało. - Na razie tak naprawdę wiem tylko, że ze śmierci Pettijohna ucieszy się mnóstwo osób.

- Z tobą włącznie. Spojrzał na nią twardo.

- Kłamałbym, gdybym powiedział, że nie. Nienawidziłem Irgo drania i nigdy nie robiłem z tego tajemnicy.

Natomiast ty ...

- Ja?

- Pettijohn miał w mieście duże wpływy. Nie oparło się im również biuro prokuratora okręgowego. Mason lada chwila przejdzie na emeryturę ... Nie wszyscy jeszcze o tym wiedzą.

- Ale wkrótce się dowiedzą. On sam nie będzie się ubiegał o ponowny wybór, a jego zastępca walczy z rakiem prostaty ...

- Wallisowi dają około sześciu tygodni.

- Co oznacza, że w listopadzie urząd będzie wolny. Wszyscy wiedzieli, że Pettijohn lubi machać marchewką przed oczami osób ambitnych i przekupnych. Pomyśl, ile taki kanciarz jak on mógłby skorzystać, gdyby na stanowisku prokuratora okręgowego posadził taką słodką młodą istotkę jak ty.

- Nie jestem słodka. A jeśli chodzi o młodość, coraz bliżej mi do czterdziestki.

- Dziwne, że zaprotestowałaś, gdy wspomniałem o młodości i słodczy, a pominęłaś milczeniem ambicję i przekupność.

- Przyznaję się do pierwszego, zaprzeczam drugiemu. Poza tym, gdyby Pettijohn czerwonym dywanem słał mi dróżkę do urzędu prokuratora, po co miałabym go zabijać?

- Dobre pytanie - przyznał, przymrużając oko i bacznie się jej przyglądając.

- Jesteś strasznym draniem, Smilow. - Potrząsnęła głową i roześmiała się. - Widzę jednak, do czego zmierzasz. Biorąc pod uwagę wszystkie machinacje Pettijohna, lista podejrzanych rozrasta się w nieskończoność.

- Co wcale nie ułatwia mi pracy.

- Może za bardzo się starasz. - Zamyślona, sączyła napój. - Jakie są dwa najczęstsze motywy morderstwa?

Odpowiedź na to pytanie wskazywała na jedną osobę.

- Pani Pettijohn?

- Pasuje, prawda? - Steffi wyciągnęła palec wskazujący. - Miała dość rażących oszustw męża. Nawet jeśli go kochała, czuła się upokorzona faktem, że mąż ugania się za spódniczkami. - Jej tatuś robił to samo.

- Co by wyjaśniało drugi strzał, chociaż prawdopodobnie pierwszy był śmiertelny. - Uniosła następny palec. - Teraz po śmierci Lute'a Pettijohna będzie dosłownie opływać w dostatki. Już jeden z tych motywów by wystarczył. Połączone ... - Uniosła ramiona, jakby wniosek nasuwał się sam.

Smilow zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym zmarszczył czoło.

- To aż nazbyt oczywiste, nie sądzisz? Poza tym ona ma alibi. Steffi roześmiała się.

- Masz na myśli zaufaną służącą? Tak, panienko Scarlett. Nie, panienko Scarlett. Proszę uderzyć mnie jeszcze raz, panienko Scarlett.

- Z sarkazmem nie jest ci do twarzy, Steffi.

- Wcale nie jestem sarkastyczna. Po prostu ich wzajemny stosunek żywcem został przeniesiony z innej epoki.

- Pani Pettijohn na pewno tak nie uważa. Jestem pewien, że Sarah Birch również. Są sobie nawzajem bardzo oddane.

Dopóki u władzy jest Davee.

Potrząsnął głową.

- Musiałabyś tu dorastać, żeby to zrozumieć.

- Dzięki Bogu, wychowałam się gdzie indziej. Na Środkowym Zachodzie ...

- Ludzie są tam bardziej światli i wierzą w równość? - Ty to powiedziałaś, Smilow, nie ja.

- Może rzeczywiście jesteś nie tyle sarkastyczna, ile protekcyjna i zadufana w sobie. Skoro, do jasnej cholery, tak bardzo nami gardzisz za to, co twoim zdaniem żywcem przenieśliśmy z innej epoki, dlaczego się tu przeprowadziłaś?

Ponieważ tu otwierały się przede mną duże możliwości. Skorygowania wszystkich naszych błędów? Oświecenia nas, biednych, myślących po staremu południowców?

Skrzywiła się.

- A może zazdrościsz nam stylu życia? - Zakładając następną przynętę, dodał: - Czy przez przypadek nie jesteś zazdrosna o Davee Pettijohn?

- Odpieprz się, Smilow - wymamrotała.

Potem dopiła colę i wstała, by wyrzucić pustą puszkę do kosza na śmieci. Nagły stukot obudził wszystkich w poczekalni, z wyjątkiem pochylonej kobiety.

- Właściwie nie toleruję kobiet w rodzaju Deeve Pettijohn - wyznała Steffi. - Tak bardzo pozowała na typową południową piękność, że aż zrobiło mi się niedobrze.

Skierował ją w stronę drzwi. Wyszli na świeże, wilgotne powietrze. Na wschodzie niebo zaczynało się różowić, zwiastując świt. Po chwili zastanowienia Smilow powiedział:

- Przyznaję, że pani Pettijohn opanowała tę sztukę do perfekcji. - Moim zdaniem opanowała tę sztukę do takiego stopnia, że jest w stanie ją wykorzystać, by wywinąć się z zarzutu morderstwa.

- Masz serce z kamienia, Steffi.

- Jesteś miłym rozmówcą. Gdybyś był Indianinem, nosiłbyś imię Lód w Żyłach.

- To prawda - powiedział, nie obrażając się. - Ale jeśli chodzi o ciebie, wcale nie jestem tego taki pewien.

Podeszła do samochodu, ale do niego nie wsiadła. Zatrzymała się i spojrzała na Smilowa.

- Co masz na myśli?

- Nikt nie kwestionuje twoich ambicji, Steffi. Ostatnio jednak doszły mnie słuchy, że nie tylko praca rozpala ci w żyłach krew.

- Jakie słuchy?

- Pogłoski - odparł.

- Jakie pogłoski?

- Po prostu pogłoski - odparł z chłodnym uśmiechem.

Loretta Boothe uniosła głowę znad kolan i obserwowała, jak Rory Smilow i Stefanie Mundell wędrują przez parking do samochodu, zatrzymując się, chwilę rozmawiając, po czym wsiadają i odjeżdżają.

Gdy wchodzili do poczekalni, rozpierała ich energia i poczucie obowiązku. Loretta wiedziała, że oboje są właśnie tacy. Można było odnieść wrażenie, że zabierają z powietrza cały tlen. Nie lubiła ani jej, ani jego. Z różnych zresztą powodów.

Do Rory'ego Smilowa od kilku lat żywiła osobistą urazę.

Steffi Mundell zaś znała tylko ze słyszenia. Asystentka prokuratora okręgowego powszechnie cieszyła się sławą strasznej suki, święcie przekonanej, że jej gównu nie śmierdzi.

Loretta nie potrafiła powiedzieć, dlaczego nie próbowała z nimi porozmawiać ani nie zasygnalizowała swojej obecności. Coś skłoniło ją do trzymania głowy na kolanach i udawania, że śpi. Zresztą żadne z nich zbytnio by się nią nie przejęło. Smilow spojrzałby tylko z pogardą. Steffi Mundell prawdopodobnie w ogóle by się nie zorientowała, z kim ma do czynienia, a nawet gdyby - nie potrafiłaby sobie przypomnieć jej imienia i nazwiska. Przypuszczalnie powiedzieliby coś uprzejmego, a potem ją ignorowali.

Dlaczego zatem się nie odezwała? Może fakt, że nikt jej nie widzi ani nie obserwuje, dawał jej poczucie wyższości, zwłaszcza że dzięki temu bezkarnie podsłuchiwała ich rozmowę, najpierw lekarzem, a potem między sobą.

Wczesnym wieczorem, nim źle się poczuła i musiała przyjechać do szpitala, dowiedziała się z telewizji, że zamordowano Lute'a Pettijohna. Widziała nawet konferencję prasową Smilowa. Prowadził ją w ten typowy dla siebie bezduszny i opanowany sposób. Steffi Mundell już zdążyła wsadzić nos tam, gdzie jej nikt nie prosił ani nie potrzebował, przekraczając swoje kompetencje, w czym podobno jest dobra.

Loretta zachichotała. Dużo lepiej się poczuła, widząc, że oboje rozpaczliwie szukają informacji i raz po raz trafiają w ślepy zaułek. Dochodzenie musiało utknąć na martwym punkcie, skoro jedynymi świadkami mają być ludzie cierpiący na zatrucie pokarmowe. Jednej rzeczy Loretta była pewna - że Smilow nie ma żadnego podejrzanego. Inaczej nie prześladowałby pacjentów.

Zerknęła na zegar ścienny. Czekala od ponad dwóch godzin, z minuty na minutę czuła się coraz gorzej. Miała nadzieję, że pomoc wkrótce nadejdzie.

Dla zabicia czasu i aby nie myśleć o własnym nieszczęściu, wpatrywała się przez szybę z walcowanego szkła w puste już nieraz miejsce, na którym wcześniej stało ich auto. Rory Smilow i Steffi Mundell. Jezu, co za niebezpieczne połączenie! Boże dopomóż nieszczęsnemu mordercy, gdy już go dopadną!

- Co ty tu robisz?

Na dźwięk głosu córki Loretta się odwróciła. Stojąca obok Bev trzymała się pod boki, usiłując wzrokiem ocenić sytuację. Wcale nie była szczęśliwa, że widzi matkę. Loretta próbowała się uśmiechnąć, poczuła jednak, że jej zaschnięte wargi ledwo rozciągają się na zębach.

- Cześć, Bev. Czy dopiero teraz ci powiedziano, że tu jestem?

- Nie, ale byłam zajęta i nie mogłam wcześniej się wyrwać.

Bev pracowała jako pielęgniarka na oddziale intensywnej terapii, mimo to Loretta zakładała, że córka, jeśli zechce, poprosi kogoś, by zastąpił ją na pięć minut. Oczywiście nie chciała.

Loretta nerwowo zwilżyła językiem spękane wargi.

- Przyszło mi na myśl, że wpadnę i zobaczę ... Może zjadłybyśmy razem śniadanie.

- Kiedy o siódmej dobiegnie końca moja zmiana, będę miała za sobą dwanaście godzin pracy. Zamierzam iść do domu i wskoczyć do łóżka.

- Och.

Nie szło tak dobrze, jak Loretta by chciała, chociaż właściwie nie bardzo liczyła na to, że dobrze jej pójdzie. Dotknęła guzików swojej brudnej bluzki.

- Wcale nie przysłaś tu po to, żeby mnie zaprosić na wspólne śniadanie, prawda?

Władczy głos Bev zwrócił uwagę siedzącej w dyżurce pielęgniarki. Loretta zauważyła jej zaciekawione spojrzenie.

- Zabrakło ci pieniędzy na następną butelkę, dlatego przysłaś do mnie na żebry.

Loretta pochyliła głowę, by uniknąć pełnego złości, bezlitosnego spojrzenia córki.

- Od kilku dni nie miałam w ustach ani kropli alkoholu, Bev. Słowo daję.

- Właśnie to czuję.

- Jestem chora. Naprawdę. To ...

- Och, przestań.

Bev wyjęła z portmonetki dziesięć dolarów, ale zmusiła Lorette, by sięgnęła po banknot, dodatkowo ją w ten sposób upokarzając. - W przyszłości nie przeszkadzaj mi w pracy. Jeśli to zrobisz, każę strażnikom usunąć cię z terenu szpitala. Zrozumiałas?

Loretta przytaknęła, przelękając dumę i wstyd. Gumowe podeszwy butów Bev pisnęły na kafelkach, gdy obróciła się, żeby odejść. Usłyszawszy odgłos otwierającej się windy, Loretta uniosła głowę.

- Bev, nie ... ! - zawołała żałośnie.

Nim zdążyła dokończyć, drzwi się zamknęły, zauważyła jednak, że Bev odwróciła wzrok, jakby nie mogła znieść widoku matki.

NIEDZIELA

Rozdział ósmy

To w ogóle nie miało sensu.

Niespodziewanie, ni stąd, ni zowąd, kogoś spotykasz. Zupełnie jakby bez okazji ktoś ofiarował ci prezent. Natychmiast rodzi się między wami bardzo silny obustronny pociąg fizyczny. Cieszycie się swoim towarzystwem. Śmiejecie się, tańczycie, jecie lody i gotowane kolby kukurydzy. Kochacie się, a wówczas odnosisz wrażenie, że cała twoja dotychczasowa wiedza na ten temat była bliska zera. Zasypiacie w swoich objęciach i odczuwacie zadowolenie, jakiego nigdy wcześniej nie udało się Wam zaznać.

Potem budzisz się sam.

Odeszła. Nie powiedziała "żegnaj" ani "do widzenia", nie rzuciła przez ramię: *Hasta la vista, baby!* Nic.

Hammond grzmocił kierownicę, zły na nią, ale jeszcze bardziej wściekły na siebie, że go to tak cholernie zabolalo. Dlaczego tak się przejmuję, że odeszła? Hej, przeżył wspaniały sobotni Wieczór. Kochał się z cudowną nieznajomą, która spędziła z nim noc, a potem była tak miła, że zniknęła, nie zostawiając po sobie śladu. Randka marzeń, prawda? Nie mogło być lepiej. Spytajcie jakiegokolwiek samotnego mężczyzny oto, o czym najczęściej marzy i czego pragnie, a na pewno usłyszycie taki właśnie opis.

Więc pogódź się z istniejącym stanem rzeczy, palancie - złażał sam siebie. Nie rób z tego wielkiej sprawy. I nie idealizuj minionych chwil.

Niczego jednak nie idealizował. Było fantastycznie, i tak właśnie wspominał miniony wieczór.

Klnąc, ostro wyprzedził kierowcę, który jechał za wolno i wyraźnie sprawdzał jego cierpliwość. Tego dnia wszystko działało mu na nerwy. Od chwili przebudzenia wyładowywał rozczarowanie i złość na martwych przedmiotach. Zaczął od komody, którą kopnął, gdy poderwał się z łóżka, mając rozpaczliwą nadzieję, że zobaczy nieznajomą pałającą się po kuchni w poszukiwaniu miseczki na płatki zbożowe, przeglądającą w salonie czasopisma lub siedzącą na werandzie w bujanym fotelu, sączącą kawę, czekającą na jego przebudzenie i obserwującą rzekę, która obok przepływała leniwie.

Jego marzenia były słodkie niczym kartki okolicznościowe. Niestety, pozostały tylko ... marzeniami.

W salonie ani w kuchni nie zastał nikogo, samochód zniknął, a ze stojącego na werandzie bujanego fotela korzystał jedynie pająk, pracowicie snujący pajęczynę między jednym oparciem a drugim.

Hammond odpędził pająka i nie zważając na to, że ma goły tyłek, usiadł na bujaku, po czym wszystkimi dziesięcioma palcami odgarnął włosy do tyłu. Był to gest zdesperowanego mężczyzny, który czuje, że lada chwila może stracić panowanie nad sobą.

Kiedy wyszła? Która jest godzina? Od jak dawna jej nie ma? Może wróci. Może się czymś zdenerwowała.

Przez pół godziny Hammond wmawiał sobie, że poszła na poszukiwanie pączków i duńskiego ciasta. Albo śmietanki do kawy. Lub niedzielnej gazety.

Niestety, nie wróciła.

Koniec końców zostawił bujany fotel pająkowi i wszedł do chaty. Próbując zrobić kawę, rozsypał na ladę zmielone ziarno. Ze złości rozbił szklaną karafkę. Skończyło się na tym, że rzucił cholernym ekspresem o podłogę, rozbijając go na kawałki i rozlewając wodę, którą zdążył wcześniej wlać do zbiorniczka.

Przeszukał cały domek, starając się trafić na coś, co mogła zostawić. Marzył, że natknie się na jej wizytówkę ... albo, jeszcze lepiej, liścik. Nie znalazł niczego. W łazience przeszukał stojący pod umywalką kosz, ale był w nim jedynie plastikowy worek naśmieci. Kiedy Hammond podnosił się znad kosza, uderzył głową w otwarte drzwiczki szafki. Zatrzasnął je z wściekłością, z ust wyrwało mu się jeszcze gorsze przekleństwo, gdyż przy okazji przyciął sobie palec.

W końcu, chociaż z łóżkiem wiązały się najbardziej wzruszające wspomnienia, rzucił się na nie i zasłonił rękami oczy, pragnąc się uspokoić.

Co się ze mną, u diabła, dzieje? - pytał sam siebie. Nikt, kto znał Hammonda Crossa, nie rozpoznałby go tego ranka w biegającym na golasa, nie ogolonym mężczyźnie, który wyglądał i zachowywał się jak dzikus lub raczej jak niebezpieczny szaleniec. Hammond Cross rzucający się jak matolek, jak chore z miłości cielę? Hammond Cross? Chyba żartujesz!

Chwileczkę, czyżby padło określenie "chory z miłości"? Powoli opuścił rękę i spojrzał w stronę poduszki. Położył dłoń w zagłębieniu zostawionym przez głowę nieznajomej. Przekręcił się na bok, przyciągnął poduszkę do piersi i ukrył w niej twarz, głęboko wdychając zapach kobiety.

Ogarnęło go pożądanie, chociaż wcale nie szło mu o seks. W porządku, szło mu o seks, ale na tym sprawa się nie kończyła.

Nie była to zwykła żądza. Doświadczył jej wiele razy i potrafił PI rozpoznać. Tym razem odczuwał coś innego. Głębszego. Pociągającego za sobą większe zaangażowanie. Ogarnęła go ... tęsknota.

- Cholera - szepnął.

Sluchasz samego siebie? Czyżbyś mówił coś o tęsknocie? Ponownie obróciwszy się na plecy, utkwiał wzrok w sufit i ponuro przyznał, że nie potrafi określić tego, co czuje. To było dlań coś całkiem nowego. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczył, skąd więc miał wiedzieć, jak to się nazywa? Zdawał sobie jedynie sprawę, że to coś potężnego i wszechobecnego i że nie przeżył tego z żadną z wielu pięknych, urzekających i seksownych kobiet, z którymi się spotykał.

Szybko odepchnął wspomnienie o swoich seksualnych podbojach i wrócił myślą do ostatniej partnerki. Zmarszczywszy czoło, spojrzał na stojący po przeciwnej stronie pokoju telefon. Kiedy zastał ją ze słuchawką w ręce, przestraszyła się. Wyglądała jak przestępca przyłapany na gorącym uczynku. Do kogo mogła dzwonić?

Nagle poderwał się z łóżka. Z bijącym dziko sercem pochylił się nad aparatem i musnął palcami przyciski. Nie był pewien, czy ten akurat model ma taką funkcję, o jaką mu chodziło. Owszem, miał.

Pozwalał na powtarzanie ostatniego numeru.

Hammond wahał się tylko przez sekundę, po czym nacisnął guzik. Usłyszał krótką serię piskliwych dźwięków - telefon automatycznie wybrał numer, który równocześnie pojawił się na małym wyświetlaczu.

Mężczyzna chwycił ołówek i jedyny skrawek papieru, jaki miał pod ręką - stare wydanie "Sports Illustrated" poświęcone strojom kąpielowym. Zapisał numer telefonu na brzuchu dziewczyny z okładki.

- Doktor Ladd.

Nie miał pojęcia, czego właściwie się spodziewał, ale gdy po dwóch sygnałach usłyszał oficjalny kobiecy głos, był bardzo zaskoczony.

- Słucham?

- Doktor Ladd. W czym mogę pomóc?

- Hmm ... To ... Być może dostałem zły numer. - Powtórzył zanotowane cyfry.

- Wszystko się zgadza. Jestem sekretarką. Chce się pan umówić na wizytę?

Nie wiedząc, co powiedzieć, mruknął:

- Hmm, taak.

- Proszę mi podać swoje nazwisko i numer, pod którym jest pan uchwytany.

- Wie pani, po zastanowieniu przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, jeśli zaczekam i zadzwonię w godzinach pracy doktora.

Szybko odłożył słuchawkę, po czym przez długą chwilę siedział na brzegu łóżka, zastanawiając się, kim może być doktor Ladd i dlaczego nieznajoma dzwoniła do niego w środku nocy.

Przebiegł w myślach listę nazwisk i twarzy przechowywanych w banku pamięci. Spotykał się towarzysko z wieloma przedstawicielami świata medycyny. Był członkiem dwóch klubów, do których należało mnóstwo lekarzy wszelkich specjalności. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, by kiedykolwiek poznał doktora Ladda.

Czyżby właśnie spotkał jego żonę? Poznał bliżej panią Ladd? Zły, że istnieje taka ponura, ale bardzo realna możliwość, zmusił się do tego, by wstać i wziąć prysznic. Fakt, iż skorzystał z gorącej wody, nie miał żadnego ukrytego znaczenia. Nie chodziło wcale o to, że Hammond czuł się winny i chciał się w ten sposób oczyścić. Jeśli go okłamała i w rzeczywistości była mężatką, nie mógł mieć do siebie pretensji. Prawda? Prawda.

Ubrał się i powłócząc nogami, wszedł do kuchni. Wypił dwa kubki i mrożonej kawy bezkofeinowej. Zmusił się nawet do zjedzenia połowy bułeczki, Nieznajoma powiedziała, że nie ma męża ale, do diabła, jak można wierzyć kobiecie, która w ogóle się nie przedstawiła?

Na litość boską, nawet nie znał jej imienia!

Mówiła mu sporo rzeczy. Na przykład, że nie sypia z mężczyznami, których dopiero poznała. Nie robi tego dla sportu i nie jest to coś, co jej się często zdarza. Czyż nie tak dokładnie brzmiały jej słowa? Skąd jednak miał wiedzieć, czy to prawda?

Może jest na przykład nałogową mitomanką i dziwką, której udało się usidlić biednego palanta z tytułem doktora? Mogła oszukiwać męża tak często, że ten przestał się już dziwić jej telefonom w środku nocy.

Im dłużej Hammond się nad tym zastanawiał, w tym bardziej ponurym nastroju się pograżał.

Kiedy uporządkował kuchnię, zerknął na zegar ścienny, Zaskoczony stwierdził, że jest już po południu. Jak to się stało, że spał tak długo? Nie ma się czemu dziwić. Kochali się aż do ... Zasnęli dopiero gdzieś koło szóstej.

Nie chciał wracać do Charlestonu przed zapadnięciem zmroku.

Planował, że spędzi spokojną niedzielę, łowiąc ryby lub siedząc na werandzie i oglądając krajobraz. Jednak przeszła mu już ochota na pobyt w domku. Nie pociągało go też rozmyślanie. Zamknął więc chatę i ruszył w drogę powrotną wcześniej, niż planował. Kiedy przekraczał Memorial Bridge i wjeżdżał do miasta, zastanawiał się, czy nieznajoma również mieszka w Charlestonie i tak jak on właśnie wraca do domu.

A jeśli pewnego wieczoru wpadną na siebie na jakimś przyjęciu? Czy będą mieli odwagę przyznać się do wspólnie spędzonej nocy, czy też jedynie przywitają się jak dobrze wychowani, lecz obcy sobie ludzie i będą udawać, że nigdy wcześniej się nie spotkali?

Przypuszczalnie o wszystkim rozstrzygnie obecność osób trzecich. Jak by się poczuł, gdyby ktoś przedstawił go pozornie szczęśliwym Laddom, a on musiałby spojrzeć jej mężowi w oczy, uścisnąć mu rękę, wymienić z nim uprzejmości i zachowywać się tak, jakby w ogóle nie znał stojącej u jego boku kobiety?

Hammond miał nadzieję, że nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji, wiedział jednak, że jeśli do tego dojdzie, będzie musiał zachować zimną krew. Liczył na to, że nie zrobi z siebie idioty. Ufał, iż uda mu się odwrócić do niej plecami i odejść.

Niestety, wcale nie był tego taki pewien. I to go najbardziej martwiło.

Stając wobec dylematu moralnego, zazwyczaj wybierał to co słuszne. Pomijając zwykłe dziecięce psikusy, knute w szkole średniej intrygi i studencką rozpustę, zawsze prowadził się bez zarzutu. Niezależnie od tego, czy jego przekleństwem był nadmiar cnót, czy też po prostu należało uznać go za tchórza, najczęściej przestrzegał ogólnie przyjętych zasad.

Nie zawsze okazywało się to łatwe. Prawdę mówiąc, niezachwiane poczucie dobra i zła było przyczyną większości jego konfliktów z przyjaciółmi, kolegami, a nawet z rodzicami. Zwłaszcza z ojcem. Każdy z nich w swoim postępowaniu kierował się całkiem odmiennymi zasadami. Preston Cross rozterkę z powodu kobiety uznałby za śmieszna.

Skrecając w stronę domu, Hammond rozmyślał, co by się stało, gdyby poprzedniej nocy wszedł do sypialni nieco wcześniej i usłyszał coś w rodzaju: "Kochanie, jest już bardzo późno, dlatego postanowiłam zostać na noc u przyjaciółki (tu powinno paść jakieś imię). Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Uznałam, że samotna jazda o tak późnej porze mogłaby być niebezpieczna ... W porządku ... Do zobaczenia jutro rano ... Ja też cię kocham".

Kiedy otworzyła się automatyczna brama, wprowadził samochód do wąskiego garażu. Po zgaszeniu silnika przez dobrą chwilę siedział i spoglądał w pustą przestrzeń, zastanawiając się, czy zdał, czy też oblał ten szczególnie egzamin z moralności.

W końcu, przeklinając się w duchu za te bezsensowne spekulacje, wysiadł z samochodu i wszedł do domu drzwiami łączącymi garaż z kuchnią. Z przyzwyczajenia skierował się do telefonu, by sprawdzić automatyczną sekretarkę. Po chwili zdecydował, że nie będzie jej odsłuchiwać. Powinna tam być przynajmniej jedna wiadomość od ojca. Nie zamierzał teraz wracać do wczorajszej sprzeczki. Nie chciał z nikim rozmawiać.

Może wybierze się w krótki rejs. Do zachodu słońca zostało jeszcze kilka godzin. Pięciometrowy jacht, który otrzymał od rodziców z okazji wpisania w rejestr prawników, stał przycumowany na przystani miejskiej. To dlatego Hammond kupił ten dom. Miał stąd zaledwie kilka kroków do przystani.

Dzień był idealny na krótki rejs. Taka wyprawa pomogłaby mu uporządkować myśli.

Przyspieszywszy kroku, przeszedł przez kuchnię, dotarł do przedpokoju, minął salon i ruszył w stronę schodów. W tym momencie usłyszał, że ktoś wkłada klucz do zamka we frontowych drzwiach. Ledwo zdążył się odwrócić, a pojawiła się Steffi Mundell z telefonem komórkowym przy uchu.

- Nie mogę uwierzyć - mówiła - że w tej sprawie są tak cholernie uparci. - Przekładając z ręki do ręki klucze, telefon, aktówkę i torebkę, machnęła mu palcami na powitanie. - Chodzi mi o to, że zatrucie pokarmowe to nie to samo co rak kości ... No cóż, daj mi znać ... Wiem, że nie muszę przy tym być, ale bardzo mi zależy. Masz numer mojej komórki, prawda? .. W porządku. Cześć. - Wyłączyła telefon i ze złością spojrzała na Hammonda. - Gdzie ty, do diabła, byłeś?

- Nie usłyszę nawet "dzień dobry"?

Jego koleżanka nigdy nie przestawała pracować. Ogromna aktówka, którą zawsze nosiła ze sobą, pełniła funkcję miniaturowego biurka. Odkąd Steffi została zatrudniona w prokuraturze okręgowej, miała zamontowaną w samochodzie policyjną krótkofalówkę i słuchała jej tak, jak inni kierowcy słuchają muzyki lub rozmów radiowych. Z tego powodu prawnicy i oficerowie policji często żartowali, że Steffi Mundell zachowuje się jak adwokat, który w poszukiwaniu potencjalnego klienta sprawdza wszystkie wyjazdy karetek pogotowia.

Rzuciła swoje rzeczy na krzesło, zdjęła buty na wysokich obcasach i wyciągnęła bluzkę zza paska spódnicy. Powachlowała brzuch uwolnionym materiałem.

- Boże, na świecie jest strasznie parno. Duszę się. Dlaczego nie odbierałeś telefonu?

- Mówiłem ci, że będę w chacie.

- Dzwoniłam tam. Z milion razy.

- Wyłączyłem aparat.

- Na litość boską, dlaczego?

Ponieważ byłem bardzo zajęty i nie chciałem, żeby mi przeszkadzano - pomyślał. Powiedział jednak:

- Chyba masz dodatkowy zmysł. Właśnie wszedłem tylnymi drzwiami. Skąd wiedziałaś, że już wróciłem?

- Nie wiedziałam. Twoje mieszkanie jest bliżej charlestońskiej komendy policji niż moje. Uznałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli u ciebie zaczekam na jakieś wiadomości.

- Jakie wiadomości? Z kim rozmawiałaś? Cóż to za nagły wypadek?

- Nagły wypadek? Hammondzie!

Odwróciła się w jego stronę i wzięła się pod boki. Początkowo wyglądała na zaskoczoną, potem na jej twarzy pojawiło się niewiarygodne zdumienie.

- O mój Boże, ty o niczym nie wiesz!

- Najwyraźniej nie.

Jej dramatyczne okrzyki nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Steffi zawsze lubiła teatralne gesty. Niestety, musiał zrezygnować z żagli. Nie chciał zapraszać Steffi na tę wyprawę, a niełatwo było się jej pozbyć, zwłaszcza gdy wykazywała takie podniecenie. Hammond nagle poczuł, że jest bardzo zmęczony.

- Muszę się czegoś napić. Przynieść ci coś? Wrócił do kuchni i otworzył lodówkę.

- Woda czy piwo?

Ruszyła za nim.

- Nie mogę w to uwierzyć. Ty naprawdę o niczym nie wiesz. Nie słyszałeś. Gdzie jest ta twoja chata? W Mongolii? Nie masz tam telewizora?

- Rozumiem, piwo.

Wyjął z lodówki dwie butelki, otworzył jedną z nich i podał Steffi. Przyjęła ją, nadal patrząc na niego tak, jakby miał twarz pokrytą ropiejącymi wrzodami. Otworzył drugą butelkę i podniósł ją do ust.

- Ta niepewność mnie zabija. No dobrze, co cię tak podnieca?

- Wczoraj po południu ktoś zamordował Lute'a Pettijohna w jego apartamencie w Charles Towne Plaza.

Butelka z piwem nie zdążyła dotrzeć do ust Hammonda.

Powoli ją opuścił, spoglądając na Steffi z całkowitym niedowierzaniem. Mijały sekundy.

- To niemożliwe - powiedział w końcu szorstko.

- Mówię prawdę.

- Nie wierzę.

- Dlaczego miałabym kłamać?

Był tak zszokowany, że początkowo zamarł w całkowitym bezruchu. W końcu przesunął dłonią po karku, czując, że tam zgromadziło się napięcie. Działając jak w transie, odstawił piwo na ławę, odsunął krzesło i usiadł. Kiedy Steffi zajęła miejsce po przeciwnej stronie stolika, zamrugał, by skupić wzrok.

- Powiedziałas, że został zamordowany?

- Zamordowany.

- W jaki sposób? - spytał tym samym oschłym tonem. - Jak zmarł?

- Dobrze się czujesz?

Patrzył na nią, jakby przestał rozumieć język, którym się posługiwała. Potem niemal automatycznie przytaknął.

- Taak. Tylko ... - Rozłożył ręce.

- Zabrakło ci słów.

- Osłupiałem. - Odchrząknął. - Jak zmarł?

- Został zastrzelony. Dwie kulki w plecy.

Opuścił wzrok na granitowy blat stołu i patrzył, jak na zimnej butelce piwa skrapla się para. Musiał się oswoić ze zdumiewającą wiadomością.

- Kiedy? O której godzinie?

- Pokojówka znalazła go parę minut po szóstej.
- Wczoraj wieczorem?
- Hammondzie, przecież wcale się nie jąkam. Tak. Wczoraj.
- Przykro mi.

Steffi opisała stan, który zastała pokojówka.

- Rana na głowie to więcej niż siniak, jednak zdaniem Johna Madisonsa Lute zginął od kul. Oczywiście nie może oficjalnie podać przyczyny śmierci, póki nie skończy autopsji. Wtedy znane będą wszystkie szczegóły.

- Rozmawiałaś z koronerem?
- Nie osobiście. Wiem wszystko od Smilowa.
- Więc to on zajmuje się tą sprawą?
- A kogo się spodziewałeś?
- On - wymamrotał. - Co jego zdaniem się wydarzyło?

Przez następne pięć minut Hammond słuchał, a Steffi przekazywała mu szczegóły dotyczące sprawy.

- Uznałam, że prokuratura od początku powinna włączyć się w dochodzenie, dlatego spędziłam tę noc ze Smilowem. Przynajmniej tak to można ująć.

Jej szelmowski uśmiech absolutnie nie pasował do sytuacji.

Hammond jedynie przytaknął i niecierpliwym machnięciem ręki kazał Steffi mówić dalej.

- Byłam z nim, kiedy sprawdzał pewne poszlaki, chociaż na razie nie ma ich zbyt wiele.

- Ochrona hotelowa?

- Pettijohn, umierając, nawet nie pisnął. Nie ma śladów włamania. Nic nie wskazuje na to, by z kimś walczył. Nagranie z kamery nikomu niczego nie wyjaśni. Na taśmie jest jedynie monotonna muzyka i wijący się nadzy ludzie.

- Co takiego?

Kiedy powiedziała mu o ślepych kamerach, skonsternowany potrząsnął głową.

- Jezu! Tak dużo mówił o zabezpieczeniach zamontowanych w tym hotelu i ile go one kosztowały. A to tupeciarz!

Hammond dobrze znał ciemne strony charakteru Lute'a, szczególnie brak skrupułów w interesach. Od sześciu miesięcy na zlecenie prokuratora generalnego prowadził tajne dochodzenie, mające na celu wyjaśnienie machinacji Pettijohna. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej nim gardził i tym większą darzył go niechęcią.

- Żadnych świadków?

- Na razie żadnych. Jediną osobą w hotelu, która miała z nim kontakt, był masażysta, ale to ślepa uliczka. - Potem opowiedziała mu o serii zatruczeń pokarmowych. - Pomijając dzieciaki, Smilow chce przesłuchać siedmioro dorosłych. Żadne z nas nie liczy na jakieś oszałamiające wyniki, obiecał mi jednak, że zadzwoni, gdy tylko lekarz da nam zielone światło. Chcę tam być.

- Widzę, że bardzo się w to zaangażowałaś.

- To będzie wielka sprawa.

Jej stwierdzenie padło między nich niczym rzucona rękawica. Nikt nigdy nie wspominał o rywalizacji, ale ona zawsze istniała. Hammond w głębi duszy przyznawał, że ma nad Steffi przewagę, chociaż wcale nie chodziło o to, że jest od niej sprytniejszy. Ukończył studia prawnicze jako drugi na roku, Steffi na swoim była pierwsza. Natomiast każde z nich prezentowało odmienny typ osobowości. Charakter Hammonda bardzo dobrze mu służył, cechy Steffi zwracały się przeciwko niej. Ludzie fatalnie reagowali na jej irytujące, agresywne zachowanie.

Na korzyść Hammonda przemawiał również fakt, że był zdecydowanym faworytem Monroe Masona. Szef zaczął go hołubić wkrótce po tym, jak w ich biurze pojawiła się Steffi. Oboje mieli odpowiednie kwalifikacje. Oboje cieszyli się uznaniem. Nigdy natomiast nie było wątpliwości, kto awansuje. Hammond pełnił obecnie funkcję specjalnego asystenta prokuratora.

Steffi nie kryła zawodu, chociaż zachowała zimną krew. Nie przeżywała przegranej i nie żywiła urazy. Nadal ze sobą współpracowali i była to raczej kooperacja niż rywalizacja.

Mimo to zdarzały się chwile takie jak ta, kiedy na wierzch wypływały ukryte dotąd ambicje. Na razie jednak żadne z nich nie podejmowało wyzwania.

Hammond zmienił temat.

- Co z Davee Pettijohn?

- O co ci chodzi? Chcesz wiedzieć, czy należy do kręgu podejrzanych? A może czy dobrze odgrywa rolę pogrążonej w żałobie wdowy?

- Należy do kręgu podejrzanych? - powtórzył Hammond, zaskoczony. - Czyżby ktoś myślał, że to ona zabiła Lute'a?

- Ja.

Steffi przyznała się, że razem ze Smilowem była w rezydencji Pettijohna. Zdradziła również, dlaczego uważa wdowę za prawdopodobną podejrzaną.

Wysłuchawszy jej, Hammond obalił tę teorię.

- Po pierwsze, Davee nie potrzebuje pieniędzy Lute'a. Nigdy ich nie potrzebowała. Jej rodzina ...

- Przeprowadziłam własne dochodzenie. Burtonowie mają pieniądze jak lodu.

Wyczuł jej złośliwy ton.

- Co cię tak wkurza?

- Nic - warknęła. Potem zaczerpnęła głęboko powietrza i wyznała: - W porządku, może rzeczywiście jestem zła. Wkurz a mnie, że mężczyźni, których należałoby uznać za dorosłych, inteligentnych i doskonale znających swój zawód, na widok kobiety takiej jak ona zamieniają się w roztrzęsioną galarete.

- "Kobiety takiej jak ona"?

- Daj spokój, Hammondzie - burknęła z jeszcze większym rozdrażnieniem. - Na zewnątrz łagodna kotka, a w głębi duszy prawdziwa pantera. Wiesz, o co mi chodzi.

- Sklasyfikowałaś Davee po jednym krótkim spotkaniu?

- Widzisz?! Bronisz jej.
- Nikogo nie bronię.
- Najpierw po jej stronie stanął Smilow, o ile potrafisz sobie to wyobrazić. A teraz ty.
- Nie "staję po jej stronie". Po prostu nie rozumiem, jak możesz uważać, że dobrze znasz Davee, skoro ...
- W porządku! Nieważne - wycofała się, zniecierpliwiona. Nie chcę teraz rozmawiać o Lucie Pettijohnie, morderstwie ani motywach. Myślę o tym od prawie dwudziestu czterech godzin. Muszę chwilę odpocząć.

W stała z krzesła, przyłożyła dłoń do pleców i przeciągnęła się, potem obeszła stół i usiadła Hammondowi na kolanach. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

Rozdział dziewiąty

Po kilku szybkich pocałunkach wyprostowała się i zmierzwiła mu włosy.

- Zapomniałam zapytać. Jak minęła ci noc za miastem?
- Była wspaniała - odparł Hammond zgodnie z prawdą.
- Robiłeś coś specjalnego?

Specjalnego? Bardzo. Nawet głupie rozmowy były wspaniałe.

- Wiesz, grałem niegdyś w futbol w NFL.
- Naprawdę?
- Taak, ale po zdobyciu drugiego superpucharu przeszedłem do pracy w CIA.
- Bardzo niebezpieczna praca?
- Normalne historie typu płaszczka i szpady.
- Ojej!
- Prawdę mówiąc, straszne nudy. Więc zaciągnąłem się do Korpusu Pokoju. - Fascynujące.
- Było całkiem niezłe. Przynajmniej do pewnego momentu. Kiedy jednak dostałem Nagrodę Nobla za nakarmienie wszystkich głodujących dzieci Afryki i Azji, zacząłem się rozglądać za czymś innym.

- Czymś, co stanowiłoby większe wyzwanie?
- No właśnie. Postanowiłem zostać prezydentem albo wynaleźć lekarstwo na raka.
- Pewnie na drugie masz "Altruista".
- Nie, Greer.
- Podoba mi się.
- Przecież wiesz, że kłamię.
- Że masz na drugie Greer?
- Nie, to akurat prawda. Reszta to kłamstwa.
- Nie!
- Chciałem wyrzucić na tobie wrażenie.
- Spróbuj coś zgadnąć.
- Co?
- Jestem pod wrażeniem.

Hammond przypomniał sobie dotyk jej rąk i poczuł rosnące podniecenie ...

- Hmm - mruknęła Steffi. - Jest tak, jak myślałam. Tęskniłeś za mną.

Był podniecony, ale nie dlatego, że Steffi siedziała mu na kolanach i pieściła go przez spodnie. Odsunął jej rękę.

- Steffi ...

Pochyliła się do przodu i namiętnie go pocałowała. Podciągnęła spódniczkę na biodra, usiadła mu okrakiem na udach i nie przerywając pocałunku, zaczęła się mocować ze sprzączką jego paska.

- Nienawidzę się spieszyć - wyznała, zasapana, między jednym pocałunkiem a drugim. - Ale gdy Smilow zadzwoni, będę musiała pędzić. Obawiam się, że mamy bardzo niewiele czasu.

Hammond złapał ją za ręce i mocno je ścisnął.

- Steffi, musimy ...

- Iść na piętro? Świetnie. Ale nie możemy się guzdrać, Hammondzie.

Była zwinna i energiczna. Zeskoczyła mu i kolan i ruszyła w stronę drzwi, po drodze rozpinając bluzkę.

- Steffi ...

Odwróciła się i ze zdumieniem patrzyła, jak Hammond wstaje i zapina spodnie. Roześmiała się beztrąsko.

- Jestem gotowa spróbować wszystkiego, ale jeśli nie zdejmiesz spodni, będzie trochę trudno.

Przeszedł na drugą stronę pokoju i zacisnął dłonie na granitowym kontuarze. Przez chwilę patrzył w dół, na nieskazitelnie czysty zlew, a potem odwrócił się do niej twarzą.

- To na mnie już nie działa, Steffi.

Powiedziawszy to, poczuł ogromną ulgę. Wczoraj po południu wyjechał z miasta, ponieważ dręczyło go kilka spraw. Jedną z nich - prawdę mówiąc, najmniej istotną - była niepewność dotycząca romansu ze Steffi. Nie wiedział, czy naprawdę chce położyć kres tej przygodzie. Zawarli bardzo dogodną umowę, żadne z nich nie stawiało drugiemu nierozsądnych wymagań. Mieli sporo identycznych zainteresowań. Dobrze im było razem w łóżku.

Niemniej nigdy nie padła propozycja, żeby ze sobą mieszkali, i Hammond bardzo się z tego cieszył. Gdyby doszło do takiej rozmowy, przytoczyłby długą listę argumentów świadczących o tym, iż jest to kiepski pomysł, chociaż prawdziwym powodem był fakt, że poziom energii Steffi bardzo szybko opadał. Widocznie ona również nie chciała mieć go bez przerwy przy sobie. Utrzymywali swój romans w tajemnicy. Spotykali się regularnie i wtedy, gdy mieli na to ochotę. Przez niemal rok uważał istniejący układ za idealny.

Ostatnio jednak zaczął dostrzegać ciemne strony tego związku.

Nigdy nie lubił tajemnic i wybiegów, zwłaszcza gdy szło o życie osobiste. Kurczowo trzymał się staroświeckiego przekonania, że w tej sprawie bardzo ważna jest uczciwość.

Niezadowolenie wywoływał u niego również stopień ich zażyłości, a właściwie całkowity jej brak. Choć Steffi była namiętną i dobrą kochanką, emocjonalnie nie zbliżyli się do siebie ani o krok od dnia, kiedy po raz pierwszy zaprosiła go na kolację. Spotkanie to skończyło się na sofie w jej salonie.

Od kilku tygodni Hammond poważnie się nad tym zastanawiał, rozpatrując wszelkie plusy i minusy, ostatecznie uznał jednak, że ich związek utknął w miejscu, a on sam pragnie czegoś więcej. Zamiast oczekiwać wspólnych wieczorów, zaczął się ich bać. Na telefony Steffi odpowiadał z coraz większym ociąganiem. Nawet w łóżku, gdy uprawiali seks, łapał się na tym, że myśli o czymś innym, działa rutynowo, reaguje w sensie fizycznym, lecz brak temu podłoża emocjonalnego. Lepiej to skończyć, nim obojętność przerodzi się w urazę.

Nie był pewien, czego oczekuje od takiego związku. Wiedział jednak, że z pewnością nie znajdzie tego u Stefanie Mundell. Bliski rozwiązania zagadki był minionej nocy, chociaż kochał się z kobietą, której imienia nawet

nie znał. To wydarzenie w ponurym świetle ukazywało jego romans ze Steffi i stanowiło wyraźny sygnał, że pora z nim skończyć.

Niestety, podjęcie takiej decyzji to za ledwie połowa sukcesu.

Teraz musiał wprowadzić ją w życie. Chciał wywinąć się z tego układu możliwe elegancko, unikając przy okazji zamieszania przypominającego wojnę stuletnią. Po cichutku liczył na to, że uda mu się zakończyć romans ze Steffi spokojniej, niż go zaczął.

Prawdopodobieństwo takiego przebiegu wypadków było jednak bliskie zera. W rzeczywistości mógł tylko oczekiwać sceny. Bał się jej, a właśnie czuł, że nadchodzi.

Odczekał chwilę, aż do Steffi dotrze znaczenie jego słów.

Kiedy to się stało, przelknęła ślinę, złożyła ręce na rozpiętej bluzce, po czym w buntowniczym geście rozplotła je i opuściła.

- Rozumiem, że mówiąc "to", masz na myśli ...

- Nas.

- Ach, tak?

Przekrzywiła głowę i w aż za dobrze znany mu sposób uniosła brwi. Taki wyraz twarzy miała zawsze, gdy była wkurzona i zamierzała na kogoś napaść. Najczęściej wyzywała się na jakimś stażyscie albo urzędniku, który kiepsko się spisał, przygotowując dla niej akta. Kiedy indziej był to gliniarz, który nie zdołał w swoim raporcie połączyć ze sobą ważnych faktów tej czy innej sprawy, albo ktokolwiek, kto śmiało pokrzyżować Steffi szyki, gdy koniecznie chciała postawić na swoim.

- Odkąd to na ciebie "nie działa"?

- Od jakiegoś czasu. Odnoszę wrażenie, że zmierzamy w różnych kierunkach.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Ostatnio oboje byliśmy nieco roztargnieni, ale to łatwo da się naprawić. Mamy ze sobą dużo wspólnego, co może uratować ...

Potrząsnął głową.

- Nie chodzi właściwie o różne kierunki, Steffi. To są przeciwne strony.

- Czy możesz mi to dokładniej wyjaśnić?

- Owszem. - Zdobył się na spokój, chociaż uraził go jej ton, który sugerował, że Hammond nie jest tak sprytny jak ona. Kiedyś w końcu będę chciał się ożenić. Mieć dzieci. Ty przy wielu okazjach stawiałaś sprawę jasno, że nie masz zamiaru zakładać rodziny.

- Nie mogę uwierzyć, że tobie na tym zależy. Uśmiechnął się z lekką drwiną.

- Prawdę mówiąc, mnie też to dziwi.

- Zapewniałaś, że nie chcesz być dla łatwowiernego dziecka tym, kim był dla ciebie twój ojciec.

- I nie będę - zapewnił ją zdecydowanie.

- Czy ta zmiana poglądów nie nastąpiła w ostatnim czasie?

- Owszem, ale od dość dawna wszystko zmierzało właśnie w tym kierunku. Nasz układ przez jakiś czas był idealny, potem jednak. ..

- Znudził ci się?

- Nie.

- W takim razie co się stało? Przestał być ekscytujący?

Czyżby sypanie z namiętą asystentką prokuratora okręgowego straciło urok? Nie odpowiada ci już rola tajemniczego kochanka Steffi Mundell?

Potrząsnął głową.

- Proszę, nie rób tego, Steffi.

- Przecież niczego nie robię - wypaliła piskliwie. - To ty zacząłeś tę rozmowę. - Przymrużyła ciemne oczy.

- Wiesz, ilu mężczyzn chciałoby mnie przelecieć?

- Tak - odparł, również podnosząc głos. - Słyszałem na twój temat mnóstwo plotek.

- Kiedyś nieźle cię bawiły, zwłaszcza gdy twoi kumple zakładali się o to, kim jest tajemniczy mężczyzna odwiedzający moje łóżko. Do dziś się z tego śmiałaś.

- Sądzę, że to przestało być śmieszne. - Nic nie mogła na to powiedzieć, stała więc, milcząca i wściekła.

- Tak czy inaczej - ciągnął nieco spokojniejszym tonem- wyjechałem na ten weekend, by zastanowić się nad naszym układem ...

- I nawet mi o tym nie powiedziałeś? Nie przyszło ci na myśl, żeby zabrać mnie ze sobą i wspólnie się nad tym zastanawiać?

- Nie widziałem sensu.

- To znaczy, że jeszcze nim wyjechałeś do tej swojej cudownej chaty w lesie, wiedziałeś, jaką podejmiesz decyzję - zauważyła, z sykiem wymawiając ostatnie słowa.

- Nie, Steffi. Nie wiedziałem tego. Przebywając tam, przyjrzałem się naszemu związkowi pod każdym możliwym kątem, niestety, niezmiennie dochodziłem do tego samego wniosku.

- Że chcesz mnie rzucić.

- Nie ...

- Nie? A jak inaczej byś to określił?

- To jest dokładnie taka scena, jakiej chciałem uniknąć - wyznał, w końcu podnosząc głos do krzyku. - Wiedziałem, że będziesz próbowała się kłócić. Zdawałem sobie sprawę, że zaczniesz walczyć do upadłego, jakbyś była na sali sądowej i broniła swojego zdania przed ławą przysięgłych. Obaliłabyś wszystkie argumenty, których bym użył, choćby tylko po to, by wszcząć awanturę i nie dać za wygraną, ponieważ, do jasnej cholery, jedynym motywem twojego działania jest rywalizacja. No cóż, Steffi, to nie konkurs. Ani rozprawa sądowa. Stawką jest nasze życie.

- O Boże, oszczędź mi tych sentymentalnych bzdur. Stłumił krótki śmiech.

- O to właśnie chodzi. Brakuje mi odrobiny romantyzmu. Nasz układ jest całkowicie pozbawiony uczuć i sentymentów. Tymczasem uczucia i sentymenty to rzecz ludzka. Są ...

- O czym ty, do diabła, mówisz, Hammondzie?

- Życie nie ogranicza się do akt. Nie wszystkie odpowiedzi można znaleźć w książkach prawniczych. - Sfrustrowany faktem, że nie potrafi lepiej wyjaśnić, o co mu chodzi, zaklął po cichu, a potem podjął następną próbę. - Jesteś wspaniała, ale zawsze przesydasz do przodu. Bez przerwy kłócisz się i dążysz do doskonałości. Nie robisz sobie żadnych przerw. Przy tobie nigdy nie można liczyć na chwilę odpoczynku.

- Wybacz, ale nie wiedziałam, że nasz romans był dla ciebie taką ciężką próbą.

- Posłuchaj - powiedział szorstko. - Oszczędzę ci sentymentalnych bzdur, pod warunkiem że nie będziesz udawać nieszczęśliwej. Jesteś zła, ale nie nieszczęśliwa.

- Może przestałbyś wczuwać się w moją sytuację? Nie wiesz, co przeżywam.

- Na pewno nie jest to miłość. Nie kochasz mnie. Prawda?

Gdybyś musiała w tej chwili dokonać wyboru, na co byś się zdecydowała? Na swoją karierę czy na mnie?

- Co ty sobie wyobrażasz?! - krzyknęła. - Nie mogę wprost uwierzyć, że stawiasz tak śmieszne i dziecinne ultimatum. "Gdybyś musiała dokonać wyboru"? Co to za seksistowskie bzdury? Dlaczego miałabym wybierać? Ciebie nikt nie zmusza do dokonywania wyboru. Dlaczego nie mogłabym mieć i ciebie, i kariery?

- Mogłabyś. Ale do tego potrzeba dwojga ludzi, z których każde gotowe jest do poświęceń. Dwojga ludzi, którzy bardzo się kochają i są w stanie uczynić wszystko dla swojego związku i wzajemnego szczęścia. To, co my ze sobą robimy - powiedział, wskazując w kierunku sypialni na piętrze - nie ma nic wspólnego z miłością. To zwykła rozrywka.

- No cóż, jesteśmy cholernie dobrzy w dostarczaniu sobie nawzajem doskonałej rozrywki.

- Nie przeczę. Nadal jednak jest to tylko rozrywka, nic więcej. - Przerwał, by nabrać powietrza w płuca.

Steffi przyglądała mu się wzburzona.

Podszedł do stołu, wziął do ręki piwo i wypił spory łyk. W końcu zerknął na nią.

- Nie udawaj, że jest inaczej. Wiem, że się ze mną zgadzasz.

- Dobrze nam było ze sobą.

- Owszem. Zdarzały się wspaniałe chwile. Nikt nie ponosi żadnej winy. Nie ma strony dobrej ani złej.

Chodzi po prostu o to, że każde z nas czego innego oczekuje od przyszłości.

Przez chwilę się nad tym zastanawiała.

- Nigdy nie kryłam, czego pragnę, Hammondzie. Gdyby zależało mi na ciepłym domowym ognisku, zostałabym w swoim rodzinnym mieście, posłuchała ojca i wyszła za mąż zaraz po ukończeniu szkoły średniej - jeśli nie wcześniej - żeby tak jak moje siostry szybko zacząć rodzić dzieci. Oszczędziłabym sobie wówczas ich pogardy i jego kazań. Nie musiałabym walczyć o to, co udało mi się osiągnąć. Wciąż jeszcze czeka mnie długa droga, nim dotrę do celu. Od początku wiedziałeś, co było dla mnie najważniejsze.

- Podziwiam cię za to.

- Poprawka: co j e s t dla mnie najważniejsze.

- Mam nadzieję, że zajdziesz dalej, niż zamierzasz. Mówię prawdę. Problem polega na tym, że twoje życiowe cele nie pozostawiają miejsca na nic innego. Nie tego oczekuję od swojej partnerki.

- Naprawdę marzy ci się strażniczka ogniska domowego?

- Boże, nie - odparł, ze śmiechem potrząsając głową. Przez chwilę patrzył w przestrzeń, po czym wyznał: - Nie jestem wcale pewien, czego chcę.

- Jesteś jednak pewien, że masz mnie dosyć.

Również i tym razem zdawał sobie sprawę, że Steffi jest bardziej zła niż dotknięta. Niemniej żadna kobieta nie lubi, gdy się ją rzuca. Starał się więc przynajmniej zrobić to delikatnie.

- To nie chodzi o ciebie, Steffi. Problem tkwi we mnie. Chcę dzielić życie z kimś, kto przynajmniej w kilku sprawach gotów jest pójść na kompromis.

- Nie uznaję żadnych kompromisów.

- Właśnie popełniłaś błąd - zauważył łagodnie. - Wygrałaś za mnie sprawę.

- Nie, oddałam ci ją.

- Dzięki, biore.

Uśmiechnęli się do siebie, ponieważ zawsze nawzajem cenili swój spryt.

- Jesteś bardzo przebiegły, Hammondzie - przyznała. - Lubię przebiegłość i podziwiam inteligencję. Masz cięty dowcip. W razie potrzeby potrafisz być twardy. Umiesz nawet być złośliwy, a złośliwość to jedna z moich ulubionych cech. Nikt również nie zaprzeczy, że jesteś przystojny.

- Proszę. Zaczynam się rumienić.

- Nie bądź taki wstydlivy. Wiesz, że rozpalasz w sercach płomień i podnosisz poziom hormonów. - Dziękuję.

- Jesteś dobry w łóżku, nigdy nie bierzesz więcej, niż dajesz. Krótko mówiąc, masz wszystkie cechy, które podziwiam u mężczyzny.

Położył rękę na sercu.

- Znacznie dłużej musiałbym wymieniać cechy, które podziwiam u ciebie.

- Nie czekam na komplementy. Tego rodzaju sztuczki zostawiam takim paniom jak Davee Pettijohn.

Zachichotał.

- Ale do czego zmierzam ... - Zaczerpnęła powietrza. - Chyba nie wzięłaś w ogóle pod uwagę możliwości kontynuowania naszego romansu w takiej postaci jak dotychczas ...

Przerwał jej, zdecydowanie potrząsając głową.

- To nie byłoby w porządku wobec żadnego z nas.

- Nie przewidziałeś opcji B?

- Uważam, że najlepsze byłoby zerwanie, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się kwaśno.

- Chyba jest już trochę za późno, byś zasięgał mojej opinii, Hammondzie. Ale skoro tak do tego podchodzisz, masz rację. Nie chcę, żebyś sypiał ze mną z litości.

Wybuchnął gromkim śmiechem.

- Jesteś ostatnią kobietą godną litości.

- Wiesz, że będzie ci mnie brakowało - zauważyła udobruchana.

- Bardzo.

Dotknąwszy czubkiem języka środka górnej wargi, rozchyliła bluzkę. Nie zdziwiło go, że jej brodawki są nabrzmiałe i ciemne z podniecenia. Nic nie działało na Steffi mocniej niż kłótnia. Najlepszym stymulatorem była dla niej głośna awantura. Najbardziej ogniste stosunki następowały zazwyczaj po takiej lub innej konfrontacji. Hammond nagle zdał sobie sprawę, że tym sposobem Steffi zapewniała sobie ostateczne zwycięstwo w każdej dyspucie. Jej orgazm zawsze był jej wygraną. To jeszcze silniej utwierdziło go w postanowieniu.

Uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

- Ostatni raz? Przez wzgląd na dawne czasy? A może jesteś zbyt pryncypialny i dumny, by przelecieć kobietę, którą właśnie rzuciłeś?

- To niezbyt romantyczny powód, Steffi.

- A więc teraz marzy ci się romantyzm i sentymenty? Co cię naszło, Hammondzie?

Kusiło go, by skorzystać z oferty. Nie dlatego, by jej pożądał.

Liczył jedynie na to, że przespawszy się z nią, być może wymaże z pamięci aż nazbyt wyraźne, słodkie, a jednocześnie bolesne wspomnienie minionej nocy. Wciągając inną kobietę do łóżka, mógłby się uwolnić od dokuczliwego poczucia straty.

Wciąż się nad tym zastanawiał, gdy zadzwonił telefon. Steffi roześmiała się gorzko, zapinając bluzkę.

- Ale z ciebie szczęściarz, Hammondzie. Bez przerwy uśmiecha się do ciebie los. Uratował cię zwyczajny dzwonek. - Odwróciła się na pięcie i wyszła do salonu, by zabrać swoje rzeczy.

Hammond sięgnął po słuchawkę.

- Słucham?

- Tu Monroe.

Prokurator okręgowy Monroe Mason właściwie wcale nie musiał się przedstawiać. Znał tylko jedno natężenie dźwięku - huk. Zupełnie jakby w jego struny głosowe ktoś wmontował megafon. Hammond natychmiast skorygował głośność w swoim aparacie.

- Cześć, Monroe, co się dzieje? Wyjechałem z miasta na jedną noc, a tymczasem ziemię nawiedziły wszystkie możliwe biesy.

- To znaczy, że już słyszałeś?

- Steffi mi powiedziała.

- O ile wiem, bierze w tym wszystkim aktywny udział.

Hammond zerknął do salonu, w którym Steffi wkładała buty i wsadzała bluzkę za pasek. Odwrócił się plecami do drzwi i ściszył głos.

- Najwyraźniej sądzi, że dostanie tę sprawę.
- Chcesz, żeby ją dostała?

Hammond zdał sobie sprawę, że koszula przylega mu do ciała. Kiedy zaczął się pocić? Przetarł czoło. Ono również było wilgotne. Wiedział, dlaczego jest taki mokry - poprzedniego dnia po południu spotkał się z Lute'em Pettijohnem w jego apartamencie w Charles Towne Plaza.

Monroe Mason powinien to wiedzieć. Teraz jest odpowiednia pora, by mu o tym wspomnieć.

Tylko czy jest sens robić z tego taką wielką sprawę?

Ta rozmowa nie miała nic wspólnego z morderstwem. Ich spotkanie trwało bardzo krótko. Odbyło się przed przypuszczalną godziną śmierci. Niewiele wcześniej, niemniej ...

Nie widział żadnego powodu, by mówić o tym Monroemu, tak samo jak nie poinformował Steffi, gdy przekazała mu szokującą wiadomość o zabójstwie. Niczego by nie osiągnął, powiadamiając ich o tym dziwnym zbiegu okoliczności, natomiast dużo mógłby stracić.

Wycierając czoło rękawem, wyznał:

- Wolałbym sam się tym zająć. Jego mentor zachichotał.
- No cóż, w takim razie przydzielam ci tę sprawę, chłopcze.
- Dziękuję.
- Nie dziękuj. Miałeś ją, nim o to poprosiłeś.
- Doceniam pokładane we mnie zaufanie.
- Przestań się podlizywać, Hammondzie. Nie podjąłem tej decyzji samodzielnie. Wpłynął na nią fakt, że od wczorajszego wieczoru co godzina dzwoni do mnie wdowa po Pettijohnie.

- O co jej chodzi?

- Życzy sobie - czytaj: żąda - żebyś to ty oskarżał mordercę jej męża.

- Jestem wdzięczny ...

- Nie chrzań, Hammondzie. Na kilka kilometrów wyczuwam, co jest grane. Niech to diabli! Jestem tak cholernie stary, że wydaje mi się, iż to ja sam wymyśliłem taki sposób załatwiania sprawy. Na czym to skończyłem?

- Na wdowie.

- O tak! Lute nie żyje, wygląda jednak na to, że w dziedzinie wywierania nacisku Davee ma zamiar pójść w jego ślady. Jest w stanie narobić hałasu na cały okręg. Tak więc, pragnąc oszczędzić biur prokuratora wielu problemów i złej prasy, zgodziłem się przydzielić ci to zadanie.

Ta sprawa powinna mieć ogromny wpływ na karierę. Bardzo dobrze sytuowana ofiara morderstwa. Zainteresowanie mediów. A zatem wszystkie te elementy, które sprawiają, że każdemu ambitnemu prokuratorowi cieknie ślinka. Oczywiście Hammond czułby się znacznie lepiej, gdyby Mason wyznaczył go bez interwencji

Davee, nie zamierzał się jednak przejmować takimi drobiazgami. Tak czy inaczej, sprawa należała do niego.

Chciał ją dostać, potrzebował jej, co więcej, doskonale nadawał się do tej pracy. Miał za sobą pięć sprawo morderstwo i w każdej z nich przeforsował swoją opinię. Jedyne wyjątek stanowił proces, w którym obrona wynegocjowała złagodzenie kary w zamian za przyznanie się oskarżonego do winy. Od chwili rozpoczęcia pracy w prokuraturze Hammond przygotowywał się do prowadzenia sprawy o tak kapitalnym znaczeniu. Miał na to ogromną ochotę i wiedział, jak dojść do zwycięstwa. Rozprawa przeciw mordercy Lute'a Pettijohna będzie wielkim krokiem do przodu i umożliwi osiągnięcie wymarzonego celu - stanowiska prokuratora okręgowego.

Ponieważ Hammond otrzymał już tę sprawę i wiedział, że cieszy się zaufaniem zwierzchnika i poparciem wdowy, ponownie przyszło mu na myśl, by powiedzieć Masonowi o swoim spotkaniu z Pettijohnem. Za nic w świecie nie chciał pakować się w sprawę tak dużej wagi, nie mając całkiem czystych rąk. Najmniejsze niedopowiedzenie, takie jak to, mogłoby okazać się fatalne w skutkach, gdyby za jakiś czas wyszło na jaw.

- Monroe?

- Nie dziękuj mi, chłopcze. Czeka cię mnóstwo bezsennych nocy.

- Lubię wyzwania. Wcale się tym nie przejmuję. Po prostu ...

- O co chodzi?

Po krótkiej chwili wahania odparł: .

- O nic, Monroe. O nic. Chciałbym już zacząć.

- To świetnie, świetnie - pochwalił go zwierzchnik i roześmiał się, zanim przekazał następną wiadomość: - Czeka cię współpraca z Rorem Smilowem. Czy widzisz w tym jakiś problem?

- Nie.

- Kłamiesz.

- Wcale nie musimy się kochać. Chcę mieć jedynie gwarancję, że będzie współpracował z naszym biurem.

- Przełał już pierwszą krew.

- Nie rozumiem.

- Dziś po południu dzwonił do mnie komendant Crane. Smilow chce, żeby tę sprawę prowadziła Steffi Mundell. Powiedziałem jednak Crane'owi o preferencjach wdowy.

- I?

W przeciwieństwie do Hammonda, który nie znosił zakulisowych rozgrywek związanych z pracą na wysokim stanowisku, Mason wręcz się nimi rozkoszował. Zdecydowanie wołał politykę niż prawo.

- Davee zdążyła już szepnąć słówko także komendantowi policji. Zażyczyła sobie, żeby Smilow odszukał mordercę, a ty żebyś go zamknął. To wszystko. - Zachichotał.

Hammond zrobił taką minę, jakby zbliżał się do niego dentysta z zastrzykiem znieczulającym, cały czas powtarzając, że poczuje tylko lekkie ukłucie.

- Do zakończenia sprawy ty i Smilow macie odłożyć na bok wszelkie animozje. Zrozumiano?

- Obaj jesteśmy profesjonalistami.

W imieniu Rory'ego Smilowa Hammond nie mógł niczego obiecać, uznał jednak, że jego samego z pewnością stać na zawieszenie broni.

Potem Mason dorzucił drugi warunek.

- Dodaję ci Steffi jako oskarżyciela pomocniczego.

- Co takiego? - Hammond starał się ukryć złość i nie podnieść głosu. - Stawiasz kretyńskie warunki, Monroe. Nie chcę, by bez przerwy ktoś patrzył mi na ręce.

- To transakcja wiązana. Bierzesz albo rezygnujesz. Hammond usłyszał, że w sąsiednim pokoju Steffi rozmawia przez telefon.

- Powiedziałaś jej już o tym? - spytał.

- Wystarczy, jeśli zrobię to jutro rano. Wiesz już wszystko, chłopcze? - Tak.

Mimo to Monroe Mason huknął jeszcze raz:

- Steffi będzie twoją asystentką. Ma stanowić bufor między tobą a Smilowem. Oczekuję, że nie dopuści do tego, byście się nawzajem pozabijali, przynajmniej dopóki morderca Lute'a nie stanie przed sądem i nie zostanie skazany.

Rozdział dziesiąty

Czuła, że lada chwila eksplodują jej płuca. Mięśnie ją paliły.

Stawy krzyczały, żeby zwolniła. Postąpiła na odwrót - jeszcze bardziej zwiększyła tempo i biegła szybciej niż kiedykolwiek, zdobywając się na wysiłek, który już wcale nie był dobry dla jej zdrowia. Musiała spalić kilkaset dodatkowych kalorii z wesołego miasteczka.

I poradzić sobie z wyrzutami sumienia.

Pot zalewał jej oczy, które piekły i zachodziły mgłą. Słyszała własny głośny i chrapliwy oddech, w ustach jej zaschło. Serce waliło w piersiach w tym samym rytmie co gwałtownie uderzające o ziemię pięty. Nawet gdy myślała, że nie zrobi już ani kroku więcej, uparcie parła do przodu. Na pewno pobiła swój poprzedni rekord prędkości.

Nie udało jej się jednak uciec od tego, co zrobiła poprzedniego wieczoru.

Jogging był jej ulubioną formą aktywności fizycznej. Uprawiała go kilka razy w tygodniu. Często brała udział w biegach, którym towarzyszyła zbiórka pieniędzy na jakiś określony cel. Pomagała również organizować sztafetę, połączoną z gromadzeniem funduszy na badania nad rakiem piersi. Jednak tego wieczoru nie kierowała się ani altruizmem, ani dbałością o kondycję, którą zapewniał jogging. Nie chodziło również o pozbycie się napięcia po całym dniu pracy.

Tym razem bieg był swoistą formą samobiczowania. Oczywiście, nawet nie próbowała zakładać, że dzisiejszy wysiłek fizyczny będzie stanowił wystarczającą pokutę za popełnione poprzedniego dnia wykroczenie. Rozgrzeszenie może uzyskać tylko ktoś, kto szczerze i z całego serca żałuje tego, co zrobił. Owszem, żałowała, ale tego, że ich spotkanie zostało zaplanowane i wcale nie było dziełem przypadku, chociaż on traktował je jak szczęśliwy zbieg okoliczności. Dręczona wyrzutami sumienia, próbowała zakończyć wszystko, nim trafili do łóżka, mimo to wcale nie żałowała, że wydarzenia przybrały taki właśnie obrót.

Ani przez chwilę nie martwiło jej to, że spędziła z nim noc.

- Z lewej!

Uprzejmie przesunęła się na prawo, by przepuścić innego biegacza. Tego wieczoru na Battery było bardzo dużo pieszych. Z popularnej charlestońskiej promenady chętnie korzystali spacerowicze, ludzie uprawiający jogging i entuzjaści łyżworolek.

Ten znany z historii kraniec półwyspu, gdzie rzeki Ashley i Cooper łączą się, by razem wpaść do Atlantyku, obowiązkowo odwiedzają wszyscy turyści przyjeżdżający do Charlestonu.

W skład Battery wchodzi ogrody White Point i wał nabrzeżny.

Miejsce to, tak jak całe miasto, nosi ślady po wojnach, dziejowych zawieruchach i klęskach żywiołowych. Niegdyś na oczach tłumów wieszano tu skazańców, potem cypel stał się strategicznym punktem obronnym, a obecnie przede wszystkim zapewniał piękną scenerię, dostarczając ludziom przyjemności.

W parku po przeciwnej stronie ulicy stare drzewa oliwkowe, które oparły się gwałtownym sztormom i huraganowi Hugo, zapewniają cień pomnikom, konfederackim armatom oraz parom popychającym dziecięce

wózki.

Przez cały czas panował potworny upał, któremu towarzyszyła wysoka wilgotność powietrza, ale na wale wychodzącym na charlestoński port i odległy Fort Sumter wiała delikatna bryza, sprawiając ulgę ludziom, którzy wylegli na nabrzeże, by podziwiać piękny, kończący weekend zmierzch.

Zmniejszyła tempo i zdecydowała, że pora wracać. Każde dotknięcie chodnika stopami powodowało promieniowanie bólu z łydek poprzez uda aż do kręgosłupa, ale teraz przynajmniej można go było znieść. Płuca wciąż ciężko pracowały, na szczęście mięśnie przestały już tak bardzo palić.

Tylko sumienie nadal ją gryzło.

Ku swojemu zdziwieniu przez cały dzień myślała o nim i wspólnie spędzonej nocy. Odsuwała od siebie te wspomnienia, ponieważ zbyt długo rozpamiętywane, zdawały się jedynie potęgować początkowe wykroczenie. Czowała się wtedy jak intruz, który nie tylko wdarł się na teren posiadłości ofiary, ale na dodatek zbezczeszczył większość należących do niej przedmiotów.

Nie mogła jednak już dłużej powstrzymać myśli. Kończąc trening, oddała się wspomnieniom. Ponownie czuła smak jedzenia, które kupili w wesołym miasteczku, uśmiechała się na wspomnienie głupich żartów, przypominała sobie jego oddech na swoim uchu i dotyk palców na skórze.

Był pogrążony w tak głębokim śnie, że ani drgnął, gdy wyslizgnęła się z łóżka. Przy drzwiach sypialni zatrzymała się, by jeszcze raz na niego spojrzeć. Leżał na plecach. Jedną nogę wystawił na zewnątrz, a wokół pasa spowijało go prześcieradło.

Miał cudowne ręce. Silne, męskie, ale bardzo zadbane. Jedna luźno trzymała poszwę. Druga spoczywała na poduszce. Palce, delikatnie zgięte do środka, jeszcze przed chwilą znajdowały się w jej włosach.

Obserwując, jak spokojny oddech unosi i opuszcza jego klatkę piersiową, walczyła z pokusą, by go obudzić i wyznać mu prawdę. Czyby to zrozumiał? Podziękowałby jej za szczerość? Może powiedziałby, że to wszystko nie ma znaczenia, przyciągnął z powrotem do siebie i ponownie zaczął całować. Czy gdyby przyznała mu się do tego, co zrobiła, miałby o niej lepsze czy gorsze mniemanie?

Co pomyślał, gdy po przebudzeniu zauważył, że jej nie ma? Niewątpliwie najpierw wpadł w panikę i uznał, że został okradziony. Prawdopodobnie wstał z łóżka i poszedł sprawdzić, czy jego portfel wciąż leży na komodzie. Czy rozłożył wachlarz z kart kredytowych, by się upewnić, że żadnej nie brakuje? Czy był bardzo zaskoczony, gdy stwierdził, że ma całą gotówkę i wszystkie karty? Czy poczuł ogromną ulgę?

Czy potem zaczął się zastanawiać, czemu zniknęła? A może był zły? Tak, to prawdopodobne. Mógł być zły. Pewnie potraktował jej zniknięcie jako afront.

Miała nadzieję, że gdy się przebudził i zauważył, że jej nie ma, nie wzruszył po prostu ramionami i ponownie zapadł w sen. To była smutna, ale całkiem realna możliwość, która pociągała za sobą następne pytania. Czy tego dnia w ogóle o niej pomyślał? Czy tak samo jak ona odtwarzał cały przebieg poprzedniego wieczoru, od momentu, kiedy ich oczy spotkały się nad parkietem, aż po ten ostatni raz ... ?

Całował jej twarz.

- Dlaczego to powoduje takie miłe uczucie? - szepnął.

- Chyba z założenia powinno być miłe.

- Owszem. Ale nie aż tak. Nie aż tak miłe.

- To ...

- Co? - Odchylił głowę i wpatrzył się w nią.

- To jest chyba jeszcze lepsze.

- Masz na myśli całkowity bezruch?

Ścisnęła udami jego pośladki, objęła go mocniej i całkowicie unieruchomiła.

- Coś takiego. To, że cię mam ...

- Hmm. - Przytulił twarz do jej szyi. Ale po długiej chwili jęknął. - Przepraszam. Nie mogę leżeć w bezruchu.

Uniosła biodra i sapnęła:

- Ja też.

Żeby się nie potknąć, zatrzymała się, wykonała skłon do przodu, oparła dłonie na kolanach i wciągnęła w płuca parne, ciężkie powietrze. Mrugając powiekami, usunęła z oczu słony pot. Potem próbowała osuszyć je wierzchem dłoni, zdała sobie jednak sprawę, że ręka jest również mokra.

Musi przestać o tym myśleć. Wspólnie spędzony wieczór był dla niej szalenie romantyczny, on jednak mógł traktować to jako coś całkiem zwyczajnego, chociaż mówił mnóstwo pięknych, poetycznych słów.

To i tak nie ma żadnego znaczenia - przypomniała sobie.

Nieważne, co on o niej sądzi i czy w ogóle o niej myśli. Nigdy więcej się nie spotkają.

Kiedy odzyskała oddech, a jej serce przestało bić jak szalone, zbiegła schodkami z wału. Co prawda bieg był wyczerpujący, ale to nie on pozbawił ją energii. Powodem takiego stanu rzeczy była pewność, że już nigdy więcej nie zobaczy mężczyzny, którego właśnie poznała. Mieszkała zaledwie kilka przecznic od Battery, ale powrót spacerowym krokiem do domu okazał się bardziej wyczerpujący niż cały bieg.

Pograżona w ponurych myślach, otworzyła żelazną furtkę.

W tym momencie przestraszył ją ostry klakson. Obróciła się. Przy krawężniku z piskiem opon zatrzymał się mercedes kabriolet.

Kierowca zsunął na czubek nosa okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na nią znad oprawek.

- Dobry wieczór - powiedział Bobby Trimble z południowym akcentem. - Przez cały dzień do ciebie dzwoniłem i właśnie miałem zamiar zrezygnować.

- Co ty tu robisz?

Spojrzał na nią z wyrzutem. Na ten widok dostała gęsiej skórki.

- Wynoś się stąd i daj mi święty spokój.

- Drażnienie się ze mną to kiepski pomysł. Zwłaszcza teraz. Gdzie byłaś przez cały dzień?

Nie odpowiedziała.

Uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony jej uporem.

- Nieważne. Wsiadaj.

Pochyliwszy się nad siedzeniem, otworzył drzwi samochodu od strony pasażera. Musiała uskoczyć do tyłu, żeby nie uderzyły jej w łydkę.

- Jesteś szalony, jeśli sądzisz, że gdziekolwiek z tobą pojedę. Sięgnął po kluczyki.

- Świetnie, w takim razie wejdę do środka.

- Nie!

Zachichotał.

- Tak właśnie myślałem. - Klepnął siedzenie pasażera i warknął: - Posadź tu ten swój słodki tyłeczek. I to już!

Wiedziała, że Bobby łatwo się nie podda i nie odjedzie.

Zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie musiała się z nim uporać, więc dlaczego nie zrobić tego od razu? Wsiadła do samochodu i ze złością trzasnęła drzwiami.

Hammond postanowił jak najszybciej złożyć kondolencje wdowie po Lucie Pettijohnie. Gdy skończył rozmowę z Maasonem i pożegnał się ze Steffi, wziął prysznic i przebrał się. Po kilku minutach siedział już w samochodzie.

Czekając przed rezydencją Pettijohna, aż ktoś otworzy mu bramę, bezmyślnie obserwował ludzi spacerujących w niedzielny wieczór po Battery. W parku po przeciwnej stronie para turystów fotografowała posiadłość, w ogóle nie zwracając uwagi na to, że Hammond znajduje się w kadrze. Wzdłuż nabrzeża przesuwały się ciemne sylwetki spacerowiczów i wielbicieli joggingu.

Wpuściła go Sarah Birch. Poprosiła, by zaczekał w foyer, po czym poszła go zaanonsować. Po chwili wróciła.

- Pani Davee prosi, żeby wszedł pan na górę, panie Cross. Poprowadziła go schodami na piętro, potem przez galeryjkę, szeroki korytarz i gigantyczną sypialnię aż do łazienki. Czegoś takiego Hammond nigdy nie widział. Pod witrażowym świetlikiem znajdowała się wtopiona w podłogę wanna z wirami wodnymi. Była na tyle duża, że zmieściłaby się w niej drużyna siatkówki. Po powierzchni wody pływały kremowe kwiaty magnolii wielkości talerzy.

Wydające się nie mieć końca, wyłożone lustrami ściany odbijały blask padający z pachnących świec, które płonęły w porozstawianych po całym pomieszczeniu kunsztownych lichtarzach. W jednym kącie stał obity jedwabiem szezlong zarzucony dekoracyjnymi poduszkami. Złota umywalka rozmiarami przypominała balię. Na półce ustawiono kryształowe słoiczki na kremy i buteleczki z perfumami, harmonizujące z kryształową baterią.

Płatki na temat wydatków, które Lute poniósł na odnowę domu, przypuszczalnie były dalekie od prawdy. Chociaż Hammond często bywał w tej rezydencji przy okazji różnych wydarzeń towarzyskich, pierwszy raz został wpuszczony na piętro.

Słyszał pogłoski o przepychu, nie spodziewał się jednak aż takiej rozrzutności.

Przez myśl mu też nie przeszło, że zostanie wdową nagą i pomrukującą z przyjemności. Doskonale zbudowany masażysta bębnił brzegami dłoni po jej udach.

- Nie masz nic przeciwko temu, Hammondzie? - spytała Davee Pettijohn.

Masażysta owinął ją prześcieradłem, okrywając wszystko oprócz ramion i nogi, którą właśnie masował.

Hammond uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Nie, jeśli tylko tobie to nie przeszkadza. Uśmiechnęła się do niego znacząco.

- Przecież dobrze mnie znasz. Nie mam w sobie ani odrobiny wstydu. Ta skaza na charakterze często doprowadzała moją mamę do szału. Oczywiście i bez tego była szalona.

Położyła brodę na złożonych rękach i westchnęła, gdy masażysta zaczął ugniatać jej pośladek.

- Jesteśmy właśnie w samym środku dziewięćdziesięciminutowej sesji. To takie boskie uczucie, że po prostu żal mi było przerwać.

- Nie mam o to do ciebie pretensji. Chociaż to zabawne.

- Co takiego?

- Lute wziął wczoraj masaż w hotelowym centrum odnowy biologicznej.

- Zanim dał się zabić czy potem? - Widząc jego zmarszczone czoło, wybuchnęła śmiechem. - Żartuję. Należ sobie szampana, dobrze? - Leniwym machnięciem ręki wskazała stojące obok toaletki srebrne wiaderko z lodem. Butelka była już otwarta, ale na srebrnej tacy stał dodatkowy kieliszek, którego dotąd nikt nie używał. Hammond pomyślał, że Davee mogła się go spodziewać. To go trochę zaniepokoiło.

- Dzięki, ale lepiej nie - mruknął.

- Na litość boską - powiedziała ze zniecierpliwieniem. - Nie bądź taki sztywny. Żadne z nas nigdy nie robiło zbędnych ceregieli, więc dlaczego miałbyś zaczynać właśnie teraz? Poza tym sądzę, że szampan idealnie pasuje do sytuacji, kiedy współmałżonek zostaje zastrzelony w apartamencie własnego dziwnego hotelu. A skoro już tam jesteś, nalej mi następnego.

Jej kieliszek stał na podłodze obok stołu do masażu. Wiedząc, że nie ma sensu sprzeczać się z Davee, Hammond nalał jej szampana i do połowy napełnił swój kieliszek. Stuknęli się brzegami.

- Zdrowko. Za pogrzeby i inne zabawne wydarzenia.

- Nie całkiem podzielim twoje zapatrywania - wyznał, upiwszy łyżeczek.

Oblizła językiem wargi, by poczuć smak szampana.

- Może masz rację. Może szampana powinno się pić tylko na weselach.

Kiedy uniosła wzrok, Hammond oblał się pąsem. Odgadując jego myśli, roześmiała się.

Dokładnie tak samo śmiała się w pewną pamiętną lipcową noc wiele lat temu. Ona była druhną, a on drużbą na ślubie ich wspólnej przyjaciółki. Przyjęcie odbywało się w domu panny młodej. Cały ogród udekorowany został gardeniami, liliami, peoniami i innymi wonnymi kwiatami. Wszechobecny podniecający zapach kwiecica odurzał w takim samym stopniu jak szampan, który Hammond dosłownie żłopał, na próżno

usiłując trochę się ochłodzić, w czym skutecznie przeszkadzał mu frak.

Wszystkie drużyny wyglądały jak wybrane przez agencję szukającą młodych talentów. Wśród ośmiu niezwykle uroczych blondynek najpiękniej prezentowała się Davee. Miała na sobie falbaniastą, różową, długą do ziemi suknię z głębokim dekoltem.

- Wyglądasz tak ładnie, że chętnie bym cię schrupał - zażartował przed kaplicą na moment przed ślubem. - Albo wypił. Brakuje ci tylko papierowej parasolki na czubku głowy.

- Rzeczywiście, potrzeba jeszcze tylko papierowej parasolki, żeby ta suknia stała się naprawdę odrażająca. - Nie podoba ci się? - spytał prowokująco. Pstryknęła palcami.

Nieco później, już podczas przyjęcia, kiedy po kilku porywających tańcach zeszli z parkietu, Davee powachlowała twarz.

- Ta kiecka jest nie tylko niewiarygodnie wyszukana. Do jasnej cholery, nigdy nie miałam na sobie stroju, w którym byłoby mi tak potwornie gorąco.

- To go zdejmij.

Burtonowie i Crossowie zostali przyjaciółmi, nim Davee i Hammond pojawili się na świecie. Dlatego we wszystkich jego najwcześniejszych wspomnieniach związanych z przyjęciami bożonarodzeniowymi i posiłkami na plaży obecna była również Davee. Wieczorami dorośli zaganiali dzieciaki do łóżek, a sami dalej się bawili. Wtedy to Hammond i Davee płatali figle opiekunkom, które miały pecha się nimi zajmować.

Razem wypalili pierwsze papierosy. Kiedy Davee zaczęła mieszać, natychmiast z poczuciem wyższości poinformowała o tym Hammonda. Gdy po raz pierwszy się upiła, zarzygała mu cały samochód. Po utracie dziewictwa szybko wróciła do domu i zadzwoniła do niego, żeby zdać dokładną relację.

W dzieciństwie stworzyli na swoje potrzeby słownik brzydkich wyrazów, którymi posługiwali się w rozmowach, nawet mając już po kilkanaście lat. Po pierwsze, było to zabawne, a po drugie, uchodziło im na sucho. Żadne nie obgadywało drugiego ani się nie obrażało. Gdy zaczęli wkraczać w dorosłe życie, ich przekomarzenia bardziej przypominały flirt i nabrały zmysłowego charakteru, ale nie przekraczały granic żartu, dzięki czemu nikomu nic nie groziło.

W okresie poprzedzającym ów lipcowy ślub przebywali z dala od Charlestonu, ponieważ każde studiowało na innym uniwersytecie - on w Clemson, ona w Vanderbilt - i bardzo długo się nie widzieli. Oboje byli nieco wstawieni, jako że wypili sporą ilość szampana, na dodatek dali się porwać towarzyszącej ślubowi romantycznej atmosferze. Kiedy więc Hammond rzucił to nieeleganckie wyzwanie, Davee przyjrzała mu się mętными oczyma i odparła:

- Może to zrobię.

Gdy wszyscy się zebrali, by patrzeć na krojenie tortu weselnego, Hammond z jednego z barków ukradł butelkę szampana i chwycił Davee za rękę. Wymknęli się na podwórko sąsiadów, wiedząc, że ci są na przyjęciu. Trawniki oddzielone były wysokim, gęstym żywopłotem, pielęgnowanym od dziesięcioleci po to, by zagwarantować właścicielom obu posesji prywatność, której Hammond i Davee właśnie szukali.

Gdy otworzył butelkę, wystrzał korka zabrzmiał jak huk armatni. Słyszac go, wybuchnęli histerycznym śmiechem. Hammond nalał obojgu po kieliszku. Wypili do dna. Podobnie jak i następną kolejkę.

Przy trzeciej Davee poprosiła Hammonda, żeby pomógł jej rozpiąć z tyłu sukienkę, po czym zrzuciła ją razem z pozbawionym ramiączek stanikiem, paskiem i pończochami.

Wsuwając kciuk za gumkę majtek, zawahała się, ale Hammond szepnął:

- Odwagi, Davee.

Był to dobrze znany refren, często powracający w ich dzieciństwie i młodości. Davee nigdy się nie cofała. Tak samo było i tym razem.

Zdjęła figi. Kiedy napatrzył się na nią do syta, zeszła schodami prowadzącymi do basenu i zanurzyła się w zimnej wodzie. Hammond zrzucił z siebie frak. Zajął mu to zaledwie ułamek czasu, którego potrzebował na włożenie tego stroju. Spinki prysnęły na bok - nigdy więcej ich już nie zobaczył.

Kiedy stanął na brzegu basenu, oczy Davee zrobiły się okrągłe ze zdumienia i oczekiwania.

- Hammondzie, kochanie, całkiem nieźle cię wyciągnęło od czasu, kiedy przyłapano nas na zabawie w doktora.

Zanurkował.

Pominawszy eksperymentalne dziecięce całusy, kiedy oboje uznali, że to zbyt "grubiańskie", by w ogóle brać pod uwagę otwieranie ust i dotykanie się językami, nigdy się nie całowali. Nie robili tego również tej nocy. Zbyt im się spieszyło. Niebezpieczeństwo, że zostaną przyłapani, tak spotęgowało podniecenie, że wcale nie potrzebowali gry wstępnej. Dotarłszy do Davee, Hammond wziął ją w objęcia i wsunął się w nią.

Była już wilgotna. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Przez cały czas się śmiali.

Od tamtej nocy Hammond kilka lat nie widział Davee. Gdy ponownie się spotkali, udawał, że nie było żadnej wyprawy na basen, a ona zachowywała się podobnie. Prawdopodobnie żadne z nich nie chciało, by jeden seksualny wyskok naraził na szwank wieloletnią przyjaźń.

Aż do tej chwili nigdy o tym nie wspomnieli. Hammond nawet nie pamiętał, jakim cudem owej pamiętnej nocy wbili się z powrotem w ubrania ani jak wyjaśnili swoją nieobecność innym uczestnikom przyjęcia, a nawet czy w ogóle żądano od nich jakichkolwiek wyjaśnień.

Dokładnie jednak zapamiętał śmiech Davee - śmiały, kipiący energią, kusicielski i seksowny. Taki pozostał do dziś.

- Dobrze bawiliśmy się w dzieciństwie, prawda? - powiedziała ze smutnym uśmiechem.

- Tak.

Przeniosła wzrok na bąbelki w swoim kieliszku, przez chwilę je obserwowała, a potem wypila szampana do dna.

- Niestety, musieliśmy wydorosnąć, a wtedy życie stało się koszmarem.

Bezszelstnie opuściła rękę ze stołu. Hammond wziął od niej kieliszek, żeby go nie upuściła i nie rozbiła na marmurowej posadzce.

- Przykro mi z powodu Lute'a, Davee. Chciałbym ci powiedzieć, iż moim zdaniem to, co się stało, jest okropne. Z pewnością jutro zadzwonią albo przyjdą do ciebie również moi rodzice.

- Och, jutro przez ten dom przewinie się mnóstwo pełnych współczucia osób. Dzisiaj nie zgodziłam się nikogo przyjąć, ale jutro nie zdołam ich przepędzić. Przyniosą ze sobą pieczone kurczaki i galaretkę, a potem będą się tłoczyły, żeby zobaczyć, jak to znośnię.

- A jak to znośnię?

Zauważywszy subtelną zmianę w jego głosie, obróciła się na bok, podciągnęła prześcieradło na piersi i usiadła, spuszczać gołe nogi ze stołu.

- Pytasz jako przyjaciel czy jako bezsporny spadkobierca urzędu prokuratora okręgowego?

- W tej drugiej sprawie mógłbym się z tobą sprzeczać, ale przyszedłem jako przyjaciel. Chyba nie muszę ci tego mówić.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- No cóż, nie spodziewaj się worka pokutnego, popiołu ani włosiennicy. Nie będzie tych biblijnych akcesoriów. Nie zamierzam również obcinać sobie palca ani robić innych tego typu rzeczy, jak indiańskie wdowy w filmach. Nie, spróbuję stosownie się zachowywać. Dzięki Lute'owi wystarczy tematu do plotek, nie ma więc potrzeby, żebym pokazywała, co naprawdę czuję.

- A co naprawdę czujesz?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha tak samo jak tego wieczoru, kiedy kłaniała się gościom na swoim debiutanckim balu.

- Jestem niezmiernie zadowolona, że ten sukinsyn nie żyje. Jej miodowe oczy zachęcały Hammonda, by jakoś to skomentował. Kiedy jednak tego nie zrobił, po prostu roześmiała się, a potem przez ramię powiedziała do masażysty:

- Sandro, proszę, bądź tak dobry, zajmij się moją szyją i plecami.

Wcześniej, kiedy usiadła, mężczyzna stanął przy wyłożonej lustrami ścianie i skrzyżował ręce na klatce piersiowej. Był przystojny i atletycznie zbudowany. Proste czarne włosy zaczesywał do tyłu i przytrzymywał gęstym żelem. Ciemne śródziemnomorskie oczy przypominały dojrzałe oliwki.

Kiedy stanął za Davee i położył dłonie na jej nagich ramionach, z natężeniem wpatrzył się w Hammonda, jakby oceniał konkurenta. Widocznie jego usługi nie ograniczały się tylko do masażu. Hammond miał ochotę mu powiedzieć, że jest starym przyjacielem Davee, nikim więcej, i że on nie musi być o niego zazdrosny.

Jednocześnie chciał ostrzec Davee, że teraz nie pora na łamanie konwenansów i pieprzenie się z masażystą. Przynajmniej ten jeden jedyny raz powinna zachować dyskrecję. Chyba że pomylił się w swoich przypuszczeniach i - zgodnie z tym, co mówiła Steffi - Davee znalazłaby się na pierwszym miejscu listy podejrzanych Rory'ego Smilowa. Wtedy wyjątkowo bacznie przyglądano by się każdemu jej posunięciu.

- Podziwiam twoją szczerość, Davee, ale ...

- Po co kłamać? Lubieś Lute'a?

- Wcale nie - odparł szczerze i bez wahania. - Był kanciarzem, łajdakiem i bezwzględny oportunistą. Krzywdził ludzi, którzy mu na to pozwalali, i wykorzystywał tych, których nie mógł zranić.

- Ty również jesteś szczerzy, Hammondzie. Większość ludzi ma dokładnie takie samo zdanie. Nie ja jedna gardzę Lute'em. - Zgoda, ale ty jesteś wdową po nim.

- Tak, jestem wdową po nim - przyznała z lekką drwiną. - Na pewno można powiedzieć o mnie dużo złego, ale nikt nie zarzuci mi hipokryzji. Nie będę opłakiwać tego drania.

- Davee, gdyby nieodpowiedni ludzie usłyszeli, że mówisz takie rzeczy, wpakowałabyś się w niezłe tarapaty.

- Ludzie w rodzaju Rory'ego Smilowa i tej suki, którą wczoraj wieczorem tu przyprowadził?

- Dokładnie.

- Steffi pracuje razem z tobą, prawda? - Kiedy przytaknął, wyznała: - Moim zdaniem jest okropna!

Uśmiechnął się.

- Niewiele osób lubi Steffi. To bardzo ambitna osobka.

Działa innym na nerwy, ale w ogóle się tym nie przejmuje. Z pewnością nie wygrałaby konkursu na najciekawszą osobowość.

- To dobrze. Myślę, że by go przegrała.

- Ale kiedy pozna się ją nieco lepiej, potrafi być naprawdę całkiem sympatyczna. - Rezygnuję.

- Spróbuj zrozumieć, skąd to się bierze.

- Skądś z Północy.

Zachichotał.

- Nie miałem na myśli regionu, Davee. Chodziło mi o jej postępowanie. Spotkało ją w życiu kilka porażek. Usiłuje sobie to zrekompensować, chociaż czasami za bardzo naciska.

- Jeśli nie przestaniesz jej bronić, zacznę krzyczeć.

Wyciągnęła rękę do tyłu i odgarnęła włosy z szyi, żeby Sandro miał łatwiejszy dostęp. To była bardzo prowokacyjna poza, ponieważ przy okazji odsłaniała pachę i część piersi. Hammond przypuszczał, że Davee świadomie go kokietuje. Zastanawiał się, czy próbuje w ten sposób rozproszyć jego uwagę.

- Czy sądzisz, że naprawdę mogą podejrzewać mnie o to morderstwo? - spytała.

- Dzięki niemu odziedziczysz mnóstwo pieniędzy.

- Jeśli o to chodzi, to zgoda - ustąpiła w zamyśleniu. - Na dodatek wszyscy wiedzą, że mój świętej pamięci małżonek miał w życiu tylko jeden cel - delikatnie mówiąc, starał się zaliczyć jak najwięcej moich przyjaciółek. Nie wiem, czy kręcił się wśród nich dlatego, że należą do najbardziej pożądanym kobiet w Charlestonie, czy uważał je za pożądane, ponieważ są moimi przyjaciółkami. Prawdopodobnie to drugie. Georgia Arendale ma tylek większy niż pancernik, ale to i tak nie przeszkodziło mu spędzić z nią dnia na plaży w Kiawah. Idę o zakład, że ciężko się poparzyła, bo żeby pokryć taką ilość cellulitisu, trzeba zużyć całą tubkę kremu. Z kolei Emily Southerland, choć przeszła niejednym chemicznym peeling, ma fatalną karnację, niemniej podczas przyjęcia

noworocznego Lute przeleciał ją w tej jej koszmarnej damskiej toalecie, z muszlą, której siedzenie pokryte jest sztucznym futrem.

Hammond roześmiał się, chociaż Davee wcale nie starała się go rozbawić.

- Tymczasem ty, oczywiście, cały czas byłaś mu wierna.

- Oczywiście.

Pozwoliła, by prześcieradło zsunęło się o kilka centymetrów, i zatrzepotała rzęsami, pragnąc podkreślić kłamstwo.

- Wasze małżeństwo nie należało do idealnych, Davee.

- Nigdy nie twierdziłam, że kocham Lute'a. Prawdę mówiąc, wiedział, że nie darzę go miłością. Ale nikomu to nie przeszkadzało, ponieważ on również nie żywił do mnie żadnych uczuć. Nasze małżeństwo służyło pewnym celom. On chciał się mną chwalić. Był jedynym mężczyzną w Charlestonie o tak dużych jajach, że udało mu się zdobyć Davee Burton. Natomiast ja ... - przerwała i zrobiła bolesną minę. - Ja też miałam powód, by wyjść za niego za mąż, ale wcale nie uczyniłam tego w pogoni za szczęściem.

Opuściła rękę i uwolniła włosy. Sandro zsunął dłonie niżej, by rozmasować dolną partię jej kręgosłupa.

- Widzę, że się krzywisz, Hammondzie. O co chodzi?

- Wszystko, o czym właśnie mówisz, można uznać za motyw morderstwa.

Roześmiała się pogardliwie.

- Gdybym miała zamiar zabić Lute'a, nie zrobiłabym tego w taki sposób. Nie biegłabym jak jakiś nędzarz z rewolwerem do centrum, zwłaszcza w upalne sobotnie popołudnie, kiedy miasto jest zatłoczone przez śmierdzących, spoconych jankeskich turystów, a już z całą pewnością nie strzeliłabym mu w plecy.

- Może chciałaś, żeby tak właśnie pomyślała policja.

- Psychologia przeciwieństw? Nie jestem taka mądra, Hammondzie.

Przyjrzał się jej w sposób, który mówił: Ależ jesteś.

- W porządku - przyznała, bezbłędnie rozszyfrowując wyraz jego twarzy. - Jestem. Ale do tego musiałabym być również pracowita, a nikt dotychczas nie oskarżył mnie o to, że lubię przysparzać sobie kłopotów albo wyrzekać się wygód. Po prostu nic nie jest w stanie zmusić mnie do wykrzesania z siebie takiego zapалу.

- Wierzę ci - przyznał i naprawdę tak myślał. - Nie sądzę jednak, by istniał jakikolwiek precedens prawny, w którym adwokat powoływałby się na lenistwo oskarżonego.

- Adwokat? Naprawdę sądzisz, że będę go potrzebować?

Czy inspektor Smilow istotnie uważa mnie za podejrzaną? To szaleństwo! - zawołała. - Przecież on sam miał dużo lepszy powód, by zabić mojego męża, niż ja. Smilow nigdy nie wybaczył Lute'owi tego, co się stało z jego siostrą.

Hammond zmarszczył czoło.

- Nie pamiętasz? Siostra Smilowa, Margaret, była pierwszą żoną Lute'a. Prawdopodobnie miała nie rozpoznany zespół maniakalno-depresyjny, ale małżeństwo z Lute'em ją zgubiło. Pewnego dnia nie wytrzymała i

podczas lunchu opróżniła opakowanie tabletek. Kiedy popełniła samobójstwo, Smilow całą winą obarczył Lute'a, utrzymując, że zaniedbywał swoje obowiązki, maltretował ją psychicznie i zawsze ignorował specjalne potrzeby biednej Margaret. Tak czy inaczej, na jej pogrzebie doszło między nimi do ostrej wymiany zdań, która wywołała ogromny skandal. Nie pamiętasz?

- Teraz, kiedy mi przypomniałaś, coś kojarzę.

- Od tego czasu Smilow nienawidzi Lute'a. Więc nie mam zamiaru się o niego martwić - stwierdziła, zgodnie z sugestią Sandra przesuwając pośladki. - Jeśli oskarży mnie o zamordowanie Lute'a, skieruję piłkę do jego bramki, przypominając mu, jak często groził mojemu mężowi, że go zabije.

- Dużo bym dał, żeby to zobaczyć - wyznał Hammond. Odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech, spytała:

- Skończyłeś już swojego szampana. Chcesz jeszcze?

- Nie, dzięki.

- Za to ja się napiję. - Kiedy nalewał, spytała: - Monroe

Mason zdążył się już z tobą skontaktować, prawda? Będziesz oskarżycielem w tej sprawie?

- Takie są plany. Dzięki za rekomendację. Opróżniła kieliszek, który jej wręczył.

- Mogę być taka czy owaka, Hammondzie, ale zawsze jestem wierną przyjaciółką. Nigdy w to nie wątp.

Żałował, że to powiedziała. Prokurator okręgowy Mason poinformował swoich ludzi, że przechodzi na emeryturę. Jego zastępca, Wallis, był nieuleczalnie chory - na pewno w zbliżających się listopadowych wyborach nie będzie się ubiegał o urząd. Hammond był trzeci w kolejce. Praktycznie biorąc, miał zagwarantowane poparcie Masona w walce o stołek.

Niemniej fakt, że Davee poparła go w rozmowie z Masonem, trochę niepokoił Hammonda. Chociaż był jej wdzięczny za rekomendację, zdawał sobie sprawę, że gdyby to ona została oskarżona o morderstwo, mógłby się znaleźć między młotem a kowadłem. - Davee, muszę cię spytać ... jak mocne jest twoje alibi?

- Sądzę, że można je określić mianem "żelaznego".

- To dobrze.

Odrzuciwszy do tyłu głowę, roześmiała się.

- Hammond, kochanie, jesteś po prostu cudowny! Tak naprawdę obawiasz się, że będziesz musiał oskarżyć mnie o morderstwo, prawda?

Zsunęła się ze stołu do masażu i podeszła doń na palcach, z prześcieradłem w garści, częściowo ciągnąc je za sobą. Pocałowała go w policzek.

- Możesz się nie martwić. Gdybym miała zamiar zabić Luute'a, nie strzelałabym mu w plecy. Jaką miałabym z tego radość? Pociągając za spust, wołałabym patrzeć temu draniowi prosto w oczy.

- To wcale nie jest lepsze uzasadnienie niż lenistwo, Davee.

- Niczego nie będziesz musiał uzasadniać. Mogę złożyć przysięgę na święty krzyż, że nie zabiłam Lute'a. - Przekuwając słowa w czyn, uczyniła na piersi znak krzyża. - Nigdy nikogo bym nie zabiła.

Z prawdziwą ulgą usłyszał w jej zaprzeczeniu niezłomne przekonanie.

Potem wszystko zepsuła, dodając:

- Więzienne stroje są całkiem niegustowne.

Davee leżała na plecach, z zamkniętymi oczami, usatysfakcjonowana i rozluźniona po masażu i po stosunku, w którym nie musiała nawet brać aktywnego udziału, ograniczając się do czerpania przyjemności z orgazmu. Za sprawą dotyku, który czuła na udzie, wiedziała, że masażysta też jest podniecony, ale całkowicie zignorowała ten fakt. Delikatnie musnął językiem jej brodawkę.

- Dziwne - mruknął z obcym akcentem.

- Co takiego?

- Szeta twój przyjaciel robisz aluzje, ale nie zapytaj wprost, czy ty zabijesz twój mąż.

Odepchnęła go.

- O czym ty mówisz? Wzruszył ramionami.

- On byc twój przyjaciel, dlatego nie chce wiedziec na pewno, czy ty to zrobisz, czy nie.

Davee spojrzała w pustą przestrzeń nad jego ramieniem i mimo woli wypowiedziała na głos to, co właśnie pomyślała:

- Albo już wie, że tego nie zrobiłam.

Rozdział jedenasty

Odjeżdżając spod rezydencji Pettijohna, Hammond miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał przesłuchiwać Davee w charakterze świadka. Liczył na to z dwóch powodów.

Po pierwsze, byli przyjaciółmi. Lubił ją. Nie uważał jej za chodzący ideał, ale cenił za to, że nie udawała cnotliwej. Miała prawo twierdzić, iż nie jest hipokrytką.

Znał dziesiątki kobiet, które bez przerwy ją obgadywały, chociaż pod względem moralnym wcale nie były od niej lepsze. Różnica polegała jedynie na tym, że one grzeszyły w tajemnicy, a Davee robiła to na oczach wszystkich. Uważano ją za próżną egoistkę. Rzeczywiście sprawiała takie wrażenie. Z drugiej strony rozmyślnie podrzucała swoim cenzorom co smakowitsze kąski, by mogli drzeć na samą myśl o jej nagannym zachowaniu i fatalnej reputacji. Nie zdawali sobie sprawy, że osoba, którą poddają ostrej krytyce, wcale nie jest prawdziwą Davee.

Pani Pettijohn starannie ukrywała swoje najlepsze cechy.

Zdaniem Hammonda zabezpieczała się w ten sposób przed zranieniem. Pomna doświadczeń z dzieciństwa, odpychała ludzi, by nie mogli jej odtrącić.

Maxine Burton kiepsko się spisała jako matka. Nie darzyła córek uczuciem, nie poświęcała im też zbyt dużo uwagi. Nie zrobiła nic, by zdobyć sobie ich miłość i szacunek. Mimo to Davee regularnie odwiedzała matkę w elitarnym domu spokojnej starości, do którego ją oddano.

Nie tylko finansowała i osobiście nadzorowała opiekę nad Maxine, lecz również podczas cotygodniowych wizyt dbała o wszelkie jej potrzeby. Prawdopodobnie Hammond był jedyną postronną osobą, która o tym wiedziała, a i on nie miałby o niczym pojęcia, gdyby nie zdradziła mu tego Sarah Birch.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego nie chciałby przesłuchiwać Davee. Chodziło o to, że potrafiła uroczo kłamać. Tak miło się jej słuchało, iż nikt się nie przejmował, czy mówi prawdę, czy całkowicie się z nią mija.

Przysięgli uznaliby ją za zabawną. Gdyby została wezwana do złożenia zeznań, przybyłaby na salę rozpraw ubrana jak morderczyni. Już na sam jej widok przysięgli wyteżyliby uwagę. Podczas zeznań innych świadków mogliby drzemać, ale na pewno wysłuchaliby wszystkich ociekających miodem słów Davee, wręcz wisieliby na jej wargach.

Gdyby zeznała, że nie zabiła Lute'a, ale wcale nie rozpacza z powodu jego śmierci, ponieważ był niewiernym mężem, który wielokrotnie ją oszukał, na domiar złego należał do najbardziej nikczemnych i okrutnych ludzi na świecie, dlatego zasłużył sobie na śmierć - przysięgli obu płci prawdopodobnie by się z nią zgodzili. Przekonałaby ich, że podły charakter Pettijohna i jego karygodne czyny całkowicie uzasadniają morderstwo.

Nie, nie chciałby włączać Davee do postępowania procesowego. Jeśli jednak okaże się to konieczne, nie będzie miał innego wyjścia.

W swojej karierze nie mógł liczyć na większe, szczęście niż możliwość prowadzenia tej sprawy. Miał nadzieję, że ludzie Smilowa dostarczą mu wielu dowodów, że oskarżony nie będzie próbował pójść na ugodę i że sąd wdroży przeciw niemu postępowanie.

Pragnąc sprostać wyzwaniu, trzeba będzie dobrze wgrzyźć się w tę sprawę. Całkowicie się na niej skupić. A potem się sprawdzić. Hammond rzeczywiście miał zamiar startować w listopadowych wyborach na stanowisko prokuratora okręgowego. Zależało mu na wygranej. Ale nie chciał zawdzięczać zwycięstwa temu, że jest przystojniejszy, pochodzi z lepszej rodziny lub ma zasobniejszą kieszeń niż jakiś inny kandydat albo kandydaci. Chciał dostać ten urząd za swoje zasługi.

Bardzo rzadko zdarza się tak wielki proces jak ten, w którym sądzony będzie morderca Lute'a Pettijohna. Dla Hammonda była to ogromna gratka. Dlatego nie powiedział Monroe Maasonowi o swoim spotkaniu z Pettijohnem. Po prostu musiał dostać tę sprawę. Nie mógł dopuścić, by coś przeszkodziło w doprowadzeniu do procesu. Dzięki niemu znajdzie się w centrum zainteresowania opinii publicznej, co niezwykle mu się przyda w listopadowych wyborach.

Ta sprawa stwarzała również doskonałą okazję do tego, by zrobić na złość ojcu.

Zresztą był to najważniejszy powód. Kilka lat temu Hammond podjął decyzję, że rezygnuje z adwokatury i przechodzi na stronę oskarżenia. Preston Cross głośno protestował, powołując się na dużo gorsze możliwości zarobkowania. Powiedział Hammondowi, że tylko szaleniec poprzestaje na państwowej posadce zapewniającej tak niewielkie wynagrodzenie. Dopiero niedawno wyszło na jaw, że ojcu chodziło nie tylko o kwestie finansowe.

Decyzja Hammonda sprawiła, że każdy z nich znalazł się po przeciwnej stronie barykady. Wszystko dlatego, że Preston był partnerem Lute'a Pettijohna. Uczestniczył w pewnych niezbyt czystych interesach polegających na wykupie ziemi, toteż obawiał się, że syn może go oskarżyć. Kiedy Hammond dokonał tego odkrycia, przeprowadził z ojcem niemiłą rozmowę, która tylko jeszcze bardziej nasiliła ich dotychczasową wrogość.

Teraz jednak nie mógł o tym myśleć. Im dłużej zastanawiał się nad sytuacją ojca, tym bardziej podupadał na duchu. Dokładna analiza ich wzajemnej relacji wymagała czasu, wyczerpywała emocjonalnie i zdecydowanie do niczego nie prowadziła. Hammond nie liczył zbyt na pojednanie.

Na razie odłożył ten problem do szuflady i skupił się na tym, co nagle stało się jego priorytetem - na sprawie morderstwa Lute'a Pettijohna.

Zerwanie ze Steffi było dziełem przypadku. Ale dzięki temu uwolnił się od układu, który go unieszczęśliwiał i mógł utrudniać koncentrację. Pani prokurator będzie wściekła, gdy się dowie, że ma grać drugie skrzypce, ale w razie potrzeby Hammond na pewno sobie z nią poradzi.

Ten dzień oznaczał dla niego początek nowego życia ... które w rzeczywistości zaczęło się poprzedniego wieczoru.

Oddaliwszy się od rezydencji Pettijohna, przytrzymał kierownicę jedną ręką, a drugą wyjął z kieszeni na piersi świstek papieru i sprawdził zapisany na nim adres.

Steffi, zasapana, wpadła na salę.

- Przybiegłam najszybciej, jak mogłam. Co mnie ominęło? Smilow złapał ją przez telefon komórkowy, gdy wychodziła z mieszkania Hammonda. Zgodnie z obietnicą zadzwonił, jak tylko lekarz dyżurny wydał pozwolenie na przesłuchanie pacjentów. - Chcę przy tym być, Smilow - powiedziała przez telefon.

- Nie mogę czekać. Pan doktor może uchylić zgodę, jeśli nie skorzystam z niej od razu.

- W porządku, ale rób to powoli. Już jadę.

Mieszkanie Hammonda było niedaleko szpitala. Mimo to Steffi przekroczyła wszystkie możliwe limity prędkości. Bardzo chciała wiedzieć, czy któryś z pacjentów cierpiących na zatrucie pokarmowe widział kogoś w pobliżu apartamentu Pettijohna na najwyższym piętrze hotelu.

Wszedłszy na salę, zatrzymała się na chwilę w drzwiach, po czym ruszyła po wykładanej kafelkami podłodze w stronę szpitalnego łóżka. Leżący na nim mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna miał twarz koloru ciasta chlebowego, a zapadnięte w głąb czaszki oczy otaczały ciemne obwódki. Do prawej ręki podłączono mu kroplówkę. Na stojącym obok łóżka stoliku znajdowały się basen i nerka.

Przy łóżku siedziała kobieta. Steffi przypuszczała, że to żona pacjenta. Nie wyglądała na chorą, jedynie wyczerpaną. Ubrana była tak jak większość turystów, to znaczy: miała na sobie tenisówki, szorty i podkoszulek z nadrukiem.

Smilow dokonał prezentacji:

- Państwo Danielsowie, Steffi Mundell. Pani Mundell pracuje w biurze prokuratora okręgowego. Od początku bierze aktywny udział w dochodzeniu.

- Witam pana, panie Danieis.

- Cześć.

- Lepiej się pan czuje?

- Przestałem modlić się o śmierć.

- Sądzę, że to oznacza pewną poprawę. - Spojrzała na siedzącą po drugiej stronie łóżka kobietę. - Pani nie była chora, prawda, pani Daniels?

- Jadłam zupę z krabów - odparła z bladym uśmiechem zapytana.

- Państwo Danielsowie są ostatni z przesłuchiwanym - wyjaśnił Smilow. - Pozostali członkowie grupy nie potrafili nam pomóc.

- A państwo Danielsowie mogą?

- Prawdopodobnie pan Daniels coś wie.

Niezbyt z tego zadowolony mężczyzna jęknął:

- Chyba kogoś widziałem.

Nie mogąc opanować zniecierpliwienia, Steffi próbowała go skłonić, by wyrażał się precyzyjniej.

- Albo pan kogoś widział, albo nie.

Pani Danieis poderwała się na równe nogi.

- Mój mąż jest bardzo zmęczony. Czy ta sprawa nie może poczekać do jutra? Będzie miał wtedy za sobą kolejną noc odpoczynku.

Steffi natychmiast dostrzegła swój błąd i zmusiła się do ustępstwa.

- Przepraszam. Proszę mi wybaczyć moją obcesowość. Obawiam się, że przejęłam kilka złych przyzwyczajęń od ludzi, których sędzę. Zazwyczaj mam do czynienia z mordercami, złodziejami, gwałcicielami, wielokrotnymi przestępcami, a nie osobami tak miłymi jak państwo. Niezbyt często spotykam obywateli, którzy płacą podatki, przestrzegają prawa i żyją w bojaźni bożej.

Po tej tyradzie nie miała odwagi spojrzeć na Smilowa. Wiedziała, że na jego twarzy ujrzy szyderstwo. Pani Daniels zagryzła dolną wargę i skonsultowała się z mężem.

- Wszystko zależy od ciebie, kochanie. Czy jesteś w stanie zrobić to teraz?

Oceniwszy ich wzrokiem, Steffi doszła do wniosku, że przy jej wysokim współczynniku inteligencji nie mają żadnych szans. Wykorzystała ich niezdecydowanie, by dokonać pewnej manipulacji.

- Oczywiście może pan odłożyć tę rozmowę do rana, panie Daniels. Proszę jednak wczuć się w sytuację. Ktoś z zimną krwią zamordował powszechnie znanego obywatela naszego miasta. Strzelono mu w plecy, chociaż nikogo nie prowokował. Przynajmniej o niczym takim nam nie wiadomo. - Oczekała chwilę, aż Danielowie przyjmą jej słowa do wiadomości, a potem dodała: - Mamy nadzieję, że uda nam się złapać tego brutalnego mordercę, nim zdoła ponownie kogoś zaatakować.

- W takim razie nie mogę wam pomóc.

Niespodziewane oświadczenie pana Daniela ogromnie wszystkich zaskoczyło. Pierwszy odzyskał głos Smilow.

- Skąd pan wie, że nie może nam pan pomóc?

- Ponieważ zdaniem pani Mundell morderca był mężczyzną, a ja widziałem kobietę.

Steffi i Smilow wymienili spojrzenia.

- Mówiąc o mordercy jako o mężczyźnie, użyłam pewnego uogólnienia - wyjaśniła.

- No cóż, osoba, którą widziałem, była kobietą - wyznał Danieis, opierając się o poduszki. - Ale nie wyglądała na morderczynię.

- Może pan powiedzieć o niej coś więcej? - spytała Steffi.

- Chodzi państwu o to, jak wyglądała?

- Proszę zacząć od początku i wszystko dokładnie nam opowiedzieć - zasugerował Smilow.

- No cóż, wyszliśmy ... mam na myśli członków naszego chóru ... bezpośrednio po lunchu. Mniej więcej po godzinie zrobiło mi się niedobrze. Początkowo myślałem, że przyczyną mojego kiepskiego samopoczucia jest upał. Ale towarzyszące nam dzieciaki zaczęły wymiotować i skarżyć się na bóle brzucha, uznałem więc, że to coś więcej. Z minuty na minutę czułem się coraz gorzej. W końcu powiedziałem żonie, że wrócę do hotelu, wezmę coś na żołądek, a potem dogonię grupę.

Pani Daniels potwierdziła to wszystko uroczystym kiwnięciem głowy.

- Kiedy dotarłem do hotelu, czułem się ... czułem się, jakbym był naprawdę ciężko chory. Obawiałem się, że nie zdążę dotrzeć na czas do swojego pokoju.

- Kiedy zobaczył pan tę kobietę? - spytała Steffi, pragnąc, by szybciej przeszedł do sedna.

- Gdy zbliżałem się do naszego pokoju.

- Który znajduje się na czwartym piętrze - wyjaśnił Smilow.

- Pięćset sześć - uściślił pan Daniels. - Na końcu korytarza zauważyłem kobietę i zerknąłem w jej stronę. Stała przed którymiś drzwiami.

- Co robiła? - spytał Smilow.

- Nic. Po prostu patrzyła na drzwi, jakby właśnie zapukała i czekała, aż ktoś jej otworzy.

- Jak daleko od niej pan się znajdował?

- Hmm, niedaleko. Ale też nie blisko. Nie zastanawiałem się nad tym. Wie pan, jaka to niezręczna sytuacja, kiedy człowiek nawiąże z kimś obcym kontakt wzrokowy, a w pobliżu nie ma nikogo innego? Tak właśnie było tym razem. Nie chciałem się wydać ani za bardzo sztywny, ani zbyt przyjacielski. W obecnych czasach trzeba uważać, mając do czynienia z innymi ludźmi.

- Czy pan z nią rozmawiał?

- Nie. Jedyne zerknąłem w jej stronę. Prawdę mówiąc, myślałem tylko o jednym: by dotrzeć do ubikacji. - Dobrze pan się jej przyjrzał?

- Nie bardzo.

- Czy potrafiłby pan określić jej wiek?

- Nie była stara. Ale miała więcej niż naście lat. Mogła być mniej więcej w pani wieku - powiedział, zwracając się do Steffi. - Kolorowa?

- Nie.

- Wysoka, niska?

Daniels skrzywił się i rozmasował brzuch poniżej pępka.

- Co ci trzeba, kochanie? - spytała zaniepokojona żona, podstawiając mu nerkę pod brodę.

Odsunął jej dłoń.

- To tylko lekki skurcz.

- Chcesz wody niegazowanej?

- Łyczek.

Pani Daniels uniosła do jego warg kubek z pokrywką. Chory pociągnął napój przez słomkę. Kiedy skończył, ponownie spojrzał na Smilowa.

- O co pan pytał... ach, o jej wzrost? - Potrząsnął głową. Nie zauważyłem. Nie za wysoka i nie za niska. Chyba średnia. - Jaki miała kolor włosów? Czy była blondynką? - spytała Steffi.

- Nie bardzo.

- Nie bardzo? - powtórzył Smilow.

- Nie powiedziałbym, że to blondynka. Nie miała takich włosów jak Marilyn Monroe, rozumie pan? Ale też trudno byłoby ją uznać za brunetkę. Coś pośredniego.

- Panie Daniels, czy mógłby pan nam opisać budowę jej ciała?

- To znaczy ... czy była gruba?

- A była?

- Nie.

- Szczupła?

- Tak. Bardziej niż szczupła. No cóż, można by powiedzieć - chuda. Ale zrozumcie, naprawdę nie zwracałem zbytnej uwagi. Będąc na korytarzu, starałem się po prostu uniknąć przykrego wypadku.

- Podejrzewam, że to wszystko, na co .w tej chwili stać mojego męża - wtrąciła pani Daniels. - Jeśli będziecie chcieli coś jeszcze wiedzieć, przyjdźcie jutro.

- Proszę, jeszcze jedno, już ostatnie pytanie - zaznaczył Smilow. - Czy widział pan, jak ta kobieta wchodziła do apartamentu Pettijohna?

- Nie. Najszybciej, jak mogłem, otworzyłem swoje drzwi tą zabawką przypominającą kartę kredytową i wszedłem do środka. - Potarł zarost na policzku. - Prawdę mówiąc, nie wiem, czy ta kobieta stała przed pokojem, w którym popełniono morderstwo, czy nie. To mógł być każdy apartament w głębi korytarza.

- Chodzi nam o apartament na najwyższym piętrze. Prowadzące do niego drzwi są trochę cofnięte - wyjaśniła Steffi. Wyglądają nieco inaczej niż pańskie. Czy gdybyśmy pokazali panu wejście do apartamentu pana Pettijohna, byłby pan w stanie określić, czy to przed nim stała kobieta, którą pan widział?

- Poważnie w to wątpię. Jak już wspomniałem, jedynie zerknąłem w głąb korytarza. Zauważyłem kobietę stojącą przed drzwiami i czekającą, aż ktoś jej otworzy. To wszystko.

- Jest pan pewien, że nie wychodziła z tego pokoju?

- Nie, nie jestem pewien. - Głos Daniela brzmiał coraz bardziej żałośnie. - Ale odniosłem wrażenia, że czeka. Ani w jej postaci, ani w sytuacji nie dostrzegłem niczego niezwykłego. Szczerze mówiąc, gdybyście mnie o to nie zapytali, nigdy więcej bym o niej nie pomyślał. Chcieliście wiedzieć, czy tego popołudnia widziałem kogoś na korytarzu. Widziałem ją.

Pani Daniels ponownie zaprotestowała. Steffi i Smilow przeprosili za kłopot, podziękowali za informacje i życząc szybkiego powrotu do zdrowia, opuścili salę.

Po wyjściu na szpitalny korytarz Smilow sprawiał wrażenie przybitego.

- Świetnie. Mamy świadka, który widział kobietę. Znajdowała się niezbyt daleko od niego, ale też niezbyt blisko. Mogła stać przed drzwiami apartamentu Pettijohna albo i nie. Nie była ani stara, ani młoda. Miała średni wzrost, nieokreślone włosy i szczupłą sylwetkę.

- Jestem zawiedziona, ale nie zaskoczona - wyznała Steffi. Jak mógł cokolwiek zapamiętać, skoro w tym czasie miał inny problem?

- Niech to diabli! - zaklął Smilow.

- Dokładnie.

Potem zerknęli na siebie nawzajem i wybuchnęli śmiechem. Wciąż jeszcze się śmiali, kiedy z sali męża wyłoniła się pani Danieis.

- W końcu mnie namówił, żebym wróciła do hotelu. Nie byłam tam, odkąd pogotowie zabrało go do szpitala. Zjeżdżacie państwo na dół? - spytała uprzejmie, gdy pojawiła się winda.

- Na razie nie - odparła Steffi. - Chciałabym przedyskutować z inspektorem Smilowem jeszcze jedną sprawę.

- Życzę szczęścia w rozwiązywaniu tej zagadki.

Podziękowali jej za współpracę i chęć pomocy, po czym Steffi skierowała Smilowa w stronę pustej poczekalni. Kiedy usiedli w stojących naprzeciw siebie fotelach, bez żadnych wstępów poinformował ją, że oskarżycielem w sprawie Pettijohna będzie Hammond Cross.

- Mason nagroził nią swojego ulubieńca.

Steffi, nie starając się nawet ukryć zawodu ani urazy, spytała, kiedy się o tym dowiedział.

- Dziś wieczorem. Dzwonił do mnie komendant Crane. Powiedział mi to, ponieważ opowiadałem się za oddaniem tej sprawy w twoje ręce.

- Dzięki. Chociaż nie na wiele się to zdało - podsumowała rozgoryczona. - Kiedy planowano mnie powiadomić o takim, a nie innym rozwoju wypadków?

- Sądzę, że jutro.

Hammond nie miał pojęcia o morderstwie Pettijohna, póki mu o tym nie powiedziała. Widocznie, gdy u niego była, dzwonił Mason. Była podwójnie zła, że w chwilę po tym, jak Hammond zakończył ich romans, pokonał ją też na drodze do kariery.

- Davee Pettijohn pociągnęła za sznurki - zdradził Smilow.

- Tak jak obiecała.

- Powiedziała, że nigdy nie zadowala się miernotą. Widocznie uznała cię za miernotę.

- To nie o to chodzi. Przynajmniej nie całkiem. Po prostu woli, żeby w jej imieniu występował mężczyzna, a nie inna kobieta.

- Racja. Większa szansa. Poza tym jej rodzina od dziesięcioleci przyjaźni się z Crossami.

- A zatem nie chodzi o to, ile kto wie. Liczy się, kto jest kim.

Po chwili milczącej zadumy Steffi wstała i zarzuciła na ramię pasek swojej ciężkiej torby.

- Skoro już nie jestem ...

Smilow machnął ręką, żeby z powrotem usiadła.

- Mason rzucił ci ochłap. Gdy jutro rano wręczy ci oficjalną notatkę, udawaj zaskoczoną.

- Jaki ochłap?

- Jesteś oskarżycielem pomocniczym.

- To żadna niespodzianka. Sprawa taka jak ta wymaga przynajmniej dwóch dobrych głów. - Czuając, że Smilow kryje coś jeszcze w zanadrzu, uniosła brew. - I?

- Masz stać między nami i pilnować, żebyśmy traktowali się jak przyjaciele. Jeśli to zawiedzie, masz zapobiec rozlewowi krwi.

- Tak dokładnie Mason powiedział twojemu szefowi?

- Parafrazuję. - Uśmiechnął się ponuro. - Ale nie musisz się za bardzo martwić. Raczej nie będziemy skakać sobie do gardeł. - Nie jestem pewna. Widziałam was obu gotowych podjąć walkę na śmierć i życie. A tak swoją drogą, o co chodzi? - Nie lubimy na siebie patrzeć.

- Tyle wiem, Smilow. Skąd to się wzięło?

- Długa historia.

- Innym razem?

- Może.

Drażniło ją, że nie odpowiedział na pytanie, które mu zadała.

Chciałaby wiedzieć, co się kryje za wzajemną zajadłą niechęcią Smilowa i Hammonda. Oczywiście prezentowali bardzo różne typy osobowości. Powściągliwość inspektora zniechęcała ludzi, ale - o ile Steffi się nie myliła - był to efekt zamierzony. Hammond miał charyzmatyczny charakter. Na bliską przyjaźń z nim trzeba było sobie zasłużyć, niemniej należał do osób serdecznych i przystępnych. Smilow prezentował dobre maniery i wyjątkowo dbał o swój wygląd, tymczasem Cross nie musiał się wysilać, gdyż natura sama obdarzyła go wdziękiem. Na studiach Smilow znakomicie zdawał wszystkie egzaminy i niezmiennie psuł średnią ocen wszystkim pozostałym. Hammond również uzyskiwał świetne wyniki, ale był też popularnym działaczem studenckim i gwiazdą sportu. Każdy z nich mógł się poszczycić niewiarygodnymi osiągnięciami, ale sukcesy jednego okupione zostały ciężką pracą, podczas gdy drugiemu przyszły z łatwością.

Steffi bardziej identyfikowała się ze Smilowem. Rozumiała jego urazę do Hammonda i była w stanie ją wyjaśnić. Dodatkowo irytował ją fakt, że ten ostatni nie wykorzystywał posiadanych możliwości. Co więcej, odrzucał je. Nie chcąc przyjąć pieniędzy z funduszu powierniczego, sam zarabiał na utrzymanie. Miał ładne mieszkanie, ale stać go było na dużo lepsze. Jediną ekstrawagancją stanowiły żaglówka i chata, ale nigdy nie chwalił się ani jednym, ani drugim.

Dużo łatwiej byłoby go znienawidzić, gdyby afiszował się ze swoimi przywilejami.

Steffi bardzo chciałaby poznać przyczynę antypatii między nim i Smilowem. Mogłoby to być interesujące i ... użyteczne. Obaj reprezentowali prawo i dążyli do tego samego celu, mimo to czasami odnosiła wrażenie, że bardziej gardzą sobą nawzajem niż zatwardziałymi kryminalistami.

- Musi ci być ciężko - zagaił Smilow, wrywając ją z zamyślenia.

- Co masz na myśli?

- Że w ciągu dnia konkurujesz z Hammondem w sprawach zawodowych, a w nocy z nim sypiasz. A może to właśnie dzięki tej rywalizacji wasz romans jest taki ekscytujący?

Ten jeden jedyny raz Steffi dała się całkowicie zaskoczyć. Wpatrywała się w swojego rozmówcę z niemym zdumieniem.

- Zastanawiasz się, skąd wiem? - Widząc jego zimny uśmiech, poczuła dreszcz przebiegający po kręgosłupie. - Doszedłem do tego drogą eliminacji. On jest jedynym mężczyzną z gmachu sądu nie przechwalającym się, że tam był. - Wskazał na jej podolek. - Dodałem do siebie dwa i dwa, a twoje zdumienie jedynie potwierdziło mój trafny wniosek.

Był taki z siebie zadowolony, że nie mogła tego znieść, ale nie miała zamiaru odgrywać złej ani zaniepokojonej, jako że to ogromnie by go ucieszyło. Postanowiła zachować kamienny wyraz twarzy i spokojny głos.

- Czemu tak interesuje cię moje życie miłosne, Smilow? Czyżbyś był o mnie zazdrosny?

Serdecznie się roześmiał.

- Nie do twarzy ci z flirtem, Steffi.

- Idź do diabła!

Wcale go to nie zraziło.

- Moja praca polega na dedukcji - ciągnął. - Jestem w tym dobry.

- Co zamierzasz zrobić z tym smakowitym kąskiem?

- Nic - odparł, nonszalancko wzruszając ramionami. - Po prostu śmiesz mnie, że ulubieniec nagina etykę zawodową do swoich potrzeb. Czyżby jego lśniaca zbroja powoli zaczynała czernieć? Przynajmniej troszeczkę?

- Sypianie z koleżanką z pracy nie jest przestępstwem, za które grozi kara śmierci. Można je uznać raczej za zasługujące na klapsa wykroczenie.

- To fakt. Ale w przypadku Hammonda Crossa to niemal grzech śmiertelny. Gdyby tak nie było, po co trzymałby sprawę w ścisłej tajemnicy?

- No cóż, możesz przestać się cieszyć. Nie ma już żadnej tajemnicy. Romans się skończył. Słowo daję - zapewniła, gdy spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Kiedy?

Zerknęła na zegarek.

- Dwie godziny i osiemnaście minut temu.

- Naprawdę? To się stało, zanim Mason dał mu tę sprawę czy już po?

- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim - zapewniła rozdrażniona.

Smilow zrobił dziwną minę, jakby próbował się uśmiechnąć.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. Równie dobrze możesz poznać prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, inspektorze. Hammond mnie rzucił. Dosłownie. Koniec, kropka.

- Dlaczego?

- Usłyszałam standardowe wyjaśnienie, że "podążamy w przeciwnych kierunkach", co zazwyczaj można przetłumaczyć na: "Byłem tam, zrobiłem, co do mnie należało, i teraz jestem gotów poszukać sobie nowego miejsca na wakacyjny wypoczynek" .

- Hmm. Znasz jakieś "uzdrowiska", które ma zamiar odwiedzić?

- Nie. A kobieta zazwyczaj potrafi to wyczuć.

- Mężczyzna również.

Jego ton powiedział więcej niż te dwa słowa. Steffi bacznie przyjrzała się swojemu rozmówcy.

- Ojej, Rory! Czy to możliwe, by pan Lód w Żyłach kiedykolwiek kochał?

- Przepraszam. - Nie zauważyli, że podeszła do nich pielęgniarka. - Mój pacjent... - wyjaśniła, kciukiem wskazując przez ramię pokój Daniela - ... pytał, czy jeszcze tu jesteście. Powiedziałam mu, że tak. Prosił, bym przekazała, że przypomniał sobie coś, co może wam pomóc.

Nim skończyła mówić, oboje byli już na nogach.

Rozdział dwunasty

Hammond jeszcze przed wyjazdem do Davee znalazł adres, zanotował go i wsadził do kieszonki koszuli.

Wcześniej, niezbyt pewien, czy znajdzie w charlestońskiej książce telefonicznej to, czego szuka, niespokojnie sunął palcem po zamieszczonej na żółtych stronach liście lekarzy, póki nie natknął się na nazwisko doktora A.E. Ladda. Od razu wiedział, że dobrze trafił, ponieważ numer telefonu był dokładnie taki sam jak ten, na który rano dzwonił ze Swojego domku.

Doktor Ladd był jedynym ogniwem łączącym Hammonda z kobietą, z którą spędził ostatnią noc. Oczywiście rozmowa z samym lekarzem nie wchodziła w rachubę. Na razie postanowił zlokalizować jego gabinet i sprawdzić, czego ewentualnie uda mu się dowiedzieć. Później się zastanowi, co robić dalej.

Pomimo zerwania ze Steffi, niepokojącej rozmowy z Davee, morderstwa Pettijohna i wszystkiego, to się z tym wiązało, ani na chwilę nie przestawał rozmyślać o kobiecie, którą śledził od wesołego miasteczka i którą pocałował na stacji benzynowej.

Hammond Cross nigdy nie pozostawiał pytań bez odpowiedzi.

Nawet jako chłopiec nie dał się zbyć lakonicznymi wyjaśnieniami. Dręczył rodziców, póki nie zaspokoili jego ciekawości.

Nie inaczej postępował w dorosłym życiu. Nigdy nie poprzestawał na uogólnieniach i zawsze chciał znać wszystkie szczegóły, co bardzo przydawało mu się w pracy. Tak długo kopał, póki nie dokopał się do prawdy. Czasami bardzo irytowało to kolegów. Zdarzało się nawet, że sam Hammond był sfrustrowany własnym uporem. Wiedział, że myśli o nieznanym będą go dręczyły, póki nie dowie się, kim ona jest i dlaczego po niewiarygodnej, wspólnej nocy wymknęła się z chaty, a co za tym idzie, zniknęła z jego życia.

Zlokalizowanie doktora Ladda było szczeniacką, żalostną i rozpaczliwą próbą dowiedzenia się czegoś na jej temat. Przede wszystkim chciał się jednak zorientować, czy miał do czynienia z panią Ladd, czy nie. Jeśli tak, będzie to oznaczało koniec. Jeśli nie ...

Nie miał odwagi rozważać innych możliwości.

Wychował się w Charlestonie, dlatego znał ogólny rozkład ulic. Gabinet doktora Ladda znajdował się zaledwie parę przecznic od rezydencji Davee. Hammond dotarł tam w ciągu kilku minut.

Była to krótka i wąska uliczka, przy której stały obrośnięte bluszczem domki, szczycące się bogatą przeszłością. Jedna z tych, które - choć położone nie tak daleko od kipiącego życiem centrum handlowego - przypominają całkiem inny świat. Większość budowli stojących między Broad Street a Battery z prawdziwą dumą nosiła ślady historii. Numery niektórych posesji kończyły się 1/2, co wskazywało na to, że jeden z sąsiadujących z główną rezydencją budynków gospodarczych, na przykład wozownia albo kuchnia, został przekształcony w osobny dom mieszkalny. Każda nieruchomość na tym terenie niezwykle drogo kosztowała. Wszystkich mieszkających na południe od Broad Street określano mianem sukinsynów.

Hammond wcale się nie dziwił, że gabinet doktora Ladda funkcjonuje w tak bogatej dzielnicy. Wielu przedstawicieli różnych zawodów, z wyjątkiem handlowców, po przerobieniu starych domów prowadziło w nich

działalność, często przeznaczając na pomieszczenia prywatne najwyższe piętra, co w Charlestonie od stuleci należało do tradycji.

Hammond zaparkował samochód przy szerszej arterii komunikacyjnej i na piechotę ruszył brukowaną uliczką. Zapadł zmrok. Kończył się weekend. Ludzie pochowali się po domach. Był jedynym przechodniem. Pograżona w ciszy i cieniu uliczka sprawiała wrażenie całkowicie przyjacielskiej i gościnnej. Za uchylonymi okiennicami dawało się dostrzec oświetlone pokoje. Wszystkie posiadłości, bez wyjątku, były dobrze zaprojektowane i starannie utrzymane. Widocznie doktorowi Laddowi dobrze się powodziło.

Tego wieczoru powietrze było ciężkie i duszne. Spowijało człowieka jak koc z flaneli. Po kilku minutach Hammond poczuł, że koszula przywiera mu do ciała. Męczył nawet wolny, spacerowy krok, ale przyczyniało się do tego również spore zdenerwowanie.

Hammond oddychał głęboko, wciągając w nozdrza woń egzotycznych kwiatów i intensywny słony zapach morskiej wody, dochodzący z usytuowanego o kilka przecznic dalej portu. Czuł również lekki swąd dymu z węgla drzewnego, na którym ktoś przygotowywał niedzielną kolację. Pod wpływem tego aromatu Hammondowi zaczęło burczeć w brzuchu. Przypomniał sobie, że przez cały dzień nie miał niczego w ustach - jedyny wyjątek stanowiła zjedzona jeszcze w chacie bułeczka.

Idąc, miał czas się zastanawiać, w jaki sposób nawiązać kontakt z doktorem Laddem. Co by było, gdyby po prostu podszedł do drzwi i zadzwonił? Gdyby stanął w nich doktor Ladd, Hammond mógłby udać, że podano mu zły adres i że szuka kogoś innego. Przeprószyłby, że przeszkodził, i odszedł.

A gdyby to ona mu otworzyła? Czy miałby wówczas jakiś wybór? Tyle że poznałby odpowiedź na najtrudniejsze pytanie. Odwróciłby się i odszedł. A życie potoczyłoby się dalej.

Wszystkie te ewentualności opierały się na założeniu, że spotkana kobieta jest żoną doktora. Dla Hammonda było to jedyne logiczne wyjaśnienie, dlaczego ukradkiem dzwoniła pod ten numer, a przyłapaną na gorącym uczynku, zachowywała się, jakby miała poważne wyrzuty sumienia. Ponieważ wyglądała na okaz zdrowia i z pewnością trudno byłoby się u niej dopatrzeć objawów jakiejś choroby, nawet nie brał pod uwagę, że mogłaby być pacjentką.

Pomyślał o tym dopiero, gdy dotarł pod odpowiedni numer.

Na małym kwadratowym podwórku odgrodzonym żelaznym płotem stała dyskretna biała drewniana tablica z czarnymi pochyłymi literami.

Okazało się, że doktor A.E. Ladd jest psychologiem.

Czyżby była jego pacjentką? Hammonda trochę zaniepokoiła myśl, że jego kochanka w chwilę po wyjściu z łóżka odczuła potrzebę skonsultowania się ze swoim terapeutą. Pewną pociechę stanowiła świadomość, iż w obecnych czasach bardzo wiele osób korzysta z porad psychologa. Terapeuci pełnią funkcję zaufanych powierników, zastępując w ten sposób współmałżonków, starszych krewnych i kapłanów. Hammond miał kolegów i przyjaciół, którzy kurczowo trzymali się cotygodniowych wizyt, choćby tylko po to, by pozbyć się codziennych stresów. Teraz już nikt się nie wstydzi tego, że korzysta z porad psychologa.

Prawdę mówiąc, Hammond poczuł ogromną ulgę. Był w stanie zaakceptować fakt, że przespał się z pacjentką doktora Ladda. Natomiast nigdy by się z tym nie pogodził, gdyby zrobił to z żoną terapeuty. Jednak ten maleńki promyk nadziei przesłoniła chmura. Jeśli nieznajoma była pacjentką, ustalenie jej tożsamości mogło się okazać niemal niemożliwe.

Doktor Ladd na pewno nie ujawni żadnych informacji na temat swoich podopiecznych. Nawet gdyby Hammond zniżył się do tego, że próbowaliby wykorzystać urząd prokuratora, terapeuta prawdopodobnie nie złamałby zasad obowiązujących w jego zawodzie. Odmówiłby udostępnienia kartotek, chyba że miałby nakaz sądowy, ale do tego Hammond nigdy by się nie posunął. Nie pozwoliłby mu na to wyznawane przezeń zasady.

Poza tym jak miałby prosić o informację na temat nieznajomej, skoro nawet nie znał jej imienia ani nazwiska?

Zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy, by podumać nad tym dylematem, i zaczął bacznie się przyglądać wzniesionemu z cegły budynekowi, w którym doktor Ladd miał swój gabinet. Prezentował on rzadko spotykany styl architektoniczny tak zwanego pojedynczego domu. Określenie to brało się stąd, że od strony ulicy znajdował się tylko jeden pokój, pozostałe rozlokowane były za nim. Ten budynek miał dwie kondygnacje i szerokie werandy boczne, które na obu poziomach ciągnęły się na całą długość ściany.

Za ozdobną bramą biegła prawą stroną podwórka ścieżka, prowadząca do drzwi pomalowanych "charlestońską zielenią" - w rzeczywistości była to czerń z niewielką domieszką zielonego barwnika. Na samym środku frontowych drzwi znajdowała się mosiężna kołatka. Jak w przypadku większości pojedynczych domów drzwi te nie prowadziły w głąb budynku, lecz na werandę, z której dopiero wchodziło się do środka.

Większą część fasady obrastało wino, ale wokół czterech wysokich okien pnącze było starannie przycięte. Pod każdym z nich stała skrzynka pełna paproci i białych niecierpków. Nie paliły się żadne światła.

Kiedy Hammond schodził z chodnika, by przejść przez ulicę i przyjrzeć się wszystkiemu z bliska, w domu za jego plecami otworzyły się drzwi i wypadł z nich ogromny szarobiały owczarek, ciągnąc za sobą właściciela.

- Zaczekaj, Winthrop!

Pies nie dał się jednak powstrzymać. Parł do przodu i naprężył smycz, a kiedy dotarł do końca ścieżki, uniósł się na tylne łapy, a przednie oparł o bramę. Hammond instynktownie cofnął się o kilka kroków.

Śmiejąc się z jego reakcji, właściciel czworonoga otworzył furtkę i wypuścił swego pupila.

- Przepraszam. Mam nadzieję, że pana nie przestraszył. Nie gryzie, natomiast gdyby mu pan na to pozwolił, zalizałby pana na śmierć.

Hammond uśmiechnął się.

- Nie ma sprawy.

Winthrop zlekceważył Hammonda, uniósł łapę i zaczął podlewać słupek ogrodzenia.

Hammond musiał sprawiać wrażenie człowieka nieszkodliwego i zagubionego, ponieważ mężczyzna spytał:

- Czy mogę panu pomóc?

- Uhm, prawdę mówiąc, interesuje mnie doktor Ladd.

- Mieszka naprzeciwko. - Młody człowiek wskazał podbródkiem dom po drugiej stronie ulicy.

- Rzeczywiście.

Mężczyzna obdarzył go uprzejmym, pełnym zdumienia spojrzeniem.

- Hm, jestem akwizytorem - wyjaśnił szybko Hammond. Sprzedaję artykuły medyczne. Tego typu rzeczy.

Na tej tablicy nie ma podanych godzin, w jakich otwarty jest gabinet.

- Wydaje mi się, że zaczyna przyjmować koło dziesiątej. Może pan zadzwonić. Alex na pewno to panu wyjaśni.

- Alex?

- Doktor Ladd.

- Jasne. Taak, chyba rzeczywiście powinienem zadzwonić, ale ... widzi pan ... po prostu myślałem ... no cóż, nieważne. Winthrop obwąchiwał krzak kamelii. - Dzięki. Oszczędzaj się, piesku.

Hammond miał nadzieję, że sąsiad doktora Ladda nigdy nie wpadnie na to, iż nie potrafiący się wysłowić idiota to często udzielający wywiadów telewizyjnych asystent prokuratora okręgowego. Poklepał kudłatego psa po głowie, po czym ruszył chodnikiem tam, skąd przyszedł.

- Prawdę mówiąc, właśnie się pan z nią rozminął. Hammond odwrócił się.

- Z nią?

Gdy Steffi i Smilow wrócili na salę, pan Daniels starał się nie patrzeć im w oczy. Stanęli po obu stronach jego łóżka. Inspektor odniósł wrażenie, że chory jest teraz bardziej niespokojny niż piętnaście minut temu, ale nie miało to nic wspólnego z bólem brzucha. Zachowywał się raczej tak, jakby dręczyły go paskudne wyrzuty sumienia.

- Pielęgniarka nam powiedziała, że przypomniał pan sobie coś, co może pomóc w dochodzeniu.

- Może. - Oczy Daniela nerwowo biegały od Smilowa do Steffi i z powrotem. - Proszę mnie zrozumieć.

Odkąd zbłądziłem ...

- Zbłądził pan? - przerwała mu Steffi. Daniels spojrzał na nią.

- Naraziłem na szwank swoje małżeństwo.

- Miał pan romans?

Tak to jest, jeśli dopuści się Steffi do głosu - pomyślał Smilow. W jej słowniku nie istniało słówko "takt". Pan Daniels wyglądał na nieszczęśliwego.

- Taak. To, hm ... - dukał - koleżanka z pracy. Byliśmy ... sami wiecie. - Niespokojnie poruszył się na twardym materacu. - Ale to nie trwało długo. Zrozumiałem, że popełniam błąd. Była to po prostu jedna z tych rzeczy, które nabierają pędu, nim człowiek zdąży się zorientować. Potem pewnego ranka obudziłem się i pomyślałem: "Po kiego diabła to robię?" Kocham swoją żonę.

Smilow w takim samym stopniu jak Steffi był zniecierpliwiony długim wywodem. Chciał, by chory szybciej dotarł do sedna sprawy. Mimo to twardym, ostrzegawczym spojrzeniem dał Steffi sygnał, by pozwoliła

Danielsowi obrać własne tempo.

- Mówię wam to, bo ... moja żona bardzo się denerwuje, jeśli poświęcę choćby odrobinę uwagi innej kobiecie. Wcale nie winię o to pani Daniels - dodał szybko. - Ma prawo być podejrzliwa. Sam ją do tego upoważniłem, popełniając cudzołóstwo. Tak czy inaczej, nawet najmniejszy drobiazg - wystarczy miłe słówko skierowane pod adresem jakiejś innej niewiasty - wyprowadza moją połowicę z równowagi. Wiedziecie, co mam na myśli? Zaczyna płakać. Mówi, że nie wystarcza mi jako kobieta i nie potrafi zaspokoić moich potrzeb. - Spojrzał na Smilowa. Sam pan wie, jakie one są.

Ponownie Smilow zaszygował Steffi, by nie psuła wszystkiego, próbując zbesztać tego człowieka za seksistowskie podejście do życia.

- Nie opisałem wam dokładnie tej kobiety, ponieważ nie chciałem denerwować żony. Ostatnio żyjemy w niemal całkowitej zgodzie. Nawet wzięła ze sobą w tę podróż ... no wiecie ... pewnie pomoce, żeby dodać smaczku naszym chwilom spędzonym sam na sam. Dla niej pobyt tutaj to coś w rodzaju drugiego miesiąca miodowego. Niewiele można zdziałać w autobusie chóru kościelnego, ale kiedy co wieczór docieramy do naszego pokoju ... ojej!

Uśmiechnął się do nich, potem spowaźniał, jakby ktoś zdjął z jego twarzy gumową maskę.

- Gdyby moja pani wiedziała, że zwróciłem uwagę na twarz i figurę innej kobiety, mogłaby uznać, że mimo wszystko w głębi duszy odezwało się we mnie pożądanie. Cholernie drogo musiałbym za to zapłacić, chociaż właściwie nie zrobiłem nic złego.

- Rozumiemy to. - Steffi położyła dłoń na jego ramieniu, okazując w ten sposób rzadkie i - o czym wiedział tylko Smilow - nieszczerze współczucie.

- Pani Daniels, czy to oznacza, że może pan dokładnie powiedzieć, jak wyglądała kobieta, którą widział pan w hotelowym korytarzu?

Spojrzał na Smilowa.

- Ma pan coś do pisania?

Powoli ściągnął jej przez głowę stary podkoszulek. Poprzednio pieścił ją w ciemności. Wiedział, jaka jest w dotyku, teraz chciał ją zobaczyć.

Nie zawiódł się. Była śliczna. Podobały mu się własne dłonie na jej piersiach, z przyjemnością obserwował, jak reaguje na jego pieszczotę, prawdziwą radość sprawiały mu pomruki rozkoszy, kiedy dotknął wargami jej brodawki.

- Odpowiada ci to.

- Tak.

Zaczął ssać jej pierś. Zacisnęła dłonie w jego włosach i głośno jęknęła.

- Za mocno? - spytał.

- Nie.

Zmartwił się jednak, ponieważ zauważył, że zostawił na jej jasnej skórze wyraźny ślad. Musnął to miejsce palcem.

- Nie wiedziałem.

Spojrzała w dół na lekkie zaczerwienienie, potem uniosła do ust palec Hammonda i pocałowała go.

- Ja też.

- Przepraszam.

- To nieważne.

- Ale jeśli sprawiłem ci ból...

- Nie sprawiłeś. I nie sprawisz.

Położyła mu dłoń na szyi i próbowała z powrotem przyciągnąć do siebie jego głowę.

Nie uległ.

- Czy nie masz nic przeciwko ... - Podbródkiem wskazał na łóżko.

- Nie.

Położyli się, nie próbując nawet wygładzać pościeli. Hammond pochylił się nad nią, trzymając jej twarz w dłoniach, i pocałował tak namiętnie, że wygięła się w łuk i przywarła do niego.

Musnął jej piersi, a potem zsunął dłoń po zebkach i dotarł do delikatnego brzucha.

- Jezu! Popatrz! Jesteś piękna. - Dopasował dłoń do zagłębienia między jej udami, pokrywając wznórek dłonią, a palce wsuwając w dół. Do środka. W wilgotne zagłębienie. - Jesteś już. ...

- Tak.

- Taka słodka. Taka ...

- Och. ... - sapnęła.

Wilgotna.

Uniósł się nad nią, by ponownie ją pocałować. Był to delikatny, namiętny pocałunek, który skończył się dopiero wtedy, gdy cicho krzyknęła, a on poczuł pod palcami jej orgazm.

Chwilę później otworzyła oczy i zobaczyła jego uśmiech.

- Przepraszam. Przepraszam.

- Przepraszasz? - spytał, z cichym śmiechem całując jej wilgotne czoło.

- To znaczy ... to ... Musnął wargami jej usta.

- Nie przepraszaj - szepnęła łagodnie, ale natarczywie. Usłyszał zachrypnięte, pełne zaskoczenia sapnięcie, kiedy dotknęła jego penisa. Chciał zaprotestować, chciał powiedzieć, że nie powinna czuć się zobowiązana, chciał wyjaśnić, że wcale nie musi się odwzajemniać, że już i tak prawdopodobnie nie uda jej się bardziej go podniecić. Kiedy jednak zaczęła go pieścić, jedynie cicho pojękiwał z bezgranicznej rozkoszy. Nie w pełni zdając sobie sprawę z tego, co robi, położył dłonie na jej rękach i skorygował ruchy.

Przytuliła się do jego szyi. Całowała włoski na jego klatce piersiowej i delikatnie chwyciła zębami skórę. Przypadkowa może nie - nabrzmiałymi brodawkami otarła się o jego sutki. To było ekscytujące. I cholernie

podniecające. Niewiele brakowało, a byłby eksplodował.

Kiedy odsunął jej rękę, uniosła się i zaczęła gorączkowo całować go po podbródku i policzkach, mrużąc:

- Pozwól się popieścić.

Ale było już za późno. Zmienił pozycję i zanurzył się w niej.

Wycofał i ponownie zanurzył. Głęboko. Głębiej. Potem, oparłszy głowę o jej czoło, zacisnął mocno powieki, oddał się rozkoszy, jakiej nie sprawiły mu wszystkie dotychczasowe stosunki razem wzięte ...

- Nie, to ty pozwól się popieścić. ... i eksplodował.

Brzęczenie telefonu wyrwało Hammonda z erotycznych wspomnień. Z zażenowaniem zdał sobie sprawę, że jest podniecony i zlany potem. Ile czasu stracił, odtwarzając to jedno przeżycie? Zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej. Mniej więcej dwadzieścia minut.

Telefon zadzwonił po raz trzeci. Hammond gwałtownym ruchem przystawił go do ucha.

- Słucham.

- Gdzie ty, u diabła, byłeś?!

- Wiesz, Steffi - odparł poirytowany - musisz chyba wymyślić coś nowego. Już drugi raz w ciągu dzisiejszego dnia zadajesz mi to samo pytanie, na dodatek dokładnie tym samym tonem. - Przepraszam, ale od godziny wydzwaniam do ciebie do domu i zostawiam wiadomości. W końcu postanowiłam złapać cię przez komórkę. Jesteś w samochodzie?

- Tak.

- Wybrałeś się gdzieś?

- Dokładnie.

- Och. Nie przypuszczałam, że dziś wieczorem będziesz jeszcze gdzieś wyjeżdżał.

Sugerowała w ten sposób, żeby wyjaśnił, dokąd się wybrał i po co. Na szczęście nie musiał już się jej rozliczać ze swojego czasu. Prawdopodobnie poczuła się urażona, że w dniu, w którym zakończył się ich romans, wcale nie odczuwał z tego powodu przygnębienia i nawet wyszedł z domu.

Miałaby do niego jeszcze więcej pretensji, gdyby wiedziała, że jak zboczeniec czai się teraz w ciemnej uliczce i czeka, by sprawdzić, czy doktor A.E. Ladd jest kobietą, która poprzedniego wieczoru mniej więcej o tej porze leżała obok niego naga Hammond delikatnie pieścił jej pośladki, podczas gdy jego penis leniwie odpoczywał na prześcieradle - i pytała, czy wie, że jego oczy mają kolor burzowych chmur.

W przypiływie złości chętnie powiedziała o tym Steffi.

Oczywiście nie zrobił tego.

Wytarł twarz rękawem koszuli.

- O co chodzi?

- Na początek, czemu nie powiedziałaś, że Mason przydzielił ci sprawę Pettijohna?

- To zadanie nie należy do mnie.

- Pieprzenie.

- Widzę, że muszę podziękować Rory'emu Smilowowi - mruknął.

- Powiedział mi to, ponieważ jest moim przyjacielem.

- Chrzanisz. Powiedział ci to, ponieważ nie jest moim przyjacielem. A teraz wyjaśnisz w końcu, o co chodzi?

- Nie wiedząc o tym, że będę grać drugie skrzypce - wyznała słodko - spotkałam się ze Smilowem w Roper Hospital. Dopisało nam szczęście.

- To znaczy?

- Jeden z ludzi chorych na zatrucie pokarmowe ...

- Taak?

Na przeciwnym krańcu ulicy błysnęły przednie światła. Hammond zapuścił silnik.

- Gdzie jesteś, Hammondzie? - spytała Steffi niecierpliwie. Słuchasz mnie? Odnoszę wrażenie, że się wyłączyłeś.

- Słyszę cię. Mów dalej. Jeden z ludzi chorych na zatrucie pokarmowe ...

- Widział przed apartamentem Pettijohna kobietę. No cóż, prawdę mówiąc, nie może przysiąc, czy stała przed drzwiami apartamentu Pettijohna, ale jeśli wszystko inne będzie się zgadzało, ten drobiazg da się sprawdzić. Samochód zatrzymał się przed domem doktor Ladd. "Odjechała z jakimś facetem, który prowadził kabriolet" - powiedział właściciel Winthrop.

- Po długim wywodzie na temat swojego romansu ... - ciągnęła Steffi.

Posuwając się powoli, Hammond podjechał na tyle blisko, by móc się przekonać, że samochód rzeczywiście jest kabrioletem.

- Właściwie sprawa jego romansu jest nieistotna - zaznaczyła Steffi. - Całkowicie. Możesz mi wierzyć. Tak czy inaczej, pan Daniels przyjrzał się tej kobiecie lepiej, niż to początkowo wyznał w obecności żony.

Przednie światła kabrioletu oślepiły Hammonda, tak że nie widział niczego oprócz nich. Kiedy jednak zrównał się z drugim samochodem, odwrócił głowę i zobaczył pasażerów. Mężczyznę za kierownicą. I siedzącą obok kobietę. Jego kobietę. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

- Teraz pan Daniels przyznał się nam, że pamięta jej przybliżony wzrost, wagę, kolor włosów, i tak dalej.

Przestał słuchać Steffi. Minąwszy kabriolet, zerknął w boczne lusterko i zobaczył, jak mężczyzna wyciąga rękę, chwyta kobietę za szyję i przysuwa jej twarz do swojej.

Hammond nacisnął pedał gazu i skręcił tak gwałtownie, że aż zapiszczały opony. Z pewnością była to szczeniacka, powodowana zazdrością reakcja, ale na coś takiego właśnie miał ochotę. Chciał się wyładować. A najchętniej powiedziałaby Steffi, żeby, do jasnej cholery, przestała pieprzyć.

- Po prostu zrób to, Steffi - warknął, przerywając jej w środku zdania.

Zaskoczona, zaczerpnęła powietrza.

- Co takiego?

Nie wiedział co. Słuchał jej tylko jednym uchem, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać. Mówiła o potencjalnym świadku. Mężczyźnie, który widział kogoś w pobliżu apartamentu Pettijohna i mógł przedstawić stosunkowo dokładny opis.

Steffi prawdopodobnie sugerowała ściągnięcie rysownika.

Wspomniała o tym, gdy Hammond przejeżdżał obok kabrioletu, ale jej paplaninę zagłuszała tętniąca w uszach krew. Z tego, co mówiła, zapamiętał tylko najważniejsze fakty, większość została jednak zagłuszona przez zwierzęcą chęć zawrócenia i zaciśnięcia rąk na szyi tego drania z kabrioletu.

Jedno było pewne - musiał się na coś zdecydować. I to natychmiast. Musiał sprawdzić, czy istnieje jeszcze coś, nad czym ma jakąś władzę.

- Zaraz z samego rana chcę mieć rysownika.

- Jest późno, Hammondzie.

Wiedział o tym. Przez wiele godzin siedział w nagrzanym samochodzie, skracając sobie czas wspomnieniami. Doczekał się jedynie doktor Ladd w towarzystwie jakiegoś innego mężczyzny.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Po prostu nie wiem, czy uda mi się ...

- Jaki jest numer sali tego faceta?

- Pana Danielsa? Hm ...

- Chcę osobiście się z nim spotkać.

- To naprawdę zbyteczne. Przesłuchaliśmy go dokładnie ze Smilowem. Poza tym sądzę, że jutro rano go wypiszą.

- W takim razie załatw mi możliwie wczesne spotkanie.

Wpół do ósmej. I ściągnij policyjnego rysownika.

PONIEDZIAŁEK

Rozdział trzynasty

Nazajutrz o wpół do ósmej rano Hammond wkroczył do szpitala z egzemplarzem "Post and Courier" i aktówką w ręce. Podszedł do informacji, by spytać o numer sali pacjenta, ponieważ poprzedniego dnia nie udało mu się go wyciągnąć od Steffi. Zatrzymał się przy automacie i kupił kubek kawy.

Włożył krawat, ponieważ jednak zapowiadano upalny dzień, marynarkę zostawił w samochodzie, podwinął rękawy koszuli i rozpiął guzik przy kołnierzyku. Miał wojowniczą postawę i twarz jak chmura gradowa.

Na korzyść Steffi przemawiał fakt, że gdy Hammond dotarł na miejsce, byli tam już wszyscy. Oprócz niej i Rory'ego Smiilowa ujrzał rozczochraną kobietę w źle dopasowanym mundurze policyjnym i leżącego w szpitalnym łóżku mężczyznę. Steffi miała podpuchnięte oczy, jakby źle spała. Przywitała się z nim cicho, po czym powiedziała:

- Hammondzie, pamiętasz kapral Mary Endicott? Współpracowaliśmy z nią już wcześniej.

Odłożył aktówkę i gazetę na krzesło, by przywitać się z policyjną rysowniczką.

- Kapral Endicott.

- Cross.

Potem Steffi przedstawiła go turyście z Macon w Georgii, panu Danielsowi, który właśnie grzebał widelcem w mdłym jedzeniu podanym na tacy śniadaniowej.

- Przykro mi, że pańska wizyta w Charlestonie nie należała do najmiłszych, panie Daniels. Lepiej się pan już czuje?

- Na tyle dobrze, że mogę stąd wyjść. Jeśli to możliwe, chciałbym załatwić tę sprawę, nim przyjdzie po mnie żona.

- To, jak szybko skończymy, jest ściśle uwarunkowane precyzją pańskiego opisu. Kapral Endicott to wspaniała rysowniczka, ale tempo jej pracy będzie zależało wyłącznie od pana.

Daniels wyglądał na zmartwionego.

- Czy będę musiał zeznawać przed sądem? To znaczy, jeśli złapiecie spotkaną przeze mnie kobietę i okaże się, że to ona zabiła tego człowieka. Czy będę musiał wskazać ją podczas procesu?

- Istnieje taka możliwość - przyznał Hammond. Pan Daniels westchnął niezadowolony.

- No cóż, jeśli do tego dojdzie, spełnię swój obywatelski obowiązek. - Filozoficznie wzruszył ramionami. - W takim razie zaczynajmy.

- Na początek, panie Daniels - powiedział Hammond chciałbym usłyszeć pańską opowieść.

- Już kilkakrotnie wszystko nam zrelacjonował - wtrącił Smiłow. - Jego zeznania naprawdę nie mają zbyt wielkiego znaczenia.

Smiłow na początku rzucił niedbałe "dzień dobry", a potem milczał i tkwił w całkowitym bezruchu jak wygrzewająca się w promieniach słońca jaszczurka. Wskutek takiej postawy policjant często sprawiał wrażenie leniwego, ale Hammondowi kojarzył się z gadem wyczekującym dogodnej chwili do ataku.

Hammond był świadom, że porównanie Smilowa do gada wynika z totalnej niechęci, jaką czuł do tego człowieka. Na domiar złego uwłacza samym gadom.

Inspektor miał na sobie idealnie skrojony, dobrze wyprasowany szary garnitur, świeżą białą koszulę i ciasno zawiązany krawat. Żaden włoszek na głowie nie leżał w inną stronę, niż powinien. Spojrzenie było wyraźne i czujne. Hammond źle spał, przez całą noc rzucając się z boku na bok, toteż złościło go, że Smilow wygląda jak spod igły i jest wyjątkowo opanowany.

- Oczywiście do ciebie należy ostatnie słowo - zapewnił uprzejmie. - W końcu to twoje dochodzenie.

- To prawda.

- Ale grzeczność ...

- Nie wykazałeś się zbytnią grzecznością, organizując to spotkanie bez wcześniejszego porozumienia ze mną. Mówisz, że to moje dochodzenie, ale zachowujesz się tak, jakby ostatnie słowo należało do ciebie. Jak zwykle swoim działaniem przecyzysz własnym słowom, Hammondzie.

Tak to jest, jeśli pozwoli się Smilowowi rozpocząć ranek od sprzeczki, samemu będąc w zaczepnym nastroju.

- Posłuchaj, tego dnia, kiedy zamordowany został Pettijohn, wyjechałem z miasta. Teraz próbuję nadrobić zaległości. Przeczytałem relację zamieszczoną w gazecie, wiem jednak, że rozmawiając z dziennikarzami, nie zdradziłeś im wszystkiego. Chcę jedynie zapoznać się ze szczegółami.

- W odpowiednim czasie.

- Czemu nie teraz?

- W porządku, chłopcy, pokój z wami. - Steffi wkroczyła do akcji. - Naprawdę nie ma znaczenia, kto zorganizował to spotkanie. Prawdę mówiąc, Hammondzie, kiedy złapałam wczoraj wieczorem Smilowa, właśnie dzwonił do kapral Endicott.

Pulchna, wyglądająca na matronę pani oficer potwierdziła to kiwnięciem głowy.

- Można zatem uznać, że Smilow pierwszy wpadł na ten pomysł, co jest zrozumiałe, gdyż to jego sprawa, przynajmniej dopóki nie przekaże jej w nasze ręce. Prawa? A teraz posłuchaj mnie ty, Smilow. Hammond również pomyślał o rysowniku. O czym to świadczy? Że mądre głowy myślą tak samo, a do tej sprawy będziemy potrzebowali wszystkich mądrych głów, jakie uda nam się zdobyć. Więc bierzmy się do roboty i nie zajmujemy tym ludziom więcej czasu, niż to konieczne. Panu Danielsowi trochę się spieszy, a i my wszyscy mamy mnóstwo innych zajęć. Jeśli o mnie chodzi, nie miałabym nic przeciwko ponownemu wysłuchaniu jego opowieści.

Smilow ustąpił, sygnalizując to szorstkim ruchem głowy. Daniels opowiedział jeszcze raz, co przeżył w sobotnie popołudnie. Kiedy skończył, Hammond zapytał, czy na pewno nie widział nikogo innego.

- Po dotarciu na najwyższe piętro? Nie, sir.

- Jest pan pewien?

- Była tylko ta dama i ja. Nikogo więcej. Ale od wyjścia z windy przebywałem na korytarzu najwyżej ... hmm ... dwadzieścia, może trzydzieści sekund.

- Czy ktoś jechał z panem?

- Nie, sir.

- Dziękuję, panie Daniels. Jestem wdzięczny, że powtórzył mi pan tę historię.

Ignorując Smilowa i wymalowane na jego twarzy milczące "a nie mówiłem?", Hammond przekazał badanego w ręce Mary Endicott. Inspektor powiedział, że ma do załatwienia kilka telefonów. A Steffi zawisła nad ramieniem rysowniczkii i słuchała pytań zadawanych Danielsowi. Hammond ze swoją letnią kawą stanął przyoknie i zadumał się nad dniem, który był zbyt słoneczny jak na jego ponury nastrój.

W końcu Steffi zaszła go od tyłu.

- Jesteś strasznie cichy.

- Miałem ciężką noc. Nie mogłem zasnąć.

- Czy istniał jakiś konkretny powód twojej bezsenności?

Wychwytyjąc ukryte znaczenie jej pytania, odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- Po prostu byłem niespokojny.

- Jesteś okrutny, Hammondzie.

- Dlaczego?

- Mogłeś przynajmniej wczoraj wieczorem spać się do nieprzytomności. Może wtedy zrezygnowałbyś z zamiaru zakończenia naszego romansu.

Uśmiechnął się, ale powiedział całkiem poważnie:

- To była jedyna słuszna decyzja, Steffi. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę to, co postanowił Mason.

- Wybór należał do niego, nie do mnie.

- Tylko że ja nie miałam najmniejszej szansy na otrzymanie tej sprawy. Mason cię faworyzuje i wcale tego nie ukrywa. Zawsze będzie to robił. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Byłem tu przed tobą, Steffi. To kwestia stażu.

- Taak, to prawda. - Ton, jakim to powiedziała, wyraźnie przeczył słowom.

Nim Hammond zdążył udzielić jej jakiegś odpowiedzi, wrócił Smilow.

- To ciekawe. Jeden z moich chłopców kręcił się w pobliżu rezydencji Pettijohnów, wypytując, czy nikt nie słyszał, jak Lute kłócił się z akwizytorem albo sąsiadem. Ślepa uliczka.

- Mam nadzieję, że jest jakieś "ale" - wtrąciła Steffi. Przytaknął.

- Sarah Birch była w sobotnie popołudnie w supermarkecie.

Poprosiła rzeźnika, by przygotował dla niej kilka kawałków wieprzowiny, którą chciała nafaszerować na niedzielny obiad. Był zajęty, więc nie mógł zrobić tego od razu. Zamiast czekać, Sarah zajęła się pozostałymi zakupami. Klientów nie brakowało. Rzeźnik powiedział, żeby wróciła do niego mniej więcej po godzinie. A zatem kłamała, mówiąc, iż przez cały czas była w domu z panią Pettijohn.

- Jeśli minęła się z prawdą w sprawie tak błahej jak wyprawa do supermarketu, można założyć, że stać ją na wierutne kłamstwa.

- Tylko ta sprawa wcale nie jest taka błaha - zauważył Smilow. - Ramy czasowe się zgadzają. Rzeźnik pamięta, że sprzedał wieprzowinę Sarah Birch tuż przed końcem swojej zmiany, która trwała do szóstej trzydzięści.

- A zatem mogła być w supermarkecie mniej więcej od piątej do wpół do siódmej - obliczała Steffi. - Dokładnie w tym samym czasie wykończono Pettijohna. A przecież ten sklep stoi zaledwie o dwie przecznice od hotelu. Cholera! Czy możliwe, żeby to było takie proste?

- Nie - odparł Smilow z wahaniem. - Pan Daniels twierdzi, że kobieta, którą widział na hotelowym korytarzu, nie była kolorowa. Sarah Birch jest czarna.

- Mogła tylko ubezpieczać Davee.

- Kobieta spotkana przez pana Daniela nie była blondynką - przypomniał Smilow. - Davee Pettijohn zawsze jest i będzie jasnowłosa.

- Żartujesz? Przecież to królowa clairolu.

Hammond wcale nie był zdziwiony, że wierna gospodyni Davee kłamała. Drażnił go natomiast złośliwy komentarz Steffi. Zaniepokoiło go również, że jego przyjaciółka z dzieciństwa uznawana jest za podejrzaną i że jej alibi wcale nie jest takie "żelazne", jak twierdziła.

- Davee nie zabiłaby Lute'a. - Pozostała dwójka obróciła się do niego. - Jaki miałyby motyw? - Zazdrość i pieniądze. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie brak jej kochanków, Steffi. Dlaczego miałyby być zazdrosna o kobiety Lute'a? Jest bogata. Prawdopodobnie bogatsza niż Lute.

- No cóż, i tak na razie nie mam zamiaru skreślać jej z listy. Zostawiwszy tych dwoje własnym spekulacjom, Hammond podszedł do łóżka. Na kolanach Daniela leżał otwarty bloczek z rysunkami. Zawierał coś, co wyglądało na nie mającą końca serię kształtów oczu. Hammond zerknął Endicott przez ramię, ale na razie była na etapie ustalania kształtu twarzy.

- Może tutaj była odrobinę szczuplejsza - uściślił pan Daniels, uderzając się we własne policzki. Rysownicza wprowadziła zasugerowaną poprawkę. - Tak, coś koło tego.

Kiedy przeszli do oczu i brwi, Hammond zbliżył się do Steffi i Smilowa.

- Sprawdzaliście byłych współpracowników? - spytał inspektora.

- Oczywiście, zostali przesłuchani - odparł Smilow z chłodną uprzejmością. - Przynajmniej ci, którzy nie mają alibi w postaci więzienia.

Część z nich, o ile sprawy nie podlegały jurysdykcji federalnej, wsadził za kratki sam Hammond. Lute Pettijohn często nagiął przepisy, niejednokrotnie bardzo niewiele mu brakowało do popełnienia prawdziwego przestępstwa. Flirtował z nim, ale nigdy nie przekroczył granicy.

- Jednym z ostatnich pomysłów Pettijohna było wykupienie wyspy - wyjaśnił im Smilow.

Steffi roześmiała się.

- Co w tym nowego?

- Pod pewnymi względami jest to nietypowa sprawa. Wyspa

Speckle leży około dwóch i pół kilometra od brzegu i jako jedna z niewielu nie została dotychczas zagospodarowana.

- To wystarczy, żeby podniecić Pettijohna - zauważyła Steffi. Smilow przytaknął.

- Dlatego wprawił tryby w ruch. Jakkolwiek jego nazwiska nie znajdziecie żadnych dokumentach. Przynajmniej nie w dokumentach, do których udało nam się dotrzeć. Możecie być jednak pewni, że wszystko sprawdzimy. - Patrząc na Hammonda, dodał: - Dokładnie.

Hammond poczuł, że jego klatkę piersiową przytłacza potworny ciężar. To, co właśnie usłyszał o wyspie Speckle, od jakiegoś czasu nie było mu obce. Co gorsza, wiedział znacznie więcej - więcej, niż chciał wiedzieć.

Jakieś sześć miesięcy temu prokurator generalny Karoliny Południowej poprosił go o przeprowadzenie tajnego dochodzenia. Przede wszystkim chodziło o zapoznanie się z planami Pettijohna dotyczącymi rozbudowy tejże wyspy. Wyniki dochodzenia mogły przyprawić o dreszcze, najgorsze jednak było to, że na liście inwestorów Hammond znalazł nazwisko ojca. Póki się nie dowie, co wspólnego z morderstwem Pettijohna ma wyspa Speckle, zatrzyma te informacje dla siebie. Po prostu, jak Smilow niedawno sam powiedział, poda je do wiadomości w odpowiednim czasie.

- Któryś z byłych współpracowników - zauważyła Steffiimógł żywić tak głęboką urazę, że gotów był nawet popełnić morderstwo.

- To całkiem możliwe - przyznał Smilow. - Problem polega na tym, że Lute działał w kręgu osób mających ogromne wpływy. Należą do nich między innymi urzędnicy państwowi wszystkich szczebli. Przyjaciółmi Lute'a byli mężczyźni posiadający taką lub inną władzę. To znacznie utrudnia moje poszukiwania, ale mam zamiar dalej grzebać.

Hammond był przerażony faktem, że Smilow zajmuje się tą sprawą. Nazwisko Prestona Crossa - niczym ukryty skarb - tylko czekało, by ktoś się do niego dokopał. Wcześniej czy później wyjdzie na jaw, że Preston miał powiązania z Pettijohnem.

W głębi duszy przeklął ojca za to, że przez niego znalazł się w tak kompromitującej sytuacji. Wkrótce może stanąć przed koniecznością dokonania wyboru między obowiązkiem zawodowym a lojalnością w stosunku do rodziny. W najlepszym przypadku z powodu nieczystych machinacji ojca może stracić sprawę o morderstwo. Gdyby do tego doszło, nigdy by mu nie wybaczył.

Zerknął na szpitalne łóżko, przy którym rysownicza powoli robiła pewne postępy.

- Jakie miała włosy? Długie czy krótkie?

- Mniej więcej dotąd - wyjaśnił Daniels, pokazując swoje ramiona.

- Nosila grzywkę?

- Takie kosmyki na czole? Nie.

- Proste czy kręcone?

- Wydaje mi się, że raczej kręcone. Puszyste. - Ponownie zilustrował swoje słowa za pomocą rąk. - To znaczy, że szcesywała je w dół?

- Taak, chyba tak. Nie znam się zbytnio na fryzurach.

- Proszę przejrzeć to czasopismo. Może znajdzie pan zdjęcie, które przypomina jej uczesanie.

Daniels zmarszczył czoło i zmartwiony zerknął na zegarek, zrobił jednak, co mu kazano - zaczął apatycznie przerzucać strony magazynu fryzjerskiego.

- Jaki miały kolor? - spytała rysowniczką.

- Czerwonawy.

- Była rudowłosa?

Słowa Danielsa w jakiś dziwny sposób przyciągały Hammonda, jakby świadek i rysowniczką trzymali ten sam koniec liny i wciągali go do środka.

- Nie był to kolor marchewkowy.

- A zatem ciemniejsza czerwień?

- Nie. Raczej brąz z dużą ilością czerwieni.

- Kasztanowy?

- To jest to! - zawołał, pstrykając palcami. - Wiedziałem, że istnieje słowo określające ten kolor, tylko nie mogłem go sobie przypomnieć. Kasztanowy.

Hammond przełknął łyk kawy, która nagle nabrała dziwnie gorzkiego smaku. Podszedł do szpitalnego łóżka z niechęcią, z jaką człowiek cierpiący na lęk wysokości zbliża się do krawędzi Wielkiego Kanionu.

Kapral Endicott sprawnie poruszała ołówkiem po papierze.

Zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt.

- Co pan na to? - spytała, pokazując Danielsowi swoją pracę.

- Hej, to jest całkiem niezłe. Tylko ta kobieta miała wokół twarzy kosmyki.

Hammond zbliżył się o następny krok.

- Takie?

Zdaniem Danielsa Endicott dobrze uchwyciła fryzurę.

- W porządku. W takim razie zostały nam usta - stwierdziła. Odłożyła magazyn fryzjerski i otworzyła szkicownik na następnej stronie. - Czy pamięta pan coś charakterystycznego, co wiązałoby się z jej ustami, panie Daniels?

- Były pomalowane - wymamrotał, uważnie przeglądając setki szkiców ust.

- To znaczy, że zauważył pan jej usta?

Uniósł głowę i rzucił w stronę drzwi niespokojne spojrzenie, jakby się obawiał, że stoi za nimi pani Daniels i podsłuchuje.

- Wyglądały mniej więcej tak. - Pokazał. jeden ze standardowych rysunków. - Tylko miała trochę pełniejszą dolną wargę.

Rysownicza zajrzała do książki, po czym skopiowała usta na swój własny rysunek.

Obserwując ją, Daniels dodał:

- Kiedy zerknęła w moją stronę, delikatnie się uśmiechnęła.

- Pokazała zęby?

- Nie. Był to zdawkowy uśmiech. No wie pani, ludzie robią taką minę, gdy wchodzą razem do windy czy coś w tym stylu.

Albo ich oczy przez przypadek spotykają się nad parkietem. Hammond nie mógł wykrzesać z siebie dość odwagi, by spojrzeć na rysunek, w głębi duszy jednak widział ponętny uśmiech, który tak głęboko wrył się w jego pamięć.

- Czy to było coś takiego? - Endicott obróciła kartkę w stronę Daniela, by lepiej mógł zobaczyć.

- Psiakrew - mruknął z szacunkiem. - To ona! Hammondowi również wystarczył jeden rzut oka. To rzeczywiście była ona.

Smilow i Steffi cały czas rozmawiali. Usłyszawszy cichy okrzyk Daniela, podbiegli do łóżka. Hammond dał się odepchnąć na bok. Wcale nie musiał już patrzeć.

- Ten rysunek nie jest dokładny - wyjaśnił im Daniels - ale cholernie dobry.

- Jakież znaki szczególne czy blizny? Pieg.

- Wydaje mi się, że miała coś w rodzaju pieprzyka - powiedział Daniels. - Nie był brzydki. Taki trochę większy pieg. Pod okiem.

- Czy pan pamięta ... - zaczęła Steffi.

- Pod którym okiem? - dodał Smilow, kończąc jej myśl.

- Prawym.

- Hmm, proszę zaczekać ... Widziałem ją z tej strony ... to znaczy, że ... pod lewym. Nie, nie, pod prawym. Zdecydowanie pod prawym - zapewnił Daniels, zadowolony, że mógł pomóc i przekazać wszystkie szczegóły.

- Czy był pan na tyle blisko, by zobaczyć kolor jej oczu?

- Nie, przykro mi, ale nie.

Zielone z brązowymi plamkami. Szeroko rozstawione. Ciemne rzęsy.

- Ile miała wzrostu, panie Daniels? Niecałe metr siedemdziesiąt.

- Była wyższa od pani - odpowiedział na pytanie Steffi. Ale o kilka centymetrów niższa od pana Smilowa.

- Mam metr siedemdziesiąt siedem - podpowiedział inspektor.

- A zatem mogła mieć około metra siedemdziesiąt? - spytała Steffi, trzymając dłoń nad swoją głową.

- Mniej więcej.

- Ile ważyła?

Czterdzieści trzy kilogramy.

- Niedużo.

- Pięćdziesiąt kilo? - spytał Smilow.

- Chyba mniej.

- Czy przez przypadek pamięta pan, co miała na sobie? - dopytywała się Steffi. - Spodnie? Szorty?

Sukienkę?

Spódniczkę.

- Albo szorty, albo spódniczkę. Nie jestem pewien, ale ... rozumiecie ... widziałem jej nogi. - Daniels poruszył się niespokojnie. - Do tego jakąś bluzeczkę. Nie pamiętam koloru ani niczego takiego.

Biała spódniczka. Brązowa, robiona na drutach bluzeczka i odpowiednio dobrany kardigan. Brązowe skórzane sandaalki. Bez pończoch. Beżowy, zapinany z przodu koronkowy stanik. Pasujące do niego figi.

Endicott zaczęła zbierać swoje przybory i wtykać je do przeładowanej czarnej torby. Smilow wziął od niej rysunek, a potem uściskał dłoń Danielsowi.

- Mamy pański numer w Macon. W razie potrzeby skontaktujemy się z panem. Najmocniej dziękuję.

- Ja również - dorzuciła Steffi, uśmiechając się do mężczyzny. Potem ruszyła za Smilowem w stronę drzwi.

Hammond nie mógł wydobyć z siebie głosu, dlatego na pożegnanie kiwnął jedynie Danielsowi głową. Na korytarzu Smilow i Steffi wylewnie podziękowali rysownicze. W chwilę później Endicott wsiadła do windy.

Pozostali stanęli, by uważnie przyjrzeć się rysunkowi i pogratulować sobie nawzajem.

- A więc to jest nasza tajemnicza dama - zauważył Smilow. - Nie wygląda na morderczynię, prawda?

- A jak powinna wyglądać morderczyni?

- Masz rację, Steffi. Zachichotała.

- Teraz rozumiem, dlaczego pan Daniels nie chciał, by jego żona była w pobliżu, gdy będzie opisywał spotkaną kobietę. Wygląda na to, że pomimo bóleści brzucha odczuwał jednak pożądanie. Zapamiętał najdrobniejsze szczegóły, nie pominął nawet piega pod prawym okiem.

- Musisz przyznać, że taka twarz łatwo zapada w pamięć.

- Co nie ma żadnego znaczenia, jeśli się zastanawiamy, czy ktoś jest winny, czy nie. Ładne kobiety potrafią zabić z takim samym zapałem jak brzydkie. Prawda, Hammondzie? - Steffi obróciła się do niego. - Jezu, co się z tobą dzieje?

Musiał wyglądać, jakby miał mdłości. Naprawdę tak się czuł.

- Kiepska kawa - skłamał, gniotąc pusty plastikowy kubek, który trzymał w zaciśniętej dłoni.

- No cóż, Smilow, teraz musisz ją znaleźć. - Steffi stuknęła palcem w rysunek. - Mamy twarz.

- Łatwiej by było, gdybyśmy znali jej nazwisko. Doktor Alex Ladd.

Rozdział czternasty

Tymczasowa siedziba sądu znajdowała się w północnej części Charlestonu. Była to nieatrakcyjna dwukondygnacyjna budowla, usytuowana w dzielnicy przemysłowej. Sąsiadowała z niewielkim sklepem spożywczym i piekarnią, w której sprzedawano wczorajsze pieczywo. Ten stojący na uboczu budynek miał służyć dopóty, dopóki nie zostanie przeprowadzony gruntowny remont majestatycznego starego gmachu w centrum. Wymagał on pewnych napraw, jeszcze nim nad Charlestonem przeszedł huragan Hugo, ale po tym kataklizmie dawna siedziba sądu zaczęła stanowić prawdziwe zagrożenie i już zupełnie nie nadawała się do użytku.

Do nowego budynku jechało się z centrum zaledwie dziesięć minut. Hammond nie pamiętał, jak owego ranka pokonał tę odległość. Zaparkował samochód i wszedł do środka. Bezmyślnie podał swoje numery strażnikowi, który obsługiwał przy wejściu wykrywacz metalu. Potem skręcił w lewo, w stronę biura prokuratora okręgowego, i nie zwalniając kroku, minął biurko sekretarki. Przechodząc, powiedział, żeby nie łączyła żadnych rozmów.

- Ma pan już ...

- Później się tym zajmę.

Głośno zamknął drzwi swojego prywatnego biura. Rzucił marynarkę i aktówkę na stos czekającej na biurku papierkowej roboty, po czym osunął się na skórzany fotel z wysokim oparciem i przycisnął dłonie do oczu.

To po prostu niemożliwe. Widocznie wciąż śni. Lada chwila obudzi się przerażony, zapłątany w mokre od potu prześcieradła, i z trudem będzie łapał oddech. Kiedy zauważy znajome otoczenie, z ulgą zda sobie sprawę, że przez cały czas spał, dręczony koszmarem sennym.

Niestety, była to jawa. Wcale nie spał, wszystko działo się naprawdę. Chociaż trudno w to uwierzyć, policjantka narysowała doktor Alex Ladd, kobietę, z którą Hammond się przespał, nie wiedząc, że wcześniej widziano ją przed apartamentem, w którym zostało popełnione morderstwo.

Zbieg okoliczności? Bardzo mało prawdopodobne.

Musiała mieć coś wspólnego z Lute'em Pettijohnem. Hammond wcale nie był pewien, czy chce wiedzieć, co to takiego. Prawdę mówiąc, nie chciał o niczym słyszeć.

Przetarł dłońmi twarz, potem oparł łokcie o biurko i wpatrzył się w przestrzeń, próbując uporządkować chaotyczne myśli.

Nie miał wątpliwości co do tego, że kapral Endicott narysowała podobiznę kobiety, z którą spędził sobotnią noc. Nawet gdyby nie widział jej poprzedniego wieczoru, nie tak szybko zapomniaby tę twarz. Od początku mu się spodobała. Sobotni wieczór i noc z soboty na niedzielę spędził oglądając, podziwiając, pieszcząc i całując to oblicze.

- Skąd ją masz? - Dotknął płamki pod jej prawym okiem.

- Swoją skazę?

- To piękne znamię.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Kiedy byłam młodsza, nienawidziłam tej plamki. Teraz muszę przyznać, że ją polubiłam.

- Chyba nawet wiem, jak to się stało. Mnie również przypadła do gustu. - Pocałował z nią raz, potem drugi, dotykając go delikatnie czubkiem języka.

- Hmm. To wstyd.

- Co takiego?

- Że nie mam więcej takich skaz.

Natychmiast poznał jej twarz. Dwuwymiarowy czarno-biały szkic nie oddawał charakteru sportretowanej kobiety, ale była to tak wierna podobizna, że z pewnością musiano widzieć doktor Ladd w pobliżu pokoju ofiary morderstwa. W jakiś czas później stanęła na drodze człowieka z biura prokuratora okręgowego, a ściślej biorąc - Hammonda Cross a, który tegoż popołudnia odwiedził Pettijohna.

- Jezu.

Przeczesał palcami włosy i chwycił się za głowę. Niedowierzenie i rozpacz sprawiały, że był bliski załamania. Co on ma teraz, do diabła, robić?

No cóż, nie mógł od tego uciec, chociaż miał na to ogromną ochotę. Z prawdziwą przyjemnością wymknąłby się ukradkiem ze swojego biura, wyjechał z Charlestonu, opuścił stan, ukrył się i pozwolił, by ta bomba detonowała bez niego. Wówczas udałoby mu się uniknąć skandalu, który niewątpliwie wybuchnie.

Był jednak na to za mocny. Przyszedł na świat z wyjątkowo silnym poczuciem odpowiedzialności, a rodzice dzień po dniu pielęgowali tę cechę. W związku z tym nie mógł uciec. Było to równie nierealne jak oczekiwanie, że wyrosną mu skrzydła.

W związku z tym musiał przejść do porządku dziennego nad drugim punktem, który wydawał się bezsprzeczny - że to nie z kokieterii ukrywała przed nim swoje imię i nazwisko, jak mylnie przypuszczał. Dopiero po ponadgodzinnym pobycie w wesołym miasteczku pomyślał, by ją o to zapytać. Śmiali się, że z takim opóźnieniem dotarli do etapu, od którego zazwyczaj wszystko się zaczyna. Zawsze gdy spotka się dwoje nieznajomych, wzajemnie się sobie przedstawiają.

- Imiona i nazwiska właściwie nie mają żadnego znaczenia, prawda? Zwłaszcza kiedy spotkanie jest takie miłe.

Zgodził się.

- Tak, bo czymże jest imię? - sparafrazował zapamiętany wers z "Romea i Julii".

- To dobre! Czy kiedykolwiek pomyślał pan o tym, by to zapisać?

- Prawdę mówiąc, tak, ale to nigdy by się nie sprzedało.

Od tego momentu wciąż w żartach wracali do tego tematu - on pytał ją o imię, a ona mu nie odpowiadała. Jak sztubak myślał, że oboje marzą o pokochaniu się z nieznajomym. Brak imion był swoistym wabikiem, częścią przygody, dodatkową zachętą. Hammond nie miał nic przeciwko temu.

Z niepokojem stwierdził, że prawdopodobnie Alex Ladd od początku znała jego imię i nazwisko. A zatem nie był to zbieg okoliczności. Nie przypadkiem pojawiła się w pawilonie tanecznym wkrótce po nim. Ich spotkanie było zaplanowane. Reszta wieczoru została zaaranżowana. Chodziło o to, by go zawstydzić, a przy okazji całkowicie skompromitować jego i (albo) biuro prokuratora.

W jakim stopniu się to udało, okaże czas. Ale nawet najmniejsza skaza mogła położyć kres wspaniale zapowiadającej się karierze Hammonda. Wystarczy drobny skandal, by zmniejszyć lub wręcz całkiem zniweczyć nadzieje na zajęcie miejsca Monroe Masona i wpisanie się na listę najznamienitszych przedstawicieli prawa w okręgu charlestońskim.

Hammond oparł się o biurko i ponownie ukrył twarz w dłoniach. "Zbyt dobre, by mogło być prawdziwe". To oklepane, ale mądre porzekadło. Podczas studiów prawniczych on i jego przyjaciele zawiesili w swoim ulubionym barze karteczkę z napisem:

"Nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch". Wymarzony wieczór z najbardziej ekscytującą kobietą, jaką kiedykolwiek udało mu się spotkać, nie tylko zostawił po sobie niezatarty ślad, ale jeszcze prawdopodobnie mógł się stać przyczyną jego zguby.

Jakiż z niego idiota, że nie rozpoznał starannie zastawionej pułapki! O ironio, nie winił osoby ani osób - nawet jeśli doktor Ladd działała w zмовie z Pettijohnem - które go w tę pułapkę schwytały. Większe pretensje miał do siebie - nie mógł sobie wybaczyć własnej naiwności.

Mając oczy szeroko otwarte, dał się usidlić w najbardziej klasyczny sposób. Seks był przecież najpewniejszą metodą pozwalającą na skompromitowanie mężczyzny, wielokrotnie sprawdzoną na przestrzeni wieków. Hammond nie przypuszczał, że on sam okaże się taki łatwowierny.

Łatwowierność można wybaczyć. Utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości - nie.

Dlaczego nie przyznał się Smilowowi i Steffi, że rozpoznaje narysowaną kobietę?

Ponieważ prawdopodobnie była całkiem niewinna. Danieis mógł się mylić. Nawet jeśli naprawdę widział Alex Ladd w hotelu, to pozostaje jeszcze kwestia zgrania wszystkiego w czasie. Hammond dokładnie pamiętał, kiedy Alex pojawiła się w pawilonie tanecznym. Biorąc pod uwagę odległość, jaką powinna pokonać, by tam dotrzeć, i uwzględniając korki, musiała opuścić hotel najpóźniej ... Dokonał szybkich obliczeń. Powiedzmy o piątej trzydziści. Jeśli zdaniem koronera śmierć nastąpiła nieco później, doktor Ladd nie mogła być morderczynią.

Dobry argument, Hammondzie. Oparty na faktach. Wspaniale uzasadniony.

Tak czy inaczej, nawet przez myśl mu nie przeszło, by zidentyfikować Alex Ladd. Od zapierającej dech w piersi chwili, kiedy zerknął na rysunek i natychmiast rozpoznał naszkicowaną twarz, w ogóle nie brał pod uwagę możliwości, by wyjawiać imię i nazwisko tej kobiety.

Widząc znajome oblicze, przypomniał sobie, jak wyglądało na jego poduszce. Nie zastanawiał się, co powinien zrobić, nie rozważał, co przemawia za zachowaniem milczenia, a co przeciw niemu. Natychmiast przypieczętował tajemnicę. Na razie zdecydował ukrywać tożsamość doktor Ladd. Tym oto sposobem świadomie złamał wszystkie zasady etyczne, które dotychczas wyznawał. Jego milczenie było wyraźnym pogwałceniem

prawa, którego miał przestrzegać, i zamierzoną próbą utrudniania śledztwa. Nawet nie chciał myśleć, jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić.

Mimo to wcale nie miał zamiaru wydać Alex w ręce Smilowa i Steffi.

Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi, a w ułamek sekundy później ktoś je otworzył. Hammond już chciał zbesztać sekretarkę za to, że mu przeszkadza, chociaż wyraźnie prosił o spokój, ale ostre słowa zamarły mu na wargach.

- Dzień dobry, Hammondzie.

Cholera! Tylko tego mi brakowało.

Jak zwykle w obecności ojca Hammond poddał się czemuś, co przypominało kontrolę przed odlotem. Jak wyglądam? Czy wszystkie części mojego ciała są gotowe do natychmiastowego działania? Może przez przypadek któryś element nie funkcjonuje i wymaga błyskawicznej naprawy? Czy jestem w stanie sprostać wymaganiom? Hammond miał nadzieję, że tego ranka ojciec nie będzie mu się zbyt uważnie przyglądał.

- Cześć, tato.

Wstał, po czym oficjalnie uścisnęli sobie dłonie nad biurkiem.

Jeśli ojciec kiedykolwiek go przytulił, musiało to być bardzo, bardzo dawno temu, ponieważ Hammond tego nie pamiętał.

Zabrał z biurka swoją marynarkę i powiesił ją na wieszaku, aktówkę odstawił na podłogę i zaproponował ojcu, by usiadł na jedynym wolnym krześle znajdującym się w ciasnym pokoju.

Preston Cross był zdecydowanie cięższy i niższy niż syn. Ale to, że miał gorszą posturę, wcale nie zmniejszało wrażenia, jakie wywierał na ludziach, niezależnie od tego, czy znajdował się w tłumie, czy był z kimś sam na sam. Czerwonawa twarz Prestona zawsze była opalona, ponieważ mnóstwo czasu spędzał na świeżym powietrzu - żeglował, grał w tenisa i golfa. Jakby na rozkaz, gdy tylko skończył pięćdziesiątkę, przedwcześnie posiwały mu włosy. Traktował je jako atrybut zapewniający należyty szacunek, którego od wszystkich żądał.

Nigdy nie chorował. Prawdę mówiąc, pogardzał kiepskim zdrowiem i jakimikolwiek oznakami słabości. Dziesięć lat temu rzucił papierosy, ale nadal palił cygara. Każdego dnia wypijał przynajmniej trzy spore burbony. Uważał również, że kolacja bez wina to świętokradztwo. Przed snem opróżniał szklaneczkę brandy. Pomimo tych przywar bardzo dobrze się trzymał.

W wieku sześćdziesięciu pięciu lat był bardziej krzepki i miał lepszą figurę niż większość mężczyzn dwa razy od niego młodszych. Ale to nie tylko wygląd zewnętrzny sprawiał, że otaczała go jakaś niezwykle silna aura. Przyczyniała się do tego również dynamiczna osobowość. Preston Cross traktował swój wygląd jako coś oczywistego. Napawał strachem ludzi, którzy zazwyczaj byli pewni siebie. Kobiety go ubóstwiały.

Zarówno w życiu rodzinnym, jak i zawodowym rzadko grał drugie skrzypce i nie znosił sprzeciwu. Trzydzieści lat temu połączył kilka drobnych towarzystw zajmujących się ubezpieczeniami zdrowotnymi i stworzył z nich jedno wielkie, które pod jego kierunkiem jeszcze bardziej się rozrosło i teraz miało dwadzieścia jeden przedstawicielstw na terenie stanu. Oficjalnie był na emeryturze. Mimo to wciąż pełnił funkcję dyrektora

naczelnego tegoż towarzystwa i wcale nie było to tytułarne stanowisko. Sprawdzał wszystko, z cenami kupowanych hurtowo ołówków włącznie. Nic nie uchodziło jego uwagi.

Działał w licznych zarządach i komitetach. Razem z panią Cross był zapraszany na każdą bardziej doniosłą uroczystość. Znał wszystkie ważniejsze osobistości na południowym wschodzie Stanów Zjednoczonych. Miał również doskonale powiązana.

Chociaż Hammond bardzo chciał kochać, podziwiać i szanować ojca, zdawał sobie sprawę, że ten wykorzystuje otrzymane od Boga dary, by robić rzeczy sprzeczne z bożym prawem.

Preston zaczął od wyjawienia powodu swej nie zapowiedzianej wizyty:

- Przyszedłem natychmiast, jak tylko się dowiedziałem.

Te słowa zazwyczaj poprzedzają kondolencje. Hammonda ogarnęło przerażenie. Jak to możliwe, by ojciec tak szybko dowiedział się o nocy spędzonej z Alex Ladd?

- Czego się dowiedziałeś?

- Że będziesz oskarżycielem w sprawie o morderstwo Pettijohna.

Hammond usilnie starał się ukryć ulgę.

- To prawda.

- Miło byłoby usłyszeć tak wspaniałą wiadomość bezpośrednio od ciebie, Hammondzie.

- Nie miałem zamiaru cię urazić, tato. Wczoraj wieczorem rozmawiałem tylko z Masonem.

Lekceważąc synowskie wyjaśnienia, Preston ciągnął:

- Tymczasem o wszystkim dowiedziałem się od przyjaciela, który dziś rano jadł śniadanie z Masonem. Gdy nieco później wspomniał o tym w klubie, oczywiście zakładał, że już o wszystkim wiem. Byłem zażenowany, że jest inaczej.

- W sobotę wyjechałem do swojej chaty. O Pettijohn nie usłyszałem wczoraj wieczorem, już po powrocie. Od tej chwili sprawy toczą się tak szybko, że sam jeszcze nie ze wszystkim zdążyłem się oswoić. - Było to spore niedopowiedzenie.

Preston strzepnął niewidoczną nitkę z ostrego jak nóż kantu swoich spodni.

- Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że otwierają się przed tobą niewiarygodne możliwości.

- Tak jest, sir.

- Ten proces będzie się cieszył ogromnym zainteresowaniem opinii publicznej.

- Jestem świadom ...

- Co powinienesz wykorzystać, Hammondzie. - Z zapałem godnym ewangelisty ojciec uniósł rękę i zacisnął ją w pięść, jakby chwycił w garść fale radiowe. - Spożytkuj media. Działaj zgodnie z zasadami, a jednocześnie popularyzuj swoje nazwisko. Niech wyborcy wiedzą, kim jesteś. To autoreklama. Stanowi klucz do sukcesu.

- Kluczem do sukcesu będzie skazanie winnego - zaproponował Hammond. - Mam nadzieję, że moje wystąpienie przed sądem okaże się wystarczającym argumentem i że nie będę musiał liczyć na zamieszanie wywołane przez media.

Preston Cross, zniecierpliwiony, machnął ręką.

- Ludzi nie interesuje, jak uporasz się z tą sprawą, Hammondzie. Kogo tak naprawdę obchodzi, czy zabójca do końca życia będzie siedział za kratkami, czy dostanie zastrzyk, czy też ujdzie mu to płazem?

- Mnie - zapewnił żarliwie. - I obywateli też powinno.

- Może kiedyś zwracano baczniejszą uwagę na pracę urzędników państwowych. Teraz ludzi obchodzi tylko to, jak ich przedstawiciele wyglądają, gdy występują w telewizji. - Preston roześmiał się. - Gdyby przeprowadzono badanie opinii publicznej, prawdopodobnie by się okazało, że niewiele osób wie, co właściwie należy do prokuratora okręgowego.

- Ale ci sami ludzie z przerażeniem czytają statystyki kryminalne.

- To dobrze. Odwołaj się do tego! - zawołał Preston. - Postaraj się ich uspokoić. - Rozparł się w krześle. - Prowadź banalne rozmowy z dziennikarzami, Hammondzie, i wykorzystaj to, co mają do zaoferowania. Wygłaszaj oświadczenia, ilekroć cię o to poproszą. Nawet jeśli będziesz gadał od rzeczy, sam się zdziwisz, jak długą drogę może pokonać takie nic. Zaczną ci przyznawać darmowy czas antenowy. - Przerwał, by puścić perskie oko. - Daj się wybrać. Potem będziesz mógł do woli prowadzić swoją krucjatę.

- A jeśli nie zdecyduję się startować w wyborach?

- Co cię powstrzymuje?

- Wyspa Speckle.

Hammond rzucił bombę, ale Preston ani drgnął.

- Co to takiego?

Hammond nawet nie próbował ukryć obrzydzenia.

- Jesteś dobry, tato. Bardzo dobry. Wypieraj się, ile chcesz, ale ja i tak wiem, że kłamiesz.

- Uważaj, co mówisz, Hammondzie.

- Mam uważać, co mówię? - Hammond ze złością poderwał się z fotela i wsunął ręce do kieszeni. - Nie jestem dzieckiem, ojczu. Jestem prokuratorem tego okręgu. Na domiar złego mam ojca kanciarza.

Twarz Prestona nabrała ciemnoczerwonej barwy.

- Widzę, że jesteś bardzo mądry. Co wiesz na ten temat?

- Wiem, że jeśli inspektor Smilow lub ktokolwiek inny odkryje twoje nazwisko wśród udziałowców wykupujących wyspę Speckle, możesz drogo za to zapłacić, kto wie, czy nawet nie więzieniem. Jednocześnie to będzie oznaczało koniec mojej kariery. Chyba że sam oskarżę własnego ojca. Tak czy inaczej, za sprawą twoich powiązań z Pettijohnem znalazłem się na z góry przegranej pozycji.

- Uspokój się, Hammondzie. Nie masz się o co martwić. Wycofałem się już z tego przedsięwzięcia.

Hammond nie wiedział, czy wierzyć ojcu, czy nie. Twarz Prestona była spokojna, nieprzejednana, trudno było się na niej dopatrzeć śladu nieuczciwości. Miał do tego talent.

- Kiedy?

- Kilka tygodni temu.

- Pettijohn o tym nie wiedział.

- Ależ wiedział. Próbował mnie namawiać, żebym nie rezygnował, ale i tak to zrobiłem, przy okazji zabierając swoje pieniądze. Cholernie go wkurzyłem.

Hammond poczuł, że z zażenowania piecze go twarz. W sobotę po południu Pettijohn powiedział mu, iż Preston tkwi w sprawie wyspy Speckle po uszy. Pokazał nawet dokumenty z łatwym do rozpoznania podpisem ojca. Czyżby Lute zabawił się jego kosztem?

- Jeden z was kłamie.

- Kiedy odbyłeś z Lute'em poufną rozmowę? - chciał wiedzieć Preston.

Hammond zignorował to pytanie.

- Czy wycofując się, sprzedałeś swoje udziały z zyskiem?

- Byłbym kiepskim człowiekiem interesu, gdybym tego nie zrobił. Znalazłem kupca, który chciał je mieć i gotów był zapłacić proponowaną przeze mnie cenę.

Hammondowi odbiło się kwaśną kawą.

- To nie ma znaczenia, czy się wycofałeś, czy nie. Jeśli kiedykolwiek miałeś coś wspólnego z tą sprawą, jesteś zbrukany. A przy okazji ja również.

- Robisz z igły widły, Hammondzie.

- Jeśli to kiedykolwiek dostanie się do wiadomości publicznej ..

- Nie dostanie się.

- Ma szansę.

Preston wzruszył ramionami.

- Wtedy powiem prawdę.

- To znaczy?

- Że nie miałem pojęcia, jak wyglądają plany Lute'a. Kiedy się zorientowałem, wyraziłem dezaprobatę i zrezygnowałem z udziału.

- Przemyślałeś tę sprawę pod każdym możliwym kątem.

- To prawda. Zawsze to robię.

Hammond z wściekłością spojrział na ojca. Preston praktycznie go prowokował, by wniósł przeciw niemu oskarżenie. On wiedział jednak, że byłoby to daremne. Prawdopodobnie nawet Lute Pettijohn zdawał sobie sprawę, że Preston będzie miał jakiegoś asa w rękawie. Wykorzystał czasowe pmInerstwo z ojcem, by manipulować synem.

- Chciałbym ci coś poradzić, Hammondzie - powiedział Preston. - Spróbuj wyciągnąć z tego jakąś naukę. Można się wyplątać ze wszystkiego, jeśli człowiek zostawi sobie drogę odwrotu.

- To twoja rada dla jedynego syna? Pieprzyć uczciwość?

- To nie ja tworzyłem te zasady - warknął ojciec. - Wcale nie muszą ci się podobać. - Wychylił się do przodu i podkreślał każde wypowiedane słowo, dźgając powietrze palcem wskazującym. - Ale powinieneś ich

przestrzegać, gdyż inaczej ludzie, którzy nie chodzą z głowami w chmurach, zostawią cię na drodze w obłokach kurzu unoszącego się spod ich pięt.

To było dobrze znane terytorium. Przemierzali je tysiące razy.

Kiedy Hammond dorósł na tyle, by zakwestionować nieomylność ojca i podjąć dyskusję na temat wyznawanych przez niego zasad, szybko wyszło na jaw, jak bardzo obaj różnią się od siebie. Wykreślona została linia podziału. Toczyli długie dysputy, w których żaden nie mógł wygrać, ponieważ żaden nie myślał ustąpić.

Ostatnio Hammond na własne oczy zobaczył dowód na to, że jego ojciec uczestniczył w jednym z najbardziej nikczemnych przedsięwzięć Pettijohna. Zdał sobie wówczas sprawę, jak różne mają poglądy. Był święcie przekonany, że Preston doskonale wiedział, co się dzieje na tej wyspie. O wycofaniu się z interesu z pewnością nie zadecydowało sumienie. Po prostu jedynie czekał na okazję, by na tej transakcji dobrze zarobić. Hammond dostrzegł, że dzieląca ich przepaść stała się jeszcze głębsza. Nie widział żadnego sposobu, który pomógłby ją pokonać.

- Za pięć minut mam spotkanie - skłamał, obchodząc biurko. - Ucałuj mamę. Później spróbuję do niej zadzwonić.

- Po południu wraz z kilkoma przyjaciółkami wybiera się do Davee.

- Jestem pewien, że wdowa po Lucie się ucieszy - mruknął

Hammond, przypominając sobie, z jaką pogardą Davee mówiła o konieczności przyjmowania tabunów ludzi, którzy przyjdą bardziej z ciekawości niż po to, by złożyć jej kondolencje.

Dotarłszy do drzwi, Preston się odwrócił.

- Gdy opuściłeś zespół adwokacki, wcale nie kryłem, co o tym sędzę.

- To prawda. Całkiem wyraźnie dałeś mi do zrozumienia, że dokonałem złego wyboru - przyznał Hammond sztywno. - Mimo to pozostaję przy swojej decyzji. Lubię pracę po tej stronie prawa. Poza tym jestem w tym dobry.

- Pod kuratelą Monroe Masona rzeczywiście dobrze sobie radzisz. Wyjątkowo dobrze.

- Dziękuję.

Ten komplement wcale nie sprawił przyjemności Hammondowi, który przestał sobie już cenić opinię ojca. Co gorsza, z pochwałą Prestona zawsze wiązało się jakieś zastrzeżenie.

- Cieszę się, że masz tyle piątek, Hammondzie. Ale czwórka plus z chemii jest nie do przyjęcia.

- Zawodnik, którego pokonałeś na trzeciej bazie, był dobry.

Szkoda, że nie udało ci się zdobyć więcej punktów! To by było coś!

- Jesteś drugi na swoim roku? To cudownie, synu. Oczywiście, jeszcze lepiej by było, gdybyś był pierwszy.

Taki wzór powtarzał się od dzieciństwa. Tego ranka ojciec nie zerwał z tradycją.

- Teraz masz szansę udowodnić, że była to słuszna decyzja.

Nie chciałeś zostać pełnoprawnym wspólnikiem w prestiżowej firmie prawniczej, bo wybrałeś posadę urzędnika państwowego. Taka zamiana będzie miała większy sens, gdy zajmiesz najwyższe stanowisko.

W fałszywie przyjacielskim geście Preston położył na ramieniu Hammonda rękę, ciężką jak worek z cementem. Już zapomniał o wcześniejszej sprzeczce albo jedynie postanowił ją zlekceważyć.

- Masz wspaniałą możliwość zrobienia ogromnego kroku do przodu, synu. Sprawa o morderstwo Pettijohna to wyraźne zaproszenie do biura prokuratora okręgowego.

- A jeśli twoje machinacje odbiorą mi szansę na ten urząd, ojczu?

- Nie dojdzie do tego - powiedział Preston z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Gdyby jednak doszło, czyż nie byłaby to okrutna ironia losu, zważywszy na to, że masz w stosunku do mnie tak ogromne ambicje?

Doktor Alex Ladd w poniedziałki nie przyjmowała pacjentów. Wykorzystywała ten dzień na nadrobienie zaległości w pracy papierkowej i załatwienie spraw osobistych. Ten poniedziałek był dla niej specjalny. Miała zamiar spłacić Bobby'ego Trimble'a. Liczyła na to, że dzięki temu pozbędzie się go raz na zawsze. Tak przynajmniej wyglądała umowa, którą zawarli poprzedniego wieczoru. Da mu to, czego żąda, a on zniknie z jej życia.

Niestety, z własnego doświadczenia wiedziała, że z obietnicami Bobby'ego nie można wiązać zbyt wielkich nadziei.

Otwierając drzwi do swojego gabinetu, zastanawiała się, ile razy będzie jeszcze musiała wyjmować z sejfu gotówkę. Do końca życia? To była ponura, ale całkiem realna perspektywa. Teraz, kiedy Bobby ponownie ją znalazł, prawdopodobnie nie zostawi jej w spokoju.

Widok dobrze wyposażonego gabinetu przypominał, ile mogłaby stracić, gdyby Bobby ją zdemaskował. Myśląc przede wszystkim o wygodzie pacjentów, wybrała skromne, ale drogie meble. Podobnie jak cały dom, również i to pomieszczenie urządziła w tradycyjnym stylu, który urozmaiciła kilkoma antykami.

Wschodni dywan tłumił odgłos kroków. Promienie słońca wpadały przez okna wychodzące na werandy i otoczony murem ogród, o który dbała przez cały rok. Rośliny i kwiaty, fantastycznie się rozwijające w półtropikalnym klimacie Charlestonu, były właśnie w okresie największego rozkwitu. Skąpane w wilgotnym powietrzu, wyglądały jak plamy żywych kolorów na dobrze utrzymanych klombach.

Miała szczęście, że udało jej się znaleźć ten dom. Był odrestaurowany i miał wszelkie współczesne udogodnienia. Wymagał jedynie pewnych osobistych akcentów. Niegdyś frontowy pokój narożny był oficjalnym salonem. Sąsiadujące z nim identyczne pomieszczenie, które początkowo pełniło funkcję jadalni, teraz przekształcone zostało w salon. Kiedy Alex przyjmowała gości, wyprowadzała ich na zewnątrz. Posiłki jadła w kuchni, która mieściła się na parterze. Na piętrze znajdowały się dwie ogromne sypialnie. Z każdego pokoju można było wyjść na jedną z ocienionych werand. Obrośnięty jaśminem mur otaczający ogród gwarantował prywatność. Alex odsunęła na bok obraz, który zakrywał ścienny sejf.

Zręcznie wybrała numery. Kiedy usłyszała, że bęben znalazł się w odpowiednim położeniu, pociągnęła uchwyty w dół i otworzyła ciężkie drzwiczki.

W środku było kilka kapek banknotów, powiązanych w zależności od nominału. Ponieważ w dzieciństwie o wielu rzeczach mogła tylko pomarzyć, a czasem bywała naprawdę głodna, lubiła mieć pod ręką jakąś gotówkę. Był to dziecinny i nierozsądny zwyczaj, ale zdążyła go już sobie wybaczyć, gdyż wiedziała, skąd się wziął. Trzymanie pieniędzy w sejfie nie było zbyt rozsądne z ekonomicznego punktu widzenia, ponieważ w ten sposób nie mogła liczyć na odsetki. Ale świadomość, że tam są, dawała jej poczucie bezpieczeństwa - w razie konieczności zawsze znajdowały się pod ręką. Tak jak teraz.

Odliczyła umówioną wcześniej sumę i włożyła pieniądze do zapinanej na zamek błyskawiczny torby, która z zawartością sprawiała wrażenie bardzo ciężkiej.

Alex tak nienawidziła Bobby'ego Trimble'a, że aż ją to przerażało. Nie żałowała pieniędzy. Z radością przekazałaby mu jeszcze więcej, gdyby wiedziała, że dzięki temu już nigdy więcej go nie zobaczy. To nie z powodu pieniędzy była zła, ale o to, że wtargnął w życie, które dla siebie stworzyła.

Dwa tygodnie temu pojawił się dosłownie znikąd. Nieświadoma, co ją czeka, beztrzęsco otworzyła drzwi, do których ktoś dzwonił, i zobaczyła stojącego na progu Bobby'ego.

W pierwszej chwili go nie poznała. Zaszły w nim zdumiewające zmiany. Jego krzykliwe tanie ubranie zostało zastąpione krzykliwą drogą odzieżą. Na skroniach Trimble'a pojawiła się odrobina siwizny, która każdemu innemu mężczyźnie dodałaby dostojeństwa. Bobby wyglądał z nią na jeszcze bardziej niebezpiecznie, jakby z niegodziwego młodzieńca wyrósł diabeł wcielony.

Natomiast aż nazbyt dobrze znała jego sardoniczny wyraz twarzy. Był to tryumfalny, wiele mówiący uśmiech, który latami usiłowała wymazać z pamięci. Kiedy nie pomogły niezliczone sesje terapeutyczne i morze wylanych łez, błagała Boga o pomoc. Teraz pojawiał się już tylko w bardzo rzadkich koszmarach, z których budziła się złana potem i przerażona. Wszystko dlatego, że ten uśmiech symbolizował władzę, jaką miał nad nią Bobby.

- Witaj, Bobby.

Jej głos brzmiał, jakby witała śmierć. Fakt, że Bobby bez uprzedzenia nagle ponownie pojawił się w jej życiu, mógł oznaczać tylko katastrofę, zwłaszcza że subtelne zmiany, jakie w nim zaszły, jedynie podkreślały zagrożenia, które ucieleśniał.

- Coś nie bardzo cieszysz się na mój widok.

- Jak mnie znalazłeś?

- No cóż, to nie było łatwe. - Jego głos również się zmienił.

Stał się łagodniejszy, bardziej światowy, pozbawiony nosowego brzmienia. - Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że przez wszystkie te lata się przede mną ukrywałaś. Jestem tutaj tylko dzięki fuksovi. To było prawdziwe zrzędzenie losu.

Nie wiedziała, czy mu wierzyć, czy nie. Los rzeczywiście mógł jej splecać okrutnego figla. Z drugiej jednak strony Bobby był bardzo pomysłowy. Mógł szukać jej od wielu lat. Chociaż to właściwie nie miało znaczenia. Stał przed nią, wywołując najgorsze wspomnienia i najczarniejsze obawy, które ukryła w najgłębszych zakamarkach

duszy. .

- Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Położył dłonie na sercu, udając, że jej słowa go ranią.

- Po tym wszystkim, czym dla siebie byliśmy?

- Ze względu na to, czym dla siebie byliśmy.

Gdy stwierdził, że jest bardziej pewna siebie, niż była w dzieciństwie, jego twarz pociemniała ze złości.

- Naprawdę masz zamiar porównywać swoją i moją przeszłość? Wspominać, co się komu przydarzyło? Nie zapominaj, że to ja ...

- Czego ode mnie chcesz? Oprócz pieniędzy. Bo wiem, że chcesz pieniędzy.

- Niech pani nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków, doktor Ladd. Nie tylko pani się powiodło. Odkąd widzieliśmy się ostatni raz, ja też sporo osiągnąłem.

Z dumą opowiedział o swojej karierze konferansjera w nocnym klubie. Kiedy usłyszała już wszystko o jego wspaniałych dniach w Cock'n'Bull, powiedziała:

- Za piętnaście minut mam pacjenta.

Liczyła na to, że uda jej się szybko zakończyć to spotkanie.

Jednak Bobby został stworzony do tego, by stać w świetle reflektorów. Z prawdziwym zadowoleniem, jakby wyciągał asa z rękawa, wyjaśnił, co sprowadza go do Charlestonu.

Bezsprzecznie był człowiekiem szalonym i Alex mu to powiedziała.

- Uważaj, Alex - szepnął z przerażającą łagodnością. - Nie jestem już taki miły jak dawniej. Nabrałem sprytu.

- W takim razie mnie nie potrzebujesz - stwierdziła, pokonując strach.

Niestety, potrzebował jej, by zrealizować swój plan.

- Prawdę mówiąc, jesteś kluczem do sukcesu. Kiedy powiedział, czego od niej oczekuje, odparła:

- Oszukujesz samego siebie, Bobby. Jeśli sądzisz, że poświęcę ci choć odrobinę czasu, jesteś w ogromnym błędzie. Idź i nie wracaj.

Niestety, wrócił. Następnego dnia. Potem znowu. Przez tydzień obstawał przy swoim. Pojawiał się o różnych porach dnia, przerywał jej sesje z pacjentami, zostawiał wiadomości na automatycznej sekretarce. Pobrzmiewała w nich coraz większa groźba. Ponownie przyczepił się do niej jak pasożyt, którym przecież był. W końcu Alex zgodziła się z nim spotkać. Bobby myślał, że skapitulowała, dlatego gdy się dowiedział, że mu nie pomoże, jego radość przerodziła się w furję.

- Może masz więcej ogłady, Bobby. Jesteś bardziej elegancki. Ale się nie zmieniłeś. Pozostałeś tym samym człowiekiem, który niegdyś uganiał się po ulicach, by pozbawić ludzi kieszonkowego. Gdyby udało się zeszkrobać z ciebie cienką warstwę pozorów, okazałoby się, że nadal jesteś szumowiną.

Wściekły, że usłyszał prawdę, zerwał ze ściany gabinetu jeden z jej dyplomów i cisnął nim o podłogę, łamiąc oprawkę i rozbijając szkło.

- Posłuchaj - powiedział głosem bardziej podobnym do tego, który pamiętała. - Lepiej zastanów się jeszcze raz i wyświadczyć mi tę drobną przysługę. Inaczej zamienię twoje życie w piekło. Prawdziwe piekło.

Wówczas zdała sobie sprawę, że przestał być ulicznym naciągaczem. Był w stanie nie tylko ją zrujnować, mógł również zniszczyć jej życie.

Zgodziła się więc odegrać drugoplanową rolę w jego śmiechu wartej intrydze - ale tylko dlatego, że wymyśliła już, w jaki sposób pokrzyżuje mu szyki.

Niestety, tak jak w przypadku wszystkich innych pomysłów Bobby'ego, sprawy przybrały zły obrót.

Bardzo zły.

Nie udało jej się wprowadzić w życie własnego planu. Dlatego teraz musiała najpierw uwolnić się od Bobby'ego. Nawet jeśli to oznaczało przekazanie mu żądanej kwoty, uznała, iż jest to niewielkie poświęcenie w porównaniu z tym, co by mogła stracić, gdyby wyszły na jaw ich wcześniejsze powiązania.

Uważając, że ta decyzja jest usprawiedliwiona, zamknęła ścienny sejf, przesunęła obraz z powrotem na swoje miejsce, wyszła z gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Jakby na sygnał zadzwonił dzwonek. Bobby zjawił się punktualnie. Wsunęła zapinaną na zamek torbę za stojący w przedpokoju wazon, wyszła na werandę i otworzyła drzwi.

Jednak to nie był Bobby. Dwóch umundurowanych policjantów towarzyszyło mężczyźnie o jasnych oczach i wąskich, pozbawionych uśmiechu ustach. Alex poczuła, że serce zamiera jej w piersi. Widziała, co ich tutaj sprowadza. Zdawała sobie sprawę, że za chwilę jej życie ponownie zamieni się w kompletny chaos.

By ukryć strach, uśmiechnęła się uprzejmie.

- Czym mogę służyć?

- Doktor Ladd?

- Tak.

- Sierżant Rory Smilow, inspektor do spraw zabójstw przy charlestońskiej komendzie policji. Chciałbym porozmawiać z panią na temat morderstwa Lute'a Pettijohna.

- Lute'a Pettijohna? Obawiam się, że nie znam ...

- Tego popołudnia, kiedy został zamordowany, widziano panią przed drzwiami jego apartamentu, doktor Ladd. Proszę więc nie marnować mojego czasu, udając, że nie wie pani, o czym mówię.

Przez chwilę Alex i inspektor Smilow bacznie się sobie przyglądali, oceniając się nawzajem. W końcu Alex ustąpiła. Odsunęła się na bok.

- Proszę wejść.

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że to pani pójdzie z nami.

Przełknęła ślinę, choć niemal zaschło jej w ustach.

- Chciałbym zadzwonić do swojego adwokata.

- Nie ma takiej potrzeby. Nie aresztujemy pani.

Spojrzała znacząco na stojących u jego boku policjantów. Usta Smilowa drgnęły w czymś, co można było uznać za drwiący uśmiech.

- Jeśli dobrowolnie zgodzi się pani na przesłuchanie bez udziału adwokata, szybciej przekonam pani o swojej niewinności.

- Nie wierzę panu, inspektorze Smilow. - W tym momencie zdobyła nad nim przewagę. Był zaskoczony jej bezpośredniością. - Z przyjemnością z panem pojedę, wcześniej jednak chciałabym zawiadomić swojego adwokata.

Rozdział piętnasty

Rory Smilow siedział na rogu swojego biurka. W przeciwieństwie do pozostałych biur, stojących w wydziale do spraw zabójstw, jego było niemal puste. Akta i zaległa praca papierkowa leżały w starannie poukładanych kupkach. Po porannej wizycie u Smitty'ego sznurowane półbuty inspektora odbijały lśniące nad głową światła. Nie zdjął marynarki.

Alex Ladd siedziała spokojnie, z rękami na kolanach i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Smilow uznał, że jest niezwykle opanowana jak na kogoś, kto, przynajmniej po wyglądzie sądząc, nie powinien się znajdować w biurze inspektora do spraw zabójstw.

Pół godziny czekali na adwokata, który zgodził się przyjechać na komendę. Nawet jeśli podejrzaną przeszkadzało przedłużające się milczenie i fakt, że Smilow bacznie ją obserwuje, nie było tego po niej widać. Nie okazywała strachu ani zdenerwowania, nie kryła natomiast, iż z trudem toleruje całą tę niemiłą sytuację.

Gdy w końcu pojawił się Frank Perkins - jej adwokat - był zarumieniony i zaspany. Bardzo przepraszał. Miał na sobie strój do golfa.

- Przepraszam, Alex. Kiedy dostałem od ciebie wiadomość, byłem przy dziesiątym dołku. Przyjechałem tak szybko, jak mogłem. O co chodzi, Smilow?

Perkins cieszył się doskonałą reputacją i mógł się poszczycić wybitnymi osiągnięciami. Uważano go również za człowieka przyzwoitego - nikt nie wątpił w jego uczciwość. Smilowa interesowało, czy bronił już wcześniej Alex.

- To niegrzeczne pytanie - odparł Perkins - ale jeśli Alex mi pozwoli, mogę ci na nie odpowiedzieć.

- Proszę. - Machnęła ręką.

- Do dziś byliśmy jedynie przyjaciółmi. Poznaliśmy się kilka lat temu, kiedy Alex i moja żona Maggie razem działały w koomitecie Spoleto - wyjaśnił, mając na myśli sławny majowy festiwal sztuki, odbywający się w Charlestonie.

- To znaczy, że zgodnie z twoją wiedzą doktor Ladd nigdy wcześniej nie była oskarżona o żadne przestępstwo kryminalne? - Przejdź do sprawy, Smilow.

Ton Perkinsa wyjaśniał, dlaczego prokuratorzy uważali go za trudnego przeciwnika na sali rozpraw.

- Chcę przesłuchać doktor Ladd w związku z morderstwem Lute'a Pettijohna.

Perkins otworzył szeroko usta. Wpatrywał się w zebranych, jakby czekał na puentę.

- Chyba żartujesz.

- Niestety, ten pan nie żartuje - wtrąciła Alex. - Dzięki za przybycie, Frank. Najmocniej przepraszam, że przerwałam ci mecz golfa. Wygrywałeś?

- Hmm, tak, tak - odparł automatycznie, wciąż próbując pogodzić się z tym, co powiedział Smilow.

- W takim razie jest mi podwójnie przykro. - Zerknęła na Smilowa i oświadczyła: - To wszystko wydaje się śmieszne. Tracimy tylko czas. Chciałabym mieć to już za sobą i móc stąd wyjść.

Skinęła głową Smilowowi, jakby dawała pozwolenie, by rozpoczynał. Pochylił się nad biurkiem, włączył magnetofon, a potem podał imiona i nazwiska obecnych oraz czas i datę.

- Doktor Ladd, pracownik parkingu przy East Bay Street, zidentyfikował panią na podstawie szkicu rysownika. Ponieważ na tym parkingu nie ma automatycznego systemu pobierania opłat, odnotowuje się tam każdy samochód, zapisując dane z tablicy rejestracyjnej i czas przyjazdu.

Ku rozpaczy Smilowa nie notowano godziny wyjazdu z parkingu. Przy pobieraniu opłaty sprawdzano tylko czas wjazdu. Za postój krótszy niż dwugodzinny brano pięć dolarów. Po przekroczeniu stu dwudziestu minut zaczynały się wyższe stawki. Wpisywano pobraną opłatę, nie zaznaczano jednak, kiedy dany samochód opuścił parking.

- W ten sposób poprzez samochód dotarliśmy do pani. W sobotnie popołudnie skorzystała pani z tego parkingu. Czas postoju nie przekroczył dwóch godzin.

Perkins, który słuchał z natężeniem, roześmiał się.

- I to ma być odkrycie wywołujące trzęsienie ziemi? Punkt zwrotny w śledztwie?

- To dopiero początek.

- Do diabła, to głupi początek! Co wspólnego z morderstwem ma fakt, że doktor Ladd zatrzymała się na tym parkingu? - Dałam napiwek ...

Perkins ostrzegawczo wyciągnął rękę, ale Alex ją odsunęła. - W porządku, Frank. Młodemu człowiekowi, który obsługiwał parking, dałam dziesięć dolarów. Był to najniższy nominał, jaki miałam. Dostał więc pięć dolarów napiwku. Z pewnością dzięki temu zapadłam mu w pamięć, dlatego potrafił mnie opisać.

- To nie on podał nam pani rysopis - wyznał Smilow. Zrobił to pan Daniels z Macon w Georgii. Zatrzymał się w Charles Towne Plaza w pokoju usytuowanym w pobliżu apartamentu, który w sobotnie popołudnie przez jakiś czas zajmował pan Pettijohn. Czy pani go zna?

- Nie musisz odpowiadać, Alex - przypominał adwokat. HW rzeczy samej wolałbym, żebyś nic więcej nie mówiła, przynajmniej dopóki nie porozmawiamy na osobności.

- W porządku - powtórzyła, tym razem cicho się śmiejąc.

Odwróciwszy głowę do Smilowa, powiedziała:

- Nigdy nie słyszałam o panu Danielsie z Macon w Georgii.

Jest nie tylko spokojna, ale i bystra - pomyślał Smilow.

- Miałem na myśli pana Pettijohna. Zna go pani?

- Wszyscy mieszkańcy Charlestonu z pewnością słyszeli o Lucie Pettijohnie - odparła. - Jego nazwisko bez przerwy pojawiało się w wiadomościach.

- Wie pani, że został zamordowany?

- Oczywiście.

- Oglądała pani telewizję?

- Część weekendu spędziłam poza miastem. O wszystkim dowiedziałam się po powrocie.

- Nie znała pani Pettijohna osobiście?

- Nie.

- W takim razie czemu stała pani przed drzwiami jego apartamentu mniej więcej w tym samym czasie, w którym został zamordowany?

- Wcale tam nie stałam.

- Alex, proszę, nic więcej nie mów. - Perkins wziął ją pod łokieć i wskazał drzwi. - Idziemy.

- Pani sprawa kiepsko wygląda - rzucił Smilow.

- To twoja sprawa kiepsko wygląda, inspektorze. Jesteś winien doktor Ladd przeprosiny.

- Nie mam nic przeciw odpowiadaniu na pytania, Frank, jeśli to pomoże szybciej wyjaśnić nieporozumienie - oświadczyła.

Perkins przez dłuższą chwilę bacznie się jej przyglądał. Wyraźnie był innego zdania, mimo to odwrócił się do Smilowa.

- Nim przejdziemy dalej, chciałbym się skonsultować ze swoją klientką.

- Dobrze. Zostawię was na chwilę samych.

- Tylko bądź tak uprzejmy i wyłącz przedtem magnetofon.

- Uwierz mi, Frank, chcę, żeby wszystko przebiegło zgodnie z przepisami. Nie dopuszczę do tego, by morderca został uwolniony z powodu takich czy innych uchybień.

Patrząc znacząco na Alex, wyłączył magnetofon i zostawił ją sam na sam z adwokatem.

- Jesteś w stanie w to uwierzyć? - Steffi Mundeli stała na wąskim korytarzu po drugiej stronie drzwi i przez lustro weneckie zaglądała w głąb biura Smilowa. - Rysowniczką dobrze uchwyciła podobieństwo. Jaka ona jest?

- Nie masz innych problemów, Steffi? Myślałem, że wszyscy pracownicy biura prokuratora okręgowego są przeciążeni robotą i za mało zarabiają. Przynajmniej zależy wam, żeby tak myśleli inni.

- Idąc za sugestią Masona, oddałam część spraw, nad którymi pracuję, żeby skoncentrować się na tej jednej. Mój szef chce, żebym pomagała Hammondowi na wszelkie sposoby.

- A gdzie jest nasz ulubieniec?

Smilow obserwował, jak Alex Ladd, odpowiadając na jedno z pytań Franka Perkinsa, nieugięcie potrząsa głową.

- Zabarykadował się w swoim biurze. Po raz ostatni widziałam go dziś rano, gdy opuszczaliśmy szpital. Zostawiłam mu wiadomość, że się tu wybieram, by przyjrzeć się naszej podejrzanej. A przy okazji, odwaliłeś kawał dobrej roboty, tak szybko ją znajdując.

- Bułka z masłem. Czy Hammond się do nas przyłączy?

- Miałbyś coś przeciw temu?

Smilow wzruszył ramionami.

- Chciałbym zobaczyć jego reakcję.

- Na doktor Ladd?

- Ciekawe, czy święty Hammond byłby w stanie zażądać kary śmierci dla tak pięknej kobiety.

Steffi natychmiast zareagowała.

- Uważasz, że jest piękna?

Nim Smilow zdążył odpowiedzieć, Frank Perkins otworzył drzwi i machnięciem ręki przywitawszy się ze Steffi, zaprosił ich do środka.

Bobby Trimble ciężko dyszał, starając się opanować szybkie bicie serca. Waliło mu w piersi od momentu, kiedy zobaczył Alex rozmawiającą z gliniarzami, którzy stali u jej frontowych drzwi.

To był zły znak. Bardzo zły. Czy policjanci wiedzieli o jego spisku przeciw Pettijohnowi? Czyżby Alex do nich zadzwoniła, zamierzając go wydać w zamian za własną skórę?

Przejechał koło jej domu z umiarkowaną prędkością i wy- studiowaną obojętną miną. Jednak to, co kątem oka udało mu się zobaczyć, zaalarmowało go - dwaj mundurowi, jeden cywil i pałająca chęcią zemsty kobieta. Stuprocentowy przepis na porażkę.

Był wszakże jeden pozytywny znak. Alex nie wskazała na niego palcem. Nie wyciągnęła ręki i nie krzyknęła: "Łapcie go!" Bobby nie był jednak pewien, co to oznacza ani jak powinien teraz postąpić. Alex po prostu mogła nie zauważyć, że przejeżdżał.

Zastanawiając się nad następnym ruchem, bezmyślnie prowadził kabriolet. Nie zwracał zbytniej uwagi na normalny w środku dnia ruch uliczny panujący w centrum Charlestonu. Poprzedniego wieczoru myślał, że postawił na swoim. Alex długo załamywała ręce, ale w końcu zgodziła się dać mu pieniądze, których żądał.

- Jeśli sądzisz, że możesz wykraść mój pomysł i użyć go do własnych celów, jesteś w ogromnym błędzie, moja panno!

W nagłych przyływach złości wracał dawny akcent. Bobby był wściekły, gdy jego głos tak głupio brzmiał, przerwał więc, by zapanować nad sobą i swoim głosem.

- Nie próbuj mnie oszukiwać, Alex - powiedział łagodniejszym, mimo to nadal groźnym tonem. - Te pieniądze należą do mnie. Chcę je mieć.

Alex również zrobiła ogromny krok do przodu. Lepiej mówiła. Elegancko się ubierała. Żyła na wysokim poziomie. Choć jednak udawała mądrą i silną, niewiele się zmieniła. Tak samo jak on. Dobrze знаła jego prawdziwą naturę. Czyżby myślała, że urodził się wczoraj? Dobrze widział, co się dzieje. Wykorzystała jego pomysł i próbowała sobie przywłaszczyć należną mu połowę łupu.

Kiedy ją o to oskarżył, powiedziała:

- Powtarzam ci po raz ostatni, Bobby: nie mam dla ciebie żadnych pieniędzy! Zostaw mnie w spokoju!

- Nic z tego, Alex. Będę cię prześladować, póki nie dostanę tego, po co przyszedłem. Jeśli chcesz, żebym zniknął, oddaj mi moje pieniądze.

Westchnęła znużona, co było jednoznaczne z wywieszeniem białej flagi.

- Przyjdź jutro o dwunastej.

Więc przyszedł o dwunastej. I co? Ujrzał ją w towarzystwie gliniarzy. Jeśli jednak policja zakładała na niego pułapkę, samochód patrolowy nie powinien stać w miejscu, gdzie każdy mógł go zobaczyć. Poza tym jak Alex mogła go zdradzić, nie zdradzając przy okazji siebie?

W każdym razie póki nie będzie miał całkowitej pewności, co jest grane, powinien się gdzieś przyczołgać. Tylko że to oznaczało straszną nudę.

Zatrzymał się na czerwonych światłach, złożył ręce na kierownicy i zaczął się zastanawiać nad najbliższą przyszłością. Kątem oka dostrzegł, że obok niego stanął drugi kabriolet.

Bobby odwrócił głowę. Zobaczył skierowane w jego stronę dwie twarze, częściowo ukryte za okularami przeciwsłonecznymi o jasnóżółtych szklach. Dziewczeta były młode i atrakcyjne. Uśmiechały się bezczelnie i wyzywająco. Rozpieszczone, bogate tatusiowe córeczki, szukające w letnie popołudnie jakiejś przygody.

Jednym słowem, ofiary.

Kiedy światło się zmieniło, ich samochód z piskiem opon wystrzelił do przodu. Na najbliższym skrzyżowaniu skręciły w prawo. Bobby zmienił pas i wykonał ten sam manewr. Dziewczeta obejrzały się przez ramię i zauważyły, że jedzie za nimi. Wybuchnęły śmiechem.

BMW wjechało na parking przed modną restauracją. Bobby również się tam zatrzymał. Patrzył, jak dziewczyny idą do wejścia. Miały bardzo krótkie spodenki, które ukazywały kilka centymetrów pośladków i podkreślały niesamowicie długie opalone nogi. Skąpe bluzeczki nie pozostawiały pola wyobraźni. Chichoczące, kokietliwe nastolatki przypomniały Bobby'emu, w czym jest najlepszy.

Powoli torował sobie drogę przez zatłoczoną restaurację.

W końcu je dostrzegł. Siedziały w cieniu parasola przy ustawionym na tarasie stoliku. Właśnie zamawiały drinki. Kiedy kelnerka odeszła, Bobby zajął puste miejsce obok dziewcząt.

Między lśniącymi wargami widać było bardzo białe, bardzo równe zęby. W uszach każdej z nastolatek błyszczały brylantowe kolczyki. Wokół unosił się zapach kosztownych perfum.

- Jestem z obyczajówki - powiedział namiętnym głosem. - Przyznajcie się, młode damy, czy jesteście na tyle dorosłe, by pić?

Zachichotały.

- Może się pan o nas nie martwić, oficerze.

- Już jakiś czas temu osiągnęłyśmy pełnoletność.

- Co robicie? - spytał.

- Jesteśmy na wakacjach, dlatego chętnie przyjmiemy każdą propozycję.

- Naprawdę każdą.

Uśmiechnął się do nich lubieżnie.

- Jak tak można? A ja myślałem, że jesteście podróżującymi zakonnkami.

To wywołało następną salwę śmiechu. Kelnerka przyniosła dwa drinki. Bobby rozparł się wygodnie.

- Co pijemy, moje panie?

Trafił w dziesiątkę.

Odważna sekretarka przedarła się w końcu przez nie widzialną barierę, którą Hammond odgradził się w swoim biurze.

- Podejrzana z rysunku została zidentyfikowana. To doktor Alex Ladd. Inspektor Smilow właśnie przesłuchuje ją w swoim biurze.

Dłonie Hammonda pokryły się zimnym potem.

- Aresztował ją?

- Z wyjaśnień pani Mundell wynika, że doktor Ladd przyszła dobrowolnie. Ale przyprowadziła adwokata. Jedzie pan tam? - Może później.

Sekretarka się wyłączyła.

Zasłyszana wiadomość odbijała się echem w głowie Hammonda. Dręczyła go. Smilow przesłuchiwał ludzi w taki sposób, że wycisnąłby zeznania nawet z Matki Teresy. Hammond nie wiedział, jak zareaguje na to Alex Ladd. Czy będzie wrogo usposobiona, czy może zechce współpracować? Czy ma coś do powiedzenia? Co ujawni, gdy go ponownie zobaczy? Co on sam może wyznać?

Nie chcąc ryzykować, postanowił odsunąć w czasie nieuniknione spotkanie z Alex Ladd. Póki nie usłyszy czegoś więcej na jej temat i nie dowie się, co ją łączyło z Pettijohnem, lepiej będzie, jeśli spróbuje trzymać się z daleka od tej sprawy.

W normalnym przypadku mógł sobie na to pozwolić. Poza niezwykle rzadkimi wyjątkami biuro prokuratora okręgowego nie angażowało się bezpośrednio w dochodzenie, czekając, aż policja zbierze wystarczającą liczbę dowodów i będzie można wnieść formalne oskarżenie. W przeciwieństwie do Steffi, która nie miała ani odrobiny wyczucia, Hammond pozwalał policji robić swoje, a dopiero potem przejmował sprawę.

Niestety, ten przypadek należał do owych rzadkich wyjątków.

Hammond powinien zaangażować się w dochodzenie, choćby tylko ze względów politycznych. Urzędnicy miejscy i stanowi, spośród których część należała do zaprzysięgłych wrogów Pettijohna, a pozostali byli jego poplecznikami, potraktowali to morderstwo jako platformę polityczną. Za pośrednictwem mediów domagali się szybkiego aresztowania i skazania mordercy.

W porannym wydaniu gazety pojawił się artykuł wstępny, który podsycił zainteresowanie czytelników, przypominając smutną prawdę, iż nikt - nawet ktoś na pozór tak nietykalny jak Lute Pettijohn - nie jest bezpieczny. W południowych wiadomościach jakiś dziennikarz przeprowadził uliczny sondaż, pytając ludzi, czy są pewni, że morderca zostanie ujęty i spotka go sprawiedliwa kara.

Ta sprawa wywoływała mnóstwo szumu, na który tak bardzo liczył ojciec.

Samemu Hammondowi jednak zależało na tym, by jak najpóźniej włączyć się do walki. W związku z tym przez następne pół godziny wyszukiwał sobie różne zajęcia ..

Gdy Monroe Mason wrócił z lunchu, udał się prosto do biura Hammonda.

- Słyszałem, że Smilow ma już podejrzaną.

Jego donośny głos odbijał się od ścian biura Hammonda niczym piłeczka tenisowa.

- Wiadomości szybko się rozchodzą.

- A więc to prawda?

- Przed chwilą sam się o tym dowiedziałem.

- Przekaż mi wszystko w telegraficznym skrócie.

Hammond opowiedział o Danielsie i rysunku.

- W okolicy Charles Towne Plaza rozpowszechniono wykonany przez Endicott rysunek i stosowny opis.

Doktor Ladd została zidentyfikowana przez pracownika parkingu.

- Z tego, co mi mówiono, jest znanym psychologiem.

- Podobno.

- Słyszałeś kiedyś o niej?

- Nie.

- Ja też. Prawdopodobnie coś na jej temat mogłaby powiedzieć moja żona. Ona zna wszystkich. Myślisz, że Pettijohn był jej pacjentem?

- W tym momencie wiem tyle co ty, Monroe.

- Sprawdź, czego uda ci się dowiedzieć.

- Będę cię informował o postępach w tej sprawie.

- Nie, chodzi mi o dzisiejsze popołudnie. Chcę, żebyś zrobił to teraz.

- Teraz? Smilow nie lubi, jak się wtrącamy - zaprotestował Hammond. - Zwłaszcza gdy ja się wtrącam.

Steffi już tam jest. Jeśli pojawię się i ja, inspektor poczuje się cholernie urażony. Będzie wyglądało na to, że go sprawdzamy.

- Jeśli wpadnie w złość, Steffi jakoś go ugłaska. Muszę mieć coś do powiedzenia dziennikarzom, którzy dzwonią do mojego biura. - Nie możemy podać, Monroe, że podejrzaną jest doktor Ladd. Nie wiemy, czy naprawdę nią jest. Na litość boską, na razie Smilow tylko ją przesłuchuje.

- Była na tyle zaniepokojona, że ściągnęła ze sobą Franka Perkinsa.

- Frank jest jej adwokatem?

Hammond dobrze go znał i bardzo szanował. Prowadzenie sprawy przeciw niemu zawsze stanowiło poważne wyzwanie. Doktor Ladd nie mogła znaleźć sobie lepszego obrońcy.

- Każdy rozsądny człowiek ściągnąłby adwokata, gdyby zaproszono go na przesłuchanie na posterunek.

Mason nie zmienił zdania.

- Daj mi znać, co powiedziała.

Huknął coś na pożegnanie i wyszedł, nie zostawiając Hammondowi żadnego wyboru.

Kiedy Hammond dotarł na komendę, wszedł na pierwsze piętro i nacisnął dzwonek przy podwójnych drzwiach prowadzących do wydziału kryminalnego. Funkcjonariuszka, która mu otworzyła, widać domyśliła się,

po co przyszedł, bo powiedziała:

- Są w biurze Smilowa.
- Dlaczego nie w pokoju przesłuchań?
- Chyba jest zajęty. Poza tym pani prokurator Mundell chciała patrzeć przez szybę.

Hammond ucieszył się, że nie zaprowadzono Alex do pozbawionej okien klitki, przesiąkniętej zapachem nieświeżej kawy i potu winnych. Nie mógł sobie jej wyobrazić w tym samym pomieszczeniu, w którym widział pedofilów, gwałcicieli, złodziei, sutenerów i morderców załamujących się podczas ciężkiego przesłuchania.

Obszedł róg i ruszył korytarzem, przy którym mieli biura oficerowie wydziału zabójstw. Liczył na to, że będzie po wszystkim i że Alex już wyszła. Nie dopisało mu szczęście. Steffi i Smilow zerkali do środka przez szybę. Wyglądali jak sępy, czekające, kiedy ich ofiara wyda ostatnie tchnienie.

Usłyszał, jak Steffi mówi:

- Ona kłamie.
- To oczywiste - przyznał Smilow. - Tylko nie wiem, co z tego jest kłamstwem.

Nie zauważyli Hammonda, póki się nie odezwał.

- Co jest grane?

Steffi odwróciła się. Wyglądała na potwornie zmęczoną.

- Najwyższy czas. Nie dostałeś mojej wiadomości?
- Nie mogłem wyjść. Dlaczego sądzisz, że ta kobieta kłamie? - Kiwnięciem głowy wskazał małe okienko, na razie nie mając odwagi w nie spojrzeć.

- Zazwyczaj osoba niewinna jest zdenerwowana i poirytowana - wyjaśnił Smilow.

- Nasza pani doktor nawet nie mrugnie okiem - dodała Steffi. - Nie zacina się, nie chrząka. Nie kręci się.

Odpowiada konkretnie na każde pytanie.

- Dziwi mnie - wyznał Hammond - że Frank pozwala jej odpowiadać.

- Odradzał jej to. Uparła się. Robi wszystko po swojemu. Idąc za zamyślonym spojrzeniem Smilowa, Hammond w końcu odwrócił głowę. Zobaczył tylko kawałek profilu, ale i tak nie zdołał oprzeć się wrażeniu. W pierwszym momencie miał ochotę odsunąć do tyłu kosmyk, który opadł jej na policzek. Potem chciał ją chwycić, potrząsnąć nią ze złością i zażądać, by mu wyjaśniła, w co się, do diabła, wpackowała i czemu wciągnęła w to również jego.

- Co o niej wiemy? - spytał.

Nawet Smilow był pod wrażeniem, gdy wyliczał długą listę jej osiągnięć.

- Dwukrotnie jej artykuły pojawiały się w "Psychology Today", często jest zapraszana na wykłady, podczas których zazwyczaj prezentuje wyniki swoich badań dotyczących ataków paniki. W tej dziedzinie uważana jest za eksperta. Kilka miesięcy temu odwiodła stojącego na parapecie mężczyznę od skoku ..

- Przypominam sobie tę historię - powiedział Hammond.

- Sprawa dostała się do gazet. Żona tego człowieka twierdzi, iż doktor Ladd uratowała jej mężowi życie. - Smilow zerknął do notesu i dodał: - Swoje sprawy osobiste zachowuje dla siebie. Wiemy tylko, że jest samotna i nie ma dzieci. Frank strasznie się wścieka. Mówi, że podejrzewamy niewłaściwą osobę.

- A co innego miałby mówić? - wtrąciła złośliwie Steffi. Siłąc się na obojętność, Hammond zauważył:

- Sprawia wrażenie kobiety wyjątkowo opanowanej.

- To prawda - przyznała Steffi. - Na jej tyłku nie udałoby się stopić ani kawałka lodu. Kiedy z nią porozmawiasz, sam zobaczysz, co mam na myśli. Jest taka spokojna, jakby w jej żyłach w ogóle nie płynęła krew. Jak ty mało wiesz, Steffi.

- Gotowi na następną rundę? - Steffi i Smilow ruszyli w stronę drzwi.

Hammond został w tyle.

- Chcecie, żebym z wami wszedł? Odwrócili się zaskoczeni.

- Myślałam, że będzie ci zależało na tym, by jak najszybciej dostać morderczynię w ręce - stwierdziła Steffi.

- Na razie nie wiadomo, czy ta kobieta jest morderczynią, czy nie - odparł ze złością. - Ale chodzi mi o coś innego. Ponieważ już tu jesteś, mielibyśmy przewagę liczebną nad Smilowem. Nie chcę, żeby myślał, że go sprawdzamy.

- Możesz zwracać się do mnie bezpośrednio - zauważył Smilow.

- W porządku - powiedział Hammond, odwracając głowę do inspektora. - Żeby wszystko było jasne: to Mason kazał mi tu przyjść.

- Ja też usłyszałem od komendanta Crane'a wykład na temat pokojowej koegzystencji. Jestem w stanie cię tolerować, jeśli ty będziesz tolerował mnie.

- W porządku.

Steffi wypuściła powietrze z płuc.

- A zatem koniec wkurzającej rywalizacji. Czy teraz możemy przejść do sprawy?

Smilow przytrzymał otwarte drzwi. Hammond puścił przed sobą Steffi. Inspektor wszedł za nim i zamknął biuro. W niewielkim pomieszczeniu zrobiło się bardzo tłoczno. Smilow z trudem prześlizgnął się obok Hammonda, by dotrzeć do swojego biurka.

- Na pewno nie chce pani nic do picia, doktor Ladd?

- Nie, dziękuję, inspektorze.

Słyszac ten głos, Hammond był tak poruszony, jakby go dotknęła. Niemal czuł na uchu jej oddech. Serce waliło mu w piersi jak szalone. Dusił się. I, cholera jasna, bardzo chciał wziąć ją w ramiona.

Smilow dokonał zbytecznej prezentacji:

- Doktor Ladd, to jest specjalny asystent prokuratora, Hammond Cross. Panie Cross, to doktor Alex Ladd. Odwróciła głowę. Hammondowi brakło tchu.

Rozdział szesnasty

- Gdzie byłam i co robiłam w sobotni wieczór, może powiedziec specjalny asystent prokuratora okręgowego Cross, prawda, panie prokuratorze?

- Co prawda w sobotę nikogo nie zabiłam, ale gdybym to zrobiła, byłoby to działanie w obronie własnej. Widzi pan, inspektorze Smilow, prokurator Cross zwabił mnie do swojej chaty w lesie i tam wielokrotnie zgwałcił.

- Prokuratorze Cross, jak to miło znów pana widzieć. Ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania? Och, już sobie przypominam. To była ostatnia sobota. Wieczorem trochę zakręciło nam się w głowach.

Alex Ladd nie wypowiedziała żadnej z tych kwestii. Nie obrzuciła go wyzwiskami, nie zadenuncjowała, nie puściła perskiego oka. Prawdę mówiąc, w ogóle nie pokazała po sobie, że go rozpoznaje.

Kiedy jednak odwróciła się w jego stronę i spojrzała mu w oczy, cały świat przestał istnieć. Hammond skupił się tylko na niej. Patrzyli na siebie zaledwie przez sekundę lub dwie, ale nawet gdyby ten kontakt wzrokowy trwał całą wieczność, nie mógłby mieć głębszej wymowy.

Chciał spytać: "Co ty mi zrobiłaś?", i te słowa miałyby przynajmniej kilka różnych znaczeń. W sobotni wieczór czuł się jak porażony. Myślał, wręcz miał nadzieję, że gdy ponownie zobaczy Alex, tym razem w jasnym fluorescencyjnym świetle i w dużo mniej romantycznej scenerii, nie będzie już pod tak ogromnym wrażeniem. Stało się na odwrót. Pożądanie sprawiało wręcz fizyczny ból.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę w czasie krótszym niż mgnienie oka.

- Witam panią, doktor Ladd - powiedział, starając się nadać głosowi obojętny ton.

- Miło mi pana widzieć.

Potem się odwróciła. To zdawkowe pozdrowienie pogrzebało rozpaczliwą nadzieję na to, że w sobotę był dla niej kimś całkiem obcym i że spotkali się w wesołym miasteczku tylko przez przypadek. Gdyby rzeczywiście tak było, jej zielone oczy powinny się teraz zaokrąglić. Padłoby wówczas coś w rodzaju:

"Cześć! Nie przypuszczałam, że cię tu zobaczę". Tymczasem Alex Ladd w ogóle nie okazała zaskoczenia. Kiedy Smilow go przedstawiał, dokładnie wiedziała, kogo ujrzy.

Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że w takim samym stopniu jak on była skrepowana tą prezentacją. Aż za dobrze udało powściągliwość i jak na osobę uprzejmą - za szybko się odwróciła.

Teraz Hammond nie miał już co do tego żadnych wątpliwości - ich spotkanie było zaplanowane i z jakichś tajemniczych powodów kompromitowało zarówno ją, jak i jego.

Pierwszy odezwał się Frank.

- Hammondzie, tracie tylko czas mojej klientki.

- Bardzo możliwe, Frank, ale wolałbym sam dojść do tego wniosku. Prawdopodobnie inspektor Smilow uważa, iż powinienem wysłuchać tego, co doktor Ladd ma nam do powiedzenia.

Adwokat skonsultował się ze swoją klientką.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy przeszli to wszystko jeszcze raz, Alex?

- Nie, jeśli to oznacza, że szybciej będę mogła wrócić do domu.

- Jeszcze zobaczymy.

Ten komentarz wtrąciła Steffi. Hammond miał ochotę dać jej szturchańca w bok. Zostawiwszy zadawanie pytań Smilowowi, oparł się o drzwi. Z tej pozycji mógł swobodnie obserwować profil Alex.

Smilow ponownie włączył magnetofon, po czym do listy obecnych dodał imię i nazwisko prokuratora.

- Czy znała pani Lute'a Pettijohna, doktor Ladd? Westchnęła, jakby już tysiąc razy odpowiadała na to pytanie. - Nie, panie inspektorze.

- Co robiła pani w sobotnie popołudnie w centrum?

- Mogłabym się upierać, że mieszkam w centrum, ale skoro chce pan wiedzieć ... spacerowałam i oglądałam wystawy sklepowe.

- Czy coś pani kupiła?

- Nie.

- Wchodziła pani do sklepów?

- Nie.

- Nie zajrzała pani do żadnego z nich ani nie ucięła sobie pogawędki ze sklepikarzem, który mógłby potwierdzić, że była tam pani i chciała coś kupić?

- Niestety, nie. Nic nie wpadło mi w oko.

- Po prostu zostawiła pani samochód na parkingu i przechadzała się po najbliższej okolicy?

- Dokładnie.

- Czy nie było trochę za gorąco na taki spacer?

- Nie dla mnie. Lubię upały.

Zerknęła na Hammonda, ale wcale nie musiała tego robić, by odżyło wspomnienie.

- Teraz, kiedy zaszło słońce, nie jest już tak gorąco. Uśmiechnęła się do niego. W jej oczach odbijały się światła karuzeli.

- Prawdę mówiąc, lubię upały.

Hammond zamrugał, by z powrotem skupić wzrok na Smilowie.

- Czy wchodziła pani do Charles Towne Plaza?

- Tak. Koło piątej. Żeby napić się w barze czegoś chłodnego.

- Jestem pewna, że to tam zobaczył mnie pan Daniels, ponieważ nigdy nie byłam na czwartym piętrze i nie stałam przed drzwiami apartamentu pana Pettijohna.

- Według jego bardzo dokładnej relacji znalazła się tam pani mniej więcej koło piątej.

- Ten pan się myli.

- Napiła się pani czegoś w barze?

- Tak, w tym przy westybulu. Niesłodzonej mrożonej herbaty.

Steffi pochyliła się w stronę Hammonda.

- Kelnerka potwierdzi jej słowa - szepnęła. - Ale to oznacza tylko jedno: że przynajmniej dwie osoby widziały doktor Ladd w hotelu.

Przytaknęła, ale nie wygłosił żadnego komentarza, ponieważ Smilow zadawał już następne pytanie.

- Co pani zrobiła po wypiciu mrożonej herbaty?
- Wróciłam na parking, na którym zostawiłam samochód.
- Która to była godzina?
- Piętnaście po piątej. Najpóźniej wpół do szóstej.

Hammond poczuł taką ulgę, że aż ugięły się pod nim kolana. Według pierwszych szacunków Johna Madisona morderstwo zostało popełnione nieco później. A zatem on miał prawo milczeć. Tyle że jeśli Alex była całkiem niewinną ofiarą błędu popełnionego przez chorego turystę, dlaczego nie zareagowała na widok Hammonda? Czemu udawała, że się nie znała? Jeśli o niego chodzi, miał pewne powody, by utrzymywać ich spotkanie w tajemnicy. Widocznie ona również.

- Dałam pracownikowi parkingu banknot dziesięciodolarowy. Był to najmniejszy nominał, jaki miałam przy sobie - ciągnęła.

- To bardzo hojny napiwek.

- Uznałam, że nie ma sensu prosić o resztę. Parking był przeładowany i chłopak miał pełne ręce roboty, mimo to starał się być miły i uprzejmy.

- Co pani zrobiła potem?
- Opuściłam Charleston.
- Dokąd się pani udała?
- Na wyspę Hilton Head.

Hammond głośno przełknął ślinę. Dlaczego ona kłamie? Próbuje go osłaniać? A może chroni samą siebie?

- Hilton Head?

- Tak.

- Czy po drodze gdzieś się pani zatrzymywała?

- Tankowałam. - Opuściła oczy, ale tylko na chwilę i być może zauważył to jedynie Hammond.

Serce waliło mu w piersiach. Ten pocałunek. Ten pocałunek.

Zapamięta go do końca życia. Żaden inny nie był równie wspaniały, choć mógł się też okazać potwornym błędem. W ostatecznym rozrachunku ten krótki moment mógł całkowicie zmienić życie Hammonda, zniszczyć mu karierę i skazać go na potępienie.

- Czy pamięta pani nazwę tego miejsca?

- Nie.

- Texaco? Exxon?

Wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

- Gdzie to było?

- Gdzieś przy autostradzie - odparła ze zniecierpliwieniem. - Za miastem. Samoobsługa. Płatne przy okienku. Wzdłuż autostrady są dziesiątki takich stacji benzynowych. Kasjer oglądał w telewizji zapasy. To wszystko, co pamiętam.

- Zapłaciła pani kartą kredytową?

- Gotówką.

- Rozumiem. Jednym z tych banknotów o wysokim nominale.

Hammond dostrzegł pułapkę. Miał nadzieję, że Alex też ją widzi. Większość samoobsługowych stacji benzynowych i niewielkich sklepików nie przyjmuje banknotów wyższych niż dwadzieścia dolarów, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku.

- Dwudziestodolarówką, panie Smilow - uściśliła, obdarzając go nieśmiałym uśmiechem. - Wlałam do baku benzyny za dwadzieścia dolarów. Nie potrzebowałam reszty.

- Co za opanowanie!

Steffi powiedziała te słowa szeptem, ale Alex ją usłyszała.

Odwróciła się w ich stronę. Najpierw spojrzała na Steffi, potem na Hammonda. W tym momencie przypomniał sobie, jak trzymał w dłoniach jej twarz i pochylił się do pocałunku.

- *Niech pani nie odmawia. Niech pani nie odmawia.*

Następne pytanie Smilowa sprawiło, że Alex znów skupiła na nim uwagę. Hammond wypuścił powietrze z płuc, nagle zdając sobie sprawę, że wstrzymał oddech.

- O której godzinie przyjechała pani na Hilton Head?

- To był piękny dzień. Nie miałam żadnych planów. Nigdzie się nie spieszyłam. Nie patrzyłam na zegarek i nie jechałam prosto, nie pamiętam więc, o której tam dotarłam.

- W przybliżeniu.

- W przybliżeniu ... może koło dziewiątej.

Mniej więcej o dziewiątej jedli gotowane kolby kukurydzy, które zostawiły na jej wargach cienką warstewkę topionego masła. Śmiejąc się, postanowili zapomnieć o dobrych manierach i bezwstydnie oblizywali palce.

- Co pani robiła na Hilton Head?

- Pokonawszy całą długość wyspy, dotarłam do Harbour Town. Pospacerowałam w pobliżu portu, z przyjemnością słuchając muzyki dochodzącej z różnych barów. Przez chwilę obserwowałam młodego człowieka, który pod ogromnym drzewem oliwkowym dawał przedstawienie dla dzieci. Krążyłam w pobliżu przystani i wędrowałam po molu.

- Czy rozmawiała pani z kimś?

- Nie.

- Jadła coś w jakiejś restauracji?

- Nie.

- Nie była pani głodna?

- Widocznie nie.

- To śmieszne! - zaprotestował Frank Perkins. - Doktor Ladd przyznaje, że była w sobotę w hotelu, ale to samo można powiedzieć o setkach innych ludzi. Jest atrakcyjną młodą damą. Mężczyzna ... pan Daniels wcale nie był w tym względzie wyjątkiem ... jest w stanie dostrzec ją nawet w tłumie.

Hammond nie odrywał od niej wzroku, więc kiedy na niego spojrzała, powtórzyła się sytuacja z pawilonu. Natychmiast poczuł nagły skurcz jelit i wiedział, że coś ich łączy.

Perkins kontynuował swój wywód.

- Alex twierdzi, że nie była w pobliżu apartamentu Pettijohna. Nie jesteście w stanie udowodnić swojej teorii. Nie macie niczego, więc działacie na oślep. Jakkolwiek rozumiem, że bardzo zależy wam na znalezieniu jakiegoś prawdopodobnego podejrzanego, nie zamierzam dopuścić do tego, żeby moja klientka musiała z tego powodu cierpieć.

- Jeszcze kilka pytań, Frank - poprosił Smilow. - Pozwól mi je zadać.

- Spróbuj się streszczać - powiedział adwokat szorstko. Smilow twardo przyjrzał się pani psycholog.

- Chcę wiedzieć, gdzie doktor Ladd spędziła noc.

- W domu.

Wyglądało na to, że jest zaskoczony jej odpowiedzią.

- W swoim domu?

- Byłam zła, że nie zrobiłam sobie rezerwacji w hotelu na Hilton Head. Ale dopiero gdy dotarłam na miejsce, przyszło mi na myśl, żeby tam zostać. Miałam na to ochotę. Zadzwoiłam do kilku hoteli. Wszystkie były zajęte. Wróciłam więc do Charrlestonu i przespałam tę noc we własnym łóżku.

- Sama?

- Nie boję się jazdy po ciemku.

- Czy pani spała sama, doktor Ladd?

Spojrzała na niego chłodno.

- Powiedz mu, Alex, żeby poszedł do diabła - zaproponował Frank Perkins. - Jeśli nie, ja to zrobię.

- Słyszał pan radę mojego adwokata, inspektorze.

Usta Smilowa wygięły się w czymś, co przypominało uśmiech.

- Czy na Hilton Head zamieniła pani z kimś choćby kilka słów?

- Zwiedziłam jedną z galerii sztuki, ale z nikim nie rozmawiałam. Pod latarnią morską kupiłam sobie lody, ale to bardzo uczęszczane miejsce i sprzedawcy mieli ręce pełne roboty. Nie rozpoznałabym młodej kobiety, która mnie obsłużyła. Tego wieczoru nie brakowało jej klientów, dlatego poważnie wątpię, by mnie pamiętała.

- A zatem nikt nie może potwierdzić, że pani tam była?

- Sądzę, że nikt.

- Stamtąd wróciła pani do domu. Nie zatrzymywała się pani po drodze?

- Nie.

- O której dotarła pani do siebie?

- Późną nocą. Nie patrzyłam na zegarek. Byłam już wtedy bardzo zmęczona i śpiąca.

- Pozwoliłem na wszystko, na co mogłem pozwolić.

Frank Perkins stanął przy krześle Alex. Zrobił to jednak w taki sposób, że ani ona, ani Smilow nie odważyli się zaprotestować.

- Doktor Ladd należą się przeprosiny. A jeśli szepniecie mediom, że moja klientka ma jakiś związek z tą sprawą, będziecie mieli nie tylko nie rozwiązana sprawę morderstwa, ale również ciągnący się bez końca proces sądowy.

Ruszył z Alex w stronę drzwi. Nim jednak ktokolwiek zdążył się odsunąć, by zrobić im przejście, w drzwiach stanął policjant. Wyciągnął rękę z papierową teczką.

- Prosił pan, żeby jak najszybciej to panu dostarczyć.

- Dzięki - powiedział Smilow, sięgając po dokumenty. - Jak poszło?

- Madison jest drobiazgowy. Kazał przeprosić, że zajęło mu to tak dużo czasu.

- Jeśli tylko był dokładny.

- Wszystko jest tutaj.

Policjant wyszedł.

Smilow wyjaśnił obecnym, w czym rzecz.

- To mój człowiek, który był przy autopsji. Przyniósł raport Madisona.

Steffi niemal wepchnęła się na Srnilowa, gdy wyjmował dokumenty z teczki. Przejrzała je razem z nim.

Nie odrywając wzroku od raportu; inspektor spytał:

- Doktor Ladd, czy ma pani broń?

- Jako broń można wykorzystać mnóstwo różnych przedmiotów, prawda?

- Pytam, ponieważ ... - ciągnął Srnilow, unosząc głowę i patrząc na nią - ... jest dokładnie tak, jak myśleliśmy. Lute Pettijohn nie zmarł z powodu rany na głowie. Został zastrzelony.

- Pettijohn został zastrzelony?

* * *

- Moim zdaniem to było szczere.

Steffi wcisnęła cytrynę do drinka, który właśnie postawiono na ich stoliku.

- Daj spokój, Hammondzie. Bądź rozsądny.

- Jeden jedyny raz okazała jakąś emocję i zdobyła się na spontaniczność - obstawał przy swoim. - Sądzę, że naprawdę była zaskoczona. Do tego momentu nawet nie wiedziała, w jaki sposób zginął Pettijohn.

- Ja z kolei byłam zaskoczona, gdy się dowiedziałam, że Pettijohn miał wylew.

Ten zdumiewający fakt wyszedł na jaw dopiero podczas autopsji. Lute Pettijohn miał wylew! Nie śmiertelny, ale zdaniem koronera wystarczająco silny, by spowodować upadek, a co za tym idzie - uraz głowy.

Madison twierdził wręcz, że gdyby Pettijohn przeżył, mógłby doznać paraliżu i trwałego kalectwa. Steffi, Smilow i Hammond dokładnie przeczytali raport dopiero wtedy, gdy Frank Perkins wyprowadził Alex z biura. Niestety, autopsja jedynie zwiększyła liczbę dręczących ich zagadek.

- Jak sądzicie, czy ten wylew nastąpił pod wpływem jakiegoś wydarzenia? - zastanawiała się Steffi. - Czy po prostu Pettijohn nie zdawał sobie sprawy ze swojego stanu zdrowia?

- Będziemy musieli sprawdzić, czy się leczył - zaznaczył Smilow, wsuwając serwetkę pod szklanę z wodę sodową. - Ale to nie ma znaczenia. Wylew nie był śmiertelny, w przeciwieństwie do strzałów z rewolweru. To one spowodowały śmierć.

- Alex Ladd o tym nie wiedziała - powtórzył Hammond. - Przynajmniej dopóki nie usłyszała tego od nas.

Steffi przez chwilę w zamyśleniu sączyła swój dzin z tonikiem, potem zdecydowanie potrząsnęła głową i spojrzała na Hammonda, uśmiechając się zrozumiale.

- Nie masz racji. Udała zaskoczenie. Kobiety dobrze potrafią odgrywać różne reakcje, ponieważ wciąż muszą udawać orgazm.

Steffi chciała w ten sposób urazić Hammonda. Tak czy inaczej, na pewno go wkurzyła.

- Chyba masz na myśli kobiety, które zazdroszczą mężczyznom penisa.

- Och, to była całkiem dobra replika, Hammondzie - odparła, unosząc szklaneczkę w szyderczym toaście. - Jeśli trochę poćwiczysz, masz szansę stać się prawdziwym palantem.

Smilow, który niezbyt uważnie przysłuchiwał się tej sprzeczce, wtrącił:

- Z prawdziwym bólem muszę przyznać rację Hammondowi.

- Myślisz, że zazdroszczę mężczyznom penisa?

Nawet się nie uśmiechnął.

- Zgadzam się z nim, że zaskoczenie pani Ladd było prawdziwe.

- Jesteś tego samego zdania co Hammond? To niemal tak samo szokujące jak fakt, że siedzicie przy jednym stoliku - zadrwiła.

Bar w westybulu Charles Towne Plaza wypełniony był po brzegi radosnym tłumem. Chociaż hotel znajdował się po przeciwnej stronie centrum w stosunku do komendy policji, uznali, że to odpowiednie miejsce na spotkanie i przedyskutowanie wyników przesłuchania.

Turyści, zarówno ci zameldowani w Plaza, jak i z innych hoteli, robili zakupy w rozmieszczonych wokół foyer butikach. Fotografowali wspaniałe schody i żyrandol.

Dwie bosonogie kobiety, owinięte w hotelowe płaszcze kąpielowe i z ręcznikami na głowach, ze śmiechem starały się nie wejść komuś w kadr. Podążając za pustym spojrzeniem Hammonda, Steffi powiedziała:

- To śmieszne, by tak chodzić do centrum odnowy biologicznej. Wyobrażacie sobie, jak Pettijohn musiał wyglądać, przechodząc tędy w takim stroju?

- Hm?

- Gdzie jesteś, Hammondzie? Zagubiłeś się w przestrzeni? - spytała poirytowana.

- Przepraszam. Po prostu się zamyśliłem.

Nie zauważył kobiet w płaszczach kąpielowych. Odkąd opuścił biuro Smilowa, właściwie niczego nie dostrzegał. Myślał tylko o niej. O Alex Ladd i jej reakcji na wiadomość, w jaki sposób zmarł Pettijohn.

Jej zaskoczenie wyglądało na szczere, dlatego miał nadzieję, że mówiła prawdę, sugerując, iż pan Daniels widział ją w hotelu, jedynie pomylił się co do miejsca.

Licząc na to, że ma w Smilowie sojusznika, pochylił się nad stolikiem i oparł przedramiona o blat.

- Mówisz, że się ze mną zgadzasz. Co to twoim zdaniem oznacza? Jak to interpretujesz?

- Myślę, że jest na tyle bystra, że potrafi udąć zaskoczenie tak, by wyglądało na prawdziwe. Choć nie wiem, dlaczego to robi. Ale bardziej dziwi mnie jej opowieść.

- Słuchamy - powiedziała Steffi.

- Gdyby zastrzeliła Pettijohna, powinna natychmiast po opuszczeniu hotelu zrobić coś, co zapewniłoby jej alibi.

Usiłując zdobyć się na nonszalancję, Hammond sięgnął po kieliszek burbona z wodą.

- Interesujący pogląd. Czy zechciałbyś go nam przybliżyć?

- Koroner jest w stanie z zadziwiającą dokładnością określić moment śmierci. Prawdę mówiąc, z tolerancją do kilku minut.

- Pettijohn zmarł między piątą czterdzieści pięć a szóstą przypomniał Hammond.

Zobaczywszy to w raporcie kornera, poczuł niewiarygodną ulgę. Alex nie mogła być morderczynią, ponieważ musiałaby się znaleźć w dwóch miejscach jednocześnie.

- Doktor Ladd twierdzi, że wyjechała najpóźniej o wpół do szóstej.

- To zbyt mały margines - stwierdził Smilow. - Dobry prokurator, taki jak ty, zacznie manipulować tym czasem i weźmie pod uwagę granicę błędu. Ale ponieważ nie wiemy dokładnie, o której godzinie wyjechała z parkingu, Frank Perkins poszatkuje ten kwadrans jak salami i zgłosi całkiem rozsądne zastrzeżenia. Jednak to miałyby sens tylko wtedy, gdyby ...

- Już wiem, dokąd zmierzasz ... - przerwała mu Steffi.

- Gdyby doktor Ladd miała doskonale ...

- Alibi.

Podczas gdy Smilow i Steffi uzupełniali się nawzajem, Hammond pociągnął następny łyk drinka. Poczul w gardle pieczenie whisky.

- To ma sens - przyznał zachrypniętym głosem.

- Problem polega jednak na tym, że ona nie ma alibi. Powiada, że wyjechała na Hilton Head i nie rozmawiała z nikim, kto mógłby to potwierdzić.

- Czegoś tu nie rozumiem - wyznała Steffi. - Czy twoim zdaniem, nie mając alibi, wydaje się bardziej niewinna, niż gdyby je miała?

Inspektor spojrzał jej w oczy.

- Nie całkiem. Jedynie zastanawiam się, czy po prostu nie czeka, jak daleko się posuniemy, by dopiero w razie konieczności podać nam swoje alibi.

- Myślisz, że na wszelki wypadek trzyma coś w zanadru?

- Coś w tym stylu.

Hammond słuchał, jak Smilow i Steffi nieświadomie grają na jego największych obawach. W końcu przyłączył się do ich rozważań.

- Dlaczego niby miałyby ukrywać alibi?

- Czy ten rym był zamierzony? - spytała Steffi.

- Nie - odparł, zły na nią, ponieważ chciał się dowiedzieć, o czym myśli Smilow. - Coś mówiłeś.

- To, co powtarzam od początku - wyjaśnił Smilow. - Nie jest zdenerwowana. Od momentu, kiedy otworzywszy drzwi, zobaczyła na swojej werandzie mnie i gliniarzy, aż do chwili, kiedy Frank ją stąd zabrał, zbyt nad sobą panowała, by mogła być całkiem niewinna. Ludzie niewinni starają się za wszelką cenę przekonać nas o swojej niewinności - ciągnął. - Ze zdenerwowania gadają trzy po trzy. Za każdym razem rozbudowują i wydłużają swoje opowieści. Mówią więcej, niż chcemy usłyszeć. Natomiast wytrawni kłamcy trzymają się podstawowych faktów i są zazwyczaj dużo bardziej opanowani.

- To zakrawa na teorię - zauważył Hammond. - Ale od każdej teorii są odstępstwa. Czy doktor Ladd jako psycholog nie może lepiej panować nad emocjami niż przeciętny człowiek? Lecząc pacjentów, musi słyszeć mnóstwo szokujących rzeczy. Czy zatem nie powinna wiedzieć, jak ukrywać swoje reakcje?

- To możliwe - przyznał Smilow.

Hammondowi nie spodobał się uśmiech inspektora. Po kilku sekundach już wiedział, dlaczego policjant wydawał się taki z siebie zadowolony.

- Ale doktor Ladd naprawdę kłamie. Wiem to z całą pewnością.

Steffi energicznie wychyliła się do przodu, niemal rozlewając swojego drinka.

- Skąd ta pewność?

Smilow pochylił się i wyjął z aktówki gazetę.

- Musiała przeoczyć tę informację. Podawano ją w porannych wiadomościach.

Czerwonym pisakiem zaznaczył fragment, o który mu chodziło.

Zobaczywszy cztery krótkie akapity, Hammond był zdruzgotany. - "Ewakuacja Harbour Town" - przeczytała na głos Steffi. Smilow streścił całość.

- W sobotni wieczór na pokładzie jednego z jachtów cumujących na przystani wybuchł pożar. Wiał mocny wiatr, który przeniósł iskry na pobliskie drzewa i zadaszenie. Ze względów bezpieczeństwa straż pożarna ewakuowała stamtąd wszystkich ludzi. Nawet tych, którzy byli na pokładzie swoich łodzi lub w swoich mieszkaniach. Ogień został ugaszony, nim zdołał wyrządzić jakieś większe szkody. Ale na tym terenie znajduje się kilka najdroższych posiadłości w kraju. Strażacy woleli nie ryzykować. Zamknęli Lighthouse Road, nie wpuszczali nikogo na ten teren i starannie go sprawdzili. W rezultacie przez kilka godzin nie było wjazdu do Harbour Town.

- Od której do której?

- Od dziewiątej. Gdy nieco po północy odwołano alarm, właściciele restauracji i barów nie widzieli powodu, by ponownie otwierać podwoje. Pozostały zamknięte do niedzielnego poranka. - To znaczy, że tam nie była - szepnęła Steffi.

- Inaczej by nam o tym wspomniała.

- Dobra robota. - Steffi uniosła kieliszek w stronę Smilowa.

- Myślę, że jest jeszcze za wcześnie na wznoszenie toastów - przystopował ją Hammond ze złością. - Może doktor Ladd potrafi jakoś logicznie to wyjaśnić.

- A może papież jest baptystą.

Zignorował dowcipną uwagę Steffi.

- Smilow, czemu nie powiedziałeś o tym doktor Ladd, gdy ją przesłuchiwałeś?

- Chciałem sprawdzić, jak daleko się posunie.

- Dałeś jej tyle swobody, że sama wpadła we własne sidła.

- Lubię, gdy podejrzany wykonuje za mnie robotę.

Hammond starał się znaleźć w myślach jakiś inny argument.

- W porządku, a zatem nie była w Harbour Town. Czego to dowodzi? Tylko tego, że nie ma zamiaru nikomu zdradzać szczegółów dotyczących swojego prywatnego życia. Nie chce, by wiadano, gdzie była.

- Albo z kim.

Obrzucił Steffi chłodnym spojrzeniem. Resztę wypowiedzi skierował do Smilowa.

- Wciąż nic na nią nie masz. Nie potrafisz udowodnić, że była w apartamencie Pettijohna lub kręciła się w pobliżu. Kiedy spytałeś ją o broń, okazało się, że nie ma rewolweru.

- To nieprawda, że nic nie mamy - zaprotestowała Steffi. Mamy zeznanie Daniela.

Hammond jeszcze nie skończył swojego wywodu.

- Według raportu Madisona z ciała denata wyjęto kule kaalibru 38. Próby znalezienia broni przypominałyby szukanie igły w stogu siana. W samym Charlestonie są setki trzydziestekósemek. Nie brak ich również w waszym magazynie z dowodami, Smilow.

- O czym to świadczy? - spytała Steffi.

- O tym, że jeśli nie znajdziemy broni na terenie posiadłości mordercy, bardzo trudno będzie nam na nią trafić - wyjaśnił Smilow, podejmując myśl Hammonda.

- A wracając do Daniela ... - ciągnął Hammond, powróciwszy do głosu. - Z takiego świadka Frank Perkins zrobiłby zapiekankę.

- Prawdopodobnie i w tym względzie masz rację - przyznał Smilow.

- W takim razie co ci zostaje? - spytał Hammond. - Nic.

- Oddałem dowody zebrane na miejscu zbrodni do WPPKP i kazałem im przeprowadzić kilka testów.

- Dostarczyłeś je przez kogoś do Columbii?

- Oczywiście.

Wydział Przestrzegania Prawa Karoliny Południowej miał siedzibę w stolicy stanu. By uniknąć wszelkich pomyłek, dowody zebrane przez grupę dochodzeniową wkładano do woreczków i opisywano, po czym jakiś oficer osobiście dostarczał je do WPPKP.

- Zobaczymy, co z tego wyniknie - oświadczył Smilow w beznamiętny sposób, który jedynie spotęgował niepokój Hammonda. - W pokojach hotelowego apartamentu nie udało nam się zbyt dużo zebrać, znaleźliśmy jednak kilka włókien, włosów i cząsteczek. Miejmy nadzieję, że coś ...

- Miejmy nadzieję? - zadrwił Hammond. - Została ci tylko nadzieja? Chcąc złapać mordercę, będziesz musiał bardziej się postarać, Smilow.

- Nie martw się o mnie - mruknął policjant, popadając w taki sam pełen niezadowolenia nastrój jak Hammond. - Pilnuj swojej roboty, a ja będę pilnował swojej.

- Po prostu nie chciałem stanąć przed sądem przysięgłych jedynie z ptaszkiem w ręku.

- Musiałbyś go najpierw znaleźć. Dojdę do tego, co łączyło Alex Ladd z Pettijohnem.

- A jeśli ci się to nie uda - dodał Hammond - zawsze możesz coś wymyślić.

Smilow tak szybko poderwał się z krzesła, że zgrzytnęło o podłogę. Hammond również błyskawicznie wstał.

Steffi podskoczyła.

- Chłopcy - powiedziała cicho. - Ludzie patrzą.

Hammond zdał sobie sprawę, że rzeczywiście zwrócili na siebie uwagę wszystkich gości w barze. Prowadzone wokół rozmowy ucichły.

- Muszę już iść. - Rzucił na stół pięciodolarowy banknot, płacąc za swojego drinka. - Do jutra.

Oderwał wzrok od Smilowa dopiero wtedy, gdy się odwrócił i zaczął torować sobie drogę wśród tłumu, kierując się do wyjścia. Usłyszał, że Steffi prosi Smilowa, by zamówił jej następnego drinka, i zapewnia go, że zaraz wróci. Potem ruszyła za Hammondem. Nie chciał z nią rozmawiać, gdy jednak znaleźli się na zewnątrz, chwyciła go za rękę.

- Dotrzymać ci towarzystwa?

- Nie - odparł ostrzej, niż zamierzał. Przeczesał palcami włosy, odetchnął głęboko, a potem powoli wypuścił powietrze z płuc. -Przepraszam, Steffi. To był po prostu jeden z tych fatalnych poniedziałków. Rano pojawił się u mnie ojciec. Sprawa o morderstwo Pettijohna koszmarnie się zapowiada. A Smilow to drań.

- Jesteś pewien, że to cię boli?

Opuścił rękę i bacznie się jej przyjrzał. Czyżby w jakiś sposób się zdradził? Ale w oczach Steffi nie dostrzegł ani cienia podejrzliwości czy pretensji. Były przejrzyste, łagodne i zachęcające. Uspokoił się.

- Tak, jestem pewien.

- Myślałam po prostu, że ... - przerwała i lekko wzruszyła ramionami.- Może żałujesz, że nie omówiliśmy wszystkiego, nim postanowiłeś zakończyć naszą znajomość? - Dotknęła przodu jego koszuli. - Gdybyś chciał wypuścić z siebie nieco pary, to pamiętam, że było coś, co zazwyczaj doskonale ci pomagało.

- Ja też to pamiętam. - Uśmiechnął się, pragnąc podbudować jej ego. Jednak po chwili ujął dłoń Steffi, ścisnął ją delikatnie i puścił. - Lepiej wracaj do środka. Smilow czeka z twoim drinkiem.

- Niech go diabli porwą.

- W tym względzie prawdopodobnie nie będziesz zawiedziona. Zobaczmy się jutro.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, ale jeszcze za nim zawołała:

- Hammondzie?! - Kiedy ponownie się odwrócił, spytała: - Co o niej sądzisz?

- O kim? O doktor Ladd? - Udał, że w zamyśleniu marszczy czoło. - Jest elokwentna. Opanowana nawet w chwilach największego napięcia. Ale w przeciwieństwie do Smilowa nie mam na razie zamiaru ...

- Chodzi mi o nią. Co o niej myślisz?

- Co mam myśleć? - zażartował, zmuszając się do śmiechu. - Jest wyjątkowo piękna i bardzo inteligentna.

Potem jowialnie machnął ręką i odwrócił się.

Nie umiał kłamać tak jak Alex Ladd, dlatego uznał, że lepiej powiedzieć prawdę.

Rozdział siedemnasty

Cytadela, szanowana w Stanach uczelnia wyższa, miała siedzibę zaledwie kilka przecznic od baru Shady Rest. Pomimo jednak tej niewielkiej odległości bar i akademicka wojskowa sprawiały wrażenie, jakby leżały na dwóch przeciwnych biegunach.

Sławną uczelnię oddzielała od świata brama, a dookoła rozciągały się wyjątkowo zadbane trawniki. Shady Rest nie mógł się poszczycić tak imponującą fasadą. Nie miał okien, jedynie dziury w wielkiej płycie. Wejścia strzegły metalowe drzwi, na których jakiś wandal wyrył nieprzyzwoite słowo. Ktoś nawet podjął niedbałą próbę zakrycia go cienką warstwą kiepskiej farby, ale kolorystycznie nie pasowała ona do tła, a na domiar złego nie wypełniła zadrapania. W rezultacie barwna plama jedynie bardziej zwracała uwagę na wulgaryzm. Tylko znajdujący się nad drzwiami neonowy napis z nazwą wskazywał na charakter lokalu. Niestety, neon głośno buczał i świecił tylko od czasu do czasu.

Bar Shady Rest idealnie pasował do otoczenia. Najbliższe sąsiedztwo stanowiły ulice nędzy, będące siedliskiem przestępstw, dlatego okna były okratowane, a każda widoczna oznaka bogactwa sprawiała, że człowiek mógł się stać celem ataku.

Z myślą o własnym bezpieczeństwie Hammond zamienił garnitur na dżinsy, podkoszulek, czapkę baseballową i trampki. Wszystkie te części garderoby pamiętały lepsze czasy. Ale samo przebranie to za mało. W tej części miasta, chcąc przeżyć, trzeba przyjąć określoną postawę.

Gdy otworzył zniszczone drzwi, by wejść do baru, nie zszedł uprzejmie z drogi dwóm wychodzącym facetom. Po prostu przepchnął się między nimi. Zrobił to na tyle zdecydowanie, że usłyszał jakiś komentarz, na szczęście nie był aż tak agresywny, by doprowadzić do konfrontacji, w której z całą pewnością poniósłby porażkę. Skończyło się na niewyraźnym przekleństwie pod adresem jego i jego matki,

Znalazłszy się w środku, potrzebował kilku chwil, by przyzwycząić oczy do panującego w lokalu mroku. W Shady Rest załatwiano się ciemne interesy. Hammond nigdy wcześniej nie był w tym barze, ale natychmiast zorientował się, co to za miejsce. W każdym mieście są takie nory. Charleston wcale nie stanowi wyjątku. Hammond z niepokojem zdał sobie sprawę, że lada chwila któryś z klientów rozpozna w nim człowieka z biura prokuratora okręgowego.

Kiedy przyzwycząił się do ciemności i przyjął odpowiednią postawę, dostrzegł osobę, której szukał. Siedziała na końcu baru, ponuro wpatrzona w szklaneczkę whisky z wodą sodową. Udając, że nie dostrzega nieufnych, wrogich spojrzeń, Hammond ruszył w stronę kobiety.

Loretta Boothe bardzo posiwiała od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni, na domiar złego jej włosy wyglądały tak, jakby od dawna ich nie myła. Próbowwała nałożyć makijaż, ale nie bardzo jej to wyszło, możliwe zresztą, że zrobiła to kilka dni temu. Miała rozmazany tusz i ołówek do brwi. Jedyne ślad po szmince stanowiły zabarwione linie rozchodzące się promieniście od ust, natomiast na samych wargach nie było już ani krzty koloru. Jeden policzek był czerwony od nadmiaru różu, drugi ziemisty i bezbarwny. Przykro było patrzeć na tę twarz.

- Witaj, Loretto.

Odwróciła się i wlepiła w niego zaczerwienione oczy. Mimo że miał na głowie baseballową czapkę, natychmiast go rozpoznała. Wyraźnie ucieszyła się na jego widok. Obwisłe powieki, pokryte gęstszą pajęczynką, niż wskazywałby na to jej wiek, zmarszczyły się w uśmiechu, ukazującym zepsute dolne zęby.

- Wielkie nieba, Hammondzie. - Zerknęła za niego, jakby przypuszczała, że ktoś mu towarzyszy. - Każdego spodziewałabym się zobaczyć w norze takiej jak ta, z wyjątkiem ciebie. Czyżbyś dzisiejszego wieczoru udawał nędzarza?

- Przyszedłem się z tobą zobaczyć.

- Pieprzysz - powiedziała i wybuchnęła niewesołym śmiechem. - Nie przypuszczałam, że jeszcze kiedykolwiek zechcesz ze mną rozmawiać.

- Nie chciałem.

- Miałeś prawo być wkurzony.

- Wciąż jestem.

- Co się zatem stało, że jesteś skłonny mi wybaczyć?

- Sytuacja awaryjna. - Zerknął na jej niemal pustą szklaneczkę. - Postawić ci drinka?

- Czy kiedykolwiek odrzuciłam taką propozycję?

Odrobinę prywatności mogło zapewnić tylko miejsce w boksie, dlatego Hammond szarmancko pomógł Lorecie zejść z barowego stołka. Gdyby tego nie uczynił, mogłaby się przewrócić. Drink, który zostawiła na barze, nie był jej pierwszym ani drugim.

Kiedy niepewnym krokiem szła obok Hammonda, uświadomił sobie, że prawdopodobnie będzie gorzko żałował tego, co właśnie robi. Ale, jak jej powiedział, znalazł się w sytuacji awaryjnej.

Usadowił Lorettę w boksie, po czym wrócił do baru i zamówił dwa drinki jacka danielsa - jeden czysty, a drugi z wodą i z lodem. Pierwszy dał Lorecie.

- Zdrówko. - Uniosła szklaneczkę, a potem pociągnęła spory łyk. Wzmocniona drinkiem, skierowała uwagę na Hammonda. Ładnie wyglądasz.

- Dzięki.

- Naprawdę. Oczywiście zawsze dobrze się prezentowałaś, ale teraz stajesz się prawdziwym mężczyzną. Nabierasz tężyzny.

Jakimś cudem panowie z wiekiem stają się coraz przystojniejsi, podczas gdy kobiety gwałtownie schodzą na psy.

Uśmiechnął się, marząc o tym, by móc obdarzyć ją równie miłym komplementem. Miała zaledwie pięćdziesiąt lat, ale wyglądała na dużo starszą.

- Jesteś przystojniejszy niż twój tata - dodała. - Choć zawsze uważałam, że Preston Cross jest całkiem postawnym facetem. - Jeszcze raz dziękuję.

- Częściowo twoje problemy z nim ...

- Nie mam z nim żadnych problemów.

Zmarszczyła czoło, ignorując jego słowa.

- Częściowo twoje problemy z nim wynikają z faktu, że jest o ciebie zazdrosny.

Hammond się roześmiał.

- To prawda - zapewniła Loretta z pewnością typową dla pijaków i mędrców. - Twój tata boi się, że możesz być lepszy od niego. Możesz więcej osiągnąć. Dysponować szerszą władzą. Zyskać powszechniejszy szacunek. On by tego nie zniósł.

Hammond spojrział na dno swojej szklaneczki. Po tym, który wypił kilka godzin temu w towarzystwie Smilowa i Steffi, kiepsko się czuł. A może to żołądek źle znosił poruszany właśnie temat? Tak czy inaczej, Hammond nie miał ochoty na whisky z Tennessee.

- Nie przyszedłem tu rozmawiać o ojcu, Loretto.

- Dobrze, już dobrze. Sytuacja awaryjna. - Pociągnęła następny łyk. - Jak mnie znalazłeś?

- Zadzwoiłem pod ostatni numer, jaki miałem.

- Teraz mieszka tam moja córka.

- To twoje mieszkanie.

- Ale już od miesiący czynsz płaci Bev. Powiedziała, że mnie wywali, jeśli się nie pozbieram. - Wzruszyła ramionami. Dlatego jestem tutaj.

Nagle zdał sobie sprawę, czemu Loretta jest taka rozczochrana i brudna. Zrobiło mu się niedobrze.

- Gdzie teraz mieszkasz, Loretto?

- Nie martw się o mnie, ważniaku. Potrafię się o siebie zatroszczyć.

Pozwolił jej zachować resztę dumy, dlatego nie wyrwał się z pytaniem, czy mieszka teraz na ulicy, czy w przytułkach dla bezdomnych.

- Podczas rozmowy z Bev dowiedziałem się, że to jest twój ulubiony lokal.

- Bev jest pielęgniarką na oddziale intensywnej terapii - pochwaliła się Loretta.

- To wspaniale. Daleko zaszła.

- W przeciwieństwie do mnie.

W tym względzie Hammond nie mógł się sprzeczać, dlatego nie komentował jej słów. Ponieważ czuł się niezręcznie i głupio, bacznie przyjrzał się napisanej odręcznie wywieszce, informującej, że zamontowane przy ich stoliku urządzenie do wybierania nagrań jest zepsute. Karteczka znajdowała się tu już od dawna. Zarówno papier, jak i taśma klejąca zdążyły zżółknąć ze starości. Ulokowana w przeciwnym rogu szafa grająca stała ponura i cicha, jakby uległa ogólnemu przygnębieniu panującemu w Shady Rest.

- Jestem z Bev dumna - ciągnęła Loretta, nie zmieniając tematu.

- Masz do tego prawo.

- Chociaż nie znosi mojego widoku.

- Nie wierzę.

- Ona naprawdę mnie nienawidzi, ale nie mogę mieć do niej o to pretensji. Zawiodłam ją, Hammondzie. -

Pod wpływem wyrzutów sumienia i bezradności oczy Loretty zrobiły się szkliste. - Wszystkich zawiodłam. Najbardziej ciebie.

- W końcu dopadliśmy tego faceta, Loretto. Trzy miesiące po ...

- Po tym, jak spieprzyłam robotę.

Ponownie nie mógł się z nią sprzeczać. Loretta Boothe pracowała w charlestońskiej komendzie policji. Potem została zwolniona za nadużywanie alkoholu. Postępujące uzależnienie tłumaczono śmiercią męża. Zginął na miejscu, gdy jego harley wpakował się w słup na moście. Wydarzenie uznano za wypadek, ale w pijackiej poufnej rozmowie Loretta przyznała się Hammondowi, że ma wyrzuty sumienia. Dręczyło ją pytanie, czy przypadkiem mąż nie wolał popełnić samobójstwa niż żyć dalej u jej boku.

Mniej więcej w tym samym czasie Loretta była coraz bardziej niezadowolona z pracy w komendzie policji. Choć równie dobrze na jej rozczarowanie mógł wpływać brak szczęścia w życiu osobistym. Tak czy inaczej, sama przyczyniła się do swoich problemów w pracy i do tego, że koniec końców znalazła się na bruku.

Zdobyła licencję prywatnego detektywa i przez jakiś czas miała ręce pełne roboty. Hammond zawsze ją lubił. Kiedy bezpośrednio po studiach podjął pracę w sławnej firmie prawniczej, ona pierwsza zaczęła zwracać się do niego per "panie prokuratorze". To był drobiazg, ale Hammond nigdy nie zapomniał, że Loretta dodała mu wiary w siebie.

Kiedy przeniósł się do biura prokuratora okręgowego, często zlecał jej przeprowadzenie takiego czy innego dochodzenia, chociaż mieli własną grupę detektywów. Powodowany lojalnością i współczuciem, korzystał z jej usług nawet wtedy, gdy coraz trudniej było na niej polegać. Potem strasznie spieprzyła robotę, co pociągnęło za sobą katastrofalne skutki.

Hammond był oskarżycielem w sprawie przeciw zdeprawowanemu i niepoprawnemu młodemu mężczyźnie, który niemal zatłukł na śmierć własną matkę. Był groźny dla otoczenia, dlatego należało na długie lata wsadzić go za kratki.

By wygrać tę sprawę, Hammond musiał mieć zeznanie naocznego świadka, kuzyna oskarżonego, człowieka, który nie tylko niechętnie wypowiadał się przeciw członkowi swojej rodziny, ale na domiar złego bał się przestępcy i jego ewentualnej zemsty. Pomimo wezwania uciekł z miasta. Krążyły pogłoski, że ukrył się u krewnych w Memphis. Ponieważ członkowie prokuratorskiej grupy dochodzeniowej mieli po przydzielane inne sprawy, Hammond zlecił to zadanie Lorecie. Zapłacił jej z góry, by miała na pokrycie wszelkich wydatków, i wysłał ją do Memphis na poszukiwanie kuzyna oskarżonego.

Niestety, z pola widzenia zniknął nie tylko świadek - przepadła również Loretta.

Jak się później okazało, za pieniądze, które dostała na pokrycie kosztów, ruszyła w tango. Sędzia odrzucił prośbę Hammonda o odroczenie sprawy i kazał wystąpić z posiadanymi dowodami, to znaczy z zeznaniem pobitej matki. Obawiając się zemsty porywczego syna, poszkodowana zmieniła swoją opowieść. Powiedziała, że poturbowała się, gdy spadła z werandy.

Ława przysięgłych uniewinniła oskarżonego. Trzy miesiące później ten sam facet w podobny sposób zaatakował sąsiada. Ofiara co prawda nie zmarła, doznała jednak poważnego i nieodwracalnego urazu mózgu. Tym razem kryminalista został skazany na wiele lat więzienia. Ale wówczas w roli oskarżyciela występowała już Steffi Mundell.

Chociaż od tego czasu minęły miesiące, Hammond wciąż nie mógł wybaczyć Lorecie, że zdradziła jego zaufanie, chociaż nikt inny nie chciał jej już zatrudnić. Opuściła go, gdy jej najbardziej potrzebował, na domiar złego na sali rozpraw wyszedł przez nią na głupca. Co gorsza, znikając, przyczyniła się do tego, że brutalnie pobity został niewinny człowiek, który już do końca życia będzie psychicznym i fizycznym kaleką.

Kiedy Loretta Boothe była trzeźwa, idealnie wykonywała swoją robotę. Miała instynkt ogara i potrafiła wydobyć potrzebne informacje choćby spod ziemi. Zupełnie jakby jakiś szósty zmysł podpowiadał jej, dokąd ma iść i kogo pytać. Krucho zbudowana, rozbierała tym ludzi i skłaniała ich do zwierzeń. Przystawali się pilnować i zdobywali na wyjątkową szczerłość. Umiała również świetnie rozróżnić, które informacje są ważne, a które nie.

Miała niewątpliwy talent, ale zobaczywszy ją tego wieczoru w wyjątkowo fatalnym stanie, Hammond zaczął się zastanawiać, czy jest sens ponownie ją zatrudnić. Tylko człowiek zdesperowany może szukać pomocy u notorycznego pijaka, który dowiódł, że trudno na nim polegać.

Gdy jednak Hammond ponownie pomyślał o Alex Ladd, zdał sobie sprawę, że jest naprawdę zdesperowany.

- Mam dla ciebie robotę, Loretto.
- Czyżbyśmy mieli prima aprilis?
- Nie, ale prawdopodobnie za prima aprilisowy żart można uznać fakt, iż w ogóle chcę ci coś powierzyć.

Skrzywiła się pod wpływem emocji.

- Najlepiej byś zrobił, Hammondzie, gdybyś teraz wyszedł. Chwyć się każdej szansy, byle naprawić to, co ostatnim razem zepsułam, ale musiałbyś być szalony, gdybyś ponownie chciał na mnie polegać.

Uśmiechnął się ponuro.

- No cóż, już kilkakrotnie mi mówiono, że zwariowałem. Łzy napłynęły jej do oczu, mimo to odchrząknęła i wyprostowała plecy.

- Co ... co masz na myśli?
- Słyszałaś o Lucie Pettijohnie?

Otworzyła szeroko usta.

- Chcesz, żebym pracowała przy tak ważnej sprawie?

- Nie bezpośrednio. - Poruszył się nerwowo na twardej ławie. - To nie jest oficjalne zlecenie z biura prokuratora okręgowego, lecz sprawa ściśle poufna. Między tobą a mną. Absolutnie nikt nie może się o tym dowiedzieć. Zgoda?

Jestem do niczego. Już to udowodniłam. Ale zawsze cię lubiłam, Hammondzie. Podziwiam cię. Jesteś dobrym człowiekiem i zawsze sobie pochlebiałam, uważając się za twoją przyjaciółkę. Byłeś dla mnie miły, gdy

inni odwracali się plecami, żeby nie musieć ze mną rozmawiać. Mogę cię zawieść i prawdopodobnie zawiode, ale wcześniej musiano by mi odciąć język, nim bym zdradziła twoje zaufanie.

- Wierzę ci. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Jak bardzo jesteś pijana?

Nieźle szumi mi w głowie, ale jutro wszystko sobie przypomnę.

- W porządku. - Przerwał, by zaczerpnąć powietrza. - Chcę, żebyś jak najwięcej się dowiedziała o ... Czy mam ci to zapisać? - Chcesz, żeby kiedykolwiek ta sprawa zwróciła się przeciw tobie?

Przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Nie.

- W takim razie nie zapisuj. Póki nie ma niczego namacalnego, nie ma dowodu.

- Dowodu? Zgodą, Loretto! - zawołał, unosząc obie ręce. Sprawa jest całkiem poufna. Trochę naciągam etykę. Ale nie postępuję wbrew prawu. Po prostu chcę dać szansę osobie podejrzanej.

Przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Chyba jestem bardziej pijana, niż myślałam. Czyżbyś powiedział... ?

- Dobrze mnie zrozumiałas.

- Chcesz dać szansę osobie podejrzanej w sprawie Pettijohna?

- W pewnym sensie.

- Dlaczego?

- Musiałabyś być znacznie bardziej pijana, żebym mógł ci to wyjaśnić.

Roześmiała się, aż zaskrzypiało jej w klatce piersiowej.

- W porządku. - Kiwnęła głową z powątpiewaniem. - Kim jest osoba podejrzana?

- To doktor Alex Ladd.

- Czy ten facet mieszka w Charlestonie?

- To kobieta.

Zamrugła kilka razy, potem utkwiała w nim wzrok.

- Kobieta.

Hammond udał, że nie widzi wyraźnego pytania, które sugerowały uniesione brwi Loretty.

- Jest psychologiem. Mieszka tu, w Charlestonie. Dowiedz się o niej wszystkiego, co możesz. Interesuje mnie jej dzieciństwo, rodzina, wykształcenie. Jednym słowem, wszystko. I jeszcze - co łączyło ją z Lute'em Pettijohnem.

- Na przykład, czy była jego dziewczyną?

- Taak - mruknął. - Coś w tym stylu.

- Mam wrażenie, że Steffi Mundell bardzo zależy na tym, by w tej sprawie być oskarżycielem. - Dlaczego tak myślisz?

Wyjaśniła mu, że w noc po morderstwie Pettijohna widziała na pogotowiu Steffi i Rory'ego Smilowa.

- Poszłam spotkać się z Bev. Prawdę mówiąc, chodziło mi o to, żeby wydusić z niej pieniądze. Tak czy inaczej, Steffi "Przeleć Mnie" i Smilow "Ponura Twarz" wpadli do szpitala jak żołnierze grupy szturmowej. Nie na wiele się to zdało. Czoło stawili im mizerny doktorzyna. Nie ustąpił ani na jotę. Aż lepiej się poczułam. - Zachichotała, potem spoważniała i ponownie spojrzała na Hammonda. - Wciąż z nią sypiasz?

Nie zdołał ukryć zaskoczenia, nie spytał jednak, skąd wie o jego potajemnym romansie ze Steffi. To dowodziło jedynie, iż była policjantka jest dobra w tym, co niegdyś robiła.

- Nie.

Przez chwilę mu się przyglądała, jakby próbowała sprawdzić, czy powiedział jej prawdę.

- To dobrze. Ponieważ nie chcę mówić źle o kobietach, z którymi się pieprzysz. - Nie lubisz Steffi?

- Tak samo, jak nie lubię jadowitych węży.

- Nie jest aż taka zła.

- Nie, jest jeszcze gorsza. To zmija. Odkąd pojawiła się w Charlestonie, miała na ciebie chrapkę. Nie chodziło jej zresztą tylko o to, żeby dobrać się do twoich spodni. Chciała je nosić. - Jeśli próbujesz mi powiedzieć, że ze sobą rywalizujemy, to doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

- Tylko czy wzięłaś pod uwagę jedno? Że Steffi może wykorzystywać twojego ptaszka, by wdrapać się po nim na urząd prokuratora?

- Sugerujesz, że sypiała ze mną tylko po to, by móc awansować? Dzięki, Loretto. Niesamowicie podbudowałaś moje ego.

Wywróciła oczami.

- Bałam się, że możesz nie dostrzegać takiej możliwości. Mężczyźni często uważają, że ich ptaszek to magiczna różdżka, którą można rzucić czar na słabą kobietę. Dzięki temu tak cholernie łatwo jest wykorzystać sztywny członek.

Hammond natychmiast pomyślał o Alex Ladd. Gdyby Loretta wiedziała, jaki był łatwowierny w sobotni wieczór, naprawdę miałyby prawo porządnie natrzeć mu uszu.

- Steffi Mundell- ciągnęła - przeleciałaby nawet rottweilera, gdyby tylko uznała, że dzięki temu dostanie się tam, gdzie chce być.

- Pewne rzeczy można jej wybaczyć. Fakt, że jest ambitna.

Ale za każde osiągnięcie zapłaciła bardzo wysoką cenę. Miała dominującego ojca, który oceniał wartość każdego człowieka według poziomu testosteronu. Oczekiwał, że Steffi będzie sprzątać, gotować i czekać na mężczyzn - najpierw na braci i ojca, potem na męża. Pobożna, ortodoksyjna grecka rodzina. Tymczasem Steffi nie tylko nie była pobożna, była ... właściwie jest... niewierząca. Na uniwersytecie i podczas studiów prawniczych nie otrzymała żadnej pomocy, nie usłyszała słowa zachęty. A kiedy jako najlepsza na roku ukończyła prawo, ojciec powiedział coś w rodzaju: "A może teraz dałabyś spokój tym głupstwom i po prostu wyszła za mąż?"

- Przestań, ranisz mi serce - powiedziała Loretta sarkastycznie.

- Posłuchaj, wiem, że Steffi potrafi być cholernie wkurzająca. Ma jednak mnóstwo pozytywnych cech, które przeważają nad złymi. Jestem już dużym chłopcem. Wiem, o co jej chodzi.

- Taak, no cóż ... - wymamrotała, niezbyt przekonana... w takim razie pozostaje jeszcze Smilow. - Wyciągnęła rękę po drinka, ale Hammond delikatnie wyjął go z jej dłoni. Nie pozwolisz mi dokończyć? - spytała. - Po co tracić dobrą whisky?

- Poczynając od tego momentu, masz zajęcie. Dwieście dolarów dziennie i trzeźwość. Tak wyglądają warunki naszej umowy.

- Ma pan bardzo wysokie wymagania, panie prokuratorze.

- Pokrywam również twoje wydatki, a po zakończeniu pracy dostaniesz sporą premię.

- Nie chodziło mi o wynagrodzenie. Jest bardzo szczodre. Nie zasługuję na tak dużo. - Wierzchem dłoni wytarła usta. Nie podoba mi się jednak warunek dotyczący alkoholu.

- To podstawowa zasada, Loretto. Jeśli wypijesz choćby jeden kieliszek, a ja się o tym dowiem, nasza umowa staje się nieważna.

- W porządku, rozumiem - mruknęła poirytowana. - Po prostu musiałam to z siebie wyrzucić, i tyle. Potrzebuję pieniędzy, by oddać je Bev. Gdyby nie to, wetknęłabym twoje "warunki" tam, gdzie słońce nie dociera. Uśmiechnął się, wiedząc, że jej szorstkie zachowanie kryje coś innego. Cieszyła się, że ma znowu pracę.

- Co chciałaś powiedzieć o Smilowie?

- To sukinsyn - prychnęła. - Przez niego zostałam zwolniona z pracy. Przydzielił mi niewykonalne zadanie. Dick Tracy nie zrobiłby tego w czasie wyznaczonym przez Smilowa. Kiedy nie mogłam się niczym wykazać, oskarżył mnie o picie, zamiast się przyznać, że ustalił nierealny termin. Poszedł do komendanta i powiedział, że nie wystarczy, jeśli mnie zdegradują i nie pozwolą prowadzić dochodzeń. Chciał, żeby mnie wyłano. Koniec, kropka. Powiedział, że przynoszę hańbę całemu wydziałowi i jestem plamą na honorze. Prawdę mówiąc, zagroził, że się zwolni, jeśli mnie nie wywałą. Czy wobec takiego ultimatum ktoś mógł podjąć inną decyzję? Wystarczyło jedynie wybrać między policjantką z drobnym problemem alkoholowym a najlepszym inspektorem do spraw zabójstw.

Hammond mógł się sprzeczać, że wszystko, co rzekomo powiedział Smilow, było prawdą i że problem alkoholowy Loretty wcale nie wydawał się taki "drobny". Co więcej, inspektor jedynie zmusił swoich zwierzchników do zrobienia tego, co i tak powinni zrobić, tylko się wahali, nie chcąc, by oskarżono ich o dyskryminację kobiet albo coś równie niemilego.

Chociaż ultimatum Smilowa było prawdziwym nieszczęściem dla Loretty, mogło zapobiec katastrofie. Przez wiele miesięcy poprzedzających zwolnienie bez przerwy chodziła pijana. Nie powinna nosić broni ani prowadzić dochodzeń w sprawach napadów ani innych poważnych przestępstw - nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach było to zbyt niebezpieczne.

Hammond zdawał sobie jednak sprawę, że Loretta musi się wyzalić.

- Smilow nie jest zbyt tolerancyjny w stosunku do ludzkich słabostek.

- Jemu też ich nie brakuje.
- Co masz na myśli?
- Miłość do siostry i nienawiść do Lute'a Pettijohna.

Hammond przypomniał sobie krótką opowieść, którą poprzedniego wieczoru uraczyła go Davee.

- Co wiesz na ten temat? - spytał

- To samo co wszyscy. Margaret była chora. Przypuszczam, że cierpiała na rozdwojenie jaźni. Smilow wziął na siebie rolę opiekuńczego starszego brata. Nie był wcale zachwycony, gdy pokochała Lute'a Pettijohna. Może Smilowem powodowała zazdrość, ponieważ w życiu siostry pojawił się nowy opiekun, a może po prostu widział, jaki Pettijohn jest naprawdę, chociaż nikt inny tego nie dostrzegał. Tak czy owak, Rory nie pochwalał tego małżeństwa.

- Słyszałem, że kilka razy ostro się pokłócili. Loretta chrząknęła.

- Pewnego wieczoru Rory i ja zostaliśmy skierowani do sklepiku, w którym dokonano napadu rabunkowego i morderstwa. Właśnie wtedy Margaret zadzwoniła do niego na pager. Natychmiast odpowiedział. Była rozhisteryzowana. Błagała, by do niej przyjechał. Tak bardzo się zdenerwował, że przekazaliśmy miejsce zbrodni ekipie dochodzeniowej. Podrzuciłam go do siostry.

Przerwała na chwilę, potrząsając z niedowierzaniem głową.

- Nim dotarliśmy na miejsce, Margaret kompletnie zdemolowała dom. Takich zniszczeń nie dokonał nawet huragan Hugo. To nie był rozbity szklany wazon. Ani rozdarta poduszka. Ani półka, której ktoś nie uprzątnął. Nie dało się przejść, bo na podłodze leżało mnóstwo różnych rzeczy. Najwyraźniej dowiedziała się, że Pettijohn ma jakąś dziewczynę. Gdy dotarliśmy na miejsce, stała w łazience z brzytwą przy nadgarstku. Groziła, że się zabije. Smilow słodkimi słówkami namówił ją, by oddała brzytwę. Potem zadzwonił do lekarza. Człowiek ten był na tyle uprzejmy, że przyjechał i coś jej dał. Wówczas Smilow kazał mi się zawieźć na miejsce randki Pettijohna. Mówiąc w dużym skrócie ... zastał dziewczynę siedzącą na twarzy Lute'a. Nim zdążyłam interweniować, faceci wymienili kilka ciosów. Musiałam siłą odciągnąć Smilowa, bo nie skutkowały żadne słowa. Jestem święcie przekonana, że gdyby nie moja obecność, zatłukłby szwagra na śmierć. Tego wieczoru naprawdę był w stanie to zrobić. Nigdy nie widziałam nikogo - ani mężczyzny, ani kobiety - w takim napadzie szału.

Przymrużyła oczy i postukała poszarpanym, brudnym paznokciem po brzydkim blacie stolika.

- Do końca życia będę święcie przekonana, że właśnie dlatego Rory Smilow tak bardzo mnie nienawidził. Udaje człowieka niezwykle opanowanego. Ukrywa wszelkie uczucia. Jest zimny. Obojętny. Tymczasem ja na własne oczy widziałam, że jest taki sam jak my wszyscy. Może nawet w większym stopniu niż każdy z nas. Stracił panowanie nad sobą. Nie mógł mnie znieść u swojego boku, ponieważ dzień w dzień przypominałam mu tamtą chwilę.

Hammond nie kwestionował jej prawdomówności. Mógł zarzucić Lorecie mnóstwo wad, nigdy jednak nie przyłapał jej na kłamstwie czy ubarwianiu opowieści.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Jedynie podsuwam ci pewne możliwości.

- Możliwości? Myślisz, że to Smilow zabił Pettijohna?

- Mówię tylko, że mógł. Nie wiem, jak bardzo jest to prawdopodobne, ale, do jasnej cholery, z pewnością miał motyw. Nigdy nie wybaczył Lute'owi samobójstwa Margaret. To nie jest zwykłe bredzenie starej pijaczki. Twojej przyjaciółce, Steffi, też to przyszło na myśl. Słyszałam, jak poruszyła tę sprawę w szpitalu. Zauważyła, że Smilow bardzo się ucieszył na widok martwego Pettijohna.

- Co powiedział inspektor?

- Nie wywnętrzał się, ale też wcale się nie wyparł. - Zachichotała. - W każdym razie nie rozgadywał się na ten temat. O ile dobrze pamiętam, odwrócił kota ogonem i przypisał ten czyn Jej.

- Steffi?

- Powiedział, że Pettijohn mógł torować jej drogę do urzędu prokuratora okręgowego po przejściu Masona na emeryturę.

Hammond roześmiał się.

- Smilow musiał mieć chyba ciężką noc. Czemu miałyby zabijać Lute'a, jeśli ten próbował wyświadczyć jej przysługę? - Tego samego argumentu użyła Steffi i na tym rozmowa się urwała. Zresztą Smilow tylko ją prowokował, ponieważ Steffi twierdziła, że to Davee wyprawiła Pettijohna na tamten świat. - Rzeczywiście pierwszą podejrzaną Steffi była Davee. Ale teraz w centrum uwagi jest ktoś inny.

- Doktor Ladd?

Hammond przytaknął i przekazał Lorecie kopertę z zaliczką.

- Jeśli to przepijesz ...

- Nie przepiję. Słowo honoru.

- Dowiedz się wszystkiego na temat Alex Ladd. Chcę usłyszeć twoją relację możliwie jak najszybciej. - To może zabrzmieć nieco arogancko ...

- Z pewnością.

Ignorując go, Loretta ciągnęła:

- Czy ta kobieta została aresztowana?

- Jeszcze nie.

- Ale widocznie uważasz, że Smilow i reszta się mylą.

- Nie jestem pewien. - Przekazał jej w skrócie wydarzenia dnia, zaczynając od historii Danielsa, a na stwierdzeniu Alex, że nie znała Pettijohna, kończąc. - Nie znaleźli dowodów, że coś ich łączyło. Jako prokurator mogę powiedzieć, że sprawa jest niepewna.

- A jako ktoś inny?

- Nie ma kogoś innego.

- Hmm. - Loretta przyglądała się Hammondowi, jakby mu nie dowierzała, ale nie poruszyła już tej sprawy.

- No cóż, jeśli to nie doktor Ladd zabiła Pettijohna, niech Bóg ma ją w swej opiece.

- Czy nie chodziło ci o to, żeby Bóg miał ją w swej opiece, jeśli to zrobiła?
- Nie, miałam na myśli dokładnie to, co powiedziałam.
- Nie rozumiem - przyznał Hammond zaskoczony.
- Jeżeli doktor Ladd była na miejscu zbrodni, ale nie zabiła Pettijohna, mogła coś widzieć.
- Widzieć? Dlaczego w takim razie nam o tym nie powiedziała?
- Bo się boi.
- Czego może się bać bardziej niż oskarżenia o morderstwo?
- Mordercy - odparła Loretta.

Rozdział osiemnasty

Alex co chwila zerkała w lusterko wsteczne. Uznała, że to zakrawa na paranoję, doszła jednak do wniosku, że spędziwszy znaczną część dnia na przesłuchaniu w sprawie morderstwa, ma do tego prawo. Na domiar złego w tym wszystkim uczestniczył Hammond Cross. Co gorsza - wiedział, że ona kłamie.

Oczywiście sam również rozmijał się z prawdą, choćby tylko dlatego, że w ogóle się nie odezwał. Dlaczego milczał? Z ciekawości? Może chciał sprawdzić, jak daleko ona posunie się w kłamstwach, opowiadając, gdzie spędziła sobotni wieczór? Kiedy zakończyła zmyśloną historię o wyprawie na Hilton Head, była przeświadczona, że zarzuci jej kłamstwo.

Nie zrobił tego. Co mogło świadczyć o tym, że próbował chronić swoją reputację. Nie chciał, by jego koleżanka, pani Mundell, i przerażający inspektor Smilow wiedzieli, iż przespał się z jedyną osobą podejrzaną o zamordowanie Pettijohna, i to dokładnie tego samego wieczoru, kiedy popełniono zbrodnię. Na razie bardziej zależało mu na zachowaniu ich spotkania w tajemnicy niż na wyciągnięciu prawdy z podejrzanej.

To jednak mogło się zmienić. W związku z tym Alex była całkiem bezbronna. Póki się nie dowie, jak Hammond ma zamiar rozegrać tę sprawę, musi zrobić wszystko, by się nie zdradzić.

Być może nigdy do tego nie dojdzie, jednak powinna być przygotowana na każdą ewentualność.

Gdy dotarła na miejsce, nie skorzystała z bramy wjazdowej ani wejścia dla służących, tylko wjechała na miejski parking. Bobby robił wyraźne postępy. Przed laty, kiedy Alex go знаła, bywał częstym gościem domów noclegowych. Teraz zameldował się w porządnym hotelu w pobliżu centrum. Nie uprzedziła go wcześniej, że się do niego wybiera. Zaskoczenie mogło dać jej pewną przewagę podczas niemiłego spotkania.

W windzie zamknęła oczy i wykonała kilka ruchów okrężnych głową. Była wyczerpana. Na dodatek potwornie się bała. Bardzo chciała cofnąć czas i wykreślić dzień, w którym po dwudziestu latach Bobby Trimble ponownie wtargnął w jej życie. Chętnie zapomniałaby o tym dniu - o wszystkich następnych również.

Wtedy jednak musiałyby wymazać z pamięci noc spędzoną z Hammondem Crossem.

Alex nie zaznała w życiu zbyt dużo szczęścia. Nawet jako dziecko. Zwłaszcza jako dziecko. Boże Narodzenie było po prostu kolejnym dniem w kalendarzu. Nigdy nie miała tortu urodzinowego, koszyczka wielkanocnego ani stroju na Hallooween. Dopiero jako nastolatka dowiedziała się, że święta obchodzą również zwyczajni ludzie, a nie tylko gwiazdy pojawiające się w kolorowych czasopismach i telewizji.

Początek dorosłego życia poświęciła na naprawianie szkód wyrządzonych przez przeszłość i na pracę nad sobą. Była nienasycona, dążąc do zdobycia wszystkiego, czego dotąd jej odmawiano. Podczas studiów z taką pilnością oddała się nauce, że właściwie nie miała czasu na randki.

Potem całą energię włożyła w wyrabianie sobie renomy.

Pracując jako wolontariuszka i udzielając się w organizacjach charytatywnych, często spotykała kawalerów. Z niektórymi z nich nawet się zaprzyjaźniła, ale nie dopuszczała do tego, by przyjaźń zamieniła się w romans, i był to świadomy wybór.

Wystarczała jej satysfakcja, którą dawały wspaniałe osiągnięcia, i radość, że pomaga ludziom, umożliwiając im pokonanie własnych problemów i nabranie wiary w siebie.

W związku z tym nigdy dotąd nie zaznała prawdziwego szczęścia - owej przyprawiającej o zawrót głowy radości, którą odczuwała podczas wieczoru spędzonego z Hammondem. Było to dla niej coś nieuchwytnego, zupełnie obcego. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo szczęście może człowieka od siebie uzależnić. I jak ogromne ryzyko się z nim wiąże. Czy zawsze za chwile radości trzeba płacić tak wysoką cenę?

Gdy rozsunęły się drzwi windy, Alex usłyszała muzykę. Domyśliła się, że dźwięki dochodzą z pokoju Bobby'ego. Miała rację. Podeszła do drzwi, zapukała, odczekała chwilę i ponownie zapukała, tym razem mocniej. Muzyka ucichła.

- Kto tam?

- To ja, Bobby. Muszę z tobą porozmawiać.

Po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Bobby był nagi, zdążył jedynie owinać ręcznikiem biodra.

- Jeśli ściągasz mi na kark gliniarzy, to, Bóg mi świadkiem, będę musiał...

- Nie pleć głupstw. Nie mam zamiaru przyznawać się policji, że kiedykolwiek miałam z tobą coś wspólnego.

Strzelił oczami w prawo i w lewo, sprawdzając korytarz.

Zadowolony, że jest sama, powiedział:

- Miło mi to słyszeć, Alex. Dzisiaj przez chwilę się obawiałem, że ponownie pokrzyżowałaś mi szyki.

- To ...

Coś poruszyło się za jego plecami. Alex podniosła wzrok.

Najpierw zobaczyła jedną dziewczynę, potem drugą. Bobby obejrzał się za siebie, a zobaczywszy swoje towarzyszkę, z uśmiechem objął każdą w pasie i przyciągnął do siebie. Nawet jeśli któraś z nich ukończyła osiemnaście lat, musiało to się stać bardzo niedawno. Jedna miała na sobie tylko skape majteczki, nic więcej. Druga owinęła się prześcieradłem. Alex domyśliła się więc, że ściągnęła je z łóżka.

- Alex, to jest...

- Nie obchodzi mnie, kto to jest - przerwała. - Muszę z tobą porozmawiać. - Spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

- W porządku. - Westchnął. - Ale wiesz, co mówi się o ludziach, którzy bez przerwy pracują i nie potrafią się zabawić.

By zagonić dziewczyny z powrotem do pokoju, klepnął każdą po pupie i poprosił, by na kilka minut zostawiły go sam na sam z Alex.

- Mamy pewne sprawy do załatwienia. Jak wrócę, impreza zacznie się na dobre. Zgoda? A teraz wracajcie do łóżka.

Panienki jękliwie błagały, by nie kazał im długo czekać.

Bobby wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

- Jesteś naćpany, prawda? - spytała Alex.

- Dziwisz się? Jadąc dziś na spotkanie z tobą, nie spodziewałem się, że na twoim progu zobaczę gliniarzy. -

Gdzie kupiłeś działkę?

- Wcale nie musiałem jej kupować. Wiem, jak można oskubać przyjaciół.

- Chyba raczej ofiary.

Uśmiechnął się. Wcale nie poczuł się urażony.

- Te dzierlatki były bardzo dobrze wyposażone. Towar najwyższej jakości. Chcesz skorzystać? - Wyciągnął rękę i ścisnął jej bark. - Jesteś potwornie spięta, Alex. Co powiedziałaś na mały odlot?

Straciła jego dłoń.

- Rób, jak uważasz - powiedział z przyjaznym wzruszeniem ramion. - Gdzie są moje pieniądze? - Nie mam ich.

Z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Nabijasz mnie w butelkę, prawda?

- Widziałeś w moim domu policjantów, Bobby. Jak miałam ci przynieść gotówkę? Przyszłam ci ostrzec, żebyś trzymał się ode mnie z daleka. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę, żebyś przejeżdżał koło mojego domu. Nie chcę cię znać.

- Do jasnej cholery, zaczekaj chwileczkę! Dogadaliśmy się, pamiętasz? Ty i ja. Zawarliśmy umowę.

- Unieważniam umowę. Okoliczności uległy zmianie. Byłam przesłuchiwana w sprawie morderstwa Lute'a Pettijohna.

- To nie moja wina, Alex. Nie możesz mnie winić o to, co sama spieprzyłaś.

- Mówiłam ci wczoraj ...

- Wiem, co mi mówiłaś. Ale to wcale nie znaczy, że Ci uwierzyłem.

Nie było sensu się z nim sprzeczać. Nie uwierzył jej poprzedniego dnia, nie uwierzy i teraz. Choć właściwie przestała się tym przejmować. Chciała po prostu się od niego uwolnić.

- Zgodnie z umową dostaniesz ode mnie sto tysięcy.

- Dziś wieczorem.

Potrząsnęła głową.

- Za kilka tygodni. Gdy sprawa się wyjaśni. Nie mogę dać ci ich teraz, kiedy policja tak bacznie mnie obserwuje.

Oparł dłonie na smukłych biodrach i wychylił się do przodu, aż jego twarz znalazła się dokładnie naprzeciw twarzy Alex. - Mówiłem ci, żebyś była ostrożna. Mówiłem, prawda?

- Owszem, mówiłeś.

- W takim razie jak to się stało, że cię znaleźli?

Nie zamierzała stać w hotelowym korytarzu z niemal nagim mężczyzną i opowiadać mu o przesłuchaniu. Poza tym tak naprawdę wcale go nie obchodziło, jakim cudem policja skojarzyła ją z Pettijohnem. Dla Bobby'ego

liczyło się tylko jedno.

- Dostaniesz swoje pieniądze - powiedziała. - Skontaktuję się z tobą, gdy uznam, że bezpiecznie możemy się spotkać. Ale do tego czasu trzymaj się ode mnie z daleka. Jeśli tego nie zrobisz, sam się podłożysz.

Widocznie działanie narkotyków powoli zaczynało ustępować, ponieważ Bobby przestał sprawiać wrażenie człowieka spokojnego i sympatycznego. Stał się agresywny.

- Chyba myślisz, że jestem idiotą. Naprawdę wierzysz, Alex, że zdołasz się mnie pozbyć tylko dlatego, że ci na tym zależy?

Pstryknął palcami tuż przed jej nosem.

- Dobrze się zastanów. Będę cię prześladował, póki nie dostanę swojej części. Jesteś mi to winna.

- Gdybym chciała spłacić długi, jakie mam wobec ciebie, Bobby - powiedziała spokojnie - musiałabym cię zabić.

- Grozisz mi, Alex? - spytał przesadnie łagodnym tonem. - Nie sądzę. - Potem, ku jej zaskoczeniu, dźgnął ją palcem wskazującym w klatkę piersiową. Zrobił to tak mocno, że cofnęła się kilka kroków. - Nie możesz mi grozić. To ty masz więcej do stracenia. Nie zapominaj o tym. Teraz powtórzę po raz ostatni. Przynieś mi pieniądze.

- Nie rozumiesz, że nie mogę? Nie teraz.

- Gówna prawda. Przed twoim nazwiskiem znajduje się cała fura tytułów. Jesteś na tyle mądra, by coś wymyślić. - Złośliwie zmrużył oczy. - Przynieś mi te pieniądze. Tylko wtedy możesz liczyć na to, że zniknę.

W głębi duszy Alex zapłonęła potworna nienawiść.

- Czy te dziewczyny zdają sobie sprawę, że jutro rano obudzą się bez biżuterii i pieniędzy?

- Ale w zamian za to dostaną to, czego pragną. - Puścił do niej oko. - Z nawiązką.

Alex odwróciła się z obrzydzeniem i ruszyła w stronę windy. - Póki się do ciebie nie odezwę, trzymaj się z daleka.

- Będę twoim cieniem, Alex - odparł szeptem. - Ilekroć się obejrzysz, zobaczysz mnie u swego boku.

Gdy Hammond zapalił stojącą obok łóżka lampkę, ścianę pomalowaną w pasy skąpała ciepła jasność. Rozejrzawszy się dookoła, musiał przyznać, że Lute Pettijohn zatrudnił w Charles Towne Plaza dobrego dekoratora wnętrz i nie skąpił na wygody. Przynajmniej w apartamencie na najwyższym piętrze.

Pokój był przestronny i zaprojektowany wyraźnie z myślą o użytkowniku. Za drzwiami francuskiej komody stał dwudziestosiedmocalowy telewizor - dużo większy od tych, które zwykle spotyka się w hotelach i motelach - wyposażony w magnetowid. W szafce był również odtwarzacz CD, wybór płyt kompaktowych, ubiegłotygodniowy numer "TV Guide" i pilot do telewizora. To wszystko.

Przeszedł do łazienki. Ręczniki wyraźnie nie były używane od chwili, kiedy pokojówka zawiesiła je na dekoracyjnych wieszakach. W małym srebrnym koszyczku stojącym na marmurowym blacie wciąż znajdowały się buteleczki z szamponami oraz innymi kosmetykami, a także miniaturowy zestaw do szycia, szmatka do polerowania butów i czepek kąpielowy.

Zgasił światło i wrócił do sypialni. Jego kroki tłumił pluszowy dywan. Pomimo że w salonie zgromadzono sporą ilość alkoholu, w sypialni znajdował się dodatkowy mini barek. Grupa dochodzeniowa sprawdziła już jego zawartość. Hammond jednak owinał rękę chusteczką do nosa i otworzył lodówkę. Szybko porównawszy jej zawartość z drukowanym wykazem, uznał, że niczego nie brakuje. Kiedy zamknął drzwiczki, z cichym szumem włączył się silnik.

Z prawdziwą przyjemnością powitał ten dźwięk. Choć apartament był pięknie urządzone i miał liczne udogodnienia, nie przestawał być miejscem zbrodni. Panowała w nim złowieszcza cisza.

Opuszczając Shady Rest, Hammond miał zamiar pojechać do domu i zakończyć okropny poniedziałek. Coś jednak przyciągnęło go tutaj. Nie musiał się zastanawiać nad źródłem tego wewnętrznego przymusu. Wciąż dźwięczał mu w uszach ostatni komentarz Loretty.

Czy Alex Ladd była tu w ostatnią sobotę? Czy widziała coś, czego nie chciała ujawnić, ponieważ wówczas mogłaby przypłacić to życiem? Wolałby wierzyć w to niż zakładać, że była morderczynią, chociaż ani jedno, ani drugie nie wydawało się miłą perspektywą. Przyszedł tutaj, podświadomie mając nadzieję, że znajdzie coś, co poprzednio przeoczono, coś, co oczyści Alex Ladd z wszelkich podejrzeń i być może wskaże na kogoś innego. Z jakichś niezrozumiałych względów czuł wewnętrzny przymus, by chronić kobietę, która udowodniła, że doskonale potrafi kłamać.

Nie było mu łatwo wrócić do apartamentu, w którym w ostatnią sobotę wymienił z Lute'em kilka przykrych słów. Był tylko w salonie, prawdę mówiąc, ledwie przekroczył próg. Powiedział to, co miał powiedzieć, stojąc tuż przy drzwiach.

Lute siedział na sofie i sączył drinka. Był wyjątkowo zadowolony z siebie, gdy ostrzegwał Hammonda, że jeśli zechce przedstawić jego sprawę przez sądem przysięgłych, jednocześnie będzie musiał postawić w stan oskarżenia własnego ojca.

- Oczywiście - dodał z uśmiechem - tych nieprzyjemności można uniknąć. Jeśli zgodzisz się z moją sugestią, każdy z nas dostanie to, czego pragnie, i pójdzie do domu szczęśliwy.

Propozycja Pettijohna właściwie sprowadzała się do tego, że Hammond musiałby zaprzedać duszę diabłu. Odrzucił tę ofertę. Oczywiście Lute nie był zadowolony z odmowy.

Zakłopotany tym wspomnieniem, Hammond podszedł do szafy - jedynej nie sprawdzonej jeszcze części sypialni. Za wysokimi odsuwanyymi drzwiami lustrzanymi znajdował się pusty sejf i wieszaki bez ubrań. Wisiał tam też związany paskiem biały frotowy płaszcz kąpielowy, nie używany. Frotowe klapki od kompletu tkwiły nadal w celofanowym opakowaniu. Wyglądało na to, że nic tu nie było ruszane.

Hammond zasunął drzwi. W tym momencie dostrzegł w lustrze odbicie.

- Szukasz czegoś?

Gwałtownie się odwrócił.

- Nie wiedziałem, że tu ktoś jest.

- Na to wygląda - zadrwił Smilow. - Podskoczyłeś, jakby ktoś do ciebie strzelał. - Zerknąwszy przez ramię do salonu, na zaplamiony krwią dywan, dodał: - Wybacz kiepski żart.

- Daj spokój, Rory - rzekł pojednawczo Hammond, usiłując ukryć rozgoryczenie, że przyłapano go na myszkowaniu. - Nigdy nie przebierałeś w słowach.

- To prawda. Nie przebierałem. W takim razie, do jasnej cholery, co ty tu robisz?

- A co cię to, do jasnej cholery, obchodzi? - wypalił Hammond, przyjmując identyczny, pełen złości ton.

- Drzwi po to zostały zaklejone taśmą, żeby nikt tu nie wchodził.

- Mam prawo odwiedzać miejsce zbrodni, skoro będę oskarżycielem.

- Ale przepisy wymagają, żebyś zawiadomił o tym moje biuro i zabrał ze sobą kogoś do towarzystwa. - Znam przepisy.

- I co?

- Byłem w pobliżu - wyjaśnił Hammond szorstko. Nie chciał tracić twarzy, choć zdawał sobie sprawę, że Smilow ma rację. - Jest późno. Nie widziałem potrzeby, by ściągać tu któregoś z gliniarzy. Niczego nie dotykałem.

- Machnął chusteczką, którą wciąż trzymał w ręce. - Niczego nie wziąłem. Poza tym myślałem, że skończyliście.

- Skończyliśmy.

- W takim razie co tu robisz? Szukasz dowodów? Czyżbyś coś przeoczył?

Spojrzeli na siebie wilkiem. Pierwszy nad złością zapanował Smilow.

- Przyszedłem tu przemyśleć pewne sprawy, które wyszły na jaw podczas autopsji.

Na przekór samemu sobie Hammond się zainteresował.

- Jakie sprawy?

Podążył za Smilowem do salonu. Inspektor stanął nad plamą na dywanie.

- Miałem na myśli rany. Trudno określić trajektorię, po której leciały kule, ponieważ dokonały ogromnych spustoszeń w ciele, Madison przypuszcza jednak, że wylot lufy znajdował się nad Pettijohnem w odległości trzydziestu, góra sześćdziesięciu centymetrów.

- Z takiej odległości nie można chybić.

- I o to właśnie zabójcy chodziło.

- Widocznie nie wiedział, że Lute miał wylew.

- Ten ktoś przyszedł go zabić bez względu na okoliczności.

- I zrobił to z bliska.

- Co wskazuje na to, że Pettijohn znał swojego zabójcę.

Przez chwilę, pogrążeni w zadumie, oglądali brzydką ciemną plamę na dywanie.

- Od jakiegoś czasu coś mnie niepokoi - odezwał się wreszcie Hammond. - Dopiero teraz zrozumiałem co. Hałas. Jak można zastrzelić kogoś z trzydziestkiósemki tak, żeby nikt tego nie słyszał?

- W pokojach było tylko kilkoro gości. Obsługa zmienia się po szóstej. Pokojówki jeszcze się nie pojawiły na korytarzu. Strzelający pewnie użył czegoś, co pozwoliło stłumić odgłos wystrzału. Mógł to być zwykły kawałek

plótna. Jednak Madison nie znalazł w okolicy rany ani w jej wnętrzu żadnych włókien, które by na to wskazywały. Przepuszczalnie przechwałki Pettijohna, że jego pokoje są dźwiękoszczelne, były bliższe prawdy niż w przypadku systemu bezpieczeństwa.

- Coś jeszcze przyszło mi do głowy.

Smilow spojrział na Hammonda i machnięciem ręki zachęcił go, by kontynuował.

- Morderca nie tylko dobrze znał Lute'a, ale wiedział również wszystko na temat jego hotelu. Zupełnie jakby starannie śledził wszystkie poczynania ofiary. Jakby wręcz miał na jej punkcie obsesję. - Spojrzął w zimne oczy Smilowa. - Rozumiesz, do czego zmierzam?

Smilow wytrzymał spojrzenie Hammonda przez mniej więcej dziesięć sekund, nie dając się sprowokować, po czym kiwnięciem głowy wskazał drzwi apartamentu.

- Pan pierwszy, panie prokuratorze.

WTOREK

Rozdział dziewiętnasty

Lute Pettijohn życzył sobie, by jego ciało zostało poddane kremacji. Gdy tylko doktor Madison w poniedziałek po południu zakończył autopsję, odtransportowano zwłoki do domu pogrzebowego. Wdowa już wszystko załatwiła i dopełniła niezbędnych formalności. Nie chciała natomiast oglądać ciała przed przekazaniem go do krematorium.

Termin nabożeństwa żałobnego wyznaczono na wtorkowy rano, co zdaniem niektórych wskazywało na niestosowny pośpiech, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę okoliczności zgonu. Zważywszy jednak na to, że wdowa od dawna nie liczyła się z opinią publiczną, nikt właściwie nie był zaskoczony faktem, iż nie odstąpiła od swego zwyczaju również w przypadku tego uświęconego tradycją rytuału.

Rano było mgliste i upalne. O dziesiątej kościół episkopalny pod wezwaniem Świętego Filipa wypełnił się po brzegi. Stawili się nie tylko ludzie sławni, ale i ci napiętnowani najgorszą opinią. Nie zabrakło oczywiście osób, które chciały pogapić się na jednych i na drugich, zwłaszcza że wśród przybyłych znalazł się wielce czcigodny senator Stanów Zjednoczonych reprezentujący Karolinę Południową, a także mieszkająca w Beaufort gwiazda filmowa.

Niektóre z tych osób nigdy nie spotkały Pettijohna, uważały jednak, że są na tyle ważne, iż powinny uczestniczyć w pogrzebie powszechnie znanej postaci. Większość obecnych lekceważyła zmarłego za życia. To jednak w niczym nie zmieniało faktu, że teraz tłumnie przybyli do kościoła, by potrząsając głowami, opłakiwać tragiczną i przedwczesną śmierć. Było tak dużo kwiatów, że z trudem zmieściły się przy ołtarzu.

Dokładnie o dziesiątej do pierwszej ławki podprowadzono wdowę. Od stóp do głowy była spowita w czerń, jedyny wyjątek stanowił sławny sznur pereł. Włosy zaczesła do tyłu i spięła w koński ogon, na który włożyła słomkowy kapelusz z szerokim, osłaniającym twarz rondem. Podczas mszy miała na nosie ciemne nieprzezroczyste okulary.

- Czy w ten sposób ukrywa opuchnięte od płaczu oczy? Czy raczej fakt, że w ogóle nie płakała?

Steffi Mundell siedziała obok Smilowa. Słyszając jej pytanie, zmarszczył czoło. Miał pochyloną głowę i prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie, jakby słuchał odmawianej właśnie modlitwy.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie wiedziałam, że jesteś człowiekiem wierzącym.

Przez resztę mszy siedziała w pełnym szacunku milczeniu, chociaż nie wyznawała żadnej religii. Bardziej od życia pozagrobowego interesowało ją życie doczesne. Marzyła o tym, by jej ambicje zostały zrealizowane tu, na ziemi. Wcale nie dbała o zaszczyt czekający na nią w królestwie niebieskim.

Tak więc, przewracając kartki Pisma Świętego i teksty modlitw, przez całą godzinę rozmyślała nad różnymi aspektami tego tragicznego wydarzenia. Szczególnie zaś nad tym, w jaki sposób wykorzystać je dla własnych celów.

Sprawę przydzielono Hammondowi, ale to ona poprzedniego wieczoru zadzwoniła do prokuratora Masona, przepraszając, że przeszkadza mu w kolacji. Kiedy jednak opowiedziała mu o tym, że Alex Ladd skłamała,

mówiąc, gdzie była w sobotni wieczór, Mason podziękował za przekazanie informacji. Steffi uznała, że dzięki tej rozmowie zdobyła kilka dodatkowych punktów. Pragnąc posunąć się jeszcze dalej, zapewniła szefa, że Hammond prawdopodobnie w którymś momencie o wszystkim go zawiadomi ... gdy tylko uzna to za stosowne ... dając w ten sposób do zrozumienia, że dla jej kolegi ta sprawa wcale nie jest najważniejsza.

Kapłan zakończył wreszcie niezwykle długą litanię pochwał pod adresem zmarłego i nabożeństwo żałobne dobiegło kresu. Gdy wszyscy wstali, Steffi powiedziała:

- Czyż to nie słodkie?

Wśród ludzi cisnących się wokół Davee Pettijohn i pragnących złożyć jej kondolencje dostrzegła Hammonda. Wdowa uścisnęła go ciepło. On pocałował ją w policzek.

- Są dobrymi przyjaciółmi - wyjaśnił Smilow.

- Jak dobrymi?

- Dlaczego pytasz?

- Wydaje się, że niechętnie myśli o niej jako o podejrzanej.

Zobaczyli, że Preston Cross i jego żona również ściskają Davee. Steffi tylko raz spotkała tę parę. Działo się to podczas meczu golfa. Hammond przedstawił ją rodzicom nie jako swoją dziewczynę, ale koleżankę z pracy. Spodobał jej się Preston, dostrzegła jego silny, wywołujący onieśmienie charakter. Matka Hammonda, Amelia Cross, stanowiła całkowite przeciwieństwo męża - była drobniutką, łagodną damą z Południa. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie wyraziła własnej opinii. Możliwe, że po prostu jej nie miała.

- Widzisz? - zauważył Smilow. - Ponieważ Davee nie ma tu nikogo bliskiego, Crossowie zastępują jej rodzinę.

- Domyślam się.

Dopiero po kilku minutach udało im się przedrzeć przez tłum i wyjść na zewnątrz.

- Co masz przeciwko Davee? - spytał Smilow, gdy szli w kierunku samochodu. - Przecież już ją skreśliłaś ze swojej listy podejrzanych.

- Kto tak powiedział?

Steffi otworzyła drzwi po stronie pasażera i wsiadła. Smilow zajął miejsce za kierownicą.

- Myślałem, że twoją główną podejrzaną jest Alex Ladd.

- To fakt. Na razie nie wykluczam jednak wesołej wdówki. Możesz puścić klimatyzację? - spytała, wachlując twarz. - Powiedziałeś Davee, że jej gospodyni skłamała?

- Zrobił to jeden z moich ludzi. Wygląda na to, że Sarah Birch całkiem zapomniała o swojej wyprawie do supermarketu. - Och, nawet w to nie wątpię - powiedziała Steffi z przesadną szczerością.

Przejechali kilka przecznic, nim Smilow, zaskoczony jej milczeniem, wyznał:

- Znaleźliśmy ludzki włos ...

- W apartamencie?

- Na rękawie marynarki Pettijohna. - Zerknął na Steffi i roześmiał się, widząc wyraz jej twarzy. - Nie podniecaj się za bardzo. Lute mógł go zebrać z jakiegoś mebla. Włos może należeć do jednego z gości, którzy poprzednio zajmowali ten apartament, pokojówki albo kelnera roznoszącego posiłki. Do każdego.

- Ale jeśli to włos Alex Ladd ...
- Widzę, że jednak do niej wróciłaś.
- Jeśli to jej włos ...
- Jeszcze tego nie wiemy.
- Ale wiemy, że nas okłamała! - krzyknęła Steffi.
- Mogła to zrobić z wielu powodów.
- Mówisz jak Hammond.
- Detektyw amator.

Smilow opowiedział Steffi, jak to poprzedniego wieczoru zastał Hammonda w hotelowym apartamencie.

- Co on tam robił?
- Rozglądał się.
- Czego szukał?
- Podejrzewam, że wszystkiego. Kryła się za tym cicha insynuacja, że mogłem coś przeoczyć. - A co ty tam robiłaś?

Nieco zmieszany, odparł:

- Rzeczywiście mogłem coś przeoczyć.
- Testosteron! - zadrwiła. - Co ten hormon potrafi zrobić z całkiem rozsądnym w innych warunkach przedstawicielem gatunku homo sapiens. - Po chwili dodała: - Spójrz tylko, jak podbarwia twoją opinię na temat Alex Ladd.

- O czym ty mówisz?

- Gdyby Alex Ladd nie była znanym lekarzem i nie mogła się poszczycić długą listą osiągnięć, gdyby nie była taka wykształcona, atrakcyjna i elokwentna, tak cholernie pewna siebie, gdyby na jej miejscu znalazła się nieładna dziewczyna z rozczochranymi włosami i tatuażem na cymbałach, czy wówczas również obaj staralibyście się za bardzo jej nie przyciskać?

- To pytanie nie zasługuje nawet na odpowiedź.

- W takim razie czemu tak delikatnie się z nią obchodzisz? _ Ponieważ nie mogę jej aresztować tylko dlatego, że skłamała, opowiadając o swojej wyprawie na Hilton Head. Muszę mieć coś więcej, Steffi, i sama dobrze o tym wiesz. Mówiąc nieco konkretniej, muszę wykazać, że była w tym pokoju. Do tego potrzebny mi niepodważalny dowód.

- Na przykład broń.
- Pracujemy nad tym.

W dalszym ciągu bacznie przyglądając się jego profilowi, uśmiechnęła się.

- Daj spokój, Smilow, powiedz, co jest grane. Nie nabieraj wody w usta

- O wszystkim dowiesz się w tym samym czasie co reszta.

- Kiedy to będzie?

- Dziś po południu. Zaprosiłem doktor Ladd na następne przesłuchanie. Wbrew radzie swojego adwokata zgodziła się.

- I nawet nie zdaje sobie sprawy, że wchodzi w starannie zastawioną pułapkę. - Odzyskawszy energię, Steffi wybuchnęła śmiechem. - Jestem niezmiernie ciekawa, jaką zrobi minę, gdy jej to powiesz.

Twarz Alex wyrażała kompletne zaskoczenie. Twarz Hammonda również.

Doszło do tego spotkania zupełnie przypadkowo.

Hammond, Steffi, Smilow i Frank Perkins stali przed biurem Smilowa, czekając na przybycie Alex. Nagle Steffi przypomniała sobie, że wchodząc, zostawiła na biurku sierżanta teczkę. Ponieważ Hammond dusił się w atmosferze ciasnego korytarza, zaproponował, że zjedzie na dół i przyniesie dokumenty.

Opuścił mieszczący się na pierwszym piętrze wydział kryminalny i dotarł do windy. Drzwi się rozsunęły. Jediną osobą w środku była Alex. Wyraźnie zdążyła do biura Smilowa. Przez sekundę, zaskoczeni, patrzyli na siebie nawzajem, potem Hammond wszedł do windy i nacisnął guzik, by zjechać na dół.

Drzwi zasunęły się, zamykając ich w małej, ograniczonej przestrzeni. Hammond poczuł zapach Alex. Odnotowywał wszystko jednocześnie - włosy, twarz, sylwetkę. Jej rozwichrzoną fryzurę, subtelny makijaż i drobną kobiecą figurę, którą uwydatniał elegancki kostium. Żakiet miał krótkie rękawy. Skóra Alex wyglądała na gładką i delikatną. Była gładka i delikatna. Na ramionach. Piersiach. Pod kolanami. Wszędzie.

Alex robiła dokładnie to samo co on - bacznie przyglądała się jego twarzy. Identycznie postąpiła na stacji benzynowej, nim ją pocałował. Był to jeden z elementów jej niezwykłego uroku - potrafiła całkowicie skupić się na tym, na co skierowała wzrok. Wpatrywała się w Hammonda z takim natężeniem, jakby jego twarz była najbardziej urzekającym obliczem na świecie.

- W sobotę wieczorem - zaczął.

- Proszę, o nic nie pytaj.

- Czemu skłamałaś, mówiąc, gdzie byłaś?

- Wolałbyś, żebym powiedziała im prawdę?

- A jak wygląda prawda? Czy ten mężczyzna mógł cię widzieć przed drzwiami apartamentu Lute'a Pettijohna? - Nie mogę rozmawiać z tobą na ten temat.

- Pieprzysz!

Dojechali na parter. Nikt nie czekał na windę. Hammond wysiadł, ale trzymał rękę na drzwiach, by się nie zamknęły.

- Sierżancie, czy pani Mundell zostawiła u pana jakąś teczkę?

- Teczkę? Niczego takiego nie widziałem, panie Cross- odparł wartownik. - Jeśli ją znajdę, każę zanieść na górę. - Dzięki.

Wróciwszy do windy, Hammond nacisnął guzik. Drzwi się zamknęły.

- Pieprzysz - powtórzył ostrym szeptem.

- Mamy kilka cennych sekund. Na to właśnie chcesz je spożytkować?

- Nie, do diabła, nie. - Zbliżył się do niej o krok i cicho warknął. - Wolalbym być z tobą w łóżku.

Chwyciła się za szyję.

- Nie mogę oddychać.

- To samo powiedziałaś przy drugim orgazmie. A może przy trzecim?

- Przestań. Proszę, przestań.

- Tego nie mówiłaś. Przez całą cholerną noc. Dlaczego zatem rano uciekłaś?

- Z tego samego powodu, z jakiego nie mogę się przyznać, że byłam z tobą.

- A co z Pettijohnem? Wiem, że go nie zabiłaś. Czas się nie zgadza. Niemniej w jakiś sposób jesteś w to zamieszana.

- Tamtego ranka musiałam cię opuścić. A teraz nikt nie może nas przyłapać na prywatnej rozmowie.

- Gdybyś nie była w to w jakiś sposób zamieszana - ciągnął, znów zbliżając się do niej o krok - nie musiałabyś załatwiać sobie alibi, pieprząc się ze mną przez całą noc.

W jej oczach pojawiła się złość. Alex rozchyliła wargi, jakby miała zamiar zaprzeczyć. W tym momencie winda się zatrzymała. Drzwi się otworzyły. Stała przy nich Steffi Mundell.

- Och! - zawołała cicho, kiedy zobaczyła ich razem. Zmierzyła wzrokiem Alex, po czym odwróciła się do Hammonda.

- Hmm, właśnie po ciebie szłam. Znalazłam zgubę - powiedziała, niemal bezwiednie podnosząc rękę, by pokazać teczkę, po którą przez pomyłkę go posłała. - Wybacz.

- Nieważne.

- Przepraszam - mruknęła Alex, wchodząc między nich, żeby opuścić windę.

- Pan Perkins już tu jest, doktor Ladd - wyjaśniła Steffi, gdy podejrzana ją mijiała.

Alex skwitowała tę informację dystyngowanym "dziękuję", nie przerywając marszu w kierunku strzeżonych podwójnych drzwi.

- Gdzie ją spotkałeś?

Słyszac pytanie Steffi, Hammond miał ochotę zgrzytnąć zębami. Dołożył jednak wszelkich starań, by nie okazać złości.

- Doktor Ladd stała na parterze i czekała na windę - skłamał.

- Och, no cóż, sądzę, że jesteśmy już w komplecie. Możemy zaczynać.

- Zaczekajcie jeszcze kilka minut. Muszę skorzystać z toalety.

Hammond wszedł do łazienki. Ucieszył się, że nikogo w środku nie ma. Podeszedł do umywalki, pochylił się nad nią i spryskał twarz zimną wodą, potem zacisnął palce na chłodnej porcelanie i zwiesił głowę, pozwalając, by woda sama spłynęła z twarzy do umywalki. Wziął kilka głębokich wdechów, a wypuszczając powietrze z płuc, po cichutku wyrzucał z siebie całe serie przekleństw.

Prosił o kilka minut, wiedział jednak, że będzie potrzebował nieco więcej czasu, by się opanować. Prawdopodobnie nigdy nie uda mu się uwolnić od potwornego poczucia winy, które ścisnęło klatkę piersiową i utrudniało oddychanie.

Co ma teraz robić? Jeszcze tydzień temu w ogóle nie słyszał o tej kobiecie. Pojawienie się Alex Ladd przypominało nadejście potężnej fali, która mogła wciągnąć na dno i utopić.

Nie widział wyjścia. Nie chodziło już o to, że w którymś momencie popełnił jedno drobne wykroczenie przeciw etyce zawodowej. Na tym bowiem nie skończył, tylko brnął dalej. Gdyby zobaczywszy jej portret, odpowiednio się zachował, miałby jeszcze szansę na ratunek.

- Smilow, Steffi, chyba trudno będzie wam w to uwierzyć!

Spędziłem z tą kobietą sobotni wieczór. Uważacie, że zastrzeliła Lute 'a Pettijohna, a potem zwabiła mnie do łóżka?

Gdyby od razu przyznał się do winy, mógłby wyjść z opresji obronną ręką. W końcu kiedy zabierał ją do swojej chaty, nie wiedział, że jest zamieszana w jakieś przestępstwo. Padł ofiarą kobiety, która perfidnie postanowiła go uwieść.

Ludzie mogliby z niego kpić, że poszedł do łóżka z zupełnie obcą osobą. Być może potępiono by go za ten czyn. Ojciec stwierdziłby, że to czysta głupota. Czy nie powtarzał mu, że nie wolno uprawiać seksu z kobietami, których się nie zna? Czy nie mówił, jakie nieszczęścia potrafią ściągnąć na młodego mężczyznę niektóre bardziej przebiegłe panie?

Ta sprawa mogłaby przynieść wstyd jemu, rodzinie i biuru prokuratora. Hammond stałby się obiektem plotek i tysięcy sprośnych żartów, ale poradziłby sobie z tym.

Niestety, na tym nie koniec. Nie podał jej nazwiska i nie zarzucił kłamstwa, kiedy opowiadała o swojej rzekomej wyprawie na Hilton Head. Stał, nie mogąc wybrać między obowiązkiem a pożądaniem. Zwyciężyło pożądanie. Zupełnie świadomie zataił informację, która mogła się okazać elementem kluczowym w sprawie o morderstwo, tak samo jak nie powiedział Monroe Masonowi o swoim sobotnim spotkaniu z Pettijohnem. Biorąc pod uwagę zasady obowiązujące każdego szanującego się prokuratora, w ciągu kilku ostatnich dni popełnił mnóstwo niewybaczalnych błędów.

Co gorsza, nawet gdyby miał okazję ponownie przemyśleć te decyzje, prawdopodobnie postąpiłby tak samo.

Alex z nieufnością potraktowała uprzejmy gest Smilowa, który wysunął dla niej krzesło. Potem spytał, czy jest jej wygodnie i czy chciałaby się czegoś napić.

- Panie Smilow, proszę przestać traktować naszą rozmowę jak spotkanie towarzyskie. Jestem tu tylko dlatego, że pan o to prosił, a ja uznałam, że spełnienie pańskiej prośby jest moim obywatelskim obowiązkiem.

- Pani podejście jest godne pochwały.

- Darujmy sobie uprzejmości - zaproponował Frank Perkins - i przejdźmy do sedna, dobrze?

- Świetnie.

Tak samo jak poprzedniego dnia Smilow usiadł na rogu biurka. Dzięki temu miał wyraźną i starannie wypracowaną przewagę, ponieważ zmuszał Alex do patrzenia w górę.

Kiedy za jej plecami otworzyły się drzwi, wiedziała, że to Hammond. W jakiś dziwny sposób napełniał całe pomieszczenie energią. Alex nie zdołała jeszcze całkiem odzyskać panowania nad sobą po niespodziewanym spotkaniu. Krótkie chwile spędzone razem w windzie były dla niej ogromnym przeżyciem.

Zareagowała w sposób czysto fizyczny i najwyraźniej było to widać, bo gdy podeszła do Franka Perkinsa, dostrzegł na jej policzkach wypieki i spytał, czy dobrze się czuje. Zwaliła winę na panującego na zewnątrz upał. Niemniej to nie pogoda przyprawiła ją o rumieńce i nie skwar wywołał mrowienie w erogennych partiach ciała.

Seksualne i emocjonalne reakcje jedynie spotęgowały poczucie winy. Dręczyło ją, że to przez nią Hammond stoi przed ogromnym dylematem. W końcu celowo go skompromitowała.

Początkowo - uspokajała swoje sumienie. Tylko początkowo.

Potem górę wzięło pożądanie.

Alex poczuła je i teraz, kiedy pojawił się Hammond.

Udało jej się zapanować nad sobą, dzięki czemu nie odwróciła się, by na niego spojrzeć. Obawiała się, że Steffi Mundell może wyczuć, co się święci. Kiedy pani prokurator zobaczyła ich razem w windzie, sprawiała wrażenie aż nazbyt dociekliwej. Wysiadając, Alex próbowała udawać całkiem obojętną, jednak idąc korytarzem, czuła na plecach spojrzenie Steffi. Paliło jak żelazny pręt do znakowania zwierząt. Gdyby ktokolwiek miał wychwycić sygnały bezwiednie wysyłane przez Alex i Hammonda, z pewnością byłaby to Steffi Mundell. Nie tylko ze względu na swoją wyjątkową inteligencję. Jej dodatkowym atutem był fakt, że zasadniczo kobiety dużo szybciej niż mężczyźni wyczuwają emocje innych.

Potem Alex przestała o tym myśleć, ponieważ Smilow włączył magnetofon i wyrecytował dzień, godzinę oraz nazwiska obecnych. Gdy to zrobił, wręczył jej wycinek z gazety.

- Chciałbym, żeby pani to przeczytała, doktor Ladd. Zaciekawiona, zerknęła na nagłówek. Nie musiała patrzeć dalej, by zdać sobie sprawę, że popełniła fatalny błąd, który będzie ją drogo kosztować.

- Może zechciałaby pani przeczytać ten tekst na głos?? - zasugerował Smilow. - Zależy mi na tym, żeby usłyszał go pan Perkins.

Świadoma, że inspektor próbuje ją upokorzyć, dołożyła wszelkich starań, by jej głos brzmiał spokojnie i obojętnie, kiedy czytała o tym, że Harbour Town na Hilton Head ewakuowano i zamknięto dokładnie w tym samym czasie, kiedy - jak zeznała - korzystała z tamtejszych atrakcji. Gdy skończyła, zapadło długie niemiłe milczenie.

W końcu Perkins bardzo cicho poprosił o pokazanie wycinka.

Podawała mu go, nie odrywając wzroku od Smilowa, ponieważ nie chciała ulec jego oskarżycielskiemu spojrzeniu.

- No więc?

- O co panu chodzi, panie inspektorze?

- Okłamała nas pani, doktor Ladd?

- Nie musisz odpowiadać - przypomniał jej Frank Perkins.

- Gdzie pani spędziła sobotnie popołudnie i wieczór?

- Nie odpowiadaj, Alex - ponownie poinstruował ją adwokat.

- Chciałabym, Frank.

- Uważam, że powinnaś zachować milczenie.

- Nic się nie stanie, jeśli odpowiem. - Nie zważając na jego radę, oświadczyła: - Rzeczywiście miałam zamiar pojechać na Hilton Head, jednak w ostatniej chwili zmieniłam zdanie.

- Dlaczego?

- Kaprys. Zatrzymałam się przy wesołym miasteczku nieopodal Beaufort.

- Wesołym miasteczku?

- Tak, wesołym miasteczku, co łatwo sprawdzić, panie Smilow. Na pewno zamieszczali jakieś ogłoszenia. Zjechały się tłumy ludzi. To właśnie tam pojechałam, kiedy opuściłam Charleston.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Wątpię. Kręciły się tam setki ludzi. Mało prawdopodobne, by ktoś mnie zapamiętał.

- Tak samo jak sprzedawczyni lodów na Hilton Head? Wyglądało na to, że uwaga Steffi Mundel zirytowała Smilowa nie mniej niż Alex. Oboje rzucili pani prokurator pełne złości spojrzenie, po czym inspektor ciągnął:

- Jeśli widziała pani w prasie reklamy wesołego miasteczka, może pani to teraz zmyślać, prawda?

- Pewnie mogę, ale naprawdę tam byłam.

- Dlaczego mamy w to wierzyć, skoro już raz przyłapaliśmy panią na kłamstwie?

- Przecież to nie ma znaczenia, gdzie byłam. Powiedziałam wam, że nawet nie znałam Lute'a Pettijohna. A już z pewnością nic nie wiem na temat jego morderstwa.

- Nawet nie wiedziała, w jaki sposób zginął - wtrącił Frank Perkins.

- Owszem. Wszyscy pamiętamy zdumienie twojej klientki, gdy usłyszała, że Pettijohn został zastrzelony.

Widząc sardoniczne spojrzenie Smilowa, Alex oblała się pąsem, zachowała jednak spokój.

- Opuściłam Charleston z myślą o przejażdżce na Hilton Head. Kiedy zobaczyłam przy drodze wesołe miasteczko, pod wpływem impulsu postanowiłam je odwiedzić.

- Jeśli sprawa jest aż tak prosta, czemu poprzednio pani kłamała?

Po pierwsze, ze względu na własne bezpieczeństwo. Po drugie, by chronić Hammonda Crossa.

Tak brzmiałaby prawda, gdyby rzeczywiście chcieli ją usłyszeć. Ale bardziej prawdopodobny od niej powinien być Hammond Cross. Prokurator wręcz miał obowiązek się odezwać, tymczasem uparcie milczał. Poprzedniego dnia, zaniepokojona wieczornym spotkaniem z Bobbym, leżała w łóżku i zastanawiała się nad kłopotliwą sytuacją, w jakiej się znalazła.

Po długich i niemiłych rozważaniach doszła do wniosku, że jeśli uda jej się utrzymać Bobby'ego z dala od siebie, nic jej nie grozi. Nikt nie zdoła udowodnić, że coś ją łączyło z Pettijohnem. Dopóki Hammond wierzy w jej niewinność, nie jest istotne, gdzie spędziła sobotni wieczór, i sprawa ta może zostać ich tajemnicą.

Jeśli jednak w którymkolwiek momencie Hammond uzna ją za winną, jego obowiązkiem jako prokuratora będzie ...

Nawet nie chciała o tym myśleć. Na razie postanowiła współpracować ze Smilowem, póki - jak miała nadzieję - inspektor nie uwolni jej od zarzutów i nie skieruje podejrzeń na kogoś innego.

- Głupio postąpiłam, kłamiąc, panie Smilow - przyznała. - Przypuszczalnie doszłam do wniosku, że wyprawa na Hilton Head będzie bardziej przekonująca niż pobyt w wesołym miasteczku. - Dlaczego chciała nas pani przekonać?

Frank Perkins wyciągnął rękę, Alex jednak wyjaśniła:

- Ponieważ nie jestem przyzwyczajona do policyjnych przesłuchań. Byłam zdenerwowana.

- Proszę wybaczyć, doktor Ladd - zadrwił Smilow - ale jeszcze nie zdarzyło mi się przesłuchiwać osoby, która denerwowałaby się mniej niż pani. Co do tego wszyscy jesteśmy zgodni. Pani Mundell, pan Cross i ja uznaliśmy, że jest pani wręcz wyjątkowo opanowana, zwłaszcza jak na osobę podejrzaną o morderstwo.

Niezbyt pewna, czy to miała być obelga, czy komplement, Alex w ogóle nie zareagowała na jego słowa. Zaniepokoiła ją świadomość, że rozmawiali na jej temat. Zastanawiała się, jak brzmiał "komentarz" Hammonda. Z pewnością dostarczyła mu paru powodów do gadania, prawda?

- Jesteś oszustką, wiesz?

- Słucham?

Udając urażoną, chwyciła go za włosy i próbowała unieść jego głowę. Nie ustąpił.

- Sprawiasz wrażenie kobiety bardzo spokojnej, chłodnej i opanowanej. - Drapał ją po brzuchu delikatnym zarostem. Tak przynajmniej myślałem, ratując cię przed marines. Wspaniała laska.

Roześmiała się.

- Najpierw oszustka, a potem laska. Nie jestem pewna, które określenie jest dla mnie bardziej obraźliwe.

- Ale w łóżku - ciągnął, nie zmieniając ani tonu wypowiedzi, ani intencji - wcale nie jesteś taka opanowana.

- Trudno...

To prawda - jęknął. - Ale ta sprawa może poczekać.

- ... panować nad sobą, gdy ...

- Gdy?

- Gdy ...

Potem poczuła jego język i rzeczywiście przestała nad sobą panować.

- Czy do wesołego miasteczka pojechała pani sama?

- Słucham?

Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę Alex bała się, że głośno sapnęła na wspomnienie orgazmu. Co gorsza, w tym momencie bezwiednie się odwróciła i spojrzała na Hammonda. Jego oczy płonęły, jakby czytał w jej myślach. Nabrzmiała żyła na skroni wyraźnie mu pulsowała.

Alex ponownie popatrzyła na Smilowa, który powtórzył swoje pytanie:

- Czy do wesołego miasteczka pojechała pani sama?

- Tak. Tak, sama.

- I przez cały wieczór nikt nie dotrzymywał pani towarzystwa?

Patrząc w bezlitosne oczy Rory'ego Smilowa, trudno było kłamać.

- Nikt.

- Nie spotkała tam pani żadnego z przyjaciół? Nikogo znajomego?

- Jak już powiedziałam, panie Smilow, byłam sama. Na chwilę przerwał.

- O której pani stamtąd wyjechała? Oczywiście sama.

- Gdy powoli zaczęto wszystko zamykać. Nie pamiętam dokładnie, która to była godzina.

- Dokąd pani się stamtąd udała?

- To nie ma żadnego znaczenia - wtrącił Frank Perkins. - Całe przesłuchanie jest pozbawione sensu. Nie macie do niego żadnych podstaw, dlatego nieistotne jest, gdzie Alex była i czy spędziła ten czas sama, czy z kimś. Tak jak każde z was, wcale nie musi zdradzać, co robiła w sobotni wieczór, ponieważ wciąż nie potraficie jej udowodnić, że była w apartamencie Pettijohna. Przecież powiedziała wam już, że nawet go nie знаła. To niebываłe, by ktoś o tak nienagannej reputacji i wysokiej pozycji społecznej był poddawany przesłuchaniu. Jakiś facet z Macon twierdzi, że ją widział, chociaż w tym czasie był w stanie myśleć tylko o wypróżnieniu jelit. Czy naprawdę uważasz go za wiarogodnego świadka, Smilow? Jeśli tak, to znaczy, że jako oficer dochodzeniowy znacznie obniżyłeś loty. Jedynie niepotrzebnie zwracasz mojej klientce głowę. - Adwokat kiwnął na Alex, by wstała.

- To piękna perora, Frank, ale jeszcze nie skończyłem przesłuchania. Moi detektywi przyłapali doktor Ladd także na innym kłamstwie. Tym razem chodzi o broń, za pomocą której dokonano morderstwa.

Zdenerwowany, ale niezbyt ufny, Frank Perkins usiadł z powrotem.

- Lepiej by było, żeby tego argumentu nie dało się podważyć.

- Nie da się. - Smilow odwrócił się do Alex. - Doktor Ladd, wczoraj powiedziała nam pani, że nie ma broni.

- Bo nie mam.

Smilow wyjął z teczki formularz, który Alex natychmiast rozpoznała. Zerknęła na niego, potem podała go Frankowi do przejrzenia.

- Kupiłam ten rewolwer dla własnego bezpieczeństwa. Jeśli zauważył pan datę, zaopatrzyłam się w niego wiele lat temu. Już go nie mam.

- Co się z nim stało?

- Alex? - Frank Perkins wychylił się do przodu z pytaniem w oczach.

- W porządku - zapewniła go. - Jeśli nie liczyć kilku podstawowych lekcji, ani razu go nie użyłam. Trzymałam go w kaburze pod siedzeniem kierowcy w samochodzie i rzadko o nim myślałam. Do tego stopnia, że w ogóle nie pamiętałam o rewolwerze, gdy wymieniałam auto na nowy model. Dopiero kilka tygodni po tej transakcji przypomniałam sobie o schowanej pod siedzeniem broni. Zadzwoiłam do dilerów i wyjaśniłam, co się stało. Obiecał, że popyta. Niczego nie udało mu się dowiedzieć. Doszłam do wniosku, że ktoś, kto mył auto, może nawet człowiek, który później je kupił, znalazł rewolwer i nie zwrócił go, uważając, że jako znalazca ma prawo broń zatrzymać.

- Z rewolweru tego samego kalibru został zastrzelony Lute Pettijohn.

- Ma pan na myśli trzydziestkęósemkę? Ale tego typu rewolwery rzadko trafiają w ręce kolekcjonerów, panie Snilow.

Na jego twarzy pojawił się chłodny uśmiech, który zaczynała już kojarzyć z inspektorem.

- Przyznaję. - Potarł czoło, jakby coś go martwiło. - Mamy jednak dowód, że kupiła pani broń. Na dodatek uraczyła nas pani trudną do potwierdzenia historyjką o tym, w jaki sposób ją pani straciła. Widziano panią na miejscu zbrodni mniej więcej w tym czasie, kiedy zmarł pan Pettijohn. Okłamała nas pani, mówiąc, gdzie spędziła sobotni wieczór. Na domiar złego nie ma pani alibi. - Wzruszył ramionami. - Proszę spojrzeć na to z mojej strony. Wszystkie poszlaki zaczynają układać się w jedną całość i wskazywać na jedno.

- Na co?

- Że to pani jest morderczynią.

Alex otworzyła usta, by zaprotestować, z przerażeniem stwierdziła jednak, że nie może wydobyć głosu.

W jej imieniu przemówił Frank Perkins.

- Jesteś gotów postawić ją w stan oskarżenia, Smilow? Przyglądał się Alex Ladd przez dłuższą chwilę.

- Jeszcze nie.

- Wobec tego wychodzimy.

Tym razem adwokat nawet nie dopuścił do protestu, lecz Alex i tak nie miała zamiaru się sprzeciwić. Była zszokowana, jakkolwiek robiła wszystko, by nie dać tego po sobie poznać.

Niezwykle istotna część jej pracy polegała na rozszyfrowywaniu wyrazu twarzy pacjenta i interpretowaniu mowy jego ciała. Dzięki temu było wiadomo, o czym on myśli, zwłaszcza że często mówił coś zupełnie innego. Sposób, w jaki stał, siedział lub się poruszał, często wyraźnie przeczył wygłaszanym twierdzeniom. Co więcej, ton i modulacja głosu czasami potrafiły przekazać więcej niż same słowa.

Teraz Alex zastosowała posiadaną wiedzę, starając się rozszyfrować Smilowa. Jego twarz wyglądała, jakby została wyrzeźbiona z marmuru. Patrząc jej prosto w oczy i nie starając się zdobyć nawet na odrobinę dyplomacji, oskarżył ją o morderstwo. Tylko ktoś absolutnie pewny swego mógł to zrobić z taką stanowczością i opanowaniem.

Z kolei Steffi Mundell wyglądała tak, jakby miała ochotę podskoczyć z radości i zaklaskać w dłonie. Opierając się na swoim doświadczeniu, Alex doskonale wiedziała, że policja nie ma wątpliwości. Ważniejsza jednak była reakcja Hammonda Crossa. Pełna oczekiwania i przerażenia, Alex odwróciła się w stronę drzwi i bacznie mu się przyjrzała.

Jednym ramieniem opierał się o ścianę. Nogi skrzyżował w kostkach, a ręce złożył na brzuchu. Mocno ściągnął proste brwi, robiąc ponurą minę. Ktoś nie mający wyćwiczonego oka mógłby uznać, że jest spokojny, wręcz obojętny.

Alex wiedziała jednak, że tuż pod powierzchnią kotłują się szalone emocje. Nie był wcale tak spokojny, jak udawał. Zdradzały go półprzymknięte powieki i zaciśnięta mocno szczeka. Złożone ręce i skrzyżowane kostki sugerowały leniwą pozę. W rzeczywistości umożliwiały mu panowanie nad sobą.

Rozdział dwudziesty

O takim człowieku z pewnością marzył każdy szef castingu z wytwórni filmowej, szukający kogoś do roli "kompletnego idioty". Przede wszystkim z powodu nazwiska - Harvey Piąstka. To była wyraźna zachęta do drwin. Piąstka-chrząstka. Co jesz, Piąsteczko? Pyszne ciasteczko? Piąściunie-ptysiunie? Przybij Piąstkę! Koledzy z klasy i późniejsi współpracownicy wymyślali mnóstwo takich powiedzonek i byli pod tym względem bezlitośni.

Oprócz odpowiedniego nazwiska Harvey Piąstka miał do tej roli również idealny wygląd. Pasował do stereotypu. Potwornie chudy, blady, nosił grube soczewki i wiecznie kapało mu z nosa. Codziennie wiązał muszkę. Kiedy w Charlestonie robiło się chłodno, pod tweedową marynarkę wkładał wełniany sweter w kolorowe romby, z wycięciem w kształcie litery "V". W lecie zastępował ten strój koszulą z krótkimi rękawami i garniturem z krepy.

Jedynym plusem Harveya, co, o ironio, również pasowało do stereotypu, była genialna znajomość komputerów. Pracownicy urzędu miasta, na co dzień robiący sobie z niego pośmiewisko, byli całkowicie zdani na jego łaskę, gdy psuły im się komputery. Powtarzał się wówczas znany refren: "Zadzwoń po Piąstkę. Ściągnij go tu".

We wtorkowy wieczór Harvey wszedł do Shady Rest. Potrząsnął mokrym parasolem i niespokojnie zmrużył oczy w oparach tytoniowego dymu.

Obserwująca go Loretta Boothe serdecznie mu współczuła.

Harvey był niemiłym małym przygłupem, a w Shady Rest czuł się zupełnie nieswojo. Rozluźnił się dopiero wtedy, gdy zobaczył idącą ku niemu znajomą postać.

- Myślałem, że zanotowałem zły adres. Co za okropny lokal, Shady Rest. Cieniste miejsce spoczynku. Nawet jego nazwa kojarzy się z cmentarzem.

- Dzięki, że przyszedłeś, Harveju. Miło cię widzieć. - Ponieważ wyraźnie zamierzał rzucić się do ucieczki, Loretta chwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę boksu. - Witaj w moim biurze.

Wciąż roztrzęsiony, wetknął mokry parasol pod stolik, poprawił połę marynarki i popchnął palcem okulary, które zjechały mu na koniec długiego, wąskiego nosa. Ponieważ jego oczy przystosowały się już do mroku, baczniej przyjrzał się bywalcom baru. Zadrzał.

- Nie boisz się przychodzić tu sama? Klienci tego lokalu wyglądają na męty społeczne.

- Harveju, ja należę do tych klientów. Speszony, wydukał jakieś przeprosiny. Loretta roześmiała się.

- Wcale nie poczułam się urażona. Rozluźnij się. Postawię ci drinka. - Machnęła na barmana.

Harvey złożył delikatne ręce na stole.

- To byłoby bardzo miłe z twojej strony, dziękuję. Ale małego. Nie mogę zbyt długo przebywać w tym pomieszczeniu. Mam alergię na dym papierosowy.

Zamówiła mu whisky, a sobie wzięła wodę sodową. Widząc, że jest tym zaskoczony, wyjaśniła:

- Jestem w pracy.

- Naprawdę? Słyszałem, że ... Słyszałem coś zupełnie Innego.

- Ostatnio przestałam pić.

- No cóż, to dobrze.

- Nie tak dobrze, Harveyu. Ciągnie mnie. Nienawidzę tego. Rozbawiła go jej szczerość.

- Zawsze nazywałaś rzeczy po imieniu, Loretto. Widzę, że pod tym względem się nie zmieniłaś. Brakowało mi ciebie. Tęsknisz za komendą?

- Czasami. Ale nie za ludźmi. Za pracą. Brak mi jej.

- Wciąż jesteś prywatnym detektywem?

- Tak. Pracuję jako wolny strzelec. - Zawahała się. - Dlatego właśnie do ciebie zadzwoniłam i prosiłam, żebyś się ze mną spotkał.

Jęknął.

- Wiedziałem. Mówiłem sobie: "Harveyu, jeszcze będziesz żałował, że przyjąłeś to zaproszenie".

- Ale górę wzięła ciekawość, prawda? - drażniła się. - Ciekawość i pamięć o moim sprycie.

- Loretto, błagam, tylko nie proś mnie o przysługę.

- Harveyu, proszę, nie bądź takim cholernym hipokrytą.

Harvey Piąstka oficjalnie pracował na etacie urzędnika okręgowego, ale dzięki wspaniałym umiejętnościom komputerowym miał dostęp do akt miejskich i stanowych. Potrafił zdobyć informacje na każdy temat, dlatego często zwracali się do niego ludzie gotowi sporo zapłacić, by na przykład poznać wysokość zarobków kolegów lub po prostu zaspokoić własną ciekawość. Niemniej Harvey nigdy nie zgadzał się na robienie czegoś, co byłoby nieetyczne lub sprzeczne z prawem. Każdego, kto próbował go skłonić do wyświadczenia takiej przysługi, zdecydowanie odsyłał z kwitkiem.

To dlatego tak bardzo zaszokowało go bezceremonialne stwierdzenie Loretty. Zamrugał gwałtownie za grubymi soczewkami.

- Wcale nie jesteś takim grzecznym chłopczykiem, jakiego udajesz.

- Jak możesz wypominać mi moje jedyne drobne wykroczenie w tym względzie?

- Jedyne, o jakim wiem - dopowiedziała, zdając się na intuicję. - Wciąż podejrzewam, że to właśnie ty, jak to się mówi, podłożyłeś świnię temu dupkowi, który dokuczał ci na bożonarodzeniowym przyjęciu. Daj spokój, Harveyu, przestań się zgrywać. Nie zemściłeś się na nim, kasując wszystkie jego programy?

Wydał wargi.

- Nieważne. - Zachichotała. - Nie mam do ciebie pretensji o to, że się do tego nie przyznajesz, ale z pewnością nikomu nie wyjawię twojej tajemnicy. Prawdę mówiąc, bardziej cię lubię za to, że masz jakieś słabostki. Rozumiem ludzkie przywary. - Wskazała na niego palcem. - Łamiąc od czasu do czasu zasady, odczuwasz dreszczyk emocji. Dzięki temu wiesz, że masz jaja.

- Co za okropne określenie! Poza tym to nieprawda. Chociaż zawsze powtarzał, że jest abstynentem, jednym haustem opróżnił kieliszek i nie protestował, gdy Loretta zamówiła następną kolejkę.

Pewnego razu, pracując po godzinach, Loretta trafiła nocą do archiwum okręgowego. Przyłapała Harveya Piąstkę w biurze jego zwierzchnika. Geniusz komputerowy przeglądał informacje na temat prywatnych finansów

szeffa, pociągając z ukrytej wśród akt butelki brandy.

Mały człowieczek był śmiertelnie przerażony, iż został przyłapany na gorącym uczynku, chociaż zawsze się zarzekał, że nigdy dla nikogo tego nie robi. Z trudem powstrzymując śmiech, Loretta zapewniła go, że nie ma zamiaru nań donosić, i życzyła mu szczęścia w dalszych poszukiwaniach.

Gdy następnym razem poprosiła Harveya o przysługę, bez wahania spełnił jej życzenie. Od tego czasu, ilekroć potrzebowała informacji, zwracała się do niego. Nigdy jej nie zawiódł. Często korzystała z tego znakomitego źródła.

- Wiem, że mogę na ciebie liczyć, Harveyu.

- Niczego nie obiecuję - odparł nienaturalnym tonem. - Już nie pracujesz na policji. To całkiem zmienia sytuację.

- To bardzo ważna sprawa. - Pochyliła się nad stołem i szeppnęła konfidencko: - Zajmuję się morderstwem Pettijohna.

Wpatrywał się w nią zaszokowany. Machinalnie podziękował barmanowi za następnego drinka, po czym szybko opróżnił szklaneczkę.

- Nie bujasz?

- Wszystko jest ściśle poufne. Nikomu ani słówka.

- Możesz mi zaufać - odparł szeptem. - Dla kogo pracujesz?

- Nie wolno mi tego wyjawiać.

- Jeszcze nikogo nie aresztowali, prawda? Czy są bliscy celu?

- Przykro mi, Harveyu. Nie mogę na ten temat rozmawiać.

Gdybym to zrobiła, zdradziłabym zaufanie swojego klienta.

- Rozumiem, że to sprawa poufna. Naprawdę to rozumiem.

Nawet nie był tak bardzo zawiedziony. Intrygi podsycaly jego niezaspokojoną żądzę przygód. Dzięki temu, że choć tylko częściowo został dopuszczony do sekretu, odnosił wrażenie, iż znalazł się w wąskim kręgu, do którego nie mają wstępu zwykli śmiertelnicy. Lorette trochę dręczyło sumienie, że manipuluje Harveyem w taki sposób, ale po prostu chciała zrobić coś, co ucieszyłoby Hammonda i naprawiło poprzedni bład.

- Potrzebne mi są wszelkie możliwe informacje na temat doktor Alex Ladd. Alex E. Ladd. Zdobyłam numer jej polisy, prawa jazdy i tak dalej. Jest psychologiem, prowadzi tu w Charlestonie prywatną praktykę.

- Leczy stukniętych? Czy właśnie to łączyło ją z Pettijohnem?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Loretto ...

- Sama nie wiem. Słowo daję. Na razie udało mi się zdobyć tylko ogólnie dostępne informacje. Zwrot podatku dochodowego, konto bankowe, karty kredytowe. Pod tym względem jest w porządku. Kupiła dom, nie ma większych długów. Nikt się na nią nie skarży. Nawet nie dostała mandatu. Była wspaniałą studentką i proponowano jej pracę w kilku renomowanych klinikach. Ona jednak wolała otworzyć prywatny gabinet.

- Zaczynała od zera? A może wywodzi się z bogatej rodziny?

- Po przybranych rodzicach odziedziczyła trochę gotówki.

Doktor Marion Ladd był lekarzem ogólnym w Nashville. Jego żona, Cynthia, początkowo uczyła, a potem została gospodynią domową. Nie mieli innych dzieci. Kilka lat temu zginęli w katastrofie lotniczej, gdy lecieli na narty do Utah.

- Była podejrzana o jakieś przestępstwo?

Loretta pociągnęła łyk wody sodowej, starając się ukryć uśmiech. Harvey coraz bardziej rwał się do tej sprawy.

- Nie.

- Hmm. Wygląda na to, że już sporo o niej wiesz.

Potrząsnęła głową.

- Niczego nie udało mi się dowiedzieć na temat najwcześniejszych lat jej życia. Adoptowano ją, gdy miała piętnaście lat. - Tak późno?

- Co dziwne, można odnieść wrażenie, że dopiero od tego momentu zaczęło się jej życie. Okoliczności adopcji i dzieciństwo stanowią czarną dziurę. Nie ma żadnych informacji i niczego nie udało mi się dowiedzieć.

- Hmm - mruknął Harvey, szybko opróżniając szklaneczkę.

- Chodziła do prywatnej szkoły średniej. Ludzie, z którymi tam rozmawiałam - a przepytalam osoby zajmujące w hierarchii bardzo różne pozycje - byli mili i uprzejmi, ale uparcie milczeli. Nawet nie obiecali mi spisu uczniów z jej ostatniego roku. Chronili prywatność Laddów i nie chcieli o niczym mówić. O jej rodzicach zdołałam się dowiedzieć jedynie tyle, że byli bardzo szanowanymi i uczciwymi ludźmi. Nim Cynthia Ladd zrezygnowała z pracy w swoim zawodzie, otrzymała tytuł Nauczyciela Roku. Pacjenci doktora Ladda serdecznie go opłakiwali. Był diakonem. Ona ... zresztą nieważne, wiesz mniej więcej, o co chodzi. Nawet cienia skandalu. - Co w takim razie mam zrobić?

- Dotrzeć do dokumentów z jej dzieciństwa.

Ponownie jęknął.

- Obawiałem się, że to właśnie powiesz.

- Prawdopodobnie niczego w nich nie znajdziesz. Ale chciałabym je przejrzeć.

- Mogę to przyplącić utratą pracy. Wiesz, jak to jest z tymi archiwami - burknął. - Pilnują danych jak najświętszych relikwii. Nikt nie ma do nich dostępu.

- Oprócz geniusza, który nie da się złapać. Potrzebne mi również dokumenty z Tennessee.

- Zapomnij o tym!

- Wiem, że sobie z tym poradzisz - powiedziała, wyciągając rękę przez stoik i klepiąc go po dłoni.

- Gdyby obrońcy praw dziecka dowiedzieli się, co zrobiłem, mógłbym mieć mnóstwo kłopotów.

- Wierz w siebie, Harveyu.

Uparcie przeżuwał dolną wargę, wiedziała jednak, że lubi wszelkie wyzwania.

- Dobrze, spróbuję, ale to wszystko. Tylko spróbuję. I jeszcze jedno: w tak delikatnej sprawie nie może być mowy o żadnym pośpiechu.

- Rozumiem. Nie spiesz się. Ale też się nie ociągaj. - Wypiła wodę sodową i cicho beknęła. - Posłuchaj, Harveyu, skoro już o tym mowa ...

Skrzywił się.

- Uhm.

- Chciałabym, żebyś sprawdził dla mnie jeszcze jedno.

- Tu Smilow.

- Mów wyraźnie - poprosiła Steffi. - Rozmawiam z komórki.

- Ja też. Właśnie dzwonił do mnie facet z WPPKP.

- Dobre wiadomości?

- Dobre dla wszystkich oprócz doktor Ladd.

- Co takiego? Co to jest? Powiedz mi.

- Pamiętasz niezidentyfikowaną cząsteczkę, którą Mason znalazł na garniturze Pettijohna? - Mówiłeś mi o tym.

- Goździk.

- Przyprawa?

- Kiedy po raz ostatni widziałaś goździki?

- W święta wielkanocne. Na szynce mojej matki.

- A ja widziałem je wczoraj rano, gdy byłem w domu Alex Ladd. W przedpokoju stała kryształowa miska ze świeżymi pomarańczami. Były naszpikowane goździkami.

- Mamy ją!

- Jeszcze nie, ale jesteśmy coraz bliżej.

- Co z włosem?

- Ludzki. Nie Pettijohna. Ale nie mamy z czym porównać.

- Jeszcze nie.

Zachichotał.

- Śpij dobrze, Steffi.

- Zaczekaj. Masz zamiar dzwonić do Hammonda z tą wiadomością? - A ty?

Po chwili milczenia powiedziała:

- Do zobaczenia jutro.

Hammond wcale nie chciał odbierać telefonu. Zmienił zdanie w chwili, kiedy miała się włączyć automatyczna sekretarka. Natychmiast pożałował tej decyzji.

- Już myślałem, że nie odbierzesz. - Ojciec powiedział to takim tonem, że zwyczajne zdanie zmieniło się w reprimendę. - Byłem pod prysznicem - skłamał Hammond. - O co chodzi?

- Jestem w samochodzie, w drodze powrotnej do domu. Właśnie podrzuciłem matkę na brydża. Nie chciałem, żeby jechała w taki deszcz.

Jego rodzice stanowili bardzo staroświecką parę. W ich małżeństwie obowiązywał tradycyjny podział ról, a wyraźnie określone granice nigdy się nie zatarły. Ojciec samodzielnie podejmował wszystkie ważniejsze decyzje, a Amelii Cross nawet nie przyszło do głowy, by zakwestionować taki stan rzeczy. Hammond nie mógł zrozumieć jej ślepego przywiązania do archaicznego systemu, który całkowicie pozbawiał ją indywidualności, ona jednak nie miała nic przeciw temu. Nigdy nie próbował denerwować ojca ani ranić matki, zwracając uwagę na brak równouprawnienia w ich związku. Poza tym jego opinia na ten temat nie miała żadnego znaczenia. W ich przypadku taki układ zdawał egzamin od ponad czterdziestu lat.

- Jak wygląda sprawa morderstwa Pettijohna?

- Dobrze - odparł Hammond.

Preston zachichotał.

- Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej?

- Po co?

- Jestem ciekaw. Dziś po południu, nim zaczęło padać, grałem z twoim szefem w golfa. Powiedział mi, że Smilow już dwukrotnie przesłuchiwał podejrzaną i że byłeś przy obu rozmowach.

Ojcem powodowała nie tylko ciekawość. Chciał wiedzieć, czy syn dobrze się spisuje.

- Wolałbym nie rozmawiać na ten temat przez telefon komórkowy.

- Nie bądź głupi. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Starając się, by jego słowa nie brzmiały zbyt defensywnie,

Hammond zrelacjonował w skrócie przebieg przesłuchania Alex.

- Jej obrońca ...

- Frank Perkins. Dobry człowiek.

A zatem Preston znał już szczegóły. Hammond wiedział, że nie zdradza żadnej tajemnicy, ponieważ wcześniej zrobił to ktoś inny. Przyjaźń Prestona z Monroe Masonem zaczęła się jeszcze w szkole podstawowej. Skoro obaj panowie grali w golfa, prokurator wyjawiał pewnie wszystkie detale, w związku z czym Hammond nie miał już zbyt wiele do dodania.

- Perkins uważa, że niczego na nią nie mamy.

- Co przez to rozumiesz?

Hammond starannie dobierał słowa, nie chcąc, by coś, co powie, zwróciło się przeciwko niemu, prześladowało go lub wpakowało w pułapkę. W przeciwieństwie do Alex nie był dobrym kłamcą. Nie lubił łąć i

gardził nawet najłżejszą bujdą. Mimo to już dwukrotnie wprowadził innych w błąd, zatajając prawdę. Przekonał się jednak, że wcale nie tak trudno jest okłamać ojca.

- Przyłapano ją na kilku nieścistościach, ale Frank jako adwokat prawdopodobnie by sobie z tym poradził.

- Dlaczego?

- Ponieważ z kolei my nie potrafimy dostarczyć dowodów, które świadczyłyby o tym, że doktor Ladd ma coś wspólnego z tym przestępstwem.

- Mason powiedział mi, że podejrzana kłamała, mówiąc, gdzie spędziła sobotni wieczór.

- Mason niczego nie pominął, prawda? - spytał Hammond cicho.

- O co ci chodzi?

- O nic.

- Po co by kłamała, gdyby nie miała czegoś do ukrycia?

Hammond nonszalancko obstawał przy swoim:

- Może tego wieczoru potajemnie spotkała się z jakimś mężczyzną i teraz buja, żeby nie wyjawić, że z nim była?

- Może. To nie zmienia faktu, iż podejrzana nie mówi prawdy, i co do tego Smilow ma rację. Wiem, że go nie lubisz, musisz jednak przyznać, że jest doskonałym gliniarzem.

- Nie mogę zaprzeczyć.

- Wiesz, że skończył prawo.

Hammond uznał, że jest to jedno z tych stwierdzeń, które ojciec rzucał mu w twarz, markując atak. Był to manewr mający odwrócić uwagę przeciwnika przed właściwym ciosem.

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie zdecyduje się na porzucenie komendy policji i przejście do biura prokuratora. Mógłbyś znaleźć się na bruku, synu.

Hammond zgrzytnął zębami, by nie powiedzieć dwóch słów, które przyszły mu na myśl.

- Mówiłem twojej matce ...

- Rozmawiałeś z mamą o tej sprawie?

- Czemu miałbym tego nie robić?

- Ponieważ ... ponieważ to nie w porządku.

- W stosunku do kogo?

- W stosunku do wszystkich zainteresowanych. Policji, mojego biura, podejrzanej. A jeśli się okaże, że ta kobieta jest niewinna? W ten sposób można zszargać jej reputację.

- Czemu tak się wściekasz, Hammondzie?

- Mam nadzieję, że mama nie przekaże całemu kółku brydżowemu smakowitych szczegółów tej sprawy. - Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz.

Może to prawda, ale im dłużej trwała ta rozmowa, tym bardziej działała Hammondowi na nerwy. Przede wszystkim nie chciał, by ojciec kontrolował każde jego posunięcie. Normalnie rozprawa sądowa dotycząca

morderstwa tej wagi całkowicie pochłania czas prawnika. Godziny rozciągają się w dni, dni w tygodnie, czasami nawet miesiące. Hammond doskonale sobie z tym radził. Był szczęśliwy, że tak właśnie jest. Nie chciał jednak, by pod koniec każdego dnia poddawano go krytyce. To działało nań demoralizująco i mogło doprowadzić w końcu do nieustannych zmian strategii.

- Tato, wiem, co robię.

- Nikt nie kwestionuje ...

- Pieprzenie. Ilekroć konsultujesz się z Masonem i prosisz go o sprawozdanie, stawiasz pod znakiem zapytania moje umiejętności. Gdyby mój szef nie był zadowolony z tego, co robię, nie przydzieliliby mi tej sprawy. A już na pewno nie widziałby we mnie swojego potencjalnego następcy.

- Wszystko, co powiedziałaś, to prawda - potwierdził Preston z wkurzającym opanowaniem. - To właśnie dlatego się martwię, żebyś czegoś nie zepsuła.

- Dlaczego miałbym coś zepsuć?

- Jak mi wiadomo, podejrzana jest piękna kobieta.

Hammond nie zorientował się, że nadchodzi właściwy cios.

Gdyby ich pojedynek odbywał się na ringu, ogłoszono by nokaut i Hammond leżałby na deskach. A tak zatoczył się jak pijany. Wyglądało na to, że ojciec zawsze doskonale wie, gdzie uderzyć, by spowodować największy ból.

- To najgorsza obelga, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem.

- Posłuchaj, Hammondzie, jestem ...

- Nie, to ty posłuchaj! Zrobię, co do mnie należy. Jeśli będę miał podstawy do tego, by domagać się kary śmierci, zażadam jej.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Tak samo jak ciebie postawię w przed sądem, jeśli taki będzie wynik mojego dochodzenia.

Po chwili ciszy Preston powiedział spokojnie:

- Nie blefuj, Hammondzie.

- Zapamiętaj moje słowa, ojciec. Jeszcze się przekonasz, czy to blef.

- W takim razie zrób to. Tylko wcześniej dobrze rozważ, co tobą powoduje.

- To znaczy?

- Po prostu sprawdź, czy rzeczywiście masz przeciw mnie naprawdę niezbite dowody, czy jedynie żywisz jakąś głupią urazę. Nie zabieraj nam obu mnóstwa czasu, nie narażaj na ogromny wysiłek i wstyd tylko dlatego, że jesteś wściekły, ponieważ stawiam ci wysokie wymagania. Żaden sąd mnie nie skąże. Próbując zrobić mi na złość, jedynie zaszkodzisz samemu sobie.

Palce Hammonda zbiegły na słuchawce.

- W twoim telefonie wyczerpuje się bateria. Do zobaczenia.

Nie zważając na deszcz, Alex postanowiła się przebiec. Mimo ulewy jej nogi poruszały się w miarowym tempie. Przywiązywała wielką wagę do regularnych ćwiczeń, zwłaszcza teraz, kiedy w jej życiu zapanował całkowity chaos. Poza tym przełożone na popołudnie spotkania z pacjentami ciągnęły się aż do późnego wieczoru. Jogging umożliwił jej rozładowanie ogromnego napięcia psychicznego. Pozwolił nieco się otrząsnąć i pozbierać myśli.

Martwiła się o swoich podopiecznych. Co się z nimi stanie, gdy wszyscy się dowiedzą, że jest podejrzana o popełnienie zbrodni? Co o niej pomyślą? Czy zmienią zdanie na jej temat? To chyba oczywiste. Nie miała prawa liczyć na to, że nie zwrócą uwagi na jej udział w dochodzeniu w sprawie o morderstwo.

Może od jutra powinna zacząć ich kierować do jakiegoś tymczasowego terapeuty, żeby nie mieli przerwy w leczeniu, gdyby została uwięziona.

Z drugiej strony może wcale nie będzie musiała szukać dla nich innego lekarza. Gdy się dowiedzą, że ich pani psycholog oskarżona jest o morderstwo, prawdopodobnie sami zrezygnują z jej usług.

Przebiegając obok samochodu zaparkowanego przy krawężniku kilkanaście metrów od jej domu, zauważyła, że szyba pokryta jest delikatną mgiełką. To oznaczało, że w środku ktoś siedzi. Silnik cicho warczał, chociaż przednie światła i wycieraczki były wyłączone.

Po przebiegnięciu następnych dwudziestu metrów obejrzała się. Tym razem przednie światła były włączone, a samochód wjeżdżał w boczną uliczkę.

Może to nie ma żadnego znaczenia - powiedziała sobie. Po prostu zachowuję się jak paranoiczka. Ale obawy nie ustały. Czyżby ktoś ją obserwował?

Na przykład policja. Smilow mógł zarządzić inwigilację. Czy jest to standardowa procedura? A może Bobby ją obserwuje, pragnąc się upewnić, czy nie ucieknie z "jego pieniędzmi". Co prawda samochód, który właśnie widziała, wcale nie był jego kabrioletem, ale Bobby to pomysłowy człowiek.

Istniała jeszcze inna możliwość. Znacznie groźniejsza. Taka, której Alex nawet nie chciała brać pod uwagę. Zdawała sobie sprawę, że może się nią interesować morderca Pettijohna. Jeśli wyjdzie na jaw, że widziano ją na miejscu zbrodni, zabójca będzie się obawiać, iż była świadkiem morderstwa.

Zadrżała na tę myśl, chociaż wcale nie dlatego, że bała się mordercy. W obecnej chwili życie wymknęło się jej spod kontroli. Tego właśnie obawiała się najbardziej - utraty kontroli. W jakiś sposób było to gorsze niż prawdziwa śmierć. Jeśli człowiek nie może samodzielnie podejmować żadnych decyzji i nie ma swobody działania, to po co jeszcze chodzi po tym świecie?

Dwadzieścia lat temu postanowiła, że już nigdy nie pozwoli, by o jej życiu decydował ktoś inny. Niemal cały ten czas poświęciła na przekonanie samej siebie, że w końcu jest wolna od więzów, które ją wcześniej krępowały, i że teraz sama może kształtować swoją przyszłość.

Potem znów pojawił się Bobby i sytuacja uległa całkowitej zmianie. Obecnie wyglądało na to, iż Alex jest zupełnie bezradna, a wpływ na jej życie mają wszyscy oprócz niej.

Po półgodzinnym biegu wróciła do domu. Weszła przez drzwi od strony werandy. W pralni zrzuciła z siebie przemoczony strój do joggingu, a potem, owinięta w ręcznik, zaczęła chodzić po domu.

Od ukończenia osiemnastego roku życia zawsze mieszkała sama, dlatego nigdy się nie bała, przebywając w pustym domu. Groźniejsza od ewentualnego intruza była potworna samotność. Alex nie odczuwała potrzeby zabezpieczania się przed włamywaczami, raczej próbowała się uzbroić przeciwko pustce świątecznych dni, kiedy nawet towarzystwo serdecznych przyjaciół nie było w stanie zrekompenzować braku rodziny. Nie uważała samotności za sposób na wygodne życie, nawet gdy w chłodny wieczór mogła spokojnie usiąść przed swoim kominkiem. Jeśli niespodziewanie budziła się w środku nocy, ze snu nie wyrwały jej wydumane hałasy, ale aż nazbyt rzeczywista cisza. Alex bała się tylko jednego: iż do końca życia pozostanie sama.

Tego wieczoru była jednak trochę niespokojna. Zgasiła światła na parterze i ruszyła schodami w górę. Stopnie skrzypiały pod jej ciężarem. Była przyzwyczajona do protestu starego drewna, jednak dziś ów zazwyczaj przyjacielski dźwięk wydawał się wyjątkowo złowieszczy. Gdy dotarła na piętro, zatrzymała się na podeście i spojrzała w dół na spowite mrokiem schody. Korytarz i pokoje były puste i ciche, dokładnie tak samo jak wówczas, kiedy wychodziła pobiegać.

Idąc do sypialni, uznała, że to deszcz spowodował jej dziwne zdenerwowanie. Po kilku dniach potwornego upału opady stanowiły prawdziwą ulgę, ale lało zbyt mocno, by się z tego cieszyć. Z nieba waliły istne potoki, które spływały po okiennych szybach i dudniły na dachu. Przelewały się z rynien i tryskały z rur spustowych.

Otworzywszy drzwi na werandę na pierwszym piętrze, Alex wyszła na zewnątrz, by wciągnąć pod dach doniczkę z gardenią. Poniżej, w środku otoczonego murem ogrodu, z betonowej fontanny wyciekała woda. Deszcz postrzącał płatki kwiatów, nadając roślinom nagi i żaloszny wygląd. Wróciła do środka, zabezpieczyła drzwi, a potem przeszła od okna do okna, by pozamykać okiennice.

Taka ulewa u każdego może wywołać niepokój. Tego wieczoru na Battery było pusto. Nie widząc biegaczy, rowerzystów ani spacerowiczów z psami, Alex czuła się nieswojo. Wysokie drzewa w ogrodzie White Point sprawiały wrażenie ogromnych i groźnych, chociaż zazwyczaj ich dolne grube konary kojarzyły się jej z opiekuńczymi ramionami.

W łazience zarzuciła ręcznik na wieszak i pochyliła się nad wanną, by odkręcić kurki. Dopiero po dłuższej chwili z rur zaczęła płynąć gorąca woda. W tym czasie Alex umyła zęby. Kiedy wyprostowała się nad umywalką, w lustrze na szafce dostrzegła jakieś dziwne odbicie. Szybko się obróciła.

To był jej szlafrok wiszący na haku po wewnętrznej stronie drzwi.

Ponieważ czuła, iż uginają się pod nią kolana, oparła się o umywalkę i zaczęła sobie powtarzać, że pora skończyć z tymi idiotyzmami. Nigdy w życiu nie podskakiwała na widok cieni. Co się z nią dzieje?

Wszystko przez Bobby'ego. Niech go diabli! Niech go wszyscy diabli!

Jakkolwiek głupie mogłoby się to wydawać, właśnie ulegała słabości, z jaką miała do czynienia u swoich pacjentów. Kiedy starannie stworzony świat zaczyna się walić, każdy ma prawo do kilku całkiem naturalnych reakcji, ze złością, a nawet wściekłością i swego rodzaju dziecięcym strachem włącznie.

Alex przypomniała sobie, jak bardzo się bała, będąc jeszcze dzieckiem. Wszelkie zmary i duchy były niczym w porównaniu z Bobbym Trimble'em. Z niezwykłą łatwością potrafił niszczyć ludziom życie. Niegdyś niewiele brakowało, a podzieliłaby los jego ofiar. Teraz ponownie jej groził. To dlatego się go bała - dziś bardziej niż poprzednio.

Dlatego podskakiwała na widok szlafroka, kłamała i robiła niestosowne rzeczy, między innymi skompromitowała przyzwoitego człowieka.

Ale tylko na początku, Hammondzie. Tylko przez chwilę. Weszła do wanny i zaciągnęła zasłonę. Długo stała pod prysznicem, z pochyloną głową, rozkoszując się strumieniem gorącej wody i unoszącą się wokół parą. Wydawało jej się, że sobotni wieczór w Harbour Town to całkiem bezpieczne kłamstwo. Dzięki temu mogła twierdzić, że znajdowała się w odpowiedniej odległości od Charlestonu, w zatłoczonym miejscu, gdzie właściwie nie było szansy, by ktoś ją zapamiętał. Cholerny pech!

O rewolwerze Alex powiedziała prawdę, ale nie bardzo mogła liczyć na to, by policja uwierzyła w tę historię. Ponieważ złapano ją na kłamstwie, teraz wszystkie jej słowa będą podawane w wątpliwość.

Steffi Mundell nienawidzi innych kobiet. Chce, by ona okazała się winna. Można to było wyczuć od razu, gdy tylko się spotkały. Alex podczas studiów uczyła się o takich ludziach. Pani prokurator była ambitna, sprytna i nieustannie ze wszystkimi rywalizowała. Osoby w rodzaju Steffi rzadko zaznają prawdziwego szczęścia, ponieważ nigdy nie są zadowolone, i to nie tylko z innych, ale przede wszystkim z siebie. Nigdy nie spełniają się ich oczekiwania, gdyż poprzeczka nieustannie wędruje w górę. Satysfakcja to dla nich coś nieosiągalnego. Steffi Mundell zbyt wiele wymagała od życia, czym zresztą sama sobie szkodziła.

Za trudniejszego do rozszyfrowania należało uznać Rory' ego Smilowa. Był zimny i Alex nie wątpiła, że stać go na okrucieństwo. Wyczuła również, że inspektor wciąż toczy walkę z jakimś dręczącym go demonem. Smilow nie wie, co to wewnętrzny spokój. Swoją złość wyładowuje na innych, ponieważ chce, by byli tak samo nieszczęśliwi jak on. Permanentne niezadowolenie sprawia, że jest bardzo podatny na zranienia, jednak broni się przed tym z zaciekłością, która czyni go niebezpiecznym dla wrogów - takich jak na przykład osoba podejrzana o morderstwo.

Trudno powiedzieć, kogo z tej dwójki Alex bała się bardziej. Nie należało też zapominać o Hammondzie. Tamtych dwoje widziało w Alex morderczynię. On musi mieć o niej jeszcze gorsze zdanie. Wolą jednak wyrzucić go z myśli, ponieważ nie chciała, by ogarnęło ją przygnębienie i zaczęły dręczyć wyrzuty sumienia. Nie miała dość czasu i energii, by oddawać się rozważaniom, co by było, gdyby spotkali się kiedy indziej i w jakimś innym miejscu.

Jeśli istniał na świecie mężczyzna, który miał szansę do niej dotrzeć - poruszyć jej umysł i serce, odkryć głęboko ukryte miejsce, gdzie chowała się prawdziwa Alex Ladd - to z pewnością był to Hammond. On jeden mógł ją wyrwać z samotności, na którą świadomie się skazała, wypełnić pustkę, przerwać ciszę i dzielić z nią życie.

Niestety, nie mogła sobie pozwolić na luksus tych romantycznych marzeń. Teraz musiała się skupić na

jednym: wyrwać się z trudnej sytuacji oraz zachować dobrą reputację, prywatną praktykę i stworzone z takim trudem warunki, w których żyła.

Wycisnęła na szorstką gąbkę perfumowany żel i zrobiła obfitą pianę. Ogoliła nogi. Umyła włosy. Bardzo długo spłukiwała żel i szampon, czekając, aż gorąca woda przynajmniej rozluźni napięte mięśnie, bo zmniejszyć obaw z pewnością nie mogła.

W końcu Alex zakręciła kurki i dłońmi strzepnęła z siebie nadmiar wody. Potem odsunęła zasłonę.

Pierwszy raz w życiu nie była w stanie powstrzymać krzyku.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Bobby znów płynął na fali.

Fakt, że nie dostał jeszcze pieniędzy od Alex, uważał jedynie za chwilową komplikację. Przyniesie je. Ma zbyt dużo do stracenia, by tego nie zrobić.

Tymczasem jednak był goły jak święty turecki. Na szczęście dzięki dwóm studentkom, z którymi spędził ostatnią noc, wzbogacił się o kilkaset dolarów. Kiedy chrapały w jego łóżku, spakował rzeczy i ukradkiem wyslizgnął się z pokoju. Z tej przygody smarkule powinny wyciągnąć całkiem niezłą nauczkę. Bobby czuł się niemal jak altruista.

Musiał wprawdzie znaleźć sobie nowe lokum, ale była to tylko drobna niedogodność w porównaniu z wyczekiwaną nagrodą. Gdy tylko rozgościł się w innym z charlestońskich hoteli, w pokoju z widokiem na rzekę, kazał sobie przynieść solidne śniadanie, złożone z jajek, szynki, kaszy z sosem i dodatkowej porcji zapiekanki, na którą nie miał szczególnej ochoty, ale zamówił ją, ponieważ czuł się bogaty.

Potem wybrał się na zakupy. Nowy garnitur nie był ekstrawagancją. Można go uznać za strój służbowy. Gdyby Bobby płacił podatki, mógłby odliczać sobie koszty poniesione na zakup odzieży. W jego zawodzie człowiek musi porządnie wyglądać.

Resztę popołudnia spędził na hotelowym basenie, próbując się trochę opalić.

Wieczorem, ubrany w nowy garnitur z kremowego płótna i jedwabną błękitną koszulę, wszedł do baru, który gorąco polecił mu taksówkarz.

- Gdzie można tu znaleźć jakieś atrakcje?

- Atrakcje? - Oceniwszy Bobby'ego w lusterku wstecznym, kierowca odparł z południowym akcentem: - Obsługujesz damy, prawda, lekkoduchu?

Słyszając pochlebstwo, Bobby odpowiedział uśmiechem.

- Znam takie miejsce.

Gdy Bobby wszedł do baru, stwierdził, że taksówkarz rzeczywiście znał się na rzeczy. W tym lokalu był najlepszy wybór. Muzyka huczała, błyskały światła. Na parkiecie pocili się tancerze. Kelnerki uwijały się, nie mogąc nadążyć z realizacją zamówień składanych przez ludzi rozpaczliwie szukających przygód. Mnóstwo samotnych kobiet. Uczciwa gra.

Zdażył wypić dwa rozcieńczone wodą drinki, nim namierzył cel.

Siedziała przy stoliku sama. Nikt nie poprosił jej do tańca. Często się uśmiechała do przechodzących obok osób. Świadczyło to o tym, że czuje się skrepowana, usiłuje zwrócić na siebie uwagę i szuka kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Co najlepsze, kilkakrotnie zerknęła w jego stronę, chociaż udawał, że tego nie dostrzega.

Potem uszczęśliwił ją, z wyrachowaniem odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech.

Zdenerwowana, odwróciła wzrok. Ręką dotknęła szyi i zaczęła się bawić srebrnymi koralikami zdobiącymi kołnierzyk bluzki.

Bingo - pomyślał Bobby, składając zamówienie u barmana. Podeszedł do niej od tyłu, dlatego zobaczyła go dopiero, gdy się odezwał.

- Przepraszam. Czy ktoś tu siedzi?

Gwałtownie odwróciła głowę. Rozszerzone źrenice zdradzały radość, którą próbowała zamaskować kokietliwym:

- Teraz już tak.

Uśmiechnął się. Siadając przy jej maleńkim stoliku, celowo trącił ją kolanami, a potem szybko przeprosił. Spytał, czy może postawić jej drinka, a ona odparła, że to byłoby strasznie miło z jego strony.

Nazywała się Ellen Rogers. Pochodziła ze stolicy Indiany i po raz pierwszy zapuściła się tak daleko na Południe. Podobało

Jej się tu wszystko oprócz upału, ale nawet on miał pewien urok. Jedzenie było boskie. Poskarżyła się nawet, że od przyjazdu do Charlestonu przytyła prawie dwa kilogramy.

Chociaż w gruncie rzeczy powinna stracić przynajmniej sześć, Bobby powiedział szarmancko:

- Na pewno nie musi pani zbyt przejmować się swoją wagą. Moim zdaniem ma pani fantastyczną figurę. Klasnęła w dłonie.

- W pracy bardzo dużo ćwiczę.

- Jest pani instruktorką aerobiku? Osobistą trenerką?

- Ja? Boże broń, nie. Uczę w szkole średniej. Gramatyka angielska i zajęcia korekcyjne z czytania. Przypuszczalnie każdego dnia robię piętnaście kilometrów, chodząc tam i z powrotem po szkolnych korytarzach.

Zauważyła, że Bobby jest z Południa. Poznała to po jego delikatnym akcencie i melodyce wypowiedzi. Ludzie z Południa są tacy przyjacielscy!

Z uśmiechem na ustach wychylił się do przodu.

- Staramy się, proszę pani.

Dowiódł tego, zapraszając ją do tańca. Przetanńczyli osobno kilka melodii, potem puszczone jakiś wolny kawałek. Bobby przyciągnął ją do siebie i przeprosił, że jest taki spocony. Odparła, że w ogóle jej to nie przeszkadza. Pot to męska rzecz. Gdy taniec dobiegł końca, Bobby trzymał rękę na jej pupie, a panna Rogers nie mogła mieć ani cienia wątpliwości, że partner jest podniecony.

Gdy ją puścił, miała rumieńce na policzkach.

- Przepraszam za ... - wydukał. - To jest... o Boże, jestem taki zażenowany. Nie trzymałem w ramionach kobiety ... Jeśli chce pani, żebyśmy sobie poszedł...

- Nie musi pan przepraszać - zapewniła go łagodnie. - To całkiem naturalny odruch. Nie da się nad nim zapanować.

- Tak, to prawda. Zwłaszcza że trzymałem panią tak blisko. Wzięła go za rękę i poprowadziła z powrotem do stolika.

Potem postawiła następną kolejkę. Gdzieś w połowie drinka Bobby opowiedział jej o swojej żonie.

- Zmarła na raka. Dwa lata temu, w październiku.

Oczy Ellen zasnuły się delikatną mgiełką.

- Och, to musiało być dla pana straszne przeżycie.

Dopiero niedawno zdołał się z tego otrząsnąć i zaczął ponownie cieszyć się życiem - ciągnął.

- Początkowo byłem zadowolony, że nie mieliśmy dzieci. Teraz trochę żałuję. Rozumie pani, samotność i świadomość, że nie ma się nikogo na świecie. Ludzie nie są stworzeni do samotności. To sprzeczne z naturą.

Wsunęła dłoń pod stół i ze współczuciem poklepała go po udzie. Nie cofnęła już ręki.

Jezu, ale jestem dobry! - pomyślał Bobby.

Po drugiej stronie zasłony stał Hammond.

- Śmiertelnie mnie przestraszyłeś! - sapnęła Alex. - Co ty tu robisz? W jaki sposób dostałeś się do środka?

Od jak dawna tu jesteś?

- Ty też mnie przestraszyłaś.

- Ja? Jakim cudem?

- Zrozumiałem, czemu kłamiesz. Boisz się zabójcy Pettijohna.

- Owszem, nie wykluczam, że może grozić mi jakieś niebezpieczeństwo.

- Chciałem cię uprzedzić, żebyś uważała na telefon. Zerknęła w stronę sypialni.

- Podśłuch?

- To bardzo podobne do Smilowa. Zrobiliby to, nawet nie mając zgody sądu.

- Myślę, że mnie inwigiluje.

- Jeśli tak, nic mi o tym nie wiadomo. W każdym razie przeszedłem przez mur od tyłu. Żle by było, gdyby ktoś mnie zobaczył w twoim domu, prawda? Przez pięć minut pukałem do kuchennych drzwi. Widziałem, że na piętrze palą się światła, ale kiedy nie otwierałaś, wyobraźnia zaczęła mi podsuwać szalone obrazy. Myślałem, że może się spóźniłem, że stało się coś strasznego ... - Przerwał. - Drżysz.

- Jest mi zimno.

Sięgnął po ręcznik i owinął ją, robiąc z przodu zakładkę, ale nie puszczając końców.

- Dlaczego myślisz, że jesteś inwigilowana?

- Gdy biegłam, widziałam podejrzenie wyglądający samochód. Silnik pracował, ale światła były wyłączone.

- Biegałaś dziś wieczorem? Przy takiej pogodzie? Sama?

- Zazwyczaj biegam sama. Ale zawsze jestem ostrożna.

Uśmiechnął się blade.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem.

- Już wcześniej byłam niespokojna.

- Nie mogłem tak po prostu podejść od frontu i zadzwonić do drzwi, prawda? - Sądzę, że nie.

- Wpuściłabyś mnie?

- Nie wiem. - Potem ciszej dodała: - Tak.

Patrzył na niewielkie zagłębienie poniżej szyi Alex, gdzie lśniły kropelki wody. Puścił ręcznik i odsunął się od niej. Ten ruch wymagał od Hammonda ogromnego męstwa.

- Musimy porozmawiać - powiedział ponuro.

- Zaraz przyjdę.

Z kamienną twarzą wyszedł do sypialni. Prawdę mówiąc, nie widział niczego, chociaż na wszystkim dostrzegał piętno Alex. Każdy przedmiot w pokoju był w jakiś sposób z nią związany. Kiedy wróciła, miała na sobie szlafrok - staromodny, zwyczajny, przewiązany w talii paskiem. Równie nieprzezroczysty jak gruby fartuch, mimo to diabelnie seksowny, bo pod spodem była ona, naga i mokra.

- Masz krew na ręce.

Hammond spojrzał na niewielkie rozcięcie na kciuku. Wcześniej go nie zauważył.

- Musiałem się skaleczyć, gdy wywazałem twój zamek.

- Potrzebny ci opatrunek?

- Nic mi nie będzie.

Na wszystko miał ochotę, tylko nie na rozmowę. Pragnął ją pieścić. Chciał rozsunąć szlafrok i wcisnąć twarz w delikatne zagłębienie, poczuć pod palcami jej skórę, wdychać zapach. Odczuwał niewiarygodne pożądanie, ale mu nie uległ. Nie odpowiadał za sobotni wieczór. Za to z pewnością będzie musiał rozliczyć się ze wszystkiego, co nastąpiło później.

- Przez cały czas wiedziałaś, jak się nazywam, prawda? Wiedziałaś, kim jestem.

- Tak.

Powoli kiwnął głową. Przyjął do wiadomości to, z czego już wcześniej zdawał sobie sprawę, nie mogąc jedynie pogodzić się z faktami.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Bo ... ?

- Bo wiem, że mnie okłamiesz. A wcale nie chcę być na ciebie zły.

- Ja też nie chcę, żebyś się złościł. Może zatem w ogóle nie powinniśmy rozmawiać?

- Jest jednak coś, co chciałbym od ciebie usłyszeć. Nawet jeśli to będzie kłamstwo.

- Co takiego?

- Chciałbym, żebyś powiedziała, że sobotni wieczór. .. że nigdy wcześniej nie było ci tak dobrze.

Lekko przekrzywiła głowę.

- Nie chodzi mi tylko o namiętność - dodał. - Mam na myśli ... całą resztę.

Przełknęła ślinę. W tym momencie po jej skórze spłynęła kropla, którą wcześniej zauważył. Zniknęła pod kołnierzem szlafroka. Głosem zachrypniętym od nadmiaru emocji Alex powiedziała:

- Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze.

To właśnie chciał usłyszeć, mimo to jego mina stała się jeszcze bardziej ponura.

- Niezależnie od tego, czy mamy na to ochotę, czy nie, musimy porozmawiać.

- Wcale nie musimy.

- Owszem, musimy. Oboje niemal w tym samym czasie pojawiliśmy się w pawilonie. To nie był przypadek, prawda?

Przez kilka sekund się wahała, potem potrząsnęła głową.

- Skąd, na Boga, wiedziałaś, że tam będę, skoro ja sam nie miałem o tym pojęcia?

- Proszę, nie zadawaj mi więcej pytań.

- Czy tego popołudnia byłaś z Lute'em Pettijohnem?

- Nie mogę rozmawiać z tobą na ten temat.

- Odpowiedz mi, do jasnej cholery!

- Nie mogę.

- To proste pytanie.

Potrząsnęła głową i roześmiała się ponuro.

- Wcale nie.

- W takim razie odpowiedz i wyjaśnij.

- Jeśli to zrobię, ujawnię moje słabe punkty.

- "Ujawnię moje słabe punkty". Te słowa dość dziwnie brzmią w twoich ustach, skoro w końcu to ja znalazłem się w bardzo niepewnej sytuacji.

- Ale nie jesteś podejrzany o morderstwo.

- Owszem, ale chyba się ze mną zgodzisz, że nikt by mi nie pozazdrościł położenia. Mam być oskarżycielem w sprawie o morderstwo najbardziej znanego obywatela naszego miasta, który przypadkowo był mężem mojej najlepszej przyjaciółki.

- Twojej najlepszej przyjaciółki?

- Davee Burton, obecnie wdowy po Lucie Pettijohnie. Przyjaźnimy się od dziecka. Davee dołożyła wszelkich starań, żebym to ja dostał tę sprawę. Wielu ludzi na mnie polega. Wolałbym ich nie zawieść. Jesteś w stanie sobie wyobrazić, co by się stało z moją reputacją, karierą i przyszłością, gdyby ktoś się dowiedział, że przyszedłem tu dziś wieczorem?

- To właśnie dlatego opuściłam cię w niedzielny poranek. - Niespokojnie zaczęła krążyć po pokoju. - Zależało mi na tym, by pozostać nieznaną. Nie chciałam, żebyś czuł się rozdarty tak jak teraz.

- W niedzielę rano było już trochę za późno na troskę i ostrożność. Jeśli tak bardzo martwiłaś się o moją reputację, przede wszystkim nie powinnaś mnie podrywać.

Spojrzała na niego z wyraźnym niedowierzaniem.

- Przepraszam, ale chyba pamięć płata ci figle. To ty mnie poderwałeś. .

- Tak, to prawda - prychnął.

- Kto próbował wyjść? Nawet dwukrotnie. Dwa razy chciałam cię zostawić, ale za każdym razem szedłeś za mną i błagałeś, żebym jeszcze trochę z tobą została. Kto za kim pojechał po zamknięciu wesołego miasteczka? Kto się zatrzymał i ...

- W porządku - powiedział, machając rękami. - Ale od początku świata kobiety mają świadomość, że nieprzystępność jest dla mężczyzn najsilniejszym magnesem. Doskonale wiedziałaś, co robisz.

- Tak, to prawda! - zawołała, podnosząc głos. Potem klasnęła w dłonie, ujęła się pod boki i z oczami pełnymi łez bacznie mu się przyjrzała. - Tak, wiedziałam, co robię. Masz całkowitą słusność. Początkowo rzeczywiście chciałam jedynie ... nawiązać z tobą kontakt.

- Dlaczego?

- Dla własnego bezpieczeństwa.

- Innymi słowy, by zapewnić sobie alibi.

Opuściła wzrok.

- Nie wiedziałam, że cię polubię - szepnęła. - Nie przypuszczałam, że będzie nam ze sobą tak dobrze. Potem zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, że cię wykorzystuję. Dlatego próbowałam odejść. Nie chciałam, żebyś się skompromitował, przez chwilę dotrzymując mi towarzystwa. Potem jednak pojechałeś za mną. Pocałowałeś mnie. A wtedy ... - ponownie podniosła wzrok... po tym pocałunku wszystkie wcześniejsze motywy przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Od tej chwili po prostu chciałam z tobą zostać. - Starła płynące po policzkach łzy. - Tak wygląda prawda. Niezależnie od tego, czy w to uwierzysz, czy nie.

- Dlaczego potrzebne ci było alibi?

- Przecież wiesz, że nie zabiłam Pettijohna. Powiedziałam ci to w windzie.

- Owszem. Dlatego powtarzam: dlaczego potrzebne ci było alibi?

- Proszę, nie pytaj.

- Powiedz.

- Nie mogę.

- Czemu?

- Ponieważ nie chcę, żebyś myślał ... - Przerwała, by zaczerpnąć powietrza. - Po prostu nie mogę, to wszystko.

- Czy to ma coś wspólnego z tym mężczyzną? Kompletnie ją zaskoczył. Zamrugowała gwałtownie.

- Z jakim mężczyzną?

- Znalazłem cię w niedzielny wieczór. Mniej więcej dwanaście godzin po tym, jak opuściłaś moje łóżko, widziałem Cię z jakimś mężczyzną w mercedesie kabriolecie.

- W niedzielny wieczór? To był... stary przyjaciel. Ze studiów. Przyjechał do Charlestonu w sprawach zawodowych. Wpadł i zaprosił mnie na drinka.

- Kłamiesz.

- Czemu mi nie wierzysz?

- Ponieważ moja praca w pewnym stopniu polega na demaskowaniu kłamstw i kłamców, a ty, do jasnej cholery, łżesz jak z nut!

Wyprostowała się i skrzyżowała ręce w pasie.

- W takim razie lepiej będzie, jeśli zakończymy naszą znajomość. Od razu. Jeszcze tego wieczoru. Ponieważ ta sytuacja staje się nie do zniesienia. W grę wchodzi twoja kariera. Nie mam zamiaru ponosić za nią odpowiedzialności. A już z całą pewnością nie chcę mieć nic wspólnego z kimś, kto uważa mnie za kłamczuchę.

- Kim ... on ... był?

- Czy to ważne, kim są moi przyjaciele, skoro twój, Steffi i Smilow, koniecznie chcą oskarżyć mnie o morderstwo?

- Jak mam ci wierzyć, jeśli nie chcesz odpowiedzieć nawet na najprostsze pytania!

- To wcale nie są proste pytania! - krzyknęła. - Nie masz pojęcia, jakie są dla mnie trudne. Musiałabym odgrzebać sprawy, o których wolałabym zapomnieć, o których próbowałam zapomnieć, które mnie prześladowały ... - Urwała, zdając sobie sprawę, że niewiele brakowało, a ujawniłaby za dużo. - Nie możesz mi ufać. Dlatego lepiej by było, gdybyś wyszedł i już nie wracał. Nigdy.

- Świetnie.

- W łóżku ...

- Było nam cholernie dobrze.

- Ale skoro mi nie ufasz ...

- Ufam.

- W takim razie ...

- Pieprzyłaś się z Pettijohnem?

Jej twarz skamieniała.

- Co takiego?

- Byliście kochankami?

Hammond zbliżył się do niej i przyparł ją do ściany. W gruncie rzeczy to właśnie najbardziej go wkurzało. Z tego powodu zachowywał się, jakby kompletnie postradał zmysły - wygłaszał tyrady, wrzeszczał, nie zważał na swoją karierę ani na nic, co dotychczas uważał za ważne. Zazwyczaj ostrożny i opanowany Hammond Cross tak bardzo chciał poznać odpowiedź na to pytanie, że rzucał się jak jakiś szaleniec.

- Czy kiedykolwiek byłaś kochanką Lute'a Pettijohna?

- Nie! - krzyknęła, potem obniżyła głos do zachrypniętego szeptu. - Słowo daję.

- Zabiłaś go? - Ścisnął jej ramiona i pochylił się nad nią. Powiedz mi prawdę, a wtedy wybaczę ci wszystkie inne kłamstwa. Czy zabiłaś Lute'a Pettijohna?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie zrobiłam tego.

Uderzył pięściami w ścianę tuż przy głowie Alex. Nie opuścił rąk. Wychylił się do przodu i przytulił twarz do jej policzka. Z trudem łapał oddech. Słysząc to było mimo bębnienia deszczu o szyby.

- Chcę ci wierzyć.

- W tym względzie całkowicie możesz mi zaufać. - Odwróciła głowę i przemówiła do jego profilu: - Natomiast nie zadawaj mi żadnych innych pytań, ponieważ niczego więcej nie mogę ci powiedzieć.

- Dlaczego? Wytłumacz mi dlaczego.

- Ponieważ są to dla mnie zbyt bolesne sprawy.

- Bolesne? Czemu?

- Proszę, nie każ mi przez to przechodzić. Jeśli to zrobisz, złamiesz mi serce.

- To ty łamiesz mi serce, bez przerwy kłamiąc.

- Błagam, nie zmuszaj mnie, żebym cię rozczarowała. Wolałabym nigdy więcej cię nie zobaczyć niż dopuścić do tego, żebyś się dowiedział...

- O czym? Powiedz mi.

Zdecydowanie potrząsnęła głową. Hammond zdał sobie sprawę, że dalszy nacisk będzie bezskuteczny. Dopóki osobiste męczarnie Alex nie mają nic wspólnego ze sprawą Pettijohna, dopóty musi uszanować jej prawo do posiadania własnych tajemnic.

- Na tym nie koniec - ciągnęła. - Wkrótce znajdziemy się w przeciwnych obozach.

- A zatem to wszystko ma jednak jakiś związek ze sprawą Pettijohna - mruknął przygnębiony.

- Wiedziałam, że nasze spotkanie wywoła nieopisany chaos, mimo to dopuściłam do niego. Chciałam, żebyśmy się spotkali. Na stacji benzynowej nie potrafiłam ci odmówić. I nie odmówiłam.

Unióś głowę i odchylił ją nieco do tyłu, by lepiej widzieć twarz Alex.

- Gdybyś wiedziała to, co wiesz teraz, a wszystko miało się zdarzyć jeszcze raz ...

- To nie fair.

- Zrobiłabyś to samo?

Przez bardzo długą chwilę spokojnie wytrzymywała jego wzrok. W końcu po jej policzkach potoczyły się łzy. Hammond jęknął.

- Boże dopomóż, ja też.

Potem wziął ją w objęcia i zaczął namiętnie całować. Miała ciepłe wargi, delikatny język, słodkie usta. Na jego koszulę kapąła woda spływająca z włosów Alex.

Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, po raz pierwszy wymówili swoje imiona, po czym ponownie się pocałowali - jeszcze namiętniej niż poprzednio. Hammond rozwiązał jej pasek, wsunął dłonie pod szlafrok i zaczął głaskać delikatną skórę brzucha. Kiedy przesunął palce w dół, Alex jęknęła.

Czuł, że w uszach huczy mu krew. Dudniła równie głośno jak deszcz na dachu. Te odgłosy zagłuszały wszystko inne. Ciche pomruki zdrowego rozsądku i sumienia nie miały szansy przebić się przez taki hałas.

Wziął Alex na ręce i zaniósł ją do łóżka. Potem z ogromną niecierpliwością zrzucił z siebie ubranie. Kiedy się na niej położył, westchnął z mieszaniną pożądania i rozpaczki. Alex rozchyliła uda. W chwilę później znalazł się w ciepłym zagłębieniu.

Wsuwając się jeszcze dalej, cicho przeklinał, choć jego głos wibrował emocjami.

- Nie przespałam się z tobą, Hammondzie, żeby mieć alibi.

Ujął jej twarz w dłonie, spojrzał na nią i zaczął się poruszać.

- W takim razie dlaczego?

Uniosła się lekko, by wyjść mu naprzeciw.

- Dlatego.

Przytulił twarz do jej szyi. Doznał niewiary godnego uczucia, które pokonawszy całą długość penisa, dotarło do brzucha, a potem rozplątało się na klatkę piersiową i dalej, do najodleglejszych części ciała, powodując w nich mrowienie. Wymazał wszystko ze swojej świadomości, by móc delektować się faktem, że znajduje się w tym cudownym wnętrzu. Niestety, błyskawicznie zbliżał się punkt szczytowy, dlatego Hammond zamarł w bezruchu i szepnął ponagląco:

- Nie chcę jeszcze kończyć. Nie chcę kończyć bez ciebie.

- Popieść mnie.

Wprowadziła jego dłoń między ich ciała i umieściła ją w miejscu, w którym byli złączeni. Delikatnie poruszył palcami, pieszcząc ją jednocześnie od środka i na zewnątrz. Uniosła pierś i przycisnęła ją do jego ust. Musnął językiem brodawkę. Alex wydała dziwny dźwięk przypominający szloch. Potem jednocześnie oddali się fali rozkoszy.

Leżeli pod kołdrą. Hammond przyciągnął Alex do siebie.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że w ogóle się nie zabezpieczył. Jednak jakimś cudem nie bardzo się tym przejął. Po co martwić się na zapas? Teraz już nic nie mógł na to poradzić. Chciał jedynie trzymać ją w ramionach. Wdychać zapach. Być blisko niej i czuć ciepło jej ciała.

Cieszył się, że może patrzeć na jej twarz, leżącą w zagięciu jego łokcia. Myślał, że Alex śpi, ponieważ miała zamknięte oczy, zauważył jednak, że na jej ustach pojawił się uśmiech. Pocałował ją w powiekę.

- Dałbym wszystko, by poznać twoje myśli.

Roześmiała się cicho i spojrzała na niego. Delikatnie musnęła paznokciem jego usta.

- Zastanawiałam się, jak by to było, gdybym mogła się ubrać i pójść z tobą na randkę. Na kolację. Do kina. Pojawić się w miejscu publicznym, gdzie mógłby nas zobaczyć cały świat.

- Może. Kiedyś.

- Może - szepnęła nie bardziej optymistycznym tonem niż on.

- Bardzo chciałbym obejść z tobą cały Charleston i pokazać cię wszystkim przyjaciołom.

- Naprawdę?

- Czyżbyś była zaskoczona?

- Jestem, trochę. Jak na potajemny romans ...

- To wcale nie jest potajemny romans, Alex.

- Nie?

- Nie.

- Mieszkam w Charlestonie od niedawna, ale wiem, jak sprawy się tu mają.

- Jakie sprawy?

- Układy towarzyskie.

- Gównu mnie to obchodzi.

- Ale większość charlestończyków przywiązuje do tego ogromną wagę. Nie mogę się wykazać dobrym rodowodem, podczas gdy twoja rodzina, praktycznie biorąc, stworzyła to pojęcie.

- Posługując się słowami słynnego, chociaż fikcyjnego charlestończyka: "Słowo daję, moja droga, gównu mnie to obchodzi". A nawet gdyby mnie obchodziło, i tak wolę ciebie niż wszystkie inne mieszkanki tego miasta. Wolę ciebie niż jakąkolwiek inną kobietę.

- Nawet Steffi Mundell? - Widząc jego minę, wybuchnęła śmiechem. - Powinieneś zobaczyć swoją twarz.

- Skąd wiedziałaś?

- Kobieca intuicja. Od pierwszego momentu nie przypadła mi do gustu. Pani Mundell również mnie nie lubi i wcale nie wynika to z faktu, że ja jestem podejrzaną, a ona - panią prokurator. To coś zupełnie innego. Dzisiaj, kiedy przyłapała nas razem w windzie, nabrałam pewności. Byliście kochankami, prawda?

- "Byliśmy" to odpowiednie i niezwykle ważne słowo. Nasz romans trwał prawie rok.

- Kiedy się skończył?

- Dwa dni temu.

Tym razem to Alex okazała zaniepokojenie.

- W niedzielę?

Przytaknął

- Z powodu soboty?

- Nie. Od dłuższego czasu nosiłem się z tym zamiarem. Ale po nocy spędzonej z tobą nabrałem absolutnej pewności, że Steffi i ja w ogóle do siebie nie pasujemy. - Wsunął palce we włosy Alex. - Pomimo skłonności do kłamstwa jesteś najbardziej ponętą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Pod każdym względem. Nie tylko fizycznym.

Uśmiechnęła się zadowolona.

- Na przykład?

- Jesteś bystra.

- Miła dla zwierząt i staruszków.

- Zabawna.

- Zrównoważona. Przynajmniej przez większość czasu.

- Zapobiegliwa, odważna, schludna i pełna szacunku dla innych.
- Od dawna podejrzewałam, że kiedyś musiałeś być skautem.
- To prawda. Na czym to ja skończyłem? Już wiem, masz idealne cycki.
- Podobno jestem atrakcyjna nie tylko pod względem fizycznym.

Rozgrzeszając się z frywolności, wymownie pocałował Alex. Kiedy w końcu się uniósł, przestraszył go wyraz jej twarzy.

- Co się stało? Czym się martwisz?
- Uważaj, Hammondzie.
- Nikt się nie dowie, że tu byłem.

Potrząsnęła głową.

- Nie o to mi chodzi.
- A o co?
- Niewykluczone, że będziesz musiał skazać mnie na dożywocie. Proszę, uważaj, żebym wcześniej się w tobie nie zakochała.

Rozdział dwudziesty drugi

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

Prokurator Monroe Mason wskazał Steffi krzesło w swoim biurze.

- Mam bardzo mało czasu. Co cię dręczy?

- Sprawa Pettijohna.

- Na to już wpadłem. A konkretnie?

Wahanie Steffi było zaplanowane i starannie wystudiowane.

Udając skrepowanie, powiedziała:

- Za nic w świecie nie chciałabym pana niepokoić czymś, co może wyglądać na małostkowe rozgrywki między pracownikami.

- Chodzi ci o Hammonda i inspektora Smilowa? Czyżby zachowywali się jak walczące osiłki, a nie profesjonaliści?

- Rzeczywiście doszło do kilku utarczek słownych, podczas których z obu stron padły złośliwe uwagi. Ale jakoś sobie z tym radzę. Chodzi mi o coś innego.

Zerknął na stojący na biurku zegarek.

- Musisz mi wybaczyć, Steffi. Za dziesięć minut zaczyna się spotkanie.

- Mam na myśli podejście Hammonda - wypaliła. Mason zmarszczył brwi.

- Podejście Hammonda? Do czego?

- Wydaje mi się, że Hammond jest ... sama nie wiem ... - dukała, jakby szukała odpowiedniego słowa. W końcu je znalazła: - Obojętny.

Mason rozparł się w fotelu i bacznie przyjrzał rozmówcy. - Trudno mi w to uwierzyć. Ta sprawa bardzo go ucieszyła.

- Też tak myślałam! - zawołała. - Normalnie z ogromnym zapałem rzuciłby się w wir pracy. Pilnowałby Smilowa, żeby zebrał wystarczającą liczbę dowodów, które można by przedstawić przed sądem przysięgłych. Chciałby jak najszybciej zacząć przygotowania do procesu. Na myśl o takiej sprawie normalnie Hammondowi ciekła ślinka. Dlatego sama nie wiem, co mam o tym sądzić - ciągnęła. - Mój partner sprawia wrażenie, jakby wcale go nie interesowało, czy ta tajemnica zostanie rozwiązana. Informuję go o wszystkim, czego dowiaduję się od Smilowa. Przekazuję mu, które poszlaki na coś wskazują, a które stanowią jedynie ślepią uliczkę. Hammond na każdą informację reaguje z takim samym brakiem zainteresowania.

Mason w zamyśleniu podrapał się po policzku.

- Jak to sobie tłumaczysz?

- Właśnie nie wiem, jak mam to sobie tłumaczyć - przyznała z odpowiednią mieszaniną rozpacz i zdumienia. - To dlatego przyszedłam do pana. Żeby zasięgnąć rady. W tej sprawie gram drugie skrzypce i nie chcę przekraczać swoich kompetencji. Proszę mi powiedzieć, co mam z tym fantem zrobić.

Monroe Mason zbliżał się do siedemdziesiątki. Był zmęczony ciężką pracą na państwowej posiadzie. W ciągu kilku ostatnich lat przekazał znaczną część swoich obowiązków młodym i pełnym zapału asystentom, w razie konieczności służąc im radą, ale najczęściej pozwalając, by działali, jak uznają za słuszne. Nie mógł się już doczekać przejścia na emeryturę, na której miał zamiar grać w golfa i łowić ryby, ile dusza zapagnie. Nie chciał się zastanawiać nad politycznymi aspektami swojej pracy.

Nie przez przypadek jednak od ponad dwudziestu czterech lat służył swojemu okręgowi jako prokurator. Był doskonałym szefem i mimo upływu czasu nie stracił swoich umiejętności. Wciąż się odznaczał wyjątkowym instynktem. Potrafił wyczuć, gdy ktoś nie był z nim całkiem szczery.

Steffi, przygotowując się do tego spotkania, liczyła na intuicję Masona.

- Na pewno nie wiesz, co go trapi? - spytał, obniżając huczący głos do tępego pomruku.

Z udaną obawą przygryzła wargę.

- Sama się zapędziłam w kozi róg, prawda?

- Nie chcesz źle mówić o koledze.

- Coś w tym rodzaju.

- Rozumiem, że znalazłaś się w niezręcznej sytuacji. Podziwiam twoją lojalność w stosunku do Hammonda. Ale ta sprawa jest zbyt ważna, by pozwolić sobie na sentymenty. Jeżeli on wymiguje się od swoich obowiązków ...

- Och, nie miałam zamiaru sugerować czegoś takiego - zapewniła pospiesznie. - Hammond nigdy by do tego nie dopuścił. Po prostu odnoszę wrażenie, że nie daje z siebie wszystkiego. Nie wkłada w to serca.

- Może wiesz dlaczego?

- Za każdym razem, kiedy poruszam ten temat, Hammond reaguje, jakbym nadepnęła mu na odcisk. Jest drażliwy i nieprzystępny. - Przerwała, jakby się nad czymś zastanawiała. "Ale gdyby spytał mnie pan, co może go trapić ...

- Pytam.

Udała, że bardzo ciężko nad tym myśli. W końcu powiedziała: - Na razie naszą główną podejrzaną jest kobieta. Alex Ladd to inteligentna osoba, która odniosła sukces. Elegancka. Elokwentna. Ktoś mógłby ją uznać nawet za atrakcyjną.

Mason wybuchnął szczerym śmiechem.

- Myślisz, że wpadła Hammondowi w oko? Steffi roześmiała się razem z nim.

- Na pewno nie.

- Uważasz jednak, że jej płęć może mieć wpływ na podejście Hammonda do sprawy.

- Nie wykluczam takiej możliwości. To nawet w jakimś stopniu byłoby zrozumiałe. Wie pan o nim więcej niż ja. Zna go pan od dziecka. Na pewno nie zapomniał pan, jakie Hammond odebrał wychowanie.

- Dorastał w domu, w którym wyznaje się bardzo tradycyjne wartości.

- A role mężczyzny i kobiety są wyraźnie zdefiniowane - dodała. - Hammond jest urodzonym charlestończykiem, południowcem do szpiku kości. Z mlekiem matki wyssał rycerskość i zamiłowanie do alkoholu z miętą.

Mason przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Obawiasz się, że będzie za miękki, by domagać się kary śmierci dla kobiety takiej jak doktor Ladd?

- To tylko moje przypuszczenia.

Opuściła wzrok, jakby poczuła ulgę, że to okropne zadanie ma już za sobą.

Ukradkiem obserwowała, jak szef w zamyśleniu skubie dolną wargę. Minęło kilka chwil. Teoria Steffi i niechęć, z jaką przekazała swoją opinię zwierzchnikowi, były wprost idealne. Nie wspomniała, że poprzedniego wieczoru Hammond odwiedził miejsce zbrodni. Mason mógłby uznać to za dobry znak. Sama Steffi nie była pewna, jak to traktować. Zazwyczaj Hammond pozwalał policjantom robić swoje i unikał ingerencji, dlatego tę odmianę można było uznać za dziwną. Niewątpliwie należało się nad tym zastanowić, ale nie teraz.

Teraz bardzo chciała usłyszeć odpowiedź Masona. Jakiegokolwiek dalsze wywody byłyby przesadą, więc milczała, dając mu czas na zastanowienie.

- Nie zgadzam się.

- Słucham?

Jej głowa tak gwałtownie podskoczyła, że niemal było słychać towarzyszący temu trzask. Steffi, świeżo przekonana, że udało jej się przedstawić sprawę z dobrym skutkiem, zupełnie nie mogła zrozumieć, czemu Mason się z nią nie zgadza.

- Wszystko, co powiedziałaś o wychowaniu Hammonda, to prawda. Crossowie wpoili chłopcu dobre maniery. Jestem pewien, że te lekcje zawierały również kodeks postępowania wobec kobiet - wszystkich kobiet - kodeks wywodzący się z czasów rycerzy w lśniących zbrojach. Ale rodzice, a zwłaszcza Preston, rozbudzili w nim również ogromne poczucie odpowiedzialności. Sądzę, że w ostatecznym rozrachunku ono zwycięży.

- W takim razie jak pan wyjaśni to znudzenie?

Mason wzruszył ramionami.

- Nadmiarem innych spraw. Przeładowanym kalendarzem. Bólem zębów. Problemami w życiu osobistym. Może być mnóstwo powodów tego nietypowego zachowania. Ale od morderstwa upłynęło zaledwie kilka dni. Dochodzenie wciąż się znajduje na etapie wstępnym. Smilow przyznaje, że nie ma wystarczającej liczby dowodów, by aresztować podejrzaną. - Uśmiechnął się i huknął: - Jestem pewien, że kiedy inspektor oskarży doktor Ladd, czy kogokolwiek innego, Hammond podejdzie do sprawy z zapalem i, o ile znam tego chłopca, wygra.

Chociaż Steffi miała ochotę zgrzytnąć zębami, westchnęła z ulgą.

- Ogromnie się cieszę, że tak pan na to patrzy. Niechętnie przyszedłam z tym do pana.

- Po to tu jestem.

Wyraźnie ją lekceważąc, wstał i zdjął z wieszaka marynarkę. Idąc za nim do drzwi jego biura, Steffi nie dała za wygraną. Było jeszcze coś, co koniecznie chciała powiedzieć swojemu szefowi.

- Obawiałam się, że będzie pan niezadowolony z postępowania Hammonda i przekaze tę sprawę komuś innemu. Wtedy również i ja zostałamby odstawiona na boczny tor. Byłabym wówczas nieszczęśliwa, ponieważ moim zdaniem ta sprawa jest naprawdę fascynująca. Nie mogę się doczekać, kiedy policja odda nam podejrzaną. Chciałabym już zakasać rękawy i pełną parą zacząć przygotowania do procesu.

Rozbawiony jej entuzjazmem, Mason zachichotał.

- W takim razie pewnie z przyjemnością usłyszysz, że dziś rano był tu Smilow. .

- Muszę już kończyć ...

Jęk protestu wyrwał się z ust studentów medycyny, którzy wypełnili salę po brzegi, zajmując nawet wszystkie miejsca stojące, byle wysłuchać wykładu Alex.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. - Jestem wam bardzo wdzięczna za uwagę. Nim się rozejdziemy, chciałabym jeszcze raz podkreślić, jak ogromne znaczenie ma fakt, by pacjent cierpiący na ataki paniki nie został uznany za hipochondryka i co za tym idzie - lekceważony. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że bardzo często tak się zdarza. Członkowie rodziny mogą - z całkiem zrozumiałych względów - stać się nietolerancyjni wobec ciągłych skarg chorego. Symptomy czasami są tak dziwne, że wydają się wręcz śmieszne, w związku z czym nierzadko można je uznać za zmyśnione. Dlatego nawet gdy chory dostanie lekarstwa i zostanie pouczony, w jaki sposób ma sobie radzić z odczuwanym strachem, należy poinstruować również jego rodzinę, by umiała uporać się z tym zjawiskiem ... A teraz naprawdę muszę was już pożegnać, bo inaczej inni wykładowcy urwą mi głowę. Dziękuję za uwagę.

Słuchacze obdarzyli ją entuzjastycznymi brawami, po czym powoli zaczęli się rozchodzić. Kilka osób podeszło, by z nią porozmawiać, uściskać jej dłoń i powiedzieć, jak interesujący i mądry był jej wykład. Jedna ze studentek podsunęła Alex czasopismo z jej artykułem i poprosiła o autograf.

Gospodarz uczelni podeszedł do niej dopiero wtedy, gdy wszyscy studenci wyszli. Doktor Douglas Mann studiował na Akademii Medycznej Karoliny Południowej. To tam właśnie poznał Alex. Od tego czasu datowała się ich przyjaźń. Był wysoki, szczupły i łysy jak kula bilardowa. Świetnie grał w koszykówkę i wciąż pozostawał w kawalerskim stanie, chociaż nigdy nie wyjawiał Alex dlaczego.

- Może powinienem założyć klub wielbicieli - zauważył, podchodząc.

- Bardzo się cieszę, że udało mi się ich zainteresować.

- Chyba żartujesz! Przez cały czas dosłownie wisieli ci na ustach. Dzięki tobie zostałem bohaterem dnia - wyznał, uśmiechając się od ucha do ucha. - Uwielbiam mieć sławnych przyjaciół.

Roześmiała się, słysząc tę uwagę, którą uznała za niezasłużony komplement.

- Byli spokojni. Pilnie słuchali. Czy my w ich wieku też wykazywaliśmy tak ogromną inteligencję? - Kto wie? Raczej byliśmy naćpani.

- To ty byłeś naćpany.

- Tak. - Wzruszył kościstymi ramionami. - To prawda, ty nigdy nie należałaś do lekkoduchów.

Interesowała cię tylko praca, nie przyjemności.

- Przepraszam. Doktor Ladd?

Alex, odwróciwszy się, stanęła oko w oko z Bobbym Trimble'em. Serce zamarło jej w piersi.

Entuzjastycznie uściśnął jej dłoń.

- Doktor Robert Trimble. Z Montgomery w Alabamie. Jestem w Charlestonie na urlopie, dowiedziałem się jednak, że dziś rano ma pani wykład. Musiałem przyjść i osobiście panią poznać.

Doug, nie zdając sobie sprawy z niepokoju Alex, przedstawił się i uściśnął rękę Bobby'ego.

- Koledzy zawsze są mile widzianymi gośćmi na naszych wykładach.

- Dzięki. - Bobby odwrócił się do Alex. - Szczególnie interesują mnie pani badania nad atakami paniki. Jestem ciekaw, co sprawiło, że zajęła się pani tym akurat zjawiskiem. Może powodem były jakieś osobiste przeżycia? - Puścił do niej perskie oko. - Prześladowają panią grzechy młodości?

- Proszę mi wybaczyć, doktorze Trimble - powiedziała oschle. - Czekają na mnie pacjenci.

- Przepraszam, że panią zatrzymałem. Było mi bardzo miło. Odwróciła się gwałtownie i ruszyła do wyjścia.

Doug szybko pożegnał się z Bobbym i popędził za nią.

- O jednego żarliwego wielbiciela za dużo, co? Dobrze się czujesz?

- Oczywiście - odparła pogodnie.

Wcale jednak nie czuła się dobrze. Pojawiając się niespodziewanie, Bobby w charakterystyczny dla siebie sposób zasygnalizował, że zawsze jest w stanie jej przeszkodzić. I że nie sprawi mu to specjalnego kłopotu. Jeśli tylko zechce, w każdej chwili może wtargnąć w jej życie.

- Alex? - Doug spytał, czy zje z nim późne śniadanie.- A skoro już mowa o podziękowaniach, mogę przynajmniej zafundować ci talerz krewetek z kaszą.

- Bardzo bym chciała, Doug, muszę jednak odmówić.

Nie zdołałaby przełknąć ani kęsa, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Zobaczyła Bobby'ego w miejscu, które dotychczas uważała za bezpieczną przystań, dlatego była roztrzęsiona i zdenerwowana, a o taką właśnie reakcję mu chodziło. Bez wątplenia.

- Za piętnaście minut mam pacjentkę. Prawdę mówiąc, ledwo zdążę dotrzeć na miejsce.

- Już ruszamy.

Doug uparł się, że rano pojedzie po Alex i podrzuci ją pod główny budynek Akademii Medycznej, ponieważ w pobliżu rozległego kompleksu brakowało miejsc parkingowych. W drodze do centrum ponownie jej podziękował.

- Nie ma za co. Było bardzo miło.

Póki Bobby wszystkiego nie zepsuł - pomyślała.

- Jestem twoim dłużnikiem. Jeśli w którymś momencie będziesz potrzebować pomocy, możesz na mnie liczyć.

- Zapamiętam to.

Próbując ukryć niepokój, starała się utrzymać lekki ton rozmowy. Wymienili plotki na temat przyjaciół i kolegów. Zapytała, jak mu idzie pisanie pracy na temat AIDS. Z kolei Doug chciał się dowiedzieć, czy w jej życiu wydarzyło się coś nowego i ekscytującego.

Gdyby mu powiedziała, nie uwierzyłby. A może by uwierzył - zastanowiła się, gdy wjechali w jej uliczkę.

- Co tu się, do diabła, dzieje?! - krzyknął Doug. - Ktoś musiał się do ciebie włamać.

Z przerażeniem od razu się domyśliła, że policyjny radiowóz zaparkowany przed jej domem nie ma nic wspólnego z włamaniem. Przy drzwiach stało dwóch umundurowanych policjantów przypominających strażników. Jakiś cywil zaglądał do środka przez frontowe okno. Smilow rozmawiał z pacjentką, która widocznie nieco wcześniej przyjechała na umówione spotkanie.

Doug zatrzymał samochód. Miał zamiar wysiąść, lecz Alex go powstrzymała.

- Nie daj się w to wciągnąć, Doug.

- W co? Co tu jest, u diabła, grane?

- Później ci powiem.

- Ale ...

- Proszę. Zadzwoń.

Ścisnęła mu ramię, potem wysiadła, szybko przeszła przez bramę i ruszyła ścieżką. Idąc w stronę drzwi, zauważyła, że scena rozgrywająca się za jej bramą przykuła uwagę kilku przechodniów. Turyści robili zdjęcia domu, chociaż nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym. Uliczka, przy której mieszkała Alex, była obowiązkowym punktem programu wszystkich pieszych wycieczek. Chociaż zasadniczo wszystkie wille były bardzo do siebie podobne, każda z nich mogła się poszczycić przynajmniej jedną odrębną cechą związaną z przeszłością. Tego ranka dom Alex różnił się od innych tym, że stał przed nim samochód policyjny.

- Dzień dobry, doktor Ladd! - Pacjentka ruszyła ścieżką w stronę Alex. - Co tu się dzieje? Policjanci pojawili się w tym samym momencie co ja.

Alex zerknęła przez ramię zaniepokojonej kobiety, rzucając Smilowowi ponure spojrzenie.

- Najmocniej przepraszam, Evelyn, ale muszę przełożyć nasze spotkanie.

Objęła pacjentkę ramieniem i podprowadziła do jej samochodu. Przez kilka minut musiała zapewniać podopieczną, że wszystko jest w porządku i że przełoży spotkanie na najbliższy możliwy termin.

- Dobrze się czujesz? - spytała życzliwie.

- A pani, doktor Ladd?

- Oczywiście. Obiecuję, że później do ciebie zadzwonię. Nie martw się.

Dopiero gdy Evelyn odjechała, Alex odwróciła się. Tym razem podeszła prosto do Smilowa.

- Co pan tu, do diabła, robi? Miałam pacjentkę i ...

- A ja mam nakaz rewizji.

Z kieszeni marynarki wyjął kartkę.

Alex popatrzyła na trzech pozostałych policjantów wałęsających się po jej werandzie, po czym z powrotem przeniosła wzrok na Smilowa.

- O trzeciej mam ostatniego pacjenta. Czy nie możecie zaczekać do tego czasu?

- Obawiam się, że nie.

- Dzwonię do Franka Perkinsa.

- Chętnie go tu powitam. Ale nie potrzebuję jego zgody, by wejść do środka. Nawet nie muszę pytać o to pani.

Bez dalszych wstępów kazał swoim ludziom robić, co do nich należy.

Chyba najbardziej uraziło Alex to, że zanim weszli do jej domu, włożyli plastikowe rękawiczki, jakby i budynek, i ona byli zbrukani czymś, przed czym należało się chronić.

Krzyknęła.

Przebudziwszy się, stwierdziła, że znajduje się w najgorszym koszmarze, jaki może nawiedzić samotną kobietę - przynajmniej samotną nauczycielkę szkoły średniej z przedmieść Indianapolis. U siadła na łóżku, przycisnęła prześcieradło do twarzy i rozplakała się na dobre.

Była skacowana. Naga. Wykorzystana. Opuszczona. Odtworzyła w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru.

Początkowo myślała, że wreszcie urzeczywistniły się jej marzenia. Przystojny nieznajomy wybrał ją, chociaż w lokalu nie brakowało młodszych, ładniejszych, szczuplejszych dziewcząt. To on wykonał pierwszy ruch. Zaprosił ją do tańca i postawił drinka. Zauroczenie było natychmiastowe i obustronne. Zawsze wyobrażała sobie, że tak właśnie będzie, gdy w końcu jej się "to" przydarzy.

Co więcej, nie był nudny ani płytki. Sporo przeżył. Jego opowieść o miłości i poniesionej stracie chwyciła Ellen za serce. Kochał żonę do szaleństwa. Gdy zachorowała, pielęgnował ją, póki całkowicie się nie poddała. Chociaż było mu bardzo trudno i choroba żony odbijała się na jego interesach, gotował, sprzątał i prał. Robił wszystko, wykonywał najbardziej niemiłe usługi. Przy jednej z rzadkich okazji, kiedy była w stanie wyjść z domu, nawet nałożył jej makijaż.

Co za poświęcenie! Na tym właśnie polega miłość. Warto poznać takiego mężczyznę. Zasługiwał na miłość, którą Ellen gromadziła od lat i którą rozpaczliwie chciała kogoś obdarzyć.

Był również fantastycznym kochankiem.

Jej doświadczenie w tym względzie należało uznać za bardzo ograniczone. W dzieciństwie starszy kuzyn zmusił ją pewnego razu do pocałunku z rozchylonymi wargami. Gdy była nastolatką, chłopak, którego kochała, skłonił ją do dwóch koszmarnych stosunków w samochodzie, po czym od niej odszedł. Będąc już dorosłą kobietą, miała podniecający, ale platoniczny romans z żonatym nauczycielem. Wszystko zresztą się skończyło, gdy

przeniesiono go do innej szkoły.

Mimo to szybko się zorientowała, że Eddie - tak miał na imię spotkany poprzedniego dnia mężczyzna - jest w łóżku naprawdę wyjątkowy. Robił rzeczy, o których tylko czytała w powieściach, gromadzonych w suterenie w starannie opisanych pudełkach. Zmęczył ją swoją namiętnością.

Teraz jednak miłe wspomnienia przesłoniło potworne przerażenie, zazwyczaj towarzyszące przygodzie z nieznajomym. Ciąża. (Hej! To zdarza się nawet kobietom po czterdziestce). Choroby weneryczne. AIDS.

Każda z tych ewentualnych konsekwencji pogrzebałaby marzenia Ellen o tym, że pewnego dnia wyjdzie za mąż. Jej szansa na zawarcie związku małżeńskiego z roku na rok wyraźnie malała, ale po tym, co zrobiła poprzedniego wieczoru, założenie rodziny stało się nierealnym snem. Kto ją teraz zechce? Z pewnością żaden przyzwoity mężczyzna. Obecnie Ellen Rogers należało uznać za kobietę z przeszłością.

Nie mogło być już gorzej.

Ale było.

Ponieważ została również okradziona.

Odkryła to, gdy w końcu wstała z łóżka i poszła do łazienki, by ocenić szkody. Zdała sobie wówczas sprawę, że na krześle nie ma rzuconej tam poprzedniego wieczoru torebki. Ellen dokładnie to pamiętała. Nie mogłaby tego zapomnieć, ponieważ właśnie wtedy zdarzyło się jej po raz pierwszy w życiu, że mężczyzna stanął za nią i zaczął wgniatać swoje ... no wiecie ... w Jej pupę. Objął ją, wsunął ręce pod sukienkę i pieścił jej piersi. Czując, że się rozplywa, upuściła torebkę na krzesło. Tego była pewna.

Mimo to gorączkowo przeszukała cały pokój. Była zła, że nie posłuchała telewizyjnych reklam, namawiających, by nigdy nie opuszczać domu bez czeków podróжных.

Nie wiadomo, czy Ellen Rogers postanowiła ukarać samą siebie, czy też nagłą zmianę wywołało wspomnienie, jak łatwo uległa wszystkim kłamstwom Eddiego. Tak czy inaczej, nagle przerwała bezcelowe poszukiwanie torebki i stanęła nieruchomo pośrodku hotelowego pokoju. Wciąż naga jak ją Pan Bóg stworzył, wzięła się pod boki, zapomniała o przyzwoitości i zaklęła jak szewc.

Przestała się nad sobą rozczulać. Była wkurzona.

Rozdział dwudziesty trzeci

Było już prawie południe, kiedy Hammond w końcu dotarł do budynku sądu. Mijając sekretarkę, poprosił, by przyniosła mu kubek kawy. Wcale nie ucieszył się na widok Steffi, która wyciągnawszy wygodnie nogi, czekała nań w jego własnym biurze.

Jeszcze bardziej go zdenerwowała, gdy zerknęła na niego i spytała:

- Miałeś ciężką noc?

Wrócił do domu niemal o świcie. Gdy w końcu zasnął, przez kilka godzin spał jak kamień. Po przebudzeniu zaklął, spojrzawszy na stojący przy łóżku zegarek i zobaczywszy, która jest godzina. Wcale nie potrzebował Steffi, by wiedzieć, że późno zaczyna pracę.

- Co się stało z twoim kciukiem? Zużył dwa opatrunki, by opatrzyć ranę. - Zaciąłem się podczas golenia.

- Włosów na kciuku?

- Co jest grane, Steffi?

- Smilow dostał z WPPKP następne dowody. Ma również nadzieję, że uda mu się porównać włos.

By nie pokazać, że uginają się pod nim kolana, spokojnie robił to co zwykle - postawił aktówkę na biurku, zdjął marynarkę, powiesił ją, po czym zaczął przerzucać stos korespondencji i wiadomości telefonicznych. Bacznie przyglądając się jednej z nich, spytał automatycznie:

- W której sprawie?

Bezgranicznie zaniepokojona Steffi złożyła ręce na brzuchu. - W sprawie o morderstwo Lute'a Pettijohna, Hammondzie. Usiadł za biurkiem i podziękował sekretarce, która przyniosła mu kawę.

- Napijesz się, Steffi?

- Nie, dzięki. - Niezbyt delikatnie zamknęła drzwi za wychodzącą sekretarką. - Czy teraz, kiedy już się usadowiłeś i dostałeś swoją kawę, możemy przedyskutować aktualny rozwój wydarzeń?

- Smilow natrafił w apartamencie Pettijohna na jakiś włos?

- Tak.

- I ma zamiar porównać go z ... ?

- Tym, który dziś rano podczas rewizji znalazł na szczotce Alex Ladd.

Drgnął.

- Podczas rewizji?

- Dzisiejszy dzień zaczął od załatwienia nakazu. Zdażyli już przeszukać dom podejrzaney.

- Nie miałem nawet pojęcia, że zamierza starać się o nakaz. Wiedziałaś o tym?

- Dowiedziałam się przed chwilą.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłaś?

- Uznałam, że to zbyteczne, póki nie będziemy czegoś mieli.

- To moja sprawa, Steffi.

- No cóż, do jasnej cholery, z pewnością twoje zachowanie wcale tego nie potwierdza - warknęła, podnosząc głos.

- Jakie zachowanie?

- Sam się zastanów. Proponuję, żebyś na początek zadał sobie pytanie, dlaczego tak późno dzisiaj przyszedłeś. I nie wściekaj się na mnie o to, że cię nie było, gdy sprawa zaczęła się posuwać.

Przez chwilę patrzyli na siebie wilkiem. Hammond był zły, że wykluczono go ze ścisłego kręgu, jaki stworzyli Steffi i Smilow. W tej sprawie działali jak rodzeństwo syjamskie. Chociaż wcale nie chciał się do tego przyznać, argumenty Steffi trafiły mu do przekonania. Był zły na siebie z powodu sytuacji, w jakiej się znalazł, dlatego wyładował się na koleżance.

- Coś jeszcze? - spytał bardziej uprzejmym tonem.

- Smilow ma też goździki.

- Goździki? O czym ty, do diabła, mówisz?

- Pamiętasz drobinę znaną na rękawie Pettijohna?

- Słabo.

Wyjaśniła, że kruszynę tę zidentyfikowano jako kawałek goździka, tymczasem w przedpokoju Alex Ladd na miseczce leżały pomarańcze naszpikowane goździkami.

- Napelniają wszystkie pomieszczenia zapachem jak naturalne potpourri. Na dodatek w jej domowym sejfie znaleziono dużą ilość gotówki. Tysiące dolarów.

- Czego to ma dowieść?

- Jeszcze nie wiem, Hammondzie. Musisz jednak przyznać, że ludzie rzadko trzymają tyle pieniędzy w domowym sejfie. To dość niezwykle i podejrzane

- A co z bronią? - spytał przez zaciśnięte gardło.

- Niestety, niczego nie znaleziono.

Zabrzączał telefon. Sekretarka poinformowała Hammonda, że ma na linii inspektora Smilowa.

- Prawdopodobnie dzwoni do mnie - wyjaśniła Steffi, chwytając za słuchawkę. - Powiedziałam mu, że będę w twoim biurze.

Słuchała przez chwilę, po czym zerknęła na swój zegarek i radośnie oświadczyła:

- Jedziemy.

- Jedziemy? - spytał Hammond, gdy się rozłączyła.

- Prawdopodobnie doktor Ladd zdała sobie sprawę, że wpadła po uszy ... sam wiesz w co. Przyjeżdża na dalsze przesłuchanie.

Chociaż na biurku Hammonda leżały stosy nietkniętej roboty papierkowej, akt, notatek i wiadomości, na które nie zdążył odpowiedzieć, nawet nie przyszło mu na myśl, by wysłać w zastępstwie Steffi. Musiał przy tym być. Koniecznie chciał wiedzieć, co Alex ma do powiedzenia, nawet jeśli byłoby to coś, czego wolałby nie słyszeć.

Jego koszmar trwał nadal. Przerazenie rosło. Smilow parł do przodu jak burza, chociaż trudno go winić o to, że wykonuje swoją robotę - zwłaszcza iż wykonuje ją dobrze. Alex ... do diabła, nie wiedział, co myśleć o Alex. Przyznała się, że celowo go skompromitowała, idąc z nim do łóżka, nie wyjaśniła jednak, dlaczego to zrobiła. Czy mógł być jakiś inny powód niż powiązania z Pettijohnem i (lub) jego morderstwem?

Nie wiedząc, co go czeka, Hammond po wyjściu z budynku poruszał się, jakby z trudem pokonywał lotne piaski. Z nieba lał się żar. Powietrze było ciężkie i nieruchome. Nie wystarczała nawet klimatyzacja w samochodzie Steffi. Pocił się, gdy wchodzili po stopniach prowadzących do budynku policji. Razem wjechali windą na terytorium Smilowa.

Steffi zapukała do biura inspektora, po czym zajrzała do środka.

- Czy coś nam umknęło?

Smilow, który zaczął bez nich, przemówił do mikrofonu.

- Przybyli pracownicy biura prokuratora okręgowego, Munnell i Cross. - Podał datę i czas.

Podejrzana odwróciła się w stronę Hammonda, który niemal się oparł o plecy koleżanki. Kiedy o świcie pochylił się nad Alex, by ją pocałować, zarzuciła mu ręce za szyję i uniosła głowę do namiętnego pocałunku. Prostując się, jęknął z żalu. Alex uśmiechała się do niego, śpiąca i seksowna, z półprzymkniętymi powiekami. Teraz w jej oczach wyczytał strach, który odbijał jego najgorsze obawy.

Kiedy formalności dobiegły końca, Frank Perkins oświadczył:

- Zanim zaczniesz, Smilow, moja klientka pragnie sprostować jedno ze swoich poprzednich zeznań.

Steffi uśmiechnęła się z wyższością. Smilow, nie okazując żadnej reakcji, dał Alex znak ręką, by mówiła.

Pełną oczekiwania ciszę wypełnił jej spokojny głos.

- Poprzednio kłamałam, twierdząc, że nigdy nie byłam w apartamencie pana Pettijohna. Odwiedziłam go w sobotę po południu. Kiedy czekałam, aż otworzy mi drzwi, widziałam idącego do swojego pokoju mężczyznę, który później mnie opisał.

- Czemu pani kłamała?

- Żeby chronić jednego z moich pacjentów.

Steffi prychnęła z niedowierzaniem, Smilow jednak uciszył ją groźnym spojrzeniem.

- Proszę kontynuować, doktor Ladd.

- Poszłam zobaczyć się z panem Pettijohnem w zastępstwie swojego pacjenta.

- Po co?

- By przekazać mu ustną wiadomość. Więcej nie mogę wyjawić.

- Tajemnica zawodowa to bardzo dobra wymówka. Kiwnięciem głowy przyznała, że to prawda.

- To jednak nie zmienia faktu, że poszłam tam właśnie w tym celu.

- Czemu nie powiedziała nam pani tego wcześniej?

- Bałam się, że każecie mi ujawnić nazwisko pacjenta. Interes tego człowieka jest dla mnie ważniejszy od mojego.

- Tak przynajmniej było dotychczas.

- Sytuacja stała się niebezpieczna. Bardziej, niż przypuszczałam. To zmusiło mnie do powiedzenia tego, co chciałam zachować w tajemnicy, mając na względzie dobro podopiecznego.

- Czy zawsze tak dużo pani robi dla swoich pacjentów?

Przekazuje pani od nich wiadomości, i tak dalej?

- Zazwyczaj nie. Ale ten człowiek ogromnie się denerwował, że będzie musiał stanąć oko w oko z panem Pettijohnem. Dlatego postanowiłam wyświadczyć pacjentowi niewielką przysługę.

- A zatem widziała się pani z panem Pettijohnem? - Przytaknęła. - Jak długo była pani w jego apartamencie? - Kilka minut.

- Mniej niż pięć? Więcej niż dziesięć?

- Mniej niż pięć.

- Czy apartament hotelowy nie jest zbyt dziwnym miejscem na takie spotkanie?

- Też tak uważałam, pan Pettijohn prosił jednak, żebyśmy się spotkali właśnie tam. Powiedział, że hotel bardziej mu odpowiada, ponieważ później ma go jeszcze ktoś odwiedzić.

- Kto?

- Nie wiem. Tak czy inaczej, nic nie stało na przeszkodzie, żebym tam poszła, ponieważ, jak już panu powiedziałam, resztę dnia miałam wolną. Nic na mnie nie czekało. Pooglądałam trochę wystaw w pobliżu Charles Towne, a potem wyjechałam z miasta.

- I trafiła pani do wesołego miasteczka?

- Tak. Reszta pozostaje nie zmieniona.

- Która wersja?

Słyszac docinek Steffi, Frank Perkins zmarszczył czoło.

- Proszę sobie darować ten sarkazm, pani Mundell. Teraz już wiadomo, czemu doktor Ladd nie chciała wam powiedzieć o swoim krótkim spotkaniu z Pettijohnem.

- Jakie to szlachetne z jej strony!

Nim adwokat zdążył ponownie upomnieć Steffi, Smilow ciągnął:

- Jak pani zdaniem wyglądał pan Pettijohn?

- Jak wyglądał?

- W jakim był nastroju?

- Nie znałam go, więc nie miałam do czego porównać nastroju, jaki prezentował tego popołudnia.

- Był serdeczny czy niemiły? Szczęśliwy czy smutny? Zadowolony z siebie czy zdenerwowany?

- Nie zauważyłam żadnej z tych skrajności.

- Jaki był sens przekazanej przez panią informacji?

- Nie mogę powiedzieć.

- Czy była to prowokująca wiadomość?

- To znaczy: czy go zdenerwowała?
- A zdenerwowała go?
- Nawet jeśli tak, nie było tego po nim widać.
- Czy ta wiadomość mogła doprowadzić do wylewu?
- Nie. Absolutnie nie.
- Był może niespokojny?

Słyszając to, uśmiechnęła się.

- Pan Pettijohn nie sprawił na mnie wrażenia człowieka, którego łatwo zaniepokoić. Nic, co o nim czytałam, nie sugerowało, że można go w jakiś sposób zastraszyć.

- Czy zachowywał się w stosunku do pani po przyjacielsku?
- Był uprzejmy. Nie posunęłabym się tak daleko, by uznać jego zachowanie za przyjacielskie. Nie znaliśmy się.

- Uprzejmy. - Smilow zamyślił się. - Czy był gościnnie? Czy na przykład zaproponował, żeby pani usiadła?

- Tak, mimo to przez cały czas stałam.

- Dlaczego?

- Ponieważ wiedziałam, że nie będę tam długo, i wolałam stać niż siedzieć.

- Czy zaproponował pani coś do picia?

- Nie.

- A seks?

Wszyscy obecni byli zaskoczeni tym niespodziewanym pytaniem, ale najgwałtowniej zareagował Hammond. Podskoczył, jakby ugryzła go ściana, o którą się opierał.

- Co jest, do diabła?! - krzyknął. - Co ci przyszło do głowy?

Smilow wyłączył mikrofon, potem odwrócił się do Hammonda.

- Odpieprz się. To moje dochodzenie.

- To pytanie było niestosowne i dobrze o tym wiesz.

- Całkowicie się z tym zgadzam - poparł Hammonda Frank Perkins, niemal tak samo zły. - Nic nie wskazuje na to, że tego popołudnia Pettijohn miał stosunek.

- Na pewno nie miał go w łóżku w apartamencie. Ale to wcale nie wyklucza innych form uprawiania seksu. Na przykład stosunku oralnego.

- Smilow ...

- Czy miała pani stosunek oralny z panem Pettijohnem, doktor Ladd? Albo on z panią?

Hammond rzucił się do przodu i mocno pchnął Smilowa.

- Ty sukinsynu!

- Do jasnej cholery, trzymaj ręce przy sobie! - warknął Smilow, odpychając Hammonda.

- Hammondzie! Smilow!

Steffi próbowała stanąć między nimi, ale obaj panowie zgodnie odsunęli ją na bok.

Frank Perkins nie zdołał nad sobą zapanować.

- To oburzające!

- Stosujesz ciosy poniżej pasa, Smilow! - krzyknął Hammond. - Nie przypuszczałem, że tak nisko upadłeś. Jeśli zamierzasz strzelać na chybił trafił, przynajmniej miej cywilną odwagę i nie wyłączaj magnetofonu.

- Nie będziesz mnie uczył, jak powinienem prowadzić przesłuchanie.

- To nie jest przesłuchanie, tylko znęcanie się nad człowiekiem. Nieuzasadnione znęcanie się nad człowiekiem.

- To podejrzana, Hammondzie - zaproponowała Steffi.

- Ale nie o przestępstwo seksualne - odpalił.

- A co z włos, Smilow? - spytała.

- Do tego właśnie zmierzałem.

Smilow i Hammond patrzyli na siebie jak dwa bulteriery na smyczy. Pierwszy otrząsnął się inspektor. Odgarnął do tyłu włosy i strzepnął mankiety. Wrócił do biurka i z powrotem włączył magnetofon.

- Doktor Ladd, w apartamencie hotelowym znaleźliśmy włos.

Z laboratorium w Columbii otrzymałem wiadomość, że odpowiada on próbkom zebranym z pani szczotki.

- Czego to dowodzi, inspektorze? - Przestała biernie reagować na to, co się działo. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, a zielone oczy ciskały gromy. - Przyznałam się, że byłam w tym apartamencie, i wyjaśniłam, czemu wcześniej nie powiedziałam wam prawdy. Zgubiłam włos, co jest całkiem zwyczajnym zjawiskiem. Jestem pewna, że w tym pokoju znaleźliście też i inne.

- Owszem.

- Ale tylko ja jedna narażona jestem na wysłuchiwanie obelg.

Hammond chciał krzyknąć: "Brawo, Alex!" Absolutnie miała prawo być oburzona. Smilow zamierzał wytrącić ją z równowagi i zdenerwować, gdyż wtedy łatwiej mógłby przyłapać podejrzaną na kłamstwie. Była to stara sztuczka, chętnie wykorzystywana przez oskarżycieli. Często zdawała egzamin. Tym razem jednak zawiodła. Smilowowi nie udało się zastraszyć Alex, sprawił jedynie, że była wściekła jak diabli.

- Może pani wyjaśnić, jakim cudem na rękawie pana Pettijohna znalazł się okruch goździka?

Trochę się uspokoiła, a po chwili wręcz wybuchnęła śmiechem.

- Panie Smilow, goździki może pan znaleźć niemal w każdej kuchni na całym świecie. Skąd ma pan pewność, że znalazł pan akurat kawałek mojego? Jestem pewna, że w Charles Towne Plaza można zamówić jedzenie do pokoju. A może pan Pettijohn zebrał ten okruch w swojej kuchni i przyniósł go ze sobą do hotelu?

Frank Perkins uśmiechnął się. Hammond wiedział, o czym myśli adwokat. Podczas rozprawy wykorzystałby ten sam tok rozumowania. W rezultacie ława przysięgłych śmiałaby się z przedstawionego przez oskarżenie zarzutu, że "ten właśnie" goździk to goździk z przedpokoju doktor Ladd.

- Sądzę, iż lepiej będzie, jeśli na tym skończysz, Smilow poradził Perkins. - Wbrew moim radom pani Ladd stara się z wami ściśle współpracować. Sprawia jej to mnóstwo kłopotu, pacjentom również, ponieważ bez przerwy musi przekładać ich wizyty. Przewróciliście dom do góry nogami, dopuściłeś się też niewybaczalnej obelgi. Należą jej się przeprosiny.

Nawet jeżeli Smilow usłyszał słowa adwokata, nie dał tego po sobie poznać. Ani na moment nie odrywał przenikliwego spojrzenia od twarzy Alex.

- Chciałbym jeszcze dowiedzieć się czegoś na temat pieniędzy, które znaleźliśmy w sejfie.

- O co panu chodzi?

- Skąd je pani wzięła?

- Nie musisz odpowiadać, Alex.

Zlekceważyła radę adwokata.

- Proszę sprawdzić, ile mi zwrócono nadpłaconych podatków, panie Smilow.

- Już to zrobiłem.

Uniosła brew, jakby chciała powiedzieć: "To po co pan pyta?"

- Czy nie bardziej by się pani opłacało trzymać je na oprocentowanym koncie bankowym zamiast w sejfie?

- Jej finanse i to, w jaki sposób je prowadzi, nie mają nic wspólnego ze sprawą - zastrzegł Perkins.

- To się okaże. - Nim adwokat zdołał zgłosić następne zastrzeżenia, Smilow wystawił palec wskazujący. - Jeszcze jedno pytanie, Frank, i na tym skończymy.

- To prowadzi donikąd.

- Kiedy się do pani włamano, doktor Ladd?

Hammond na pewno nie spodziewał się tego pytania. Wszystko wskazywało na to, że Alex również. Ten jeden jedyny raz nie zdołała ukryć swojej reakcji, co dawało dużo do myślenia. - Od strony kuchni?

Przyglądając się jej uważnie, Smilow powiedział:

- Tak, od strony kuchni.

- Dokładnie nie pamiętam. Chyba kilka miesięcy temu.

- Okradziono panią?

- Nie. Myślę, że to dzieci z sąsiedztwa zrobiły mi psikusa.

- Hmm. W porządku, dzięki. - Wyłączył magnetofon.

Perkins przytrzymał krzesło Alex, kiedy wstawała.

- Twoje postępowanie jest niestosowne i bardzo lekkomyślne, Smilow.

- Przeprosin nie będzie, Frank. Mam do rozwiązania zagadkę morderstwa.

- Szukasz pod niewłaściwym adresem. Nękaś doktor Ladd, a tymczasem ślady prawdziwego mordercy coraz bardziej się zacierają.

Poprowadził swoją klientkę w stronę drzwi. Hammond próbował oderwać od niej wzrok, ale mu się to nie udało. Musiała poczuć jego spojrzenie, ponieważ przechodząc obok, obejrzała się. Patrzyli na siebie, kiedy Smilow

spytał:

- Kto jest pani chłopakiem?

Odwróciła się szybko w stronę inspektora.

- Chłopakiem?

- Pani kochankiem.

Tym razem sztuczka się udała. Alex straciła panowanie nad sobą. Nie zachowała zwykłej dla siebie ostrożności, nie usłyszała również rady adwokata, by nic nie mówiła. Zareagowała tak, jak nakazał jej impuls.

- Nie mam kochanka.

- W takim razie jak pani wyjaśni fakt, że pościel, którą znaleźliśmy w pani koszu z brudami, zaplamiona jest krwią i spermą?

- Ta historia o wyręczaniu pacjenta to czysta fikcja - zachichotała Steffi. - Uważam, że jak najszybciej powinieneś postawić tę kobietę w stan oskarżenia.

Smilow i Hammond w ogóle jej nie słuchali. Patrzyli na siebie jak gladiatorzy, mający za chwilę stoczyć walkę na śmierć i życie. Wygrywa ten, kto umiera ostatni.

Hammond zadał pierwszy cios.

- Skąd, do diabła, wziąłeś ...

- Gównu mnie obchodzi, co sądzisz o mojej taktyce. Mam prawo robić, co zechcę.

- Czemu się z nią drażnisz? - wypalił Hammond. - Jeśli nadal będziesz się paprał w jej życiu prywatnym, Frank Perkins na pewno to wykorzysta. Pościel w jej koszu z brudami?! Jezu! - Prychnął pełen obrzydzenia.

- Nie zapominaj o szlafroku - wtrąciła Steffi. To najbardziej ją rozbawiło. - Nasza święta pieprzy się w szlafroku.

Hammond spojrzał na nią ze złością, ale Smilow odwrócił Jego uwagę.

- Czemu zatem kłamie, twierdząc, że nie ma chłopaka?

- Skąd mam to, do diabła, wiedzieć?! - krzyknął Hammond. - Zresztą, cholera jasna, skąd wiesz, że doktor Ladd kłamie? Powiedziała, że obecnie nie jest z nikim związana. To wszystko.

- Nie bardzo - wtrąciła Steffi. - Smugi spermy ...

- Nie mają nic wspólnego z tym, że w ubiegłym tygodniu spotkała się z Pettijohnem.

- Może i nie - burknęła szorstko. - Jej wyjaśnienie, że skaleczyła się, goląc nogi, jest całkiem prawdopodobne. To by tłumaczyło krew, jakkolwiek uważam, że należałoby określić jej grupę. Ale sperma to sperma. Dlaczego wypierałaby się związku z jakimś mężczyzną, jeśli to nie ma nic wspólnego z Pettijohnem?

- Może być tysiąc powodów.

- Podaj jeden.

Hammond spojrzał jej prosto w oczy.

- W porządku, podam ci jeden - to nie twój cholerny interes, z kim ona sypia.

Miał napięte mięśnie szyi, czerwoną twarz, a na czole pojawiły się nabrzmiałe żyły. Steffi widywała go złego. Wściekał się na gliniarzy, sędziów, ławę przysięgłych, na nią, na siebie. Ale nigdy wcześniej nie wpadł w taką szaloną furję. W związku z tym zaczęły dręczyć ją wątpliwości, pytania, które postanowiła przemyśleć, gdy będzie sama i znajdzie wolną chwilę. Na razie powiedziała tylko:

- Nie rozumiem, czemu tak się wściekasz.

- Ponieważ wiem, do czego on jest zdolny. - Wskazał na Smilowa. - Podstępnie wykorzystuje dowody, by dowieść swoich racji.

- Te dowody zebraliśmy podczas legalnej rewizji - warknął Smilow przez zęby.

Hammond prychnął.

- Nie byłbym zdziwiony, gdybyś sam spuścił się na tę pościel. Wyglądało na to, że lada chwila Smilow go uderzy. Z wysiłkiem wciągnął powietrze przez niemal zaciśnięte ze złości nozdrza.

Steffi uznała, że powinna wkroczyć do akcji.

- Jak często waszym zdaniem taka elegantka jak Alex Ladd robi pranie?

- Przynajmniej co trzy, cztery dni - strzelił Smilow, wciąż z natężeniem wpatrując się w Hammonda.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Hammond oparł się o ścianę, jakby próbował zdystansować się od tej dyskusji.

- To znaczy - ciągnęła Steffi - że w ciągu kilku ostatnich dni miała z kimś stosunek, a zatem kłamie. Kiedy spytałaś ją o kochanka, nie odmówiła po prostu podania jego nazwiska, nie zapytała, co jej życie miłosne ma wspólnego z naszym dochodzeniem w sprawie morderstwa, ani nie powiedziała nam, żebyśmy sobie poszli do diabła. Zbladła, skłamała, a potem, kiedy przyłapaliśmy ją na łgarstwie, próbowała się wykręcić, mówiąc: "Chodzi mi po prostu o to, że w tym momencie nikogo nie mam".

Obaj mężczyźni słuchali albo przynajmniej udawali, że słuchają. Ponieważ jednak żaden nie wygłosił swojego komentarza, Steffi ciągnęła:

- Może to jedynie sprawa semantyki. Trudno wykluczyć, że doktor Ladd mówi jak politycy. Nie do końca kłamie, ale też nie mówi całej prawdy. Na przykład: nie ma stałego kochanka, jedynie od czasu do czasu dla rozrywki idzie z kimś do łóżka.

Smilow ściągnął brwi.

- Nie sądzę. W jej apteczce w łazience nie znaleźliśmy doustnych środków antykoncepcyjnych. Nie było też żadnego krążka ani prezerwatyw. Nic, co sugerowałoby, że miewa bardziej lub mniej regularne stosunki. W związku z tym byłem szczerze zdumiony, gdy natknęliśmy się na zaplamioną pościel w koszu.

- Musiałeś jednak myśleć o jej życiu seksualnym, Smilow. Inaczej nie wyskoczyłbyś z pytaniem, czy kochała się z Pettijohnem?

- Ono nie wynikało z jakichś głębszych przemyśleń - przyznał. - Bardziej opierało się na reputacji Lute'a niż jej. - Po prostu próbowałeś wytrącić ją z równowagi. Steffi zlekceważyła obraźliwy komentarz Hammonda.

- Czyli nie wierzysz, że w hotelu padła na kolana i zrobiła Pettijohnowi dobrze?

Smilow uśmiechnął się.

- Coś takiego mogło spowodować u niego wylew. Hammond odsunął się od ściany.
- Czy rozmowa na temat życia seksualnego doktor Ladd będzie przedłużać to spotkanie w nieskończoność?

Bo jeśli tak, to mam mnóstwo pracy.

Smilow kiwnięciem głowy wskazał mu drzwi.

- Możesz wyjść.
- Czy jest jeszcze coś do przedyskutowania?
- Sprawa włamania.
- Wyjaśniła to.

Tępotą Hammonda doprowadzała Steffi do szału.

- Chyba jej nie wierzysz? W tej sprawie na pewno nie powiedziała nam prawdy. Przez cały czas kłamie, na każdy temat. Co się z tobą dzieje? Zazwyczaj na kilometr wyczuwasz najmniejsze łgarstwo.

- Twierdzi, że to włamanie zdarzyło się kilka miesięcy temu - przypomniał Smilow. - Ale rozszczerzone drewno jeszcze nie ściemniało. Było surowe. Zadrapania na metalowym zamku także nie zdążyły pokryć się rdzą. To znaczy, że ktoś wyważył jej drzwi całkiem niedawno. Doktor Ladd to osoba bardzo skrupulatna i zadbana, a jej dom jest nieskazitelnie czysty. Nie wierzę, by zwlekała kilka miesięcy z naprawą.

- To są tylko przypuszczenia - podsumował Hammond. Wszystkie. Co do jednego.

- Ale niedorzecznością byłoby całkowicie je lekceważyć - zaprotestowała Steffi.

- Jeszcze większą niedorzecznością jest wiązanie ze sobą garstki luźnych, nie mających potwierdzenia przypuszczeń i uznawanie ich za fakty.

- Niektóre z nich są faktami.
- Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żeby była winna?
- Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żeby była niewinna?

Po tych słowach zapadła tak niespodziewana i pełna napięcia cisza, że pukanie do drzwi zabrzmiało jak wystrzał armatni.

Monroe Mason wsunął do środka głowę.

- Słyszałem, że ponownie przesłuchujecie doktor Ladd. Myślałem, że zdążę i zobaczę, jak wam idzie. Podejrzewam, że niezbyt dobrze. Wasze krzyki słyhać już przy wejściu.

Wszyscy wymamrotali słowa powitania, potem przez pół minuty nikt się nie odzywał.

Koniec końców Monroe zwrócił się do Steffi.

- Zazwyczaj jesteś taka wygadana. Co się dzieje? Odebrało wam mowę? W czym przeszkodziłem?

Spojrzała ze złością na Hammonda i Smilowa, po czym zwróciła się do Masona:

- Podczas rewizji w domu doktor Ladd znaleziono kilka ciekawych rzeczy. Hammond i ja próbujemy ocenić, jakie mogą mieć znaczenie dla sprawy. Zdaniem Smilowa, którego w tym względzie popieram, stanowią dowód przemawiający przeciwko podejrzaney.

Monroe odwrócił się do Hammonda.

- Wyraźnie nie podzielasz ich opinii.

- Moim zdaniem nie mamy niczego. Oni mogą się na tym oprzeć, ale potem to ja będę musiał przedstawić sprawę przed sądem przysięgłych.

Steffi nagle zrozumiała, że najbliższe kilka minut może stanowić klucz do jej przyszłości. Hammond był protegowanym Monroe Masona. Nie tak dawno, bo jeszcze tego ranka, powiedziała szefowi, że jej partner wydaje się dość obojętnie podchodzić do sprawy. Monroe stanął w obronie Hammonda. Tylko głupiec przeciwstawia się następcy tronu.

Z drugiej jednak strony nie mogła pozwolić, by idealna podejrzana wymknęła im się z rąk tylko dlatego, że Hammond jest przewrażliwiony. Steffi uznała, że jeśli dobrze to rozegra, być może Mason zauważy słabostki swojego spadkobiercy, niedostatki, których wcześniej nie widział. Dostrzeże wady, mogące skutecznie przeszkadzać w sprawowaniu funkcji prokuratora okręgowego.

- Uważam, że to, co mamy, wystarczy, by aresztować doktor Ladd - oświadczyła. - Nie wiem, na co jeszcze czekamy.

- Na dowody - wyjaśnił Hammond rzeczowo. - Co ty na to?

- Przecież mamy dowody.

- W najlepszym razie są to marne poszlaki. Ostatni adwokat w Karolinie Południowej bez trudu obali wszystko, co przedstawimy. Tymczasem Frank Perkins wcale nie jest ostatni, wręcz należy do pierwszych. Wątpię, by sąd przysięgłych postawił doktor Ladd w stan oskarżenia, jeśli jako dowody przedstawię włos i okruch jakiegś przyprawy.

- Jakiej przyprawy? - spytał Mason.

- Goździka - odparowała zniecierpliwiona Steffi.

- To nieistotne! - krzyknął Hammond.

- On ma rację.

Łagodne słowa Smilowa sprawiły, że wszyscy błyskawicznie ucichli. Steffi nie mogła uwierzyć, że policjant zgadza się z Hammondem, który zresztą wyglądał na równie zdumionego jak ona.

Mason chciał usłyszeć, co Smilow ma do powiedzenia.

- Zgadzasz się z Hammondem?

- Ale nie do końca. Uważam, że doktor Ladd ma z tym wszystkim coś wspólnego. Nie wiem tylko, w jaki sposób i w jakim stopniu jest zamieszana w to morderstwo. Była w sobotę u Pettijohna. Przeczucie mówi mi, że wcale nie poszła tam w uczciwych zamiarach. Inaczej nie kłamałaby raz za razem, starając się to ukryć. Niemniej patrząc na to od strony prawa, trudno nie przyznać Hammondowi racji. Nie mamy broni. I nie znamy Jej. ..

- Motywu - podsunął Hammond.

- Dokładnie. - Smilow uśmiechnął się kwaśno. - Jeżeli nie miała stosunku z Pettijohnem, rzeczywiście nie jest istotne, czy sypia ze wszystkimi innymi mężczyznami mieszkającymi w Charlestonie. Co nas właściwie obchodzi, że ktoś bez wyraźnego powodu włamał się do jej domu? Za dziwny, lecz bynajmniej nie sprzeczny z

prawem, można uznać fakt, iż przetrzymuje tysiące dolarów w domowym sejfie, chociaż w najbliższym sąsiedztwie ma przynajmniej kilka banków. Przymuszczałaby prędzej pozwoliła skazać się na śmierć, niż zdradziła by zaufanie pacjenta, nawet gdyby ten pacjent był jej ostatnią deską ratunku. Nie wierzę natomiast w opowieść o tym, że przekazywała tylko wiadomość od swojego podopiecznego. Co to, to nie. Tak samo jak nie wierzę w bzdury o wesołym miasteczku i całej reszcie. Najgorsze jest jednak to - podkreślił stanowczo - że nie udało mi się znaleźć motywu uzasadniającego morderstwo Lute'a Pettijohna. Nie zdołałem nawet dojść do tego, czy coś ich łączyło w życiu zawodowym lub osobistym. Jeśli był jej pacjentem, nigdy nie wystawił czeku. Jeżeli zainwestowała w któreś z jego przedsięwzięć, nie ma na to żadnego dokumentu. Nie potrafię nawet udowodnić, że kiedykolwiek byli razem na przyjęciu. Wysłałem jednego ze swoich detektywów do Tennessee, skąd pochodzi doktor Ladd. Ma tam trochę pogrzebać, ale na razie znalazł jedynie jej dokumenty ze szkoły. Jeżeli Pettijohn kiedykolwiek był w Tennessee, nie zostawił tam po sobie śladu.

- A zatem - podsumował Mason - albo mówi prawdę, albo dobrze zatarła za sobą ślady.
- Skłaniam się ku temu drugiemu - wyznał inspektor. - Doktor Ladd coś ukrywa. Tylko nie wiem co.
- Ale jeśli się tego dowiesz ... - powiedziała Steffi.
- Na razie nie wie.
- Gdybyś poznał motyw ...
- Ale go nie zna.
- Zamknij się, Hammondzie, i pozwól mi dokończyć - warknęła. - Proszę.

Machnął ręką, oddając jej głos. Zwróciła się do Smilowa:

- Jeżeli dowiesz się, co ich łączyło, i znajdziesz motyw, czy wówczas wystarczą ci dowody, które masz?

Smilow zerknął na Hammonda.

- To zależy od niego.

Hammond twardo przyjrzał się Smilowowi, potem rzucił okiem na Steffi. W końcu skierował wzrok na Masona, który z wyraźną niecierpliwością czekał na jego odpowiedź.

- Tak - powiedział w końcu. - Wtedy wystarczy mi to, co mamy. Ale to musiałby być bardzo silny motyw.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Wiesz, Davee, to jest w złym guście.

- Nawet bardzo. - Davee Pettijohn była tak z siebie zadowolona, że prawie mruczała, wymieniając u kelnera pustą szklaneczkę na pełną. - Jak już ci mówiłam, Hammondzie, nie mam zamiaru być hipokrytką.

- Nie dalej jak wczoraj odbył się pogrzeb twojego świętej pamięci męża.

- Boże, nawet mi o tym nie przypominaj. Jakie to było dziwne i ponure wydarzenie! Nie zanudziłeś się na śmierć?

Wbrew samemu sobie Hammond uśmiechnął się i podziękował kelnerowi, który przyniósł mu specjalnego drinka.

- Będą o tym mówić jeszcze przez wiele lat.

- O to przede wszystkim chodziło, kochanie - przyznała Davee. - To niewielkie spotkanie towarzyskie ma urazić wszystkie suki, które niezależnie od tego, co zrobię, i tak będą plotkować na mój temat. W związku z tym dlaczego nie mam iść na całość?

Odbywającą się imprezę trudno było nazwać "niewielkim spotkaniem towarzyskim". Pokoje na parterze rezydencji Pettijohna roiły się od przyjaciół, znajomych i pieczeniarzy, którym buntownicza natura pozwoliła zagrać opinii na nosie i pójść na przyjęcie wydawane przez wdowę w dzień po pogrzebie męża.

Z pewnością nie można było uznać tego za stypę. Spotkanie zgodnie zresztą z intencją - bardziej przypominało jakieś zupełnie niestosowne bachanalia.

- Coś takiego na pewno rozzłościłoby Lute'a, prawda? Dostałby wylewu.

- On naprawdę go dostał - zauważył Hammond.

- Tak. Niemal o tym zapomniałam.

- Czy zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa?

- Miał bardzo wysokie ciśnienie.

- Czy brał na to jakieś lekarstwa?

- Powinien. Ale gdy to robił, kiepsko spisywał się w łóżku, dlatego przestał cokolwiek zażywać.

- Wiedziałaś o tym?

Roześmiała się.

- Co ci wpadło do głowy, Hammondzie? Że w jakiś sposób przyczyniłam się do tego wylewu? Posłuchaj, to jego wina. Lute był cholernie uparty. Powiedział, że jeśli ma do wyboru: nie móc się pieprzyć albo kopnąć w kalendarz, woli kopnąć w kalendarz.

- To nie wylew stał się przyczyną jego śmierci, Davee.

- Wiem. Lute został zamordowany. Ktoś strzelił draniowi w plecy. Wypijmy zdrowie tego, kto to zrobił. - Uniosła szklaneczkę.

Hammond nie mógł wnieść takiego toastu. Zaniepokoiło go, że Davee na to stać. Znów zaczął się przyglądać uczestnikom przyjęcia. Oboje stali na galeryjce - był to wspaniały punkt obserwacyjny, z którego

dobrze było widać zabawę.

- Nie widzę nikogo ze starej gwardii.

- Nie zostali zaproszeni. - Sącząc drinka, uśmiechnęła się nikczemie. - Po co odbierać im możliwość spekulowania, ile popełniono tu grzechów i niegodziwości?

To przyjęcie z pewnością dostarczy wielu tematów do plotek.

Wzmacniacze zespołu rockowego odkręcone były na pełny regulator. Stoły uginały się od jadła. Jeszcze więcej było alkoholu. Każdy bez trudu mógł również zaopatrzyć się w narkotyki. Wcześniej Hammond rozpoznał wśród gości znanego dilerę, który wielokrotnie unikał wyroku.

Zauważył też autora bestsellerów, człowieka, który ostatnio zrezygnował z dotychczasowego odosobnienia. Pragnąc uczcić tę decyzję, tego wieczoru jawnie afiszował się ze swoją dziewczyną. W normalnych warunkach ich publiczne wystąpienie prawdopodobnie przykułoby uwagę gości, ale nieopodal stała piękna młoda kobieta, która grupce ciekawskich pokazywała swoje niedawno powiększone piersi, pozwalając im dotknąć i osobiście sprawdzić.

- Za dużo za to zapłaciła - zauważyła Davee z przekąsem.

- Znasz jakiegoś chirurga od cycków, który dawałby rabat?

- Nie, ale znam takiego, który zrobiłby to lepiej.

Hammond spojrzał na nią z ukosa.

Davee roześmiała się w ten swój gardłowy, seksowny sposób.

- Nie, kochanie. Moje w całości należą do mnie. Ale sypiałam z takim jednym. Beznadziejnie spisywał się jako kochanek, ale w pracy był absolutnym perfekcjonistą.

Hammond zmierzył ją od stóp do głowy.

- Miałem zamiar spytać o to zaraz po przyjściu.

- O co?

- Bierzesz lekcje tańca brzucha?

- Czyż nie jest boski?

Davee rozłożyła ramiona i wykonała piruet, pragnąc w pełni zaprezentować swój strój. Uszyty został z krzykliwie czerwonego jedwabiu. Składał się z ciasno przylegających do bioder spodni i króciutkiej, kończącej się tuż poniżej piersi bluzeczki. Spodnie na brzuchu niebezpiecznie opadały. Talię Davee oplatał cienki złoty łańcuszek. Na każdej ręce miała przynajmniej dwanaście złotych bransoletek.

Kończąc obrót, przywarła całym ciałem do Hammonda. Roześmiał się.

- To prawda.

Opuściła ręce, zmarszczyła czoło i spojrzała na niego.

- Cholernie się cieszę, Hammondzie, że tak myślisz. A tak swoją drogą, czemu nie jesteśmy kochankami?

- Musiałbym wziąć numerek.

- Pieprzysz. - Roześmiał się, ale Davee jeszcze bardziej zmarszczyła czoło. - Jak możesz być taki złośliwy, skoro nawet na swoim własnym przyjęciu jestem bez ukochanego?

- A gdzie masażysta?

- Sandro? Pozwoliłam mu odejść.

- Od niedzieli? To szybko.

- Wiesz, jaka jestem, gdy już podejmę decyzję.

- Ocierał się o ciebie w niewłaściwy sposób?

W odpowiedzi na kiepski żart Hammonda wycedziła sarkastycznie:

- Ha, ha!

- Bolesny temat?

- O Boże, nie! Ten facet nie powodował pulsowania serca, jedynie pulsowanie krocza. Miał penis dużo, dużo większy niż mózg.

- Myślałem, że o czymś takim marzy każda kobieta.

- Może na chwilę. Znudził mnie.

- A dla ciebie nuda to prawdziwe przekleństwo.

- Zgadza się. - Spoglądając na tłum w dole, westchnęła. - W związku z tym jestem teraz sama. - Wyciągnęła do niego rękę. - Chodź. Coś ci pokażę.

Poprowadziła go korytarzem do swojej sypialni. Otoczyła ich błoga, pozbawiona muzyki cisza. Davee oparła się o drzwi i zamknęła oczy.

- Mam tego dość. Zaczęła mnie cholernie boleć głowa.

- Nie możesz opuścić własnego przyjęcia, Davee.

- Spośród gości zna mnie zaledwie garstka ludzi. Chcieli przyjęcia, więc je mają. Nieważne, czy będę się wśród nich kręcić, czy nie. Poza tym wcześniej czy później i tak całkiem się spiją. - Przechodząc przez pokój, zdjęła buciki na wysokich obcasach i postawiła drinka na małym stoliku obok szeszlona. Chcesz następnego?

- Nie, dziękuję.

Wzięła od niego zaparowaną szklaneczkę i postawiła obok swojej. To, co zdarzyło się w chwilę potem, kompletnie go zaskoczyło. Sięgnęła po jego dłonie i położyła je na swojej odsłoniętej talii, następnie stanęła na palcach i pocałowała go, po czym ponownie się do niego przytuliła. Tym razem nie zrobiła tego w tak przesadny sposób, za to bardziej jednoznacznie.

W pierwszym odruchu uniósł głowę i wyprostował plecy.

- Co ty robisz?

- Musisz pytać?

Zarzuciła mu ręce na szyję i jeszcze raz próbowała go pocałować, gdy jednak Hammond nie zareagował, opadła na pięty i spojrzała mu w oczy, wyraźnie zawiedziona.

- Nie?

- Nie, Davee.

- Nie potrafisz olać tego wszystkiego? Jeśli nie możesz przelecieć starej przyjaciółki, kogo możesz przelecieć? - A kogo ty możesz przelecieć?

Z uśmiechem ponownie spróbowała dosięgnąć jego ust, ale odchylił głowę.

- Nie jesteśmy już dziećmi, Davee. Wyrośliśmy z okresu eksperymentów.

- Byłoby nam dobrze - obiecała kusicielsko. - Dużo lepiej niż za pierwszym razem.

- Nie wątpię. - Uśmiechnął się i z uczuciem ścisnął ją w pasie, po czym opuścił ręce. - Ale nie mogę. - To znaczy, że tego nie zrobisz.

- Nie zrobię.

- O Jezu! - jęknęła. Opuszczając ręce, przesunęła palcami po jego klatce piersiowej aż do paska, a potem się odsunęła. - Powiedz mi, że to nie to.

- Co takiego?

- Że się w niej nie zakochałeś.

Serce niemal zamarło mu w piersi.

- Skąd o tym wiesz?

- Och, proszę, Hammondzie. Od miesiący poczta pantoflowa informuje, że oboje bierzecie pracę do domu.

- Steffi! - krzyknął z ulgą. - Mówisz o Steffi. Davee, zakłopotana, uniosła głowę.

- A o kim innym miałabym mówić?

Łatwiej przyszło mu przyznać się do romansu ze Steffi niż udzielić odpowiedzi na pytanie Davee.

- Rzeczywiście miałem romans ze Steffi, ale to już skończone.

- Słowo? - Podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Słowo skauta.

- No cóż, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to słyszę. Gdy tu byłeś w niedzielę wieczorem, dałam ci mnóstwo okazji, żebyś powiedział na temat pani Mundell coś niemiłego. Nie skorzystałeś, więc uznałam, że widocznie plotki są prawdziwe. Zbiłeś mnie z tropu. Po prostu, Hammondzie, nie mogłam zrozumieć, na czym polega jej urok. Ta kobieta nie ma stylu, poczucia humoru ani klasy. Idę o zakład, że pani Mundell nawet nie wie, iż po wrześnieowym Świącie Pracy nie należy już chodzić w białych butach.

Hammond roześmiał się.

- Ale z ciebie oszustka! Wcale nie jesteś taka niekonwencjonalna, jak udajesz.

Spojrzała na niego wyniośle.

- Pewnych rzeczy po prostu się nie robi.

- A białe buty to istne tabu.

- Jesteś kimś zainteresowany, prawda? - spytała nagle.- I nie próbuj mnie zbywać tym swoim: "Kto? Ja?", ponieważ wiem, że mam rację.

Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Doprowadzona do rozpacz, wzięła się pod boki.

- Rzuciłam ci to w ramiona - powiedziała, wskazując na swoje zgrabne ciało. - Zaproponowałam pozbawioną jakichkolwiek zobowiązań beztroską zabawę. Więc albo jesteś gejem, albo kochasz się w innej kobiecie, albo straciłam cały swój seksapil i jeszcze dziś wieczorem mogę popełnić samobójstwo. Która odpowiedź jest prawidłowa?

- No cóż, nie jestem gejem i wcale nie straciłaś swojego seksapilu.

Nie wydała triumfalnego okrzyku, chociaż miała do tego prawo. Nie było żadnego: "Wiedziałam!" ani "Nie oszukasz mnie, Hammondzie!" Nic z tych rzeczy.

Natomiast, dostosowując się do jego uroczystego nastroju, powiedziała cicho:

- Tak myślałam. Kiedy ją spotkałeś?

- Ostatnio.

- To jakaś nowa laska? Czy ktoś naprawdę wyjątkowy?

Hammond patrzył przez chwilę na Davee, zastanawiając się, czy próbować ją okłamać, czy nie. Nim rozpoczął romans ze Steffi, spotykał się z wieloma kobietami, ale nigdy nie trwało to długo. W charlestońskich kręgach cieszył się opinią pochodzącego z bogatej rodziny, bardzo obiecującego kawalera do wzięcia. Samotne kobiety same szukały jego towarzystwa. Potencjalne teściowe uważały go za świetną partię.

Matka wciąż przedstawiała go córkom, siostrzenicom i bratanicom swoich przyjaciółek. "To śliczna młoda kobieta pochodząca ze znamienitej rodziny". "Jej krewni mieszkają w Georgii. Zajmują się drewnem budowlanym. A może oponami. Czymś w tym rodzaju". "To po prostu istny skarb. Sadzę, że macie ze sobą wiele wspólnego". Zdawkowa odpowiedź prawdopodobnie zdołałaby przekonać Davee, że obecna znajomość jest taka sama jak poprzednie.

Wdowa po Lucie Pettijohnie była jednak najstarszą przyjaciółką Hammonda, na dodatek miał już dość kłamstw. Dlatego usiadł na brzegu szezlonga i zacisnął dłonie między rozsuniętymi kolanami. Delikatnie opuścił ramiona do przodu.

- Jezu! - zawołała Davee, z powrotem biorąc do ręki swojego drinka. - Jest aż tak źle?

- To nie żadna nowa laska. Jeśli chodzi o drugie pytanie ... sam nie wiem, czy jest kimś wyjątkowym, czy nie. - Za wcześnie, by to powiedzieć?

- Nie, po prostu wszystko jest zbyt skomplikowane.

- Ma męża?

- Nie.

- W takim razie dlaczego jest takie skomplikowane?

- Więcej niż skomplikowane. Wręcz niedozwolone.

- Nie rozumiem.

- Nie mogę o tym mówić, Davee.

Jego słowa zabrzmiały ostrzej, niż zamierzał, widocznie jednak ostrzegły Davee, że to drażliwy temat. Tak czy inaczej, wycofała się.

- W porządku. Ale gdybyś potrzebował przyjaciółki. ..

- Dzięki.

Wyciągnął do niej rękę, odsunął bransoletki i pocałował w nadgarstek. Potem, bezwiednie muskając rowek zostawiony przez jedno ze złotych kółek, spytał:

- Co mnie zdradziło?

- Sposób, w jaki się zachowujesz.

Opuścił rękę Davee.

- A jak się zachowuję?

- Jakbyś czekał w kolejce do obowiązkowej kastracji. - Podeszła do stojącego po drugiej stronie pokoju wózka z alkoholami i przygotowała sobie kolejnego drinka. - Kiedy zobaczyłam cię wczoraj na pogrzebie, od razu wiedziałam, że stało się coś złego. Twoja kariera posuwa się ogromnymi krokami, zresztą częściowo dzięki mnie. Doszłam więc do wniosku, że masz jakieś problemy sercowe.

- Martwi mnie, że tak wyraźnie to widać.

- Możesz być spokojny. Prawdopodobnie nikt inny tego nie zauważył. Znam cię bardzo dobrze, poza tym umiem rozpoznać pewne symptomy. To nieszczęście może oznaczać tylko m-i-ł-o-ś-ć.

Uniósł brwi.

- Nie wierzę.

- Hmm.

- Nigdy mi nie mówiłaś.

- Bo to źle się skończyło. Zdarzyło się tego lata, kiedy byliśmy na weselu. Wesele - prychnęła. - Tylko tego było mi potrzeba, żeby całkowicie pogrążyć się w rozpacz. To dlatego na wszystkich przyjęciach poprzedzających ten ślub zachowywałam się jak suka. Dlatego również tego wieczoru potrzebowałam przyjaciela. Bardzo bliskiego przyjaciela - dodała z łagodnym uśmiechem, na który Hammond odpowiedział tym samym. - Nasza niewielka eskapada na sąsiedni basen przywróciła mi pewność siebie.

- Cieszę się, że mogłam ci w czymś pomóc.

- Do jasnej cholery, naprawdę mi pomogłeś.

Powoli uśmiech zniknął z twarzy Hammonda.

- Nigdy bym się nie domyślił, Davee. Dobrze to ukrywałaś. - Co się stało?

- Spotkaliśmy się na uniwersytecie. Był synem kaznodziei. Jesteś w stanie w to uwierzyć? Ja i syn duchownego! Prawdziwy dżentelmen. Inteligentny. Wrażliwy. Nie patrzył na mnie jak na dziwkę i choć może trudno w to uwierzyć, przy nim wcale nie zachowywałam się jak dziwka.

Dokończyła drinka i nalała sobie następnego.

- Mimo że nią byłam. Nim go spotkałam, pieprzyłam się niemal ze wszystkimi chłopakami z miasteczka studenckiego. Najpierw zaliczałam jeden akademik, potem następny, i tak dalej. Romansowałam nawet z jednym ze swoich wykładowców. Jakimś cudem mój chłopak w ogóle nie miał pojęcia, co o mnie mówią. Tak czy inaczej,

kilku poprzednich partnerów dla żartu postanowiło mu o wszystkim powiedzieć.

Podeszła do okna i wyjrzała przez szparki między listewkami okiennic.

- Doskonale się uczył. Dostał się z listy dziekana. Był bardzo sztywny. Rzadko brał udział w jakichś imprezach. Z tych względów nikt go nie lubił. Chłopcy byli szczęśliwi, że mogą go upokorzyć. Uważali, iż to zasłużona kara za jego wyniosłość. Nie szczędzili mu szczegółów. Mieli nawet kilka zdjęć z imprezy, na której byłam jedną z atrakcji. Kiedy zapytał mnie o to, czego się dowiedział, byłam zdruzgotana, że poznał prawdę. Błagałam, żeby mi wybaczył. Żeby spróbował zrozumieć. Żeby uwierzył, że odkąd go spotkałam, bardzo się zmieniłam. On jednak nawet nie chciał tego słuchać. - Wychyliła się do przodu i oparła czoło o szybę. - Tego samego wieczoru, pragnąc zrobić mi na złość, przespał się z inną dziewczyną. Zaszła w ciążę.

Davee stała nieruchomo, nie pobrzękiwały nawet jej bransoletki.

- Z moralnych i religijnych względów aborcja w ogóle nie wchodziła w rachubę. Zresztą nawet nie przyszło mu na myśl, by postąpić inaczej, niż uważał za słuszne. Poślubił tę dziewczynę. Chociaż to może wydawać się bardzo dziwne, Hammondzie, to właśnie wtedy kochałam go najbardziej. Marzyłam o tym, by mieć z nim dzieci.

Odczekał chwilę, pragnąc się upewnić, że skończyła. W końcu poruszyła się i uniosła drinka do ust.

- Obserwowałaś potem jego poczynania?

- Tak.

- Czy wciąż jest żonaty?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek go widziałaś?

Odwróciła się od okna i spojrzała na niego.

- Wczoraj. Na pogrzebie Lute'a. Siedział z tyłu razem ze Steffi Mundell. Wciąż nie jest zbyt lubiany.

Kiedy Hammond zorientował się, o kogo chodzi, rozdziawił usta. Bezdźwięcznie wymówił imię i nazwisko.

- Rory Smilow?

Roześmiała się z lekką drwiną.

- O gustach się nie dyskutuje, prawda?

Hammond przeczesał palcami włosy.

- Nic dziwnego, że tak bardzo nienawidził Lute'a. Po pierwsze, ze względu na siostrę. Po drugie, z twojego powodu.

- No cóż, prawdę mówiąc, było na odwrót. Lute ożenił się z Margaret dopiero kilka lat po tej historii. Pamiętam, jak Rory przeprowadził się do Charlestonu i zaczął pracować w policji. Przeczytałam o tym w gazecie. Chciałam się z nim wtedy skontaktować, ale nie pozwoliła mi na to duma. Kobieta, którą poślubił, zmarła, wydając na świat martwe dziecko. - Przerwała, by podkreślić ironię tej sytuacji. - Po śmierci rodziców Smilow wzięła na siebie całkowitą odpowiedzialność za Margaret. Przeprowadziła się tu razem z nim. Pracowała w sądzie jako urzędniczka. Zajmowała się archiwum, gospodarką gruntami i tak dalej. To tam spotkała Lute'a. Wcale nie

byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że ich romans zaczął się od tego, że wyświadczyła mu przysługę, na przykład przesunęła granicę jakiejś posiadłości czy coś w tym stylu.

- Mnie by to również nie zdziwiło - przyznał Hammond. _Słyszałem, że ich małżeństwo zamieniło się w koszmar.

- Margaret była bardzo słaba emocjonalnie. Z pewnością nie powinna zostać żoną takiego drania jak Lute. - Davee dokończyła drinka. - Przy kilku okazjach nieźle zatankowałam, zapomniałam o dumie i niby przez przypadek stawałam na drodze Rory'ego. Zawsze patrzył gdzieś obok, jakbyśmy nigdy się nie znali. To boli, Hammondzie. I bardzo złości. Dlatego po samobójstwie Margaret zagięłam parol na Lute'a i tak długo go prześladowałam, aż poprosił mnie o rękę. Rory złamał mi serce. Dlatego postanowiłam odplącić mu tym samym, wychodząc za mąż za mężczyznę, którym najbardziej gardził. - Potem dodała żałośnie: - Niestety, osoba, która próbuje wziąć odwet, nieraz dostaje niezłego kopa w tyłek, prawda?

- Przykro mi, Davee.

- No cóż, wcale nie musisz mi współczuć - wyznała beztrąsko, Hammond wiedział jednak, że udaje. - Wciąż dobrze wyglądam. To - powiedziała, unosząc szklaneczkę - nie zniszczyło urody mojej mamy. Jest śliczna jak zawsze, liczę więc na to, że dobre geny ustrzegą mnie przed złymi efektami demona alkoholu. Mam mnóstwo pieniędzy. Gdy zostanie poświadczona autentyczność testamentu Lute'a, będę miała ich jeszcze więcej. A propos ... Podeszła do antycznego biurka i otworzyła płytką szufladę. - Przez tę pieprzoną wędrówkę ścieżką wspomnień niemal całkowicie o tym zapomniałam. Przeglądając papiery w biurku Lute'a, znalazłam tę kartkę. To jego pismo. - Wręczyła mu jasnozielony skrawek papieru. - Te zapiski dotyczą ostatniej soboty, prawda?

Na widok notatki Hammondowi zawirowało w oczach.

- Lute przy godzinie piątej po południu zapisał twoje nazwisko. Wygląda mi to na spotkanie. Zapewne wolałbyś, żeby nikt o nim nie wiedział.

Zerknął na nią.

- To nie było to, co myślisz. Roześmiała się.

- Hammondzie, kochanie, szybciej uwierzyłabym w kremy usuwające cellulitis niż w to, że byłbyś w stanie popełnić morderstwo. Nie wiem, co ta kartka oznacza, i nie chcę tego wiedzieć. Uznałam po prostu, że powinienes ją mieć.

Hammond spojrział na drugi zapisek widniejący na kwadratowym skrawku papieru.

- Zapisał tu jeszcze następną godzinę. Szóstą. Ale bez nazwiska. Domyślasz się, kto to był?

- Nie. W jego oficjalnym kalendarzu na sobotę nie było żadnych spotkań, ani z tobą, ani z nikim innym.

Widocznie tego popołudnia Lute'a czekało jeszcze jedno spotkanie. Tylko z kim? - zastanawiał się Hammond. Zamyślony, złożył karteczkę i wsadził ją do kieszeni.

- Zgodnie z prawem powinnaś dać to Smilowowi.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby robiła to, co należy? - W miejsce figlarnego uśmiechu pojawił się smutek. - W bardzo przykry sposób przekonałam się, że próba zranienia Rory'ego to jedynie strata czasu. Nie

wierzę, by można było sprawić mu ból. - Całkiem spoważniała. - Ale to wcale nie znaczy, że mam zamiar wyświadczyć mu jakąkolwiek przysługę.

Rozdział dwudziesty piąty

- Był tu ze mną wczoraj wieczorem. - Ellen Rogers musiała krzyknąć, żeby zagłuszyć muzykę. - Przez kilka godzin siedzieliśmy przy tym stoliku i zamówiliśmy kilka drinków. Musi go pan pamiętać.

Barman, wysoki młody człowiek z lśniącym końskim ogonem i srebrnym kółkiem w brwi, zmierzył swoją rozmówczynię niechętnym spojrzeniem, jakby chciał jej powiedzieć, że należy do osób, które szybko się zapomina.

- Widuję mnóstwo ludzi. Noc po nocy. Nie pamiętam wszystkich twarzy. Czasami odnoszę wrażenie, że w mojej głowie zlewają się w jedną.

Na sąsiednim stołku barowym usiadła długonoga blondynka w obcisłej czarnej sukience. Barman wyciągnął ramię tuż przed nosem Ellen, by podać nowo przybyłej ogień.

- Co pani sobie życzy?

- A co ma pan dobrego?

Oparł łokcie o bar i nachylił się w jej stronę.

- To zależy, czego pani szuka.

- Przepraszam - wtrąciła Ellen. Musiała klepnąć barmana po ramieniu, by zwrócić na siebie uwagę. - Jeśli on wróci ... ten facet, z którym byłam tu wczoraj wieczorem ... proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

Nie bardzo wierząc, by to coś dało, wręczyła mu kartkę. - To numer mojego telefonu w hotelu.

- W porządku.

Patrzyła, jak barman wsuwa świstek do kieszeni. Za kilka dni pewnie znajdą ten paperek w jakiejś pralni chemicznej. A weszła do tego lokalu dumnym krokiem osoby święcie przekonanej, iż podjęła krucjatę w słusznej sprawie. Miała do spełnienia określoną misję.

Tego ranka, pomimo przeżytego szoku, szybko się pozbierała.

Kiedy doszła do siebie, postanowiła znaleźć tego kłamliwego sukinsyna i oddać go w ręce policji.

Po zmroku wyruszyła z hotelu, mając zamiar sprawdzić wszystkie nocne lokale w Charlestonie i dołożyć wszelkich starań, by znaleźć i zdemaskować drania. Eddie do perfekcji opanował sztukę uwodzenia. Patrząc na swoją przygodę z perspektywy czasu, Ellen zdała sobie sprawę, że nieznajomy wykazał wobec niej zbyt wielką układność - nie mogła być jego pierwszą ofiarą. Nie będzie też ostatnią. Bezcelny uwodziciel, zadowolony i pewny siebie po odniesionym właśnie sukcesie, z pewnością ponownie wyruszy na polowanie.

Jednak po wizycie w barze straciła sporo animuszu. Uświadomiła sobie, na jak ogromne ryzyko się naraża, wędrując po Charlestonie w poszukiwaniu kłamcy i złodzieja, który przedstawił jej się jako Eddie.

Nowe skórzane czółenka, kupione specjalnie na tę wakacyjną wyprawę, uwierały Ellen w palce. Energiczny marsz zamienił się w kuśtykanie. Była głodna, ale ilekroć próbowała coś zjeść, żołądek się buntował. Wypity ubiegłego wieczoru alkohol i poranna wściekłość najwyraźniej mu nie posłużyły.

Prawdę mówiąc, Ellen nawet nie bardzo mogła sobie pozwolić na posiłek w jakiejś przyzwoitej restauracji. Gdy to sobie przypomniała, zrobiła kwaśną minę. Zawiadomiła banki o kradzieży kart kredytowych, ale nowe

miała szansę otrzymać dopiero za kilka dni. Na szczęście przypomniała sobie, że wsunęła trochę pieniędzy do kieszeni swetra. Był to wprawdzie zaledwie ułamek tej sumy, którą ukraść jej Eddie, ale jeśli będzie oszczędna, wystarczy jej do wyjazdu.

A może lepiej uniknąć dalszych strat i wrócić do domu? Charleston przestał jej się podobać. Wilgoć i upał, które podkreślały romantyczny urok miasta, teraz jedynie zwiększały irytację i ból głowy. Jeśli zostanie tak długo, jak planowała, nie będzie mogła sobie pozwolić na wycieczki ani inne atrakcje. Skracając pobyt, oszczędzi na rachunku za hotel.

Zdrowy rozsądek nakazywał wracać nazajutrz do Indianapolis.

Linie lotnicze pobiorą niewielką opłatę manipulacyjną za zmianę terminu lotu, ale to i tak się opłaci. W swoim domku, z dwoma kotami i wśród dobrze znanych przedmiotów, będzie przynajmniej bezpieczna. Może się w nim zaszyć i lizać rany aż do początku roku szkolnego. W końcu monotonna harówka wymaże z jej pamięci niemiłą przygodę.

W każdym razie mozolna wędrówka przez Charleston w poszukiwaniu Eddiego to strata czasu i sił.

Kuśtykając w niewygodnych skórzanych czółenkach, Ellen nagle zdała sobie sprawę, że być może właśnie w tej chwili Eddie uwodzi następną samotną kobietę, która obudzi się jutro rano ogołocena z portfela i szacunku dla siebie. Nie zgłosi przestępstwa, ponieważ będzie zbyt zawstydzona, by zawiadomić policję. To dlatego Eddie mógł sobie pozwolić na taką arogancję - i dotychczas uchodziło mu to na sucho.

No cóż, ale nie tym razem.

- Może akurat mnie uda się temu zaradzić - powiedziała na głos Ellen Rogers.

Czując nowy przypływ determinacji, weszła do następnego lokalu.

Hammond usiadł w boksie naprzeciw Loretty.

- Co dla mnie masz?

- Żadnego "cześć" ani "jak leci"?

- Na dzisiaj wyczerpały mi się uprzejmości.

- Fatalnie wyglądasz.

- Tobie też skończyły się miłe słówka. - Hammond uśmiechnął się ponuro. - Prawdę mówiąc, dziś po raz drugi słyszę, że fatalnie wyglądam. Ściślej biorąc, od tego właśnie zaczął się mój dzień.

- Co się stało?

- Nie masz dość czasu, by tego wysłuchiwać. Ja też się spieszę, a zatem ... zdobyłaś coś dla mnie czy nie? - Dzwoniłam do ciebie, prawda? - wypaliła.

Nie mógł jej winić za to, że poczuła się urażona. Zachowywał się jak palant. Po wizycie u Davee poczuł się jeszcze gorzej. Kiedy wsiadł do samochodu i sprawdził w swojej komórce pocztę głosową, tylko połowicznie się ucieszył, słysząc ponaglącą wiadomość od Loretty, by jak najszybciej przyjechał do baru Shady Resl. To oznaczało, że jeszcze bardziej wydłuży się dzień, który chciał już skończyć. Z drugiej jednak strony ogromnie był

ciekaw, co znalazła.

Potrząsnął głową, ciężko westchnął i przeprosił.

- Jestem w podłym nastroju, Loretto, ale to nie powód, żeby wyładowywać się na tobie.

- Powinieneś strzelić sobie kielicha.

- Twoja recepta na wszystko.

- Nie na wszystko. A już na pewno nie da się stosować na dłuższą metę. Ale w przypadku podłego nastroju naprawdę może pomóc. - Zamówiła mu burbona z wodą.

W niecałą minutę później trzymał szklaneczkę w ręce i sączył drinka.

- Dobrze wyglądasz.

Ze śmiechem przełknęła wodę sodową.

- Pod warunkiem, że patrzy się na mnie przez dno kieliszka.

Od poniedziałkowego wieczoru W jej wyglądzie rzeczywiście nastąpiły wyraźne zmiany. Widać było, że bardziej o siebie zadbała, miała też na sobie czyste i wyprasowane ubranie. Poprawnie nałożony makijaż ukrył przecinające całą twarz zmarszczki. Oczy Loretty były jasne i przytomne. Chociaż próbowała zlekceważyć komplement, Hammond wiedział, że sprawił jej przyjemność.

- Po prostu trochę się oporządziłam, to wszystko.

- Ufarbowałaś włosy?

- To pomysł Bev.

- Podoba mi się.

- Dzięki. - Skrępowana uniosła rękę i musnęła palcami odmładzającą fryzurę. - Bardzo się ucieszyła, że mam pracę. Powiedziałam jej, że to chwilowe, ale i tak była zadowolona. Pozwoliła mi się do siebie wprowadzić, pod warunkiem - jest równie dobra w stawianiu warunków jak ty - że będę regularnie chodzić na spotkania Anonimowych Alkoholików.

- Jak ci idzie?

- Rano mną trzępie, ale jakoś sobie z tym radzę.

- To dobrze, Loretto. Naprawdę bardzo się cieszę - powiedział. Zrobił przerwę, by zasygnalizować zakończenie wątku, po czym przeszedł do sedna sprawy: - Co dla mnie masz?

Mrugnęła.

- Żyłę złota. Prawdopodobnie przydzielisz mi funkcję sztabowego pracownika biura prokuratora. Może nawet poprosisz, żebym urodziła ci dzieci.

- Aż tak dobrze?

Odstawił na bok drinka. Nie działał zbyt dobrze w połączeniu z tym, co podano na przyjęciu u Davee. Na domiar złego miał wrażenie, że informacja, którą za chwilę usłyszy, nie będzie miła i lepiej wysłuchać jej na trzeźwo.

- Mam wtyczkę, człowieka, który powinien pozostać bezimienny, ale to prawdziwy geniusz komputerowy...

- Piąstka.

- Znasz go?

- Harvey jest i moją wtyczką. Prawdę mówiąc, świadczy usługi na prawo i lewo.

- Chrzanisz? - spytała, zdumiona, speszona i zła.

- Trudno było ci go namówić, prawda?

- Cholera! - powiedziała, uderzając dłońmi w blat stolika. - Ten pompatyczny mały sukinsyn obudził we mnie wyrzuty sumienia, kiedy przyparłam go do muru i próbowałam zakwestionować jego uczciwość.

- Łatwo go przekupić. Dlatego nie poszedłem bezpośrednio do Harveya. Trudno mu ufać.

Hammond nie przejmował się faktem, że poszukiwania dotyczące przeszłości Alex mogą w pewnym momencie doprowadzić do niego. Wierzył Lorecie, która przysięgła, że szybciej da sobie obciąć język, nim zdradzi jego zaufanie. Zastanawiał się jednak, czy ktoś inny nie próbował zmusić Piąstki do tego samego.

- Czy kiedy rozmawiałaś z Harveyem, wiedział coś o sprawie?

- Chyba nie. Ale przestałam już ufać i jemu, i własnemu instynktowi. Dlaczego pytasz?

Hammond wzruszył ramionami.

- Po prostu jestem ciekaw, czy ktoś inny nie zlecił mu również sprawdzenia informacji na temat doktor Ladd. - Na przykład Steffi Mundell?

- Albo Smilow.

- Jeśli Harvey pracuje dla wszystkich, sądzę, że to możliwe. Ale prawdę mówiąc, Hammondzie, wydawał się zaskoczony i zadowolony, że włączam go do swojego dochodzenia.

Przytaknął, po czym wskazał na kopertę leżącą pod jej prawą ręką.

- Przejdźmy do rzeczy.

Otworzyła kopertę i wyjęła kilka złożonych kartek. Hammond zauważył, że są wypełnione pismem maszynowym. Loretta przejrzała te informacje już tyle razy, że właściwie nauczyła się ich na pamięć. Odwoływała się więc do posiadanych dokumentów tylko po to, by sprawdzić konkretne daty.

- To zdumiewające - mruknął, kiedy wyliczyła naukowe osiągnięcia Alex Ladd, chociaż o większości z nich już wiedział. Jednak ulga, którą odczuł, trwała bardzo krótko.

- Zaczekaj. Jeszcze nie przesłałam do najważniejszych informacji.

- Czy przez "najważniejsze" rozumiesz złe?

- W Tennessee doktor Ladd nie może się poszczycić tak wspaniałymi osiągnięciami.

- Co tam się wydarzyło?

- Co tam się nie wydarzyło.

Potem powiedziała mu, co Harvey Piąstka wygrzebał z niedostępnych rejestrów na temat dzieciństwa Alex. Trudno było tego wszystkiego słuchać. Gdy pół godziny później skończyła, Hammond żałował, że tego wieczoru

wziął do ust choćby kropelkę whisky. Był niemal pewien, że mu zaszkodziła. Teraz rozumiał, co Alex miała na myśli poprzedniego wieczoru, mówiąc, że zostałyby pozbawiony wszelkich złudzeń i że jej wyjaśnienia byłyby zbyt bolesne. Nie chciała mu o tym mówić. Wiedział już dlaczego.

Loretta schowała kartki do koperty i triumfalnie wręczyła ją Hammondowi.

- Nie znalazłam niczego, co by wskazywało, że między nią a Pettijohnem istniały jakieś powiązania. Ta sprawa pozostaje tajemnicą.

- Myśle ... myślałem - poprawił - że ta kobieta reprezentuje zbyt wysoką klasę, by mieć coś wspólnego z Lute'em. Wygląda na to, że się myliłem.

Wsunął kopertę wraz z jej obciążającą zawartością do wewnętrznej kieszeni marynarki. Loretta zauważyła, że jest przygnębiony.

- Nie wyglądasz na zbyt podnieconego.

- Nie mogłem spodziewać się lepszych wyników. Powinnaś być dumna z tego, że tak szybko się pozbierałaś i tak dużo dla mnie zrobiłaś. Z nawiązką zrekompensowałaś swoje wcześniejsze błędy. Dzięki.

Przesunął się na ławce, ale Loretta chwyciła go za rękę.

- Co się z tobą dzieje, Hammondzie?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Myślałam, że będziesz skakał z radości.

- To niewątpliwie dobre informacje.

- Zdobycie ich zajęło mi zaledwie dwa dni. - Spowodowały gwałtowny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. -

To, co znalazłam, daje ci podstawę do działania, prawda?

- Zdecydowanie.

- W takim razie czemu jesteś taki przybity?

- Może bardziej zażenowany.

- Czym?

- Tym - powiedział, uderzając się po kieszeni marynarki. Te informacje świadczą, że nie potrafię oceniać ludzi. Naprawdę nie przypuszczałem, że byłaby w stanie ... - Głos mu się załamał, dlatego nie dokończył zaczętej myśli.

- Masz na myśli Alex Ladd? - Przytaknął. - Uważasz, że jest niewinna? Że Smilow prześladowuje niewłaściwą osobę? Czy ta kobieta ma jakieś alibi?

- Dość kiepskie. Utrzymuje, że była w wesołym miasteczku w pobliżu Beaufort. I że nikt nie może tego potwierdzić. - Tym razem kłamstwo przyszło mu już z dużą łatwością, mimo że rozmawiał z zaufaną przyjaciółką.

- Tak czy inaczej, w świetle tych informacji jej nie potwierdzone alibi nie ma właściwie żadnego znaczenia.

- Mogłabym ...

- Przepraszam, Loretto. Mówiłem ci już, że miałem ciężki dzień i jestem zmęczony.

Próbował się uśmiechnąć, zdawał sobie jednak sprawę, że mu się to nie udało. Dusił się w ponurym wnętrzu. Miał wrażenie, że dym coraz bardziej gęstnieje. Wszędzie wyczuwał odór rozpaczony. Pulsowało mu w głowie i burczało w brzuchu. Spojrzenie Loretty było ostre jak nóż. Obawiając się, by nie zobaczyła za dużo, starał się nie patrzeć jej prosto w oczy.

- Jutro dostaniesz swoje wynagrodzenie.
- Dla ciebie, Hammondzie, przeszukałam wszystkie kąty.
- Świetnie się spisałaś.
- Ale liczyłeś na więcej.

Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że Loretta niczego nie znajdzie. Na pewno chciał mniej, niż dostał.

- Nie, nie. Dzięki tym informacjom będę mógł pchnąć sprawę.

Rozpaczliwie pragnąc sprawić mu przyjemność, Loretta mocniej chwyciła go za rękę.

- Mogę spróbować znaleźć coś więcej.

- Daj mi na razie czas na oswojenie się z tym, co mam. Jestem pewien, że to wystarczy. Jeśli nie, skontaktuję się z tobą.

Czuł, że bez świeżego powietrza lada chwila umrze. Uwolnił rękę z wilgotnej dłoni Loretty, zachęcił ją, by nadal trzymała się z dala od kieliszka, po czym ponownie podziękował za dobrze wykonaną robotę i rzucił przez ramię pospieszne "do widzenia".

Za drzwiami Shady Rest powietrze nie było ani świeże, ani orzeźwiający. Kiedy wciągał je w płuca, miał wrażenie, że zalepiło mu wszystkie pory.

Chociaż od zachodu słońca minęło już kilka godzin, z chodnika emanował żar, który przez podeszwy palił w stopy. Hammond czuł, że ma lepką skórę. Tak samo było, gdy chorował w dzieciństwie. Kiedy gorączka ustępowała, matka zdejmowała z niego wilgotne piżamy i zmieniała pościel, tłumacząc, że pot to bardzo dobry znak. Zapewniała go, że wkrótce wyzdrowieje. On jednak wcale nie czuł się lepiej. Wolał suchą gorączkę niż niemiłą wilgoć na skórze.

Po chodniku sнуło się mnóstwo ludzi, którzy wędrowali od drzwi do drzwi, choć w rzeczywistości nie mieli gdzie się podziać. Szukali jakiegoś ciekawego zajęcia. Mogli się upić w którejś z knajp, ukraść coś przydatnego, zniszczyć lub zbezczeszczyć czyjąś własność albo dokonać krwawej zemsty.

Zazwyczaj Hammond był przygotowany na potencjalne niebezpieczeństwo, jakie te okolice stwarzały dla przybysza z zewnątrz. Zarówno czarni, jak i biali przechodnie prychali na niego z ewidentnym uprzedzeniem lub wyraźną nienawiścią. Zdecydowanie był "bogaczem", tymczasem znalazł się na obszarze zdominowanym przez "biedotę". W każdej innej sytuacji w drodze powrotnej do samochodu bez przerwy oglądałby się przez ramię, spodziewając się, że rozebrano mu auto. Tego wieczoru był jednak tak zaabsorbowany, że z dziwną lekkomyślnością i obojętnością reagował na rzucane w jego stronę wrogie spojrzenia.

Raport Loretty na temat Alex całkowicie go załamał. To poważnie rzutowało na emocje. Całość była tak przytłaczająca, że nie potrafił oddzielić od siebie poszczególnych aspektów sprawy.

Kiedy Smilow pozna przeszłość Alex - a wcześniej czy później któryś z detektywów na pewno na to trafi - spełnią się jego marzenia. Steffi otworzy butelkę szampana, ale dla Hammonda i Alex to będzie klęska, zarówno pod względem zawodowym, jak i osobistym.

Posiadane informacje przywodziły na myśl ciężarek z ołowiu wiszący na cienkim włóknie dokładnie nad głową Hammonda. Kiedy nitka pęknie? Dziś wieczorem? Jutro? Pojutrze? Jak długo można żyć w ciągłej niepewności? Ile czasu można walczyć z własnym sumieniem? Nawet jeśli godzina śmierci Pettijohna świadczy o tym, że to nie Alex go zamordowała, w jakimś stopniu musiała być zamieszana w tę zbrodnię.

Pod wpływem tych ponurych i absorbujących myśli Hammond tracił chęć do działania. Zapomniał, gdzie się znajduje. Myślał wyłącznie o tym, że może zostać skreślony z listy prawników. Kiedy w końcu dotarł do przecznicy, na której zostawił samochód, uruchomił centralny zamek i otworzył drzwi, nawet nie sprawdzając, czy nic mu nie grozi.

Nagle przestraszył go niespodziewany ruch za plecami. Błyskawicznie się odwrócił i uniósł rękę, gotów do obrony.

Niewiele brakowało, a z rozpędu uderzyłby Alex.

- Co to ma, do diabła, znaczyć?! - Szybko zlustrował wzrokiem najbliższy teren. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę z ciemności i niebezpiecznego otoczenia. - Cholera jasna, co ty robisz w takiej okolicy?

- Przyszłam tu za nią.

- Za kim?

Zielone oczy rzuciły mu pełne złości spojrzenie.

- A jak myślisz, Hammondzie? Za kobietą, której kazałeś mnie śledzić.

- Niech to diabli!

- Pomyślałam dokładnie to samo - powiedziała ze złością. - Zdziwiło mnie, że ta sama turystka dwukrotnie w ciągu jednego dnia przyszła sfotografować mój dom. Najpierw rano, a potem jeszcze raz, w chwilę po tym, jak odjechali ludzie Smilowa. Po południu, wracając do domu z dzisiejszego upokarzającego przesłuchania, wstąpiłam do supermarketu. Ona również tam była i udawała, że interesują ją arbuzy. W końcu zrozumiałam, że jestem inwigilowana.

- To nie inwigilacja.

- No właśnie. Policja powinna robić to profesjonalnie. Tymczasem ta kobieta najzwyczajniej pod słońcem mnie szpiegowała.

- Alex ...

- Więc zgubiłam ją, zatoczyłam koło, odwróciłam rolę i zaczęłam iść za nią. Podejrzywałam, że doprowadzi mnie do inspektora Smilowa. Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy na spotkanie przyszedłeś ty.

- Nie porównuj mnie ze Smilowem.

- Nie muszę. Jesteś od niego dużo gorszy - powiedziała zachrypniętym głosem, zdradzającym mnóstwo sprzecznych emocji. - Bardziej podstępny. Bardziej zdradziecki. Zacząłeś od tego, że się ze mną przespałeś.

- To nie tak.

- Naprawdę? W takim razie jak? Która część jest nieścista? Czy to policjantka?

- Prywatny detektyw.

- Jeszcze gorzej. Zapłaciłeś jej za wtykanie nosa w moje sprawy.

- W porządku, przyłapałaś mnie - przyznał. Zaczynał być równie zły jak ona. - Jest pani bardzo mądrą osobą, doktor Ladd.

- Czy miło się wam o mnie gawędziło?

- Wcale nie, ale to, co wygrzebała, jest cholernie interesujące. Zwłaszcza dokumenty z Tennessee.

Alex zamknęła oczy i lekko się zachwiała. Szybko jednak zdołała się otrząsnąć. Otworzyła oczy i kazała mu iść do diabła.

Okręciła się na pięcie, ale Hammond chwycił ją za rękę i odwrócił z powrotem twarzą do siebie.

- To nie moja wina, Alex, że dowiedziałem się o tobie takich rzeczy. Kiedy wynajmowałem tę kobietę, myślałem, że wyświadczam przysługę nam obojgu.

- Na Boga, w jaki sposób?

- Miałem idiotyczną nadzieję, że znajdzie coś uniewinniającego. Ale zrobiłem to, nim zaczęłaś okłamywać policję i zapędzać samą siebie w kozi róg.

- Wolałbyś, żebym powiedziała im prawdę?

To samo pytanie zadała mu, kiedy przypadkowo spotkali się w windzie. Wówczas nie umiał jej odpowiedzieć. Potem dużo nad tym myślał.

- To, że spędziliśmy ze sobą sobotni wieczór, nie ma żadnego znaczenia.

- W takim razie czemu im o tym nie powiedziałeś? Dlaczego stałeś jak kołek, gdy zadawano mi upokarzające pytania na temat moich brudów, w dosłownym tego słowa znaczeniu? Czemu nie powiedziałeś im wszystkiego? Nie wyjaśniłeś, kto poprzedniego wieczoru włamał się do mojego domu i zaplamił moją pościel?

- Ponieważ to jest nieistotne. Roześmiała się gorzko.

- Okłamuje pan samego siebie, prokuratorze Cross. Mimo całej błyskotliwości trudno by ci było przekonać kogokolwiek, że to nie ma znaczenia. A skoro już o tym mowa, wyjaśniłam, skąd się wzięła krew. Ale obecność spermy można wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Zresztą nie byłoby jej tam, gdybyś się zabezpieczył.

- Nie pomyślałem o tym. - Zbliżywszy twarz do jej twarzy, dodał pełnym złości szeptem: - Ty również. - Kiedy odwróciła głowę, wiedział, że wygrał tę rundę. - Poza tym jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

Ponownie na niego spojrzała.

- Nie rozumiem twojego toku myślenia.

- To, że ze sobą sypiamy, nie ma żadnego znaczenia dla sprawy. - Jeśli uda mu się przekonać Alex, może zdoła przekonać i kogoś innego. Może nawet sam w to uwierzy. - Dużo nad tym myślałem. W ostatnią sobotę mogłaś zamordować Pettijohna, nim wyjechałaś z Charlestonu.

Szybko zaczerpnęła powietrza i skrzyżowała ręce na brzuchu, jakby poczuła nagły ból.

- Tak sądzisz? Mówiłeś, że nie zgadza się czas śmierci.
- Ponieważ nie chciałem, żeby się zgadzał.
- A teraz chcesz?
- Zabiłaś go, a potem zaaranżowałaś nasze spotkanie, żeby mieć alibi.
- Powiedziałaś ci już wczoraj wieczorem, że nie zamordowałam Pettijohna.
- W porządku. I wcale się z nim nie pieprzyłaś.

Ponownie okręciła się na pięcie, chcąc odejść. Hammond błyskawicznie wyciągnął rękę do przodu. Tym razem Alex dłużej się broniła.

- Cholera jasna! Puść mnie!

Odwrócił ją i uwięził w kącie utworzonym przez otwarte drzwi samochodu. Zależało mu na tym, żeby go wysłuchała.

- Wcale nie chcę tak myśleć, Alex.
- No proszę! Dzięki. Niezmiernie się cieszę, że nie chcesz uważać mnie za dziwkę i morderczynię.
- A w co mam wierzyć?
- Możesz sobie wierzyć, w co chcesz, bylebyś zostawił mnie w spokoju.

- Przez cały czas, nawet jeśli przekraczało to granice zdrowego rozsądku, wszelkie wątpliwości tłumaczyłem sobie na twoją korzyść. Aż do dzisiejszego wieczoru. - Rozpiął marynarkę i pokazał jej kopertę wystającą z wewnętrznej kieszeni.

Nagle Alex przestała walczyć. Przez chwilę patrzyła na szary papier. Hammond dostrzegł, że wykrzywiła usta, jakby poczuła wyrzuty sumienia. Kiedy uniosła głowę, w jej oczach widać było bunt i dumę.

- Jest co poczytać, prawda?
- To bardzo obciążający materiał. Cholernie obciążający. Czegoś takiego potrzebują, żeby cię przyszpilić.
- W takim razie czemu jeszcze ze mną rozmawiasz?
- Smilow na pewno to wykorzysta.
- Więc zadzwoń do niego. Podaj mu szczegóły. Dostałeś, czego chciałeś i za co zapłaciłeś.
- Masz szansę wszystko mi wytłumaczyć.
- Sądzę, że te informacje same wszystko tłumaczą.
- To znaczy, że mam potraktować je dosłownie?
- Gównu mnie obchodzi, jak je potraktujesz.

- W porządku. Zinterpretuję je w jedyny możliwy sposób. - Przycisnął ją dolną częścią ciała. - Masz za sobą długą drogę, dziecinko.

Jej opanowanie i pełna pogardy duma prysnęły. Obydwoma rękami pchnęła go mocno w klatkę piersiową.

- Zostaw mnie.

Nie ustąpił.

- Teraz rozumiem, że to, co zrobiłaś w sobotni wieczór, wcale nie było zwyczajnym uwiedzeniem.

- Nie uwiodłam cię.

- No jasne, ale na ten temat rozmawialiśmy już wcześniej. Jesteś zamieszana w ciężkie przestępstwo. Celowo mnie w to wciągnęłaś. Dlaczego, Alex? Rozmyślnie doprowadziłaś do tego, że jako prokurator znalazłem się w dwuznacznej sytuacji. Wciągnęłaś mnie w coś, chociaż, do diabła, sam nie wiem, co to jest.

- W nic cię nie wciągnęłam. Problem w ogóle nie istniał. Przynajmniej póki się nie okazało, że Pettijohn nie żyje.

- Czy on też brał w tym udział?

- W ogóle mnie nie słuchasz! - krzyknęła.

- Czy byłem celem jego ostatniego spisku? Próbował mnie zniszczyć, tylko wcześniej został zamordowany?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Nie mam nic wspólnego z jego morderstwem.

- Chciałbym w to wierzyć. Ale nasze spotkanie nie było przypadkowe, Alex. Do tego już się przyznałaś. Próbowała go obejść, zablokował jej jednak drogę i chwycił za ramiona.

- Nie puszczę cię, póki nie poznam prawdy. Skąd wiedziałaś, że będę w wesołym miasteczku? Potrząsnęła głową.

- Skąd o tym wiedziałaś? Uparcie milczała.

- Powiedz mi, Alex. Skąd wiedziałaś, że tam jadę? To było niemożliwe. Chyba że ... - Nagle urwał. Zmierzył ją ostrym, przeszywającym spojrzeniem i jeszcze mocniej ścisnął jej ramiona.

W oczach Alex wyczytał wyraźną odpowiedź.

- Jechałaś za mną - szepnął.

Bardzo długo się wahała, zanim w końcu powoli przytaknęła.

- Tak. Jechałam za tobą od Charles Towne Plaza.

Rozdział dwudziesty szósty

- Przez cały czas wiedziałaś, że tam byłem?

- Tak!

- U Pettijohna?

- Owszem.

- I nie puściłaś pary z ust? Dlaczego?

- Jeśli powiem ci to teraz, i tak mi nie uwierzysz.

Wpatrzyła się w jego marynarkę, jakby przez materiał chciała zajrzeć do schowanej w wewnętrznej kieszeni koperty. Była zła. Wyglądała też na bardzo smutną.

- To paskudna historia, ale i tak nawet w przybliżeniu nie oddaje jeszcze paskudniejszej rzeczywistości. Nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. - Spojrzała mu w oczy. - Teraz zostanę osądzona na podstawie swojej przeszłości i nikogo nie będzie obchodziło, kim jestem dzisiaj.

- Nie mam zamiaru ...

- Już to zrobiłaś - zapewniła go gorąco. - Widzę to w sposobie, w jaki na mnie patrzysz, i słyszę w twoich złośliwych insynuacjach. Dobrze ci oceniać ze swojej pozycji, prawda? Wywodzisz się z bogatej rodziny z rodowodem. Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się głodować, Hammondzie? Czy marzęś, ponieważ nie było pieniędzy na opał? Chodziłeś brudny, gdyż zabrakło mydła?

Próbował ją objąć, ale wysunęła mu się z ramion.

- Nie, nie chcę, żebyś mi współczuł. Czasami cieszę się, że mam za sobą taką przeszłość, ponieważ dzięki temu stałam się silna. Dzięki temu jestem tym, kim jestem, i łatwiej przychodzi mi nieść pomoc pacjentom. Ponieważ nie szokuje mnie nic, co mi mówią. W pełni akceptuję ludzi i ich wady, gdyż wiem, że dopóki nie przeżyło się dokładnie tego samego, co przeżył dany człowiek, dopóty nie ma się prawa osądzać jego zachowania. Gdybyś chodził głodny, cierpiał upokorzenia i nienawidził siebie za to, co robisz ... gdybyś nabrał przekonania, że jesteś śmieciem, niewartym niczyjego uczucia, niewartym miłości ...

Urwała i tak szybko zaczerpnęła powietrza, że aż zadrzała.

Potem prychnęła i odrzuciła do tyłu głowę, nie zwracając uwagi na płynące po policzkach łzy.

- Miłej lektury, Hammondzie.

Odepchnęła go na bok i oddaliła się. Po chwili zniknęła za rogiem.

Hammond patrzył za odchodzącą Alex, wiedząc, że nic, co teraz powie, nie pokona jej złości. Zaklął, oparł łokieć o dach samochodu i położył głowę na przedramieniu. Jednak wytechnienie trwało zaledwie kilka sekund.

Usłyszawszy stłumiony krzyk, uniósł głowę i rozejrzał się dookoła.

Alex z powrotem wbiegła w przecznicę. Za nią pędził jakiś mężczyzna.

- On ma nóż! - krzyknęła.

Napastnik chwycił ją za włosy i jednym szarpnięciem zatrzymał na miejscu. Gdy uniósł rękę, Hammond dostrzegł błysk stali. Bez zastanowienia rzucił się na niego, ramieniem trafiając go pod żebra. Bandyta zachwiał

się.

Żeby nie upaść, musiał puścić Alex. Odskoczyła od niego.

Hammond ledwo miał czas zauważyć, że błyskawicznie znalazła się w bezpiecznej odległości. W tym samym momencie dostrzegł błyszczące srebrzyste ostrze zmierzające łukiem w stronę jego brzucha. Instynktownie osłonił się ramieniem. Nóż prześlizgnął się po jego ręce od łokcia do nadgarstka.

Ponieważ Hammond był bezbronny, pozornie nie miał szansy na zwycięstwo w tej walce. Jednak gdy grał przed laty w futbol, nauczył się pewnej formy obrony. Pragnąc sprawić przyjemność ojcu, bardzo ostro poczynił sobie na boisku.

Instynktownie zastosował taktykę blokowania, która doskonale zdawała egzamin podczas meczów, pod warunkiem że manewru nie zauważył sędzia. Hammond wysunął do przodu głowę, jakby miał zamiar zaatakować nią napastnika w szyję, zatrzymał się jednak, nie zadając ciosu. Uliczny bandyta zareagował w sposób łatwy do przewidzenia - cofnął głowę, odsłaniając jabłko Adama. Hammond uderzył w nie mocno przedramieniem. Wiedział, że to cholernie boli i unieruchomi napastnika przynajmniej na kilka cennych sekund.

- Wskakuj do auta! - krzyknął do Alex.

Próbował kopnąć bandytę w krocze, ale spudłował i trafił w udo. Ten cios nie wyrządził wprawdzie opryszkowi krzywdy, ale Hammondowi dał następne pół sekundy, pozwalając mu dopaść do samochodu. Przez cały czas tuż za jego plecami świstało ostrze noża. Alex wskoczyła przez otwarte drzwi od strony kierowcy i przesunęła się na sąsiednie siedzenie. Hammond, praktycznie biorąc, runął za kierownicę, potem odchylił się do tyłu i grzmotnął napastnika piętą w brzuch. Ten zrobił unik do tyłu, zdążył jednak machnąć nożem. Hammond usłyszał odgłos rozdzieranego materiału.

Chwycił za klamkę, zamknął drzwi i zablokował. Napastnik szybko odzyskał równowagę. Zaczął walić w szyby i drzwi, wykrzykując straszne przekleństwa i śmiertelne groźby.

Hammond czuł, że jego prawa ręka jest śliska od krwi, zdołał jednak wetknąć kluczyk do stacyjki i uruchomić silnik. Wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu. Z piskiem opon samochód wypadł z przecznicy i zarzucając tyłem, wjechał na ulicę.

- Hammondzie, jesteś ranny!

- Co z tobą?

Oderwał wzrok od drogi, by zerknąć na Alex. Klęczała na miejscu pasażera i oglądała jego ramię.

- Nic mi się nie stało. Czego, niestety, nie można powiedzieć o tobie.

Prawy rękaw było nasiąknięty krwią. Kapała na kierownicę, która stawała się zbyt śliska, by ją utrzymać. Hammond musiał prowadzić lewą ręką. Ale nie zwolnił. Przejechał nawet na czerwonych światłach.

- Ten oprych prawdopodobnie ma tu przyjaciół. Okradliby nas i potem zabrali samochód. Musimy jak najszybciej opuścić tę dzielnicę.

- On niczego nie próbował ukraść - wyjaśniła z nadzwyczajnym opanowaniem. - To ja byłam celem jego ataku. Zawołał mnie po imieniu.

Hammond spojrzał na nią zdumiony. Samochód zjechał z drogi i niemal wpadł na słup z telefonem.

- Hammondzie! - krzyknęła. Ponownie odzyskał panowanie nad wozem. - Jedziemy na pogotowie. Muszą ci założyć parę szwów.

Puścił na chwilę kierownicę i lewym rękawem przetarł czoło.

Bardzo się pocił. Czuł, że lepkie kropelki spływają mu po twarzy, włosach i żebrach, a potem zbierają się w kroczu. Teraz, kiedy wyczerpał się zapas adrenaliny, zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co się stało i do czego mogło dojść. On i Alex mieli szczęście, że jeszcze żyli. Jezu, mogła zginąć! Na myśl o tym, że otarła się o śmierć, zrobiło mu się słabo. Zadrżał.

Na pierwszym większym skrzyżowaniu, na jakie się natknęli, musiał zatrzymać się na światłach. Wziął głęboki wdech, marząc o tym, by przestało mu szumieć w głowie. Odgłos ten przypominał brzęczenie tysiąca pszczoł.

- Z nogi też cieknie ci krew, ale bardziej martwi mnie twoja ręka - wyznała Alex. - Jak sądzisz, czy nóż dotarł do mięśni?

Zielone światło. Hammond mocno nacisnął pedał gazu. Samochód ruszył do przodu jak narowisty rumak. Po paru sekundach przekroczył dozwoloną prędkość. Kilka przecznic przed nimi widać było kompleks szpitalny.

- Hammondzie, dobrze się czujesz? Głos Alex dochodził z bardzo daleka. - Nic mi nie będzie.

- Jesteś w stanie przejechać resztę drogi?

- Hmm.

- Wydaje mi się, że nie. Zatrzymaj się. Pozwól, że siądę za kierownicą.

Próbował ją zapewnić, że dobrze się czuje, ale nie mógł oddzielić od siebie słów. Z jego gardła wydobył się jeden nieartykułowany bełkot.

- Hammondzie?! Hammondzie?! Musisz tu skrócić. Pogotowie ...

- Nie.

- Straciłeś bardzo dużo krwi.

- Przecież jesteś lekarzem. - Boże, jego język zrobił się taki sztywny!

- Nie takim, jakiego potrzebujesz! - zawołała. - Musisz jechać do szpitala. Wziąć zastrzyk przeciwțęcowy.

Może nawet potrzebna ci transfuzja.

Potrząsnął głową i wymamrotał:

- Mój dom.

- Proszę, bądź rozsądny.

- Oboje ... - Spojrzał na nią i potrząsnął głową. - Bylibyśmy przegrani.

Przez kilka sekund nie mogła się zdecydować, widocznie jednak doszła do tego samego wniosku. Sięgnawszy w bok, przejęła śliską od krwi kierownicę.

- Zgoda, ale ja prowadzę.

Udało jej się dobić do krawężnika i zaparkować. Kosztowało ją nieco wysiłku i łagodnej, acz zdecydowanej perswazji, by przekonać Hammonda, że muszą zamienić się miejscami. Wsiadła i obesła auto, otworzyła drzwiczki z jego strony i pomogła mu wysiąść. Ledwo trzymał się na nogach. Usadowiła go na miejscu pasażera i zapięła pas bezpieczeństwa. Gdy tylko usiadł, odchylił głowę i zamknął oczy.

Nie mogła dopuścić do tego, by zemdleł.

- Hammondzie, gdzie mieszkasz? - Sięgnęła po jego telefon komórkowy i zaczęła wybierać numer. - Hammondzie!

Podał jej niewyraźnie ulicę i numer.

- Nnnaprzeciwko przystani. Kawwwałek ...

Podbródkiem wskazał kierunek. Na szczęście Alex знаła tę ulicę. Znajdowali się zaledwie kilka przecznic od niej. Za kilka minut będą na miejscu.

Zupełnie inną sprawą było przekonanie doktora Douglasa Manna, żeby zgodził się na wizytę.

Jakimś cudem Alex pamiętała jego numer domowy. Odebrał po drugim sygnale.

- Doug, tu Alex. Dzięki Bogu, że cię złapałam.

Jadąc, wyjaśniła mu sytuację, pominęła jedynie fakt, że nie był to przypadkowy napad.

- Z tego, co mówisz, wygląda na to, że trzeba go zawieźć do szpitala.

- Doug, proszę. Wyświadczyć mi tę przysługę.

Niechętnie spytał o adres. Podała go, podjeżdżając pod dom Hammonda.

- Jesteśmy na miejscu. Przyjedź jak najszybciej.

Pilot, którym otwierało się garaż Hammonda, wisiał na osłonie przeciwsłonecznej. Alex wjechała do środka, po czym zamknęła bramę i wyłączyła silnik.

Wsiadła, obiegła samochód i podeszła od drugiej strony.

Hammond wciąż miał zamknięte oczy. Był blady. Kiedy próbowała go podnieść, jęknął.

- To nie będzie łatwe, ale muszę wprowadzić cię do środka. Jesteś w stanie wystawić nogi?

Poruszał się, jakby ważył pół tony, ale mu się udało. Wsunęła dłonie pod jego pachy.

- Wstań, kochanie, i wesprzyj się na mnie.

Zrobił, co mu kazała, ale jego prawą rękę przeszył ostry ból.

Hammond krzyknął.

- Przepraszam - powiedziała poważnie.

Wyciąganie go przypominało zmaganie się z siedemdziesięciokilogramową szmacianą lalką. Całkowicie brakowało mu koordynacji. Na szczęście wykonywał jej polecenia. Dzięki temu zdołała wywlec rannego z samochodu i postawić na nogi. Potem, podtrzymując go, z trudem dotarła do tylnych drzwi.

- Czy to wejście jest zamknięte? Uruchomimy jakiś alarm? Potrząsnął głową.

Wprowadziła go do kuchni.

- Gdzie jest najbliższa łazienka?

Machnął lewą ręką. Drzwi do małej łazienki znajdowały się w krótkim korytarzu między kuchnią a czymś, co wyglądało na salon. Alex oparła mężczyznę o komodę i włączyła światło. Po raz pierwszy zobaczyła jego rany w pełnym świetle.

- O mój Boże!
- Nic mi nie jest.
- Nieprawda.

Miał rozplataną skórę na prawej ręce. Trudno było powiedzieć, jak głęboka jest rana, ponieważ wciąż płynęła z niej krew. Alex wzięła się do roboty. Najpierw zdjęła mu marynarkę, potem rozerwała rękaw koszuli aż do szwu na ramieniu. Szybko pozdejnowała z ozdobnych wieszaków ręczniki oraz myjki i owinęła nimi przedramię, następnie mocno je ścisnęła, mając nadzieję, że ten prowizoryczny opatrunek zatamuje krwawienie.

Uklękła przed Hammondem i próbowała rozerwać nogawkę spodni, niestety, okazało się, że materiał jest za mocny, więc ze zniecierpliwieniem podsunęła ją nad kolano. Rana biegnąca wzdłuż łydki nie była taka głęboka jak ta na ręce, ale również krwawiła. Skarpetka przesiąkła czerwienią. Alex odwróciła do góry nogami pusty kosz na śmieci i oparła o niego stopę Hammonda, potem postąpiła tak samo jak z raną na ręce, owijając łydkę ręcznikami.

Wstała, zakrwawioną dłonią odgarnęła włosy z twarzy i zerknęła na zegarek.

- Gdzie on się podziewa? Powinien już tu być! Hammond sięgnął po jej rękę.
- Alex?

Zamilkła i spojrzała na niego.

- Ten bandyta mógł cię zabić - wychrypiał.
- Ale tego nie zrobił. Jestem tutaj. - Ścisnęła dłoń Hammonda.
- Dlaczego im nie powiedziałaś?
- Że byłeś u Pettijohna?

Przytaknął.

- Bo gdy przesłuchiwali mnie po raz pierwszy, myślałam, że to ty go zabiłeś.

Hammond jeszcze bardziej zbladł.

- Myślałaś ...

- Nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić, Hammondzie. To zbyt zawile. Jesteś w takim stanie, że prawdopodobnie później i tak niczego nie będziesz pamiętał. Mogę ci tylko powiedzieć, że początkowo kłamałam, żeby ochraniać siebie. Kiedy jednak usłyszałam, że Pettijohn został zastrzelony, kłamałam dalej, tym razem pragnąc chronić ...

Zamrugnął i spojrzał na nią pytająco.

- Ciebie.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Uwolniła rękę.

- Jest doktor.

Obudził się przerażony, z imieniem Alex na ustach. O czymś koniecznie musiał jej powiedzieć. Musieli porozmawiać.

- Alex.

Przestraszył się własnego zachrypniętego głosu. Poruszył się, usiłując wstać. Gdy poczuł, że ma sztywne ramię, przypomniał sobie, co się stało.

Otworzył oczy. Leżał we własnym łóżku. W pokoju było ciemno, świeciła się tylko mała nocna lampka, którą ktoś przeniósł z przedpokoju i podłączył do gniazdka w sypialni.

- Jestem tutaj.

Alex stanęła przy łóżku, pochyliła się nad Hammondem i położyła rękę na jego ramieniu. Kiedy spał, wzięła prysznic i umyła włosy. Nie była już cała oblepiona krwią i miała na sobie jeden z najstarszych i najbardziej miękkich podkoszulków Hammonda. Tak samo jak w chacie.

- Jeśli chcesz, możesz zażyć następną tabletkę przeciwbólową.

- Dobrze się czuję.

- Napijesz się wody?

Odmówił.

- W takim razie pośpij jeszcze.

Poprawiła koldrę okrywającą jego nagą klatkę piersiową, kiedy jednak próbowała się odsunąć, położył dłoń na jej ręce i przycisnął ją mocno do piersi.

- Która godzina?

- Parę minut po drugiej. Spałeś kilka godzin.

- Co to był za lekarz?

- Mój przyjaciel. Dobry przyjaciel. Możemy mu zaufać.

- Jesteś pewna?

- Wystarczy, jeśli powiem, że był mi winien przysługę. Upierał się, żebym zawiozła cię na pogotowie, ale udało mi się go przekonać.

- Co mu powiedziałaś?

- Że chciałeś uniknąć korowodów związanych ze składaniem doniesienia o przestępstwie.

- Uwierzył?

- Nie, ponieważ dziś rano widział w moim domu Smilowa i jego bandę. Wie, że coś jest nie w porządku. Ale nie dopuściłam do tego, by zbyt protestował. Gdyby się okazało, że twoje rany są bardzo groźne, sama upierałabym się przy szpitalu. Gdy jednak zostały opatrzone, doszłam do wniosku, że wystarczy, gdy jakiś lekarz zajmie się nimi tutaj. Prawdopodobnie otrzymałeś lepszą pomoc niż w szpitalu. A już na pewno udzielono ci jej dużo szybciej.

- Pamiętam wszystko jak przez mgłę.

- Dał ci zastrzyk, który w pewnym stopniu pozbawił cię świadomości. Nic dziwnego, że niewiele kojarzysz. Masz za sobą ciężkie przeżycie. Jesteś wyczerpany, a utrata krwi dodatkowo cię osłabiła. - Z uśmiechem pogłaskała go po czole. Mieliśmy cholerny ubaw, gdy prowadziliśmy cię schodami na piętro. Żałuję, że nie nagrałam tego na wideo. Moglibyśmy wysłać film do Najzabawniejszych wydarzeń Ameryki.

- Nie stracę ręki?

Dostosowując się do jego żartobliwego tonu, odparła poważnie:

- Chciał ci ją amputować, ale mu nie pozwoliłam. Osłoniłam ją własnym ciałem.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Prawdę mówiąc, rana nie jest głęboka. Nóż przeciął kilka warstw skóry, ale, dzięki Bogu, nie uszkodził mięśni ani nerwów. Nogi nie trzeba było szyć. Lekarz powiedział, że w ciągu kilku dni rana sama się zagoi. Zrobił ci zastrzyk przeciwbólowy i podał sporą porcję antybiotyków. Może boleć cię tyłek. Zostawił też kilka antybiotyków w tabletkach i przeciwbólowy darvocet. Można go brać co cztery godziny.

Zabandażowana ręka spoczywała na poduszce.

- Jest ciężka jak ołów, ale nie boli.

- Była szyta pod pełnym znieczuleniem miejscowym. Gdy przestanie działać, poczujesz ból. Jutro z przyjemnością zaczniesz brać tabletki. W przyszłym tygodniu trzeba będzie usunąć szwy. Do tego czasu masz trzymać rękę na temblaku i jak najczęściej ją unosić w górę. Nie wolno ci jej moczyć.

- Byłem cały umazany krwią.

- Wymyłam cię.

- Szkoda, że o tym nie wiedziałem. - Uśmiechnął się, musiał jednak walczyć z opadającymi powiekami.

- Posprzątałam również twój samochód i łazienkę. Są nieskazitelnie czyste.

- Jesteś aniołem miłosierdzia.

- Tylko do pewnego stopnia. Teraz powinnam być na dole i prać ręczniki.

- Po prostu je wyrzucić.

- Przypuszczałam, że to powiesz, dlatego tak właśnie zrobiłam. Poza tym wolałam być tutaj i mieć cię na oku. - Z czułością przeczesała mu palcami włosy.

Poprawił się delikatnie, szukając wygodniejszej pozycji. Ale nawet przy tym niewielkim ruchu skrzywił się.

- Dam ci następną tabletkę.

Tym razem nie protestował. Już niemal spał, kiedy wsunęła mu lekarstwo do ust, potem oparła jego głowę o swój zgięty łokieć i podsunęła ją w górę. Do warg przytknęła mu szklanę z wodą. Przełknął tabletkę.

Kiedy opuszczała z powrotem jego głowę na poduszkę, zaprotestował i przytulił się do jej piersi. Pod miękkim materiałem podkoszulka wydawały się pełne i zachęcające. Musnął wargami brodawkę.

- Potrzebujesz snu - szepnęła, delikatnie go odsuwając i kładąc jego głowę na poduszce.

Zaprotestował, ale oczy same mu się zamknęły. Poczuł na czole delikatny pocałunek. I coś jeszcze. Otworzywszy oczy, zobaczył, że po policzkach Alex płyną łzy. Po chwili następna kapnęła mu na twarz.

Dręczony wyrzutami sumienia, spytał:

- Płaczesz z powodu tego cholernego raportu? I dlatego, że gdy poznałem prawdę, tak strasznie się zachowałem? Jezu, Alex. Tak mi przykro.

Rzeczywiście było mu przykro. Nie mógł się pogodzić z wieloma rzeczami. Jej ciężkimi przeżyciami w dzieciństwie i wczesnej młodości. Swoją świętoszkowatą reakcją.

- Zachowałem się jak drań.

Potrząsnęła głową.

- Uratowałeś mi życie. To moja wina, że zostałeś ranny. Gdyby mnie tam nie było ...

- Ciiii ...

Wyciągnął lewą rękę i dotknął policzka Alex. Chwyliła kurczowo jego dłoń i przycisnęła ją do piersi, po czym pochyliła głowę i przez dobrą chwilę całowała go po palcach.

- Tak się bałam, Hammondzie. - Przesunęła wargi na jego dłoń. Potem przycisnęła ją do mokrego od łez policzka. - Przeze mnie spotkało cię tyle bólu. A najgorsze jeszcze przed tobą.

Z całych sił starał się nie zasnąć.

- Alex ... kocham cię.

Puściła jego dłoń, jakby się sparzyła.

- Co takiego?

- Kocham ...

- Nie, to niemożliwe, Hammondzie! - krzyknęła cicho, lecz zdecydowanie. - Nie mów takich rzeczy. Przecież nawet mnie nie znasz.

- Znam cię.

Zamknął oczy, starając się przez kilka sekund odpocząć. a potem próbował wykrzesać z siebie energię, by powiedzieć jej to, co myśli.

- Kocham cię od ... tego wieczoru, kiedy cię spotkałem. Kiedy zobaczyłem cię po drugiej stronie parkietu. Już wtedy to wiedziałem.

Te słowa przemknęły mu przez głowę, nie był jednak pewien, czy powiedział je na głos. Otworzył oczy, skupił wzrok na jej twarzy i smutno się uśmiechnął.

- Czemu to wszystko musiało się tak cholernie skomplikować? Zlizala łzę, która zatrzymała się w kąciku ust. Chciała coś powiedzieć, nie udało jej się jednak znaleźć słów. Widocznie była zdumiona nie mniej niż on, gdy stwierdził, że po raz pierwszy w życiu kogoś naprawdę pokochał, chociaż nie mógł wybrać gorzej.

Poklepał łóżko po swojej lewej stronie. Potrząsnęła głową.

- Mogłabym sprawić ci ból.

- Połóż się.

Przez chwilę się wahała, po czym obeszła łóżko i delikatnie wsunęła się obok Hammonda. Nie dotknęła go, jedynie oparła rękę na jego klatce piersiowej.

- Nie mogę przysuwać się bliżej, bo nie chcę urazić cię w nogę.

Pragnął powiedzieć coś więcej. Wiedział, że powinni ze sobą porozmawiać, ale tabletki zaczynały działać. Bliskość Alex dodała mu nieco otuchy. Chciał się tym cieszyć. Jednak wbrew własnej woli pogrążył się w nieświadomości.

Jakiś czas później ocknął się. Ale tylko do pewnego stopnia.

Nie w pełni. Nie chciał się całkiem obudzić. Nic go nie bolało. Prawdę mówiąc, był w wyjątkowo wzniosłym nastroju. Te tabletki przeciwbólowe to świetna sprawa.

Leżąca obok Alex poruszyła się. Poczł, że usiadła.

- Nie śpisz, Hammondzie?

- Hmm.

- Czy mogę ci coś przynieść?

Jego mamrotanie potraktowała widocznie jako odpowiedź odmowną, ponieważ z powrotem się położyła. Jednak kilka sekund później mruknął coś, czego nawet on sam nie zrozumiał.

- Słucham? - Podniosła głowę. Przynajmniej tak mu się wydawało. Wciąż nie otwierał oczu. - Hammondzie? - Zaniepokojona, położyła rękę na jego klatce piersiowej. - Boli cię? Chcesz wody?

Przykrył ręką jej dłoń i skierował ją w dół, pod kołdrę. Potem znów zanurzył się w stanie półświadomości, która była lepsza niż najwspanialsze erotyczne sny. W obu przypadkach jego aktywność w ogóle nie była potrzebna. Wystarczyło, że przekazał ster w inne ręce, a sam skupił się na własnych odczuciach. Niech to się stanie. Zdał się na przypływ. Jak kamień popychany przez delikatną falę uczuć.

Podniecał się powoli, cudownie. Nigdzie im się nie spieszyło.

Nie było presji ani wzajemnych oskarżeń. W snach nikomu nie grożą żadne konsekwencje.

Zdawał sobie sprawę, że Alex się obróciła, ale kilka wstępnych, delikatnych pocałunków nie całkiem go przygotowało na wilgotny żar, który nagle uczył ze wszystkich stron. Zmysłowe muśnięcia nie miały sobie równych. Hammond wstrzymał oddech. Jego ciało zanurzyło się głęboko w materacu jak w gorącej kąpieli i oddało seksualnemu zaspokojeniu.

Instynktownie zmienił położenie ręki. Wsunął ją. Szukał.

Znalazł. Miękość. Jedwabistość. Tajemniczą głębię. Centrum wszechświata. Marzenie każdego mężczyzny. Drogę życia.

Lekko poruszył palcami, by wywołać delikatny dreszcz podniecenia. Czubek jego kciuka kierował się starą jak świat wiedzą. Posiadał nadzwyczajną moc. Alex cicho jęknęła. Właściwie nie był to nawet jęk. Raczej wibracja w głębi gardła, on jednak ją wyczuł.

Sen na jawie, słodki stan nieświadomości. Nie opuścił go nawet po wolnym, pulsującym szczytowaniu, po którym czuł się tak, jakby się rozpląwał.

Gdzieś na granicy świadomości czaiło się coś groźnego, niemiłego, ale nie zwracał na to uwagi. Nie teraz. Nie w tej chwili. Jutro.

Następny dzień zaczął się trzy godziny później. Ktoś głośno krzyknął:

- Jezu Chryste!

CZWARTEK

Rozdział dwudziesty siódmy

Steffi, nie przestając krzyczeć, ruszyła schodami w górę. Gdy wpadła do sypialni Hammonda, zobaczyła go siedzącego na łóżku. Trzymał się za głowę i wyglądał, jakby lada chwila miał dostać ataku serca.

- Myślałam, że ktoś cię zamordował. Zobaczyłam zakrwawione ręczniki ...

- Cholera jasna, Steffi. Niewiele brakowało, a dostałbym przez ciebie zawału serca.

- Ty? Chyba ja! Dobrze się czujesz?

Rozejrzał się niespokojnie po pokoju, jakby czegoś szukał.

- Która godzina? Co ty tu robisz? Jak dostałaś się do środka?

- Wciąż mam klucz. Zresztą nieważne. Co ci się stało?

- Hmm ... - Zerknął na zabandażowaną rękę, jakby po raz pierwszy ją widział. - Wczoraj wieczorem napadnięto mnie na ulicy. - Przesunął się w stronę komody. - Podaj mi bieliznę, dobrze?

- Napadnięto? Gdzie?

Jego bokserki były w drugiej szufladzie od góry. Podała mu je. Zsunął nogi poza brzeg łóżka.

- Nogę też masz skaleczoną?

- Tak. Ale nie tak bardzo jak rękę.

Pochylił tułów i wsunął nogi w spodenki, potem podciągnął je na uda. Nim wstał, spojrzał znacząco na Steffi.

- Na litość boską, Hammondzie. Już to widziałam.

Owinął się prześcieradłem. Kiedy już włożył spodenki, sięgnął po stojącą na stoliku obok łóżka butelkę z wodą niegazowaną.

- Powiesz mi, co się stało, czy nie?

- Mówiłem ci już, że zostałem ...

- Napadnięty. To wiem. Co z twoją ręką?

- Jest zraniona. Noga też.

- Mój ty Boże! Ten bandyta mógł cię zabić. Gdzie byłeś?- Kiedy jej wyjaśnił, powiedziała: - Do jasnej cholery, nie ma się czemu dziwić. Co robiłeś w tej części miasta?

- Pamiętasz Loretę Boothe?

- Tę pijaczkę?

Zmarszczył czoło, ale przytaknął.

- Obecnie nie pije i szuka jakiegoś zajęcia. Prosiła, żebym się z nią spotkał w jednej z knajp. Kiedy wracałem do samochodu, napadł na mnie jakiś facet. Obroniłem się. Nie udało mu się, chociaż miał nóż sprężynowy. Odepchnąłem go, dzięki czemu zyskałem na czasie i udało mi się dotrzeć do samochodu. Dojechałem do domu i zadzwoniłem po lekarza. Zeszył mi rękę.

- Zawiadomiłeś policję?

- Chciałem uniknąć składania zeznań. Odpowiadania na dziesiątki pytań. Nie udało się. Właśnie mi je zadajesz. - Czemu nie pojechałeś na pogotowie?

- Z tego samego powodu. - Pokuśtykał w kierunku łazienki, wyraźnie oszczędzając lewą nogę. - Zresztą nie było aż tak źle. - Nie było aż tak źle? Hammondzie, na parterze stoi worek pełen zakrwawionych ręczników.

- To tylko tak fatalnie wygląda. W nocy zażyłem dwie tabletki przeciwbólowe. Pozwolisz? - spytał, gdy wpakowała się za nim do łazienki.

Kiedy wyszła, zamknął drzwi.

- Widziałam już, jak sikasz! - krzyknęła.

Podeszła do łóżka i usiadła w miejscu, które poprzednio zajmował Hammond. Obok pustej butelki po wodzie mineralnej i szklanki leżał na nocnym stoliku standardowy temblak i plastikowe opakowania z tabletkami. Był to gotowy preparat. Steffi nie znalazła na nim nazwiska doktora.

Hammond wyszedł z łazienki, dokuśtykał do niej i wyprosił ją ze swojego łóżka, po czym podciągnął kołdrę na prześcieradło.

- Od kiedy zrobiłeś się taki wstydlivy? - spytała.

- Od kiedy zrobiłaś się taka wścibska?

- Nie sądzisz, że mam prawo trochę powęszyć? Hammondzie, jak tylko weszłam, zobaczyłam worek z zakrwawionymi ręcznikami. Możesz nazwać mnie sentymentalną idiotką, ale na ten widok zaczęłam się zastanawiać, czy mój kolega z pracy - na dodatek były chłopak, którego wciąż darzę szacunkiem i pewnymi uczuciami - nie padł przypadkiem ofiarą jakiegoś mordercy z siekierą.

Hammond sceptycznie uniósł brwi.

- A potem sprzątającego po sobie?

- Niektórzy z tych facetów miewają różne odchylenia. Ale ty niczego nie rozumiesz.

- Rozumiem, Steffi. Bałaś się o mnie. Gdyby sytuacja się odwróciła, zareagowałbym bardzo podobnie. Ale, jak widzisz, wciąż żyję. Jestem obolały, posiniaczony i zmaltretowany, ale żyję. Poczulbym się znacznie lepiej, gdybym mógł wziąć gorący prysznic i wypić kilka kubków jeszcze gorętszej kawy.

- Czy to znaczy, że mam wyjść?

- W końcu chwytasz.

Spojrzała na opatrunek na jego prawej ręce.

- Co to był za lekarz?

- Nie znasz go. Stary przyjaciel ze studiów. Był mi winien przysługę.

- Jak się nazywa?

- A cóż to za różnica? I tak go nie znasz.

- Hmm ...

- O co chodzi?

- O nic.

- Mów.

- Czemu nie złożyłeś raportu o przestępstwie?

- Nie chciałem zawracać sobie głowy. Ten facet niczego mi nie ukradł.

- Ale napadł na ciebie z bronią w ręku.

Hammond sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego, na domiar złego mówił do niej jak do idiotki.

- Nie było sensu zgłaszać przestępstwa. I tak nie umiałbym zidentyfikować napastnika. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, czy był biały, czarny czy czerwony, wysoki czy niski, chudy czy gruby, zarośnięty czy łysy. Wokół panowała ciemność. Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy, zobaczyłem jedynie zbliżające się do mnie ostrze noża. Wpadłem w panikę, dlatego szybko się stamtąd wyniosłem. Opowiadanie o tym epizodzie policji byłoby jedynie stratą czasu. Mogliby najwyżej wsadzić raport do teczki, nic więcej. Mają ważniejsze sprawy na głowie, ja też. - Skrzywił się i dotknął prawej ręki. - Czy zechciałabyś wyjść, żebym mógł wziąć prysznic i ubrać się?

- Trzeba ci pomóc?

- Dzięki, poradzę sobie.

- Może wzięłabyś sobie dzień wolny? Mogę wpaść koło południa, zrobić ci jakiś lunch i powiedzieć, czego się dowiedzieliśmy od tego faceta.

Hammond otworzył szufladę. Steffi często drwiła z jego kolekcji niemal całkiem poprzecieranych sportowych koszulek, które lubił nosić po domu. Wziął pierwszą z wierzchu. Widocznie to jego ulubiona - pomyślała Steffi, ponieważ uśmiechnął się, uniósł podkoszulek do twarzy i powąchał.

- Jakiego faceta?

- Nie mówiłam ci?! - Palnęła się w czoło. - Kiedy zobaczyłam cię w takim stanie, całkiem zapomniałam, po co tu przyszłam. Gdy jechałam do pracy, Smilow zadzwonił na moją komórkę. W areszcie miejskim wylądował pewien facet.

Przestała zwracać uwagę na zachowanie Hammonda, który wciąż bawił się podkoszulkiem.

- Przez areszt miejski przewija się wielu facetów - zauważył bezbarwnie.

- Ale tylko ten jeden twierdzi, że jest bratem Alex Ladd. Odwrócił się. Jego twarz zrobiła się kredowobiała. Steffi przypuszczała, że powodem tej nagłej bladej jest ból, ponieważ wykonując gwałtowny obrót, Hammond uderzył się rannym łokciem w róg otwartej szuflady. Wyciągnął lewą rękę, by złapać równowagę.

- Moim zdaniem, Hammondzie, tylko szalenciec może w takim stanie wybierać się do biura. Spójrz na siebie. Ledwo trzymasz się na nogach i jesteś biały jak prześcieradło. Twoja ręka ...

- Zapomnij o mojej cholernej ręce!

- Nie krzycz na mnie.

- W takim razie przestań mi matkować.

- Jesteś ranny.

- Nic mi nie dolega. Co z tym facetem?

- Nazywa się Bobby Turnbull. Nie, jakoś inaczej. Ale coś w tym stylu.
- Za co go aresztowano?
- Smilow nie wyjawiał mi wszystkich szczegółów, a ja przyjechałam prosto do ciebie.
- Co on zrobił...?

- Słowo daję, Hammondzie! To tak a propos odpowiadania na dziesiątki pytań. Wiem tylko, że tenże Trimble ... o właśnie, Bobby Trimble ... został aresztowany wczoraj wieczorem i gdy pozwolono mu skorzystać z telefonu, zadzwonił do Alex Ladd. Nie było jej w domu. Jeden z gliniarzy, którzy go zatrzymali, okazał się na tyle bystry, że skojarzył nazwisko. Wiedział, iż pani doktor ma coś wspólnego z morderstwem Pettijohna, w związku z tym zawiadomił Smilowa.

Hammond odłożył podkoszulek do szuflady, potem z hukiem ją zamknął.

- Zostań jeszcze chwilę. Trudno by mi było prowadzić samochód z ręką na temblaku. Zabiorę się z tobą. Daj mi pięć minut.

Podczas gdy się przygotowywał, Steffi zeszła na parter, by zadzwonić do Smilowa i wyjaśnić, czemu się spóźnia.

- Ktoś go napadł?
- Tak twierdzi.

Po krótkiej przerwie Smilow spytał:

- Czy masz powód, by mu nie wierzyć?

- Właściwie nie. Tylko ... - Zamyślona, spojrziała na drzwi łazienki zastawione ogromnym workiem z zakrwawionymi ręcznikami. - Po prostu to wszystko wydaje mi się dość dziwne. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego człowiek, który wszem wobec głosi, że należy karać każde przestępstwo, lekceważy napad z nożem sprężynowym w ręce. Udaje, że rany, które odniósł, nie są wcale takie groźne, wygląda jednak, jakby miał za sobą piętnastorundową walkę z niedźwiedziem grizzly.

- Może po prostu wstydzi się, że był tak nieostrożny.
- Może. Tak czy inaczej, będziemy za piętnaście minut.

Nie wspomniała o tym, że Hammond bardzo nieudolnie tłumaczył, dlaczego nie zgłosił się na pogotowie. Steffi nie uwierzyła w "starego przyjaciela ze studiów". Hammond nigdy nie potrafił kłamać. Tej sztuki powinien się nauczyć od Alex Ladd. Można było odnieść wrażenie, że podziwiał skłonność podejrzanej do ...

Stop!

Spojrzała w pustą przestrzeń. Zupełnie absurdalne myśli z prędkością światła przemykały jej przez głowę. Starła się je zatrzymać, lecz przypominało to próbę pochycenia komety.

Hammond zszedł ciężko po schodach.

Dogoniła go przy frontowych drzwiach, wcześniej jednak wyciągnęła z worka na śmieci zakrwawioną ściereczkę i wetknęła ją do torebki.

Bobby Trimble cholernie się bał. Byłby jednak skończonym idiotą, gdyby okazał strach. Pieprzeni gliniarze.

Znalazł się w tym położeniu za sprawą zaniedbanej, otyłej niezamężnej nauczycielki. Jego duma bardzo ucierpiała na tym, że do upadku doprowadziło go takie popychadło. Ellen Rogers nie stanowiła żadnego wyzwania. Uwiedzenie jej było nudne i rutynowe. Musiał bardzo się pilnować, by przy okazji się nie zdrzemnąć. Przez cały czas chciało mu się spać.

Kto by przypuszczał, że to czupiradło okaże się femme fatale, i to w dosłownym znaczeniu?

Poprzedniego wieczoru Bobby był na najlepszej drodze do usidlenia wdowy z Denver. Ofiara miała w uszach i na obu rękach brylanty wielkości przednich świateł samochodu. Te kamyczki na długo zapewniłyby mu wszelkie luksusy. Szybko okazało się, że wdówka lubi pieprzne kawały i trawi ją żądza przygód, zaprezentowała więc wszystkie te cechy, które Bobby lubił najbardziej. Przesuwając rękę po jej udzie, opowiadał, jak bardzo go podnieca, przy okazji nie szczędząc pikantnych szczegółów, gdy nagle dwaj gliniarze chwycili go pod pachy i wywlekli z nocnego lokalu.

Na zewnątrz rozciągnęli go na masce radiowozu, obmacali, zakuli w kajdanki jak pospolitego przestępcę i odczytali mu jego prawa. Kątem oka dostrzegł nauczycielkę z Indianapolis, ściskającą w rękach parę skórzanych czółenek.

- Cholerna suka - wymamrotał w momencie, kiedy otworzyły się drzwi pokoju przesłuchań.

- O co chodzi, Bobby? Coś mówiłeś?

Facet wydawał się dziwnie znajomy, chociaż Bobby nie potrafił powiedzieć, gdzie widział tę twarz. Gliniarz nie był wysoki, ale kiedy wszedł do pokoju, robił ogromne wrażenie. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur. Bobby rozpoznał materiał wysokiej jakości. Woda kolońska również sprawiała wrażenie kosztownej.

Policjant uściśnił dłoń obrońcy z urzędu, faceta o nazwisku "Heinz, jak ketchup". Sprawiał on wrażenie ofiary życiowej i na razie poradził jedynie Bobby'emu, by trzymał gębę na kłódkę, póki nie dowiedzą się, o co chodzi. Potem usiadł na końcu niewielkiego stołu i zaczął ziewać, uprzejmie zasłaniając usta ręką. Jednak na widok mężczyzny, który właśnie wszedł, Heinz poderwał się i zrobił mądrą minę.

Przybyły zajął miejsce naprzeciw Bobby'ego i przedstawił się jako inspektor Rory Smilow. Bobby nie ufał uśmiechowi tego sukinsyna, nie potrafił również zdobyć się wobec niego na uprzejmość.

- Jestem tutaj, panie Trimble, ponieważ chcę w znacznym stopniu ułatwić panu życie - zapewnił Smilow.

Bobby nie uwierzył w tę obietnicę.

- Naprawdę? Jeśli tak, może zechciałby pan wysłuchać mojej wersji. Ta suka kłamie.

- Nie zgwałcił jej pan? - Bobby'emu opadła szczęka.

- Zgwałciłem?

- Panie Smilow - wtrącił się Heinz - o ile mi wiadomo, przestępstwo popełnione przez mojego klienta polegało jedynie na kradzieży torebki. W zeznaniu pani Rogers nie było mowy o gwałcie.

- Powiedziała o tym policjantce - wyjaśnił Smilow. - Była zbyt zażenowana, by wszystkie szczegóły przestępstwa ujawniać przy aresztujących tego człowieka policjantach.

- Jeżeli ta kobieta utrzymuje, że została zgwałcona, muszę skonsultować się z klientem.

Bobby, otrząsnąwszy się z zaskoczenia, spojrzał pogardliwie na swojego obrońcę.

- Nie mamy po co się konsultować. Nie zgwałciłem jej. Wszystko, co robiliśmy, odbywało się za obopólną zgodą.

Smilow otworzył teczkę i przejrzał pisemny raport.

- Spotkał ją pan w nocnym lokalu. Z zeznań pani Rogers wynika, że zaproponował jej pan alkohol, a potem celowo ją upił. - Rzeczywiście wypiliśmy kilka drinków. Owszem, była wstawiona. Ale nie zmuszałem jej do picia.

- Odprowadził ją pan do hotelu i odbył z nią stosunek. - Podniósł wzrok na Bobby'ego. - Czy to prawda? Bobby nie zdołał oprzeć się wyzwaniu rzuconemu przez zimne oczy rozmówcy.

- Tak, to prawda. Zresztą bardzo jej to odpowiadało. Heinz niespokojnie odchrząknął.

- Panie Trimble, lepiej by było, gdyby nic więcej pan nie mówił. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. Proszę o tym pamiętać.

- Myśli pan, że pozwolę, by jakieś tłuste babsko oskarżało mnie o gwałt? Mam prawo się bronić!

- Od tego jest rozprawa sądowa.

- Pieprzyć rozprawę! I pieprzyć pana! - Bobby odwrócił się z powrotem do Smilowa. - Ta baba kłamie.

- Odbył pan z nią stosunek, gdy była pod wpływem alkoholu?

- Oczywiście. Sama mnie do tego zachęcała.

Smilow westchnął z udanym bólem i potarł czoło.

- Wierzę panu, panie Trimble. Słowo daję. Ale z punktu widzenia prawa stąpa pan po kruchym lodzie. Przepisy się zmieniły. Zaostrzono pewne definicje. W związku z tym, że coraz częściej mówi się o cierpieniach, na jakie narażone są ofiary gwałtu, oskarżyciele i sędziowie twardo obstają przy swoim. Nie chcą ponosić odpowiedzialności za wypuszczenie na wolność gwałciciela ...

- Nigdy nie musiałem gwałcić kobiet! - krzyknął Bobby. - Prawdę mówiąc, było wręcz na odwrót.

- Rozumiem - odparł Smilow spokojnie. - Ale jeśli pani Rogers utrzymuje, że nie odpowiadała za siebie, ponieważ za pańską namową wypija sporo alkoholu, to z praktycznego i prawnego punktu widzenia, jeśli ta sprawa dostanie się w ręce dobrego prokuratora, może pan zostać oskarżony o gwałt.

Bobby złożył ręce na piersiach, częściowo dlatego, że była to bardzo nonszalancka poza, ale przede wszystkim ratował się w ten sposób przed ogarniającą go paniką. W wieku osiemnastu lat wylądował w więzieniu. Wcale mu się tam nie podobało. Do cholery, ani trochę! Poprzysiągł sobie wówczas, że nigdy więcej nie wróci za kratki. Obawiając się, że głos zdradzi odczuwany przezeń strach, uparcie milczał.

- W chwili aresztowania - ciągnął Smilow - miał pan przy sobie narkotyki.

- Załedwie kilka działek. Tej ... jak jej tam ... niczego nie dawałem.

Smilow bacznie mu się przyjrzał.

- Nie?

- Szkoda by mi było. Zresztą nie stawiała żadnego oporu.

- Tak czy inaczej, ma pan problem. Jak pan sądzi, komu uwierzy ława przysięgłych? Skromnej, słodko wyglądającej damie takiej jak ona? Czy światowej klasy ogierowi takiemu jak pan?

Gdy Bobby zastanawiał się, co na to powiedzieć, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła kobieta. Była drobniutka. Miała krótkie ciemne włosy i czarne oczy. Świetne nogi. Małe sterczące cycki. Bobby natychmiast uznał ją za "pożeraczkę męskich serc".

- Mam nadzieję, że ten przebrzydły śmieć do niczego się nie przyznał - powiedziała.

Smilow przedstawił ją jako Stefanie Mundell z biura prokuratora okręgowego. Heinz na jej widok nieco zzieleniał i zaczął nerwowo przetykać ślinę. Bobby uznał to za zły znak, że jego obrońca trzęsie się na widok tej suki i wygląda, jakby lada chwila miał się porzygać.

Smilow zaproponował jej krzesło, odparła jednak, że woli postać.

- Wpadłam tylko na chwilę. Chciałam jedynie uświadomić panu Trimble'owi, że specjalizuję się w sprawach o gwałt i dla takich przestępców jak on żądam kastracji. I to wcale nie chemicznej. - Położyła dłonie na stole i wychyliła się do przodu. Jej nos znalazł się zaledwie o parę milimetrów od twarzy Bobby'ego. - Nie mogę się doczekać chwili, kiedy położysz ją na pieńku za to, co zrobiłeś biednej Ellen Rogers.

- Nie zgwałciłem jej!

Jego szczere zaprzeczenie nie zachwiało pewności pani Mundell. Uśmiechnęła się doń z wyższością i powiedziała:

- Do zobaczenia w sądzie, Bobby.

Obróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami. Smilow masował szczękę i smutno potrząsał głową.

- Współczuję panu, Bobby. Jeżeli w pańskiej sprawie oskarżycielem będzie Steffi Mundell, obawiam się, że ma pan marne perspektywy.

- Może pan Trimble przyzna się do winy w zamian za niższy wyrok.

Bobby zerknął ze złością na Heinza, który nieśmiało podsunął tę sugestię.

- Kto pana pytał o zdanie? Nie przyznaję się do niczego, jasne?

- Ale kradzież ...

- Panowie - przerwał im Smilow - właśnie przyszło mi na myśl, że skoro ma się tym zajmować pani Mundell, może znajdzie się sposób, by uniknąć ciężkiej kary.

- Co ma pan na myśli? - spytał Bobby z udanym spokojem.

- Steffi jest oskarżycielem w sprawie o morderstwo Pettijohna.

Uwaga! Uwaga!

Nagle Bobby przypomniał sobie, gdzie poprzednio widział Smilowa. W telewizji, w noc po morderstwie Pettijohna. Był inspektorem z wydziału zabójstw i prowadził w tej sprawie dochodzenie. Bobby oparł się o krzesło

i próbował udawać, że wcale się nie poci jak mysz przy porodzie.

- W sprawie o morderstwo Pettijohna?

Smilow posłał Bobby'emu długie, twarde, miażdżące spojrzenie. Potem westchnął i złożył teczkę.

- Myślałem, że będziemy mogli nawzajem sobie pomóc, panie Trimble. Ale jeżeli chce pan udawać głupiego, nie mam innego wyboru. Muszę przekazać pańską sprawę pani Mundell.

Zgrzytnął krzesłem i bez słowa wyszedł z pokoju, zdecydowanie zamykając za sobą drzwi.

Bobby spojrzał na Heinza (jak ketchup) i wzruszył ramionami.

- Co ja takiego zrobiłem?

- Próbował pan zrobić w konia Smilowa. To kiepski pomysł.

Rozdział dwudziesty ósmy

Przez pół godziny Smilow i Steffi poklepywali się nawzajem po ramieniu za to, że tak skutecznie udało im się wyrolować Bobby'ego Trimble'a. Hammond nie mógł znieść tych obustronnych pochlebstw.

- Dałem mu ponad godzinę na to, żeby się zastanowił - chyba po raz dziesiąty opowiadał Smilow.

- Już to mówiłeś.

- Gdy tylko wróciliśmy do pokoju - świergotała Steffi - od razu zaczął śpiewać.

- Musiałaś całkiem niezłe odegrać rolę złego gliny.

- Rzeczywiście zrobiłam to dobrze - pochwaliła się. - Bobby był przekonany, że czeka go sprawa o gwałt.

Ellen Rogers wcale nie utrzymywała, że została zgwałcona. Wręcz przeciwnie, wyznała, że jedynie do siebie może mieć pretensję o to, że dała się okraść z pieniędzy i kart kredytowych. Chciała tylko, by aresztowano Bobby'ego Trimble'a i uniemożliwiono mu kontynuowanie tego typu praktyk, a tym samym oszczędzono innym kobietom podobnie upokarzających przeżyć. Załatwiła wszystko tak, by jak najszybciej wrócić do Indianapolis, wyraźnie jednak dała do zrozumienia, że jeśli dojdzie do rozprawy, jest skłonna zeznawać przeciwko Trimble'owi. Opuściła miasto, nawet nie przypuszczając, że sprawiła charlestońskiej komendzie policji wspaniały prezent.

- Jestem niezmiernie ciekawa, jaką minę zrobi Alex Ladd, gdy usłyszy taśmę z nagraniem. Hammondzie, nie uwierzysz! - piała z zachwytu Steffi. - Pytałeś o motyw, bracie, to teraz go masz. Podany na srebrnej tacy.

Oddychał ustami, by nie zwymiotować. Mdlilo go, odkąd się dowiedział, że w policyjnym areszcie przebywa brat przyrodni Alex. Steffi i Smilow byli niezwykle dumni z tej swojej cholерnej taśmy. Ślinili się na myśl, co będzie, gdy Hammond ją usłyszy, chociaż z grubsza znał już treść zeznania Bobby'ego. Całą tę obciążającą historię usłyszał poprzedniego wieczoru z ust Loretty Boothe.

Czyste fakty stawiały Alex w fatalnym świetle. Bobby Trimble dla własnych celów dodatkowo upiększył historię, całkowicie pogrążając siostrę. Jak zauważyła Steffi, zeznanie Bobby'ego wносиło do sprawy brakującą motywację.

Hammond żywił nadzieję, że ludzie Smilowa nie będą mieli odpowiednich informatorów i nie wykażą się taką pilnością jak Loretta, dzięki czemu uda mu się przeciągać sprawę w nieskończoność, póki nie ustalą, co łączyło Alex z Pettijohnem, i nie wyjawí jej, w jakim celu spotkał się z Lute'em.

Zamierzał zaproponować, żeby oboje wyznali prawdę Smilowowi. Zresztą na samym początku winien powiedzieć inspektorowi o swoim spotkaniu z Pettijohnem. Ale była to bardzo delikatna sprawa i zależało mu, żeby nikt o niej nie wiedział. Chciał też doradzić Alex, by opowiedziała Smilowowi o wydarzeniach z przeszłości, nim odkryje je sam i oceni, jaki mogą mieć wpływ na dochodzenie w sprawie Pettijohna.

Niestety, żadna z tych możliwości nie wchodziła teraz w rachubę. Gdy Steffi wpadła rano do Hammonda, Alex już tam nie było. Chwała Bogu, że wyszła tak wcześnie. Uznał również, że mieli cholerne szczęście, iż nie zostali przyłapani w łóżku, bo to zniszczyłoby ich wiarogodność, gdyby niezależnie od siebie próbowali wyznać Smilowowi prawdę.

A teraz jeszcze to!

Bobby Trimble pojawił się znikąd, na domiar złego w najgorszym momencie. Alex nie wiedziała, że zastawiono na nią pułapkę, a Hammond w żaden sposób nie mógł jej ostrzec.

Pisnął pager. Każde z nich zerknęło na swój.

- To do mnie - powiedział Hammond.

Smilow przesunął w jego stronę stojący na biurku telefon. Hammond sprawdził numer na ekranie.

- Skorzystam ze swojej komórki. Dzięki.

Przeprosiwszy, wyszedł z biura na korytarz, gdzie mógł liczyć na odrobinę prywatności.

- O co chodzi, Loretto?

- Nasza wczorajsza rozmowa zakończyła się dysonansem.

- Co masz na myśli?

- Kiedy wychodziłeś, byłeś bardzo zawiedziony.

- Nie przejmuj się tym.

- Już się przejęłam. Chciałam coś dla ciebie zrobić, więc dziś rano wybrałam się do archiwum okręgowego i przyłapałam Harveya przy automacie. Kupował bułeczkę z miodem.

- Mam bardzo mało czasu, Loretto.

- Już przechodzę do rzeczy. Spytałam go, czy ktoś jeszcze korzystał z jego usług, szukając informacji związanych ze sprawą Pettijohna.

- A zwłaszcza Alex Ladd?

- Nie, użyłam uogólnienia, żeby sprawdzić, czy uda mi się coś z niego wydusić.

- I?

- Oblał się zimnym potem. Niemal słyszałam, jak stukają mu kolana.

- Kto go prosił o informacje?

- Ten mały kretyn nie chciał mi tego powiedzieć.

- Loretto ...

- Próbowałam wszystkiego, Hammondzie. Wierz mi. Groziłam wyjawieniem jego grzeszków, torturami, uszkodzeniem ciała. Nakłaniałam, próbowałam ubić interes, przypochebiałam się. Zaproponowałam nieograniczoną ilość alkoholu, narkotyków lub zawodowych prostytutek - do wyboru. Nic nie chwyciło. Ten, kto prosił o informacje, po prostu go przestraszył. Śmiertelnie. Harvey milczy jak zakłęty.

- W porządku, dzięki.

Hammond usłyszał jakiś ruch za plecami. Obejrzał się przez ramię. Zza zakrętu wyłonili się Frank Perkins i Alex Ladd.

- Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? - spytała Loretta.

- Na razie nie. Dzięki. Muszę już iść.

Rozłączył się i odwrócił w chwili, kiedy tamtych dwoje dotarło do drzwi biura Smilowa. Na widok Hammonda oczy adwokata zrobiły się okrągłe.

- Co ci się stało?

- Zostałem napadnięty.

- Jezu! Wygląda na to, że to nie był zwykły napad.

- Już wszystko w porządku. - Przeniósł wzrok na Alex. - Miałem dobrą opiekę.

Ich oczy spotkały się zaledwie na ułamek sekundy. Hammond próbował jakoś ostrzec Alex, ale Frank niemal wepchnął ją do biura.

- Co tym razem, inspektorze?

- Mamy pewne nagranie. Chcielibyśmy puścić je twojej klientce.

- Co to za nagranie?

- Przesłuchania, które przeprowadziliśmy dziś wczesnym rankiem z mężczyzną przebywającym w naszym areszcie. Uwierz mi, Frank, jego zeznanie ma istotne znaczenie dla sprawy Pettijohna.

Perkins wysunął jedyne wolne krzesło dla Alex. Pozostali musieli stać. Smilow zaproponował, że pośle po jakieś krzesło dla Hammonda, ale ten odmówił. Kiedy Alex usiadła, rzuciła w stronę Hammonda pytające spojrzenie. Niestety, nie mógł jej w żaden sposób ostrzec przed tym, co miało za chwilę nastąpić.

Smilow opowiedział Alex i adwokatowi, co przydarzyło się Ellen Rogers.

- Na szczęście okazało się, że pani Rogers wcale nie jest bezbronnym kwiatuszkiem. Sama znalazła tego mężczyznę i oddała go w ręce policji.

- Nie rozumiem ...

- Nazywa się Bobby Trimble.

Hammond bacznie obserwował twarz Alex. Gdy Smilow zaczął swoją opowieść, domyśliła się, co ją czeka. Na moment zamknęła oczy i zaczerpnęła głęboko powietrza. Kiedy jednak padło nazwisko Trimble'a, nie okazała żadnej reakcji.

- Zna pani Bobby'ego Trimble'a, prawda, doktor Ladd? - spytał Smilow.

- Chciałbym porozmawiać z klientką - zaprotestował Frank Perkins.

- W porządku, Frank - uspokoiła go łagodnie. - Niestety, nie mogę się wyprzeć znajomości z Bobbym Trimble' em.

Nim Perkins zdążył ponownie się odezwać, Smilow powiedział:

- Ta taśma wszystko wyjaśni, Frank. - Nacisnął klawisz magnetofonu.

Głos Smilowa wymienił osoby obecne przy przesłuchaniu.

Podał czas, miejsce i datę, przedstawił także warunki, pod jakimi Trimble składa niniejsze zeznanie. Bobby przyznał się, że uwiódł Ellen Rogers, by ją okraść. Chociaż nikt mu nie gwarantował, że zostanie ulaskawiony, Steffi Mundell zapewniła, iż biuro prokuratora okręgowego gotowe jest potraktować łagodniej każdego, kto z własnej woli przekazuje informacje mające jakiś związek z morderstwem Lute'a Pettijohna.

Potem Smilow zadał pierwsze pytanie:

- Bobby ... Mogę zwracać się do ciebie per Bobby?

- Nie wstydę się swojego imienia.

- Bobby, czy znasz doktor Alex Ladd?

- Alex jest moją przyrodną siostrą. Mieliśmy tę samą matkę. Różnych ojców. Chociaż nie znaleźliśmy żadnego z nich.

- Trimble to nazwisko waszej matki?

- Tak.

- Ty i twoja przyrodna siostra wychowaliście się razem w tym samym domu?

- Jeśli koniecznie chce pan to tak nazwać. Chociaż właściwie nie był to dom. Nasza matka lubiła się bawić.

- Co przez to rozumiesz?

- Miała słabość do mężczyzn, inspektorze Smilow. Bez przerwy sprowadzała różnych panów. Kiedy to robiła, mnie i Alex wyrzucała z domu. Był upał - trudno. Mróz - trudno. Burczało nam w brzuchach? No cóż, nasza strata. Czasami namawialiśmy starą Murzynkę, która pracowała w Dairy Queen, żeby dała nam hamburgera. Mnie nie bardzo lubiła, ale miała wyraźną słabość do Alex. Niestety, jeżeli szef był w pobliżu, mogliśmy zapomnieć o jedzeniu. Chodziliśmy głodni.

- Czy wasza matka wciąż żyje?

- Kto wie? Kogo to właściwie obchodzi? Zostawiła nas, gdy miałem ... hmm, jakieś piętnaście lat. To znaczy, że Alex była dwunastolatką. Matka zakochała się po uszy w jakimś facecie. Kiedy jej kochaś wyjechał do Reno, ruszyła za nim. Nie wiem nawet, czy go znalazła, czy nie. Wtedy po raz ostatni ją widzieliśmy.

- Czy potem zajął się wami Urząd do Spraw Dzieci?

- Wolałbym pójść do więzienia niż pozwolić, żeby na karku siedziała mi banda wścibskich biurokratów. Zabroniłem Alex mówić komukolwiek, że matka odeszła. Udawaliśmy, że wszystko jest po staremu. Chodziliśmy do szkoły, jakby nic się nie zmieniło. W pewnym sensie ... - zachichotał - ... to była prawda. Nie pamiętam, by matka kiedykolwiek przestąpiła próg szkoły. W jej mniemaniu WF to po prostu Wielki Fiut.

- Nikt o to nie pytał - wtrącił Smilow szorstko.

- Przepraszam, psze pani. Nie miałem zamiaru nikogo urazić.

Hammond doszedł do wniosku, że Bobby tylko dla formy przeprosił Steffi. Jego słowa nie brzmiały zbyt szczerze. Alex musiała pomyśleć to samo. Patrzyła na magnetofon z obrzydzeniem.

- Czy sąsiedzi nie zauważyli - spytał Smilow - że waszej matki nie ma?

- Alex i ja od tak dawna radziliśmy sobie sami, że nikogo nie dziwiło, gdy ona niosła brudną odzież do pralni, a ja pytałem o jakąś dorywczą pracę.

- Wykonywałeś prace dorywcze, żeby utrzymać siebie i siostrę?

Odchrząknął.

- Przez jakiś czas. - Pauza. - Póki nie zacząłem ... Żebyśmy dobrze się zrozumieli ... Już spłaciłem swój dług wobec społeczeństwa za to, co zrobiłem. Nikt nie skuł mnie po raz drugi, prawda? To wszystko wydarzyło się kawał czasu temu w Tennessee. Jesteśmy w Karolinie Południowej. W tym stanie mam czyste konto.

- Powiedz nam, Bobby, co wiesz o morderstwie Lute 'a Pettijohna, a wówczas cię stąd wypuścimy.

- To mi się podoba.

Do tego momentu Alex ani drgnęła. Teraz odwróciła się do Perkinsa.

- Czy musimy tego słuchać?

Prawnik poprosił Smilowa, żeby zatrzymał taśmę, ponieważ chce się naradzić z Alex. Inspektor uprzejmie spełnił jego prośbę. Perkins zadał jej szeptem pytanie. Odpowiedziała mu po cichu. Rozmawiali tak przez jakąś minutę.

Potem Perkins powiedział:

- Nie możecie poważnie traktować słów tego człowieka. Pan Trimble złożył zeznanie w zamian za wycofanie skierowanego przeciw niemu oskarżenia. Dlatego powiedział wam to, co chcieliście usłyszeć.

- Jeśli Bobby kłamie - wyjaśnił Smilow - doktor Ladd nie powinna się przejmować tym, co powiedział, prawda?

- Przejmuje się, ponieważ jego opowieść jest dla niej żenująca.

- Przykro mi z tego powodu. Sądzę jednak, że doktor Ladd będzie chciała usłyszeć, jakie zarzuty padły pod jej adresem. Zresztą w każdej chwili może się włączyć i zaprzeczyć słowom pana Trimble'a.

Perkins odwrócił się do niej.

- Wszystko zależy od ciebie. Kiwnęła głową.

- W porządku, Smilow - zgodził się adwokat. - Ale to tani chwyt i dobrze o tym wiesz.

Ignorując upomnienie, Smilow włączył taśmę. Ponownie usłyszeli pytanie, w jaki sposób Trimble utrzymywał siebie i siostrę.

- Przez jakiś czas jakoś dawaliśmy sobie radę dzięki temu, te robiłem to i owo - powtórzył. - Ale ciężko harowałem, starając się zapewnić Alex jedzenie i ubranie. Rosła, sam pan wie, jak to nastolatka. Rozkwitała. - Ton Trimble' a stał się bardziej konfidencjonalny. - Zauważyłem, że się zaokrągliła, i to podsunęło mi pewien pomysł.

- Jaki pomysł?

- Właśnie do tego zmierzam - burknął Bobby, poirytowany faktem, że Smilow go popędza. - Zacząłem dostrzegać, jak kumple spoglądają na moją młodszą siostrę. Można powiedzieć, że ujrzeli ją w całkiem nowym świetle. Podśledzałem kilka uwag. I to właśnie wtedy po raz pierwszy wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Hammond oparł lewy łokieć o pięść ręki na temblaku i zakrył dłonią usta. Miał ochotę zatkać uszy. Pragnął rzucić magnetofonem o ścianę albo uderzyć Steffi, która z uśmiechem wyższości spoglądała na Alex. Był jednak bezradny, mógł jedynie słuchać, tak samo jak ona.

W zeznaniu Trimble'a dało się teraz wyczuć pewną różnicę - zmienił dykcję i składnię. Opowiadając o przeszłości, sprawiał wrażenie bardziej prymitywnego. Nieokrzesanego. Lubieżnego.

- Za pierwszym razem o wszystkim zdecydował przypadek. To znaczy, wcale tego nie zaplanowałem. Alex i ja byliśmy z moim przyjacielem. Ukradł sześć puszek piwa. Postanowiliśmy je wypić w opuszczonym garażu. W którymś momencie zaczął się drażnić z Alex ... - Rozległo się skrzypienie krzesła, świadczące o tym, że

Bobby zmienił pozycję. - zaproponował jej, żeby uniosła bluzkę i pozwoliła na siebie popatrzeć. Alex warknęła: "Nic z tego, Jose". Jednak wcale tak nie myślała. Śmiała się, kokietowała go ... no, wie pan. I, do diabła, w końcu to zrobiła. Powiedziałem mu, że w zamian za obejrzenie cycków - przepraszam, piersi - mojej siostrzyczki powinien dać mi dodatkowe piwo. Odmówił, ponieważ jak stwierdził, widział tylko jej stanik. Ale następnym razem ...

Hammond wyciągnął lewą rękę i zatrzymał magnetofon.

- Wszyscy już wiemy, o co chodzi, Smilow. Przyrodni brat doktor Ladd po prostu ją wykorzystywał. Można dyskutować, czy robiła to z własnej woli, czy nie. Tak czy inaczej, to stara historia.

- Nie aż taka stara.

- To działo się dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu! Co, na Boga, ta sprawa ma wspólnego z Pettijohnem?

- Właśnie do tego zmierzamy - wyjaśniła Steffi. - Wszystko się ze sobą wiąże.

- W takim razie posiedźcie sobie tutaj i posłuchajcie tych bzdur - powiedział Frank Perkins, również wstając. - Nie pozwolę jednak, żebyście zmuszali do tego moją klientkę.

- Obawiam się, że nie mogę pozwolić doktor Ladd wyjść - zastrzegł Smilow.

- Masz zamiar wysunąć wobec niej formalne oskarżenie? - spytał adwokat, po czym dodał sarkastycznym tonem: - O przestępstwo popełnione w tym stuleciu?

Smilow uchylił się od bezpośredniej odpowiedzi.

- Jeżeli nie chcecie słuchać dalszej części nagrania, muszę was poprosić, żebyście poczekali w sąsiednim pokoju, póki nie zapozna się z nią pan Cross.

- Świetnie.

- Nie - zaprotestowała Alex cicho, ale zdecydowanie. Wszyscy spojrzeli w jej stronę. - Bobby Trimble to śmieć. Przez ostatnie dwadzieścia lat nabrał nieco ogłady, ale nie przestał być kryminalistą. Chcę usłyszeć wszystko, co zeznał. Mam prawo wiedzieć, co mówił na mój temat. Chociaż słuchanie tego jest dla mnie bardzo ciężkim przeżyciem, muszę się zapoznać z tym nagraniem, Frank.

- Czy twierdzi pani, że dotychczas kłamał? - spytała Steffi.

- Nie musisz odpowiadać, Alex.

Lekceważąc radę adwokata, spojrzała prosto w oczy Steffi, pałające podnieceniem.

- To wszystko wydarzyło się dawno temu, proszę pani. Byłam wtedy dzieckiem.

- I dlatego nie mogła pani jeszcze odpowiadać przed sądem.

- Dokonałam fatalnego wyboru, ale w owym czasie było to najmniejsze zło. Są to dla mnie bardzo niemiłe niczemu, co powiedział pani brat.

Gdyby w tym momencie nie interweniował Frank Perkins i nie ostrzegł Alex, że lepiej będzie, jeśli tego nie skomentuje, zrobiłby to sam Hammond. Posłuchała rady swojego adwokata. Wyraźnie zde gustowany przebiegiem wydarzeń, Perkins zaproponował:

- Miejmy to już za sobą.

Smilow ponownie puścił taśmę. Hammond przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, udając, że stara się odciążać obolałą lewą kończynę. W rzeczywistości próbował się powstrzymać przed zrobieniem czegoś bardzo głupiego. Bał się, że na przykład chwyci podejrzaną za rękę i wyciągnie ją stąd. Ostatnia noc dowiodła, że Alex potrzebuje opieki. Chętnie wzięłby na siebie rolę jej osobistego ochroniarza. Był o krok od powiedzenia o wszystkim, wyjawienia całej tajemnicy, i niech diabli wezmą ewentualne konsekwencje.

O krok. Ale ten krok okazał się niezwykle trudny. Najgorsza część opowieści miała dopiero nastąpić i to ona wykazywała niepokojące zbieżności z obecną sytuacją. Z raportu Loretty wynikało, że Bobby Trimble, ścigany przez lichwiarza i człowieka, którego okradł, opuścił Florydę i zapadł się pod ziemię. Po jakimś czasie pojawił się tu, w Charlestonie. Stało się to na krótko przed morderstwem, w które zamieszana była jego przyrodnia siostra. Ten fakt należało uznać za cholernie dziwny zbieg okoliczności.

To wystarczyło, by wzbudzić podejrzenia Steffi i Smilowa.

Chociaż Hammond wiedział, że Alex nie mogła zabić Pettijohna i przybyć do lunaparku o tej godzinie, o której się tam pojawiła, wciąż dostrzegał pewne wewnętrzne sprzeczności. Prześladowały go pytania bez odpowiedzi. Ogromny wpływ miała na to fatalna przeszłość Alex.

Bezsprzecznie ktoś uznał ją za niebezpieczną, dlatego postanowił się jej pozbyć. Tylko jakież ona mogła stanowić zagrożenie? Czy coś widziała? A może brała udział w spisku, tylko się przestraszyła? Nie potrafiąc jednoznacznie rozstrzygnąć, czy Alex jest stuprocentowo winna, czy całkowicie niewinna, Hammond nie potrafił też wybrać między rolą prokuratora i opiekuna.

Na nagraniu Smilow pytał Trimble'a o nieuczciwą grę, która pozwalała mu wyciągać pieniądze od przyjaciół.

- To wyglądało tak. Wybierałem sobie kogoś, a potem zaczynałem opowiadać mu o Alex i o tym, że dziewczyna właśnie dojrzeła. Mówiłem, jak bardzo chciałaby sprawdzić swój nowy sprzęt, wspominałem, że jest napalona i w ogóle. Karmiłem faceta pikantnymi szczegółami, zmuszałem, by bez przerwy o niej myślał i zastanawiał się, jakie ma szanse. Czasami to trwało kilka dni, kiedy indziej wystarczyło zaledwie kilka godzin, ale w końcu klient był gotowy. Mam talent, coś w rodzaju szóstego zmysłu, dzięki temu wiedziałem, kiedy należy sfinalizować umowę. Podawałem cenę. Wiecie co? Ani razu mi się nie zdarzyło, żeby któryś z tych frajerów próbował się targować - wyznał ze śmiechem. - Określałem czas i miejsce. Inkasowałem pieniądze. Potem wszystko zależało od Alex.

- To znaczy?

- Sama decydowała, co musi zrobić, żeby ich... no wiecie, rozgrzać.

- Podniecić?

- To ładne określenie. Kiedy byli już dobrze napaleni, wbiegałem i żądałem wszystkich pieniędzy, jakie mają przy sobie, grożąc, że inaczej gorzko tego pożałują.

- Pożałują?

- Raczylem ich prawniczą gadaniną o molestowaniu nieletnich. Jeżeli nie chcieli się zgodzić albo grozili, że oddadzą nas w ręce policji, mówiłem, że wtedy będą nasze zeznania przeciwko ich, a przecież każdy uwierzy dwunastoletniej dziewczicy, prawda? Dlatego trzymali buzie na kłódkę. Dzięki temu praktykowaliśmy ten proceder przez długi czas. Nikt nie chciał wyjść na durnia w oczach przyjaciół, dlatego żaden z nich nawet się nie przyznał, że został oszukany.

- Pańska siostra przyrodnia dobrowolnie brała w tym udział?

- A co pan myśli? Że ją zmuszałem? Kobiety uwielbiają się pokazywać. Bez urazy, pani Mundell. Idę jednak o zakład, że obecny tu pan Smilow całkowicie się ze mną zgadza, nawet jeśli się do tego nie przyznaje. Wszystkie kobiety to w głębi duszy ekshibicjonistki. Wiedzą, czym dysponują. Zdają sobie sprawę, o czym marzą mężczyźni. Uwielbiają nas na to łowić.

- Dziękuję za ten psychologiczny wywód.

Bobby dosłyszał sarkazm pobrzmiwający w słowach Steffi Mundell.

- To nie ja pisałem te zasady, pani Mundell. Mówię tylko, jak jest, i pani o tym wie.

Smilow wrócił do przesłuchania.

- Nie zabrakło ci frajerów?

- Rozszerzyliśmy obszar działania na inne dzielnice. Ponieważ Alex wyglądała świeżo i niewinnie, kaida potencjalna ofiara myślała, że jest pierwsza. Dzięki temu doszedłem do wniosku, że ten chwyt będzie skuteczny również w przypadku starszych facetów.

- Opowiedz coś na ten temat.

- Alex była idealnym wabikiem. Wiedziała również, jak owinąć sobie panów wokół palca. To jej specjalność. Umiała odegrać niewinną i zdenerwowaną. Z zasady my, mężczyźni, nie potrafimy oprzeć się nieśmiałej, wstydlivej kobiecie. Moja siostra lubiła ostro grać. Była w tym lepsza niż jakakolwiek kobieta, którą wcześniej czy później spotkałem.

Hammond otarł rękawem spocone czoło, potem oparł głowę o ścianę i zamknął oczy.

Usłyszał stuknięcie. Ktoś zatrzymał magnetofon.

- Dobrze się czujesz?

Zorientował się, że pytanie Smilowa skierowane jest do niego, i otworzył oczy. Przyglądali mu się wszyscy oprócz Alex. Ona jedna miała spuszczonego wzrok. Wpatrywała się we własne dłonie leżące na kolanach.

- Jasne. Czemu pytasz?

- Jesteś strasznie błądy, Hammondzie. Pozwól, że przyniosę ci dodatkowe krzesło.

- Odstąpię panu swoje, panie Cross. - Alex wstała i zrobiła krok w jego stronę.

- Nie - odparł szorstko. - Nic mi nie będzie.

- Może byś się czegoś napił?

- Dzięki, Steffi. Wszystko w porządku.

Alex wciąż stała i wpatrywała się w niego. Zdawał sobie sprawę, że ona jedna wie o jego fatalnym samopoczuciu. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie był tak bardzo nieszczęśliwy.

- Ile jeszcze zostało? - spytał.

- Niedużo - odparł Smilow. - Doktor Ladd?

Kiedy z powrotem zajęła swoje miejsce, włączył magnetofon.

W pokoju zapanowała cisza, słychać było tylko warkot urządzenia i przymilny głos Bobby'ego, który opisywał, w jaki sposób oszukiwali starszych, mających większe wpływy panów. Trimble werbował ich w hotelowych westybulach i barach. Właściwie bawił się w alfonsa Alex. To był dobry interes.

- Kiedy przyłapywałem ich w jednoznacznej sytuacji, pozbawiałem portfeli, a były dużo grubsze niż te, które zabieraliśmy chłopcom z sąsiedztwa. Dużo, dużo grubsze.

- Wygląda na to, że stanowiliście niezły zespół.

- Tak. Najlepszy. - W głosie Bobby'ego słychać było nostalgię. - Potem jeden facet zepsuł nam wszystko.

- Próbowałeś go zabić, Bobby.

- W obronie własnej! Ten sukinsyn rzucił się na mnie z nożem.

- Okradłeś go. Bronił swojej własności.

- A ja walczyłem o życie. To nie moja wina, że podczas starcia nóż się obrócił i zranił go w brzuch.

- Sędzia uznał, że wina leżała po twojej stronie.

- Ten cholerny dziadyga wysłał mnie do pierdła.

- Miałeś szczęście, że napadnięty przeżył. Gdyby zmarł, dostałbyś dużo wyższy wyrok.

Dalszy ciąg tej historii Hammond znał z relacji Loretty.

Trimble poszedł do więzienia. Alex dostała wyrok w zawieszeniu. Wyznaczono jej nadzór kuratorski, obowiązkowe wizyty u psychologa i oddano pod opiekę rodziny zastępczej.

Umieszczono ją u Laddów. Bezdziętne małżeństwo pokochało Alex. Po raz pierwszy w życiu ktoś dobrze ją traktował, darzył uczuciem i na własnym przykładzie pokazywał, jak wyglądają zdrowe relacje międzyludzkie. Pod opieką tejże pary Alex rozkwitła. Laddowie mieli na nią dobry wpływ. Oficjalnie ją adoptowali i dali jej własne nazwisko. Niezależnie od tego, czy Alex zawdzięczała wszystko doktorowi Laddowi i jego żonie, czy też samej sobie, jej życie potoczyło się zupełnie nowym torem.

Jak Bobby sam przyznał, czuł się urażony, że jego siostrze tak dobrze się powiodło.

- Ja wylądowałem w pace, tymczasem Alex wszystko uszło płazem. To niesprawiedliwe. No wiecie, w końcu to nie ja obnażałem się przed facetami.

- Czy na tym się kończyło? Na obnażaniu się przed facetami?

- A jak pan sądzi? - zadrwił Trimble. - Początkowo tak. Ale później? Do diabła, była prostytutką, normalną prostytutką. Lubiała to robić. Niektóre kobiety są do tego stworzone. Alex do nich należy. Dlatego, mimo że ukończyła tę swoją psychologię, bardzo jej tego brakuje.

- Co masz na myśli, Bobby?

- Pettijohna. Gdyby nie tęskniła za kurewstwem, to czy zgodziłaby się to zrobić z Pettijohnem?

Alex poderwała się na równe nogi.

- On kłamie! - krzyknęła.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

- Nigdy nie słyszałem czegoś tak niedorzecznego - wyznał Frank Perkins, pomagając Alex wstać. - Bobby Trimble jest kłamcą i niemoralnym złodziejaszkiem, który w młodości bezwstydnie wykorzystywał przyrodnią siostrę. Teraz jej kosztem próbuje uniknąć oskarżenia o gwałt. Dodajmy, iż jest to fałszywe oskarżenie, wymyślone przez was tylko po to, by zachęcić go do opowiadania tych bzdur. Taka manipulacja nie przystoi nawet tobie, Smilow. Zabieram swoją klientkę do domu.

- Proszę, nie opuszczajcie jeszcze budynku - powiedział inspektor.

Perkins obruszył się.

- Jesteś gotów postawić doktor Ladd w stan oskarżenia?

Smilow zerknął pytająco na Steffi i Hammonda. Kiedy żadne z nich nie wyraziło swojej opinii, wyjaśnił:

- Zostało nam do omówienia jeszcze kilka spraw. Proszę, zaczekajcie na zewnątrz.

Hammond zachował się jak tchórz i nawet nie zerknął na Alex, gdy adwokat wyprowadzał ją z pokoju. Wyraz jego twarzy jedynie podkreślał niepewność sytuacji. Poszczególne elementy uzupełniały się i zdecydowanie przemawiały przeciwko podejrzanej. Nie bez znaczenia pozostawał fakt, że ona i Trimble wspólnie prowadzili działalność przestępczą i że wcale nie były to drobne wykroczenia. Gdyby nie osiągnięcia współczesnej medycyny, dźgnięty nożem mężczyzna pożegnałby się z tym światem.

Po latach rozłąki przyrodnie rodzeństwo ponownie się spotkało. Nastąpiło to zaledwie kilka tygodni przed śmiercią Lute'a Pettijohna. Młodziutka Alex służyła za wabik, umożliwiając Bobby'emu okradanie naiwnych facetów. Dzięki temu dziewczyna miała dom, w którym nie brakowało gotówki. Wpływał stąd bardzo przykry wniosek.

Tabletki przeciwbólowe przestały działać kilka godzin temu.

Pragnąc logicznie myśleć, Hammond powstrzymywał się przed zażyciem następnych. Prawdopodobnie było widać, jak cierpi, ponieważ Steffi odwróciła się do niego, gdy tylko Perkins wyprowadził Alex.

- Wyglądasz, jakbyś lada chwila miał zemdleć. Boli cię?

- Da się wytrzymać.

- Chętnie ci coś przyniosę.

- Nic mi nie będzie.

Wcale nie czuł się tak dobrze, jak udawał. Nie chciał słuchać zeznania, które Bobby Trimble złożył w obecności Smilowa. Bał się, że będzie ono interpretowane na niekorzyść Alex. Nie miał jednak wyboru - musiał postąpić zgodnie z życzeniem inspektora i zapoznać się też z podsumowaniem uzyskanych informacji.

- Powiem w skrócie, co działo się później - zaczął Smilow. - Minionej wiosny Bobby Trimble pobił się w knajpie z jakimś facetem. Wyszedł z tej burdy zwycięsko. Zajście obserwował jeden z łowców talentów Pettijohna, jak się ich określa, i zwerbował Trimble'a do pracy na wyspie Speckle: gdzie potrzebowano takich zawadiaków.

- Żeby wywierali nacisk na właścicieli ziemskich, którzy nie chcieli się zgodzić na sprzedaż.

- Dokładnie tak, Steffi. Pettijohn chciał wykupić całą wyspę, ale napotkał opór, którego się nie spodziewał. Obecni posiadacze gruntów odziedziczyli je po swoich przodkach, którzy niegdyś byli niewolnikami i otrzymali działki od swoich niedawnych właścicieli. Ta ziemia to cały ich świat, to ich dziedzictwo, a zatem coś ważniejszego niż pieniądze, czego Lute nie mógł pojąć. Tak czy inaczej, nie chcieli widzieć na swojej wyspie tysiocy turystów.

- Prawdopodobnie Pettijohn wcale nie miał zamiaru niczego tam budować - snuła domysły Steffi. - Być może zależało mu tylko na tym, by wykupić ziemię, a potem zaczekać, aż zyska na wartości, i odsprzedać za dużo wyższą cenę. - Odwróciła się do Hammonda. - Czy masz coś do dodania?

- We dwójkę bardzo dobrze sobie radzicie. Na razie nie usłyszałem niczego, z czym bym się nie zgadzał. Ponieważ Trimble jest straszną gnidą, nie miał nic przeciwko stosowaniu taktyki silnej ręki w stosunku do ciężko pracujących ludzi, którzy chcieli tylko, by zostawiono ich w spokoju i pozwolono im żyć po swojemu. Prawdopodobnie stosował dużo gorsze metody, niż twierdzi.

- To prawda - przyznał Smilow. - Moi detektywi trafili na ślady palenia krzyży, pobic i innych działań rodem z Kux Klanu. Trimble dowodził opryszkami, którzy to robili.

- Jezu! - mruknął Hammond z obrzydzeniem.

Czy to możliwe, by jego ojciec był zamieszany w takie przedsięwzięcie? Preston utrzymywał, że nie miał pojęcia o terrorze stosowanym przez Pettijohna. Podobno gdy się o tym dowiedział, sprzedał swój udział. Hammond miał nadzieję, że to prawda. Wracając do Bobby'ego Trimble'a, prychnął:

- I to ma być nasz wiarogodny świadek? Ignorując ten komentarz, Steffi ciągnęła:

- Trimble utrzymuje, że gdy zdał sobie sprawę ze swoich błędów, odmówił dalszego wykonywania brudnej roboty. Bardziej prawdopodobne, że po prostu zaczął się nudzić. Na Speckle nie ma zbyt wielu udogodnień. To zajęcie z pewnością nie było tak ekscytujące jak praca w charakterze konferansjera w nocnym lokalu ze striptizem.

- Lute był skąpy jak diabli - przypomniał Smilow. - Na pewno nie płacił Trimble'owi zbyt dużo. Poza tym na Speckle Bobby nie miał gdzie się pokazywać w swoich eleganckich garniturach.

Steffi zerknęła do notatek.

- Czyż nie wspominał, że mieszkańcy wyspy byli uparci? Może wykręcanie rąk nie przynosiło widocznych sukcesów. Pettijohn mógł być rozczarowany i zagrozić, że go zwolni.

- Tak czy owak, Trimble był niezadowolonym pracownikiem, tymczasem jego szef łamał prawo i przypadkowo miał mnóstwo pieniędzy.

- Innymi słowy, idealne warunki do szantażu.

- Dokładnie. To mogło całkiem nieźle się opłacić - zauważył Smilow z lekko drwiącym uśmiechem na ustach. - Trimble doszedł do wniosku, że nie ma sensu tak ciężko pracować, skoro bez trudu można wyciągnąć pieniądze od Pettijohna. Wystarczy jedynie zagrozić ujawnieniem tego, co się dzieje na Speckle.

- Jesteście pewni, że Pettijohn kazał Bobby'emu krzywdzić tych ludzi? Bić ich? Podkładać ogień? A może były to pomysły samego Bobby'ego?

- Na pewno przesadzał - przyznał Smilow. - Ale gdybyście mnie pytali, czy Lute był zdolny do stosowania tak drastycznych metod, powiedziałbym, że tak. Zrobiłby dosłownie wszystko, byle dostać to, czego pragnie.

- Niezależnie od tego, co naprawdę tam robił, musiał rozmijać się z prawem, ponieważ zgodził się zapłacić Bobby'emu sto tysięcy dolarów w gotówce w zamian za milczenie.

Opowieść ponownie podjął Smilow.

- Ale, jak Bobby sam twierdzi, "nie urodził się wczoraj". Lute zbyt szybko przystał na jego żądania. Pośpiech, z jakim obiecał pieniądze, wzbudził nieufność Trimble'a, który bał się osobiście zgłosić po odbiór gotówki. Zdawał sobie sprawę, że w ten sposób może wpakować się w pułapkę.

- I tu do akcji wkracza jego siostra.

- Przyrodnia siostra - poprawił Hammond. - Poza tym ona wcale nie "wkracza do akcji".

- W porządku, Bobby spotkał się z nią i namówił do współpracy.

- Odnalazł ją dzięki przypadkowi. Natknął się na jej zdjęcie w "Post and Courier". Bez wątpienia Alex szczerze przeklinała dzień, w którym zgłosiła się jako ochotniczka do pracy w biurze organizacyjnym Worldfestu - dziesięciodniowego festiwalu filmowego, co roku w listopadzie odbywającego się w Charlestonie. Jakiś normalnie nieszkodliwy pismak i towarzysząca mu grupa fotografów zgotowali jej fatalny los. Podczas przesłuchania Trimble powiedział:

- Kiedy zobaczyłem zdjęcie Alex w gazecie, nie wierzyłem własnym oczom. Dwukrotnie przeczytałem nazwisko, nim zdałem sobie sprawę, że musiała je zmienić. W książce telefonicznej znalazłem adres, poszedłem do niej do domu. Wówczas okazało się, że doktor Ladd bez wątpienia jest moją dawno utraconą przyrodnią siostrą.

- Póki Bobby nie zobaczył tej notatki - przypomniał Hammond - nawet nie wiedział, że Alex mieszka w Charlestonie. Po latach, kiedy to ukrywała się przed nim pod zmienionym nazwiskiem, nie ucieszyła się na jego widok.

- Lub tak przynajmniej twierdzi - zaznaczyła Steffi.

- Gdybyś miała takiego przyrodniego brata jak Bobby, skakałabyś z radości, widząc, jak ponownie wkracza w twoje życie?

- Może. Gdybyśmy wcześniej byli dobrymi partnerami.

- Też mi partnerzy! Wykorzystywał ją w najgorszy z możliwych sposobów!

- Wierzysz w jej niewinność?

- Tak, wierzę.

- Hammondzie, była dziwką.

- Miała dwanaście lat!

- W porządku, była młodą dziwką.

- Nie była.

- Za pieniądze świadczyła usługi seksualne. Czy nie tak definiuje się prostytutkę?

- Dajcie spokój, dzieci.

Ciche upomnienie Smilowa położyło kres ich głośnej sprzeczce. Wetknął plik dokumentów do teczki i podał ją Hammondowi.

- To wystarczy, żebyś mógł przedstawić tę sprawę sędziom przysięgłym. Spotykają się w następnym czwartek.

- Wiem, kiedy się spotykają - warknął Hammond. - Mam w toku inne sprawy. Czy nie możemy poczekać do przyszłego miesiąca, aż ponownie się zbiorą? Po co ten pośpiech?

- Musisz pytać? - spytał Smilow sardonicznie. - Czy mam ci przypomnieć, jaka to ważna sprawa?

- To tylko kolejny powód, by dopiąć ją na ostatni guzik, nim usłyszysz o niej sąd przysięgłych. - Odwołał się do następnego argumentu. - Zawarłeś z Trimble'em niezły układ. Masz kradzież torebki. Najwyżej jedna noc w areszcie. Prawdopodobnie serdecznie się teraz śmieje.

- Powiedz konkretnie, o co ci chodzi.

- Możliwe, że to Trimble zabił Pettijohna, a teraz robi z siostry kozła ofiarnego.

Smilow zastanowił się nad tym przez sekundę, a potem potrząsnął głową.

- Nikt nie widział go na miejscu zbrodni, podczas gdy mnóstwo dowodów przemawia za tym, że Alex Ladd była w pokoju Pettijohna. Z zeznania Daniela wynika, że pojawiła się tam mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nastąpiła śmierć.

- Frank Perkins z łatwością rozprawi się z kwestią czasu. Poza tym nie masz broni.

- Gdybym miał broń, już dzisiaj mógłbym postawić Alex Ladd w stan oskarżenia - przypomniał Smilow. - Na wszelki wypadek przypomnij sądowi przysięgłych, że Charleston ze wszystkich stron otacza woda. Podejrzana mogła jeszcze w sobotę wieczorem pozbyć się rewolweru, który teraz spoczywa gdzieś na dnie.

- Zgadzam się - powiedziała Steffi. - Możemy szukać do końca świata i nigdy nie znaleźć tej broni. W rzeczywistości wcale jej nie potrzebujesz, Hammondzie - zapewniła.

Przetarłszy dłonią twarz, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że rano nie zdążył się ogolić.

- Bardzo trudno będzie mi wyjaśnić, jakimi motywami się kierowała.

- To pestka - sprzeczała się Steffi. - Masz zeznanie Trimble'a na temat jej przeszłości.

- Śniesz na jawie, Steffi - zripostował. - To działo się ponad dwadzieścia lat temu. Ale nawet gdyby wydarzyło się wczoraj, Frank nigdy nie pozwoli, by ta sprawa wypłynęła podczas procesu. Stwierdzi, że nie można brać pod uwagę tego, co podejrzana robiła w dzieciństwie, i żaden sprawiedliwy sędzia nie dopuści tych materiałów do sprawy. Ława przysięgłych nigdy nie usłyszysz tej pieprzonej relacji. A nawet gdyby dzięki jakimś kruczkom prawnym z mojej strony przedstawiono to zeznanie, nie jestem pewien, czybym z niego skorzystał. Rewelacje Trimble'a mogą wywołać zupełnie odwrotny efekt i obrócić się przeciwko nam.

Smilow spojrział na Hammonda spod zmrużonych powiek.

- No cóż, panie prokuratorze, chyba stoi pan po niewłaściwej stronie. Jesteś gotów zgłosić wszystkie możliwe zastrzeżenia w tej sprawie, prawda?

- Po prostu wiem, co może się zdarzyć w sądzie, Smilow. Jestem jedynie realistą.

- Albo tchórzem. Może Steffi powinna ostrzec Masona, że zaczynasz się bać.

Hammond w porę ugryzł się w język. Nie miał wątpliwości, że Smilow rozmyślnie go prowokuje, toteż powstrzymując wybuch złości, powiedział tylko ściszym głosem:

- Mam pomysł. Może zrezygnowałbyś ze wszystkich zgodnych z prawem metod, byle tylko doprowadzić do uznania jej za winną? Zastanówmy się, jakich podstępnych metod mógłbyś użyć? Już wiem. - Pstryknął palcami. - Prawdopodobnie wycofałbyś dowody przemawiające na jej korzyść. Tak, jesteś do tego zdolny. Nie byłby to zresztą pierwszy raz, prawda?

Smilow zacisnął zęby.

- O czym ty mówisz? - spytała Steffi.

- Niech on ci powie - odparł Hammond, nie odrywając oczu od inspektora. - Spytaj go o sprawę Barlowa. - Gdybyś nie miał ręki na temblaku ...

- Nie mów, Smilow, że to cię powstrzymuje.

- Skończcie, chłopcy, z tymi pierdołami - warknęła Steffi niecierpliwie. - I bez waszych utarczek mamy dość zmartwień. Odwróciła się do Hammonda. - Dlaczego powiedziałaś, że dokumenty z młodości doktor Ladd mogą się obrócić przeciw nam?

Dopiero po kilku sekundach oderwał wzrok od Smilowa i spojrzał na Steffi.

- Wystarczyło obserwować twarz doktor Ladd, gdy słuchała Trimble'a, by dostrzec, jak bardzo go nienawidzi. Przysięgli też będą na nią patrzyli.

- Choć może nie tak uważnie jak ty.

Gdyby dźgnęła go gorącym pogrzebaczem, być może zareagowałby z mniejszą złością.

- Co to za pieprzenie?

- Żadne pieprzenie.

- A jednak - upierał się wściekły.

- Zwyczajne spostrzeżenie, Hammondzie - odparła z wkurzającym spokojem. - Nie mogłeś dzisiaj oderwać wzroku od podejrzanej.

- Czyżbyś była zazdrosna, Steffi?

- O nią? Ani trochę.

- W takim razie nie wyskakuj ze swoimi złośliwymi uwagami.

Ostrzegł samego siebie, by nie posuwać się tą ścieżką za daleko, gdyż potem może być już za późno na bezpieczny odwrót. Podjął więc wątek w miejscu, w którym go przerwał. - Trimble jest odrażającym typkiem. Uraził nawet ciebie, chociaż nie jest to takie proste. Jego zeznanie napęłni odrazą zasiadające w ławie przysięgłych kobiety.

- Powiemy mu, co i jak ma mówić.

- Widziałaś kiedyś Franka Perkinsa trzymającego kogoś w krzyżowym ogniu pytań? Pochlebstwami skłonił Trimble'a do wyłuszczenia swoich szowinistycznych teorii. Bobby jest zbyt próżny, by dostrzec pułapkę. Sam się

w nią wpakuje, a wówczas przepadniemy z kretelem. Trudno mi będzie dowieść, że doktor Ladd - a idę o zakład, że Frank przedstawi legion świadków potwierdzających jej doskonałą reputację - współpracowała z facetem takim jak on.

Steffi przez chwilę się nad tym zastanawiała.

- W porządku, powiedzmy, że jest czysta jak świeży śnieg. Gdy więc pojawił się przyrodni brat, kryminalista, i powiedział jej o szantażu, czyż nie powinna natychmiast zawiadomić policji o jego planach? Czemu tego nie zrobiła?

- Przez wzgląd na wspólną przeszłość - wyjaśnił Hammond. - Próbowwała chronić swoją praktykę i reputację. Nie chciała, by wszystkie brudy z jej przeszłości ujrzały światło dzienne.

- Trudno to wykluczyć, ale równie dobrze mogła zmusić go do odkrycia kart, a potem zagrozić, że napuści na niego gliniarzy. Mogła też konsekwentnie mu odmawiać i czekać, aż Bobby zrezygnuje i zostawi ją w spokoju.

- Szczerze wątpię, by dał się w ten sposób spławić. Mógł ją nachodzić i grozić, że powie o niej wszystko pacjentom, przyjacielom i mieszkańcom Charlestonu. W końcu nie były to ciche groźby. Ludzie zawsze chętnie widzą w innych najgorsze. Pacjenci powierzają doktor Ladd swoje problemy. Czy darzyliby ją takim samym zaufaniem, gdyby usłyszeli, co Bobby ma im do powiedzenia? Nie, Steffi. Był w stanie wyrządzić jej ogromną krzywdę i ona o tym wiedziała. Wyrobiła sobie nazwisko i pozycję zawodową. Uznawana jest za eksperta w dziedzinie ataków paniki. Ludzie podziwiają ją i szanują. Po latach pracy nad Bóg jeden raczy wiedzieć iloma wyniesionymi z dzieciństwa zahamowaniami zrobiłaby wszystko, by chronić to, co osiągnęła w nowym życiu.

- I takiej właśnie linii powinno się trzymać oskarżenie! - zawołała Steffi podekscytowana. - Świetnie to przedstawiłeś. Bobby groził, że ujawni przeszłość doktor Ladd, jeśli nie uzyska jej pomocy. Pragnąc się pozbyć przyrodniego brata, zgodziła się odebrać pieniądze za szantaż. W apartamencie hotelowym zdarzyło się coś dziwnego i nie miała wyboru - musiała zabić Pettijohna.

Hammond zbyt późno zdał sobie sprawę, że źle dobrał słowa. Steffi miała rację. Właśnie sprecyzował linię oskarżenia.

- To rzeczywiście może chwycić - wymamrotał.

- Jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że znalazła się w apartamencie Pettijohna? W końcu tego nam nie wyjaśniła.

Na tym właśnie polegał problem. Hammond mógł go obchodzić na tysiąc sposobów, ale wszystkie jego starania zawsze doprowadzały do tego samego. Jeżeli Alex była całkowicie niewinna i nie miała niczego na sumieniu, czemu w sobotnie popołudnie poszła na spotkanie z Pettijohnem?

Smilow ruszył w stronę drzwi.

- Powiem Perkinsowi, że w przyszły czwartek sąd przysięgłych rozpatrzy naszą sprawę.

- Czemu jej po prostu nie aresztujesz? - spytała Steffi.

Na myśl o tym, że Alex miałyby spędzić choćby krótką chwilę w areszcie, Hammondowi zrobiło się niedobrze, uznał jednak, że lepiej będzie, jeżeli tym razem nie zaprotestuje.

Dzięki Bogu, Smilow zrobił to za niego.

- Ponieważ Perkins wszcząłby potworny hałas i zmusił nas do sprecyzowania oskarżenia, nim zamknjemy ją w więzieniu. Na dodatek w ciągu kilku godzin załatwiłby dla niej zwolnienie.

- On ma rację, Steffi - potwierdził Hammond, czując się tak, jakby właśnie otrzymał ulaskawienie. - Kiedy przedstawimy jej akt oskarżenia, wołałbym, by kryła się za tym decyzją sądu przysięgłych.

Smilow wyszedł, zostawiając im do dyspozycji swoje biuro. Steffi ze współczuciem spojrzała na Hammonda.

- Jesteś pewien, że zdołasz zająć się tą sprawą? Niezależnie od tego, czy się do tego przyznasz, czy nie, wczorajszy napad zdrowo dał ci się we znaki. Przez najbliższe kilka dni prawdopodobnie będziesz czuł się dużo gorzej. Z przyjemnością cię odciążę.

Pozornie brzmiało to tak, jakby zaniepokojona jego stanem koleżanka zaproponowała mu przysługę. Hammond zastanawiał się jednak, czy ten gest rzeczywiście podyktowany został przez altruizm. Steffi marzyła o tej sprawie i prawdopodobnie czuła się urażona, że to on ją dostał.

Równie dobrze jej propozycja mogła być starannie zastawioną pułapką. Po wcześniejszej insynuacji, jakoby nie mógł oderwać wzroku od Alex, podchodził do słów Steffi ze sporą nieufnością. Jeśli jego była kochanka podejrzewa, że Alex wpadła mu w oko, będzie go obserwować jak jastrząb upatrzoną ofiarę. Każdy jego postępek, każde słowo będzie rozpatrywać pod tym kątem. Gdyby Steffi odkryła, że zauroczenie Hammonda zaszło dużo dalej, niż przypuszcza, i on, i Alex byłiby narażeni na ogromne niebezpieczeństwo. Dlatego nie mógł okazywać, że wyraźnie faworyzuje podejrzaną.

Z drugiej jednak strony trudno było wykluczyć, że propozycja Steffi jest całkiem bezinteresowna, a jej obawy szczere. Miała prawo być na niego zła z powodu zerwania, na szczęście nie pozwoliła, by to wpłynęło na ich współpracę. To Hammond ukrywał swoje motywy.

Rozgoryczony, podziękował Steffi za uprzejmą propozycję.

- To miło z twojej strony, ale mam tydzień na powrót do zdrowia. Z pewnością w przyszły czwartek będę już w formie i nic nie zdoła mnie powstrzymać przed rzuceniem się w wir pracy.

- Gdybyś zmienił zdanie ...

Rozdział trzydziesty

- Przed gmachem komendy jest prasa? - spytał Frank Perkins z pełnym złości niedowierzaniem.

- Tak mi powiedziano - odparł grzecznie Smilow. - Uznałem, że powinienem cię ostrzec. - Kto puścił farbę?

- Nie wiem.

- Jasne - prychnął adwokat.

Odwrócił się, wziął Alex Ladd pod ramię i poprowadził ją w stronę windy.

Steffi podeszła z boku do Smilowa.

- Nie mogę się już doczekać czwartku - wyznała.

- To nie będzie łatwe.

Spojrzała na inspektora, zaskoczona jego pełnym zniechęcenia tonem.

- Tylko mi nie mów, że pesymizm Hammonda jest zaraźliwy. Myślałam, że masz zamiar uraczyć swoich detektywów cygarami.

- Uwagi Hammonda są słuszne - powiedział w zamyśleniu. Powinien przekonać sąd przysięgłych, że można formalnie postawić Alex Ladd w stan oskarżenia. Jeżeli się z nim zgodzą, będzie musiał udowodnić, iż co do jej winy nie ma ani cienia wątpliwości. Tymczasem wszystkie nasze dowody opierają się na poszlakach, Steffi. Zeznanie Trimble'a nie jest wiele warte z wiadomego powodu. To za mało, by prokurator miał w co włożyć ręce.

- Nim zacznie się rozprawa, pojawią się następne dowody.

- O ile w ogóle istnieją.

- Powinny.

- Niekoniecznie, zwłaszcza jeżeli to nie Alex Ladd zabiła Pettijohna. - Steffi wpatrzyła się w niego z natężeniem, udał jednak, że tego nie dostrzega, i odwrócił się. - Mam mnóstwo roboty.

Skwaszona jego uwagami, przez chwilę plątała się po korytarzu, póki Hammond nie wyszedł z toalety. Razem wsiedli do windy.

- Na zewnątrz jest prasa.

- Słyszałem.

- Przygotowałeś się na spotkanie z nimi? - spytała, z obawą klepiąc go po ramieniu rannej ręki.

Gdy dotarli na parter, przez przeszklone drzwi zobaczyli tłum reporterów, czekający na frontowych schodach.

- To nie ma żadnego znaczenia. Po prostu muszę to zrobić. Po fackie Steffi przyznała, że Hammond dobrze się spisał.

Chociaż zdecydowanie zbagatelizował swoje obrażenia, dzięki nim mógł uchodzić za pełnego fantazji, odważnego żołnierza, szykującego się do boju mimo odniesionych ran.

W drodze powrotnej do gmachu sądu w północnej części Charlestonu prawie w ogóle nie rozmawiali. Gdy weszli do środka, Hammond przeprosił ją i zamknął się w swoim prywatnym biurze. Steffi, zatopiona w myślach,

dosłownie wpadła na Monroe Masona, który wyłonił się zza rogu. Niósł przerzucony przez ramię smoking.

- Widzę, że szef wcześniej się dziś zmywa. Mason zmarszczył czoło.

- Moja żona zgłosiła nas do jednej z tych nudnych akcji charytatywnych, odbywających się dziś wieczorem. Ma to być bankiet, na którym wszyscy obecni dostaną jakąś nagrodę. Poza tym komu jestem tu potrzebny? Wszyscy świetnie sobie radzicie bez mojej pomocy. Przyrodni brat doktor Ladd dostarczył Hammondowi brakujące ogniwo, czyż nie? Teraz mamy motyw. To brzmi logicznie.

- Rzeczywiście zeznanie Trimble'a wszystko zmieniło.

- Stawiam na wasz zespół.

- Dziękuję.

- A teraz koniec z retoryką - powiedział, uśmiechając się dobrodusznie. - Co o tym wszystkim sądzisz, Steffi? Jak to twoim zdaniem wygląda?

Przypomniawszy sobie obawy Smilowa, wyznała:

- Wolelibyśmy mieć więcej niepodważalnych dowodów.

- Podaj mi nazwisko prokuratora, który by nie wolał. Rzadko przyłapujemy oskarżonego z dymiącym rewolwerem w dłoni. Czasami - a tak jest w większości przypadków - musimy zrobić coś z jakiegoś drobiazgu lub wręcz z niczego. Hammond doprowadzi do tego, że doktor Ladd zostanie postawiona w stan oskarżenia, a kiedy sprawa dotrze na salę rozpraw, udowodni jej winę. Absolutnie wierzę w jego możliwości.

Steffi uśmiechnęła się, chociaż czuła, że bołą ją mięśnie twarzy.

- Ja również. Chyba że wpadnie po uszy.

Mason spojrzał na zegarek i powiedział:

- Muszę już iść. Umówiłem się ze swoim trenerem na szybką rozgrzewkę i masaż, nim wbiję się w ten mały strój. Impreza zaczyna się o piątą. Musiałem przyrzec pani Mason, że się nie spóźnię.

- Dobrej zabawy. Zmarszczył czoło. - Kpisz, prawda?

- Tak jest, sir, kpię. - Ze śmiechem życzyła mu przyjemnego wieczoru. Dotarłszy do końca korytarza, zatrzymał się.

- Steffi?

Widział jedynie plecy podwładnej, w związku z czym nie mógł dostrzec triumfalnego uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy. Gdy się odwróciła, nie było już po nim śladu.

- Słucham?

- Co miała znaczyć ta uwaga?

- Jaka uwaga?

- Że Hammond może wpaść po uszy.

- Och. - Roześmiała się. - Żartowałam. To nic takiego. Wrócił do niej.

- Już po raz drugi sugerujesz, że Hammond zadurzył się w doktor Ladd. Nie powiedziałbym, że to "nic takiego". A z pewnością nie uznałbym tego za temat do żartów.

Steffi przygryzła dolną wargę.

- Gdybym go dobrze nie znała ... - powiedziała z wahaniem. Potem zdecydowanie potrząsnęła głową. - Ale go znam. Wszyscy go znamy. Hammond zawsze będzie obiektywny.

- Jasne.

- Oczywiście.

- No cóż, w takim razie ... miłego wieczoru.

Prokurator okręgowy odwrócił się i ruszył korytarzem. Kiedy zniknął z pola widzenia, Steffi jak burza wpadła do swojego biura. Na początku tygodnia zasiała ziarno. Dzisiaj je podlała.

- Zobaczymy, jak płodny jest jego umysł - powiedziała do siebie, siadając za biurkiem i przerzucając wiadomości telefoniczne. Nie było wśród nich tej, na którą najbardziej liczyła. Poirytowana, sięgnęła po telefon.

- Laborant Anderson. Słucham.

- Mówi Steffi Mundell.

- Tak?

Jim Anderson pracował w szpitalnym laboratorium i należał do ludzi mających wieczne pretensje do całego świata. Steffi Mundell doskonale o tym wiedziała, ponieważ już wcześniej zetknęła się z nim i jego poglądami. Od innych wymagała precyzji i szybkości, z czym Jim wyraźnie miał poważne problemy.

- Jeszcze nie przeprowadził pan tego badania?

- Powiedziałem, że zadzwonię, gdy będę znał wynik.

- Jeszcze go pan nie zna?

- A dzwoniłem?

Nawet nie silił się na uprzejmość - nie przeprosił ani nie podał żadnego wyjaśnienia.

- Bardzo potrzebne mi są wyniki tego badania. To niezwykle ważna sprawa - powiedziała. - Wyjątkowo ważna. Może dziś rano nie dałam panu tego jasno do zrozumienia.

- Owszem, dała mi to pani jasno do zrozumienia. Ale ja równie jasno powiedziałem, że jestem pracownikiem szpitala, a nie komendy policji czy biura prokuratora okręgowego. Mam mnóstwo roboty, i to równie ważnej.

- Nic nie jest tak ważne jak to.

- Musi pani poczekać w kolejce, pani Mundell. Nic na to nie poradzę.

- Niech pan posłucha, nie proszę o test na DNA ani na obecność HIV. Nie wymagam niczego tak skomplikowanego. Chcę jedynie, żeby określił pan grupę krwi.

- Rozumiem.

- Muszę wiedzieć, czy krew na ściereczce jest tej samej grupy co krew na prześcieradle, które Smilow przywiózł do pana kilka dni temu.

- Już mi to pani mówiła.

- Czy to takie trudne? - spytała, podnosząc głos. - Nie wystarczy spojrzeć w mikroskop albo coś w tym stylu? - Przekazę pani wyniki, gdy wykonam to badanie. Anderson rozłączył się.

- Sukinsyn! - syknęła, rzucając słuchawkę.

Nic nie denerwowało jej bardziej niż niekompetencja, chyba że niekompetencja połączona z nieuzasadnioną arogancją. Cholera jasna, bardzo potrzebne jej były te wyniki! Miała wyjątkowo mocne przeczucie, a przeczucia rzadko ją myliły. Sam pomysł po raz pierwszy wpadł jej do głowy wczesnym rankiem. Od tego czasu stał się wręcz obsesją.

Chociaż właściwie było to zupełnie niemożliwe, czuła, że coś łączy Alex Ladd i Hammonda i że to coś ma podłoże seksualne. Lub przynajmniej uczuciowe.

Nie odważyła się wyjawić swoich podejrzeń Smilowowi.

Prawdopodobnie uznalby je za absurdalne i zlekceważył. Wówczas w najlepszym razie wyszłaby na idiotkę, a w najgorszym na zazdrosną byłą kochankę.

Smilow przedstawiłby tę teorię swoim detektywom, którzy zrobiliby sobie ze Steffi pośmiewisko. Mike Collins i jego kumple, faceci, którzy nie mogli pogodzić się z faktem, że kobieta może dzierżyć jakąś władzę, już nigdy nie potraktowaliby jej poważnie. Wszystko, co by powiedziała albo zrobiła, spotykałoby się z kpiną. Steffi by tego nie zniosła. Z ogromnym wysiłkiem wywalczyła sobie reputację twardej, zmysłowej pani prokurator. Nie było sensu narażać tej opinii na szwank z powodu czegoś tak śmiesznie babskiego, jak dostrzeżenie romansu tam, gdzie go nie ma.

Równie fatalnego efektu można by się spodziewać, gdyby Smilow dał wiarę jej przeczuciu. Gdyby podchwycił je i wykorzystał. W przeciwieństwie do niej miał informatorów i facetów mogących przeprowadzić prawdziwe dochodzenie. Smilow mógłby powiedzieć dupkowi w rodzaju Jima Andersona, że ma podskoczyć, a szpitalny laborant zapytałby tylko, jak wysoko. Policja w mgnieniu oka dostałaby wynik tego badania. Gdyby próbki krwi się zgodziły, uznanie za wykrycie powiązań między Hammondem a podejrzaną spłynęłoby na Smilowa.

Jeżeli Stetli miała rację, wcale nie musiała dzielić się chwałą z inspektorem ani z nikim innym. Liczyła na to, że to ona dostąpi wszystkich zaszczytów. Gdyby Hammond spadł z piedestału - może nawet zostałby skreślony z listy prawników - za utrudnienie dochodzenia w sprawie morderstwa, chciała, by zawdzięczał to jej. Tylko jej. A wtedy koniec z graniem drugich skrzypiec, koniec z pracą w zespołach, dziękuję bardzo.

Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy, jak Hammondowi grunt osuwa się pod nogami. Byłaby bardzo zadowolona, gdyby doszło do tego dzięki niej.

Jego dzisiejsze zachowanie podczas przesłuchiwania zeznań Trimble' a jedynie wzmocniło jej podejrzania. Zachowywał się jak zazdrosny kochanek. Ewidentnie widział w Alex Ladd ofiarę, wykorzystywaną przez przyrodniego brata. Ilekroć było to możliwe, występował w jej obronie i znajdował uzasadnienie, które sugerowało niewinność. To nie najlepsze podejście w przypadku prokuratora, który ma przekonać innych o winie oskarżonej. Może odczuwał jedynie żal za straconą dziewczęcą niewinnością? Albo współczuł szanowanej terapeutce, która

lada chwila zostanie odarta z wiarygodności i szacunku? Tak czy inaczej, coś go dręczyło. Zdecydowanie.

- Wiem to - szepnęła zapamiętała.

Znana była z niezwyklej spostrzegawczości. Potrafiła wyczuć kłamstwa i znaleźć motywy, które nie przychodziły na myśl żadnemu innemu pracownikowi biura prokuratora. Dzisiaj te umiejętności bardzo jej się przydały. Wszystkie zmysły Steffi wychwytywały jakieś dziwne wibracje, gdy tylko Hammond i Alex Ladd znajdowali się blisko siebie.

To wrażenie nie opierało się jedynie na prokuratorskim instynkcie. W tej sprawie bardzo pomagała Steffi kobieca intuicja. Gdy obserwowała, jak Hammond i Alex patrzą na siebie, niemal widziała wysyłane przez nich sygnały. Unikali wzajemnych spojrzeń w oczy, ale gdy już to robili, nie mogli oderwać od siebie wzroku.

Alex Ladd sprawiała wrażenie zdruzgotanej, gdy Trimble relacjonował pikantne szczegóły z jej przeszłości. Gdy im zaprzeczała, niemal zawsze zwracała się do Hammonda. Tymczasem on sam, człowiek, który zawsze potrafił się maksymalnie skoncentrować na rozpatrywanej właśnie sprawie, nie mógł spokojnie ustać. Bez przerwy się wiercił. Machał rękami. Zachowywał się tak, jakby coś go swędziało, a nie mógł się podrapać.

Steffi rozpoznawała te symptomy. W taki sam sposób reagował, gdy zaczął się ich romans. Był niespokojny, ponieważ sypiał z koleżanką z pracy. Martwił się swym niestosownym postępowaniem. Steffi drażniła się z nim, mówiąc, że jeśli nadal będzie tak nerwowo przyjmował jej obecność w miejscach publicznych, sam się zdradzi.

Ale to nie zazdrość - wmawiała sobie. - Wcale nie jestem o niego zazdrosna, a już z całą pewnością nie jestem zazdrosna o nią. Naprawdę.

Pozornie zachowywała się jak typowa wzdrgdzona kobieta, ale to nie zazdrość kazała jej dotrzeć do sedna sprawy. To było coś silniejszego. Dużo silniejszego. Od dokonanych odkryć zależała jej przyszłość.

Zamierzała szukać dalej, dopóki czegoś nie znajdzie, nawet gdyby to konkretne przeczucie okazało się mylne. Pewnego dnia, gdy doktor Ladd powędruje za kratki, być może Steffi powie Hammondowi o swoim szalonym podejrzeniu. Nieźle się wtedy uśmieją.

Może uda jej się odkryć jakiś skandaliczny sekret, który nieodwracalnie zniszczy reputację Hammonda Crossa, a wówczas spadnie do zera jego szansa na stanowisko prokuratora okręgowego.

Gdyby do tego doszło, zgadnijcie, kto ma odpowiednie przygotowanie i gotów jest przejąć ten urząd.

Wysoki rangą inspektor do spraw zabójstw z charlestońskiej komendy policji skłaniał się ku twierdzeniu, że to Alex Ladd zamordowała Lute'a Pettijohna. Przygotowanie argumentacji i udowodnienie tej tezy podczas rozprawy sądowej należało już do Hammonda. Niestety, sprawa ta miała się toczyć przeciw kobiecie, którą kochał. Co więcej, sam był bardzo ważnym świadkiem. Z tych dwóch niezmiernie istotnych powodów zależało mu na tym, by odeprzeć postawiony zarzut.

Był jednak jeszcze inny powód - dużo ważniejszy i wymagający natychmiastowego działania. Alex Ladd groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Media odnotowały fakt, że poprzedniego dnia w jej domu przeprowadzono

rewizję. Ubiegłego wieczoru ktoś usiłował ją zabić. To nie mógł być przypadek. Facet w ciemnej uliczce prawdopodobnie został wynajęty, by na zawsze uciszyć Alex. Ponieważ ta próba spaliła na panewce, należało liczyć się z następnymi.

Smilow i jego ludzie całą uwagę skupili na Alex, w związku z czym Hammond mógł spróbować znaleźć innego prawdopodobnego podejrzanego lub podejrzanych.

W tym celu zaszył się w swoim biurze, przeglądając otrzymaną od Smilowa teczkę z materiałami dotyczącymi tej sprawy. W myślach zdystansował się od wszystkiego. Pomiął osobiste zaangażowanie i skupił się na aspektach prawnych, rozważając punkt po punkcie tylko od tej strony.

Komu zależało na śmierci Lute'a Pettijohna?

Rywalom? Z pewnością. Ale z dokumentów Smilowa wynikało, że wszyscy przesłuchiwani mieli pewne alibi. Nawet Preston Cross. Hammond osobiście to sprawdził.

Davee? Oczywiście. Wierzył jednak, że gdyby to ona zabiła Lute'a, nie robiłaby z tego tajemnicy. Prędzej urządziłaby całe przedstawienie. To byłoby bardziej w jej stylu.

Polegając na swojej umiejętności koncentracji i zdolnościach percepcyjnych, Hammond poukladał i przyswoił sobie wszystkie dane, jakie znalazły się w teście. Do tych informacji dodał fakty, które znał tylko on, a o których Smilow nie miał pojęcia.

1. Sam Hammond odwiedził Lute'a Pettijohna na krótko przed morderstwem.

2. Odręczna notatka, którą dostał od Davee, świadczyła o tym, że w sobotnie popołudnie Hammond nie był jedynym gościem Lute' a.

3. Biuro prokuratora generalnego prowadziło przeciw Lute' owi Pettijohnowi tajne dochodzenie.

Każdy z tych faktów rozpatrywany oddzielnie wydawał się nie mieć żadnego istotnego znaczenia. Jednak razem wzięte wzbudzały zainteresowanie prokuratora i skłaniały do dalszych pytań ... pytań, które wykaczały daleko poza chęć udowodnienia, że Alex jest niewinna. Nawet gdyby jej nie kochał, nie chciałby bezpodstawnie skazać osoby niewinnej. Niezależnie od tego, kim był główny podejrzany, nasuwające się pytania sugerowały, iż potrzebne jest dalsze dochodzenie.

W myślach uzupełnił informacje o dodatkowe fakty, a potem odtworzył wszystkie przeprowadzone przez siebie rozmowy, mające coś wspólnego z morderstwem Pettijohna. Dyskusje ze Smilowem, Steffi, ojcem, Monroe Masonem i Loretą. Wyłączył z tego równania Alex i udawał, że jej nie ma - że osoba podejrzana jest owiana całkowitą tajemnicą. To pozwoliło mu wsłuchać się na nowo w każde pytanie i odpowiedź.

Co dziwne, najbardziej zaskoczyło go własne stwierdzenie, powstrzymując leniwy strumień świadomości. "Próby znalezienia broni przypominałyby szukanie igły w stogu siana. W samym Charlestonie są setki trzydziestekósemek. Nie brak ich również w waszym magazynie z dowodami, Smilow".

Nagle poczuł świeży przypływ energii i szalonej determinacji. Postanowił za wszelką cenę uzasadnić, dlaczego w ciągu ostatnich kilku dni tak irracjonalnie się zachowywał. Wszystko - jego kariera, życie i spokój ducha - zależało od tego, czy uda mu się oczyścić Alex z zarzutów i udowodnić, iż miał rację.

Zerknął na stojący na biurku zegarek. Jeśli się pospieszy, może zdąży jeszcze tego wieczoru rozpocząć własne dochodzenie. Szybko schował dokumenty z powrotem do teczki, wetknął ją do aktówki i wyszedł z biura. Kiedy minął główne drzwi prowadzące do budynku, ze wszystkich stron otoczył go potworny upał. W tym momencie usłyszał swoje imię.

- Hammondzie!

Tylko jeden człowiek miał taki władczy głos. Hammond cicho jęknął i odwrócił się.

- Cześć, tato.

- Czy możemy wrócić do twojego biura i porozmawiać?

- Jak widzisz, właśnie wychodzę i zależy mi na tym, by dotrzeć do centrum, nim ludzie skończą pracę.

Sprawa Pettijohna we czwartek trafia przed sąd przysięgłych.

- Właśnie o tym chcę z tobą pomówić.

Preston Cross nigdy nie przyjmował odmowy. Wprowadził Hammonda w skrawek cienia przy płaskiej fasadzie budynku.

- Co ci się stało w rękę?

- Wyjaśnienie zajęłoby za dużo czasu - odparł ze zniecierpliwieniem. - Co jest tak pilne, że nie może poczekać?

- Dziś po południu dzwonił do mnie Monroe Mason. Skorzystał ze swojego telefonu komórkowego, gdy był w drodze na salę gimnastyczną. Jest bardzo zaniepokojony.

- Co go trapi?

- Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby jego przypuszczenia okazały się słuszne.

- Przypuszczenia?

- Że darzysz tę doktor Ladd jakimś niedozwolonym uczuciem.

"Tę" doktor Ladd. Ilekroć ojciec mówił o kimś z lekceważeniem, zawsze przed nazwiskiem umieszczał zaimek wskazujący. Owa depersonalizacja była subtelnym sposobem wyrażania negatywnej opinii na temat danego człowieka.

Grając na zwłokę, Hammond powiedział:

- Wiesz co? Naprawdę zaczyna mnie wkurzać, że gdy Mason ma do mnie jakieś zastrzeżenia, dzwoni z tym do ciebie. Czemu nie przyjdzie bezpośrednio do mnie?

- Jest moim starym przyjacielem. Widzi, że mój syn ma szansę spieprzyć sobie karierę, a ponieważ darzy mnie szacunkiem, próbuje ostrzec. Na pewno liczył na to, że jakoś zainterweniuję.

- Co z prawdziwą przyjemnością zrobiłeś.

- Do jasnej cholery, masz rację!

Twarz ojca zrobiła się czerwona aż po cebulki siwych włosów. W kąciu ust pojawiła się ślina. Preston niezwykle rzadko wpadał w złość, wręcz uważał wszelkie uleganie emocjom za słabość zarezerwowaną wyłącznie dla kobiet i dzieci. Wyjął z tylnej kieszeni spodni chusteczkę do nosa i wytarł spocone czoło eleganckim

kwadratem białego irlandzkiego płótna. Potem spokojniej powiedział:

- Zapewnij mnie, że przypuszczenia Masona są całkowicie bezpodstawne.
- Skąd wziął mu się ten pomysł?
- Początkowo z twojego dość obojętnego podejścia do tej sprawy.
- Nie nazwałbym tego w taki sposób. Haruję jak dziki osioł. Przyznaję, jestem ostrożny ...
- Aż do przesady.
- To twoje zdanie.
- Widocznie Mason też tak uważa.
- W takim razie to on powinien kasać mnie w tyłek, nie ty.
- Od początku się ociągasz. Twój mentor i ja chcielibyśmy wiedzieć dlaczego. Czy podejrzana tak cię

onieśmiela? Czyżbyś ją polubił?

Hammond nie odrywał oczu od twarzy ojca, ale uparcie milczał.

Oblicze Prestona Crossa zalała furia.

- Jezu Chryste, Hammondzie! Nie mogę w to uwierzyć. Zwariowałeś?

- Nie.

- Kobieta?! Gotów jesteś poświęcić swoje ambicje ...

- Chyba masz na myśli swoje ambicje.

- ... dla kobiety? Tak daleko zaszedłeś. Jak możesz teraz zachowywać się w taki ...

- Zachowywać się? - Hammond wybuchnął pogardliwym śmiechem. - Masz czelność wypominać mi niestosowne zachowanie? A co powiesz o swoim, ojczu? Jaki dałeś mi przykład? Może po prostu postanowiłem z niego skorzystać. Chociaż z całą pewnością nie posunąłbym się do palenia krzyży.

Preston gwałtownie zamrugał. Hammond wiedział, że trafił w dziesiątkę.

- Należysz do Klanu?

- Nie! Do diabła, nie!

- Ale wiedziałeś o tym, prawda? Doskonale zdawałeś sobie sprawę z tego, co się dzieje na wyspie Speckle.

Co więcej, w jakiś sposób to aprobowałeś.

- Zrezygnowałem.

- Nie do końca. Tylko Lute'owi się to udało. Dał się zamordować, więc teraz już nikt nie pociągnie go do odpowiedzialności. Ale tobie wciąż to grozi. Byłeś nieostrożny, tato. W dokumentach figuruje twoje nazwisko.

- Już naprawiłem to, co się wydarzyło na Speckle.

Ach, sławny cios ostrzegawczy Prestona. Jak zwykle Hammond nie zorientował się, że zaraz oberwie.

- Wczoraj byłem na Speckle - wyjaśnił ojciec spokojnie. Spotkałem się z ofiarami przerażającego terroru Lute'a, wyjaśniłem im, że byłem zawstydzony, gdy się dowiedziałem, co on tam wyrabia, i że natychmiast wycofałem się ze współpracy. Każdej rodzinie dałem tysiąc dolarów na pokrycie szkód powstałych na terenie ich posiadłości, a wyrażając płynącą z głębi serca skruchę, ofiarowałem pokaźną sumkę na kościół. W szkole

ufundowałem stypendium. - Przerwał i ze współczuciem uśmiechnął się do Hammonda. - Czy sądzisz, że teraz, po tak wspaniałym, godnym filantropa geście, można mi wytoczyć sprawę kryminalną? Spróbuj, synu, a zobaczysz, że poniesiesz sromotną klęskę.

Hammond poczuł mdłości i zawrót głowy, lecz nie można było tego przypisać upałowi ani ranom.

- Przekupiłeś ich.

Znowu ten uśmiech dobroczyńcy.

- Pieniędzmi ze swojego kieszonkowego.

Hammond nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu miał większą ochotę kogoś uderzyć. Chciał zmiażdżyć wargi Prestona, aż spuchną i zaczną krwawić, aż nie będą w stanie protekcyjnie i z wyższością się uśmiechać. Opanował się jednak, obniżył głos i przysunął się do ojca.

- Nie bądź taki pewny siebie, tato. Ta sprawa będzie cię kosztować trochę więcej niż kieszonkowe. Jeszcze nie uwolniłeś się z zarzutu. Jesteś skorumpowanym sukinsynem. To ty wymyśliłeś korupcję. Więc nie praw mi kazań na temat mojego zachowania. Nigdy więcej.

Powiedziawszy to, Hammond odwrócił się i ruszył w stronę parkingu.

Preston chwycił go za lewe ramię i ostrym szarpnięciem odwrócił twarzą do siebie.

- Prawdę mówiąc, bardzo liczę na to, że ta sprawa wyjdzie na jaw. Sprawa twoja i tej kobiety. Mam nadzieję, że ktoś sfotografuje cię, jak będziesz się z nią pieprzył. Chciałbym, żeby to zdjęcie opublikowano w gazecie i pokazano w telewizji. Cieszę się, że wpakowałeś się w takie tarapaty. Dobrze ci to robi, ty cholerny hipokryto! Przez twoje zadufanie w sobie, dobre uczynki i skautowskie podejście do sprawy robi mi się niedobrze - powiedział szyderczo.

Dźgnął syna palcem wskazującym w klatkę piersiową.

- Jesteś tak samo przekupny jak każdy inny człowiek. Tylko dotychczas nikt cię nie wypróbował. Czy to chciwość kazała ci zboczyć z prostej i wąskiej ścieżki? Nie. Obietnica władzy? Nie. - Prychnął. - Zwykły kawałek dupy. Uważam, że to największy powód do wstydu. Mogłeś przynajmniej dać się przekupić czymś, co trudniej zdobyć.

Obaj panowie patrzyli na siebie wilkiem, tym razem nie kryjąc niechęci, która od lat gotowała się pod grubymi warstwami urazy. Hammond wiedział, że niezależnie od tego, jakich użyje słów, nie zdoła pokonać stalowej woli ojca. Nagle zdał sobie sprawę, że wcale mu na tym nie zależy. Po co miałby bronić siebie i Alex przed człowiekiem, którego w ogóle nie poważa? Wiedział, kim jest Preston, i wcale mu się to nie podobało. Opinia ojca przestała mieć już jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ nie popierały jej uczciwość ani honor.

Odwrócił się i odszedł.

Smilow czekał pół godziny w westybulu Charles Towne Plaza, nim zwolniło się jedno z krzeseł pucybuta.

- Pańskie buty wciąż lśnią, panie Smilow.

- W takim razie tylko je wypoleruj, Smitty.

Starszy mężczyzna wdał się z policjantem w dyskusję na temat obecnego kryzysu w Atlancie. Smilow przerwał mu.

- Smitty, czy tego popołudnia, kiedy został zamordowany pan Pettijohn, widziałeś tu tę kobietę?

Pokazał mu zdjęcie Alex Ladd z popołudniowego wydania gazety. Powiększył je, by lepiej było widać rysy twarzy.

- Tak, sir, widziałem ją. Dziś po południu pokazywali tę panią w telewizji. To ją podejrzewacie o popełnienie morderstwa.

- To, czy sąd przysięgłych postawi ją w stan oskarżenia, czy nie, zależy przede wszystkim od tego, jak niepodważalne będą nasze dowody. Czy ktoś z nią był?

- Nie, sir.

- A czy kiedykolwiek widziałeś tego człowieka?

Pokazał mu fotkę Bobby'ego Trimble'a.

- Tylko w telewizji. Ta sama historia i to samo zdjęcie.

- Nigdy nie spotkałeś go tu, w hotelu?

- Nie, sir.

- Jesteś pewien?

- Zna mnie pan, panie Smilow. Dobrze zapamiętuję ludzkie twarze.

Inspektor bezwiednie przytaknął i schował fotografie do kieszeni na piersi.

- Czy doktor Ladd wyglądała na złą albo zdenerwowaną, gdy ją widziałeś?

- Nieszczególnie, ale nie przyglądałem się jej zbyt uważnie. Zauważyłem ją, gdy weszła, ponieważ ma ładne włosy. No wie pan. Jestem już stary, ale wciąż lubię patrzeć na piękne dziewczyny.

- Widujesz ich tu sporo.

- Ale nie brakuje też brzydkich - wyznał ze śmiechem. - Tak czy inaczej, była sama i nic jej nie interesowało. Przeszła przez westybul, kierując się prosto do windy. Po chwili wróciła. Weszła do baru. W jakiś czas później ponownie wsiadła do windy.

- Zaczekaj. - Smilow pochylił się w stronę pucybuta. - Mówisz, że dwukrotnie pojechała na górę?

- Wygląda na to, że tak.

- Jak długo była tam za pierwszym razem?

- Może pięć minut.

- A za drugim?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, kiedy wróciła na dół.

Po raz ostatni musnął buty Smilowa. Policjant wstał z krzesła i rozstawił ręce, żeby Smitty mógł oczyścić szczotką marynarkę.

- Smitty, wspomniałeś komuś, że tego dnia czyściłem u ciebie buty?

- Ta sprawa nigdy nie wyszła na jaw, panie Smilow.

- Wolałbym, żeby to zostało między nami, zgoda? - Odwrócił się i wręczył Smitty'emu spory napiwek.

- Jasne, panie Smilow. Jasne. Przykro mi z powodu tej pani. - Jakiej pani?

- Tej damy. Szkoda, że nie widziałem, kiedy wróciła.

- Niewątpliwie byłeś zajęty.

Pucybut uśmiechnął się.

- Tak, sir. W ostatnią sobotę panował tu taki ruch jak na dworcu głównym. Ludzie bez przerwy wchodzili i wychodzili. - Podrapał się po głowie. - To zabawne, prawda? Że wszyscy byliście tu tego samego dnia.

- Wszyscy?

- Pan, pani doktor i prokurator.

Umysł Smilowa działał jak stalowa pułapka, która właśnie się zacięła.

- Prokurator?

- Z biura prokuratora okręgowego. I z telewizji.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Hammond czekał na korytarzu, póki dokładnie o piątej nie zobaczył wychodzącego z biura Harveya Piąstki. Geniusz komputerowy starannie zamknął za sobą drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył stojącego o pół kroku od niego Hammonda.

- Cześć, Harvey.

- Witam, panie Cross! - krzyknął, opierając się o drzwi biura. - Co pan tu robi?

- Sądzę, że wiesz.

Wyraźnie widoczna grdyka powędrowała w górę i w dół po długiej, chudej szyi. Potem Harvey głośno przełknął ślinę.

- Przykro mi, ale nie mam bladego pojęcia.

- Okłamałeś Loretę Boothe - warknął Hammond, zdając się na przeczcucie. - Prawda?

Harvey próbował ukryć zdenerwowanie i poczucie winy, udając urażonego.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Mówię o kradzieży danych komputerowych.

- Słucham?

- Jestem w stanie kilkoma ciosami powalić cię na ziemię i nawet się przy tym nie spocić. Zrobię to, chyba że odpowiesz na moje pytania. Kto prosił cię o sprawdzenie danych na temat doktor Alex Ladd?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Hammond przyszpilił Harveya wzrokiem do znajdujących się za jego plecami drzwi.

- W porządku. Nie ma sprawy. Załatw sobie naprawdę dobrego adwokata.

Odwrócił się.

- Loretta - wybuchnął Harvey. Hammond odwrócił się.

- Kto jeszcze?

- Nikt.

- Harvey?

- Nikt!

- W porządku.

Piąstka uspokoił się i obliznął językiem wargi, ale z jego twarzy zniknął blady uśmiech, gdy Hammond zadał następne pytanie:

- A co z Pettijohnem?

- Nie wiem ...

- Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, Harveyu.

- Zawsze chętnie służę panu pomocą, panie Cross, i dobrze pan o tym wie. Ale teraz nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- O aktach, Harveyu - wysyczał Hammond z coraz mniejszą cierpliwością. - Kto cię prosił, żebyś przejrzał

akta Pettijohna? Dotyczące jego działalności. Nieruchomości. Umów partnerskich i tego typu rzeczy.

- Pan - pisnął Harvey.

- Ja sprawdzałem to, korzystając z legalnych kanałów. Chciałbym wiedzieć, kto jeszcze interesował się jego sprawami. Kto cię prosił, żebyś potajemnie zebrał na ten temat informacje?

- Dlaczego sądzi pan ...

Hammond zrobił w jego stronę jeszcze jeden krok i obniżył ton głosu.

- Niezależnie od tego, kto to był, musiał przyjść po informacje do ciebie, więc nie chrzań i nie próbuj udawać niewiniątka, chyba że zależy ci na tym, żebym naprawdę wpadł w złość. Faceci tacy jak ty ciężko znoszą pobyt w więzieniu. - Przerwał, czekając, by Harvey zrozumiał, co mu grozi. - A teraz gadaj, kto to był!

- D ... dwie różne o ... osoby. I w różnym czasie.

- Ostatnio?

Harvey tak gwałtownie kiwnął głową, że aż zadzwoniły mu zęby.

- W ciągu ostatnich kilku miesięcy lub coś koło tego.

- Kto to był?

- I... inspektor Smilow.

Hammond zachował kamienną twarz.

- A ta druga osoba?

- Powinien pan wiedzieć, panie Cross. Powiedziała, że robi to w pańskim imieniu.

Uzależniona od dzienników telewizyjnych Loretta Boothe oglądała wieczorne wiadomości, przeskakując z kanału na kanał i porównując podawaną przez nie opowieść o Alex Ladd.

Zaniepokoiła się na widok Hammonda stojącego przed kamerami telewizyjnymi. Wyglądał fatalnie i miał rękę na temblaku. Co mu się stało? I kiedy? Przecież widziała go poprzedniego wieczoru.

Gdy skończyły się wiadomości, przyszła kolej na Koło fortuny. W drzwiach salonu pojawiła się Bev. Wychodziła do pracy.

- Na lunch zrobiłam sobie zapiekankę z makaronu, mamó. Resztę zostawiłam w lodówce. Wystarczy ci na kolację. Sałatki też.

- Dzięki, skarbie. Na razie nie jestem głodna. Może później. Bev zatrzymała się przy frontowych drzwiach.

- Wszystko w porządku?

Loretta dostrzegła w oczach córki zmartwienie i niepewność.

Panująca między nimi harmonia wciąż była bardzo krucha. Tym razem obie chciały, żeby wszystko dobrze się skończyło. Obie obawiały się, że to niemożliwe. Loretta zbyt często składała i łamała obietnice, by teraz można było w pełni zaufać ostatnim przyrzeczeniom. Wszystko zależało od tego, czy uda jej się zachować trzeźwość. Tak niewiele, a jednocześnie tak dużo.

- Oczywiście. - Loretta obdarzyła Bev uspokajającym uśmiechem. - Słyszałaś o tej sprawie, nad którą pracuję? W przyszłym tygodniu mają ją zaprezentować przed sądem przysięgłych.

- Opierając się na informacjach, których dostarczyłaś?

- Częściowo.

- Ojej! To cudownie, mamó! Wciąż masz talent.

Komplement córki sprawił Lorecie przyjemność.

- Dzięki. Niestety, to prawdopodobnie oznacza, że straciłam pracę.

- Jestem pewna, że po takim sukcesie dostaniesz następną. Bev otworzyła drzwi. - Miłego wieczoru. Do zobaczenia rano.

Po wyjściu córki Loretta dalej oglądała teleturniej, tylko dlatego, że nie miała nic lepszego do roboty. Dusiła się w ciasnych pomieszczeniach, chociaż mieszkanie Bev tego dnia wcale nie stało się mniejsze niż zwykle. Powodem niepokoju nie było jednak otoczenie, tkwił on w samej Lorecie.

Zastanawiała się, czy gdzieś nie wyjść, ale to wiązało się ze zbyt wielkim ryzykiem. Jej przyjaciółmi byli alkoholicy. Knajpy, które знаła, stanowiły ogromną pokusę i skłaniały do wypicia drinka. Ale nawet jeden kieliszek oznaczałby, że nie zachowała trzeźwości, a wówczas znalazłaby się dokładnie tam, gdzie była, nim Hammond zlecił jej zadanie dotyczące sprawy Pettijohna.

Chciałaby mieć jeszcze coś do zrobienia. Nie tylko ze względu na pieniądze. Co prawda Bev zarabiała wystarczająco dużo, by utrzymać je obie, ale Loretta chętnie pokrywałaby przynajmniej część domowych wydatków. Dzięki temu poczułaby, że jest coś warta, a poza tym potrzebowała niezależności, jaką dawały własne dochody.

Co więcej, mając zajęcie, nie zwracała uwagi na dręczące ją pragnienie. Nuda stanowiła niebezpieczeństwo, którego koniecznie należało unikać. Nie mając nic konkretnego do roboty, zaczynała tęsknić za tym, czego nie mogła mieć. Będąc panią swojego czasu, myślała o tym, jak niewiele warte jest jej życie, i dochodziła do wniosku, że naprawdę nie ma żadnego znaczenia, czy zapije się na śmierć, czy nie, a zatem czemu nie ułatwić sprawy sobie i bliskim. Był to niebezpieczny tok myślenia.

Jeśli dokładniej się nad tym zastanowić, Hammond właściwie nie zrezygnował z jej usług. Gdy przekazała mu sensacyjne wiadomości na temat doktor Alex Ladd, wybiegł z baru, jakby paliły mu się spodnie. Chociaż sprawiał wrażenie nieco załamane, widocznie nie mógł się doczekać, by zacząć działać tak, jak nakazywały dostarczone przez nią informacje. Najwyraźniej mu się powiodło, ponieważ w najbliższym czasie miał przedstawić sprawę o morderstwo przed sądem przysięgłych.

Loretta prawdopodobnie niepotrzebnie kontaktowała się tego dnia z Harveyem Piąstką. Hammond gdzieś się spieszył, dlatego nie wykazał żadnego zainteresowania, gdy podzieliła się z nim swoim przeczuciem, że Harvey ją okłamał. Ale, co tam, do diabła! Niczego nie straciła, podejmując dodatkowy trud.

Pomimo obrażeń, niezależnie od tego, jak one naprawdę wyglądały, Hammond, rozmawiając z reporterami na stopniach komendy policji, mówił mocnym i pełnym przekonania głosem. Wyjaśnił, że punktem zwrotnym w

tej sprawie było pojawienie się Bobby'ego Trimble'a. "Po wysłuchaniu jego zeznań jestem pewien, że doktor Ladd zostanie postawiona w stan oskarżenia".

Obrońca doktor Ladd, człowiek, którego Loretta знаła tylko ze słyszenia, powiedział coś wręcz przeciwnego. Utrzymywał, że to najbardziej skandaliczny błąd, jaki kiedykolwiek popełniła charlestońska komenda policji i specjalny asystent prokuratora okręgowego Cross. Adwokat był pewien, że kiedy wszystkie fakty wyjdą na jaw, doktor Ladd zostanie zrehabilitowana, a stróże prawa będą musieli ją przeprosić. Zresztą już teraz zastanawiał się nad wytoczeniem sprawy o zniesławienie.

Loretta uznała to za typową gadkę adwokacką, chociaż w swoje oświadczenie Frank Perkins włożył wyjątkowo dużo uczucia. Albo był świetnym mówcą, albo święcie wierzył w niewinność klientki. Może Hammond rzeczywiście ma zamiar oskarżyć niewłaściwą osobę?

Gdyby tak było, wyszedłby na głupca w najważniejszej sprawie w swojej dotychczasowej karierze.

Mówił coś o nie mającym potwierdzenia alibi Alex Ladd, ale właściwie nie było to nic konkretnego. Wspomnił o ... zaraz, zaraz, co to było?

- Show małego Bo Peepa - powiedziała Loretta, bezwiednie rozwiązując hasło Kola fortuny, chociaż wciąż brakowało "e", "p" i "w".

Wesołe miasteczko na obrzeżach Beaufort. To jest to! Poderwała się na równe nogi i powędrowała do kuchni, gdzie Bev składała gazety, by potem sumiennie oddać je na makulaturę. Na szczęście dzień zbiórki wypadał nazajutrz, dzięki czemu na kupce leżały egzemplarze z całego tygodnia. Loretta przerzucała je przez chwilę, nim znalazła sobotnie wydanie.

Otworzyła wkładkę poświęconą rozrywkom. Szybko natrafiła na zajmującą jedną czwartą strony reklamę wesołego miasteczka. Podawano w niej czas, miejsce, trasy dojazdu, opłatę za wstęp, wymieniano atrakcje i ... chwileczkę!

- Czynne w każdy czwartkowy, piątkowy i sobotni wieczór sierpnia - przeczytała na głos.

Po kilku minutach siedziała w swoim samochodzie, kierując się w stronę Beaufort. Nie wiedziała, co zrobi, gdy dotrze na miejsce. Przypuszczała, że zda się na instynkt. Jeśli uda jej się - zrzędzeniem losu albo dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności - obalić alibi Alex Ladd, Hammond będzie jej dogonnie wdzięczny. Gdyby natomiast znalazła jakieś potwierdzenie, że pani psycholog rzeczywiście tam była, przynajmniej mogłaby go wcześniej ostrzec. Wówczas zostanie mu oszczędzone niemiłe zaskoczenie na sali rozpraw. Tak czy inaczej, będzie jej wdzięczny. Nawet bardzo.

Póki Hammond oficjalnie nie zrezygnował z usług Loretty, można uznać, że wciąż jest u niego zatrudniona. Jeżeli zrobi to dla niego, on do końca życia pozostanie jej dłużnikiem, wręcz zacznie się zastanawiać, jakim cudem dotychczas sobie bez niej radził. Może nawet załatwi jej stałą pracę w biurze prokuratora okręgowego?

A jeśli nie, przynajmniej doceni inicjatywę i pochwali ją, że zdała się na swój ostry jak brzytwa instynkt, którego nie zdołał stąpić nawet ocean alkoholu. Będzie z niej dumny!

- Sierzancie Basset?

Ubrany w mundur oficer opuścił róg gazety, którą czytał.

Gdy zobaczył stojącego po drugiej stronie biurka Hammonda, poderwał się na równe nogi.

- Witam, panie prokuratorze. Mam ten wydruk, o który pan prosił.

Magazyn dowodów charlestońskiej komendy policji stanowił domenę sierżanta Glenna Basseta. Był to niski, pulchny człowieczek, który zawsze usuwał się w cień. Krzaczasty wąs rekompensował mu łysinę. Ponieważ Basset nie potrafił się zdobyć na agresję, kiepsko spisywał się na patrolach, za to doskonale nadawał do pracy biurowej, jaką teraz wykonywał. Był miłym facetem, nigdy się nie skarżył, cieszył się z posiadanego stopnia, krótko mówiąc - sympatyczny człowiek, który nawet do wroga nie odniósłby się z niechęcią.

Hammond wcześniej telefonicznie przekazał swoją prośbę, a sierżant z prawdziwą przyjemnością ją spełnił.

- Nie dał mi pan zbyt wiele czasu, ale wystarczyło wyciągnąć kartoteki z kilku ostatnich miesięcy i wszystko wydrukować. Mogę cofnąć się dalej ...

- Na razie nie trzeba. - Hammond przejrzał kartkę, mając nadzieję, że rzuci mu się w oczy jakieś nazwisko. Nie znalazł, czego szukał. - Sierzancie, ma pan minutkę?

Czuając, że Hammond chce porozmawiać z nim na osobności, Basset zwrócił się do pracującej przy sąsiednim biurku urzędniczki:

- Diano, możesz przez chwilkę przypilnować interesu?

- Nie musisz się spieszyć - odparła, nie odrywając wzroku od komputera.

Korpulentny oficer zaprowadził Hammonda do pokoiku, w którym personel odpoczywał podczas przerw. Zapropował kubek bardzo słodkiej kawy, która stała w brudnym dzbanku.

Hammond odmówił.

- To wyjątkowo delikatna sprawa, sierzancie - zaznaczył. - Bardzo mi przykro, że w ogóle muszę poruszyć ten temat.

Basset spojrzał nań pytająco.

- O co chodzi?

- Czy istnieje możliwość - nie prawdopodobieństwo, ale możliwość - by jakiś oficer. .. bez pańskiej wiedzy ... pożyczył sobie ... broń z magazynu?

- Nie, sir.

- Nie ma takiej możliwości?

- Trzymam dokładne zapiski, panie Cross.

- Tak, widzę - przyznał, ponownie przeglądając wydruk komputerowy.

Basset zaczynał się denerwować.

- O co chodzi?

- Po prostu przyszedł mi do głowy pewien pomysł - wyznał Hammond z rozgoryczeniem. - Nie mam broni, z której został zabity Lute Pettijohn.

- Dwa strzały z trzydziestkiósemki w plecy?

- Dokładnie.

- Mamy tutaj setki trzydziestekósemek.

- W takim razie rozumie pan, na czym polega mój problem. - Panie Cross, z prawdziwą dumą steruję tą łajbą. Moje kartoteki ...

- Są bez zarzutu. Wiem o tym, sierżancie. Dlatego wcale nie sugeruję, że miał pan w tym jakiś udział. Jak już powiedziałem, to delikatna sprawa i wolałbym w ogóle jej nie poruszać. Po prostu zastanawiałem się, czy któryś z oficerów nie wymyślił przypadkiem jakiejś dziwnej historyjki, żeby sobie umożliwić wyjęcie broni z magazynu.

Basset w zadumie pociągnął się za ucho.

- Sądzę, że to niewykluczone, ale i tak musiałby się wpisać do rejestru.

Ślepy zaulek.

- Przepraszam, że pana niepokoiłem. Dzięki.

Hammond zabrał wydruk, chociaż nie sądził, żeby miał on jakąś wartość.

Przed rozstaniem ze zdenerwowanym Harveyem Piąstką zdołał zmusić geniusza komputerowego do ujawnienia, iż informacje na temat Pettijohna dostarczył Smilowowi i Steffi. Zastanawiając się nad tym ponownie, Hammond nie potrafił powiedzieć, czego ten fakt właściwie dowodzi. Że tak samo jak on chcieli, by Lute poniósł zasłużoną karę? To nic nowego. Żadna niespodzianka.

Tak bardzo zależało mu na tym, by Alex okazała się niewinna, że gotów był zważyć w uczciwość wszystkich, nawet kolegi i koleżanki, którzy w ostatnich dniach zrobili dla wymiaru sprawiedliwości dużo więcej niż on sam.

Przygnębiony wrócił do domu, wszedł do salonu i włączył telewizor. Dziennikarka ze szmaragdowymi soczewkami kontaktowymi przedstawiała właśnie najważniejsze wydarzenie dnia. Z masochistyczną przyjemnością obejrzał relację.

Wszystkie bandaże ukrywało ubranie, widać było jedynie temblak, ale cera Hammonda przypominała wosk. W świetle ostrych reflektorów telewizyjnych wyglądał mizernie, a jego jednodniowy zarost wydawał się ciemniejszy niż w rzeczywistości. Gdy zapytano go o obrażenia, uznał napad za sprawę zupełnie nieistotną i uciął wątek.

Pragnąc zachować polityczną poprawność, wychwalał charlestońską komendę policji za wspaniałą pracę detektywistyczną. Uchyłał się natomiast od odpowiedzi na pytania dotyczące Alex Ladd. Powiedział tylko, że zeznanie Trimble'a było punktem zwrotnym w dochodzeniu, że ich sprawa jest pewna i że podejrzana niewątpliwie zostanie postawiona w stan oskarżenia.

Stojąca po jego lewej stronie, mająca stanowić wsparcie Steffi zgodnie przytakiwała i uśmiechała się. Zauważył, że jest fotogeniczna. W jej ciemnych oczach odbijały się światła. Kamera świetnie uchwyciła witalność pani prokurator.

Smilow również rozmawiał z dziennikarzami i w relacji telewizyjnej przyznał mu tyle samo czasu co Hammondowi. W przeciwieństwie do Steffi był wyjątkowo powściągliwy. Swoje uwagi wypowiadał z dyplomatycznym umiarem i w przybliżeniu mówił to samo co Harrunond. Tylko ogólnikowo wspomniał o powiązaniach Alex z Bobbym Trimble'em. Zdradził jedynie, że w sprawie przeciwko niej ważną rolę odegrał przebywający w areszcie mężczyzna. Odmówił natomiast wyjawienia, co łączyło podejrzaną z Lute'em Pettijohnem.

Ani razu nie wspomniał o przeszłości Alex, ale Hammond podejrzewał, że było to celowe przemilczenie. Smilow nie chciał mówić niczego, co później mogłoby mieć wpływ na decyzję członków ławy przysięgłych. Nie chciał również dawać Frankowi Perkinsowi podstaw do zmiany miejsca, w którym miałyby się odbyć rozprawa, ani do jej unieważnienia, o ile w ogóle by do niej doszło.

Kamery pokazały też adwokata, który z zaciśniętą szczęką wyprowadzał Alex z budynku policji. Ten fragment sprawił Hammondowi największy ból, ponieważ wiedział, jak ogromnym upokorzeniem musiał być dla niej fakt, iż znalazła się w świetle reflektorów jako główna podejrzana w najgłośniejszej sprawie o zabójstwo, odnotowanej w kronikach współczesnego Charlestonu.

Przedstawiono ją jako trzydziestopięcioletnią szanowaną lekarzkę, mogącą się poszczycić wspaniałymi osiągnięciami zawodowymi. Chwalono ją także za udział w wielkich przedsięwzięciach organizowanych przez miasto. Wspomniano, że hojną ręką wspierała różne organizacje charytatywne. Sąsiedzi i koledzy, poproszeni o komentarz, wyrażali szok, niektórzy wręcz oburzenie, uważając, że spekulacje na temat jej udziału w morderstwie są "śmieszne", "wyssane z palca", i tak dalej.

Kiedy dziennikarka o nienaturalnie zielonych oczach przeszła do następnego tematu, Hammond wyłączył telewizor, powędrował na piętro i przygotował sobie gorącą kąpiel. Zanurzył się w wodzie, a prawą rękę wystawił poza brzeg wanny. Kąpiel częściowo złagodziła ból, ale sprawiła również, że zakręciło mu się w głowie i ogarnęła go słabość.

Głodny zszedł na dół i zaczął robić sobie jajecznicę. Ponieważ posługiwał się lewą ręką, szło mu to bardzo niezdarnie. Negatywny wpływ na koordynację ruchów miały również ponure przeczucia. Nie chciał być w przyszłości bohaterem sprośnych żartów. Nie chciał, żeby mówiono: "Och, pamiętasz Hammonda Crossa? Obiecujący młody prokurator. Poczul zapach kobiety i karierę diabli wzięli".

A z pewnością powiedzą właśnie coś takiego. Może użyją innych słów, ale efekt będzie ten sam.

Wśród wilgotnych ręczników i przepoconych skarpetek w szatni albo między drinkami w popularnej knajpie koledzy i znajomi będą potrząsać głowami z ledwo ukrywanym zdumieniem, nie mogąc uwierzyć, że tak łatwo dał się omamić. Uznany zostanie za głupca, a Alex przejdzie do historii jako dupa, która spowodowała jego upadek.

Hammond nie chciał myśleć o tych niesprawiedliwych wyimaginowanych plotkach. Chętnie natarłby komuś uszu za sprośne uwagi na temat doktor Ladd i ich związku. Wcałe nie wyglądało to tak, jak myśleli. Zrobił to, co zrobił, ponieważ się zakochał.

Ostatniej nocy wcale nie był aż tak otumaniony przez darvocet, by nie pamiętać, co się stało. Powiedział Alex, co naprawdę czuje i że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Spotkał ją niecały tydzień temu - niecały tydzień temu! - ale nigdy niczego nie był bardziej pewien. Dotychczas żadna kobieta nie odpowiadała mu aż tak pod względem fizycznym. Nie czuł z nikim takiej intelektualnej, duchowej i emocjonalnej więzi.

W ciągu kilku godzin spędzonych w głupim lunaparku i później w łóżku bardzo dużo rozmawiali. O muzyce. Jedzeniu. Książkach. Podróżach i miejscach, które chcieliby odwiedzić, jeśli pozwoli na to czas. Filmach. Ćwiczeniach i tym, co należy robić, by utrzymać dobrą kondycję. Starym Południu. Nowym Południu. Trzech komikach, których mężczyźni kochają, a kobiety nienawidzą. Ważnych sprawach. Błahych sprawach. Bez końca rozmawiali o wszystkim.

Tylko o sobie nie powiedział jej niczego ważnego. Alex również nie wyjawiała żadnych tajemnic ze swojego obecnego ani dawnego życia.

Czy była prostytutką? Czy jest nią nadal? Jeśli tak, czy uda mu się odkochać równie szybko, jak się zakochał? Obawiał się, że to niemożliwe.

Chyba jednak mimo wszystko jest głupcem.

Niestety, głupota nie usprawiedliwia omijania prawa. Hammond nie żył ostatnio w zgodzie ze swoim sumieniem. Zresztą coraz trudniej było mu żyć w zgodzie z samym sobą. Chociaż za nic w świecie nie chciał przyznać ojcu racji, Preston otworzył mu dzisiaj oczy i zmusił do zobaczenia czegoś, czego Hammond dotychczas nie chciał widzieć, a mianowicie - że można go przekupić tak samo jak każdego innego człowieka. Wcale nie był uczciwszy od ojca.

Nie mogąc pogodzić się z tą myślą ani przelknąć jajecznicy, wyrzucił swój posiłek do kosza na śmieci.

Chętnie by się czegoś napił, ale alkohol jedynie pogłębiłby otumanienie i pogorszył samopoczucie.

Chciał, żeby ręka przestała go tak cholernie boleć.

Chciał w jakiś sposób uporządkować ten diabelny bałagan, który zagrażał świetlanej przyszłości, jaką sobie zaplanował.

Najbardziej jednak zależało mu na bezpieczeństwie Alex. Bezpieczeństwo, zabezpieczenia, sejf.

Sejf w domu Alex z ogromną ilością gotówki. Pusty sejf w apartamencie Pettijohna.

Sejf w szafie.

Szafa. Sejf. Wieszaki. Płaszcz kąpielowy. Klapki. Wciąż jeszcze w worku.

Hammond podskoczył jak rażony gromem, potem zamarł w całkowitym bezruchu, zmuszając się do spokoju, dokładnego przemyślenia wszystkiego i wyjaśnienia wątpliwości.

Powoli. Nie spiesz się.

Przez kilka minut rozważał nową koncepcję i przyglądał się jej pod każdym możliwym kątem. Uznał, że jest wyjątkowo spójna. Wszystkie elementy do siebie pasowały.

Nie był uszczęśliwiony ostatecznym wnioskiem, ale nie miał czasu, by dłużej się nad tym zastanawiać. Musiał działać.

Poderwał się z krzesła i chwycił najbliższy telefon bezprzewodowy. Po uzyskaniu numeru z informacji wybrał cyfry.

- Charles Towne Plaza. Z kim mam pana połączyć?

- Z centrum odnowy biologicznej.

- Przykro mi, proszę pana, dziś wieczorem centrum jest zamknięte. Jeśli chce się pan umówić... .

Przerwał telefonistce z centrali, by się przedstawić i wyjaśnić, z kim chce rozmawiać.

- Muszę skontaktować się z nim natychmiast. Tymczasem proszę mnie połączyć z osobą odpowiedzialną za zaopatrzenie pokojów.

* * *

Loretta szybko doszła do wniosku, że wyprawa do wesołego miasteczka była kiepskim pomysłem.

Zaparkowała samochód na zakurzonym pastwisku i resztę drogi przebyła pieszo, lecz po piętnastu minutach zaczęła potwornie się pocić. Wszędzie roило się od dzieci - głośnych, kłótliwych, lepkich dzieci, które wyraźnie upatrzyły ją sobie na obiekt psikusów. Ludzie obsługujący karuzele i inne atrakcje byli opryskliwi. Chociaż Loretta nie miała do nich pretensji o to, że kwękają. Kto chciałby pracować w taki upał?

Zaprzedałaby duszę diabłu, byle znaleźć się we wnętrzu miłego, ciemnego, chłodnego baru. Z przyjemnością wdychałaby smród dymu tytoniowego i nieswieżego piwa, zwłaszcza że w lunaparku unosiła się swoista mieszanka zapachów waty cukrowej i krowich odchodów.

Na miejscu trzymała Loretę tylko myśl, że może wyświadczyć Hammondowi przysługę. Była mu to winna. Nie chodziło jedynie o zadośćuczynienie za sprawę, którą spieprzyła, chciała mu się również odwdziżyć za to, że dał jej szansę, gdy nikt inny nie miał dla niej czasu.

Być może nie będzie w stanie długo wytrwać bez alkoholu.

Na razie jednak była trzeźwa, miała zajęcie, a córka w końcu przestała spoglądać na nią z pogardą. To błogosławieństwo zawdzięczała Hammondowi Crossowi.

Uparcie człapała noga za nogą, od karuzeli do karuzeli, od atrakcji do atrakcji.

- Myślałam, że może przypomni pan sobie ...

- Chyba pani zwariowała! Przez wesołe miasteczko przewijają się tysiące ludzi. Jak miałbym zapamiętać jedną kobietę?

Człowiek z obsługi plunął sokiem tytoniowym, zaledwie o parę centymetrów mijając ramię Loretty.

- Dzięki, że poświęcił mi pan chwilę.

- Tak, tak. Proszę się przesunąć. Wstrzymuje pani kolejkę.

Za każdym razem, kiedy pokazywała zdjęcie Alex Ladd wystawcom, obsłudze i sprzedawcom żywności, odpowiedź brzmiała tak samo, chociaż używano różnych słów. Pytani albo byli zdecydowanie niegrzeczni, jak ostatni rozmówca, albo zbyt skonani, by w ogóle poświęcić jej uwagę. Na ogół potrzęsali głową i rzucali szorstkie: "Przykro mi".

Wypytywała jeszcze długo po zachodzie słońca, nie zważając na gęstniejącą chmurę komarów. Po kilku godzinach cały trud przyniósł tylko jeden skutek - pod wpływem wilgoci potwornie spuchły jej nogi. Przyglądając się obrzękniętemu ciału, które przeciskało się między paskami sandałów, Loretta zaczęła żałować, że w tym wesołym miasteczku nie ma parady potworów.

- Wówczas wszystkie brzdące zaliczyłyby mnie do grona dziwołagów - mruknęła.

W końcu doszła do wniosku, że to głupia misja. Doktor Ladd prawdopodobnie kłamała, mówiąc, że tu była, a szansa na spotkanie kogoś, kto bawił tu ubiegłej soboty i na dodatek ją zapamiętał, właściwie równała się zeru. Loretta zabiła komara, który usiadł jej na ręce. Rozprysnął się jak balon, zostawiając na skórze plamę krwi.

- Mam jej teraz przynajmniej o litr mniej.

To właśnie wtedy, żeby uniknąć dalszych strat, postanowiła wrócić do Charlestonu.

Marząc o zanurzeniu stóp w miednicy z lodowatą wodą, minęła pawilon o stożkowym dachu obwieszonym bożonarodzeniowymi lampkami. Stoił w nim instrumenty jakiś beznadziejny zespół. Skrzypek miał brodę splecioną w warkoczyki. Tancerze wachlowali się broszurkami, ucinali sobie pogawędki i śmiali się, czekając, aż muzycy ponownie zaczną grać.

Na obrzeżach parkietu kręciły się osoby samotne, oceniając swoje szanse, bacznie przyglądając się konkurencji i starając się zrobić wszystko, by nie sprawiać wrażenia kogoś, kto koniecznie chce znaleźć partnera. Loretta zauważyła, że w tłumie jest wielu żołnierzy. Wokół świeżo ogolonych młodych szeregowych z charakterystycznymi krótkimi włosami unosił się zapach wody kolońskiej. Przyglądali się dziewczętom i żłopali piwo.

Chętnie napiłaby się piwa. Może jeden kufelek? Co to komu szkodzi? Nie po to, żeby się upić. Jedyne ugasić pragnienie, z którym nie radzi sobie słodzony napój. Poza tym, skoro już tu jest, spróbuje nadal pokazywać zdjęcie doktor Ladd. Może ktoś w tym tłumie zapamiętał ją z poprzedniego weekendu. Żołnierze zawsze chętnie oglądają się za atrakcyjnymi kobietami. Jest szansa, że któryś z nich zwrócił uwagę na Alex Ladd. Wmawiając sobie, że wcale nie chodzi jej o to, by znaleźć się bliżej popijających piwo, i krzywiąc się z powodu pasków uciskających opuchnięte stopy, Loretta pokuśtykała schodami prowadzącymi do pawilonu.

Rozdział trzydziesty drugi

Kiedy Frank Perkins otworzył frontowe drzwi swojego domu, z jego twarzy zniknął uprzejmy uśmiech. Zupełnie jakby nagle się okazało, że obiecujący kawał ma beznadziejną puente.

- Witaj, Hammondzie.

- Mogę wejść?

- Byłoby mi to bardzo nie na rękę - odparł Frank, starannie dobierając słowa.

- Musimy porozmawiać.

- Staram się przestrzegać swoich godzin pracy.

- To nie może czekać, Frank. Nawet do jutra. Musisz zająć się tym od razu.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Hammond wyjął kopertę i wręczył ją adwokatowi. Frank zajrzał do środka. Zobaczył plik banknotów.

- O Jezu ...

- Zatrudniam cię jako swojego obrońcę. To zaliczka na poczet wynagrodzenia.

- Co ty kombinujesz?

- Tego wieczoru, kiedy zamordowany został Lute Pettijohn, byłem z Alex. Noc spędziliśmy razem w łóżku.

Czy teraz mogę wejść?

Zgodnie z oczekiwaniem, usłyszawszy to oświadczenie, Frank Perkins zaniemówił. Hammond wykorzystał jego zaskoczenie i wszedł do środka.

Frank zamknął drzwi prowadzące do jego podmiejskiego domku. Szybko otrząsnął się ze zdumienia i z impetem natarł na Hammonda.

- Czy wiesz, ile zasad etycznych pogwałciłeś? Do złamania ilu zmusiłeś mnie?

- Masz rację. - Hammond odebrał mu pieniądze. - Nie możesz być moim obrońcą. Konflikt interesów. Ale przez krótką chwilę, kiedy trzymałeś te pieniądze, wyznałem ci coś, co, mam nadzieję, z solidarności zawodowej zachowasz w tajemnicy.

- Ty sukinsynu - warknął Frank ze złością. - Nie wiem, do czego zmierzasz. Nawet nie chcę tego wiedzieć. Zależy mi tylko na tym, żebyś opuścił mój dom. I to natychmiast!

- Nie słyszałeś, co powiedziałem? Przyznałem się, że byłem ... Urwał, ponieważ znajdujące się za plecami Franka łukowate przejście wypełniło się ludźmi, zaciekawionymi zamieszaniem. Hammond widział jedynie twarz Alex.

Frank, podążając za jego wzrokiem, wymamrotał:

- Maggie, pamiętasz Hammonda Crossa?

- Oczywiście - odparła żona Franka. - Witaj, Hammondzie.

- Cześć, Maggie. Przepraszam, że was nachodzę. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem.

- Prawdę mówiąc, jemy właśnie kolację - wyjaśnił Frank.

Jeden z dziewięcioletnich bliźniaków Franka miał przy buzi plamę, która wyglądała na sos do spaghetti. Maggie była wytworną damą z Południa, prawdziwą spadkobierczynią dzielnych żon i wdów po konfederatach. Dlatego nie zamierzała przejmować się niezręczną sceną, która właśnie rozgrywała się w jej przedpokoju.

- Przed chwilą usiedliśmy, Hammondzie. Proszę, zjedz z nami.

Najpierw zerknął na Franka, a potem na Alex.

- Dziękuję, ale nie mogę. Muszę porozmawiać z Frankiem.

- Miło było cię widzieć. Chłopcy.

Biorąc każdego z bliźniaków za ramię, Maggie Perkins oddprowadziła ich tam, skąd przyszli - prawdopodobnie do jadalni.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - powiedział Hammond do Alex.

- Frank był tak uprzejmy, że zaprosił mnie do siebie na kolację.

- To miło z jego strony. Po dzisiejszym dniu zapewne nie chciałaś być sama.

- Rzeczywiście, nie chciałam.

- Dobrze, że cię tu zastałem. Ty też powinnaś mnie wysłuchać.

- Ponieważ prawdopodobnie i tak zostanę skreślony z listy adwokatów - wtrącił w końcu Frank - chyba pójdę i naleję sobie drinka. Jest mi bardzo potrzebny. Czy któreś z was ma na coś ochotę?

Oboje odmówili.

W skazał im drogę na tyły domu, gdzie miał swoje prywatne biuro. Tablice pamiątkowe i oprawione w ramki listy pochwalne, umieszczone w efektownych grupkach na wykładanych boazerią ścianach, potwierdzały, że Frank Perkins zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym kieruje się przede wszystkim honorem.

Nalał sobie czystej whisky i usiadł za masywnym biurkiem.

Alex zajęła miejsce na małej skórzanej sofie, Hammond w fotelu. Adwokat przez chwilę spoglądał to na nią, to na niego, aż w końcu zatrzymał wzrok na swojej klientce.

- Czy to prawda? Spałaś z naszym powszechnie szanowanym asystentem prokuratora okręgowego?

- Nie musisz ...

- Hammondzie - przerwał mu szorstko Frank. - Nie masz prawa się wtrącać. Prawdę mówiąc, nawet nie próbuj mi przerywać. Jeśli będziesz to robił, wypieprzę cię stąd, a potem podzielę się twoim wyznaniem z Monroe Masonem. Chyba że on już o tym wie.

- Nie wie.

- Pozwoliłem ci zostać pod moim dachem tylko dlatego, że szanuję prywatność swojej klientki. Póki nie znam wszystkich faktów, nie chcę w pośpiechu robić niczego, co mogłoby wprawić ją w jeszcze większe zakłopotanie. Wystarczająco dużo przeżyła przez całą tę parodię.

- Nie wściekaj się na Hammonda, Frank - poprosiła Alex. W jej głosie brzmiało ogromne znużenie, którego Hammond wcześniej nie słyszał. Albo rezygnacja. Choć może była to ulga, że w końcu ich sekret ujrział światło dzienne.

- To, co się stało, jest w takim samym stopniu moją winą jak jego. Od razu powinnam ci powiedzieć, że go znam.

- Spałaś z nim?

- Tak.

- Jak daleko miałaś zamiar się posunąć? Pozwoliłabyś, by sformułował przeciw tobie akt oskarżenia, postawił cię przed sądem i skazał na śmierć?

- Nie wiem!

Alex gwałtownie wstała i odwróciła się plecami, przyciskając łokcie do ciała. Po chwili opanowała się i ponownie na nich spojrzała.

- Prawdę mówiąc, jestem bardziej winna niż Hammond. On mnie nie znał, ale ja wiedziałam, z kim mam do czynienia, i nawet go śledziłam. Zrobiłam wszystko, by nasze spotkanie wyglądało na przypadkowe, choć wcale tak nie było. Nic, co się między nami wydarzyło, nie było dziełem przypadku.

- Kiedy miało miejsce to zaaranżowane spotkanie?

- W ubiegłą sobotę wieczorem. O zmierzchu. Po wymianie spojrzeń użyłam wszelkich znanych mi kobiecych sztuczek, by uwieść Hammonda i spędzić z nim noc. Moje starania - ciągnęła coraz bardziej zachrypniętym głosem - odniosły należyty skutek. - Spojrzała na Hammonda. - Ponieważ tak właśnie się stało.

Frank jednym haustem dokończył drinka. W oczach stanęły mu łzy. Przez chwilę kaszłał, osłaniając usta dłonią. Potem odchrząknął i spytał, gdzie to wszystko się wydarzyło. Alex opowiedziała mu przebieg wydarzeń, zaczynając od spotkania w pawilonie tanecznym, a na nocy spędzonej w jego chacie kończąc.

- Następnego ranka wykradłam się przed świtem, przygotowana na to, że nigdy więcej go nie zobaczę. Frank potrząsnął głową, czując, że ma w niej zamęt. Powodem tego był albo nagły zastrzyk alkoholu, albo sprzeczne fakty, których na razie nie potrafił uporządkować.

- Nie rozumiem. Przespałaś się z nim, ale to nie było ... nie zrobiłaś tego ...

- W ten sposób się zabezpieczyła - wyjaśnił Hammond.

Z prawdziwą przykrością słuchał, jak Alex się przyznaje, że rozmyślnie go usidliła i że ich spotkanie wcale nie było romantycznym zrządzeniem losu, choć tak właśnie chciał je traktować. Jednak musiał się z tym pogodzić. Okoliczności wymagały, by skupił się na dużo ważniejszych sprawach.

- Gdyby Alex potrzebowała alibi, miałyby mnie. Prawdę mówiąc, idealnie się do tego nadawałem. Ponieważ nie mogłem jej zdradzić, przy okazji nie zdradzając siebie.

Frank wpatrywał się w niego z nie ukrywanym zdumieniem.

- Czy zechciałbyś mi to wyjaśnić?

- Alex przyjechała za mną do wesołego miasteczka. Śledziła mnie od Charles Towne Plaza, gdzie spotkałem się z Lute'em Pettijohnem.

Frank przez dobrą chwilę patrzył na niego, po czym przeniósł wzrok na Alex, licząc na potwierdzenie. Lekko kiwnęła głową. Adwokat wstał, żeby nalać sobie następnego drinka.

Gdy to robił, Hammond spojrzał na Alex. Miała wilgotne oczy, ale nie płakała. Pragnął ją przytulić. Chciał również nią potrząsnąć, zmusić, by powiedziała mu całą prawdę.

Choć może nie. Może wcale nie chciał wiedzieć, że jest winien w takim samym stopniu, jak napaleni młodzi chłopcy i lubieżni starcy, którzy płacili Bobby'emu za wdzięki Alex.

Jeśli zgodnie z deklaracją naprawdę ją kochał, będzie musiał pogodzić się również i z tym.

Frank wrócił na swoje miejsce. Obracając nowo napełnioną szklaneczkę na leżącej na biurku skórzanej podstawce, spytał:

- Które z was zacznie?

- W sobotę po południu byłem umówiony z Pettijohnem - wyznał Hammond. - To on mnie zaprosił. Nie chciałem iść, uparł się jednak, że koniecznie musimy się spotkać. Zapewniał, że ta rozmowa leży w moim interesie.

- O co chodziło?

- Na zlecenie prokuratora generalnego prowadziłem dochodzenie w sprawie Pettijohna. Lute się o tym dowiedział.

- W jaki sposób?

- Może o tym powiem później. Na razie wystarczy, jeśli zdradzę, że byłem bliski przedstawienia wyników swoich poszukiwań sądowi przysięgłych.

- Przypuszczam, że Pettijohn chciał zawrzeć układ.

- Tak.

- Co oferował w zamian?

- Gdybym w raporcie dla prokuratora generalnego napisał, że przeciw Pettijohnowi nie można wytoczyć żadnej sprawy, i pozwolił mu nadal działać jak dotychczas, poparłby mnie jako kandydata na następcę Monroe Masona. Oferował nawet pokaźną sumę na moją kampanię wyborczą. Sugerował również, żebyśmy kontynuowali naszą współpracę - oczywiście z obopólną korzyścią - kiedy już obejmę to stanowisko. Byłby to dla niego niezmiernie wygodny układ, ponieważ mógłby dalej łamać prawo, a ja spoglądałbym na to przez palce.

- Przypuszczam, że odmówiłeś.

- Zdecydowanie. Wtedy wytoczył ciężką artylerię. Mój ojciec był jednym z jego partnerów w przedsięwzięciu związanym z wyspą Speckle. Lute przedstawił mi na to dowody.

- Gdzie obecnie znajdują się te dokumenty?

- Wychodząc, zabrałem je ze sobą.

- Są prawdziwe?

- Obawiam się, że tak.

Frank nie był głupi. Sam na to wpadł.

- Gdybyś wytoczył sprawę przeciw Lute'owi, musiałbyś również oskarżyć swojego ojca.

- Tak, ogólnie biorąc, o to Lute'owi chodziło. Na twarzy Alex pojawiło się współczucie.

- Przykro mi, Hammondzie - szepnął Frank.

Hammond wiedział, że to współczucie jest szczere, ale przeszedł nad tym do porządku dziennego.

- Powiedziałem Lute'owi, żeby poszedł sobie do diabła. Uprzedziłem, że zrobię, co do mnie należy. Kiedy ruszyłem do drzwi, obrzucił mnie inwektywami i groźbami. Ten napad złości mógł spowodować wylew. Nie wiem. Nie odwracałem się. Spotkanie trwało jakieś pięć minut. Maksimum.

- O której to się działo?

- Byliśmy umówieni na piątą.

- Czy widziałeś Alex?

Jednocześnie potrząsnęli głowami.

- Zobaczyłem ją dopiero w wesołym miasteczku. Opuszczając hotel, byłem potwornie wkurzony na Pettijohna. Nie zwracałem uwagi na to, co się wokół mnie dzieje.

Przerwał, by zaczerpnąć powietrza.

- Miałem zamiar spędzić tę noc w swojej chacie. Działając pod wpływem impulsu, postanowiłem zajrzeć na chwilę do lunaparku. Zobaczyłem Alex w pawilonie i ... - Przeniósł wzrok z Franka na nią. Siedziała na małej sofie, słuchając z natężeniem. - Od tego wszystko się zaczęło.

W pokoju zapadła taka cisza, że wyraźnie słychać było tykanie zegarka na biurku Franka.

- Co chciałeś osiągnąć - spytał adwokat po chwili - przychodząc tu i mówiąc mi to wszystko?

- Ta sprawa bardzo mi ciąży.

- No cóż, nie jestem księdzem - mruknął Frank gniewnie.

- Wiem.

- Na dodatek stoimy po przeciwnych stronach barykady w sprawie o morderstwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- W takim razie wracam do swojego początkowego pytania. Czemu tu przyszedłeś?

- Ponieważ wiem, kto zabił Lute'a - odparł Hammond.

Rozdział trzydziesty trzeci

Davee niespiesznie odebrała telefon.

- Davee, wiesz, kto mówi. - To nie było pytanie.

Nie mając nic lepszego do roboty, wyciągnęła się na szezlongu w swojej sypialni, popijała wódkę z lodem i na kanale z klasyką filmową oglądała czarno-biały film z Joan Crawford. Słyszając w głosie rozmówcy wyraźny niepokój, tak gwałtownie usiadła, że zakręciło jej się w głowie. Przyciszyła telewizor.

- Co ...

- Nic nie mów. Możesz się ze mną spotkać?

Zerknęła na zegarek stojący na antycznym stoliku obok szezlonga.

- Teraz?

Gdy była szaloną nastolatką, telefon o tak późnej porze oznaczał przygodę. Wymykała się wówczas ukradkiem z domu, by spotkać się z chłopakiem albo grupą dziewcząt i wyruszyć na jakąś zakazaną eskapadę do białego świtu - czasami była to kąpiel na golasa, kiedy indziej picie piwa albo palenie marihuany. Te wyprawy niezmiennie wywoływały ogromne oburzenie rodziców. Część zabawy polegała na tym, by dać się przyłapać, a potem zignorować nałożoną karę.

Nawet kiedy wyszła już za mąż za Lute'a, zdarzało się, że po rozmowie telefonicznej wyruszała na nocną wyprawę. Jednakże te wycieczki nigdy nie wywoływały w jej domu burzy. Albo Lute'owi było całkiem obojętne, co robi jego żona, albo sam również szalał. W związku z tym te eskapady nie były już takie zabawne.

Ta nie obiecywała żadnej przyjemności, mimo to zaciekała Davee.

- O co chodzi?

- Nie mogę mówić przez telefon, ale to ważne. Wiesz, gdzie przy Rivers Avenue jest McDonald?

- Znajdę.

- W pobliżu skrzyżowania z Dorchester. Przyjedź najszybciej, jak możesz.

- Ale ...

Davee przez dobrą chwilę patrzyła na głuchy bezprzewodowy telefon, zanim położyła go na szezlongu i wstała. Lekko się zachwiała. Nie chcąc upaść, chwyciła się stolika. Po chwili odzyskała równowagę, a wraz z nią rozsądek.

To czyste szaleństwo. Za dużo wypila. Nie powinna siadać za kierownicą. A tak swoją drogą, co on sobie wyobraża, ścigając ją w środku nocy do McDonalda? Bez żadnych wyjaśnień. Bez "proszę" albo "dziękuję". Nawet nie przyszło mu do głowy, że może spotkać się z odmową. Dlaczego do niej nie przyszedł, skoro uznał, że to tak cholernie ważne? Przecież dała wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, by wciągano ją w tę sprawę bardziej niż to konieczne.

Mimo to weszła do łazienki, ochlapała twarz zimną wodą i wypłukała usta. Zdjęła nocną koszulę, potem, nie zawracając sobie głowy bielizną, wciągnęła parę białych spodni i pasujący do nich podkoszulek z jakiegoś przylegającego syntetycznego włókna, które właściwie nie zostawiało już pola dla wyobraźni - choć ta całkiem

nieźle mu służyła. Davee nawet nie pomyślała o włożeniu butów. Jej włosy stanowiły masę poplątanych loków. Gdyby ktokolwiek zobaczył ich razem, uniósłby brwi na sam widok jej stroju. Oczywiście Davee gównem to obchodziło, ale dla niego taka lekkomyślność była nie do pomyślenia.

Sarah Birch w swoim pokoju przy kuchni oglądała telewizję.

- Wychodzę - poinformowała ją Davee.
- O tak późnej porze?
- Mam ochotę na lody.
- Nie brak ich w lodówce.
- Ale nie ma smaku, który za mną chodzi.

Wierna gosposia zawsze wiedziała, kiedy Davee kłamie, ale nigdy się z tym nie zdradzała. Między innymi dlatego Davee tak ją uwielbiała.

- Będę ostrożna. Wkrótce wracam.
- Gdyby ktokolwiek później mnie pytał...
- Od dziewiątej byłam w łóżku i mocno spałam.

Wiedząc, że Sarah nigdy nie wyjawia jej tajemnic, Davee poszła do garażu i wsiadła do BMW. Sąsiednie uliczki były ciemne i pogrążone we śnie. Na autostradzie panował niewielki ruch, na bulwarach również. Choć było to sprzeczne z jej naturą i marką samochodu, prowadziła swoje BMW, utrzymując dozwoloną prędkość. Sędzia, który był winien Lute'owi przysługę, oddał dwie sprawy przeciw Davee o jazdę pod wpływem alkoholu. Narazanie się na trzecią byłoby już igraniem z losem.

McDonald był oświetlony jak kasyno w Las Vegas. Nawet o tak późnej porze na parkingu stały dziesiątki samochodów, którymi przybyły tłoczące się wokół stolików nastolatki.

Davee wjechała na ocienione miejsce parkingowe z dala od restauracji, opuściła szybę po stronie kierowcy i wyłączyła silnik. Przed sobą miała rząd zaniedbanych krzewów, oddzielających parking przy McDonaldzie od następnego baru szybkiej obsługi, który nie wytrzymał konkurencji i zamknął podwoje. Został po nim tylko zabity deskami budynek. Za plecami Davee ciągnęła się pusta droga przejazdowa, a z obu stron otaczała ją nieprzenikniona ciemność.

Jeszcze go nie było, co irytowało Davee. Bardzo ją ponaglał, dlatego rzuciła wszystko - z pierwszorzędnym drinkiem włącznie - i przyjechała tak szybko, jak tylko mogła. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną, zsunęła zabezpieczenie z podświetlanego lusterka i przejrzała się w nim.

Otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł.

- Ładnie wyglądasz, Davee. Jak zwykle.

Rory Smilow szybko zamknął drzwi samochodu, by zgasić nikłe światelko. Potem zasunął lusterko na osłonie przeciwsłonecznej, eliminując również i tę lampkę.

Davee zareagowała na jego komplement jak na łyk ciepłego, bardzo drogiego likieru. Poczowała rozchodzący się po całym ciele żar, chociaż starała się nie okazać, jak odurzający efekt wywarły na nią jego słowa.

Dlatego burknęła zagniewana:

- Po co te rekwizyty jak z filmu płaszcza i szpady, Rory? Zabrakło ci pomysłów?

- Wręcz przeciwnie. Mam ich aż za dużo. Wszystkie do niczego.

Wygłaszając swój komentarz, Davee żartowała, ale oczywiście Rory potraktował jej słowa całkiem poważnie. Ku jej rozpaczy przeszedł od razu do sedna sprawy. Tak samo postąpił tego wieczoru, kiedy zjawiał się, by ją poinformować, że jej mąż nie żyje. Zachowywał się dokładnie tak, jak wymagał tego protokół. Profesjonalnie. Uprzejmie. Obojętnie.

Steffi Mundell nigdy w życiu by nie zgadła, że niegdyś byli kochankami. Że pewnego razu, owładnięci namiętnością, rozbili szklaną osłonę natrysku. Że piknik w parku miejskim zakończył się w dość nietypowy sposób - kochała się z Rorym, który siedział oparty o pień drzewa. Że przez cały weekend utrzymywali się przy życiu, jedząc masło orzechowe, i uprawiali seks od końca zajęć w piątkowe popołudnie aż do ćwiczeń, które zaczynały się w poniedziałkowy ranek.

Zachowanie Smilowa w dniu śmierci Lute'a nie zdradzało, że kiedyś pozwalali sobie na tego rodzaju romantyczne szaleństwa. Davee czuła, że serce jej pęka, gdyż widziała, iż Rory jest w stanie zachować cholerny dystans, podczas gdy ona dosłownie pożerała go wzrokiem. Jego opanowanie zasługiwało na podziw. Albo współczucie. Życie bez jakichkolwiek namiętności musi być bardzo smutne i jałowe.

Próbując uzbroić przeciw niemu serce, powiedziała:

- Fakt, że przyjechałam, możesz uznać za chwilowy brak zdrowego rozsądku. Czego właściwie chcesz?

- Zadać ci kilka pytań dotyczących morderstwa Lute'a.

- Myślałam, że zapiąłeś już to śledztwo na ostatni guzik. Widziałam w wiadomościach ...

- Oczywiście. Hammond w przyszłym tygodniu przedstawi sprawę przed sądem przysięgłych.

- Więc w czym problem?

- Czy słyszałaś wcześniej o doktor Alex Ladd, czy o jej istnieniu dowiedziałaś się dopiero dzisiaj?

- Dopiero dzisiaj, ale Lute miał mnóstwo dziewczyn. Większość z nich znałam, choć z pewnością nie wszystkie. - Nie sądzę, by była jego dziewczyną.

- Naprawdę?

Odwróciwszy się w stronę Rory'ego, podciągnęła jedną stopę na siedzenie samochodu, piętę wsunęła pod pośladki i oparła brodę na kolanie. Była to prowokacyjna, nie przystająca damie poza, toteż Smilow spuścił wzrok i przez chwilę wpatrywał się w podłogę, dopiero potem ponownie spojrzał Davee w twarz.

- Musisz być naprawdę zrozpaczony, Rory, skoro u mnie szukasz odpowiedzi.

- Jesteś moją ostatnią szansą.

- Tym gorzej dla ciebie, ponieważ wyznałam ci wszystko, co wiem.

- Poważnie w to wątpię, Davee.

- Na temat pani Ladd powiedziałam ci prawdę. Nigdy ...

- Nie w tym rzecz - mruknął, niecierpliwie potrząsając głową. - Chodzi o coś ... o coś innego.

- Sądzisz, że masz nieodpowiednią osobę? Nie odpowiedział, ale jego twarz stężała.

- Rozumiem. Tymczasem w twoim przypadku niepewność jest gorsza niż śmierć, prawda? W końcu jesteś człowiekiem o zimnym sercu i stalowej woli. - Uśmiechnęła się. - No cóż, za nic w świecie nie chciałabym cię zawieść, kochanie, ale nasze drobne tete - a - tete to jedynie strata czasu. Nie wiem, kto zabił Lute'a. Słowo honoru.

- Rozmawiałas z nim tego ranka?

- Kiedy wychodził z domu, powiedział mi, że ma zamiar zagrać w golfa. Potem pojawiłeś się ty z tą suką, Steffi Mundell, i poinformowaliście mnie, że mój mąż nie żyje. Widocznie ostatnie słowa, które od niego usłyszałem, były kłamstwem, co w jakimś tam stopniu charakteryzuje nasze małżeństwo. Był okropnym mężem, takim sobie kochankiem i podłym człowiekiem. Prawdę mówiąc, gównu mnie obchodzi, kto go sprzątnął.

- Przyłapaliśmy twoją gosposię na kłamstwie.

- Chciała mnie chronić.

- Po co ci ochrona, skoro jesteś niewinna?

- Punkt dla ciebie. Ale gdybym powiedziała, że w sobotę po południu jeździłam konno po Broad Street, Sarah też by to potwierdziła. Dobrze o tym wiesz.

- Czyżbyś nie spędziła całego dnia w swojej sypialni z powodu bólu głowy?

Davee ze śmiechem przeczesła palcami włosy, rozplątując niektóre loki.

- W pewnym sensie to prawda. Rzeczywiście cały dzień spędziłam w łóżku, ale ze swoim masażystą, który, jak się okazało, nie tylko przyprawiał mnie o ból głowy, ale był też nudnym wrzodem na dupie. Sarah nie chciała powiedzieć ci prawdy, gdyż w ten sposób zepsułaby mi reputację.

Dostrzegł ukryty w jej słowach sarkazm. Odwrócił głowę i przez chwilę spoglądał przez przednią szybą w stronę porozrzucanych kepek krzaków. Pod wpływem napięcia zacisnął szczękę. Davee nie wiedziała, czy to dobry znak, czy zły.

- Czyżbym znowu była podejrzana, Rory?

- Nie. Nie zabiłabyś Lute'a.

- Dlaczego tak sądzisz?

Znów się do niej odwrócił.

- Ponieważ z prawdziwą przyjemnością dręczyłaś mnie faktem, że jesteś jego żoną.

A więc wiedział, dlaczego poślubiła Lute'a! Nie tylko to zauważył, lecz nawet poczuł się urażony. Mimo że udawał obojętność, w jego żyłach płynęła krew i przynajmniej częściowo podsycala zazdrość.

Serce zabiło jej mocniej z podniecenia, zachowała jednak kamienną twarz i spokojny głos.

- Poza tym ... ?

- Poza tym nie chciałoby ci się fatygować. Jeśli człowiek wie, że morderstwo i tak ujdzie mu na sucho, właściwie nie ma po co zawracać sobie nim głowy, prawda?

- Innymi słowy - uściśliła - jestem za bogata, by mnie skazano.

- Dokładnie.

- A rozwód byłby tylko trochę mniej kłopotliwy niż rozprawa o morderstwo.
- W twoim przypadku więcej kłopotu sprawiłby rozwód. Zadowolona z siebie, wyznała:
- Poza tym, jak już wspomniałam Hammondowi, więzienne stroje ...
- Kiedy rozmawiałaś z Hammondem? - spytał, przerywając jej.
- Często z nim rozmawiam. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Wiedziałaś, że odwiedził Lute'a tego dnia, w którym popełnione zostało morderstwo? Ściślej biorąc, niemal w tym samym czasie, kiedy zostało popełnione?

Spokój Davee prysnął. Natychmiast zaczęła mieć się na baczności. Zastanawiała się, w jakim stopniu Rory zemści się za cierpienia, jakie mu zadała. Czy oskarży ją o utrudnianie śledztwa przez zatajanie dowodów? Przekazała Hammondowi odręczną notatkę Lute'a, wskazującą na to, że obaj panowie byli umówieni w sobotę na spotkanie. Być może ta informacja nie miała żadnego znaczenia. Lecz równie dobrze mogła być kluczem do rozwiązania tajemnicy morderstwa, nad którą pracował Rory.

Jednak ocena, jakie znaczenie dla sprawy ma dany dowód, należy do obowiązków detektywa, nie wdowy. Nawet jeśli to spotkanie nie miało nic wspólnego z samym morderstwem Luute'a, mogło skompromitować Hammonda jako oskarżyciela. Do kolejnego spotkania nie doszło, o ile rzeczywiście drugi zapisek wskazywał na następne spotkanie. Przy godzinie nie było imienia ani nazwiska, a do tego czasu Lute już nie żył.

Davee właśnie została przyłapana na przestępstwie, nadal jednak chciała dochować wierności staremu przyjacielowi.

- Dowiedziałeś się o tym od Hammonda?
- Widziano go w hotelu.

Roześmiała się, ale bez specjalnego przekonania.

- Tylko tyle? To znaczy jedynie, że był w tym samym budynku co mój mąż. Dlaczego zakładasz, że spotkał się z Lute'em? Może powinieneś pójść na urlop, Rory. Straciłeś zdolność logicznego myślenia.

- Próbujesz mnie urazić, Davee?

- Wniosek, jaki wyciągnęłaś, stanowi zniewagę dla mojej inteligencji, dla twojej również. Dwaj mężczyźni mniej więcej w tym samym czasie byli w tym samym ogólnie dostępnym budynku. Dlaczego dopatrujesz się tu jakiegoś związku?

- Ponieważ wielokrotnie rozmawialiśmy o hotelu i sobotnim popołudniu, ale Hammond ani razu nie wspomniał, że tam był. - A po co miałby o tym wspominać? Po co robić sprawę ze zwyczajnego zbiegu okoliczności?

- Jeśli to jedynie zbieg okoliczności, nie powinien tego zatajać. - Może miał sobotnią randkę. Może lubi podawane w restauracji kraby. Może wszedł na chwilę do westybulu, żeby odpocząć od upału. Mógł się tam znaleźć z przynajmniej stu różnych powodów.

Smilow pochylił się i po raz pierwszy od wielu lat jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

- Muszę wiedzieć, czy Hammond spotkał się z Lute'em, czy nie.

- Nie wiem, czy się spotkali! - wybuchnęła.

W tym momencie wcale nie kłamała. Dała jedynie Hammonndowi notatkę. Nie pytała, czy spotkanie doszło do skutku, a on sam nic na ten temat nie powiedział.

- Jaki charakter mogło mieć to spotkanie?

- Skąd mam wiedzieć?

- Czy Lute przyłapał cię z Hammondem?

- Co takiego?! - krzyknęła i roześmiała się. - Wielkie nieba, Rory, dziś wieczorem twoja wyobraźnia naprawdę płata ci figle. Skąd wziął ci się taki pomysł?

Bacnie jej się przyjrzał. Jego wzrok wyjaśnił wszystko. Szczęście wywołane ponownym spotkaniem prysnęło jak bańka mydlana.

- Och - powiedziała, uśmiechając się smutno. - No cóż, oczywiście masz rację. Niewątpliwie jestem zdolna do cudzołóstwa. Ale czy naprawdę sądzisz, że Hammond Cross sypiałby z żoną innego mężczyzny?

Po krótkim, pełnym napięcia milczeniu spytał:

- Jaki mógł być inny powód ich spotkania?

- Nie wiemy, czy się spotkali.

- Czy Hammond wspomniał, że widział w hotelu kogoś innego?

- Jeśli tam był, z pewnością widział tłumy spoconych ludzi, które każdego dnia przewijają się przez hotel.

- Kogoś konkretnego?

- Nie, Rory! - powiedziała ze złością. - Mówiłam ci już, że nic mi na ten temat nie mówił. - Coś go dręczy.

- Hammonda? Co takiego?

- Nie wiem, i to mnie trapi. Nie ma tyle zapału co zawsze.

- Zakochał się.

Smilow cofnął brodę, jakby wylądował na niej szybki, niespodziewany cios.

- Zakochał się? W Steffi?

- Boże broń - odparła z delikatnym drżeniem. - Właściwie bałam się go spytać, jak głębokie jest to uczucie, ale kiedy już to zrobiłam, odparł, że z nią zerwał. Wierzę mu. Jego ukochaną wcale nie jest pozbawiona uroku pani Mundell.

- A zatem kto?

- Nie chciał mi tego zdradzić. Zresztą wcale nie jest zbyt szczęśliwy z powodu tej miłości. Uznał ten związek nie tylko za skomplikowany, ale wręcz za niestosowny. Nie, ta kobieta nie jest mężatką. O to również go zapytałam.

Rory lekko przekrzywił głowę. Wyglądało na to, że wpatruje się w bosc stopy Davee i zastanawia nad tym, co właśnie mu powiedziała. Wykorzystała te kilka chwil, by się na niego napatrzeć - gładkie czoło, surowe brwi, ostro zarysowana szczęka, bezkompromisowe usta, które, jak pamiętała, potrafią jednak iść na kompromis. Czująca

je na swoich wargach, na ciele, złaknione i tkliwe.

- To potężny bodziec - wyznała cicho. Uniósł głowę.

- Co takiego?

- Miłość. - Przez kilka niezręcznych, ciągnących się w nieskończoność chwil patrzyli sobie głęboko w oczy. - Sprawia, że czasami człowiek myśli o rzeczach, których w innym przypadku nawet nie brałby pod uwagę. Na przykład o tym, by poślubić faceta, którego się nienawidzi.

- Albo by go zabić.

Nabrała szybko powietrza, aż piersi zadrżały jej pod przylegającym cienkim materiałem.

- Chciałabym, żebyś kochał mnie do tego stopnia, by go zabić. - Położyła dłonie na policzkach Smilowa i na zmianę muskała kciukami jego wargi. - Czy tak jest, Rory? - szepnęła ponaglająco. - Czy kochasz mnie do tego stopnia? Proszę, powiedz, że tak.

Zapominając o latach cierpień i tęsknoty, pochyliła się, żeby go pocałować. Pierwszy dotyk jej warg podziałał na niego jak iskra padająca na suchy mech. Smilow nie zapanował nad sobą. Przywarł do jej ust w twardym, zachłannym, niemal szalonym pocałunku.

Niestety, równie gwałtownie wszystko się skończyło. Zdecydowanym ruchem zdjął ręce Davee ze swojej twarzy i odepchnął ją.

- Rory?! - zawołała, wyciągając do niego ramiona, gdy otwierał drzwi samochodu.

- Do widzenia, Davee.

- Rory?!

Prześlizgnął się przez żywopłot i zniknął w ciemności. McDoonalda już zamknęto. Wszyscy wyszli. Wyłączono światła. Wokół panowała nieprzenikniona noc. Davee była sama. Dlatego nikt nie słyszał jej gorzkiego szlochu.

Rozdział trzydziesty czwarty

- Wiem, kto zabił Lute'a.

Stwierdzenie Hammonda zaszokowało Alex i Franka Perkinsa.

Przez kilka sekund milczeli, a potem każde z nich zarzuciło go niezliczonymi pytaniami. Frank przede wszystkim chciał wiedzieć, czemu wobec tego jest tutaj, w jego domu, a nie na posterunku policji.

- Zostawmy to na później - zaproponował Hammond. - Nim wszystko powiem, chciałbym usłyszeć relację Alex o tym, co się wydarzyło. - Odwrócił się w jej stronę i lekko wychylił do przodu. - Chcę poznać prawdę, Alex. Całą prawdę. Od początku do końca. Dzisiaj. Teraz.

- To ...

Nie zdołała jeszcze nic powiedzieć, gdy Frank uniósł dłoń.

- Hammondzie, chyba uważasz mnie za idiotę. Do jasnej cholery, nie dopuszczę do tego, by moja klientka cokolwiek ci zdradziła! Nie chcę brać udziału w potajemnym spotkaniu, do którego mnie zmusiłeś. Zachowałeś się w najbardziej głupi, nieodpowiedzialny, nieprofesjonalny ...

- W porządku, Frank. Sam powiedziałaś, że nie jesteś księdzem, pamiętasz? - przypomniał Hammond. - Nie jesteś również moim ojcem ani nauczycielem ze szkoły niedzielnej. Oboje z Alex przyznaliśmy już, że nieodpowiednio podeszliśmy do sprawy.

- Lekkie niedomówienie - zauważył Frank z ironią. - Konsekwencje waszego związku mogą być naprawdę katastrofalne. Dla nas wszystkich.

- W jaki sposób to może zaszkodzić tobie? - spytała Alex.

- Alex, niecałe pięć minut temu przyznałaś się, że zrobiłaś wszystko co w twojej mocy, by wciągnąć Hammonda do łóżka. Spędziłaś z nim noc na wypadek, gdyby potrzebne ci było alibi. Tylko jak zabrzmiałoby takie wyznanie w świetle twojej przeszłości, ujawnionej ostatnio przez Bobby'ego Trimble'a?

- W jaki sposób moja przeszłość może przemawiać przeciwko mnie? To dawne dzieje. Nie jestem już tamtą dziewczyną. Zmieniłam się. - Przeniosła wzrok z Franka na Hammonda. Owszem, każdy podły szczegół relacji Bobby'ego to prawda. Z jednym wszakże wyjątkiem. Pozwalałam tym facetom tylko na patrzenie. Na nic więcej.

Zdecydowanie potrzęsła głową.

- Nigdy. Chroniłam jakąś małą, prywatną cząstkę swojej duszy, licząc na to, że być może kiedyś urzeczywistni się nadzieja na lepsze życie. Istniała granica, której nigdy bym nie przekroczyła. Dzięki Bogu, miałam jeszcze dość instynktu samozachowawczego. Bobby wykorzystywał mnie w najpodlejszy sposób. Mimo to potrzebowałam wielu lat, żeby przestać się winić za współudział. Wierzyłam, że jestem zepsuta. Dzięki wizytom u psychologa i własnym studiom w końcu zrozumiałam, że byłam klasycznym przypadkiem maltretowanego dziecka, które czuje się odpowiedzialne za to, jak traktują je inni.

Na jej ustach pojawił się ironiczny uśmiech.

- Byłam jedną ze swoich pierwszych pacjentek. Musiałam wyleczyć samą siebie. Musiałam się pokochać i uznać, że jestem warta miłości innych. Ogromną rolę odegrali w tym Laddowie. Zostawili mi dziedzictwo w

postaci bezwarunkowej miłości. Zdałam sobie sprawę, że jeśli oni - ludzie do szpiku kości dobrzy i prawi - byli w stanie mnie pokochać, mogę zapomnieć o przeszłości i przynajmniej pogodzić się z tym, że jestem taka, jaka jestem. Ale ta terapia wciąż trwa. Czasami zdarzają mi się gorsze chwile. Do dziś zastanawiam się, czy byłam w stanie coś zrobić. Czy w jakimś momencie mogłam sprzeciwić się Bobby'emu? Potwornie się bałam, że mnie opuści, tak jak zrobiła to matka, i wówczas zostanę zupełnie sama. To on żywił mnie i ubierał. Byłam od niego całkowicie zależna.

- Byłaś dzieckiem - przypomniał jej łagodnie Frank. Przymknęła.

- Wtedy tak, Frank. Ale już jako osoba dorosła stanęłam na drodze Hammonda, starając się zwrócić na siebie jego uwagę. Odwróciła się do niego i powiedziała błagalnie: - Proszę, wybac mi krzywdę, jaką ci wyrządziłam. Bałam się tego, co właśnie się stało. Nie zabiłam Lute'a Pettijohna, obawiałam się jednak, że zostanę o to oskarżona. Dręczył mnie strach, że zostanę uznana za winną z powodu popełnionych w dzieciństwie przestępstw. Poszłam do apartamentu Pettijohna ...

- Alex, ponownie muszę cię ostrzec. Lepiej nic więcej nie mów.

- Nie, Frank. Hammond ma rację. Powinieneś wysłuchać mojej relacji. On też musi się z nią zapoznać.

Adwokat wciąż marszczył czoło, ponieważ nie przestał żywić pewnych obaw. Alex nie wzięła jednak pod uwagę jego milczącego ostrzeżenia.

- Pozwólcie, że cofnę się o kilka tygodni.

Opowiedziała im o tym fatalnym dniu, w którym Bobby nagle znów pojawił się w jej życiu i przedstawił swój plan, polegający na zastosowaniu szantażu wobec Lute'a Pettijohna.

- Ostrzegłam go, że wykracza daleko poza swoje dotychczasowe pole działania. Powiedziałam, że najlepiej zrobi, jeśli wyjedzie z Charlestonu, zapominając o swoim śmiesznym planie. On jednak był zdecydowany wprowadzić swój pomysł w życie. Niestety, z takim samym uporem obstawał przy tym, żebym mu pomogła. Groził, że jeśli tego nie zrobię, ujawni moją przeszłość. Wstyd się przyznać, ale stchórzyłam. Gdyby to był ten sam głośny, arogancki, prymitywny Bobby, jakiego znałam dwadzieścia pięć lat temu, roześmiałabym mu się w twarz i natychmiast zadzwoniła na policję. Nabrał jednak nieco oglady, a przynajmniej zaczął prezentować dobre maniery i przyzwoiciej się zachowywał. Dzięki temu z ogromną łatwością mógł wkręcić się w moje życie i zniszczyć je od środka. Kiedyś pojawił się podczas odczytu w Akademii Medycznej, podając się za psychologa, który gości w Charlestonie z wykładami. Mój kolega uwierzył mu bez zastrzeżeń. Tak czy inaczej, zmusiłam go do odkrycia kart, a potem powiedziałam, żeby zostawił mnie w spokoju. Sądzę jednak, że był bardzo zdesperowany. Skontaktował się z Pettijohnem. Niezależnie od tego, jakich użył argumentów, musiały one wywrzeć wrażenie, ponieważ Pettijohn zgodził się zapłacić sto tysięcy dolarów w zamian za milczenie.

- Nie uwierzyłyby w to nikt, kto znał Lute'a Pettijohna, Alex - powiedział Hammond cicho.

- Jestem tego samego zdania - dodał Frank.

- Sama nie wierzyłam - przyznała Alex. - Widocznie Bobby również miał jakieś wątpliwości, gdyż przyszedł ponownie, tym razem absolutnie żądając, żebym to ja spotkała się z Pettijohnem i odebrała pieniądze.

Zgodziłam się.

- Na Boga, dlaczego? - spytał Frank.

- Ponieważ doszłam do wniosku, że w ten sposób mogę pozbyć się Bobby'ego. Postanowiłam spotkać się z Pettijohnem, ale nie po to, by odebrać od niego pieniądze. Zamierzałam wyjaśnić mu sytuację i namówić go, by zgłosił na policję, że Bobby go szantażuje.

- Czemu nie poszłaś na policję sama?

- Teraz wiem, że to byłoby lepsze rozwiązanie. - Westchnęła. - Ale bałam się z powodu powiązań z Bobbym. Chwalił się swoją ucieczką z Florydy. Zależało mi na tym, żeby trzymać się od niego z daleka.

- Poszłaś więc do Charles Towne Plaza o wyznaczonej godzinie.

- Tak.

- Nie mogłaś porozmawiać z Pettijohnem przez telefon?

- Bardzo bym chciała, Frank. Uznałam jednak, że jeśli osobiście się z nim spotkam, wywrę większe wrażenie.

- Co się stało, gdy tam dotarłaś?

- Był miły. Uprzejmie wysłuchał moich wyjaśnień. - Przesunęła się na brzeg fotela i uderzyła dłonią w czoło.

- I co?

- Potem roześmiał mi się w twarz - wyznała roztrzęsiona. - Już gdy otworzył drzwi, powinnam dojść do wniosku, że coś się nie zgadza. Wcale nie był zaskoczony moim widokiem, chociaż teoretycznie spodziewał się Bobby'ego. Niestety, z tego wszystkiego zdałam sobie sprawę dopiero nieco później.

- Wiedział, że przyjdiesz ty, nie Bobby, dlatego wyśmiał twoją historię.

- Tak - westchnęła żałośnie. - Bobby zadzwonił nieco wcześniej i uprzedził Pettijohna, że pojawię się właśnie ja. Powiedział, że jestem jego partnerką i że próbuję pokrzyżować mu szyki. Dodał, że mogę wymyślić jakąś łązawą historię, obliczoną na jego współczucie, a potem wciągnąć go do łóżka. Tym sposobem sama miałabym powód, by go szantażować i przebić żądania Bobby'ego.

- Nie doceniłem tego sukinsyna - wymamrotał Hammond ze złością. - Trimble nie wygląda na tak sprytnego.

- Wcale nie jest taki sprytny - zdradziła Alex. - Jedynie przebiegły. Bobby ma więcej tupetu niż rozsądku. To dlatego jest taki niebezpieczny. Gdy dostrzeża jakąś możliwość, podejmuje ryzyko, na jakie nie zdobyłby się żaden inteligentny człowiek. Wie również, ile można zyskać, jeśli samemu zadaje się pierwszy cios. Nie udało mi się przekonać Pettijohna, że wcale nie próbuję wprowadzić w życie nikczemnego planu, uwzględniającego seks i szantaż. Zaproponował, żebym nie traciła okazji. Skoro już do niego przyszłam i zależy mi na tym, by wciągnąć go do łóżka ... Wicie, o co mi chodzi.

- Napastował cię? - domyślił się Frank.

- Oczywiście obroniłam się. Odtrąciłam ramię Pettijohna. Jestem pewna, że to właśnie wtedy na jego rękaw dostał się kawałek goździka. Tego ranka szpikowałam pomarańcze. Jakiś okrucieństwo musiał mi zostać na ręce. Ale wracając do tematu ... Odepchnęłam go. Wtedy wpadł w szal i zaczął mi grozić. Powiedział, że za chwilę ma spotkanie z pracownikiem biura prokuratora okręgowego, panem Crossem. - Zerknęła na Hammonda. - Stwierdził, że na pewno zainteresujesz się intrygą uknutą przeze mnie i Bobby'ego.

Po chwili ciągnęła:

- Wpadłam w panikę. Wyobraziłam sobie, że moje starannie zrekonstruowane życie rozlatuje się na kawałki. Przy okazji hańba spadłaby na Laddów - ludzi, którzy pokładali we mnie tak ogromne nadzieje. Przestano by mi wierzyć, w związku z czym moje badania okazałyby się bezwartościowe. Pacjenci, którzy obdarzyli mnie zaufaniem, poczuliby się zdradzeni. Uciekłam. W windzie zaczęłam się potwornie trząść. Na parterze weszłam do baru, żeby usiąść, ponieważ ugiwały się przede mną kolana. Tam zdałam sobie sprawę, że moja reakcja była bardzo nierozsądna. W ciągu kilku sekund cofnęłam się o wiele lat, do czasów, kiedy Bobby był panem mojego życia i śmierci. W barze doszłam do siebie. Odkąd jako dziecko popełniłam kilka przestępstw, minęły dziesiątki lat. Obecnie jestem szanowanym członkiem społeczeństwa. Cieszę się uznaniem jako ekspert w swojej dziedzinie. Czego zatem tak bardzo się przestraszyłam? Przecież nie zrobiłam nic złego. Gdyby udało mi się przekonać odpowiednią osobę, że mój przyrodni brat ponownie próbuje mnie wykorzystywać, prawdopodobnie mogłabym uwolnić się od niego raz na zawsze. Kto lepiej by się do tego nadawał niż ...

- Hammond Cross, asystent prokuratora okręgowego.

- Dokładnie - potwierdziła słowa Franka. - Wróciłam więc na czwarte piętro. Kiedy dotarłam na miejsce, drzwi apartamentu były uchylone. Przytknęłam do nich ucho, ale nie usłyszałam żadnej rozmowy. Pchnęłam je i zajrzałam do środka. Pettijohn leżał obok ławy twarzą do podłogi.

- Wiedziałaś, że nie żyje?

- Żył - odparła ku zaskoczeniu obu mężczyzn. - Wiedziałam, że nie powinnam go dotykać, ale i tak to zrobiłam. Wyczułam puls. Był jedynie nieprzytomny. Nie chciałam, by ktoś mnie przy nim przyłapał, gdy znajdował się w takim stanie, zwłaszcza że mój dawny partner go szantażował. Więc ponownie wybiegłam z apartamentu. Tym razem skorzystałam ze schodów. Musieliśmy się minąć - zwróciła się do Hammonda. - Gdy dotarłam do westybulu, właśnie wychodziłeś z hotelu głównymi drzwiami.

- Jak mnie rozpoznałaś?

- Widziałam cię w telewizji. Wyglądałeś na bardzo zdenerwowanego. Pomyślałam ...

- Że napadłem na Pettijohna.

- Nie. Raczej, że zderzyłeś go czymś po głowie. Uznałam też, że jeśli twoje spotkanie miało przebieg podobny do mojego, prawdopodobnie ten człowiek zasłużył sobie na to, co go spotkało. To dlatego za tobą pojechałam. Gdyby Pettijohn wniósł później sprawę przeciw Bobby'emu, gdyby próbował wplątać mnie w przestępstwo, kto mógł mi zapewnić lepsze alibi niż prokurator, który sam miał awanturę z Pettijohnem? - Spojrzała na swoje dłonie. W sobotni wieczór kilkakrotnie zaczynały dręczyć mnie wyrzuty sumienia z powodu

tego, co robię, dlatego próbowałam odejść.

Spojrzała na Hammonda, który z poczuciem winy przeniósł wzrok na Franka. Adwokat spoglądał na niego krzywo niczym strażnik przy bramie piekielnej.

- W niedzielę rano było mi bardzo wstyd, dlatego wyszłam, nim Hammond się obudził - wyznała swojemu obrońcy. - Tego wieczoru Bobby przyszedł po swoje pieniądze, których oczywiście nie miałam. Ku mojemu zdumieniu pogratulował mi zamordowania naszego jedyne "świadka".

- Do tego czasu nie wiedziałaś, że Pettijohn nie żyje?

- Nie. W drodze do domu słuchałam płyt kompaktowych, nie radia. Po powrocie nie włączałam telewizora. Byłam ... byłam zaabsorbowana. - Przez krótką, pełną napięcia chwilę milczała. - W każdym razie, gdy usłyszałam, że Pettijohn został zamordowany, uwierzyłam w najgorsze.

- Myślałaś, że to ja go zabiłam - powiedział Hammond. - Że Lute jednak zmarł na skutek zadanych przeze mnie ran.

- Dokładnie. Wierzyłam w to, dopóty ...

- Dopóki nie usłyszałaś, że został zastrzelony - dokończył. - To dlatego byłaś taka zszokowana, gdy poznałaś przyczynę jego śmierci.

Przytaknęła.

- Pobiliście się?

- Nie, jedynie jak burza wypadłem z jego pokoju.

- W takim razie zaraz potem musiał nastąpić wylew.

- Tak przypuszczam - zgodził się Hammond. - Wylew krwi do mózgu spowodował omdlenie. Upadając, Pettijohn uderzył się o kant stołu, stąd rana na jego czole.

- Ja jej nie widziałam. Nie zdawałam sobie również sprawy, że jest w tak fatalnym stanie. Do końca życia będę żałować, że niczego nie zrobiłam - wyznała ze szczerym żalem. - Gdybym zawołała o pomoc, prawdopodobnie dzisiaj by jeszcze żył.

- A tak ktoś przyszedł po tobie, zobaczył leżącego Lute'a i po prostu go zastrzelił.

- Niestety, Frank, to prawda - przyznała. - Między innymi właśnie dlatego nie skorzystałam z alibi.

- A ja przyszedłem tutaj, zamiast pójść na policję - dodał Hammond.

Adwokat ze zdumieniem popatrywał to na nią, to na niego.

- Czyżbym coś przeoczył?

Odpowiedzi na to pytanie udzieliła Alex.

- Dzięki pedanterii Smilowa, a teraz również i mediom, wszyscy wiedzą, że w sobotę po południu byłam w apartamencie Pettijohna. Niestety, jedyną osobą, która ma stuprocentową pewność, że to nie ja go zastrzeliłam, jest ktoś, kto sam to zrobił.

- Wczoraj wieczorem ten ktoś targnął się na życie Alex. Frank z szeroko otwartymi ustami wysłuchał opowieści Hammonda o zajściu w ciemnej uliczce.

- Celem ataku była Alex. Nie chodziło o zwyczajny napad.

- Skąd wiesz, że to morderca Pettijohna?

Hammond potrząsnął głową.

- Ten człowiek został jedynie wynajęty i z pewnością kiepsko się spisał. W przeciwieństwie do zabójcy Lute'a.

- Naprawdę sądzisz, że rozwiązałeś tę zagadkę? - spytał Frank.

- Trzymaj się mocno - odparł Hammond.

Mówił bez przerwy przez następny kwadrans. Frank był zaszokowany, natomiast Alex przyjmowała wszystko spokojnie; nie wydawała się nawet zbyt zaskoczona.

Gdy Hammond skończył, Frank wypuścił powietrze z płuc.

- Rozmawiałeś już z obsługą hotelu?

- Tak, nim tu przyszedłem. Ich zeznania potwierdzają moją hipotezę.

- To brzmi prawdopodobnie, Hammondzie. Ale, na Boga, nie sądzę, by się dało łatwo udowodnić.

Zgadzasz się ze mną?

- Owszem - przyznał Hammond.

- Podcinasz gałąź, na której siedzisz.

- Wiem.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy stąd wyjdiesz?

- No cóż, do jasnej cholery, przede wszystkim muszę sprawdzić, czy mam rację. - Hammond odwrócił się do Alex. - Czy Pettijohn wspomniał, że ma się spotkać z kimś oprócz mnie? Wiem, że był umówiony na szóstą.

Nie mam tylko pojęcia z kim.

- Nie. Powiedział mi jedynie o spotkaniu z tobą.

- Czy w drodze do apartamentu widziałaś kogoś w windzie albo na korytarzu?

- Tylko tego mężczyznę z Macon, który później mnie zidentyfikował.

- A gdy szłaś na dół, nie spotkałaś nikogo na klatce schodowej?

- Nie. - Spojrzał na nią twardo, a wówczas dodała: - Hammondzie, narażasz dla mnie swoją karierę. Teraz nie mogę cię już okłamywać.

- Wierzę ci, ale nasz sprawca myśli inaczej. Wystarczy, jeśli zakłada, że coś widziałaś. W związku z tym właściwie nie ma znaczenia, czy rzeczywiście tak było.

- Dla mordercy Alex wciąż stanowi zagrożenie - wtrącił Frank.

- Taka sytuacja jest dla niego nie do przyjęcia. Pamiętajcie, że miejsce zbrodni było niemal nieskazitelnie czyste. Przepiękna dokonała osoba, która nie toleruje żadnych niedociągnięć.

- Co zatem sugerujesz? - spytał Frank. - Całodobowy nadzór?

- Nie - zaprotestowała Alex.

- Nie miałbym nic przeciw temu - przyznał Hammond. - Niestety, muszę zgodzić się z Alex, choć robię to niechętnie. Po pierwsze, znam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zniosłaby takiej sytuacji, a sprzeczać się z nią nie ma sensu. Po drugie, obecność ochroniarzy czy wprowadzenie nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa podziałałoby na mordercę jak płachta na byka.

- Ile czasu potrzebujesz, Hammondzie?

- Sam chciałem to wiedzieć.

- Niepokoi mnie ta niepewność - wyznał Frank. - Póki będziesz gromadził dowody, Alex grozi niebezpieczeństwo. Powinieneś zaufać ...

- Tak - mruknął Hammond, odgadując nie wypowiedzianą myśl Franka. - Tylko komu w tym momencie mogę zaufać? Poza tym kto mi uwierzy? Moje zarzuty zabrzmiały jak stek bzdur, zwłaszcza jeśli ktokolwiek się dowie, że Alex i ja jesteśmy kochankami.

- "Jesteśmy"? To znaczy, że byliście ze sobą po sobotnim wieczorze? - Wyraz ich twarzy rozwiewał wszelkie wątpliwości. - Nieważne - jęknął Frank. - Nie chcę o niczym wiedzieć.

- Jak już mówiłem - ciągnął Hammond - muszę zrobić to sam, a na dodatek muszę działać szybko.

Wyjaśnił im swój plan.

Kiedy skończył, najpierw zwrócił się do Franka:

- Czy mogę liczyć na twoje poparcie?

Adwokat przez długą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Chciałbym wierzyć, że ludzie kojarzą moje nazwisko z uczciwością. Przynajmniej zawsze w tym kierunku zmierzałem. To moje pierwsze odstępstwo od zasad etycznych. Jeśli ta sprawa skończy się katastrofą, jeśli się mylisz, prawdopodobnie dostanę jedynie reprimendę i na mojej dotychczas nienagannej reputacji pojawi się drobna skaza. Ale ty, Hammondzie, ryzykujesz głowę. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Zdaję.

- Co więcej, nie widzę żadnej szansy, żeby ci się udało.

- Dlaczego?

- Ponieważ chcąc osiągnąć cel, musisz się zwierzyć Steffi Mundell.

- Obawiam się, że to zło konieczne.

- Sam użyłbym dokładnie tego samego określenia.

W tym momencie odezwał się pager Hammonda. Sprawdził numer.

- Nie wiem, kto to.

Lekceważąc ewentualnego rozmówcę, spytał Franka, czy ma jeszcze jakieś zastrzeżenia.

- Pytasz poważnie? - zażartował adwokat. Hammond uśmiechnął się.

- Głowa do góry! Przecież zawisnąć można niezależnie od tego, czy jest się świętym, czy grzesznikiem.

- Wolałbym w ogóle nie wisieć - odparł Frank.

- O czym myślisz? - To pytanie Hammond skierował do Alex.

- Co mogłabym zrobić?
- Zrobić?
- Chciałabym jakoś pomóc.
- Nic z tego - zaproponował zdecydowanie.
- To ja spowodowałam cały ten bałagan.
- Pettijohn zostałby w ostatnią sobotę zamordowany niezależnie od tego, czybyś się z nim spotkała, czy nie.

Jak już wyjaśniłem, to zabójstwo nie miało z tobą nic wspólnego.

- Tak czy inaczej, nie mogę beczynnienie stać z boku.
- Ale to właśnie będziesz robić. Nikt nie może się domyślić, że działamy razem.
- Hammond ma rację, Alex - poparł go Frank. - To on musi to wszystko rozpracować od środka.

Spojrzała na niego z obawą w oczach i spytała:

- Hammondzie, nie ma innego sposobu? Ryzykujesz swoją karierę.
- A ty życie. Które jest dla mnie ważniejsze od mojej kariery. Wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją i ścisnęła.

Patrzyli sobie w oczy, póki milczenie nie stało się ciężkie i kłopotliwe.

Frank cicho odchrząknął.

- Alex, zostajesz tu dzisiaj na noc. Nie przyjmuję żadnych sprzeciwów.
- Popieram - powiedział Hammond.
- A ty idziesz do domu. - Ten surowy rozkaz był skierowany do Hammonda.
- To również popieram, choć niechętnie.
- Pokój gościnny jest gotowy, Alex. Druga sypialnia za schodami w lewo.
- Dziękuję, Frank.
- Jest późno, a zostało mi jeszcze mnóstwo spraw do przemyślenia.

Frank ruszył w stronę swojego gabinetu. Zatrzymał się jednak przy drzwiach i obejrzał. Otworzył usta, by coś powiedzieć, zawahał się, w końcu jednak wyznał:

- Miałem zamiar was zapytać, czy sobotnia noc warta była tego wszystkiego. Ale już wiem, co bym usłyszał. Dobranoc.

Zostali sami, spowici kłopotliwą ciszą, rozpraszaną tylko tykaniem zegarka na biurku Franka. Dziwne napięcie, które między nimi zawisło, było spowodowane nie tylko obawą o to, co wydarzy się nazajutrz.

Pierwszy odezwał się Hammond.

- To nie ma znaczenia, Alex.

Nawet nie musiała pytać, o co mu chodzi.

- Niestety, ma, Hammondzie.

Wyciągnął do niej rękę, wywinęła mu się jednak, wstała, pokonała całą szerokość pokoju i stanęła przy biblioteczce pełnej ksiąg prawniczych.

- Oszukujemy się nawzajem.

- W jakiej sprawie?

- Nasz romans nie ma szansy na szczęśliwe zakończenie. Nie może jej mieć.

- Dlaczego?

- Nie bądź naiwny.

- Trimble jest śmieciem. Jego opowieść to stara historia. Znałem ją już wczoraj wieczorem, a mimo to wyznałem ci miłość. - Uśmiechnął się. - Nie zmieniłem zdania.

- Nasza znajomość zaczęła się od tego, że splątałam ci paskudnego psikus.

- Paskudnego psikus? Nie tak wspominam sobotnią noc.

- Od początku cię okłamywałam. Ta świadomość zawsze będzie kołatać się w twojej głowie, Hammondzie. Nigdy do końca mi nie zaufasz. Nie chcę być z kimś, kto w każdym moim działaniu będzie się dopatrywał jakichś podtekstów i powątpiewał we wszystko, co powiem.

- Nie będę.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- To by oznaczało, że nie jesteś człowiekiem. Specjalizuję się w dziedzinie ludzkich emocji i zachowań. Wiem, jaki długotrwały może być efekt dawnych wydarzeń i ran zadanych przez innych ludzi, czasami celowo, a czasami przez przypadek. Rezultaty widuję każdego dnia podczas sesji ze swoimi pacjentami. Sama też to przeszłam. Potrzebowałam lat, by odzyskać zdrowie psychiczne, Hammondzie. Ciężko pracowałam, by wyzwolić się spod wpływu Bobby'ego. Udało mi się to. Z pomocą bożą. Tylko dlatego jestem w stanie kochać cię w sposób...

- A więc jednak? Kochasz mnie?

W podświadomym geście położyła rękę na sercu.

- Aż do bólu.

Ponownie zapiszczał pager. Hammond zaklął cicho i wyłączył go. Odnosił wrażenie, że dzieli ich ogromna przestrzeń. Wiedział, że tego wieczoru nie powinien jej przekraczać.

- Chciałbym cię pocałować.

Przytaknęła.

- Jeśli cię pocałuję, będę chciał się z tobą kochać. Ponownie przytaknęła, po czym wymienili długie, znaczące spojrzenia.

- Uwielbiam się z tobą kochać - wyznał.

Klatka piersiowa Alex delikatnie uniosła się i opadła.

- Powinieneś już iść.

- Tak - powiedział zachrypniętym głosem. - Jak wiesz, jutro rano muszę wcześniej wstać. - Ściągnął mocno brwi. - Nie wiem, Alex, co z tego wyjdzie. Przez cały czas będę z tobą w kontakcie. Dasz sobie radę?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się do niego, by dodać mu otuchy. Ruszył w stronę drzwi.

- Śpij dobrze.

- Dobranoc, Hammondzie.

- Niech to szlag!

Loretta Boothe patrzyła na automat telefoniczny, jakby chciała zmusić go, by zadzwonił. Dwukrotnie kontaktowała się z Hammondem za pomocą pagera. Wcześniej nie odebrał telefonu domowego ani komórki. Automat uparcie milczał. Zerknęła na zegarek. Prawie druga. Gdzie on, do diabła, może być?

Odczekała minutę, potem wrzuciła do automatu następną monetę i ponownie wybrała domowy numer Hammonda.

- Posłuchaj, dupku. Nie wiem, po jaką cholere ściągam cię w środku nocy i robię wszystko, by ratować twój tyłek, ale po raz enty powtarzam, że opuszczam to pieprzone wesołe miasteczko, ciągnąc za sobą bardzo ważnego świadka. Proszę, odezwij się jak najszybciej. Facet jest trochę niespokojny, a mnie zaczyna już brakować uroku osobistego.

- Pani Boothe?

Powiesiła słuchawkę i zawołała do siedzącego w jej samochodzie mężczyzny:

- Już idę!

Początkowo chętnie rozmawiał o tej sprawie i aresztowaniu Alex Ladd. Potem, kiedy Loretta go uprzedziła, że może zostać wezwany jako bardzo ważny świadek, zaczął się wycofywać. Wolałby, żeby go w to nie mieszano. Owszem, chce być dobrym obywatelem, ale ...

Do współpracy skłoniło go w końcu mnóstwo pochlebstw i ogromna siła perswazji. Loretta nie wierzyła jednak jego obietnicom. W każdej chwili mógł zmienić zdanie i na przykład stwierdzić, że zapomniał wszystko, co wydarzyło się w sobotni wieczór.

- Pani Boothe?

Pstryknęła środkowym palcem w automat telefoniczny i wróciła do samochodu.

- Nie mówiłam ci, że mam na imię Loretta? Wypijesz jeszcze jedno piwo?

- Miałem chwilę czasu, by się nad tym wszystkim zastanowić ... - Jego twarz wyrażała niezdecydowanie. - Po prostu nie wiem, czy chcę się w to mieszać. Rozumie pani, mogę się mylić. Nie przyglądałem się jej tak dokładnie.

Loretta ponownie próbowała dodać mu otuchy, cały czas myśląc: Gdzie, do diabła, podział się Hammond?

Steffi zamarła w bezruchu, kiedy chcąc opuścić biuro, otworzyła drzwi i zobaczyła Hammonda. Właśnie zamierzał zapukać.

- Masz wolną chwilę?

- Prawdę mówiąc, nie. Właśnie ...

- Cokolwiek to jest, może zaczekać. Przychodzę z czymś ważniejszym. - Wepchnął ją z powrotem do biura i zamknął drzwi.

- O co chodzi?

- Usiądź.

Była zaskoczona, ale zrobiła, o co prosił. Hammond zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Właściwie nie wyglądał lepiej niż poprzedniego dnia. Rękę wciąż trzymał na temblaku. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby właśnie wyszedł spod suszarki. Zaciął się przy goleniu. Grudka zaschniętej krwi przypomniała Steffi o wynikach badania, które dostała z laboratorium zaledwie kilka minut temu.

- Wyglądasz na potwornie zmęczonego. Ile kawy wypijeś dziś rano? - spytała.

- Ani kropli.

- Naprawdę? Sprawiasz wrażenie, jakbyś dostał kroplówkę z kofeiny.

Nagle przestał krążyć i stanął po przeciwnej stronie biurka twarzą do Steffi.

- Steffi, to, co nas łączy, nie jest zwyczajną znajomością, prawda?

- Słucham?

- Nie jesteśmy wyłącznie kolegami. Kiedy byliśmy razem, powierzałem ci swoje sekrety. Dzięki dawnemu związkowi nasza znajomość jest trochę bardziej zażyła, zgadza się? - Przez chwilę bacznie jej się przyglądał, potem zaklął i podjął bezskuteczną próbę przyglądzenia włosów. - Boże, to jest straszne.

- Hammondzie, o co chodzi?

- Nim ci powiem, muszę wcześniej coś wyjaśnić.

- Już się z tym pogodziłam, Hammondzie. Nie ma sprawy. Nie potrzebuję mężczyzny, który ...

- To nie to. Nie chodzi o nas. Chodzi o Harveya Piąstkę. To nazwisko padło na biurko jak kamień. Steffi próbowała ukryć zaskoczenie, wiedziała jednak, że zdradził ją wyraz twarzy. Hammond wpatrywał się w nią tak przenikliwie, że nie było sensu zaprzeczać.

- W porządku, a zatem już wiesz. Kazałam mu poszukać poufnych informacji na temat Pettijohna.

- Dlaczego?

Przez chwilę obracała w palcach spinacz do papieru, zastanawiając się, ile powinna Hammondowi wyjawić.

W końcu powiedziała:

- Kilka miesięcy temu Pettijohn zaczął mnie nagabywać.

Początkowo wszystko wyglądało niewinnie. Potem odsłonił karty. Uznał, że oboje moglibyśmy skorzystać, gdybym została prokuratorem okręgowym. Obiecał, że mi w tym pomoże.

- Pod warunkiem?

- Pod warunkiem, że będę miała oczy szeroko otwarte i dam mu znać o wszystkim, co może być dla niego ważne. Na przykład o tajnym dochodzeniu dotyczącym jego interesów.

- Co na to powiedziałaś?

- Obawiam się, że coś, co niezbyt przystoi damie. Odrzuciłam propozycję, ale z czystej ciekawości postanowiłam sprawdzić, co ten facet ukrywa i w czym tkwi po uszy. Na pewno by nie zaszkodziło, gdyby Steffi Mundell przyłapała na czymś największego kanciarza Charlestonu. Skorzystałam więc z usług Harveya. - Wygięła spinacz w kształt litery "S". - Dostałam informacje, których szukałam, i ...

- Wśród partnerów Pettijohna zobaczyłaś nazwisko mojego ojca.

- Tak, Hammondzie - przyznała solennie.

- I nic mi o tym nie powiedziałaś.

- To on popełnił przestępstwo, nie ty. Mimo to nie udało się ukarać Prestona, nie raniąc przy okazji ciebie. Nie chciałam, żeby tak się stało. Wiesz, że zawsze marzyłam o najwyższym stanowisku. Nigdy nie robiłam z tego tajemnicy.

- Ale nie chciałaś zostać prokuratorem okręgowym w nagrodę za przespanie się z Pettijohnem.

Zadrzała.

- Mam nadzieję, że to była tylko przerośnia.

- Tak. Dziękuję za wyjaśnienie.

- Prawdę mówiąc, cieszę się, że ta sprawa wyszła na jaw. Bardzo mnie to gryzło. - Upuściła spinacz. - No dobrze, a teraz powiedz, o co chodzi.

Usiadł naprzeciw niej, zakołysał się na brzegu krzesła, po czym wychylił do przodu.

- To, co ci teraz powiem, musi zostać między nami - powiedział cichym, natarczywym głosem. - Obiecujesz mi to?

- Oczywiście.

- To dobrze. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Alex Ladd nie zabiła Lute' a Pettijohna.

I to miała być ta wielka tajemnica? Po takim wstępie Steffi spodziewała się usłyszeć chwytające za serce wyznanie dotyczące ich romansu albo żarliwe błaganie o wybaczenie. Tymczasem ta szumna zapowiedź zwiastowała jedynie kolejną żalosną petycję o uniewinnienie kochanki.

Steffi poczuła, że ogarnia ją złość, zmusiła się jednak do tego, by rozsiaść się w krześle w zwodniczo spokojnej pozie.

- Wczoraj paliłeś się do tego, żeby przedstawić jej sprawę sądowi przysięgłych. Skąd ta nagła zmiana opinii?

- Wcale nie taka nagła i nigdy się do tego nie paliłem. Przez cały czas czułem, że podejrzewamy nieodpowiednią osobę. Zbyt dużo rzeczy się nie zgadza.

- Trimble ...

- To alfons.

- A ona była jego dziwką - wypaliła Steffi. - Wszystko wskazuje na to, że wciąż nią jest.

- Nie zaczynajmy tej dyskusji od początku, dobrze?

- Zgoda. To stare argumenty. Mam nadzieję, że znalazłeś lepsze.

- To Smilow go zabił.

Mimo woli otworzyła usta. Tym razem naprawdę była niemal pewna, że się przesłyszała.

- Czy to ma być żart?

- Nie.

- Hammondzie, co, na Boga ...

- Posłuchaj mnie przez chwilę - poprosił, unosząc rękę. - Po prostu posłuchaj, a potem, jeśli się ze mną nie zgodzisz, chętnie zapoznam się z twoim punktem widzenia.

- Możesz się nie wysilać. Już teraz jestem pewna, że mój punkt widzenia będzie całkiem inny.

- Proszę.

Kiedy w ostatnią sobotę wieczorem z przekąsem spytała Smilowa, czy przypadkiem nie zamordował swojego byłego szwagra, potraktowała to jako żart, do tego kiepski. Zadała mu to pytanie z czystej złośliwości, pragnąc go sprowokować. Ale Hammond mówił śmiertelnie poważnie.

- W porządku - powiedziała, z przesadą wznosząc ramionami w geście poddania. - Zamieniam się w słuch.

- Zastanów się. Miejsce zbrodni było niemal sterylne. Sam Smilow kilkakrotnie zwrócił uwagę na jego nieskazitelną czystość. Kto lepiej wiedziałby, co należy zrobić, żeby nie zostawić po sobie żadnych śladów, niż inspektor do spraw zabójstw, człowiek, który zarabia na życie, ścigając morderców?

- To słuszne spostrzeżenie, Hammondzie, ale za bardzo naginasz fakty.

Nagina fakty, żeby chronić swoją kochankę. Steffi nie mogła się pogodzić z tym, że Hammond zadaje sobie tyle trudu dla Alex Ladd. Cała ta głupia gadka o zażyłości, powierzaniu sobie sekretów i wyjaśnianiu pewnych spraw to zwyczajne pieprzenie. Hammond próbował wykorzystać Steffi, żeby ratować swoją umiłowaną.

Miała ochotę mu powiedzieć, że wie o jego zakazanym romansie, ale to byłoby zbyt gwałtowne i głupie posunięcie. Co prawda, z ogromną przyjemnością by go upokorzyła, gotowa była jednak zrezygnować z tej miłej chwili, byle zyskać przewagę w dalszej rozgrywce. Wiedzę o związku Hammonda z podejrzaną traktowała jako kartę atutową. Zbyt wczesne wyłożenie jej na stół mogłoby osłabić efekt.

Na razie im więcej on powie, tym skuteczniejszą bronią przeciw niemu ona będzie dysponować. Bezwiednie wręczał jej w prezencie stanowisko prokuratora okręgowego. Zachowanie twarzy pokerzysty wymagało sporego opanowania.

- Zakładam, że na poparcie swoich podejrzeń masz coś więcej niż tylko brak jakichkolwiek dowodów - zagaiła. - Smilow nienawidził Pettijohna.

- Ustaliliśmy już, że Lute'a nienawidziło wielu ludzi.

- Ale nie do tego stopnia co Smilow. Niejednokrotnie się zarzekał, że zabije Pettijohna za to, iż unieszczęśliwił Margaret. Wiem z pewnego źródła, że raz zaatakował Lute' a i byłby go zabił na miejscu, gdyby nie interwencja osób trzecich.

- Kto ci to powiedział, tajemniczy informator?

Niezbyt rozbawiony tym żartem, odparł sztywno:

- Można to tak określić. Na razie trzymam to w tajemnicy.

- Hammondzie, jesteś pewien, że osobista niechęć do Smilowa nie ma żadnego wpływu na tok twojego rozumowania?

- To prawda, że go nie lubię. Ale nigdy nie groziłem, że go zabiję. Nie obiecywałem również, że zamorduję Lute'a Pettijohna.

- Nawet w ataku szału? W napadzie złości? Daj spokój, Hammondzie. Nikt nie traktuje poważnie takich gróźb.

- Smilow często wpada na drinka do baru w westybulu Charrles Towne Plaza.

- Tak samo jak setki innych ludzi. Prawdę mówiąc, my też to robimy.

- Korzysta tam z usług pucybuta.

- Och, korzysta z usług pucybuta?! - zawołała, uderzając dłońmi o brzeg biurka. - Do diabła, właśnie mamy dymiący rewolwer!

- Nie urazisz mnie w ten sposób, Steffi. Tym bardziej że moim następnym punktem jest broń.

- Broń mordercy?

- Smilow ma dostęp do różnych rewolwerów. Prawdopodobnie przynajmniej połowa z nich nigdy nie została zarejestrowana i trudno wpaść na ich ślad.

To był pierwszy punkt, nad którym Steffi zaczęła poważnie się zastanawiać. Z jej twarzy zniknęła drwiący uśmiech. Wyprostowała się.

- Masz na myśli broń ...

- Z magazynu dowodów. Konfiskuje się ją podczas nalotów na handlarzy narkotykami. Odbiera aresztowanym. Potem jest tam trzymana aż do procesu albo po prostu czeka na sprzedaż lub zniszczenie.

- W magazynie zapisują każdy przyjęty egzemplarz.

- Smilow wiedziałby, jak obejść ten biurokratyczny wymóg. Mógł skorzystać z jakiegoś rewolweru, a potem dokonać podmiany. Może po prostu go wyrzucił. Nikt nie zauważyłby braku. Albo wziął broń, która nie trafiła jeszcze do magazynu. Istnieje mnóstwo możliwości.

- Wiem, o co ci chodzi - przyznała w zamyśleniu, ale po chwili potrząsnęła głową. - Niemniej nadal naginasz fakty, Hammondzie. Nie mamy broni, która pozwoliłaby nam dowieść, że Alex Ladd zastrzeliła

Pettijohna, nie mamy również jak udowodnić, że dokonał tego Smilow.

Westchnął, wbił wzrok w podłogę, a potem ponownie spojrzął na siedzącą po drugiej stronie biurka Steffi.

- Mam coś jeszcze. Kolejny motyw, może nawet bardziej przekonujący niż zemsta za samobójstwo siostry.

- Co to jest?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Jak to? Dlaczego?

- Ponieważ wówczas naruszyłbym prywatność innej osoby.

- Czy to nie ty niecałe pięć minut temu wygłosiłeś kwiecistą mowę na temat naszej zażyłej znajomości i wzajemnego zaufania?

- Nie chodzi o to, Steffi, że ci nie ufam. Ale pewna osoba zawierzyła mi swój sekret. Nie mogę go zdradzić.

Nie zrobię tego, chyba że ta informacja będzie miała istotne znaczenie dla sprawy.

- Jakiej sprawy? - spytała z kpiną. - Przecież nie ma żadnej sprawy.

- Sądzę, że jest.

- Naprawdę masz zamiar pójść tym tropem?

- Wiem, że to nie będzie łatwe. Smilow nie jest lubianym pracownikiem komendy policji, ale koledzy boją się go i szanują. Niewątpliwie napotkam pewien opór.

- "Opór" to dość łagodne określenie, Hammondzie. Gdy prowadzi się dochodzenie dotyczące jednego z pracowników komendy, nigdy nie można liczyć na współpracę innych gliniarzy.

- Jestem świadom, że natrafię na rozmaite przeszkody. Wiem, ile mnie to będzie kosztowało. Jednak jestem zdecydowany podjąć to ryzyko. Może to uznasz za wskazówkę, jak bardzo wierzę, iż mam słuszość.

Albo jaki jesteś zaślepiiony w stosunku do swojej nowej kochanki - pomyślała.

- A co z Alex Ladd i sprawą, którą mamy wytoczyć przeciw niej? Nie możesz jej tak po prostu skreślić, sprawić, by zniknęła.

- Nie. Gdybym to zrobił, Smilow wyczułby pismo nosem. Mam zamiar nadal podążać tą ścieżką. Ale nawet jeśli sąd przysięgłych postawi ją w stan oskarżenia, nie uda nam się jej skazać. To niemożliwe - stwierdził z uporem, widząc, że Steffi ma zamiar zaprotestować. - Trimble jest wazeliniarzem. Przysięgli szybko się zorientują, jaki człowiek ukrywa się za tą elegancką fasadą. Dojdą do wniosku, że złożył zeznanie, chcąc ratować własny tyłek, i będą mieli rację. Poza tym doktor Ladd wielokrotnie zdecydowanie powtarzała, że nie zabiła Pettijohna.

- To przecież oczywiste, że będzie zaprzeczać. Wszyscy zaprzeczają.

- Ale ona jest inna - mruknął.

Mimo świadomości, że Hammond ma romans z Alex Ladd, Steffi była zaniepokojona jego niezachwianym dążeniem do ochrania ukochanej. Przez chwilę bacznie mu się przyglądała, nawet nie próbując ukryć frustracji.

- To już wszystko?

- Prawdę mówiąc, nie. Wczoraj wieczorem sprawdziłem różne rzeczy, ale jeszcze nie jestem wszystkiego pewien.

- Jakie rzeczy?

- Nie chcę teraz na ten temat rozmawiać, Steffi. Najpierw muszę się upewnić, czy dobrze rozumię. To dość niepewna sytuacja.

- Do jasnej cholery, masz rację - przyznała ze złością. - Jeśli nie zamierzasz powiedzieć mi wszystkiego, co wiesz, po co w ogóle zaczynałeś tę rozmowę? Czego właściwie ode mnie oczekujesz?

Ostatnią osobą, jakiej Davee Pettijohn spodziewała się tego ranka, była kobieta podejrzana o to, że zrobiła z niej wdowę.

- Dziękuję za to, że zgodziła się pani ze mną spotkać. Sarah Birch wprowadziła Alex Ladd do saloniku, w którym Davee piła kawę. Nawet gdyby gospodyni nie zaanonsowała przybyłej, Davee i tak by ją rozpoznała. Dopiero co widziała zdjęcie pani doktor na pierwszej stronie porannej gazety, poza tym przed niemiłym potajemnym spotkaniem ze Smilowem oglądała ostatnie wieczorne wiadomości.

- Przyjmuję panią bardziej z ciekawości niż z uprzejmości, doktor Ladd - przyznała szczerze. - Proszę usiąść. Napije się pani kawy?

- Chętnie.

Czekając, aż Sarah Birch wróci z dodatkową filiżanką, obie kobiety siedziały w milczeniu, oceniając się nawzajem. Davee uznała, że kamery telewizyjne i zdjęcia w gazetach nie oddały w pełni urody Alex.

Alex podziękowała gospodyni za kawę, upiła łyk, po czym powiedziała:

- W ubiegłą sobotę po południu spotkałam się z pani mężem w jego hotelowym apartamencie. - W skazała na porozrzucane dookoła poranne gazety. - Te relacje delikatnie sugerują, że pana Pettijohna i mnie coś łączyło.

Davee uśmiechnęła się z lekką drwiną.

- No cóż, zawsze dbał o swoją reputację.

- Ale to nieprawda. Nie ma żadnych podstaw do takich wniosków. Chociaż prawdopodobnie myśli pani, że kłamię, skoro przeciwko mnie zeznaje nawet mój przyrodni brat.

- O nim też czytałam. Na podstawie artykułów prasowych można dojść do wniosku, że Bobby Trimble to prawdziwy dupek.

- Pochlebia mu pani.

Davee roześmiała się, ale obserwując twarz rozmówczynie, zdała sobie sprawę, że ten temat nie jest dla niej miły.

- Miała pani ciężkie dzieciństwo?

- Na szczęście to już przeszłość.

Davee przytaknęła.

- Sądzę, że wszyscy wynieśliśmy z dzieciństwa pewne blizny.

- Niektóre z nich są lepiej widoczne, inne mniej - przyznała Alex. - W swojej pracy przekonałam się, jak sprytnie ludzie potrafią je ukrywać. Nawet przed sobą.

Davee przyglądała się jej przez dłuższą chwilę.

- Nie jest pani taka, jak myślałam. Sądząc po tym, jak odmalowano panią w gazetach, wydawało mi się, że jest pani ... prostytutką. Osobą silniejszą. Przebieglejszą. Nawet nikczemną. - Ponownie się roześmiała. - Myślałam, że jest pani bardziej podobna do mnie.

- Mam swoje wady. Sporo wad. Ale przysięgam, że z pani mężem spotkałam się tylko raz. W ubiegłą sobotę. Jak się okazało, wkrótce potem został zamordowany. Ale to nie ja go zabiłam, nie poszłam też do niego, żeby się z nim przespać. Bardzo zależy mi na tym, żeby pani to wiedziała.

- Jestem skłonna w to uwierzyć - wyznała Davee. - Przychodząc tutaj i mówiąc mi to, niczego pani nie zyskała. Co więcej ... tylko proszę się o to nie obrażać ... nie jest pani w typie mojego drogiego zmarłego męża.

Słyszając to, Alex się uśmiechnęła, zapytała jednak, szczerze zaciekawiona:

- Dlaczego nie jestem w jego typie?

- Fizycznie sprostałaby pani stawianym przezeń wymaganiom. O to również proszę się nie obrażać. Lute przeleciałby każdą, byle miała ciepłe ciało. Chociaż kto wie? Czasami może nawet i to nie było konieczne. Lubił jednak, by kochanki darzyły go szacunkiem. Powinny być uległe i głupie. Ciche, no, może tylko nie podczas orgazmu. Pani nie przypadłaby mu go gustu, ponieważ jest pani zbyt pewna siebie i bystra.

Dolała sobie kawy ze srebrnego dzbanuszką, a potem z pluskiem wrzuciła do filiżanki dwie kostki cukru.

- Do pani wiadomości, doktor Ladd: pewni ludzie, którzy oskarżają panią o zamordowanie Lute' a, sami nie bardzo w to wierzą.

Wyraźnie zaskoczona, Alex wybuchnęła:

- Rozmawiała pani z Hammondem?

- Nie. To nie ... - Davee nagle doznała olśnienia i urwała w środku zdania. - Z Hammondem? Jest pani na ty z człowiekiem, który ma panią oskarżać o popełnienie morderstwa?

Wyraźnie podenerwowana, Alex odstawiła filiżankę na stolik.

Mam nadzieję, że przychodząc tutaj, zbytnio się pani nie narzuciłam, pani Pettijohn. Nie byłam pewna, czy w ogóle zgodzi się pani ze mną spotkać. Dziękuję za ...

Davee powstrzymała tę paplaninę, pokonując dzielącą je odległość i kładąc rękę na ramieniu gościa. Po chwili Alex podniosła głowę i spojrzała na Davee z milczącą godnością. Porozumiewały się na wielu różnych poziomach. Padł ostatni bastion. Obie przejrzały, zrozumiały, zaakceptowały.

Patrząc rozmówczyni głęboko w oczy, Davee stwierdziła łagodnie:

- To związek z panią jest nie tylko skomplikowany, ale wręcz niedozwolony.

Alex otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale Davee ją ubiegła.

- Nie, proszę niczego mi nie mówić. To by przypominało zagłądanie na ostatnią stronę kryminału. Niemniej z niecierpliwością będę czekać na chwilę, w której się dowiem, w jaki sposób wpakowaliście się w te tarapaty. Mam nadzieję, że okoliczności waszego spotkania były naprawdę wyjątkowe. Hammond zasługuje na coś takiego.

- Potem uśmiechnęła się smutno. - Biedny Hammond. Musi stać przed cholernym dylematem.

- Rzeczywiście przeżywa ogromne rozterki.
- Czy mogę coś zrobić?
- Możliwe, że wkrótce będzie potrzebował przyjaciół. Proszę być jego przyjaciółką.
- Jestem nią.
- Tak mi powiedział. - Alex zarzuciła pasek torebki na ramię. - Muszę już iść.

Davee nie wezwała gospodyni, lecz sama odprowadziła gościa do frontowych drzwi.

- Nie powiedziała pani ani słowa na temat mojego domu zauważyła, gdy przechodziły przez foyer. -

Większość ludzi robi to podczas pierwszych odwiedzin. Co pani sądzi?

Alex szybko się rozejrzała.

- Szczerze?
- Sama pytałam.
- Ma pani kilka ładnych rzeczy. Ale jak na mój gust, całość jest trochę przeładowana.
- Chyba pani żartuje! - Davee zachichotała. - Jest krzykliwa jak wszyscy diabli. Teraz, kiedy Lute nie żyje,

mam zamiar wprowadzić tu pewne zmiany.

Uśmiechnęły się do siebie. Davee bardzo rzadko się zdarzało, by czuła sympatię do innej kobiety. Z charakterystyczną dla siebie szczerością wyznała:

- Nie obchodzi mnie, czy spałaś z Lute'em, czy nie. Lubię cię, Alex.
- Ja też cię lubię.

Gdy Alex dotarła do połowy ścieżki prowadzącej do bramy, Davee zawołała:

- Byłaś u Lute'a tuż przed jego śmiercią?!
- Tak.

- Hmm. Morderca może myśleć, że coś ukrywasz. Że coś widziałaś albo słyszałaś. A słyszałaś coś albo widziałaś? - spytała bezceremonialnie.

- Czy nie powinnyśmy zostawić tego pytania policji?

Gdy Alex znalazła się za frontową bramą, Davee zamknęła drzwi i odwróciła się. Tuż za nią stała Sarah Birch.

- Co z tobą, dziecinko? - Wyciągnęła rękę i wygładziła zmarszczki przecinające czoło Davee.
- Nic, Sarah - mruknęła bezwiednie. - Nic.

Rozdział trzydziesty szósty

Wczesnym rankiem, przed wyjściem do biura i rozmową ze Steffi, Hammond sprawdził automatyczną sekretarkę. Odpowiedział tylko na jeden telefon.

- Loretto, tu Hammond. Twoja wiadomość dotarła do mnie dopiero dziś rano. Przepraszam, że wczoraj wieczorem tak cię wkurzyłem. Twoje wiadomości przesyłane na pager potraktowałem jako pomyłkę. Hm ... posłuchaj, jestem ci wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłaś, ale, prawdę mówiąc, wcale nie chcę sprowadzać tu tego faceta, z którym rozmawiałaś w wesołym miasteczku. Przynajmniej nie teraz. Uwierz mi, mam swoje powody. Później wszystko ci wytłumaczę. Na razie odłóż tę sprawę na później. Gdyby okazało się, że ten człowiek jest mi potrzebny, dam ci znać. Jeśli nie, to po prostu ... Sądzę, że powinnaś ... Chcę powiedzieć, że możesz poszukać sobie innej roboty. Jeżeli będę cię potrzebował, dam ci znać. Jeszcze raz dziękuję. Jesteś najlepsza. Do widzenia. Jeszcze jedno, wysłałam ci czek na pokrycie wydatków z wczorajszego dnia i wieczoru. Przeszłaś samą siebie. Cześć.

Bev Boothe dwukrotnie przeszłuchała to nagranie, a potem długo wpatrywała się w telefon i delikatnie stuknęła palcami po numerkach, zastanawiając się, co zrobić z tą wiadomością zostawić ją czy skasować.

Chętnie powiedziałaaby panu Crossowi coś bardzo niecenzuralnego.

Była zmęczona i zła. W nocy ktoś stuknął jej samochód stojący na parkingu dla personelu. Każdego ranka po dwunastogodzinnej nocnej zmianie czuła tępy ból w krzyżu.

Najbardziej jednak martwiła się o matkę. Sypialnia Loretty była pusta, a nietknięte łóżko świadczyło o tym, że nikt z niego nie korzystał. Gdzie matka była przez całą noc i co teraz robi? Bev przypomniała sobie, że gdy poprzedniego wieczoru wychodziła do szpitala, Loretta sprawiała wrażenie zaabsorbowanej i przygnębionej.

Z wiadomości telefonicznej można było wywnioskować, że przynajmniej znaczną część nocy Loretta spędziła gdzieś w terenie, wykonując brudną robotę dla pana prokuratora. Ze słów tego drania wynikało, iż nie bardzo doceniał jej wysiłki.

Bev ze złością nacisnęła trójkę i skasowała wiadomość.

Gdy pięć minut później wychodziła spod prysznicza, usłyszała głos matki.

- Bev, jestem w domu!

Chwyliła ręcznik i owinęła się nim. Zostawiając za sobą mokre ślady, dotarła do sypialni matki. Loretta siedziała na brzegu łóżka i zdejmowała sandaalki, które zostawiły na jej opuchniętych nogach czerwone pręgi.

- Martwiłam się o ciebie, mam! - zawołała Bev, dokładając wszelkich starań, żeby w jej głosie nie było słyhać zaskoczenia i ulgi, że matka jest trzeźwa, chociaż wyglądała na okropnie zmęczoną. - Gdzie byłaś?

- To długa historia, która może poczekać, aż obie trochę odpoczniemy. Jestem skonana. Czy po przyjsciu sprawdzałaś automatyczną sekretarkę? Były na niej może jakieś wiadomości?

Bev wahała się tylko ułamek sekundy.

- Nie, mamusiu. Nie.

- Trudno mi w to uwierzyć - wymamrotała Loretta, zdejmując sukienkę. - Uchodziłam sobie nogi, tymczasem Hammond zniknął.

Rozebrała się do bielizny, naciągnęła na siebie kołdrę. Nim dotknęła głową poduszki, już niemal spała.

Bev wróciła do swojego pokoju, włożyła nocną koszulę, włączyła budzik, przestawiła termostat na niższą temperaturę i weszła do łóżka.

Tym razem Loretta była trzeźwa. Ale czy tak będzie zawsze?

Bardzo się starała wytrwać przy swoim słabym postanowieniu zachowania trzeźwości. Potrzebowała ciągłego wsparcia i zachęty. Musiała czuć się potrzebna i użyteczna.

Nim Bev zapadła w sen, przypomniała sobie, że pan Hammond Cross ma zamiar zwolnić jej matkę z pracy, której tak rozpaczliwie potrzebowała. W takim razie, do jasnej cholery, niech przynajmniej zrobi to osobiście, a nie za pośrednictwem beznadziejnej automatycznej sekretarki.

- Co to takiego?

Rory Smilow oderwał wzrok od szarej koperty, którą Steffi właśnie rzuciła na zaśmiecone biurko. Gdy Hammond opuścił jej biuro, niezwłocznie udała się na komendę policji. Zastała inspektora w dużym biurze wydziału kryminalnego.

Nie czuła żadnych wyrzutów sumienia, informując Smilowa o swoim ostatnim odkryciu. Nawet przez myśl jej nie przeszło, by zachować lojalność w stosunku do byłego kochanka. Nie zamierzała również przejmować się obietnicą, że nikomu nie zdradzi treści rozmowy z Hammondem. Teraz pracowała już tylko z myślą o sobie.

- To wynik badania laboratoryjnego. - Wzięła kopertę i przycisnęła ją do piersi, jakby to było jej ukochane dziecko. - Możemy porozmawiać w twoim biurze?

Smilow wstał i kiwnięciem głowy wskazał kierunek. Gdy kluczyli wśród labiryntu biurek, inspektor Mike Collins przywitał Steffi śpiwnym głosem:

- Dzień dobry, pani Mundell.

- Witaj, Collins.

Lekceważąc śmiechy i gwizdy, poszła za Smilowem do jego prywatnego biura. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, spytał, co jest grane.

- Pamiętasz plamy krwi na pościeli Alex Ladd?

- Skaleczyła się, goląc nogi.

- Nie. Zresztą może rzeczywiście się skaleczyła, ale krew na pościeli nie należała do niej. Kazałam oznaczyć grupę krwi i porównać ją z inną próbką. Pasują do siebie.

- A ta druga próbka ... ?

- To krew Hammonda.

Smilow wydawał się kompletnie nie przygotowany na to, co usłyszał. Zaniemówił.

- Tej nocy, kiedy został napadnięty - wyjaśniła - stracił dużo krwi. Sądzę, że nawet bardzo dużo. Następnego ranka pojawiłam się u niego dość wcześnie, aby mu powiedzieć, że aresztowano Trimble'a. Hammond zachowywał się dość dziwnie. Wy tłumaczyłam to sobie faktem, że ma za sobą ciężką noc i zażywa jakieś lekarstwa. Ale to było coś więcej. Czułam, że Hammond kłamie, pragnąc ukryć jakiś wstydlivy sekret. Tak czy inaczej, działając pod wpływem impulsu, przed wyjściem wykradłam z jego łazienki zakrwawioną ściereczkę.

- Co cię do tego skłoniło? Czemu porównałaś tę krew z plamą na pościeli doktor Ladd?

- Ponieważ Hammond w jej obecności dziwnie się zachowuje! - zawołała Steffi, rozkładając ręce. - Jakby chciał ją zjeść. Ty też to wyczułeś, Smilow. Wiem, że to wyczułeś.

Potaął dłonią kark i powiedział coś, czego Steffi najmniej się spodziewała:

- O Jezu, jestem zażenowany.

- Zażenowany?

- Sam powinienem do tego dojść. Dawno temu. Masz rację, rzeczywiście czułem, że coś się między nimi dzieje. Nie potrafiłem tylko powiedzieć co. To wszystko wydaje się tak nieprawdopodobne, że nawet nie pomyślałem o pociągu fizycznym.

- Nie miej o to do siebie pretensji, Smilow. W tych sprawach kobiety obdarzone są dużo lepszą intuicją.

- Masz nade mną jeszcze jedną przewagę.

- Jaka?

- Ja nigdy nie spałem z Hammondem.

Uśmiechnął się drwiąco, ale Steffi nie dostrzegła w tym stwierdzeniu niczego śmiesznego.

- No cóż, naprawdę nie ma znaczenia, kto i kiedy coś wyczuł ani kto pierwszy się zorientował, co ich łączy. Liczy się tylko to, że Hammond przespał się z Alex Ladd, chociaż był w tym czasie oskarżycielem w sprawie kryminalnej, w której ta kobieta jest główną podejrzaną. - Podniosła kopertę jak skalp albo jakieś inne trofeum wojenne. - Teraz możemy tego dowieść.

- Za pomocą nielegalnie zdobytego dowodu?

- To drobiazg techniczny - stwierdziła ze wzruszeniem ramion. - Na razie przyjrzyjmy się ogólnej sytuacji. Hammond tkwi w tym po uszy. Pamiętasz to kiepskie kłamstewko, kiedy pytałeś, kto wyważył zamek w jej tylnych drzwiach? Przypuszczam, że to Hammond. Włamał się do jej domu ...

- W jakim celu? By wynieść srebra?

Zmarszczyła czoło, słysząc, że Smilow stroi sobie żarty.

- Spotkali się wcześniej. Nim zaczęliśmy ją podejrzewać. Potem udawali, że się nie znają. Musieli jednak uzgodnić zeznania, dlatego Hammond poszedł się z nią zobaczyć ... Poczekał, to się wydarzyło we wtorkowy wieczór, po tym, jak przyłapaliśmy ją na kilku łgarstwach. Nie mógł podejść do frontowych drzwi i skorzystać z dzwonka, więc się do niej włamał. Wyważając zamek, skaleczył się w kciuk. To dlatego zaplamił pościel. Pamiętam, że następnego dnia miał opatrunek. Podejrzewam, że Alex była z nim również tej nocy, kiedy został napadnięty. Gdy go spytałam, jakiego wezwał lekarza i dlaczego nie zgłosił się na pogotowie, udzielił mi bardzo

wymijającej odpowiedzi. Wymyślił jakieś mało prawdopodobne wyjaśnienie.

Smilow wciąż patrzył na Steffi z dużą dozą sceptycyzmu.

- Znam go, Smilow - zapewniła zdecydowanie. - Praktycznie z nim mieszkałam. Poznałam jego obyczaje. Jest stosunkowo schludny, ale w końcu to facet. Rozrzuca wszystko dookoła, póki coś go nie zmusi do zrobienia porządku, albo czeka, by posprzątała po nim przychodząca co tydzień dziewczyna. Tego ranka po napadzie koszmarne się czuł, ale wiesz, co zrobił? Pościelił łóżko. Teraz już rozumiem dlaczego. Nie chciał, żebym zauważyła, że ktoś obok niego spał.

- Nie wiem, Steffi - powiedział Smilow, z powątpiewaniem marszcząc czoło. - Chociaż bardzo bym chciał, żeby nasz harcerzyk oberwał nieco po głowie, jakoś nie mogę uwierzyć, by Hammond Cross mógł zrobić coś tak kompromitującego. Czy rozmawiałaś z nim na ten temat?

- Nie, ale raz po raz zakładałam przynętę. Delikatnie. Z uporem. Aż do dzisiejszego ranka, dopóki nie dostałam wyników z laboratorium, było to tylko przeczucie.

- Grupa krwi nie stanowi żadnego dowodu.

- Jeśli trzeba będzie to udowodnić, można przeprowadzić test na DNA.

- Jeśli masz rację ... a przyznaję, że twoja opowieść brzmi sensownie ... to by wyjaśniało wczorajszą reakcję Hammonda na zeznania Bobby'ego Trimble'a.

- Hammond nie chciał słyszeć, że Alex Ladd jest prostytutką.

- Była.

- Na temat czasu można dyskutować. W każdym razie to dlatego tak protestował przeciwko wykorzystaniu zeznania Trimble'a. - Kiedy Smilow jeszcze bardziej zmarszczył czoło, spytała: - O co chodzi?

- Pod tym względem jestem skłonny się z nim zgodzić. Hammond ma sporo racji. Trimble jest tak odrażającym typkiem, że może wzbudzić sympatię do doktor Ladd. Ona jest szanowaną panią psycholog. On - narkomanem i męską prostytutką, na dodatek uważa, że dostał od Boga specjalny dar uszczęśliwiania kobiet. Ten facet może bardziej zaszkodzić naszej sprawie niż jej pomóc, zwłaszcza gdyby w ławie przysięgłych zasiadła większość pań. Byłoby lepiej, gdyby Bobby Trimble w ogóle się nie pojawił.

- Jeśli Hammond postawi na swoim, nie będzie żadnej sprawy przeciw Alex Ladd. Przynajmniej nigdy nie dojdzie do rozprawy sądowej.

- Ta decyzja całkowicie należy do niego. Czyżby planował...

- Ma zamiar o morderstwo Pettijohna oskarżyć kogoś innego.

- Co takiego?!

- Nie słuchałeś, Smilow. Przez cały czas próbuję ci powiedzieć, że Hammond robi wszystko, by obronić swoją kochankę. Nie chciał mi zdradzić, jakie ma dowody, mimo to poprosił mnie o współpracę i pomoc w zrzuceniu winy na kogoś innego. Kogoś, kto miał motyw i możliwości. Kogoś, czyj upadek chętnie by zobaczył. - Steffi rozkoszowała się chwilą, nim w końcu dodała: - Zgadnij, kogo ma na myśli?

- Hammondzie, szukałem cię przez cały ranek.

- Cześć, Monroe.

Hammond odebrał wiadomość, że Mason go szuka, miał jednak nadzieję, że uda mu się przed nim uciec. Nie miał czasu nawet na bardzo krótkie spotkanie.

- Byłem potwornie zajęty. Prawdę mówiąc, właśnie wychodzę.

- W takim razie nie będę cię zatrzymywał.

- Dzięki - rzucił Hammond, kierując się w stronę wyjścia. - Skontaktuję się z tobą później.

- Tylko załatw wszystko tak, żeby dziś o siedemnastej mieć trochę wolnego czasu.

Hammond zatrzymał się i obrócił.

- Dlaczego?

- Zwołałem konferencję prasową. Wszystkie lokalne stacje będą nadawać ją na żywo.

- Dzisiaj? O siedemnastej?

- W ratuszu. Postanowiłem formalnie ogłosić, że przechodzę na emeryturę, i wyznaczyć następcę. Nie widzę powodu, by to nadal odkładać. Zresztą wszyscy już o tym wiedzą. Podczas listopadowych wyborów twoje nazwisko będzie na karcie do głosowania. - Uśmiechnął się do swojego protegowanego i uroczyście odchylił do tyłu.

Hammond czuł się tak, jakby wrzucono go na głęboką wodę głową w dół.

- Nie ... nie wiem, co powiedzieć - dukał.

- Niczego nie musisz mówić! - huknął Mason. - Zachowaj swoje uwagi na dzisiejsze popołudnie.

- Ale ...

- Zawiadomiłem twojego ojca. On i Amelia mają zamiar tam być.

Chryste!

- Wiesz, Monroe, że tkwię po uszy w sprawie o morderstwo Pettijohna.

- Czy można znaleźć lepszy moment? Już teraz uwaga opinii publicznej skierowana jest na ciebie. To wspaniała okazja, by wyrobić sobie w charlestońskim światku nazwisko.

To stwierdzenie nawiązywało do nie dawnej rozmowy. Hammond zamknął na chwilę oczy i potrząsnął głową.

- Tata cię do tego namówił, prawda?

Mason zachichotał.

- Wczoraj wieczorem postawił w klubie kilka kolejek. Nie muszę ci chyba mówić, że potrafi być naprawdę przekonujący.

- Nie, nie musisz mi tego mówić - mruknął Hammond ze złością.

Preston nigdy nie siedział spokojnie i nie czekał, aż karty same wpadną mu do ręki. Swoim filantropijnym występem na wyspie Speckle rozbroił Hammonda i praktycznie zapewnił sobie, że nie będzie odpowiadał za żadne popełnione tam przestępstwo. Jednak na wypadek, gdyby Hammond nadal chciał go ścigać, podniósł stawkę i

zwiększył presję.

- Posłuchaj, Monroe, muszę już iść. Mam dzisiaj bardzo dużo do zrobienia.
- Świetnie. Po prostu pamiętaj o siedemnastej.
- Nie obawiaj się. Nie zapomnę.

Rozdział trzydziesty siódmy

Loretta poruszyła stopami zanurzonymi w miedniczce z zimną wodą. Moczyła je prawie od pół godziny.

Bev pokonała korytarz, ziewając i przeciągając się.

- Już wstałaś, mamó? Nie spałaś zbyt długo.

- Mam za dużo na głowie - wyjaśniła niemal automatycznie Loretta. Potem spojrzała na Bev i spytała: - Czy na pewno rano sprawdziłaś wiadomości zostawione na automatycznej sekretarce? Mam nadzieję, że się nie zepsuła.

- Nic jej się nie stało, mamó. - Bev odwróciła się, dręczona poczuciem winy. - Rzeczywiście była wiadomość od pana Crosssa. Po prostu nie chciałam ci jej przekazywać.

- Dlaczego? Co powiedział?

- Powiedział, żebyś się nie przejmowała facetem z wesołego miasteczka.

Loretta spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Jesteś pewna?

- Wydawało mi się, że mówił o wesołym miasteczku.

- Nie, czy jesteś pewna, że mam się nim nie przejmować?

- Tego akurat jestem pewna. Wkurzył mnie. Włożyłaś w to tyle pracy ... Ostrożnie, mamó, rozlewasz wodę na podłogę.

Loretta już stała i trzymała się pod boki.

- Czy on zwariował?!

Bobby Trimble w ogóle nie brał pod uwagę, że znajdzie się w areszcie. Za kratkami śmierdzi. Areszt jest miejscem dla nieudaczników. Może dla dawnego Bobby'ego, ale nie dla eleganckiego faceta, jakim się stał.

Tę noc spędził w celi z pijakiem, który przez cały czas z równym zapałem chrapał i puszczał bąki. Bobby'emu obiecano, że zaraz rano wyjdzie na wolność, gdy tylko oddalony zostanie wniesiony przeciw niemu pozew. Taką umowę zawarł z inspektorem Smilowem i tą suką z biura prokuratora okręgowego - najwyżej jedna noc w areszcie.

Kiedy jednak nastał ranek, nikomu się nie spieszyło. Podano śniadanie. Czując zapach jedzenia, jego towarzysz z celi stoczył się z piętrowego łóżka i z trudem zdążył dotrzeć do otwartego sedesu, do którego później przez pięć minut wymiotował. Kiedy w końcu opróżnił żołądek, wdrapał się na swoje wyrko i ponownie zasnął, wcześniej jednak potknął się o Bobby'ego i zabrudził mu ubranie, tak że teraz obaj śmierdzieli wymiocinami.

Oczywiście Bobby nie mógł puścić tego płazem. Często i głośno dawał wyraz niezadowoleniu. Rzucił gromy i wrzeszczał, ale wszystko na nic. Krążył więc niespokojnie po celi. Z godziny na godzinę ogarniał go coraz większy strach. Czarno patrzył na świat i planował zemstę.

Wyglądało na to, że nie zdołał się wykupić.

Od śmierci Pettijohna wszystko zaczęło się pieprzyć. Tego nie było w planach. Bobby nie należał do świętych, ale też wcale nie chciał, by oskarżono go o morderstwo. By wyjść z tego bez szwanku, wystarczyło skierować uwagę na Alex, która przecież ... kto wie? .. naprawdę mogła być winna. Dlatego to zrobił. Niestety, do czasu rozprawy stracił swobodę ruchu. Póki jego siostra nie zostanie skazana, musiał pozostać do dyspozycji władz miasta. Żadnych imprez. Żadnych kobiet. Żadnych narkotyków. Żadnych przyjemności.

Wbrew oczekiwaniom nie był też bogatszy o sto tysięcy dolarów. Nie odebrał pieniędzy pochodzących z szantażu. Trudno powiedzieć, czy Pettijohn przekazał Alex gotówkę, czy nie, ale była to sprawa sporna. Tak czy inaczej, Bobby tej forsy nie miał.

Jego przyszłość wyglądała ponuro i niepewnie. Co do jednego tylko nie było żadnych wątpliwości - póki siedzi za kratkami, nigdzie nie pójdzie.

Zwłóknął się ze swojej pryczy i podszedł do prętów.

- Czemu to tak długo trwa?

Zignorowano jego pytanie. Strażnicy byli nieczuli na żądania.

- Zrozum. Nie jestem zwyczajnym więźniem - wyjaśnił przechodzącemu obok celi dozorczy. - Nie powinno mnie tu już być.

- Chciałbym mieć tyle pięciocentówek, ile razy to słyszałem, Bobby.

Gwałtownie spojrzął w bok. Przybysz prowadzony przez następnego strażnika miał na sobie przewiewny letni garnitur i krawat. Był starannie ogolony, mimo to wyglądał mizernie, może dlatego, że prawe ramię trzymał na temblaku. Przedstawił się jako Hammond Cross.

- Słyszałem o panu. Jest pan z biura prokuratora okręgowego, prawda?

- Specjalny asystent prokuratora okręgu charlestońskiego.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdził Bobby, modulując głos. - Prawdę mówiąc, dla mnie mógłby pan być nawet wędrownym druciarzem, wystarczy, że przyszedł pan, by mnie stąd zabrać.

- Taka była umowa, prawda?

Cross był wytwornym facetem. Bobby z miejsca mu pozazdrościł nienagannych manier.

Prokurator machnął ręką. Strażnik wypuścił Bobby'ego z celi i wprowadził go do pomieszczenia, w którym więźniowie rozmawiali ze swoimi adwokatami.

- Nie traktuję tego jako zwolnienia, panie Cross. Wczoraj zawarłem umowę. A może wolał pan o niej zapomnieć?

- Wiem o umowie, Bobby.

- No cóż, to świetnie! W takim razie niech pan zrobi, co trzeba, by puścić tryby w ruch.

- Wcześniej musimy porozmawiać.

- Jeśli mam z panem rozmawiać, żądam obecności prawnika.

- Ja jestem prawnikiem.

- Ale ...

- Siadaj i zamknij się, Bobby.

Hammond Cross był wysportowany, ale nikt nie uznałby go za osiłka. Poza tym, chodząc, utykał. Bobby arogancko wzruszył ramionami.

- Ostre słowa jak na człowieka z ręką na temblaku.

Cross popatrzył na niego z chłodem godnym Smilowa. Nawet jeśli to spojrzenie nie przstraszyło Bobby'ego, wyraźnie go zaniepokoiło, dlatego usiadł. Zerknął wilkiem na Crossa.

- W porządku, siedzę. O co chodzi?

- Prawdopodobnie nawet nie zdajesz sobie sprawy, z jak ogromną przyjemnością bym ci wpieprzył.

Bobby oniemiał.

Wargi Crossa ledwo się poruszyły, głos był łagodny, ale w jego stwierdzeniu kryła się taka wrogość, że Bobby poczuł, jak na karku stają mu wszystkie włoski. Na domiar złego napięte mięśnie Crossa sprawiały wrażenie, jakby lada chwila miały rozerwać skórę.

- Niech pan posłucha, nie wiem, o co panu chodzi, ale zawarłem umowę.

- Ja też - oświadczył Cross bezbarwnie. - Z jednym z inwestorów ... powiedzmy, byłych inwestorów ... z wyspy Speckle.

Odczekał, aż jego słowa dotrą do Bobby'ego, który za wszelką cenę starał się zachować spokój.

- Człowiek ten w zamian za ułaskawienie zgodził się zeznawać przeciw tobie. Sporządziliśmy długą listę zarzutów dotyczących twojej działalności na wyspie Speckle. Przesłaliśmy te wykroczenia daleko poza zawartą wczoraj umowę. Prawdopodobnie bym cię zanudził, gdybym próbował je wszystkie wymieniać, wystarczy więc, że wspomnę jedynie o podpaleniach.

Bobby poczuł, że pocałował mu się dłoń. Wytarł je o spodnie.

- Niech pan posłucha, powiem wszystko, co mi wiadomo na temat swojej siostry.

- To zbyteczne - odparł Cross, lekceważąco machnąwszy ręką. - To nie ona zabiła Pettijohna.

- Ale pańscy ludzie ...

- Ona tego nie zrobiła - powtórzył. Potem się uśmiechnął, ale nie był to przyjazny uśmiech. - Skończyły ci się żetony, Bobby. Nie masz karty przetargowej, by podjąć jakiekolwiek negocjacje. Jakiś czas spędzisz w naszym więzieniu. A kiedy Karolina Południowa dojdzie do wniosku, że już nie chce ci dawać dachu nad głową ani napełniać twojego żołądka, upomną się o ciebie władze Florydy, które czekają z niecierpliwością, aby cię przyskrzynić.

- Pieprzę to wszystko! Mam cię w dupie! - krzyknął Bobby, podrywając się z krzesła. - Chcę rozmawiać ze swoim obrońcą.

Zdołał zrobić zaledwie dwa kroki do przodu, Cross położył mu lewą dłoń na mostku i pchnął go na krzesło z takim impetem, że niemal przewrócił delikwenta. Potem pochylił się tak nisko, że Bobby musiał odchylić do tyłu głowę i mocno naciągnąć szyję.

- Mam do ciebie jeszcze jedną sprawę, Bobby - szepnął Cross. - Jeśli kiedykolwiek ponownie zbliżysz się do Alex, skrucę ci kark. A potem zdefasonuję tę twoją ładną buźkę tak, że nikt cię nie rozpozna. Skończy się twoja kariera męskiej dziwki. Kobiety będą patrzyły na ciebie jedynie z żalem i odrazą.

Bobby był zaskoczony. Ale tylko przez kilka sekund. Potem wszystko nagle pojał - groźbę i przekonanie prokuratora, że Alex jest niewinna. Wybuchnął śmiechem.

- Teraz rozumiem. Ptaszek ci się wrywa do mojej siostrzyczki!

Żartobliwie dźgnął Hammonda w pierś.

- Mam rację? Nieważne, wiem, że mam. Potrafię czytać między wierszami. Powiem panu coś, panie specjalny asystencie, niezależnie od tego, jak pan się naprawdę nazywa. Ilekroć będzie pan chciał ją przelecieć, proszę się do mnie zgłosić. Mogę panu załatwić każdą pozycję. Z tyłu, z przodu, z boku, w zależności od upodobania.

Nagle krzesło wyleciało w powietrze, a Bobby wraz z nim.

Potworny ból promieniował od kości policzkowej. Przeszywał całą czaszkę. Gdy wymierzona z siłą taran u pięć spadła w dół, Bobby poczuł, jak pękają mu żebra.

- Panie Cross?

Bobby usłyszał dudnienie kroków i głosy strażników. Docierały do niego jak przez mgłę.

- Wszystko w porządku, panie Cross?

- Oczywiście, dzięki. Obawiam się jednak, że więzień będzie potrzebował pomocy.

Rozdział trzydziesty ósmy

- To interesujące.

Steffi podtrzymywała słuchawkę ramieniem.

- Gdzie jesteś, Hammondzie?

- Właśnie opuściłem areszt. Bobby Trimble jeszcze jakiś czas zostanie do naszej dyspozycji. - A co z zawartą z nim umową?

- Popelnił na wyspie Speckle zbyt poważne przestępstwa. Potem ci powiem, o co chodzi.

- W porządku. W takim razie co uznałeś za takie interesujące?

- Sprawę Basseta - wyjaśnił. - Znasz Glenna Basseta? Sierżanta, który pilnuje magazynu z dowodami?

- Owszem. Trochę go znam. Facet z wąsem?

- Tak, to on. Ma szesnastoletnią córkę, którą w ubiegłym roku aresztowano za posiadanie narkotyków. Była to jej pierwsza wpadka. Zasadniczo jest dobrym dzieckiem, jedynie dostała się w nieodpowiednie towarzystwo. Presja rówieśników. Wyobcowanie ...

- Kapuję. Co to ma wspólnego z czymkolwiek?

- Basset poszedł po radę i pomoc do Smilowa. Ten zaś wystąpił do naszego biura w obronie dziewczyny.

- Grzeczność za grzeczność?

- Tak przypuszczam - przyznał Hammond.

- Tylko przypuszczasz?

- Na razie to jedynie pogłoski i insynuacje. Trochę powęszyłem. Gliniarze niechętnie wypowiadają się na temat innych gliniarzy, a z samym Basetem dotąd nie rozmawiałem.

- Chciałabym być przy tym przesłuchaniu, Hammondzie. Co jeszcze?

- Muszę wstąpić w jeszcze jedno miejsce. Potem wybieram się do Charles Towne.

- Po co?

- Pamiętasz płaszcze kąpielowe?

- Te, których ludzie używają, idąc do centrum odnowy biologicznej i z powrotem? Białe puchate szlafroki, w których wszyscy wyglądają jak niedźwiedzie polarne?

- Gdzie się podział płaszcz kąpielowy Pettijohna? - spytał.

- Co takiego? Nie ...

- Tego dnia po południu Lute wziął masaż. Potem skorzystał w centrum odnowy biologicznej z prysznic. Rozmawiałem z masażystą. Pettijohn przyszedł w płaszczu kąpielowym i w tym samym stroju wyszedł. A zatem w jego pokoju powinien być używany płaszcz i klapki. Wśród zebranych dowodów niczego takiego nie ma. Co się z nimi stało?

- Dobre pytanie - odparła powoli.

- Mam jeszcze lepsze. Czy wiedziałaś, że Smilow regularnie robi sobie w centrum manicure? Kapujesz? Nikt by się nie zdziwił, widząc go w jednym z tych uciesznych płaszczy kąpielowych. Tymczasem rzeczy, które

znaleźliśmy w szafie, były nie używane. Zamierzam ponownie sprawdzić apartament, upewnić się, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Po prostu chciałem, żebyś była na bieżąco. A tak przy okazji, widziałaś się z nim dzisiaj?

- Ze Smilowem? - Zawahała się, potem odparła:

- Nie.

- Jeśli się spotkacie, zajmij go czymś. Chcę mieć wolną rękę.

- Jasne. Daj mi znać, co z tego wyniknie.

- Będziesz pierwsza.

* * *

- Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać, Hammondzie. Usiadł w boksie naprzeciwko Davee.

- O co chodzi? Powiedziałaś, że to pilne.

- Zjesz lunch?

- Nie, dzięki. Nie mogę. Jestem dzisiaj bardzo zajęty. Napiję się wody sodowej - powiedział kelnerowi, który szybko się wycofał, by zrealizować zamówienie. Hammond rozgarnął ręką dym przed oczami. - Kiedy zaczęłaś znowu palić?

- Godzinę temu.

- Co się stało, Davee? Wyglądasz na zdenerwowaną.

Pociągnęła łyczek ze swojego drinka, który, jak Hammond słusznie przypuszczał, nie był jej pierwszym i wcale nie zawierał wody sodowej. Davee przesłała mu wiadomość na pager. Był zaskoczony prośbą o spotkanie w restauracji w centrum miasta. Z drugiej strony i tak zmierzał w tym kierunku, co zważywszy na przeładowany harmonogram, było jedynym powodem, dla którego przyjął jej spontaniczne zaproszenie.

- Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie Rory Smilow. Mieliśmy randkę. Bynajmniej nie romantyczną - wyjaśniła.

- W takim razie jaką?

- Zrzucił mnie pytaniami o ciebie i dochodzenie w sprawie morderstwa Lute'a. - Oczekała, aż kelner poda mu wodę sodową, po czym ciągnęła: - Smilow wie, Hammondzie, że w ostatnią sobotę spotkałeś się z Lute'em. Ale to nie ja mu o tym powiedziałam. Słowo honoru.

- Wierzę ci.

- Wyjaśnił, że widziano cię w hotelu. Przypuszcza, iż spotkałeś się z Lute'em, a jak oboje wiemy, jest cholernie dobry w zgadywaniu.

- To nieszkodliwe zgadywanie.

- Może to prawda. Ale powinieneś wiedzieć coś jeszcze.

Drżącą ręką uniosła papierosa do ust. Hammond odebrał go jej i zgniótł w popielnicze.

- Mów.

- Wiem o tobie i Alex Ladd.

Zastanawiał się, czy nie udać durnia, zdał sobie jednak sprawę, że Davee szybciej niż ktokolwiek inny rozszyfruje ten manewr.

- Skąd?

Opowiedziała mu porannej o wizycie Alex w jej domu.

- Nie wiem dokładnie, jak, gdzie i kiedy zawarliście znajomość. O nic nie pytałam, a ona sama niczego mi nie wyjaśniła. A tak swoją drogą, jest śliczna.

- Tak - przyznał niskim głosem. - To prawda.

- Na pewno zdajesz sobie sprawę - ciągnęła - że ten romans nie tylko jest niestosowny, ale na domiar złego rozgrywa się w nieodpowiednim czasie.

- Doskonale o tym wiem.

- W Charlestonie pali się do ciebie tyle kobiet, dlaczego musiałeś ...

- Jestem dzisiaj bardzo zajęty, Davee. Nie mam czasu na wysłuchiwanie kazań. Nie planowałem, że w tym tygodniu zakocham się w Alex. Tak po prostu wyszło. A skoro już o tym mowa, jesteś najodpowiedniejszą osobą do prawienia kazań na temat niestosownego zachowania.

- Próbuję tylko cię ostrzec. Bądź ostrożny. Nie byłem z wami w jednym pomieszczeniu. Wystarczyło mi, że Alex wymówiła twoje imię. Od razu wiedziałam, że cię kocha. Ktoś, kto widzi was razem, może to wyczuć. Nawet jeśli będzie to osoba tak wyprana z romantyzmu jak Rory. To dlatego do ciebie zadzwoniłam. - Jej oczy wypełniły się łzami, co go zaalarmowało, ponieważ Davee nigdy nie płakała. - Jestem niespokojna o ciebie, Hammondzie. O nią również.

- Dlaczego, Davee? Czego się boisz?

- Boję się, że to Rory zabił Lute'a i że teraz, by to ukryć, może popełnić następne morderstwo.

Przez długą chwilę się jej przyglądał, potem na jego twarzy pojawił się łagodny uśmiech.

- Dzięki, Davee.

- Za co?

- Za to, że o mnie myślisz. Kocham cię za to. A jeszcze bardziej kocham cię za to, że myślisz o Alex. Mam nadzieję, że zostaniecie najlepszymi przyjaciółkami. - Wysunął się zza stolika, pochylił i pocałował Davee w czubek głowy. - Nie masz się o co martwić.

- Hammondzie?! - zawołała za nim, gdy szybko zaczął się oddalać.

- Mam wszystko pod kontrolą - odparł. - Słowo daję. Wybiegł z restauracji i wskoczył do swojego samochodu.

Jadąc do hotelu, wykręcił numer Alex.

Zamek w kuchennych drzwiach wciąż był zepsuty. Fakt, że dotychczas nie kazała go naprawić, należało uznać za ogromną lekkomyślność z jej strony. Tak jak pamiętał z poprzedniego pobytu, kuchnia była wygodna i przytulna, chociaż z kurka w zlewie kapalo.

Przechodził właśnie obok telefonu, gdy ten nagle zadzwonił.

Przestraszył go. Odebrała w pokoju po drugim sygnale. Jej głos popłynął korytarzem w jego stronę.

- Dobrze się czujesz, Hammondzie?

Siedziała w swoim gabinecie, obrócona plecami do drzwi wychodzących na korytarz. Czuł zapach naszpikowanych goździkami pomarańczy leżących w misce na stoliku. Doktor Ladd siedziała w fotelu. Przy łokciu miała coś, co wyglądało na kartotekę pacjentów. Na kolanach trzymała otwartą teczkę i magnetofon wielkości dłoni. Przez wysokie okna wpadały promienie słońca. Włosy doktor Ladd przyciągały światło jak magnes.

- Nie przejmuj się mną. U mnie wszystko w porządku ... A co z sierżantem Bassetem? ... To znaczy, że miałaś rację. W jakiś sposób mi go żal. Nawet nie chcę myśleć, jakich gróźb musiano wobec niego użyć, żeby skłonić go do współpracy ... Tak, dobrze. Proszę, zadzwoń, gdy tylko będziesz mógł.

Skończyła rozmowę i odstawiła telefon bezprzewodowy na stół. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i błyskawicznie odwróciła się w jego stronę. Otwarta teczka ześlizgnęła się z kolan na podłogę, a luźne kartki zasłały perski dywan. Magnetofon z hukiem wylądował u jej stóp. Była święcie przekonana, że jest sama.

Z trudem wydobyła z siebie głos.

- Przestraszył mnie pan, inspektorze Smilow.

* * *

Smitty obsługiwał jakiegoś klienta, gdy Hammond minął go w drodze do windy.

- Cześć, Smitty. Widziałeś dzisiaj inspektora Smilowa?

- Nie, panie Cross. Na pewno nie.

Zwykle towarzyski Smitty nawet nie podniósł głowy i nie zmienił rytmu, w jakim na zmianę poruszał dwiema szczotkami, pucując czubek buta klienta. Hammond w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Jak najszybciej chciał się dostać do apartamentu na czwartym piętrze.

Żółta taśma wciąż tworzyła na drzwiach "X". Ponieważ poprzedniego wieczoru Hammond dostał od dyrektora hotelu klucz, ominął przeszkodę i wszedł do środka, zostawiając drzwi lekko uchylone.

Story były zasunięte, w związku z czym w pokoju panował mrok. Hammond sprawdził salon, gdzie plama krwi zdążyła prawie szernieć. Ludzie z obsługi zdradzili mu, że zamówiono już nowy dywan.

Stojąc nad plamą, próbował wzbudzić w sobie żal z powodu śmierci Pettijohna, ale mu się to nie udało. Lute był strasznym draniem. Nawet teraz, po śmierci, wywoływał w życiu innych ludzi mnóstwo zamieszania.

Hammond wszedł do sypialni i skierował się prosto do szafy.

Wpatrzył się w wiszący na wieszaku płaszcz kąpielowy z zawiązanym paskiem. W identycznym Lute zszedł do centrum odnowy biologicznej. Ubranie zostawił tu, w apartamencie, w centrum wziął prysznic, a po powrocie zmienił płaszcz na normalną odzież.

- Być może nigdy nie wpadłoby mi to do głowy, gdybyś o tym nie wspomniała tego popołudnia, kiedy piliśmy drinki w barze w hotelowym westybulu - powiedział.

Obrócił się twarzą do Steffi. Stąpiła bezszelestnie, ale on i tak się jej spodziewał.

- Zadałaś wówczas retoryczne pytanie - ciągnął - czy jestem w stanie wyobrazić sobie Lute'a przechadzającego się dumnie w płaszczu kąpielowym z centrum odnowy biologicznej. Nie byłem w stanie. Przekraczało to granice mojej wyobraźni. Aż do wczorajszego wieczoru. Kiedy jednak ten obraz stanął mi przed oczami, zacząłem się zastanawiać, gdzie podział się używany płaszcz kąpielowy. - Popatrzył na nią w zadumie. Domyślałem się, że to ty narzuciłaś go na ubranie, wychodząc z apartamentu.

- Na strój treningowy. Uznałam, że to dobry pomysł. Kto idzie popełnić morderstwo w spodenkach i sportowej koszulce? Ale płaszcz kąpielowy był jeszcze lepszy.

- Potem podrzuciłaś go do centrum odnowy?

- Razem z ręcznikiem, który widocznie zabrał ze sobą Pettijohn. Zawinęłam go na głowie niczym turban. Włożyłam okulary przeciwsłoneczne. Praktycznie biorąc, byłam nierozpoznawalna. Podrzuciłam te rekwizyty do centrum - mnóstwo ludzi przynosi tam płaszcze kąpielowe i ręczniki z sali gimnastycznej i basenu. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Przebiegłam kilka kilometrów, a gdy wróciłam, ciało zostało już znalezione i wszczęto postępowanie.

- Bardzo sprytnie.

- Też tak uznałam - powiedziała z beczelnym uśmiechem.

Kiwnięciem głowy wskazał wycelowany w siebie rewolwer.

- To ten sam?

- Coś ty?! Myślisz, że jestem taka głupia, żeby dwukrotnie użyć tej samej broni? Zwracając tę, z której zabiłam Pettijohna, ukradłam następną. Na wszelki wypadek.

- W czasie gdy my tu sobie miło gawędzimy, Basset składa zeznanie. Jest bardzo skruszony, dręczą go potworne wyrzuty sumienia.

- W takim razie będzie moje zeznanie przeciw jego. Rewolwery nigdy nie naprowadzą policji na ślad. Nie wpisywałam się do dziennika, Basset też tego nie robił. Ten facet może opowiadać na mój temat straszne rzeczy, ponieważ żywi do mnie urazę.

- Smilow prosił cię, żebyś łagodnie potraktowała jego córkę.

- I za pierwszym razem rzeczywiście to zrobiłam. To nie moja wina, że ponownie dała się przyłapać.

Rozprawa odbędzie się za kilka tygodni.

- Co obiecałaś Bassetowi?

- Że zażądam łagodnego wyroku.

- Albo?

- Albo słodka Amanda dostanie najwyższą karę. Wszystko zależało od niego.

- Stawiasz ciężkie warunki.

- Jeśli muszę.

- Pettijohna też musiałaś zabić?

- Pokrzyżował mi szyki! - wrzasnęła piskliwym głosem, którego Hammond nigdy wcześniej nie słyszał.

Steffi wyraźnie traciła poczucie rzeczywistości.

- Informowałam go o wszystkim - wyjaśniła. - Doradzałam zgodne z prawem posunięcia, dzięki którym jego rywale wpadali w pułapkę, a on sam pozostawał czysty. O włos od przestępstwa, ale mimo wszystko czysty. Powiedział, że zamierza wykorzystać to, co ma na Prestona, by zniszczyć was obu. Chciał wykluczyć cię z gry i posadzić mnie na najwyższym stołku. Potem jednak zmienił zdanie.

Spojrzenie jej oczu stwardniało.

- Dostrzegł, że może zrobić lepszy użytek z partnerstwa z Prestonem. Postanowił skłonić cię do współpracy. Myślał, że dzięki temu zaczniesz myśleć jego kategoriami. Podziękował mi za mój czas i włożony wysiłek, spytał jednak, czemu ma się zadowalać osobą zajmującą drugie miejsce, skoro może mieć po swojej stronie człowieka, który jest najlepszy.

- W związku z tym w sobotę po południu przyszedł do niego, żeby go zabić?

- Nie miałam innej możliwości, Hammondzie. Złamałam zasady, a i tak niczego nie zyskałam. Odkąd zaczęłam pracę w biurze prokuratora okręgowego, harowałam jak wół, twardo dążąc do celu, tymczasem to ty miałeś dostać to, na czym mi zależało, tak samo zresztą jak i w przypadku tej właśnie sprawy. Pettijohn zaproponował mi pewne dodatkowe korzyści. Przynajmniej raz to ja miałabym przewagę. Potem, kiedy nagroda znajdowała się w zasięgu ręki, ten sukinsyn przestał mnie popierać. Przeżyłam dotychczas niejedną zawód, ale żaden z nich nie był taki ciężki i bolesny jak ten. Ilekroć patrzyłabym na Pettijohna, przypominałabym sobie, jaką byłam idiotką. Prawdopodobnie uważał mnie za łatwowierną kobietę. Nie mogłam dopuścić do tego, by miał nade mną taką przewagę. Sądzę, że coś we mnie pękło. Po prostu nie mogłam pozwolić, żeby uszło mu to na sucho. Poinformował mnie o tym przez telefon, ale uparłam się, że chcę osobiście się z nim spotkać. Przyszłam kilka minut wcześniej. Kiedy zobaczyłam go leżącego na podłodze, w pierwszym momencie pomyślałam, że ktoś pozbawił mnie przyjemności.

- Może Alex.

- Nic nie wiedziałam o Alex Ladd. Usłyszałam o niej po raz pierwszy, gdy Daniels podał nam jej opis. Kiedy stanęłam przed nim w tej szpitalnej sali, pociałam się jak mysz przy porodzie. Bałam się, że facet wskaże na mnie. Nie widziałam go w hotelu, ale skąd mogłam wiedzieć, czy on mnie nie zauważył? W każdym razie gdy opisał Ladd, nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu. Mieliśmy podejrzaną. A potem, kiedy pojawił się Trimble, pomyślałam, że chyba ktoś nade mną czuwa - wyznała ze śmiechem.

- Próbowalaś ją zabić.

- To był błąd. Powinłam tę robotę powierzyć komu innemu.

- Kto to był?

- Ktoś, kto kilka miesięcy temu miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Oskarżony o napad z pobiciem. Adwokat go wybronił. Uznałam, że dobrze mieć kogoś takiego w odwodzie. Zakładałam, że pewnego dnia ten facet może mi się przydać. Prawdopodobnie przeczuwałam, że mój sojusz z Pettijohnem źle się skończy. Wzruszyła ramionami.

- W każdym razie pozwoliłam mu uniknąć więzienia. Ale miałam go na oku. Zgodził się poderżnąć jej gardło za marne sto dolarów. Niestety, spieprzył robotę. Uciekł z miasta z pięćdziesiątką, którą dałam mu jako zaliczkę. Nawet nie złożył mi raportu.

Uderzyła się dłonią w czoło.

- Jaka ze mnie idiotka! Nie powiązałam twojej nocnej przygody z moim zabójcą, póki nie odkryłam, że Alex Ladd żyje i nic jej nie dolega.

- Bałaś się, że widziała cię w sobotnie popołudnie w apartamencie Pettijohna.

- Uznałam, że istnieje taka możliwość. Od pierwszego przesłuchania czułam, że coś ukrywa. Bałam się, że mnie rozpoznała i jedynie czeka na odpowiedni moment, by wyjawić, co wie. Muszę przyznać, że byłam bardzo zaskoczona, gdy odkryłam, że jej sekretem jesteś ty. Kiedy ją spotkałeś?

Nie odpowiedział.

- Och, no cóż. - Cicho westchnęła. - Masz rację. Sądzę, że to bez znaczenia, chociaż moje ego bardzo ucierpiało, gdy się dowiedziałam, że z taką łatwością przeskoczyłeś z kwiatka na kwiatek. Oczywiście wcale mnie nie dziwi, że nie oparła się twemu urokowi. Sypianie z tobą nie było ciężkim obowiązkiem. Zdecydowałabym się na to, nawet gdyby Pettijohn nie zasugerował, że rozmowy do poduszki mogą być dobrym źródłem informacji.

Uniosła pistolet.

- Skłamałabym, mówiąc, że cię nienawidzę, Hammondzie, chociaż nie byłabym całkiem szczerą, gdybym powiedziała, iż nie jestem zazdrosna o twoje osiągnięcia i łatwość, z jaką ci przychodzą. Problem polega na tym, że teraz, kiedy posunęłam się już tak daleko, jesteś ostatnią przeszkodą. Przykro mi.

- Steffi ...

Wypaliła z rewolweru prosto w jego klatkę piersiową.

Odwróciła się i przebiegła przez salon. Otworzyła drzwi. Po drugiej stronie stał detektyw Mike Collins i dwóch umundurowanych policjantów z bronią gotową do strzału.

- Proszę oddać nam broń, pani Mundell - powiedział Collins. Teraz w jego głosie nie było słychać żartobliwego tonu. Jeden z policjantów wysunął się do przodu i wyjął jej z ręki rewolwer. - Nic się panu nie stało?

- spytał Collins.

Hammond obserwował twarz Steffi, gdy odwróciła głowę. Ze zdumienia aż otworzyła usta. Uratowała go kamizelka z kevlaru, chociaż z pewnością do obrażeń, które odniósł w tym tygodniu, dojdzie cholerny siniak.

- Oszukałeś mnie?

Collins recytował jej prawa, mimo to całą uwagę skupiła na Hammondzie.

- Wpadłem na to wczoraj wieczorem. Przed świtem odbyłem ze Smilowem małą konferencję. Powiedziałem mu wszystko. Dosłownie wszystko. Wspólnie zainscenizowaliśmy to spotkanie. Udawałem, że zbieram dowody przeciw niemu, ale w rzeczywistości dzisiaj pracowaliśmy razem. To Smilow uznał, że możesz się zaniepokoić, jeśli powiem ci o poszlakach, które wskazują na ciebie. Namówił mnie, żebym wziął mikrofon. I kamizelkę. Cieszę się, że skorzystałem z obu jego rad.

Steffi wprost ziała nienawiścią. Hammond nie mógł uwierzyć, że kiedyś byli kochankami. Gdy się jednak odezwał, w jego głosie pobrzmiwał smutek.

- Wiedziałem, że uważałaś mnie za swojego rywala, Steffi, nie przypuszczałem jednak, że będziesz zdolna posunąć się do morderstwa.

- Nigdy mnie nie doceniałaś, Hammondzie. Nigdy nie darzyłeś należytych uznaniem. Nie wierzyłeś, że dorównuję ci sprytem.

- No cóż, widocznie wcale mi nie dorównujesz.

- Wystarczyło mi jednak inteligencji, żeby wpaść na trop twojego romansu z Alex Ladd! - krzyknęła. - Nawet nie próbuj temu zaprzeczać, ponieważ mam dowód, że w tym tygodniu byłeś z nią w łóżku!

Hammond kiwnął brodą na Collinsa, który odwrócił Steffi i pchnął ją w stronę otwartych drzwi. Wychodząc, wrzasnęła przez ramię:

- Tym cię pokonam, Hammondzie! Twoim romansiem z tą kobietą. I pomyśleć, że to ty mówiłeś mi o romantyzmie i sprawiedliwości!

W głosie Alex słychać było lekką drwinę.

- Spodziewałam się pana, inspektorze, ale nie słyszałam, kiedy pan wszedł.

- Nie wiemy, w kogo i kiedy Steffi może uderzyć. Sprawdziłem tyły domu i wszedłem przez kuchenne drzwi. Zamek wciąż jest zepsuty. Powinna pani jak najszybciej go naprawić.

- W tym tygodniu miałam ważniejsze sprawy na głowie.

- Cholerny tydzień.

- Delikatnie powiedziane.

Kłęknał, by pomóc jej pozbierać rozrzucone papiery. Podziękowała mu i włożyła kartki z powrotem do teczki.

- Przez przypadek podsłuchałem waszą rozmowę - przyznał się. - Hammond powiedział pani o Bassecie?

- Tak.

- Trzeba mu przyznać mnóstwo sprytu, że na to wpadł.

- Ale tylko nieznacznie pana wyprzedził. Podobno w którymś momencie przyszło panu do głowy, że to morderstwo mogła popełnić Steffi. Powiedział pan o tym Hammondowi, gdy dziś rano dzielił się z panem swoimi podejrzeniami.

- To prawda, ale odrzuciłem ten pomysł. Za bardzo cieszyłem się ze śmierci Pettijohna. - Spojrzał jej w oczy. - Doktor Ladd, nigdy nie wierzyłem, że jest pani morderczynią. Przepraszam za tamte pytania.

Przyjmując przeprosiny, delikatnie kiwnęła głową.

- Kiedy człowiek zajmie jakieś stanowisko, trudno mu się potem wycofać. Byłam osobą podejrzaną, a pan nie chciał się pomylić.

- Na tym nie koniec. Nie chciałem, żeby Hammond miał rację. Zapadła niezręczna cisza. Z ulgą przyjęli brzęczenie telefonu.

- Smilow.

Słuchał, przez cały czas zachowując kamienną twarz.

- Już jadę. - Rozłączył się. - Steffi strzelała do Hammonda. Nic mu się nie stało - zapewnił szybko. - Wcześniej jednak wyciągnął z niej wyznanie, że zabiła Pettijohna, i nagrał to na magnetofon. Pani Mundell przebywa w areszcie.

Dopiero teraz, kiedy napięcie opadło, Alex zdała sobie sprawę, jak bardzo było silne. Usiadła w fotelu.

- Hammondowi naprawdę nic się nie stało?

- Naprawdę.

- A więc jest już po wszystkim - szepnęła.

- Nie całkiem. Za pół godziny Hammond ma konferencję prasową. Mogę panią podwieźć?

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Ponieważ w tymczasowej siedzibie biura prokuratora okręgowego w Charlestonie było bardzo mało miejsca, Monroe Mason zapytał władze miasta, czy jego konferencja prasowa mogłaby się odbyć w ratuszu. Przychylono się do prośby.

Z szacunku dla człowieka, przez tak długi okres dobrze służącego społeczeństwu, ludzie, którzy zwykle w piątek po południu w pośpiechu opuszczali miasto, udając się na weekend, tym razem się zebrali, by wysłuchać oficjalnego oświadczenia o przejściu na emeryturę.

Bo to właśnie mieli usłyszeć.

Otrzymali jednak więcej, niż się spodziewali. Rezygnacja z wcześniejszego wyjazdu na weekend przestała się wydawać aż takim poświęceniem, gdy wśród tłumu rozeszły się pogłoski o wydarzeniach, które rozegrały się właśnie w tym samym apartamencie hotelowym, gdzie niecały tydzień temu znaleziono zwłoki Lute'a Pettijohna. Atmosferę podsyciała wiadomość, że za tamto morderstwo aresztowano jednego z pracowników biura prokuratora okręgowego.

Sala była wypełniona po brzegi, gdy pojawił się Mason. Za nim szedł Hammond oraz szeregowi pracownicy biura. Nawet zastępca, prokurator Wallis, wykrzesał z siebie tyle siły, by przyjść, chociaż był szary i wyraźnie wyniszczony przez chemioterapię. Gdy usiedli na podium, brakowało tylko Stefanie Mundell.

Pierwszy rząd na widowni zajmowali dziennikarze i kamerzyści. Trzy następne szeregi zarezerwowano dla miejskich, okręgowych i stanowych przedstawicieli władzy, zaproszonych duchownych i innych dostojników. Pozostałe krzesła oddano do dyspozycji gości.

Wśród nich byli rodzice Hammonda. Kiedy na powitanie kiwnął matce głową, radośnie, choć dyskretnie pomachała mu ręką. Przywitał również ojca, ale twarz Prestona pozostała kamienna niczym oblicza, które zdobią Mount Rushmore.

Tego ranka Hammond zadzwonił do niego z propozycją, która dotyczyła Bobby'ego Trimble'a. Obiecał zasugerować prokuratorowi generalnemu, żeby nie wysuwano wobec Prestona żadnych oskarżeń, jeśli zgodzi się on zeznawać przeciw Trimble'owi.

Oczywiście to oznaczało przyznanie się do tego, że wiedział o terrorze szerzącym się na wyspie Speckle. Co prawda, wycofał się z przedsięwzięcia, ale zrobił to zbyt późno, by nie można go było oskarżyć.

- To propozycja, ojcze. Możesz ją przyjąć albo odrzucić.

- Nie masz prawa stawiać mi ultimatum.

- Przyznasz się do swoich przestępstw albo pójdziesz do więzienia, nie przestając się ich wypierać - powtórzył Hammond zdecydowanie. - Wykorzystaj możliwość.

Dał ojcu siedemdziesiąt dwie godziny na przemyślenie sprawy i przedyskutowanie jej ze swoim adwokatem. Gotów był się założyć, że Preston przystanie na jego warunki, a gdy ojciec zamrugnął i pierwszy odwrócił wzrok, nabrał co do tego jeszcze większej pewności.

Czyż nie miał prawa liczyć na to, że Prestona dręczą jakieś wyrzuty sumienia? Zawsze będzie dzielić ich przepaść, której nie zdołają przekroczyć, mimo to Hammond żywił nadzieję, że przynajmniej w pewnym stopniu uda im się pojednać. Chciałby ponownie mówić do Prestona "tato".

Davee też tam była. Wyglądała jak gwiazda filmowa. Przesłała mu całusa. Kiedy jednak jakiś reporter podsunął jej mikrofon i poprosił o komentarz, Hammond usłyszał, że kazała mu się odpieprzyć. Użyła dokładnie tych słów. I przez cały czas słodko się uśmiechała.

Obserwował tylne drzwi, kiedy pojawił się w nich Smilow, prowadząc ze sobą Alex. Hammond nie mógł oderwać od niej wzroku. Gdy była w drodze, rozmawiali przez telefony komórkowe, ale dopiero teraz na własne oczy mógł się przekonać, że nareszcie nie grozi jej już żadne niebezpieczeństwo. Ani ze strony Steffi. Ani Bobby'ego. Została również oczyszczona z wszelkich podejrzeń.

Smilow podprowadził ją do pustego krzesła obok Franka Perkinsa. Adwokat wstał i serdecznie uściśnął Alex. Smilow zostawił ją pod opieką Perkinsa, a sam ruszył przejściem w stronę podium. Machnął na Hammonda. Ten, skonsternowany, przeprosił i zszedł z podwyższenia.

- Dobra robota - pogratulował mu Smilow.

Wiedząc, ile ten komplement musiał kosztować dumnego inspektora, Hammond zbagatelizował sprawę:

- Po prostu tam poszedłem i zrobiłem to, co mi poradziłeś. Gdybyś nie koordynował całej akcji, nic by z tego nie wyszło. - Przerwał na chwilę. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że za mną przyszła. Szybciej bym się spodziewał, że się podda i wyzna prawdę.

- W takim razie nie znałeś jej zbyt dobrze.

- Właśnie zaczynam zdawać sobie z tego sprawę. Niewiele brakowało, a byłoby za późno. Dzięki za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Nie ma za co.

Smilow zerknął w stronę Davee i przechwycił jej spojrzenie. Jeśli Hammonda wzrok nie mylił, inspektor się zarumienił. Szybko odwrócił się z powrotem do rozmówcy.

- To dla ciebie. - Wyciągnął w jego stronę szarą kopertę.

- Co to takiego?

- Wynik badania laboratoryjnego. Dostałem to dziś rano od Steffi. Kazała porównać twoją krew z tą, którą znaleziono na prześcieradle doktor Ladd. - Hammond otworzył usta, ale Smilow groźnie potrząsnął głową. - Nic nie mów. Po prostu weź to i zniszcz. Bez tego zarzuty Steffi, że sypiałeś z podejrzaną, będą bezpodstawne. Zresztą, skoro się okazało, że doktor Ladd nie popełniła żadnego przestępstwa, ta sprawa ma właściwie czysto techniczny wymiar.

Hammond spojrział na niepozorną kopertę. Jeśli ją przyjmie, będzie tak samo winien jak Smilow w sprawie "Społeczeństwo przeciw Vincentowi Anthony'emu Barlowowi". Barlow został oskarżony o zamordowanie swojej siedemnastoletniej dziewczyny i dziecka, które nosiła pod sercem. Smilow zlekceważył jakiś usprawiedliwiający dowód, z którym Hammond koniecznie powinien się zapoznać.

Dopiero gdy skazano Barlowa, dowiedział się o rzekomym błędzie popełnionym przez Smilowa w trakcie dochodzenia. Nie zdołał udowodnić, że inspektor zrobił to celowo, dlatego nigdy nie wszczęto przeciw niemu postępowania o niedopełnienie obowiązków służbowych. Odsiadujący dożywocie Barlow założył apelację. Uwzględniono ją. Młody człowiek czekał na następny proces, do którego miał prawo, niezależnie od stopnia swojej winy.

Ale Hammond nigdy nie wybaczył Smilowowi, że przez niego bezwiednie popełnił pomyłkę sądową.

- Nie bądź harcerzykiem - poradził inspektor półgłosem. - Czy nie zasłużyłeś sobie na te wszystkie zaszczyty?

- To byłoby nieuczciwe.

Smilow jeszcze bardziej zniżył głos.

- Nie lubimy się nawzajem i obaj wiemy dlaczego. Każdy z nas stosuje odmienne metody, ale obaj pracujemy po tej samej stronie prawa. Potrzebuję na stanowisku prokuratora okręgowego twardego oskarżyciela i bezkompromisowego prawnika sądowego, takiego jak ty. Nic mi po jowialnym polityku w rodzaju Masona. Dużo więcej dobrego zrobisz, służąc temu okręgowi jako najwyższy przedstawiciel prawa, niż jeśli przyznasz się, że popełniłeś błąd, który nawiasem mówiąc, nikogo nie obchodzi. Zastanów się nad tym, Hammondzie.

- Hammondzie!

Wzywano go z powrotem na podium. Zaczynała się konferencja. Nie odwracając się, powiedział:

- Już idę.

- Czasami trzeba nagiąć pewne zasady, by wykonać lepszą robotę - wyjaśnił Smilow, patrząc na niego twardo.

To był przekonujący argument. Hammond przyjął kopertę.

Mason kończył przemowę. Zainteresowanie dziennikarzy coraz bardziej słabło. Niektórzy z operatorów opuścili kamery. Opowieść o tym, że Steffi próbowała zabić Hammonda i że została aresztowana, bardzo przypadła im do gustu, ale długie przemówienie Masona wyraźnie ich nudziło.

- Chociaż boli mnie, że osoba pracująca dotychczas w naszym biurze znalazła się w policyjnym areszcie i wkrótce będzie sądzona za poważne przestępstwo, jestem dumny, że do jej ujęcia w znacznym stopniu przyczynił się specjalny asystent prokuratora okręgowego, Hammond Cross. Dzisiaj wykazał się niezwykłą odwagą. To tylko jeden z powodów, dla których widzę w nim swojego następcę.

Te słowa wywołały burzliwe oklaski. Wpatrując się w profil Masona, Hammond słuchał mowy wynoszącej pod niebiosa jego talent, oddanie i uczciwość. Przez cały czas miał na kolanach kopertę z obciążającym wynikiem badań laboratoryjnych. Jej zawartość przeczyła wyrazom uznania padającym z ust zwierzchnika.

- Nie będę was już dłużej nudził! - huknął Mason w jowialny, bezpośredni sposób, którym zdobywał sobie względy mediów. - Pozwólcie, że przedstawię bohatera dnia. - Odwrócił się i kiwnął na Hammonda, by do niego podszedł.

Operatorzy znów oparli kamery na ramionach. Przedstawiciele prasy ożywili się i niemal jednocześnie pstryknęli długopisami.

Hammond położył kopertę na pochyłym pulpicie. Odchrząknął. Podziękował Masonowi za miłe słowa i zaufanie, po czym powiedział:

- To był niezwykle tydzień. Z wielu różnych względów odnoszę wrażenie, że od chwili, kiedy dowiedziałem się o śmierci Lute'a Pettijohna, upłynęło dużo więcej czasu niż w rzeczywistości. Prawdę mówiąc, nie uważam się za bohatera, dręczy mnie również świadomość, że za to morderstwo będzie odpowiadać moja koleżanka, Steffi Mundell. Jestem przekonany, że dowody przeciw niej są nie do obalenia. Jako osoba dobrze zorientowana w tej sprawie ...

W tym momencie na salę wpadła Loretta Boothe.

Serce zamarło Hammondowi w piersi, zaciął się, po czym urwał przemówienie.

Początkowo zauważyły ją tylko osoby stojące blisko drzwi.

Kiedy jednak Hammond przestał mówić, wszystkie głowy się odwróciły. Ludzie chcieli sprawdzić, co spowodowało tę przerwę. Nie zważając na całe to zamieszanie, Loretta gorączkowo machała ręką, żeby do niej podszedł.

Ponieważ tego dnia wszystkie wydarzenia następowały po sobie z niezwykłą prędkością, Hammond nie miał czasu do niej zadzwonić i powiedzieć, że Alex jest już wolna od wszelkich podejrzeń, dlatego nie ma znaczenia, gdzie spędziła sobotni wieczór.

Tymczasem Loretta pojawiła się prawdopodobnie w towarzystwie jednego z muskularnych marines z wesołego miasteczka. Hammond w żaden sposób nie mógł uniknąć z nią rozmowy.

- Przepraszam państwa na chwilę.

Ignorując pomruk zdziwienia, który przebiegł przez tłum, Hammond zszedł z podium i utarował sobie drogę na koniec sali. Po drodze myślał o tych wszystkich, którzy za chwilę z pewnością poczują się zażenowani. Monroe Mason. Smilow. Frank Perkins. On sam. Alex. Przechodząc obok niej, przeprosił ją w milczeniu za to, co za chwilę nastąpi.

- Chciałaś ze mną rozmawiać, Loretto? Nawet nie próbowała ukryć irytacji.

- Od prawie dwudziestu czterech godzin.

- Byłem zajęty.

- Prawdę mówiąc, ja też. - Cofnęła się za drzwi i zawołała kogoś, kto czekał na korytarzu. - Chodź tu.

Hammond gorączkowo myślał, jak się wytłumaczy, gdy nagle jakiś wojak wskaże na niego i powie: "To on! To on tańczył z Alex Ladd".

Ale w drzwiach wcale nie pojawił się żołnierz. Zamiast niego na salę wszedł niewysoki murzyn w okularach w drucianych oprawkach, skrzepowany, z żałosną miną.

Hammond ze zdumienia parsknął cichym śmiechem.

- Smitty?! - zawołał, nagle zdając sobie sprawę, że nawet nie zna jego nazwiska.

- Jak się pan miewa, panie Cross? Mówiłem jej, że nie powinniśmy przerywać, ale ona w ogóle nie zważała na moje słowa.

Hammond przeniósł wzrok z pucybuta na Loretę.

- Wydawało mi się, że byłaś w wesołym miasteczku - usłyszał własne niezbyt mądre słowa. - Tak przynajmniej wynikało z wiadomości, którą mi zostawiłaś.

- Tak. Natknęłam się tam na Smitty'ego. Siedział w pawilonie sam jak koleś i słuchał muzyki. Zaczęliśmy gawędzić. Podczas naszej rozmowy wypłynęła sprawa Pettijohna. Smitty ostatnio przeniósł się do Charles Towne Plaza.

- Widziałem go tam dzisiaj.

- Przepraszam, że niczego panu nie powiedziałem, panie Cross. Chyba było mi wstyd.

- Dlaczego?

- Bo nie wspomniał ci, że w ostatnią sobotę Steffi Mundell bez przerwy się przebierała - wtrąciła Loretta. - Najpierw widział ją w stroju do joggingu, potem w jednym z hotelowych płaszczy kąpielowych, a w jakiś czas później znów miała na sobie sportowe spodenki i podkoszulek. To bardzo dziwne.

- Nie przywiązywałem do tego zbyt wielkiej wagi, panie Cross, póki wczoraj nie zobaczyłem jej w telewizji. Dopiero wtedy sobie o tym przypomniałem.

- Nie chciał nikomu sprawiać kłopotu, więc nikomu o tym nie wspomniał. Oprócz Smilowa.

- Smilowa?

Inspektor, który właśnie stanął za plecami Hammonda, zwrócił się do Smitty'ego:

- Gdy powiedziałeś mi o prokuratorze, którego widziałeś w telewizji, myślałem, że masz na myśli pana Crossa.

- Nie, sir, mówiłem o pani prokurator - wyjaśnił starszy mężczyzna. - Przykro mi, jeśli sprawiłem wam wszystkim kłopot.

Hammond położył dłoń na ramieniu Smitty'ego.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Później spisemy twoje zeznanie. - Potem zwrócił się do Loretty: - Dziękuję.

Zmarszczyła czoło i burknęła:

- Ująłeś ją bez mojej pomocy, ale mimo to winien mi jesteś masaż nóg i drinka. Podwójnego.

Hammond odwrócił się do sali. Kamery cicho mruzczały.

Kiedy wracał na podium, światła niemal całkiem go oślepiły. Miał ochotę skakać jak dziecko. Nie czuł już ścisającego klatkę piersiową napięcia. Oddychał bez trudu.

Nikt nie wiedział o nim i Alex. Nie pojawił się żaden niespodziewany świadek, który w sobotę widział ich razem. Nikt nie miał o tym pojęcia oprócz niej. Franka Perkinsa. Rory'ego Smilowa. Davee.

I jego.

On sam też o tym wiedział. Nagle odechciało mu się skakać.

Ponownie stanął na mównicy. Mason puścił do niego perskie oko i pokazał uniesiony kciuk. Nawet Preston jeden jedyny raz w życiu kiwnięciem głowy okazał płynącą z głębi serca aprobatę. Zgodziłby się ze Smilowem. Zapomnij o tym. Przyjmij pracę. Zrób coś dobrego, co nada sens popełnionemu błędowi.

Hammond miał bardzo dużą szansę na wygraną. Na przygniatające zwycięstwo. Prawdopodobnie w ogóle nie znajdzie oponenta. Ale czy dla jakiegokolwiek - choćby najbardziej lukratywnej - pracy warto poświęcać szacunek dla samego siebie?

Czy nie lepiej by było powiedzieć prawdę i przegrać wybory niż trzymać całą sprawę w tajemnicy? Im dłużej coś się ukrywa, tym gorsze mogą być konsekwencje. Nie chciał, by wspomnienie pierwszej nocy z Alex było zbrukane tajemnicą.

Spojrzał na nią. Widząc jej łagodne spojrzenie, natychmiast się zorientował, że czyta w jego myślach. Tylko ona jedna je znała. Tylko ona rozumiała, dlaczego w ogóle się nad tym zastanawia. Obdarzyła go płynącym z głębi serca uśmiechem zachęty.

W tym momencie kochał ją jeszcze bardziej.

- Nim przejdę dalej ... chciałbym poświęcić parę słów osobie, w której życiu w tym tygodniu nastąpiło potworne zamieszanie. Doktor Alex Ladd współpracowała z charlestońską komendą policji i moim biurem, chociaż bardzo na tym ucierpiała jej praktyka i, co najważniejsze, godność. Spotkało ją mnóstwo przykrości. Chciałbym w imieniu całego okręgu prosić ją o wybaczenie. Jestem jej winien również osobiste przeprosiny. Ponieważ ... ponieważ od samego początku wiedziałem, że to nie ona zamordowała Lute'a Pettijohna. Owszem, zeznała, że spotkała się z nim tego popołudnia, ale na jakiś czas przed jego śmiercią. Pewne przesłanki sugerowały, że doktor Ladd mogła mieć motyw. Ale nawet, gdy poddawano ją upokarzającym przesłuchaniom, wiedziałem, że nie mogła zabić Lute'a Pettijohna. Nie mogła tego zrobić, ponieważ miała alibi.

Nikt o tym nie wie. Ta sprawa ma właściwie czysto techniczny wymiar. Nie bądź harcerzykiem. Dużo więcej dobrego zrobisz ... Nikogo to nie obchodzi.

Hammond urwał i zaczerpnął głęboko powietrza - nie ze zdenerwowania, lecz dlatego, że poczuł ogromną ulgę.

- To ja byłem jej alibi.